

Najbardziej fascynująca
współczesna autorka kryminałów.

DAILY MAIL



OSTATNI INTRUZ

TANA FRENCH

O książce

KSIĄŻKA ROKU WEDŁUG AMAZONA, PIÓRA PISARKI UZNANEJ PRZEZ „WASHINGTON POST” ZA NAJWAŻNIEJSZĄ AUTORKĘ KRYMINAŁÓW OSTATNIEJ DEKADY.

POLECANA PRZEZ „NEW YORK TIMES” WSZYSTKIM, KTÓRZY CENIĄ SOBIE INTELIGENTNIE SKONSTRUOWANĄ INTRYGĘ.

Praca w dublińskim wydziale zabójstw nie wygląda tak, jak Antoinette Conway sobie wymarzyła. Jedyną osobą stojącą po stronie bliskiej załamania detektyw – skazanej na prowadzenie rutynowych śledztw, złośliwe żarty kolegów i szykany – jest jej partner Stephen Moran.

Najnowsza sprawa wygląda jak kolejna kłótnia kochanków, która wymknęła się spod kontroli. Aislinn Murray, atrakcyjna blondynka, zostaje znaleziona martwa w salonie swojego perfekcyjnego – jak z katalogu – domu, obok stołu nakrytego do romantycznej kolacji dla dwojga. W Aislinn nie ma w niej nic szczególnego... Poza jednym: detektyw Conway jest przekonana, że gdzieś ją już widziała. I że wyjaśnienie śmierci dziewczyny nie jest tak proste, jak twierdzą inni detektywi z wydziału zabójstw, którzy wyraźnie utrudniają jej śledztwo...

A tymczasem wszystko, czego Conway i Moran dowiadują się o ofierze, utwierdza ich w przekonaniu, że wcale nie była taka słodka i niewinna...

**OSTATNI
INTRUZ**
TANA FRENCH

Z angielskiego przełożył
ŁUKASZ PRASKI



Wydanie elektroniczne

TANA FRENCH

Irlandzka pisarka urodzona w USA; wychowywała się w Irlandii, Malawi i we Włoszech. Od 1990 r. mieszka w Dublinie, gdzie ukończyła teatrologię oraz studia aktorskie w Trinity College i pracowała dla teatru, filmu i telewizji. Jest autorką pięciu bestsellerowych powieści: ZDAŹYĆ PRZED ZMROKIEM (nagrody Edgara Allana Poe, Anthony, Macavity oraz Barry za debiut powieściowy), LUSTRZANE ODBICIE, BEZ ŚLADU (nagroda Irish Crime Fiction), KOLONIA (nagroda „Los Angeles Times” w kategorii thrilleru), ŚCIANA SEKRETÓW i OSTATNI INTRUZ.

Tej autorki

ZDAŻYĆ PRZED ZMROKIEM

LUSTRZANE ODBICIE

BEZ ŚLADU

KOLONIA

ŚCIANA SEKRETÓW

OSTATNI INTRUZ

Dla Oonagh

PROLOG

Kiedys mama opowiadała mi o tacie. W pierwszej wersji, którą pamiętam, był egipskim księciem, chciał się z nią ożenić i osiąść w Irlandii, tylko że rodzina zmusiła go do powrotu i ślubu z arabską księżniczką. Mama umiała opowiadać historie. Kiedy tańczyli w blasku migających świateł, na jego długich palcach połyskiwały pierścienie z ametystami, a ona wdychała sosnowo-korzenny zapach jego ciała. Leżałam pod kołdrą z rozrzuconymi rękami i nogami jak rozgwiazda, mokra od potu, jakbym przed chwilą wynurzyła się z wody – była zima, ale w naszym budynku komunalnym włączono ogrzewanie, a na wyższych piętrach nie otwierały się okna; wchłonęłam tę bajkę i schowałam najgłębiej, jak się dało. Byłam jeszcze mała. Dzięki tej historii chodziłam dumna jak paw, dopóki w wieku ośmiu lat nie opowiedziałam jej swojej najlepszej przyjaciółce Lisie, której o mało nie rozerwało ze śmiechu.

Kilka miesięcy później, gdy rana się zabiłiżniła, pewnego popołudnia weszłam do kuchni, zacisnęłam ręce w pięści, oparłam je na biodrach i zażądałam prawdy. Mama nie stropiła się nawet na moment: wyciskając na gąbkę płyn do mycia naczyń, powiedziała mi, że był studentem medycyny z Arabii Saudyjskiej. Poznała go, bo sama studiowała pielęgniarstwo; usłyszałam mnóstwo szczegółów – o długiej pracy, o śmiechu mimo zmęczenia, o tym, jak razem uratowali życie potrąconemu przez samochód dzieciakowi. Kiedy mama dowiedziała się, że jestem w drodze, on zdążył już wrócić do Arabii Saudyjskiej. Rzuciła college pielęgniarstwa i urodziła mnie.

Przez jakiś czas karmiłam się tą wersją. Podobała mi się; zaczęłam nawet w sekrecie snuć plany, że jako pierwsza z mojej szkoły zostanę lekarzem, bo przecież mam to we krwi i tak dalej. Trwało to, dopóki kiedys, gdy miałam dwanaście lat, nie kazano mi za karę zostać po lekcjach i mama mnie ochrzaniła; powiedziała, że nie pozwoli, żebym skończyła tak jak ona, bez matury i bez widoków na coś lepszego niż praca sprzątaczką za minimalną płacę przez resztę życia. Słyszałam to już tysiące razy, ale tamtego dnia olśniło mnie, że aby studiować pielęgniarstwo, trzeba mieć maturę.

W swoje trzynaste urodziny usiadłam naprzeciwko niej po drugiej stronie tortu i oświadczyłam, że tym razem się nie wygłupiam i chcę wiedzieć. Westchnęła, stwierdziła, że jestem już na tyle duża, by poznać prawdę, i wyznała, że był brazylijskim gitarzystą, z którym chodziła przez parę miesięcy, aż któregoś wieczoru w swoim mieszkaniu spuścił jej tęgie lanie. Kiedy zasnął, ukradła mu kluczyki do samochodu i pojechała do domu, pędząc na złamanie karku zalanymi deszczem pustymi ulicami, z podbitym okiem, które pulsowało bólem w rytm pracujących wycieraczek. Gdy zadzwonił i z płaczem ją przeproszał, mogłaby mu nawet przebaczyć i wrócić do niego – miała dwadzieścia lat – tylko że wtedy już

wiedziała o mnie. Rzuciła słuchawką.

Właśnie tamtego dnia postanowiłam zostać policjantką. Nie dlatego, że chciałam rozprawić się ze wszystkimi zwyrodnialcami jak jakaś Kobieta-Kot, ale dlatego, że moja mama nie umiała prowadzić samochodu. Wiedziałam, że szkoła policyjna znajduje się gdzieś na prowincji, w głębi kraju. To był najszybszy sposób, na jaki wpadłam, żeby wyrwać się od mamy i nie wpaść w ślepy zaułek kariery sprzątaczkii.

Na mojej metryce widnieje informacja „Ojciec nieznany”, ale są na to sposoby. Dawni znajomi, bazy danych DNA. I są sposoby, żebym dalej mogła naciskać mamę, za każdym razem coraz mocniej, dopóki nie uzyskałabym informacji bliskiej prawdy, żeby mieć od czego zacząć.

Już nigdy więcej jej nie zapytałam. Kiedy miałam trzynaście lat, spytałam, ponieważ serdecznie nienawidziłam jej za to, że tak długo dopasowywałam swoje życie do głodnych kawałków, które mi wciskała. Gdy dorosłam i wstąpiłam do szkoły policyjnej, nie pytałam, bo chyba już wiedziałam, dlaczego to robiła, i wiedziałam, że miała rację.

Sprawa wpływa, w każdym razie wpływa do nas, o świcie pewnego mroźnego styczniowego dnia, w szczytowej, najgorszej, fazie zimy, kiedy ma się wrażenie, że słońce już nigdy nie wypełni nad horyzont. Kończę ze swoim partnerem kolejną nocną zmianę, jedną z tych, których w życiu nie spodziewałam się po wydziale zabójstw: wielka porcja nudy i jeszcze większa głupot, a na dokładkę lawina papierów. Dwóch bydlaków postanowiło zakończyć upojny sobotni wieczór, używając głowy innego bydlaka jako maty tanecznej, z powodów bliżej nieznanym nikomu, łącznie z nimi. Znaleźliśmy sześciu świadków, wszystkich co do jednego zalanych w sztok; każdy z nich opowiadał zupełnie inną wersję niż pięciu pozostałych i każdy chciał, żebyśmy zapomnieli o sprawie zabójstwa i przeprowadzili dochodzenie, dlaczego zostali wyrzuceni z pubu lub sprzedano im kiepską trawkę, lub rzuciła go dziewczyna. Kiedy świadek numer sześć kazał mi ustalić, dlaczego przestali mu wypłacać zasiłek, miałam ochotę odpowiedzieć, że pewnie jest za głupi, by w oczach prawa kwalifikować się jako istota ludzka, i wywalić wszystkich na zbity pysk na ulicę, ale mój partner ma więcej cierpliwości ode mnie i między innymi dlatego trzymam go przy sobie. W końcu udało się zgrać zeznania czterech świadków nie tylko ze sobą nawzajem, ale i z dowodami, co oznacza, że możemy postawić jednemu z tych bydlaków zarzut zabójstwa, a drugiemu napaści, co z kolei prawdopodobnie oznacza, że w jakiś sposób uratowaliśmy świat przed złem, ale za cholere nie chce mi się tego analizować.

Przekazaliśmy bydlaków do aresztu i właśnie piszemy raporty, żeby czekały przygotowane na biurku starego, kiedy rano przyjdzie do pracy. Siedzący naprzeciw mnie Steve pogwizduje, co w przypadku większości ludzi wywołuje we mnie mordercze instynkty, ale on potrafi to robić: to jakaś klasyczna stara melodia, którą przypominam sobie jak przez tuman mgły ze wspólnych śpiewów w dzieciństwie; gwizdże ją cicho i w roztargnieniu, przerywając, gdy musi się skupić, i z wyraźną przyjemnością wracając do trel i dźwięcznych ozdorników, kiedy raport znowu zaczyna się układać.

Steve, szmer pracujących komputerów i zimowy wiatr igrający w szparach okien – tylko to i cisza. Wydział zabójstw ma siedzibę na terenie Zamku Dublińskiego, w samym sercu miasta, ale nasz budynek jest trochę z boku, w pewnej odległości od superatrakcji, dla której ciągną tu turyści, poza tym mamy grube mury; nawet hałas porannego ruchu na Dame Street dochodzi tu jako niezbyt absorbujący szum. Rozrzucone na biurkach dokumenty, zdjęcia i notatki wyglądają, jak gdyby łądowały się energią i brzęczały z niecierpliwości przed nadchodzącą akcją. Mrok za wysokimi oknami wolno się przeredza i przechodzi w zimną szarość; w pomieszczeniu unosi się zapach kawy i gorących kaloryferów.

O tej godzinie, gdybym mogła przymknąć oko na wszystkie uroki i kaprysy nocnej zmiany, byłabym zachwycona biurem wydziału.

Znamy ze Steve'em wszystkie oficjalne powody, dla których obciążają nas tyłoma nocnymi dyżurami. Oboje jesteśmy samotni, w domu nie czekają na nas żony, mężowie ani dzieci; jesteśmy najmłodszy w zabójstwach, znosimy zmęczenie lepiej niż ludzie tuż przed emeryturą; ciągle jesteśmy żółtodziobami – nawet ja, od dwóch lat w wydziale – no to uszy po sobie i do roboty, gówniarzerio. Jesteśmy posłuszni. To nie jest służba w patrolu, gdzie szef jest wrednym draniem, u którego zawsze możesz złożyć prośbę o zmianę przydziału. Nie ma innego wydziału zabójstw, do którego można się przenieść; to ten jeden jedyny. Jeżeli chcesz w nim być, a oboje chcemy, bierzesz każdy ochłap.

Niektórzy pracują w takim wydziale zabójstw, na jaki dawno, dawno temu ostrzyłam sobie zęby; w miejscu, gdzie na co dzień prowadzi się ryzykowne gry psychologiczne z psychopatycznymi geniuszami zbrodni, mając świadomość, że jeden niewłaściwy gest i spojrzenie mogą przesądzić o zwycięstwie albo kosztować życie kolejną ofiarę. Ja i Steve wyciągamy szyje, żeby popatrzeć na tych podstępnych psychopatów, kiedy chłopaki prowadzą ich obok pokoju przesłuchań, gdzie właśnie męczymy się z następnym kandydatem do tytułu Małżonka Roku w naszej nieustającej serii burd domowych, które stary ciągle nam podrzuca, bo wie, że doprowadzają mnie do szału. Idioci tańczący na głowie kumpla byli przynajmniej jakąś odmianą.

Steve wciska przycisk DRUKUJ i stojąca w kącie drukarka zaczyna rzeźić i klekotać.

– Skończyłaś? – pyta.

– Prawie. – Przebiegam wzrokiem raport, szukając literówek, bo nie chcę dawać staremu pretekstu, żeby się do czegoś przyczepił.

Steve splata ręce na głowie i przeciąga się, aż trzeszczy krzesło.

– Piwko? Powinni już otwierać pierwsze puby.

– Chyba żartujesz.

– Trzeba to uczcić.

Boże drogi, Steve jest też lepszy ode mnie w pozytywnym podejściu do życia. Posyłam mu spojrzenie, które powinno zdusić w zarodku ten powiew optymizmu.

– Co uczcić? – pytam.

Wyszczera zęby w uśmiechu. Ma trzydzieści trzy lata, rok więcej ode mnie, ale wygląda na młodszego: może przez chłopięcą budowę ciała, patykowate nogi i chuderlawe barki; może przez ogniście rude włosy, które sterczą we wszystkie strony; może przez tę okropną, nieuleczalną pogodę ducha.

– Złapaliśmy ich, nie zauważyłaś?

– Tych dwóch złapałaby nawet twoja babcia.

– Pewnie tak. A potem poszłaby na piwo.

– Była alkoholiczką, tak?

– Skończonym moczymordą. Próbuję być wierny jej zasadom. – Podchodzi do drukarki i zaczyna sortować kartki. – Chodź, skoczmy na jedno.

– Innym razem. – Nie mam nastroju. Chcę jechać do domu, pójść pobiegać, wrzucić coś do mikrofalówki, odmóżyć się jakąś głupotą w telewizji, a potem się przespać, zanim znowu będzie trzeba robić to samo.

Drzwi otwierają się z hukiem i do pokoju zagląda O’Kelly, nasz naczelnik, który jak zawsze pojawia się wcześniej, żeby sprawdzić, czy przyłapie kogoś na spaniu. Zwykle przychodzi różowy i wypucowany, pachnąc porannym prysznicem i smażonym śniadaniem, z równiutko zaczesaną łysiną – nie mogę udowodnić, że chce w ten sposób kłuć w oczy zmęczonych frajerów cuchnących całonocną pracą i czerstwymi drożdżówkami z supermarketu, ale to by do niego pasowało. Tego ranka przynajmniej wygląda trochę nieświeżo – worki pod oczami, na koszuli plama po herbacie – i to chyba mój jedyny powód do satysfakcji na ten dzień, wykorzystany już na samym początku.

– Moran, Conway – mówi, przyglądając się nam podejrzliwie. – Coś ciekawego?

– Burda na ulicy – odpowiadam. – Jedna ofiara.

Pomijając życie towarzyskie, które cierpi przez nocne dyżury, prawdziwym powodem, dla którego nikt ich nie znosi, jest fakt, że w nocy nie trafia się nic dobrego. Zdarza się, że ktoś dokona godnego uwagi zabójstwa na skomplikowanym tle i z intrygującym motywem, ale dowiadujemy się o nim dopiero rano. W nocy nadchodzą tylko wiadomości o zabójstwach popełnianych przez pijanych dupków, którzy nie mają żadnego innego motywu prócz tego, że są pijanymi dupkami.

– Zaraz dostanie pan raporty.

– W każdym razie mieliście jakieś zajęcie. Wyjaśniliście?

– Mniej więcej. Szczegóły dopracujemy wieczorem.

– To dobrze. Wobec tego możecie popracować nad tym. – I pokazuje formularz ze zgłoszeniem.

Przez sekundę jak głupia robię sobie nadzieję. Jeżeli sprawa trafia do nas przez starego, zamiast przyjść do biura wydziału bezpośrednio od naszej administracyjnej, to oznacza, że chodzi o coś szczególnego. O coś, co okaże się tak niezwykle, trudne albo delikatne, że nie można tego dać byle komu, jak akurat wypada w grafiku; tu trzeba odpowiednich ludzi. Sprawa prosto od starego wywołuje szum w biurze wydziału, wrywa chłopaków z letargu i każe im się zainteresować. Sprawa prosto od starego oznaczałaby, że ja i Steve w końcu – w końcu! – wychodzimy z kąta dla patalachów, że możemy się włączyć do gry.

Muszę zacisnąć dłoń w pięść, żeby się powstrzymać przed wyciągnięciem

ręki po formularz.

– Co to?

– Lepiej nie patrz takim łakomym wzrokiem, Conway – prycha O’Kelly. – Wziąłem po drodze, powiedziałem, że zaniosę na górę, żeby nie zawracać głowy Bernadette. Patrol na miejscu twierdzi, że to wygląda na wynik zwykłej domowej bijatyki, sprawa prosta jak drut. – Rzuca formularz ze zgłoszeniem na moje biurko. – Powiedziałem, że zobaczycie, jak to wygląda. Nigdy nie wiadomo, może będziecie mieli szczęście, może to seryjny zabójca.

Nie zawracać głowy administracyjnej, akurat! O’Kelly sam przyniósł zgłoszenie, żeby zobaczyć moją minę. Nie dotykam formularza.

– Zaraz przyjdzie pierwsza zmiana – mówię.

– A wy już jesteście. Jeżeli chcesz zdążyć na jakąś namiętą randkę, lepiej się pospiesz i wyjaśnij sprawę.

– Pracujemy nad raportami.

– Jezu, Conway, to nie ma być żadne cholerne dzieło na miarę Jamesa Joyce’a. Dajcie mi to, co macie. Lepiej się pospieszcie; sprawa jest w Stoneybatter, a znowu rozkopali bulwary przy rzece.

Sekundę później wciskam DRUKUJ. Steve, wredny lizus, okręca już szyję szalikiem.

Stary podchodzi do tablicy z harmonogramem dyżurów i przygląda się grafikowi.

– Będziecie potrzebowali wsparcia – informuje nas.

Czuję, że Steve próbuje mnie zmusić siłą woli, żebym zachowała zimną krew.

– Sami damy sobie radę z prostą domową bijatyką – mówię. – Pracowaliśmy nad mnóstwem takich spraw.

– I ktoś z odrobiną doświadczenia mógłby was nauczyć, jak należy nad nimi pracować. Jak długo wyjaśnialiście sprawę tej młodej Rumunki? Pięć tygodni? Mimo że dwóch świadków widziało, jak zadźgał ją jej chłopak, a potem prasa, ten równościowy wrzask o rasizmie i że gdyby to była Irlandka, już dawno aresztowalibyśmy...

– Świadek nie chciał z nami rozmawiać. – Wzrok Steve’a błaga, zamknij się, Antoinette, ale już za późno. Połknęłam haczyk, tak jak O’Kelly przypuszczał.

– Otóż to! Dlatego, gdyby świadkowie dzisiaj też nie chcieli z wami rozmawiać, chcę mieć na miejscu starego fachowca, który ich zmusi. – O’Kelly stuka palcem w tablicę. – Zaraz przychodzi Breslin. Weźcie go. Nieźle sobie radzi ze świadkami.

– Breslin jest zapracowany – odpowiadam. – Wydaje mi się, że powinien poświęcić swój cenny czas na ważniejsze rzeczy niż prowadzenie za rączkę takich jak my.

– Jasne, że powinien, ale jest skazany na was. Lepiej więc nie marnujcie jego cennego czasu.

Steve z zapalem kiwa głową, krzyżąc do mnie w duchu na całe gardło: „Zamknij się, mogło być o wiele gorzej!”. Mogło. Gryzę się w język, żeby nie dołożyć następnego argumentu.

– Zadzwoń do niego w drodze. – Biorę formularz zgłoszenia i wpycham do kieszeni kurtki. – Umówimy się na miejscu.

– Nie zapomnij o tym. Bernadette zawiadomi techników i patologa. Powiem jej, żeby podesłała wam parę mrówek z ogólnego... nie będziecie do tego potrzebowali armii ludzi. – O’Kelly rusza do drzwi, zgarniając po drodze nasze wydruki. – Jeżeli nie chcecie robić z siebie widowiska przed Breslinem, wlejcie w siebie trochę kawy. Oboje wyglądacie jak kupa nieszczęścia.

* * *

Latarnie w pobliżu zamku jeszcze się palą, ale miasto niemrawo rozjaśnia coś w rodzaju poranka. Nie pada deszcz – to dobrze, gdzieś po drugiej stronie rzeki być może czekają na nas odciski butów albo niedopałki papierosów ze śladami DNA – ale jest przeraźliwie zimno i wilgotno, wokół lamp wiszą mgliste aureole; wilgoć osiada na skórze i wsiąka głęboko do wewnątrz, aż zaczynasz mieć wrażenie, że twoje kości są zimniejsze od powietrza. Otwierają się pierwsze kawiarnie; czuć zapach smażonych kiełbasek i spalin autobusów.

– Chcesz gdzieś wstąpić na kawę? – pytam Steve’a.

Otula się szczerzej szalikiem.

– Jezu, nie. Im szybciej tam dojedziemy...

Nie kończy, bo nie musi. Im szybciej dojedziemy na miejsce zdarzenia, tym więcej będziemy mieli czasu, zanim pojawi się pupilek pana profesora, żeby pokazać nam, biednym idiotom, jak to się robi. Nie wiem nawet, dlaczego w ogóle w tej chwili mnie to obchodzi, ale miło jest wiedzieć, że Steve’owi też na tym zależy. Oboje mamy długie nogi, oboje idziemy w szybkim tempie i koncentrujemy się na marszu.

Kierujemy się w stronę parkingu dla służbowych samochodów. Łatwiej i szybciej byłoby wziąć mój wóz albo Steve’a, tego jednak nigdy się nie robi. W niektórych dzielnicach nie lubią glin, a każdy, kto rzuci butelką w moje audi TT, straci kończynę. Poza tym są sprawy – nigdy nie wiadomo które, w każdym razie nie można mieć pewności – kiedy przyjazd własnym samochodem byłby równoznaczny z podaniem swojego adresu jakiejś bandzie świrów. Zanim się zorientujesz, przywiążą twojemu kotu cegłę, podpalą go i wyrzucą przez okno.

Na ogół ja prowadzę. Jestem lepszym kierowcą niż Steve i o wiele gorszym pasażerem; ze mną za kierownicą docieramy do celu w znacznie weselszym nastroju. Na parkingu wybieram kluczyki do odrapanego białego opla kadetta.

Stoneybatter to stary Dublin, dzielnica robotników i tych, co nie splamili się w życiu żadną robotą, plus garstka yuppie i artystów, którzy kupili tam nieruchomości w czasie boomu mieszkaniowego, bo to taka cudowna i oryginalna okolica, co oznaczało, że nie było ich stać na elegantszą lokalizację. Czasem wolisz samochód, na którego widok ludzie się oglądają. Nie tym razem.

– Niech to szlag – rzucam, wyjeżdżając z parkingu i włączając ogrzewanie. – Nie mogę zadzwonić do Breslina. Muszę prowadzić.

Wywołuję szeroki uśmiech Steve’a.

– Pech. A ja muszę przeczytać zgłoszenie. Nie ma sensu tam jechać zupełnie w ciemno.

Wciskam gaz, żeby śmignąć na żółtym świetle, wyjmuję z kieszeni formularz ze zgłoszeniem i rzucam mu.

– Masz, czytaj. Posłuchajmy dobrych wiadomości.

Przebiega go wzrokiem.

– Zgłoszenie przyjęli na komisariacie w Stoneybatter sześć minut po piątej. Dzwonił mężczyzna, nie chciał się przedstawić. Z prywatnego numeru. – Czyli amator, jeżeli sądzi, że coś mu to da. W ciągu paru godzin zdobędziemy ten numer. – Powiedział, że pod numerem dwadzieścia sześć na Viking Gardens została ranna kobieta. Kiedy dyżurny zapytał, jakie obrażenia odniosła, facet odpowiedział, że upadła i uderzyła się w głowę. Dyżurny spytał, czy kobieta oddycha; facet na to, że nie wie, ale źle to wygląda. Gliniarz zaczął go instruować, jak sprawdzić jej czynności życiowe, ale on odpowiedział: „Przyślijcie tu szybko karetkę” i odłożył słuchawkę.

– Nie mogę się doczekać, żeby go poznać – mówię. – Pewnie zanim ktokolwiek pojawił się na miejscu, już go nie było, co?

– Jasne. Kiedy przyjechała karetka, drzwi były zamknięte na klucz, nikt nie otwierał. Patrol je wyważył i znalazł w salonie kobietę. Urazy głowy. Ratownicy stwierdzili zgon. W domu nie było nikogo innego, żadnych śladów włamania ani kradzieży.

– Jeżeli gość chciał wezwać karetkę, dlaczego dzwonił na komisariat w Stoneybatter? Czemu nie pod dziewięć dziewięć dziewięć?

– Może przypuszczał, że dziewięć dziewięć dziewięć namierzy jego numer telefonu, a mały komisariat nie będzie miał możliwości technicznych.

– Czyli jest kompletnym idiotą – oceniam. – Super. – O’Kelly miał rację, mówiąc o bulwarach: Wydział Rozkopywania Gdzie Popadnie ryje młotem pneumatycznym w jednym pasie jezdnii, a drugi zmienił w splątany labirynt, który budzi we mnie chęć posiadania szybkostrzelnej broni automatycznej. – Wystaw światła.

Steve wyjmuje spod siedzenia niebieskiego koguta, wychyla się przez okno i stawia go na dachu. Włączam syrenę. Niewiele się zmienia. Kierowcy usłużnie

usuwają się o parę centymetrów na bok, bo tylko tyle mogą.

– Jezu Chryste! – syczę. Nie mam nastroju na coś takiego. – No więc, jak to się stało, że patrol podejrzewa domową burdę? Mieszka tam ktoś jeszcze? Mąż, partner?

Steve znowu pochyła się nad kartką.

– Nic nie napisali. – Zerka na mnie z nadzieją. – A może się pomylili, co? I to jednak coś większego.

– Nie, kurwa, niemożliwe. To następna pieprzona domowa burda, może nawet nie zabójstwo, tylko kobieta przewróciła się i kopnęła w kalendarz, tak jak powiedział ten facet przez telefon, bo gdyby był choćby cień szansy na coś w miarę porządnego, O’Kelly zaczekałby, aż przyjdzie pierwsza zmiana, i dał to Breslinowi i McCannowi albo innej parze wazeliniarzy... Jezu! – Wciskam pięścią klakson. – Naprawdę będę musiała wysiąść i kogoś aresztować? – Jakiś kretyn na początku korka nagle się zorientował, że siedzi za kierownicą, i rusza; reszta zjeżdża na bok, więc wciskam gaz do dechy, a potem skręcam na most i jesteśmy już na północnym brzegu Liffey.

Nagle, z dala od rozkopów i robotników, zapada prawie zupełna cisza, która wydaje się bezdena. Długie ciągi wysokich budynków z czerwonej cegły i szyldów sklepów kurczą się i dzielą na małe skupiska domów, wpuszczając światło, które rozlewa się szerzej po niebie i maluje niską warstwę chmur na szaro i jasnożółto. Wyłączam syrenę; Steve sięga za okno i ściąga z dachu koguta. Trzyma go, zdrapuje ze szklanego klosza kropkę brudu i przechyla, sprawdzając, czy jest czysty. Nie wraca do czytania.

Znamy się ze Steve’em od ośmiu miesięcy, partnerami jesteśmy od czterech. Poznaliśmy się przy okazji innej sprawy, kiedy pracował jeszcze w wydziale spraw niewyjaśnionych. Z początku mi się nie spodobał – wszyscy go lubili, a ja nie ufam ludziom, których wszyscy lubią, poza tym za często się uśmiechał – ale to się szybko zmieniło. Kiedy wyjaśniliśmy sprawę, spodobał mi się już na tyle, że wykorzystałam pięć minut swoich niezłych notowań u O’Kelly’ego, żeby mu szepnąć słówko w sprawie Steve’a. Moment był dobry – z własnej inicjatywy nigdy nie szukałabym partnera, lubiłam pracować solo, ale O’Kelly coraz głośniejszy mówił, że w jego wydziale żółtodzioby, które nie mają o niczym pojęcia, nie działają w pojedynkę – nie żałuję jednak, nawet jeśli ze Steve’a jest taki radosny kutafon. Dobrze jest, kiedy podnoszę wzrok i widzę go naprzeciwko siebie w biurze wydziału, kiedy ramię w ramię pracujemy na miejscu zdarzenia, kiedy siedzimy obok siebie przy stole w pokoju przesłuchań. Bez względu na to, co mówi O’Kelly, mamy wysoki wskaźnik wykrywalności i zwykle chodzimy na piwo, żeby uczcić wyjaśnienie sprawy. Mam wrażenie, jakby Steve był przyjacielem albo prawie przyjacielem. Ciągłe jednak uczymy się siebie nawzajem; ciągle nie mamy żadnych gwarancji.

W każdym razie nauczyłam się już go na tyle, by wiedzieć, kiedy ma zamiar coś powiedzieć.

– Co? – pytam.

– Nie daj się prowokować staremu.

Zerkam na niego: Steve przygląda mi się nieruchomym wzrokiem.

– Chcesz mi powiedzieć, że jestem nadwrażliwa? Serio?

– To nie koniec świata, jeżeli myśli, że powinniśmy poprawić pracę ze świadkami.

Pędzę boczną uliczką, dwukrotnie przekraczając dozwoloną prędkość, ale Steve na tyle dobrze zna mój sposób jazdy, że w ogóle się nie denerwuje. To ja zgrzytam zębami.

– Właśnie że jest. Byłabym nadwrażliwa, gdybym się przejmowała, co Breslin albo ktoś inny myśli o naszej technice przesłuchiwania, a to guzik mnie obchodzi. Ale jeżeli O’Kelly myśli, że sami nie mamy rady, to będziemy dostawać wyłącznie takie gówniane sprawy i jakiś półgłówek wciąż będzie nam patrzył na ręce. Tobie to w ogóle nie przeszkadza?

Steve wzrusza ramionami.

– Breslin ma nam tylko pomóc. To jest ciągle nasza sprawa.

– Niepotrzebna nam żadna pomoc. Niech się odpieprzą i pozwolą nam robić swoje.

– Odpieprzą się. Prędzej czy później.

– Tak? A kiedy?

Steve oczywiście nie odpowiada. Zwalniam – kadetta prowadzi się jak wózek w supermarkecie. W Stoneybutter trwa niedzielny poranek: po chodnikach biegają amatorzy joggingu, wkurzone nastolatki ciągną psy na smyczach, rozmyślając ponuro nad niesprawiedliwością tego świata, do domu wraca dziewczyna w klubowej kreacji, z gęsią skórką na nogach i butami w ręce.

– Dłużej tego nie zniosę – informuję Steve’a.

Zdarza się, że ludzie się wypalają. Częściej w wydziałach takich jak obyczajówka i narkotykowy, gdzie codziennie masz do czynienia z tym samym obrzydlistwem i nie możesz zrobić nic, żeby to zmienić: wypruwasz sobie żyły, a po mieście ciągle kręcą się te same dziewczyny, tyle że wysyłane przez innego alfonsa; ci sami ćpuni kupują ten sam towar, tyle że od dilerów innego bonzy. Zatykasz jedną dziurę, a gówno tryska w nowym miejscu i wylewa się dalej. To rozstraja ludzi. W zabójstwach, jeżeli kogoś przymkniesz, ocalisz życie komuś, kogo ta kanalia mogłaby zabić. Toczysz pojedynkę z jednym mordercą, nie walczysz z całą najgorszą stroną ludzkiej natury, możesz więc pokonać jednego mordercę. W zabójstwach ludzie wytrzymują. Do końca kariery.

W każdym wydziale ludzie wytrzymują znacznie dłużej niż dwa lata.

Moje dwa lata to szczególny czas. Z pracą nie mam problemu – potrafiłabym

dzień po dniu spotykać kanibali i dzieciobójców i spokojnie przesypiać każdą noc. Jak powiedziałam, jednego mordercę można pokonać. Walka z własnym wydziałem to coś zupełnie innego.

Steve nauczył się mnie na tyle, by wiedzieć, kiedy wściekam się bez powodu, a kiedy nie.

– I co byś zrobiła? – pyta po chwili. – Przeniosła się z powrotem do wydziału zaginionych?

– Nie. Pieprzyć to. – Nie będę się cofać. – Mam kolegę ze szkoły, jest współnikiem w agencji ochrony. Duża firma, pracują dla lepszych gości, jeżdżą za granicę; żadne tam łapanie złodziejasków w Penney's. Mówił, że gdybym szukała roboty...

Nie patrzę na Steve'a, ale czuję na sobie jego nieruchome spojrzenie. Nie wiem, co mu chodzi po głowie. Steve jest w porządku, ale za bardzo stara się przypodobać innym. Beze mnie, gdyby tylko chciał, łatwo odnalazłby się w wydziale. Zostałby jednym z nich, dostawałby porządne sprawy i dobrze by się czuł wśród chłopaków.

– Świetnie płacą – dodaję. – Poza tym kobiety nie mają u nich źle, to nawet atut. Wielu tych gości chce kobiet ochroniarzy dla swoich żon i córek. Dla siebie zresztą też. Mniej rzucają się w oczy.

– Masz zamiar do niego zadzwonić? – pyta Steve.

Zatrzymuję się na początku Viking Gardens. Chmura rozerwała się i wygląda zza niej promień światła, które oblewa łupkowe dachy i pochylone słupy latarni. W tym tygodniu jeszcze nie widzieliśmy tyle słońca.

– Nie wiem – odpowiadam.

* * *

Znam Viking Gardens. Mieszkam w odległości dziesięciu minut piechotą stąd – nie dlatego, że nie stać mnie na elegantszą lokalizację, ale Stoneybatter po prostu mi się podoba – i jedna z moich tras joggingu prowadzi obok wylotu tej ulicy. Wygląda mniej imponująco, niż sugeruje jej nazwa: zapuszczony ślepy zaułek wiktoriańskich szeregowców, których okna wychodzą wprost na połatane chodniki. Niskie dachy z łupków, firanki w oknach, drzwi pomalowane na jaskrawe kolory. Uliczka jest tak wąska, że samochody stoją zaparkowane dwoma kołami na krawężniku.

Nie możemy już dłużej odwlekać z dzwonieniem do Breslina, bo lada chwila może się pojawić w biurze i stary zacznie go wypytywać, co tam robi. Siedząc jeszcze w samochodzie, nagrywam się na jego poczcie głosowej – na czym być może zyskamy parę dodatkowych minut, być może nie, ale przynajmniej oszczędzę sobie drętwej gadki – i zostawiam mu wiadomość. Informuję go o sprawie jak o czymś śmiertelnie nudnym, co przychodzi mi z łatwością, chociaż wiem, że to go

i tak nie powstrzyma. Breslin lubi myśleć, że jest Janem Niezbędnym; do głównianej burdy domowej przyjedzie tak szybko, jak gdyby chodziło o seryjnego mordercę obdzierającego ofiary ze skóry, bo wie, że biedny denat ma przekichane, dopóki on nie przybędzie na miejsce, żeby uratować sytuację.

– Idziemy – mówię i zarzucam torbę na ramię.

Numer dwadzieścia sześć jest na drugim końcu ulicy; tam gdzie rozpięto taśmę policyjną, stoi oznakowany radiowóz i biały van techników kryminalistyki. Grupka dzieci kręcących się przy taśmie rozbiega się na nasz widok („Aa, uciekajcie! Proszę pani, niech go pani łapie, on kradnie ze sklepu ciastka z czekoladą... Zamknij się, kurwa!”), ale i tak jesteśmy bacznie obserwowani podczas marszu przez całą ulicę. Za firankami w oknach jak w kotle z ukropem kipi od pytań.

– Chcę pomachać – mówi półgłosem Steve. – Mogę?

– Nie zachowuj się jak dzieciak. – Ale też czuję przyływ adrenaliny, chociaż bardzo staram się go opanować. Nawet gdy masz świadomość, że twoje zadanie mogłyby wykonać tresowane szympany, droga na miejsce zdarzenia działa na ciebie: zmienia cię w gladiatora zmierzającego na arenę, kilka chwil przed walką, przy której imperatorowie skandują twoje imię. Potem rzucasz okiem na miejsce zdarzenia, arena i imperator ulatują jak dym, a ty czujesz się jeszcze gorzej niż zwykle.

Mundurowy przy drzwiach to jeszcze dzieciak o długiej, rozkołysanej szyi i wielkich uszach podtrzymujących za dużą czapkę.

– Detektywi! – wykrzykuje, wyprężając się na baczność i zastanawiając się, czy ma zsalutować. – Posterunkowy JP Dooley. – Czy coś w tym guście. Mówi z takim akcentem, że bez napisów na ekranie nie da się nic zrozumieć.

– Detektyw Conway – przedstawiam się, wyjmując z torby rękawiczki i ochraniacze na buty. – A to detektyw Moran. Kręcił się tu ktoś, kto nie powinien się kręcić?

– Znaczy się... tylko te dzieciaki. – Trzeba będzie pogadać z nimi i z ich rodzicami. Charakterystyczna cecha starych dzielnic: ludzie ciągle interesują się nawzajem swoimi sprawami. Nie wszystkim to pasuje, ale nam tak. – Nie rozmawialiśmy jeszcze z sąsiadami... znaczy się... pomyśleliśmy, że może będziecie chcieli zrobić to po swojemu.

– Słusznie – mówi Steve, wkładając rękawiczki. – Wyślemy kogoś do sąsiadów. Co było z drzwiami, kiedy przyjechaliście na miejsce? – Wskazuje drzwi domu pomalowane na niewinny jasnoniebieski kolor, rozłupane w miejscu, gdzie wyważył je patrol.

– Były zamknięte – melduje skwapliwie policjant.

– Hm, tego się akurat domyślałam – odpowiada Steve, ale uśmiecha się, jak gdyby to był dowcip; w moich ustach zabrzmiałoby to jak bolesny cios. – Jak

zamknięte? Na zasuwę, dwa zamki, zatrask?

– A, tak, przepraszam, chciałem... – Mundurowy czerwienieje. – Jest zwykły zamek wpuszczany i jeden patentowy. Ale nie były zamknięte. Tylko na zatrask.

Czyli jeżeli zabójca wyszedł tędy, pociągnął tylko drzwi i zatrzasnął za sobą; nie musiał mieć klucza.

– Włączył się alarm?

– Nie. Znaczy się... alarm jest – policjant wskazuje skrzynkę nad nami – ale nie był nastawiony. Nie włączył się, kiedy weszliśmy.

– Dzięki. – Steve znowu uśmiecha się do niego. – Świetnie.

Mundurowy oblewa się pąsem. Steve zyskał sobie fana.

Drzwi uchylają się i wyłania się zza nich głowa Sophie Miller. Sophie, która ma duże brązowe oczy i sylwetkę baleriny, nawet w białym kombinezonie z kapturem wygląda elegancko, więc wielu ludzi próbuje jej wstawić kit, ale kończy się na jednej próbie. Jest jednym z naszych najlepszych techników kryminalistyki, a poza tym się lubimy. Jej widok przynosi mi niespodziewanie wielką ulgę.

– Hej – wita nas. – Najwyższa pora.

– Roboty drogowe – wyjaśniam. – Cześć. Co jest?

– Wygląda na typową sprzeczkę kochanków. Zaklepaliscie sobie wszystkie takie sprawy czy co?

– Lepsze to niż porachunki gangsterów. – Czuję na sobie zaskoczony wzrok Steve'a i w odpowiedzi posyłam mu ostre spojrzenie; wie, że kumpluję się z Sophie, ale powinien też wiedzieć, że nie zamierzam wypłakiwać się w mankiet koleżance z powodu sytuacji w wydziale. – Przy domowych czasem trafia się świadek, który chce mówić. Chodźmy się przyrzec.

Domek jest mały; wchodzimy prosto do salonu i jadalni w jednym. W pokoju jest troje drzwi i od razu wiem, dokąd które prowadzą: sypialnia jest po lewej, prosto kuchnia, a po prawej łazienka z prysznicem – układ jest taki sam jak u mnie. Wystrój jednak zupełnie niepodobny. Na laminowanej podłodze fioletowy dywan, ciężkie fioletowe zasłony udające droższe, fioletowa narzuta artystycznie udrapowana na białej skórzanej kanapie, na ścianach niewarte uwagi reprodukcje na płótnie z fioletowymi kwiatami: pokój wygląda, jak gdyby kupiono go przez aplikację Udekoruj Dom, do której należy wprowadzić swój budżet i ulubiony kolor, a na drugi dzień wszystko przywożą vanem.

W środku panuje jeszcze noc. Zasłony są zasunięte; górne światła wyłączone, ale w kątach palą się lampy stojące. Technicy Sophie – jeden klęczy przed kanapą i zbiera taśmą klejącą włókna, drugi opyla proszkiem stolik, szukając odcisków palców, a kolejny rejestruje obraz wideo z miejsca zdarzenia, wolno poruszając kamerą – mają włączone latarki czołowe. W pokoju jest strasznie

duszo, cuchnie gotowanym mięsem i świecą zapachową. Technik przy kanapie usiłuje się ochłodzić, szarpiąc przód kombinezonu.

W kominku gazowym pali się ogień, który rzuca rozedrgany blask pełgających płomieni na przegrzany pokój. Kominek jest wyłożony niby-rustykalnym ciosanym kamieniem, który ma pasować do uroczego domku w tradycyjnym stylu. W rogu paleniska spoczywa głowa kobiety.

Ofiara leży na wznak, ze skrzyżowanymi nogami, jak gdyby ktoś ją tam rzucił. Jedna ręka wzdłuż boku, druga nad głową, zgięta pod dziwnym kątem. Kobieta wzrostu może metr siedemdziesiąt, chuda, w szpilkach i obcisłej kobaltowej sukience, ze sztuczną opalenizną i masywnym naszyjnikiem z imitacji złota. Jej twarz przysłaniają blond włosy, wyprostowane i spryskane taką ilością lakieru, że nawet zabójstwo nie zdołało ich zburzyć. Wygląda jak martwa Barbie.

– Zidentyfikowana? – pytam.

Sophie wskazuje ruchem brody stolik przy drzwiach: kilka listów i niewielki plik rachunków.

– Prawdopodobnie Aislinn Gwendolyn Murray. Jest właścicielką domu... tam leży kwit podatku od nieruchomości.

Steve przegląda rachunki.

– Nie ma żadnych innych nazwisk – informuje mnie. – Zdaje się, że mieszkała tu sama.

Wystarczy jednak jeden rzut oka na pokój, bym zrozumiała, dlaczego wszyscy uważają, że pobił ją jej chłopak. Mały okrągły stolik w części jadalnianej jest przykryty fioletowym obrusem; stoją na nim dwa nakrycia z białymi płóciennymi serwetkami złożonymi w fantazyjne fałdy, na porcelanie i błyszczących srebrach migocze odbłask płomieni z kominka. Otwarta butelka czerwonego wina, dwa kieliszki – czyste – wysoki świecznik. Świeca wypaliła się do cna, krople wosku zastygły w stalaktyty na świeczniku i twarde plamy na obrusie.

Na obramowaniu kominka widać sporą plamę ciemnej i lepkiej krwi, która rozlała się z głowy kobiety. Nie dostrzegam śladów krwi nigdzie indziej. Nikt nie próbował podnosić ofiary, kiedy upadła, ani nią potrząsać, żeby się ocknęła. Facet po prostu dał nogę.

Upadła i uderzyła się w głowę, powiedział mężczyzna, który zadzwonił na komisariat. Albo to prawda i Kochaś spanikował i zwał – to się zdarza, porządni obywatele ze strachu przed wplątaniem się w kłopoty zachowują się czasami jak seryjni mordercy – albo pomógł jej upaść.

– Cooper już był? – Cooper to patolog. Lubi mnie bardziej niż innych, mimo to nie czekałby na mnie: jeżeli nie ma cię na miejscu zdarzenia, kiedy on przychodzi na wstępne oględziny, to twój problem, nie jego.

– Właśnie wyszedł – odpowiada Sophie. Jednym okiem czujnie przygląda się

swoim technikom. – Powiedział, że ofiara nie żyje, na wypadek gdybyśmy nie zauważyli. Leży blisko ognia, ciepło zaburzyło tempo spadku temperatury ciała i początek stężenia, dlatego trudno określić czas zgonu... między szóstą a jedenastą wieczorem.

Steve ruchem głowy wskazuje stolik.

– Raczej przed wpół do ósmej albo dziewiątą. Gdyby to się stało później, zaczęliby już jeść.

– Chyba że któreś z nich pracuje na drugą zmianę – zauważam. Steve zapisuje to w notesie; informację sprawdzą przydzieleni nam ludzie z ogólnego, kiedy zidentyfikujemy już gościa zaproszonego na kolację. – W zgłoszeniu była mowa o obrażeniach w wyniku upadku. Cooper to potwierdził?

Sophie prycha.

– Jasne. To był wyjątkowy upadek. Ma wgniecioną potylicę, a kształt urazu pasuje do narożnika kominka. Cooper w zasadzie nie ma wątpliwości, że to była przyczyna śmierci, ale pewnośc będzie miał dopiero po sekcji, jeżeli nie znajdzie jadu żaby amazońskiej czy czegoś podobnego. Ma też otarcia i spory krwiak na szczęce z lewej strony, parę wybitych zębów, pewnie też pękniętą kość szczękową, ale Cooper nie chce się zarzekać, dopóki nie weźmie jej na stół. Nie mogła upaść na kominek pod dwoma kątami naraz.

– Ktoś ją uderzył w twarz – mówię. – Upadła tyłem i roztrzaskała sobie czaszkę o kominek.

– Wy jesteście detektywami, ale na moje oko tak to właśnie wygląda.

Kobieta ma długie paznokcie pomalowane kobaltowym lakierem, w takim samym kolorze jak sukienka; wyglądają nieskazitelnie, bez śladu zadrapania. Ładne albumy z fotografiami na stoliku wciąż leżą równo ułożone, nic się też nie stało ze szklanym bibelotem i wazonem fioletowych kwiatów na gzymsie kominka. Nie doszło tu do żadnej bijatyki. Kobieta nie miała nawet szansy się bronić.

– Cooper domyśla się, czym ją uderzył? – pytam.

– Sądząc po kształcie siniaków, pięścią – mówi Sophie. – Najwyraźniej jest praworęczny.

Czyli nie miał broni, co oznaczało, że nie ma z czego zdjąć odcisków palców ani czego powiązać z podejrzanym.

– Jeżeli zadał taki mocny cios, że wybił jej zęby – odzywa się Steve – to musiał sobie stłuc kostki. Nie będzie mógł tego ukryć. Może będziemy mieli szczęście i rozciął sobie skórę, zostawił na jej twarzy DNA.

– Tylko pod warunkiem, że uderzył gołą ręką – wtrącam. – W taki wieczór jak wczoraj pewnie miał rękawiczki.

– W domu?

Wskazuję stół.

– Nie zdążyła nawet nalać wina. Niedługo tu zabawił.

– Słuchaj – mówi Steve z udawaną wesołością. – Przynajmniej mamy zabójstwo. A martwiłaś się, że wyciągają nas z biura, bo czyjaś babcia potknęła się o kota.

– Super, taniec szczęścia odłożę sobie na później – odburkuję. – Cooper powiedział coś jeszcze?

– Nie ma obrażeń, które wskazywałyby na obronę – wylicza Sophie. – Wszystkie części garderoby na miejscu, żadnych śladów niedawnego stosunku, brak spermy w wymazach, możecie więc skreślić tło seksualne.

– Chyba że facet próbował – rzuca Steve. – Powiedziała nie, więc uderzył ją pięścią, żeby była posłuszna. A kiedy się zorientował, co się stało, wystraszył się i dał nogę.

– Wszystko jedno. W każdym razie możecie skreślić dokonaną napaść na tle seksualnym, tak lepiej? – Sophie widzi Steve’a pierwszy raz. Nie zdecydowała jeszcze, czy go lubi.

– Usiłowanie też mi nie pasuje – mówię. – Wchodzi i od razu pakuje jej rękę pod spódnicę? Nie czeka nawet, aż napiją się wina, żeby miał większe szanse?

Steve wzrusza ramionami.

– Dobra. Może i nie. – Nie stroi fochów, czego można by się spodziewać po wielu detektywach, gdyby sprzeciwił im się partner, zwłaszcza w obecności kogoś o wyglądzie Sophie; mówi serio. Nie chodzi o to, że Steve nie ma wysokiego ego – wszyscy detektywi je mają – ale u niego nie wiąże się ze zgrywaniem ważnego samca. Wiąże się tylko z tym, żeby robić swoje i żeby ludzie go lubili, co często się przydaje, a ja zachłannie to obserwuję.

– Znalazł się jej telefon? – pytam.

– Tak. Tam, na stoliku. – Sophie pokazuje długopisem. – Zdjęliśmy odciski. Jak chcesz się nim pobawić, proszę bardzo.

Zanim pójdziemy obejrzeć resztę domu, kucam przy zwłokach i ostrożnie, jednym palcem, odgarniam włosy z twarzy kobiety. Steve przysuwa się do mnie.

Robi to każdy znany mi detektyw z zabójstw; uważnie przygląda się twarzy ofiary. Cywile tego nie rozumieją. Gdybyśmy chcieli mieć w głowie obraz ofiary, żeby nam przypominał, dla kogo pracujemy, o wiele lepsze byłoby jakieś selfie zrobione telefonem. Gdybyśmy potrzebowali dawki złości, żeby pobudzić krew w żyłach, lepszy od twarzy byłby widok ran. Mimo to, nawet kiedy zwłoki są w strasznym stanie, spędziły tydzień pod gołym niebem w upale albo długo leżały w wodzie i nie ma już prawie na co spojrzeć, zawsze spoglądamy na twarz. Nawet najgorsze bydlaki w wydziale, faceci, którzy ocenialiby biust stygnącego ciała w skali od jednego do dziesięciu, z szacunku popatrzyliby na twarz ofiary.

Kobieta jest przed trzydziestką. Była ładna, dopóki ktoś nie postanowił zmienić jej szczęki w krwawosiny guz; może nie olśniewająco piękna, ale całkiem ładna, zresztą ciężko nad tym pracowała. Ma tonę makijażu, nałożyła na siebie

wszystko, co się dało, ale zrobiła to świetnie; nos i podbródek wyglądałyby uroczo jak u małej dziewczynki, gdyby nie za bardzo sterczały z powodu długotrwałej lekkiej głodówki. Rozchylone usta, ukazujące drobne, wybielone zęby i zakrzepłą krew, są ładne, miękkie i pełne; dolna warga lekko opada, co teraz daje wrażenie bezmyślności, ale jeszcze wczoraj prawdopodobnie nadawało jej pociągający wygląd. Powieki, pociągnięte cieniami w trzech kolorach, nie do końca przysłaniają oczy utkwione w rogu sufitu.

– Gdzieś ją widziałam – mówię.

Steve gwałtownie unosi głowę.

– Tak? Gdzie?

– Nie wiem dokładnie. – Mam dobrą pamięć. Steve twierdzi, że fotograficzną; ja tak nie twierdzę, bo wyszłabym na półgłówka, ale poznaję ludzi, których już widziałam, a tę kobietę widziałam na pewno.

Wyglądała wtedy inaczej. Młodszej, ale może dlatego, że więcej ważyła – nie była gruba, po prostu bardziej krągła – i była dyskretniej umalowana: starannie nałożony podkład o ton ciemniejszy od cery, odrobina tuszu na rzęsach i to wszystko. Falujące ciemne włosy były splecione byle jak. Granatowy kostium ze spódnicą, trochę zbyt obcisły, wysokie obcasy, na których lekko się chwiała; oficjalny strój na jakąś specjalną okazję. Ale twarz, delikatnie zadarty nos i opadająca dolna warga były te same.

Stała w blasku słońca, wychylając się w moją stronę i unosząc ręce. Wysoki i drżący głos: *Ale proszę, naprawdę muszę...* I ja z obojętną miną, w zniecierpliwieniu podrygująca nogą i myśląca: *Żałosne.*

Czegoś ode mnie chciała. Pomocy, pieniędzy, podwiezienia, rady? Chciałam, żeby się odczepiła.

– W pracy? – dopytuje się dalej Steve.

– Możliwe. – Obojętna mina wymagała ode mnie silnej woli; gdybym nie była w pracy, poradziłabym jej, żeby spływała.

– Zaraz po powrocie do centrali sprawdzimy w systemie. Jeżeli przyszła zgłosić przypadek przemocy domowej...

– Nigdy nie pracowałam nad sprawami przemocy domowej. To musiałyby się zdarzyć w czasach, kiedy służyłam w patrolu. Poza tym nie... – Kręcę głową. W blasku latarek czołowych techników, przypominającym światła szperaczy, pokój staje się bezwymiarny i groźny, a my zmieniamy się w przycupnięte cele. – Niczego takiego nie pamiętam.

Gdyby była bita, nie korciłoby mnie, żeby się jej pozbyć. Niedomknięte oczy nadają jej twarzy wyraz przebiegłości; wygląda jak dziecko podglądające podczas zabawy w chowanego.

Steve podnosi się, dając mi tyle czasu, ile będę potrzebowała. Zerka na Sophie, pytając unosi brwi i pokazuje prostokąt światła padający zza drzwi

kuchni.

– Mogę...

– Nie krępuj się. Zrobiliśmy zapis wideo, ale nie szukaliśmy jeszcze odcisków palców, więc niczego nie poleruj.

Steve ostrożnie omija techników i kieruje się w stronę kuchni. Drzwi są tak niskie, że w progu musi się pochylić.

– No i jak? – pyta Sophie, ruchem głowy wskazując drzwi, za którymi zniknął.

– W porządku. Z nim akurat mam najmniejszy problem. – Z powrotem zasłaniam włosami twarz ofiary i wstaję. Potrzebuję ruchu; gdybym pomaszerowała gdzieś daleko szybkim krokiem, mogłabym odnaleźć i dogonić to wspomnienie. Jeżeli zacznę chodzić w kółko po miejscu zdarzenia, Sophie wywali mnie za drzwi, mając gdzieś to, że prowadzę tę sprawę.

– Brzmi, jakby współpraca układała się wam obłędnie – stwierdza Sophie. – Dobra, zobaczyłaś już dom w takim stanie, w jakim go zastaliśmy, więc możemy zapalić światła i przestać pieprzyć się z robotą po ciemku?

– Jasne. – Jeden z techników włącza górne światło, w którym pokój wygląda jeszcze bardziej przygnębiająco: czołówki nadawały mu przynajmniej jakiś charakter, chociaż koszmarny, ale zawsze. Ostrożnie omijam żółte tabliczki z numerami, którymi zostały oznaczone dowody, i wchodzę do sypialni.

Jest mała i nieskazitelnie wysprzątana. Na toaletce – rzeźbionym biało-złotym cacku, osłoniętym falbankami, jakie mogłaby sobie wybrać ośmiolatka do swojego pokoiku księżniczki – nie ma żadnych kosmetyków do makijażu, stoi tylko świeczka zapachowa i dwa flakoniki perfum, najwyraźniej dla ozdoby, nie do użytku. Na łóżku nie walają się części garderoby, które kobieta przymierzyła i rzuciła; kołdra w stokrotki jest równo i symetrycznie ułożona, na niej starannie rozmieszczono cztery ozdobne poduszki, których przeznaczenia nigdy nie zrozumiem. Kiedy Aislinn wystroiła się i wymalowała, dokładnie posprzątała pokój: ukryła wszystkie ślady, aby Kochaś, nie daj Bóg, nie pomyślał sobie przypadkiem, że jej wygląd prosto z katalogu nie jest naturalny. Wprawdzie nie dotarł do sypialni, ale wyraźnie się go spodziewała.

Zaglądam do wbudowanej w ścianę szafy. Mnóstwo ubrań, przede wszystkim kostiumów ze spódnicą i wyjściowych sukienek, wszystkie w kontrastowych, choć nie jaskrawych kolorach, z jakimś połyskliwym detalem, w stylu, który lansuje się w telewizjach śniadaniowych razem z dietą opartą na grupie krwi i metodami odmładzania skóry. Rzucam okiem na stylowy biało-złoty regał: masa romansów, masa starych książek dla dzieci, masa okropnych bzdetów, których autorzy objaśniają sens życia, opowiadając historię dzieciaka ze slamsów uczącego się latać, parę książek o zbrodniach w Irlandii: zaginięciach, gangsterach i – o ironio – morderstwach; coś z gatunku urban fantasy, chyba nawet niezłego.

Przeładam książki; w bzdetach o zagadkach sensu życia i reportażach kryminalnych jest pełno podkreśleń, ale nie zauważam żadnej notatki z nazwiskiem sprawcy. Zaglądam do nocnej szafki: pudełko chusteczek ozdobione wzorkiem w stokrotki, laptop, ładowarki; nienapoczęte opakowanie z sześcioma prezerwatywami. Zerkam do kosza na śmieci: nic. Zerkam pod łóżko: ani odrobiny kurzu.

Dom ofiary to miejsce, gdzie próbujesz się zorientować, kim była osoba, której nigdy nie poznasz. Nawet wobec przyjaciół ludzie filtrują i pudrują rzeczywistość, którą ci filtrują potem jeszcze raz: nie chcą źle mówić o zmarłych albo rozklejają się, wzruszeni losem biednego kumpla, albo nie chcą, żebyś źle zrozumiał jakieś jego drobne dziwactwo. Ale za drzwiami domu wszystkie te filtry przestają działać. Wchodzisz do domu i szukasz tego, co nie jest na pokaz: co zostało uprzątnięte przed czyjąś wizytą, co dziwnie zalatuje i tkwi wciśnięte pod poduszki na kanapie. Niedoskonałości, których ofiara nigdy nie chciała nikomu pokazywać.

Ten dom nie zdradza niczego. Aislinn Murray jest obrazkiem z pisma ilustrowanego. Wszystko jest pod takim nadzorem, jak gdyby się spodziewała, że wpadną tu z ukrytą kamerą i wrzucą jej całe prywatne życie do internetu.

Miała paranoję? Obsesję na punkcie kontroli? Naprawdę była tak niewyobrażalnie nudna?

Bardzo panią proszę, nie rozumie pani, jak...

Tamta chwila ujawniła o niej więcej i odmalowała ją w żywszych barwach niż wszystkie drobiazgi w jej domu. Nie mogłam wtedy wiedzieć, nie miała przecież na szyi tabliczki z napisem ZOSTANĘ ZAMORDOWANA, mimo to ten jeden raz spojrzałam w oczy żywej ofierze zabójstwa i ją zlekceważyłam.

Gdy technicy skończą, przeprowadzimy gruntowne przeszukanie, które może przynieść coś więcej, ale wygląda na to, że osobowość Aislinn – jeżeli w ogóle jakąś ma – zupełnie się nie liczy. Jeśli uda się nam zidentyfikować Kochasia i zebrać twarde dowody jego winy, w ogóle nie będziemy musieli przejmować się tym, kim była Aislinn. Mimo to irytuję się, słysząc zamiast ciszy tamten wysoki głos małej dziewczynki.

– Masz coś? – Steve staje w drzwiach.

– Gówno. Gdyby tam nie leżała, można by pomyśleć, że w ogóle nie istniała.

A w kuchni?

– Parę ciekawostek. Chodź, zobacz.

– Dzięki Bogu – mówię, idąc za nim. Spodziewam się zobaczyć kuchnię w chromie i sztucznym granicie, tańszą wersję modnego stylu Celtyckiego Tygrysa; widzę jednak zbyt ozdobnie rzeźbione drewno sosnowe, ceratę w różową kratkę, na ścianach reprodukcje z kurczakami w fartuszkach w różową kratkę. Im więcej dowiaduję się o tej kobiecie, tym mniej się orientuję, kim była. Okno z tyłu

wychodzi na takie samo otoczone murami patio jak u mnie, tyle że Aislinn postawiła u siebie rzeźbioną drewnianą ławeczkę, aby na niej siadać i cieszyć oczy widokiem ściany. Naciskam kłamkę tylnego wyjścia – zamknięte na klucz.

– Pierwsza rzecz – mówi Steve. Otwiera piekarnik, ostrożnie wsuwając palec w rękawicze w szparę uchylonych drzwiczek, żeby nie dotykać uchwyty.

Dwie brytfanki z jedzeniem, które wyschło na twarde brązowe skorupki: coś, co wygląda jak ziemniaki, i coś w cieście. Steve pociąga w dół półotwarte drzwiczki grilla: dwie poczerniałe bryłki, które pierwotnie mogły być faszerowanymi grzybami albo krowimi plackami.

– No i?

– No i wszystko uprażyło się na wiór, ale wcale się nie spaliło. Pokręta są ustawione na grzanie, ale kuchenka została odłączona przy gniazdku. Patrz.

Na blacie talerz warzyw – zielonej fasolki i groszku. Na jednym z palników garnek napełniony do połowy wodą. Pokręta jest nastawione na dużą moc.

– Soph! – wołam. – Ktoś wyłączał kuchenkę? Twój ludzie albo patrol?

– Nie! – krzyczy w odpowiedzi Sophie. – Uprzedziłam patrol: jeżeli czegoś dotykaliście, od razu mi powiedzcie. Chyba napędziłam im porządnego stracha. Gdyby majstrowali przy kuchence, pewnie by się przyznali.

– No i co? – zwracam się do Steve’a. – Może Kochaś się spóźnił i Aislinn wyłączyła kuchenkę.

Steve kręci głową.

– Grill może tak. Ale wyłączyłabyś kuchenkę czy zmniejszyła moc, gdybyś chciała, żeby jedzenie było ciepłe? I pozwoliłabyś, żeby woda na warzywa zupełnie wystygła, czy zostawiłabyś ją na ogniu, żeby wrzała?

– Nie gotuję. Używam mikrofalówki.

– A ja gotuję. Nie wyłączasz wszystkiego, zwłaszcza jeżeli chłopak się spóźnia. Woda powinna perkotać, żebyś od razu mogła wrzucić warzywa, gdy tylko facet wejdzie.

– Czyli kuchenkę wyłączył nasz chłopak – mówię.

– Chyba tak. Nie chciał, żeby włączył się alarm przeciwpożarowy.

– Soph, możesz zdjąć odciski z wyłącznika kuchenki na ścianie?

– Nie ma sprawy.

– Sprawdzalaś, czy nie ma tu śladów stóp?

– Nie, najpierw wpuściłam was, żeby uatrakcyjnić sobie życie! – woła Sophie. – Od razu sprawdziliśmy ślady na podłodze. Wczoraj wieczorem co chwilę padało, więc każdy, kto by tu wszedł, musiałby mieć mokre buty, ale wszystkie ślady dawno wyschły... gorąco tu... i nie został po nich żaden porządny osad. W kuchni i w pokoju mamy parę drobin zaschniętego błota, ale mogli je nanieść mundurowi, poza tym i tak było za mało, żeby odtworzyć ślady, które dałoby się zidentyfikować.

Zmienia się moje wyobrażenie o Kochasiu. Miałam go za mazgajowatego cymbała, który walnął za mocno i cios przyniósł fatalny skutek, a teraz gość pewnie siedzi w swoim mieszkaniu, robi w spodnie ze strachu i czeka na nas, żeby się przyznać do wszystkiego i wyjaśnić, że to była wyłącznie jej wina. Ale taki facet byłby w połowie drogi do domu, zanim jeszcze ciało Aislinn runęło na podłogę. Nie potrafiłby się spokojnie zastanowić i pomyśleć nad strategią.

– Gość jest opanowany – mówię.

– Fakt – przytakuje Steve. Jego głos przechodzi w wyższe tony, jak w chwili, gdy dobiega cię zapach dobrego jedzenia i nagle czujesz głód. – Właśnie znokautował swoją dziewczynę. Pewnie nawet nie wie, czy ona żyje, czy nie, ale ma na tyle zimnej krwi, żeby pomyśleć o czujnikach dymu i jedzeniu w piekarniku. Jeżeli jest debiutantem, to ma wrodzony talent.

Czujnik dymu jest tuż nad nami.

– Ale dlaczego nie zostawił włączonej kuchenki, żeby włączył się alarm? – pytam. – Jeżeli dom spłonie, spali się sporo dowodów. Przy odrobinie szczęścia ciało może zostać tak uszkodzone, że nie będzie nawet można stwierdzić zabójstwa.

– Może w grę wchodzi jego alibi. Gdyby włączył się alarm, ktoś pojawiłby się tu o wiele wcześniej. Mógł pomyśleć, że im później znajdziemy ciało, tym trudniej będzie nam precyzyjnie ustalić czas śmierci, a z jakiegoś powodu nie chce, żebyśmy go ustalili.

– W takim razie dlaczego sam to zgłosił dzisiaj rano? Mogłaby tu leżeć przez cały dzień albo i dłużej, zanim ktoś by zaczął jej szukać. Wtedy o dokładnym czasie śmierci moglibyśmy zapomnieć. Mielibyśmy szczęście, gdyby się udało ustalić przedział dwunastu godzin.

Steve rytmicznym ruchem pociera sobie potylicę, mierzwiąc rude włosy.

– Może spanikował.

Wydaję pomruk powątpiewania. Kochaś zmienia się jak hologram: raz żaloszny mięczak, raz wyrachowany gracz, po chwili znowu mięczak.

– Zaraz po na chłodno analizuje sytuację, a parę godzin później ma cykora? Do tego stopnia, że postanawia nas zawiadomić?

– Ludzie to wariaci. – Steve wyciąga rękę i czubkiem długopisu wciska przycisk kontrolny czujnika dymu. Rozlega się sygnał: działa. – Albo to nie on dzwonił.

Zastanawiam się, czy to prawdopodobne.

– Ucieka do kogoś: kumpla, brata, może ojca – mówię. – Opowiada mu, co się stało. Kumpel ma sumienie: nie chce zostawiać Aislinn samej, skoro być może jeszcze żyje i lekarze mogliby ją uratować. Korzysta z pierwszej dogodnej chwili i dzwoni na policję.

– Jeżeli tak, to potrzebny nam ten kumpel.

– Aha. – Wyjmuję już z kieszeni notes: „KZ podejrzanego na cito”. Gdy tylko zidentyfikujemy Kochasia, będzie nam potrzebna lista jego krewnych i znajomych. Kumpel z sumieniem to coś, co detektywi lubią najbardziej.

– Druga rzecz – ciągnie Steve. – Nie wrzuciła warzyw do wody, nie naląła wina. Jak mówiliśmy, musiał dopiero co wejść.

Chowam notes do kieszeni i zaczynam się rozglądać po kuchni. Szafka pełna ceramiki w ładne różowe kwiatki, lodówka pusta, jeżeli nie liczyć jogurtu light, krojonej marchewki i podwójnego opakowania tarty z owocami z Marksa & Spencera na deser. Niektórzy trzymają większą część swojej osobowości w kuchni, ale nie Aislinn.

– Dobra. Co z tego?

– No więc, kiedy zdążyli się pokłócić? To nie małżeństwo, które się czubi od lat, on zapomina o mleku i zaraz wybucha potężna awantura. Ci dwoje ciągle są w fazie randek i eleganckich kolacyjek, każde wzorowo się zachowuje. O co mogliby się posprzeczać zaraz po jego wejściu?

– Myślisz, że to nie była kłótnia? Że od początku miał taki plan? – Otwieram pojemnik na śmieci: opakowanie po gotowych daniach z Marksa & Spencera i pusty karton po jogurcie. – Nie. To by pasowało tylko pod warunkiem, że jest zimnym sadystą, wybiera ofiarę i zabija dla własnej frajdy. A taki gość nie kończy na jednym uderzeniu.

– Nie twierdzą, że przyszedł ją zabić. Niekoniecznie. Chcę tylko powiedzieć... – Steve wzrusza ramionami i przymruża oczy, patrząc na stojącego na parapecie porcelanowego kota z kokardą w różową kratkę, który wbija w nas schizofreniczny wzrok. – Chcę powiedzieć, że to dziwne.

– To by było zbyt piękne. – Mała różowa karteczka przyklejona do szafki: *Pralnia, papier toaletowy, sałata*. – Kłótnia mogła się zacząć, zanim przyszedł. Gdzie ten telefon?

Przynoszę do kuchni komórkę Aislinn, zabierając ją przed oczu techników. Steve przysuwa się, żeby czytać mi przez ramię, a to jeszcze jedna rzecz, która wkurza mnie w przypadku większości ludzi. Steve'owi udaje się nie dyszeć mi prosto w ucho.

To smartfon, ale ekran daje się odblokować jednym pociągnięciem palca, nie jest zabezpieczony żadnym kodem. Aislinn ma dwie nieprzeczytane wiadomości, ale najpierw otwieram listę kontaktów. Nie ma mamy ani taty w żadnej wersji, ale jest kontakt alarmowy: Lucy Riordan i numer komórkowy. Zapisuję go w notesie na potem – Lucy ma szczęście, dokona oficjalnej identyfikacji. Następnie przechodzę do folderu wiadomości i zaczynam odtwarzać historię zaproszenia gościa na kolację.

Kochaś nazywa się Rory Fallon i miał przyjść wczoraj wieczorem o ósmej. Pierwszy raz pojawia się w telefonie Aislinn siedem tygodni temu, w drugim

tygodniu grudnia. *Fajnie było cię poznać – mam nadzieję, że miałaś wspaniały wieczór. Miałabyś czas na drinka w piątek?*

Aislinn nie zamierzała ułatwiać mu życia. *W piątek jestem zajęta, może udałoby się w czwartek*, a gdy kilka godzin później odpowiedział: *Oj, właśnie na czwartek coś zaplanowałem!*, kazała mu się nieźle nagimnastykować, wynajdując kolejne dni, godziny i miejsca, aż wreszcie uznała, że dość się napocił, i umówili się na drinka w mieście. Następnego dnia zadzwonił do niej, ale odebrała dopiero za trzecim razem. Błagał ją, żeby łaskawie dała się zaprosić na kolację do drogiej restauracji – tu też go zwodziła, odwołała spotkanie umówionego dnia rano – *(Bardzo przepraszam, coś mi wypadło akurat dzisiaj wieczorem!)* – i zmusiła go do przełożenia terminu. Gdzieś w tym domu znajdziemy pewnie *Sekretny poradnik, jak zdobyć odpowiedniego mężczyznę*.

Nie znoszę kobiet, które prowadzą gierki, ani facetów, którzy pozwalają się rozgrywać. Taka ściema jest dobra dla nastolatków, nie dla dorosłych. A kiedy coś się schrzani, chrzani się na całego. Przez kilka pierwszych gierek masz ubaw, gdy facet zziajany ugania się za tobą jak szczeniak za swoim gryzakiem. Posuniesz się o jedną grę za daleko, i masz dom pełen detektywów z zabójstw.

Między gierkami Aislinn mieści się reszta jej pasjonującego życia: przypomnienie o wizycie u dentysty; kilka SMS-ów wymienionych z Lucy Riordan na temat *Gry o tron*; wiadomość nagrana na poczcie głosowej przed tygodniem – chyba od kogoś z pracy, kto w panice informował ją, że włamano się na jego konto mailowe, i pytał, czy Aislinn wie, jak zresetować hasło. Nic dziwnego, że wyjściu do restauracji musiała nadać wymiar wielkiego wydarzenia.

Zaproszenie na kolację do domu musiało paść w trakcie rozmowy osobistej albo telefonicznej – w spisie połączeń Rory pojawia się wiele razy, Aislinn czasem odbierała, czasem nie, lecz nigdy nie dzwoniła do niego sama – ale potwierdził je SMS-em w środę wieczorem: *Cześć, Aislinn, chcę się tylko upewnić, czy jesteśmy umówieni na 8 w sobotę. Jakie wino mam przynieść?*

Z odpowiedzią zwlekała aż do następnego dnia. *Tak, 8 w sobotę! Niczego nie przynos, ty sam wystarczysz :-).*

– Gdyby przyszedł bez tuzina czerwonych róż, miałby przesrane – mówię.

– Może o tym nie wiedział – odpowiada Steve. – Nigdzie nie widać kwiatów.

Oboje widzieliśmy zabójstwa popełnione z głupszych powodów.

– To by wyjaśniało, dlaczego wszystko rozegrało się tak szybko. Rory wchodzi, ona widzi, że nic nie przyniósł...

Steve kręci głową.

– I co? Sądząc po tym wszystkim, chyba nie należy do tych, które wyrzucają faceta z domu i każą mu wrócić z bukietem. Użyłaby biernej agresji, potraktowała go ozięble, żeby świrował, próbując się domyślić, co zrobił nie tak.

Steve tak miło przyjmuje sprzeciw, że wydaje mi się, że powinnam mu

dorównać – na tym właśnie polega problem.

– Może i racja. Nic dziwnego, że ściągnęła na siebie śmierć. – Czasem martwię się, że jeżeli za długo popracuję ze Steve’em, będę do rany przyłoż.

Ze swoją kumpelką, Lucy, Aislinn nie udawała nieprzystępnej. Wczoraj wieczorem o 18.49:

OMG, tak się kretyńsko cieszę!!! Szykuję się i śpiewam do korkociągu jak nastolatka do szczotki do włosów. Żałosne, co nie?

Odpowiedź od Lucy nadeszła natychmiast.

To zależy, co śpiewasz

Beyoncé

Mogło być gorzej... tylko mi nie mów że „Put a Ring on It”

Nieeee!!! „Run the World!”

No to masz szczęście. Tylko nie nakarm go selerem i chrupkim pieczywem. Lepiej, żeby nie zemdlął z głodu, jak będziesz z nim chciała pogrześcić

Ha, ha, bardzo śmieszne. Robię wołowinę w cieście

No proszę!! Gordon Ramsay

Co ty! Tylko Marks & Spencer

A mam cię. Baw się dobrze. I bądź ostrożna, okay?

Nic się nie martw!! Jutro ci wszystko opowiem xxx

Ta wiadomość została wysłana o 19.13. Zanim rozległ się dzwonek u drzwi, Aislinn miała jeszcze czas nałożyć ostatnią warstwę makijażu, spryskać włosy ostatnią warstwą lakieru, włożyć kolację z Marksa & Spencera do piekarnika, zmienić Beyoncé na nastrojową muzykę i zapalić świecę zapachową.

– „Bądź ostrożna” – powtarza Steve.

Kiedy pogadamy z Lucy, wyjaśni, dlaczego się martwiła: opowie, jak Rory w pubie zaczął się agresywnie zachowywać, kiedy zdawało mu się, że Aislinn patrzy na innego faceta, albo jak zabronił jej zdjąć płaszcz w restauracji, bo sukienka miała za głęboki dekolt, albo że kiedyś chodził z koleżanką jej koleżanki i podobno ją tłukł, ale Aislinn twierdziła, że te historie to gruba przesada, że jest cudownym facetem i potrzebuje tylko kogoś, kto go będzie właściwie traktował.

– Zawsze to samo – mówię. – Kiedy następnym razem mama mnie zapyta, dlaczego ciągle jestem sama, opowiem jej o tej sprawie. Albo ostatniej. Albo przedostatniej.

Zwykła sprzeczka kochanków, sprawa prosta jak drut, tak jak przypuszczał patrol. Dostaliśmy jak na tacy Rory’ego, który w dodatku sam wepchnął sobie jabłko do ust. Jeszcze w biurze domyślałam się, że tak będzie, ale gdzieś we mnie tkwi tępak, który czuje się, jakby dostał w twarz.

Domowe burdy są na ogół proste jak drut; problem nie w tym, czy uda ci się aresztować sprawcę – albo sprawczynię – ale w tym, czy uda ci się zebrać dowody

winy, które utrzymają się w sądzie. Wiele osób uwielbia takie sprawy – podnoszą wskaźnik wykrywalności, co podoba się szefostwu – ale nie ja. Domowe burdy dają zero szacunku w wydziale – choć właśnie tam by się przydał – bo wszyscy wiedzą, że łatwo je wyjaśnić. A to z kolei drugi powód, dla którego mnie wkurzają: sprawy tego rodzaju mają swój własny poziom głupoty, poniżej dna idiotyzmu. Kiedy wyprawiasz na tamten świat żonę, męża czy partnera na jeden numer, to czego się spodziewasz? Że rozdziawimy gęby i drapiąc się po głowach, będziemy się zastanawiać nad niepojętą zagadką: „Hm, bo ja wiem, to pewnie robota mafii”? Zdziwisz się: od razu przyjdziemy po ciebie, zbierzemy górę dowodów sięgającą wyżej niż czubek twojej głowy i wylądujesz w pudle z dożywociem. Jeżeli chcesz kogoś zabić, odrobinę szanuj mój czas i wybierz sobie wszystko jedno kogo, ale nie osobę, przy której wszystkie znaki na niebie i ziemi będą wskazywały na ciebie.

W telefonie jest jednak coś, co nie pasuje do bezdennej głupoty spraw tego typu. Po wymianie rozszczebiotanych wiadomości z Lucy na niemal godzinę zapadła cisza. Dopiero o 20.09 przyszedł SMS od Rory’ego: *Cześć Aislinn. Chcę się tylko upewnić czy trafiłem pod dobry adres. Stoję przed Viking Gardens 26 ale nikt mi nie otwiera. Jestem we właściwym miejscu?*

Wiadomość była oznaczona jako nieprzeczytana.

Steve pokazuje palcem godzinę wysłania.

– Czyli jednak się spóźnił. Nie miała powodu wyłączać kuchenki.

– Mhm.

O 20.15 Rory zadzwonił do Aislinn. Nie odebrała.

Zadzwonił jeszcze raz o 20.25. O 20.32 napisał: *Hej Aislinn. Nie wiem, pomyliły mi się tygodnie? Myślałem że miałem dzisiaj przyjść na kolację ale wygląda na to że cię nie ma. Dasz mi znać o co chodzi jak będziesz miała czas?* Ta wiadomość też nie została przeczytana.

– Tak, jasne – mówię. – Dobrze wie, że nie pomyliły mu się tygodnie. Gdyby chciał się upewnić, mógł to sobie sprawdzić w wiadomościach w telefonie.

– Coś nie wyszło, a on stara się to przedstawić tak, jakby to była tylko jego wina – zauważa Steve. – Nie chce wkurzyć Aislinn.

– Albo wie, że będziemy to czytać, i chce dać nam jasno i wyraźnie do zrozumienia, że jest miłym, łagodnym jak baranek gościem, który nigdy w życiu nie uderzyłby pięścią w twarz swojej dziewczyny, nawet gdyby był w domu, a przecież wszystko wskazuje na to, że go tu nie było. Jak Boga kocham, panie komisarzu, wystarczy zajrzeć do telefonu... Czytał pan te wszystkie wiadomości?

Wielu sprawców domowych burd próbuje się wycwanić w ten sposób: patrzą na to, co zrobili, i zaczynają dorabiać historię. Czasami to nawet działa – nie na nas, ale na przysięgłych. Rory Fallon wykombinował to sobie całkiem nieźle: wysłał wiadomości, żeby pokazać, że naprawdę próbował się skontaktować z Aislinn, ale po SMS-ie z 20.32 zamilkł, żeby nie posądzono go o jej nękanie. To

też nie był przejaw bezdennej głupoty.

– Tak czy owak, to nam zawęży czas śmierci – mówi Steve. – Napisała do Lucy o wpół do ósmej. Dziesięć po ósmej już nie żyła.

– Tak czy owak? – Unoszę wzrok znad telefonu. – Co, myślisz, że to mogą być prawdziwe wiadomości?

Steve wykonuje brodą niezdecydowany gest.

– Pewnie nie.

– Daj spokój. Ktoś tu wszedł, żeby ją zabić, akurat wtedy, gdy Rory miał wpaść na wołowinę w cieście? Mówisz serio?

– Powiedziałem, że pewnie nie. Tylko... mamy tu parę dziwnych rzeczy. Staram się nie wykluczać żadnych możliwości.

Jezu. Poczciwy Steve próbuje z całych sił przekonać nas oboje, że trafiło się nam coś wyjątkowego, żeby radość zagościła w naszych sercach i wygładziła zmarszczki na moim czole, żebym przestała mówić o firmie ochroniarskiej swojego kumpla i żebyśmy żyli długo i szczęśliwie. Nie mogę się doczekać, aż ta sprawa się skończy.

– Chodźmy zgarnąć Rory'ego Fallona, to się dowiemy – proponuję. Jeżeli będziemy mieli szczęście i potwierdzi się wersja o tym, że Rory jest żalony mięczakiem, może przyzna się do wszystkiego tak szybko, że zanim położę się spać, zdążę jeszcze pobiegać i wrzucić coś na ząb.

Steve spogląda na mnie z uwagą.

– Chcesz iść prosto po niego?

– Aha. Czemu nie?

– Myślałem, że najpierw pogadamy z najlepszą przyjaciółką ofiary, z tą Lucy. Jeżeli coś wie, dobrze byłoby poznać szczegóły, zanim zabierzemy się za Rory'ego. Żeby go zaatakować całą siłą ognia, którą da się zebrać.

Byłoby to świetne rozwiązanie, gdybyśmy mieli do czynienia z prawdziwą sprawą zabójstwa, w której przebiegli psychopaci czają się w mroku, prowokując nas, żebyśmy dali z siebie wszystko, a nie z dziełem jakiegoś cymbała, który, rozdrażniony z jakiegoś błahego powodu, wściekł się na swoją dziewczynę i dał nam pełne prawo, żebyśmy szli na skróty. Ale Steve patrzy na mnie pełnym nadziei wzrokiem szczeniaczka i myślę sobie: co mi tam, niedługo i on pozna, co to jest wypalenie, nie ma sensu wciągać go w to, co sama czuję.

– No dobra – mówię. Zamykam telefon Aislinn i wrzucam z powrotem do torebki na dowody. – Chodźmy pogadać z Lucy Riordan.

Steve zatrzaskuje drzwiczki piekarnika. Podmuch powietrza uderza w nozdrza zapachem przypalonego mięsa, które zaczyna się rozkładać.

* * *

Sophie kuca przy kominku, zbierając próbki krwi.

– Na razie damy ci spokój – informuję ją. – Gdybyś znalazła coś, o czym powinniśmy wiedzieć, przekreśl do nas.

– Zrobi się. Na razie żadnych niespodzianek. Ofiara bardzo starannie wysprzątała dom przed tą kolacyjką, prawie wszystkie blaty i półki są wytarte do czysta. I bardzo dobrze: jeżeli sprawca zostawił odciski palców, będziemy mogli udowodnić, że są tu od niedawna. Ale na razie gówna znaleźliśmy. Chyba masz rację, że nie zdejmował rękawiczek. Trzymajcie za nas kciuki.

– Aha. Chcę ci tylko powiedzieć, że lada moment pojawi się tutaj Don Breslin – informuję ją.

– Och, wspaniale. Cała drzę z emocji. – Sophie wkłada pałeczkę z zebraną krwią do probówki. – Do czego wam tu potrzebny?

– Szef uważa, że powinniśmy skorzystać z pomocy kogoś, kto lepiej sobie radzi ze świadkami. – Słyszac to, Sophie unosi głowę, żeby na mnie spojrzeć. Wzruszam ramionami. – Czy coś w tym guście, sama zresztą nie wiem. W każdym razie Breslin dołącza do nas przy tej sprawie.

– Coś takiego! – Sophie zamyka probówkę i zaczyna wypełniać metryczkę.

– Jest tylko naszym wsparciem – uściślam. – Ze wszystkim, co znajdziesz, zwracasz się bezpośrednio do mnie albo do Morana. Jeżeli nie będziesz się mogła z nami skontaktować, próbuj, dopóki ci się nie uda. Dobra?

Zamknięcie sprawy zabójstwa Rumunki zajęło mnie i Steve'owi tyle czasu między innymi z tego powodu, o którym zresztą nie zamierzamy mówić O'Kelly'emu, że gdy świadek w końcu zebrał się na odwagę i zadzwonił do nas, nie dowiedzieliśmy się o jego telefonie. Drugi raz próbował się z nami skontaktować dwa tygodnie później... punkt dla niego, bo wiele osób dałoby sobie spokój... i udało mu się mnie złapać. Powiedział mi, że za pierwszym razem połączono go z jakimś człowiekiem mówiącym z irlandzkim akcentem, co ograniczało listę podejrzanych do całego wydziału oprócz mnie. I ten człowiek obiecał mi, że przekaże wiadomość. Nie sądzę, żeby to był Breslin, choć nie byłabym gotowa założyć się o swoją sprawę, że to na pewno nie był on.

– Nie ma sprawy. – Sophie spogląda na swoich techników. – Conway, Moran i nikt inny. Wszyscy zrozumieli?

Technicy kiwają głowami. Nic ich nie obchodzi detektywi i problemy naszych wzajemnych relacji – większość uważa nas za primadonny, które dla odmiany powinny się wziąć do porządnej roboty – ale są do bólu lojalni wobec Sophie. Breslin nic z nich nie wyciągnie.

– To samo dotyczy jej telefonu i laptopa – dodaję. – Kiedy wejdą na jej mail, konto na Facebooku, wszystko jedno, każda informacja ma trafić prosto do nas.

– Jasne. Mamy komputerowca, który naprawdę słucha, kiedy się do niego mówi. Postaram się, żeby on się tym zajął. – Sophie wrzuca probówkę do torebki na dowody. – Będziecie informowani na bieżąco.

Przed wyjściem ostatni raz patrzę na Aislinn. Sophie odgarnęła jej włosy, żeby pobrać wymaz, licząc na to, że znajdzie ślad DNA po uderzeniu. Śmierć odciska już piętno na jej twarzy, rozchyła wargi, ukazując zęby, żłobi jamy pod oczami. Mimo to na jej widok wraca tamto wspomnienie i pulsuje w pamięci. *Proszę, chcę tylko... bardzo proszę* – a ja, ledwie skrywając satysfakcję: *Przykro mi, nie mogę pani w tym pomóc.*

- Wkurzyła mnie – mówię. – Kiedy ją dawno temu spotkałam.
 - Coś zrobiła? – pyta Steve. – Coś powiedziała?
 - Coś... nie pamiętam.
 - Albo nic. Niewiele trzeba, żeby cię wkurzyć, kiedy jesteś w nastroju.
 - Odwal się.
 - On mi się podoba – wyznaje mi Sophie. – Możesz go sobie zatrzymać.
- * * *

Połowę uwagi zaprzęta mi miejsce, w którym kiedyś widziałam ofiarę. Mam opuszczoną gardę.

Daję nura pod taśmą i nagle dyktafon omal nie wybija mi oka, a tuż przede mną wybucha jazgot, jakby rzucił się na mnie pies obronny. Odruchowo odskakuję, unoszę zaciśnięte w pięści dłonie i słyszę klekot sztucznych trzasków migawki aparatu w telefonie.

– Detektyw Conway, czy ma pani podejrzanego? Czy to zbrodnia popełniona przez seryjnego zabójcę, czy ofiara została zgwałcona...

Dziennikarze przeważnie nie są tacy źli. Wszyscy mamy szczególne relacje z niektórymi z nich – dajesz swojemu człowiekowi cynk, on ujawnia to, co chcesz ujawnić, i przekazuje ci to, co powinieneś wiedzieć – ale nawet z resztą układa się całkiem nieźle. Każdy z nas wie, gdzie leży granica, nikt jej nie przekracza, wszyscy są zadowoleni. Wyjątek stanowi Louis Crowley. Ten wypierdek pracuje w szmatławym tabloidzie „Courier”, specjalizującym się w publikowaniu zbyt szczegółowych tekstów o sprawach gwałtów dla czytelników, którzy, by przeżyć szok i niedowierzanie, potrzebują silniejszych podniet, niż może im zaoferować normalna prasa. Crowley wygląda jak skrzyżowanie poety ze zbrojcem – obwisłe koszule i oprószony łupieżem płaszcz przeciwdeszczowy, kitka ciemnych tłustych włosów pod rozległą łysiną – a jego twarz permanentnie wyraża Święte Oburzenie. Wolałabym umyć zęby piłą łańcuchową, niż dać cynk Crowleyowi.

– Czy zabójca nękał ofiarę? Czy mieszkające w okolicy kobiety powinny zachować ostrożność? Nasi czytelnicy mają prawo wiedzieć...

Wcisła mi dyktafon w twarz, pstrykając zdjęcia telefonem trzymanym w drugiej ręce; czuję zalatujący paczulą paskudny zapach jego brylantyny – Crowley sięga mi mniej więcej do nosa. Udaje mi się powstrzymać, żeby nie walnąć tego kurdupla w pysk, kiedy go mijam; nie będę sobie zawracać głowy

pierdołami. Słyszę za sobą radosny głos Steve'a:

– Nie potwierdzamy, nie zaprzeczamy, nie potwierdzamy, że zaprzeczamy i nie zaprzeczamy, że potwierdzamy.

Znów rozbiega się gromadka dzieciaków, które otwierają w zdumieniu usta. Firanki w oknach falują. Po przegrzonym domu chłód na dworze jest wyjątkowo przenikliwy. Crowley cofa dłoń z dyktafonem w ostatniej chwili, zanim zdążyłam go zmiażdżyć drzwiami samochodu. Wycofuję wóz, w ogóle nie patrząc za siebie.

– Co za dupek – mówi Steve, otrzepując rękawy, jak gdyby Crowley obsypał go łupieżem. – Szybko się zjawił. Żeby zdążyć do popołudniowego wydania.

– „Policja nie chce zaprzeczyć plotkom o stalkingu”. „Policja bezradna wobec domniemanego seryjnego mordercy”. „Policja: nie potwierdzamy i nie zaprzeczamy, czy ktoś terroryzuje kobiety w okolicy”. – Nie wiem nawet, dokąd jedziemy, nie mamy adresu Lucy Riordan, ale pędzę, jakbyśmy kogoś ścigali. – „Policja płacze się w zeznaniach, dlaczego dała w ryj dziennikarzowi”.

W ciągu kilku ostatnich miesięcy, kiedy prowadziłam jakąś sprawę, Crowley za często i za szybko pojawiał się na miejscu zdarzenia. Mieliśmy już ze sobą na pieńku – w zeszłym roku próbował wymusić jakąś wypowiedź na nastolatce, która widziała, jak jej ojciec, diler narkotyków, dostał dwie kule w tył głowy. Zapowiedziałam Crowleyowi, że jeśli się nie odpiardoli, aresztuję go za utrudnianie śledztwa, więc wycofał się ostentacyjnie, mamrocząc coś o brutalności policji, wolności prasy i Nelsonie Mandeli – co wcale nie oznacza, że jestem w mniejszości: połowa gliniarzy w taki czy inny sposób kazała Crowleyowi się odpiardolić. Nie ma żadnego powodu, żeby mścił się akurat na mnie, zwłaszcza po tak długim czasie. A nawet jeżeli jego ptasi mózdzek postanowił zafiksować się na mnie, to nie wyjaśnia, w jaki sposób dowiaduje się o moich sprawach w tym samym momencie co ja.

Dziennikarze najwyraźniej mają swoje sposoby, o których nam nie mówią. Crowley prawdopodobnie ma skaner, który w godzinach pracy nastawia na częstotliwości używane przez policję, a w czasie wolnym korzysta z niego, by szukać par uprawiających seks przez telefon. Mimo to mnie zastanawia.

Nigdy nie trafisz do wydziału zabójstw, jeśli nie masz nadzwyczajnego talentu i zdolności kreatywnych, by wynaleźć najskuteczniejszy sposób, jak zaleźć komuś za skórę i tak długo go drażnić, aż będzie gotów rozpruć się i otworzyć przed tobą, żeby tylko się ciebie pozbyć; jeśli nie jesteś gotów zrobić tego z przyjemnością, nawet kiedy świadek, nad którym pracujesz, to załamana dziewczyna wypłakująca oczy za ojcem. Nie jestem wyjątkiem – Steve też nie, chociaż bardzo chciałby myśleć, że nim jest. Wcale nie byłam w szoku, gdy zdałam sobie sprawę, że nie wszyscy ludzie w wydziale korzystają z tych umiejętności tylko podczas przesłuchań. Przyzwyczajasz się jak do ciężaru pistoletu na biodrze i chwiejesz się, kiedy nie masz go przy sobie. Niektórzy z wydziału nie potrafią

odłożyć tej broni. Używają jej, by dostać to, czego akurat chcą, albo ominąć to, co akurat stało im na drodze. Albo złamać każdego, kogo chcą złamać.

Steve trzyma gębę na kłódkę, i słusznie. Nie zwróciłam uwagi, że wjechaliśmy daleko w głąb Phoenix Park, prawdopodobnie dlatego, że to jedyne miejsce w okolicy, gdzie da się jechać bez ryzyka, że utkniesz w korku albo drogę zajdzie ci jakiś idiota. Proste ulice biegną między rozległymi łąkami i rzędami ogromnych starych drzew, więc zasuwam jak błyskawica. Biedny kadett za chwilę dostanie spazmów.

Zwalniam. Spokojnie zjeżdżam na bok, odpowiednio wcześniej sygnalizując manewr i zerkając jednym okiem w lusterko wsteczne.

– Potrzebny nam adres Lucy Riordan – mówię. – Mam numer jej komórki.

Wymujemy telefony. Steve dzwoni do swojego człowieka w jednej z sieci komórkowych i włącza głośnik; słuchamy miarowego sygnału. Spod rozłożystych nagich gałęzi obserwują nas jelenie. Zdaję sobie sprawę, że ciągle mam na butach ochraniacze – na szczęście nie ślizgały się na pedałach i nie rozbiłam wozu. Zdejmuję je i rzucam na tylne siedzenie. Słońce wciąż świeci niemrawo i nie daje ciepła; wciąż mam wrażenie, jakby był świt.

Kontakt Steve'a podaje nam prywatny adres Lucy Riordan w Rathmines, adres Torch Theatre w centrum, gdzie pracuje, oraz datę urodzenia, z której wynika, że ma dwadzieścia sześć lat.

– Właśnie minęło wpół do dziesiątej – mówi mój partner, zerkając na zegarek. – Powinna być w domu.

Dzwonię na swoją pocztę głosową; mam nową wiadomość i niecierpliwie się, żeby jej wysłuchać.

– Pewnie odsypia wczorajszą noc. Jak każdy rozsądny człowiek o tej porze w niedzielę. – Park działa mi na nerwy. Niebo za oknami samochodu jest ciche jak grób, ani jednego ptaka, a potężne drzewa sprawiają wrażenie, jakby wolno przechylały się prosto na nas. – Ty poprowadzisz przesłuchanie. – Uświadamiając sobie, że nie mam dobrego powodu aresztować Crowleya ani dać mu w pysk, ani powiedzieć staremu, gdzie może sobie wsadzić swoje domowe burdy, zamierzam urwać głowę pierwszej osobie, która mi da co najmniej cień pretekstu, a nie chcę, żeby to był nasz kluczowy świadek.

Kiedyś taka nie byłam. Zawsze miałam skłonność do wybuchów złości, ale udawało mi się nad nią panować, choćbym musiała mocno zaciskać zęby. Nawet gdy byłam mała, umiałam czekać z naładowaną i odbezpieczoną bronią, aż cel znajdzie się w moim zasięgu i na muszce, a potem wybrać moment, żeby rozwalić łeb sukinsynowi. Odkąd trafiłam do zabójstw, zaczęło się to zmieniać... chociaż powoli: nigdy nie tracę gwałtownie zimnej krwi, ale jej nie odzyskuję, i to zaczyna być widoczne. Straciłam rachubę, ile razy w ciągu kilku ostatnich miesięcy powstrzymałam się w ostatniej sekundzie, żeby nie wybuchnąć, powodując szkody, które musiałabym naprawiać przez resztę życia. Nie żartowałam, kiedy przesłuchując świadka, miałam na końcu języka, że jest za głupi, żeby żyć; już otwierałam usta, ale Steve wtrącił się z jakimś uspokajającym pytaniem. Wiem na bank, że niedługo przyjdzie taki dzień, gdy ani on, ani ja sama nie zdążę się powstrzymać.

Wiem też na bank, że reszta wydziału rzuci się na to jak rekiny na przynętę. Zrobi się afera, historia zostanie dziesięciokrotnie wyolbrzymiona i rozniesie się po całej policji, jak gdyby chodziło o moje zupełnie nagie zdjęcie, i przez resztę służby codziennie ktoś mi to będzie wytykał.

Wydział zabójstw różni się od innych jednostek. Kiedy działa tak, jak powinien, można się zachwycić: jest precyzyjny i bezwzględny, gibki i potężny, jest jak wyprężony w skoku drapieżny kot albo piękna strzelba, tak dokładna i niezawodna, że właściwie sama strzela. Kiedy pracowałam w ogólnym jako mrówka, czyli człowiek do wszystkiego, świeżo po służbie w patrolu, wysłano nas kilkoro do niewdzięcznej roboty przy sprawie zabójstwa; mieliśmy stukać

w komputery i chodzić po domach. Spojrzałam na wydział w akcji i już nie mogłam oderwać wzroku. Nigdy przedtem ani potem nie przeżyłam takiego zauroczenia; prawie się zakochałam.

Zanim w końcu tam trafiłam, coś się zmieniło. Z powodu poziomu stresu równowaga w zabójstwach jest tak delikatna, że wystarczy kilka nowych głów, żeby zupełnie przeorać atmosferę w wydziale: by drapieżny kot znarowił się i zdziczał, strzelba zaczęła się wichrować do tego stopnia, aż w końcu wypali ci w prosto w oczy.

Jedną z przyczyn był mój brak fiuta, który najwidoczniej jest niezbędnym elementem, by prowadzić śledztwa w sprawach zabójstw. W wydziale były wcześniej kobiety, może kilka w ciągu wielu lat; nie mam pojęcia, czy same zrezygnowały, czy zostały do tego zmuszone, ale kiedy znalazłam się w zabójstwach, nie było już ani jednej. Część chłopaków sądzi, że taki jest naturalny ład; uznali, że to bezczelność z mojej strony dołączać do wydziału z taką beztrąską, jak gdybym miała prawo tam być, i że trzeba mi dać nauczkę. Nie wszyscy – większość nie miała nic przeciwko temu, przynajmniej na początku – ale było takich całkiem sporo.

Przez pierwsze tygodnie w wydziale testowali mnie, jak łowca poddaje próbie potencjalną ofiarę poznaną w barze: zaczepiali mnie – rzucali wyświechtane dowcipy, które zaczynały się od „Dlaczego kobieta jest jak...”, uwagi, że pewnie mam okres, aluzje, że musiałam być całkiem niezła w tym, co zrobiłam, żeby dostać tę robotę – chcąc sprawdzić, czy przełamie opory i zmuszę się do śmiechu. Sprawdzali mnie, tak jak sprawdza drapieżnik, czy ma do czynienia z grzeczną ofiarą, która raczej przełknie przykrości i upokorzenia niż, broń Boże, zrobi awanturę; którą krok po kroku da się zmusić do zrobienia wszystkiego, czego sobie zażyczy.

Tak naprawdę jednak nie chodziło o to, że jestem kobietą. To był tylko punkt wyjścia; rzecz, którą mogli i powinni wykorzystać, aby mną pomiatać. Tak naprawdę sytuacja przedstawiała się prościej. Chodziło dokładnie o to samo co w podstawówce, gdy Irlandia była jeszcze zdominowana przez białych, a ja byłam jedynym dzieciakiem z brązową cerą w okolicy i moje pierwsze przezwisko brzmiało Gnojoryj. To samo ludzie robili sobie nawzajem od czasów prehistorycznych: chodziło o władzę. O rozstrzygnięcie, kto zostanie przywódcą stada, a kto znajdzie się na samym dole drabiny.

Spodziewałam się tego, zaczynając w zabójstwach. Każdy wydział robi kawały nowym – pierwszego dnia pracy w wydziale zaginionych próbowali mnie wysłać, żebym chodziła po domach i wypytywała, czy ktoś widział Włocha Tecippi – a mówiło się, że w zabójstwach jest gorzej, mniej zabawnie, bardziej złośliwie. Ale fakt, że się tego spodziewałam, nie oznaczał, że będę na to pozwalać. W szkole nauczyłam się jednego: nigdy nie pozwól się zepchnąć na sam dół drabiny. Jeżeli

to zrobisz, możesz już nigdy nie wspiąć się ani o jeden szczebel wyżej.

Mogłam zgodnie z oficjalną procedurą złożyć raport naczelnikowi, że czuję się dyskryminowana przez innych funkcjonariuszy, którzy stwarzają mi nieprzyjazne warunki pracy. Oprócz oczywistych skutków takiego rozwiązania – na pewno jeszcze bardziej pogorszyłabym sytuację – stwierdziłam, że wolałabym odstrzelić sobie palce, niż biec z płaczem do szefa i błagać o pomoc. No więc, kiedy ten wredny palant Roche klepnął mnie w tyłek, prawie złamałam mu nadgarstek. Przez parę dni krzywił się z bólu, gdy chciał wziąć do ręki kubek kawy, a przekaz był jasny i wyraźny: nie przewrócę się na grzbiet, podkurczając łapki i wypinając brzuch, i nie będę z entuzjazmem czekać na wszystko, co duże psy chcą ze mną zrobić.

Tak więc zwarli szyki i zaczęli mnie wypychać ze sfory. Z początku używali subtelnych środków. Nagle wszyscy skądś się dowiedzieli o moim kuzynie odsiadującym wyrok za handel herą. Raz nie trafiły do mnie wyniki analizy odcisków palców, więc nie dowiedziałam się, że moja sprawa miała związek z serią włamań. Innym razem podniosłam głos na świadka, który kłamał na temat swojego alibi; nic wielkiego, wszystkim zdarza się to od czasu do czasu, ale ktoś musiał nas obserwować przez lustro weneckie, bo minęło parę miesięcy, zanim mogłam spokojnie przesłuchać świadka, żeby całe biuro nie dopytywało się – mając z tego ubaw po pachy – „I jak, wycisnęłaś to z niego, Conway, nawrzeszczałaś na niego, pewnie narobił w spodnie, dostanie odszkodowanie za utratę słuchu, biedny sukinsyn pewnie się dobrze zastanowi, zanim znowu zgodzi się rozmawiać z glinami, co?”. Wtedy nawet ludzie, którzy wcześniej zachowywali się wobec mnie w porządku, poczuli zagrożenie i woleli się wycofać. Za każdym razem, gdy wchodziłam do biura wydziału, zderzałam się z murem głuchoj ciszy, która nagle zapadała, gdy otworzyłam drzwi.

Wtedy przynajmniej miałam Costella. Jako najstarszy w wydziale miał obowiązek pokazać nowym, co i jak, i był porządnym gościem; kiedy Costello miał mnie na oku, nikt nie ważył się za bardzo swawolić. Kilka miesięcy później odszedł na emeryturę.

W szkole miałam koleżanki. Każdy, kto zadarł ze mną, zadzierał też z nimi, a żadna z nas nie należała do tych, z którymi chciałoby się zadzierać. Gdy rozeszła się wiadomość, że mój ojciec jest w pudle za porwanie samolotu i połowa klasy nie chciała siedzieć obok mnie, w obawie, że mogę mieć przy sobie bombę, wytropiłyśmy trzy suki, które rozpuściły plotkę, dostały od nas łomot i na tym historia się skończyła. W zabójstwach, kiedy odszedł Costello i zanim pojawił się Steve, byłam zdana tylko na siebie.

Zanim za Costellem zdążyły się zamknąć drzwi, chłopaki zagrały ostrzej. Zostawiłam w komputerze otwartą skrzynkę mailową, a po powrocie zobaczyłam, że wszystko zostało skasowane: wiadomości odebrane i wysłane, lista kontaktów

zniknęły bez śladu. Niektórzy nie zgadzali włączać się do prowadzonego przeze mnie przesłuchania, kiedy trzeba było użyć radykalnych środków – „Nie wrobiecie mnie w to, nie będę nadstawiał karku, jeżeli ona coś spieprzy”. A gdy ktoś prowadził intensywne poszukiwania i potrzebował każdej pary oczu z wyjątkiem moich, wychodząc z biura, rzucał z chichotem, odrobinę za głośno: „Nie umiałyby wytropić słonia na śniegu”. Na imprezie przed Bożym Narodzeniem, na której rozsądek kazał mi się ograniczyć do jednego piwa, ktoś pstryknął mi telefonem fotkę, kiedy miałam półprzymknięte oczy; na drugi dzień rano zdjęcie pojawiło się na tablicy ogłoszeń z podpisem SZNAPSDETEKTYW, a pod koniec dnia mówiono, że mam problem z alkoholem. Pod koniec tygodnia wszyscy wiedzieli, że zaprułam się w trupa, obrzygałam sobie buty i zrobiłam komuś – pojawiały się różne nazwiska – loda w toalecie. Nie potrafiłam ustalić, który z chłopaków stał za tym wszystkim albo których dwóch, pięciu czy dziesięciu. Jeżeli nawet wytrzymam w policji do emerytury, zawsze znajdzie się ktoś, kto będzie wierzyć w te bzdury. Z reguły gównu mnie obchodzi, co kto o mnie myśli, ale kiedy nie mogę normalnie pracować, bo nikt nie ufa mi na tyle, żeby się do mnie zbliżyć, zaczynam się tym przejmować.

Właśnie dlatego to Steve zadzwonił do swojego człowieka w sprawie informacji na temat Lucy Riordan. Z biegiem czasu nawiązujesz przydatne kontakty i masz kumpla w odpowiednim miejscu, na wypadek gdyby oficjalna procedura trwała za długo. Parę miesięcy temu miałam całkiem niezłe układy z chłopakiem z Vodafone’u; pewnego dnia zadzwoniłam do niego, żeby ustalić właściciela numeru komórki, a on zaczął się płatać, jąkać, wykręcać i sprawiać wrażenie, jakby słuchawka go parzyła. Nawet nie prosiłam go o wyjaśnienia, od razu wiedziałam, o co chodzi. Nie znałam szczegółów, na przykład kto się z nim kontaktował ani czym mu groził, ale nie musiałam ich znać. Dlatego kiedy potrzebujemy informacji od operatorów komórkowych, dzwoni do nich Steve i to on prowadzi przesłuchania, gdy jestem za bardzo nakręcona, żeby sobie zaufać. I powtarzam sobie, że nigdy nie będę się przejmować tymi skurwielami.

Wiadomość w poczcie głosowej jest oczywiście od Breslina. Ja to mam szczęście!

– Cześć, Conway.

Breslin ma niezły głos – głęboki, aksamitny, z akcentem prezentera wiadomości, który zdradza, że rodzice nie oszczędzili grosza na szkoły, żeby nie musiał spotykać się z takimi jak ja i Steve – i zdaje sobie z tego sprawę. Pewnie marzy o nagrywaniu zwiastunów filmowych, które zaczynają się od „W świecie, w którym...”.

– Miło, że będę z wami pracować. Musimy się jak najszybciej spiknąć. Przekręć do mnie, kiedy to odsłuchasz. Pojadę na miejsce, szybko rzucę okiem, o co chodzi. Jeżeli się tam nie spotkamy, przypuszczam, że zanim skończę,

zdążymy już pogadać. Wtedy ustalimy, co dalej. – Klik.

Steve udaje, że strzela do mnie z pistoletu, i puszcza oko.

– No, kochanie, spiknij się ze mną.

Nie mogę się powstrzymać i parskam śmiechem.

– Wiesz, jakie to uczucie? Jakby wysunął język z telefonu i wsadził ci prosto do ucha.

– I jest pewien, że to ci sprawiło ogromną przyjemność.

Chichoczemy jak dwoje dzieciaków. To przez Breslina; traktuje sam siebie z tak śmiertelną powagą, że trudno mu dorównać, więc nawet nie próbujemy.

– Bo zanim do ciebie zadzwoni, spryskuje swój magiczny język wykwintną wodą kolońską – mówię. – Tylko dla ciebie.

– Czuję się szczególnie wyróżniony – oznajmia Steve, kładąc dłoń na sercu.

– Ty nie czujesz się wyróżniona?

– Czuję, że powinnam dzisiaj zabrać z domu wazelinę do uszu – odpowiadam. – Co go może powstrzymać, żeby na jakiś czas dał nam jeszcze spokój?

– Pokój operacyjny? – To nie jest wcale taki zły pomysł... ktoś musi nam zaklepać pokój operacyjny, a Breslin będzie mógł zdobyć któryś z lepszych, z tablicą i wieloma liniami telefonicznymi, podczas gdy mnie i Steve'owi daliby pewnie jakąś klitkę z dwoma biurkami, gdzie kiedyś była szatnia, o czym świadczyłby wyczuwalny jeszcze zapach. – Ale nic nie powstrzyma go na dłużej. Stary trzyma go w wydziale, bo Breslin ma dryg do przesłuchań, sama przyznasz; będzie chciał je z nami poprowadzić.

– Daj spokój, nie każ mi nic przyznawać. Nie jestem w nastroju, żeby cokolwiek przyznawać cholernemu Breslinowi. – Prawdę mówiąc, nastrój trochę mi się poprawił; potrzebowałam tej chwili rozluźnienia. – Dobra, pokój operacyjny. Może być.

– Tylko nie urwij mu głowy – ostrzega Steve.

– Nie zamierzam mu urywać głowy. Dlaczego zresztą nie miałabym mu urwać głowy, jeżeli mam ochotę? – Breslin wcale nie należy do najgorszych, na ogół traktuje nas dwoje jak powietrze, co jednak nie znaczy, że muszę go lubić.

– Bo mamy go na karku? Bo będzie o wiele trudniej, jeżeli od razu na początku wdepnie w jakiś syf?

– Możesz go ułagodzić. Wsadź mu język do ucha.

Znowu dzwonię na pocztę głosową Breslina – jeżeli już muszę mieć z nim do czynienia, taki telefoniczny berek jest najlepszą formą kontaktu – i zostawiam mu wiadomość.

– Breslin, tu Conway. Fajnie, że będziemy razem pracować. – Zerkam na Steve'a spod uniesionej brwi: widzisz, umiem być miła. – Zgarniemy faceta, który miał przyjść do domu ofiary na kolację, i przywieziemy go na komendę na

przesłuchanie. Możemy się tam umówić? Twoja opinia w sprawie byłaby dla nas cenna. – Steve odgrywa pantomimę, udając obciążanie druta; pokazuję mu środkowy palec. – Po drodze do niego wpadniemy do najlepszej przyjaciółki ofiary, żeby z nią pogadać. Może dowiemy się od niej czegoś ważnego. Mógłbyś w tym czasie zorganizować nam pokój operacyjny, skoro i tak wrócisz do biura? Dzięki. Do zobaczenia.

Rozłączam się.

– Widzisz? – zwracam się do Steve’a.

– To było cudowne. Byłoby idealnie, gdybyś na koniec jeszcze dorzuciła całusa.

– Żartowniś. – Chcę już jechać. Wydaje mi się, jakby nagie gałęzie wisiały niżej nad samochodem, jak gdyby wykorzystały chwilę, w której skupiłam się na telefonie do Breslina, i nas otoczyły. – Sprawdźmy, jakich marnych ludzi z ogólnego zwalili nam na kark.

Steve już stuka w klawisze telefonu. Bernadette, administracyjna, podaje mu numery naszych mrówek – jest ich sześć. O’Kelly stanął na głowie. Paru z nich jest w porządku, przydadzą się; co najmniej jeden nie. Gdybyśmy chcieli więcej, trzeba będzie wypełnić wnioski w trzech egzemplarzach, wyjaśnić, dlaczego sami nie możemy odwalać brudnej roboty, i w ogóle siedzieć na dwóch łapkach i prosić jak tresowane pudle.

Potem odbędzie się pierwsza odprawa całej ekipy śledczej: ja, Steve i Breslin oraz wszystkie mrówki spotkamy się w pokoju operacyjnym, wszyscy będą notować, a ja przedstawię w skrócie sprawę. Pewne rzeczy trzeba zrobić jednak szybko, nie ma na co czekać. Steve wysła dwóch z naszej szóstki szczęściarzy, żeby przeprowadzili wstępne przesłuchania wśród sąsiadów na Viking Gardens, dowiedzieli się, co każdy z nich wie o Aislinn Murray, co widzieli i słyszeli poprzedniego wieczoru. Druga dwójka miała przejrzeć zapisy wszystkich działających w pobliżu kamer monitoringu, zanim ktokolwiek zdąży skasować nagrania. Tymczasem ostatniemu duetowi wyznaczyłam zadanie ustalenia adresu Rory’ego Fallona; mieli sprawdzić, czy jest u siebie, i pilnować domu, a gdyby dokądś wyszedł, śledzić go, starając się zachować dyskrecję. Mogliby od razu przywieźć go na komendę, ale mój plan nie dopuszczał takiej możliwości, że Breslin dostrzeże go na korytarzu, postanowi oddać mnie i Steve’owi przysługę i wyciągnąć z niego przyznanie się do winy, zanim zdążymy wrócić do biura. Breslin oddzwania; nie odbieram, żeby przełączył się na pocztę głosową.

Wygląd wymiętego po nocnej zmianie Steve’a daje mi pewne wyobrażenie o tym, jak sama wyglądam, zanim więc ruszymy złożyć wizytę Lucy Riordan, robimy szybki reset: wyglądamy ubrania, strzepujemy z koszul okruchy po nocnych przekąskach, Steve przyczesuje włosy, ja rozplątuje to, co zostało z mojego koka, i z powrotem ciasno i gładko upinam włosy. Nie maluję się do

pracy, ale fragment mojego odbicia w lusterku wstecznym wygląda całkiem znośnie. Gdy mam dobry dzień, wyglądam nieźle, gdy mam gorszy, i tak zwrócilibyście na mnie uwagę. Jestem podobna do ojca, tak w każdym razie przypuszczam: wzrost mam po matce, ale na pewno nie gęste i lśniące czarne włosy ani kości policzkowe, ani cerę, która nigdy nie będzie potrzebowała sztucznej opalenizny. Noszę porządne kostiumy, dobrze skrojone, które nie maskują mojej szczupłej i muskularnej sylwetki, a jeżeli ktoś uważa, że powinnam łązić w jakimś worku, żeby go uchronić przed nieprzyzwoitymi myślami, niech się wali. To, co, zdaniem ludzi, powinnam próbować ukryć – bo jestem wysoka, bo jestem kobietą, bo jestem półkrwi kimś tam – wystawiam i podtykam im pod nos. Jeżeli nie potrafią sobie z tym poradzić, ja potrafię to wykorzystać.

– I jak? – pyta Steve, wskazując na siebie.

Wygląda, jakby mamusia przylizowała go i wyglansowała przed wyjściem do kościoła, ale podkreśla to celowo. Wykorzystujesz to, co masz, a Steve ma coś, co wzbudziłoby zachwyty rodziców, gdyby przyprowadzić go do domu.

– Musi wystarczyć – odpowiadam, poprawiając lusterko. – Jedziemy.

Mocno wciskam pedał gazu i zabieram nas z parku, pozwalając kadettowi udawać prawdziwy samochód. Ogarnia mnie paskudne wrażenie, jak gdyby drzewa za nami przechyliły się i z niemym hukiem i trzaskiem gałęzi runęły dokładnie w miejscu, gdzie staliśmy jeszcze przed chwilą.

* * *

Lucy Riordan mieszka w jednym z tych wysokich domów szeregowych podzielonych na samodzielne mieszkania. Często są to zapuszczone rudery, ale jej budynek wygląda całkiem, całkiem: w ogródku od frontu nie ma chwastów, ramy okien pomalowano w ciągu ostatniej dekady, a przy drzwiach jest sześć guzików zamiast kilkunastu, co oznacza, że właściciel nie każe ludziom gnieździć się w kłitkach trzy na trzy metry i korzystać z jednej toalety.

Po dwóch dzwonek w domofonie rozlega się zaspany głos Lucy.

– Halo?

– Lucy Riordan? – pyta Steve.

– Kto tam?

– Detektyw Stephen Moran. Możemy zamienić dwa słowa?

Mija długa sekunda i Lucy mówi głosem, w którym nie ma już cienia senności:

– Zaraz schodzę.

Szybko otwiera drzwi, już całkiem przytomna. Jest niska i ma wysportowaną sylwetkę, nie od ćwiczeń na siłowni, ale od aktywnego życia – swoją własną, nie wynajętą. Krótko obcięte platynowe włosy z długą grzywką opadającą na twarz – bladą, o wyraźnych, żywych rysach, z rozmazanymi smugami wczorajszej

mascary. Jest w czarnej bluzie z kapturem i czarnych, zachlapanych farbą bojówkach; w uszach lśni mnóstwo srebrnych kolczyków, ma białe stopy i na moje oko potężnego kaca. Nie ma kompletnie nic wspólnego z Aislinn Murray ani z niczym, co spodziewałam się zobaczyć.

Mamy w rękach przygotowane legitymacje.

– Detektyw Stephen Moran – przedstawia się Steve – a to moja partnerka, detektyw Antoinette Conway. – I zawiesza głos. W tym miejscu zawsze robi się pauzę.

Lucy nawet nie patrzy na nasze dokumenty.

– Chodzi o Aislinn? – pyta ostrym tonem.

Właśnie po to robi się pauzę; to niewiarygodne, czym ludzie potrafią ją wypełnić.

– Możemy wejść na parę minut? – proponuje Steve.

Dopiero teraz Lucy zerka na nasze legitymacje; ogląda je bez pośpiechu, może waha się przed podjęciem jakiejś decyzji.

– Dobra, wejdźcie – mówi w końcu, odwraca się i rusza po schodach.

Jej mieszkanie jest na pierwszym piętrze i miałam rację, wydaje się całkiem porządne: mały salon z aneksem kuchennym po jednej stronie i dwójgim drzwi po drugiej, prowadzących do sypialni i łazienki. Poprzedniego wieczoru ktoś u niej był – na stoliku i pod nim stoją puste puszki, w powietrzu wisi gęsta warstwa dymu – ale nawet wcześniej wewnątrz z pewnością w niczym nie przypominało mieszkania Aislinn. Zasłony są zrobione ze zszytych szpagatem starych pocztówek, umeblowanie składa się z odrapanego drewnianego stolika i dwóch koślawych małych kanap przykrytych tkanymi narzutami w meksykański wzorek, dekorację stanowią cztery telefony z lat siedemdziesiątych i pluszowy lis na zwoju kabla obok telewizora. Nikt nie zamówił tego wnętrza przez żadną aplikację.

Wybieramy ze Steve'em kanapę ustawioną tyłem do wysokiego okna i siadamy zwróceniami twarzami do Lucy, na którą pada nędzna namiastka światła dziennego. Wyjmuję notes, ale siedzę wyprostowana na brzeжку kanapy, dając Steve'owi do zrozumienia, że nie zamierzam się całkiem wyłączać. O'Kelly pieprzył od rzeczy, Steve świetnie radzi sobie ze świadkami – może nie tak błyskotliwie jak Breslin, ale prawie każdego potrafi przekonać, że jest po jego stronie – ja zresztą też byłam kiedyś całkiem niezłą, nie tak dawno temu, a Lucy nie sprawia wrażenia, jakby miała mnie wkurzyć. Ta dziewczyna nie jest idiotką.

– Czy w domu ktoś jeszcze jest? – pyta Steve. Po tej rozmowie Lucy będzie potrzebowała czyjegoś wsparcia.

Dziewczyna siada na kanapie naprzeciwko i próbuje patrzeć na nas oboje jednocześnie.

– Nie, tylko ja. Czemu...?

Podstawowa mina świadka to połączenie chęci pomocy, palącej ciekawości,

co takiego mogło się stać, i nadziei, że – Boże, tylko nie to – nie wpakował się w żadne kłopoty. Typową odmianą w dzielnicach, gdzie nie jesteśmy szczególnie lubiani, jest ponure spojrzenie aroganckiego i znudzonego nastolatka, nawet u osób, które mają o kilkadziesiąt lat za dużo na taką kretyńską pozę. Wyraz twarzy Lucy nie należy do żadnej z tych kategorii. Siedzi wyprostowana, z obiema stopami na podłodze, jak gdyby gotowa zerwać się z miejsca, i ma szeroko otwarte oczy. Jest wystraszona i czujna, całkowicie skupiona na tym, czego się obawia. Na stoliku stoi popielniczka z zielonego szkła, którą powinna opróżnić przed wpuszczeniem do domu policjantów. Udajemy ze Steve'em, że jej nie widzimy.

– Najpierw chcę potwierdzić kilka informacji – odzywa się spokojnie Steve, posyłając dziewczynie swój najłagodniejszy uśmiech. – Nazywa się pani Lucy Riordan, urodziła się pani dwunastego kwietnia osiemdziesiątego ósmego roku i pracuje pani w Torch Theatre. Wszystko się zgadza?

Lucy sztywnieje. Nikt nie lubi, kiedy wiemy o nim coś, czego nam nie powiedział, ale jej nie podoba się to bardziej niż większości ludzi.

– Tak. Jestem kierownikiem technicznym.

– I przyjaźni się pani z Aislinn Murray. Jesteście przyjaciółkami.

– Znamy się od dzieciństwa. Co się stało?

– Aislinn nie żyje – informuję ją.

To nie jest nietakt z mojej strony. Po tym, w jaki sposób otworzyła nam drzwi, chcę zobaczyć jej naturalną reakcję.

Lucy patrzy na mnie. Jej twarz wyraża tyle emocji naraz, że żadnej nie umiem odczytać. Przestaje oddychać.

– Przykro mi, że tak pani musi zacząć dzień – mówię bez złośliwości.

Łapie leżącą na stoliku paczkę marlboro light i bez pytania o pozwolenie gwałtownym ruchem wyciąga papierosa. Aktywność widać nawet w jej rękach: silne nadgarstki, krótkie paznokcie, zadrapania i odciski. Płomień zapalniczki przez chwilę chwieje się i skacze; Lucy zaraz go opanowuje i głęboko zaciąga się dymem.

– Jak to się stało? – pyta.

Ma spuszczone głowę, fala srebrzystobiałych włosów zasłania jej twarz.

– Nie mamy jeszcze jednoznacznych odpowiedzi, ale okoliczności śmierci są podejrzone – wyjaśniam.

– Czyli że ktoś ją zabił, prawda?

– Na to wygląda. Tak.

– Cholera – mruczy pod nosem; jestem prawie pewna, że sobie tego nawet nie uświadamia. – Cholera, cholera jasna.

– Dlaczego przypuszczała pani, że przyszliśmy w sprawie Aislinn? – odzywa się Steve.

Lucy unosi głowę. Na szczęście nie płacze, ale jej twarz przybiera paskudny

biały odcień; oczy wyglądają, jak gdyby miała trudności z widzeniem albo próbowała opanować mdłości.

– Co?

– Kiedy otworzyła nam pani drzwi, zapytała pani: „Chodzi o Aislinn?” – przypomina jej Steve. – Dlaczego pani tak pomyślała?

Papieros drży. Dziewczyna patrzy na niego i mocniej zaciska palce, żeby go unieruchomić.

– Nie wiem. Po prostu spytałam.

– Proszę sobie przypomnieć. Musiał być jakiś powód.

– Nie pamiętam. Po prostu przyszło mi to do głowy.

Czekamy. Rury w ścianach wyją i jęczą; jakiś facet na górze krzyczy coś o ciepłej wodzie, ktoś galopuje po podłodze, aż trzęsą się zasłony z pocztówek. Na kanapie obok Lucy leży pluszowy Homer Simpson z przyklejoną do czoła bibułą papierosową z napisem KSIĘŻNICZKA BRAWURKA. Impreza była udana. Kiedy następnym razem Lucy zobaczy tę zabawkę, wrzuci ją na dno kosza na śmieci.

Po bardzo długiej chwili dziewczyna rozluźnia plecy. Nie rozplacze się ani nie porzyga, w każdym razie nie teraz; ma do zrobienia coś innego. Jestem prawie pewna, że właśnie postanowiła nas okłamać.

Strzepuje popiół, nie zwracając nawet uwagi na niedopałki skrętów w popielniczce. Zaczyna mówić, ostrożnie, po omacku dobierając słowa:

– Aislinn niedawno zaczęła się spotykać z pewnym chłopakiem, Rorym. Wczoraj wieczorem zaprosiła go na kolację. Miał przyjść do niej pierwszy raz, wcześniej widywali się tylko w miejscach publicznych. No więc, kiedy usłyszałam, że jesteście z policji, tylko to mi przyszło do głowy: że coś się tam stało. Nie miałam pojęcia, z jakiego innego powodu chcielibyście ze mną porozmawiać.

Gówno prawda. Na poczekaniu mogłabym wymyślić co najmniej kilka powodów – hasz, skargi sąsiadów na nocne hałasy, poszukiwanie świadków bójki na ulicy albo domowej burdy w mieszkaniu obok, mogłabym tak wymieniać – a Lucy na pewno też to potrafi. Proszę bardzo: kłamie.

– Właśnie o tym chcemy rozmawiać – przytakuje. – Wczoraj wieczorem pisałyście do siebie z Aislinn wiadomości na temat tej kolacji. – Czujność odrobinę wzrasta, gdy dziewczyna usiłuje sobie przypomnieć, co dokładnie napisała. – Poradziła jej pani... – udaję, że zerkam do notatek – ..., „bądź ostrożna, okay?”. Dlaczego?

– Już mówiłam. Znała go od niedawna, miała z nim zostać sam na sam w domu.

Steve robi zdziwioną minę.

– Czy to nie trąci trochę paranoją?

Lucy unosi brwi i patrzy na niego, jakby nagle stał się jej wrogiem.

– Tak pan sądzi? Nie radziłam jej, żeby schowała za stanik naładowany pistolet. Tylko żeby uważała, kiedy będzie przyjmowała u siebie obcego faceta. To ma być paranoja?

– Mnie się wydaje, że to rozsądne – przyznaję. Lucy spogląda na mnie z wdzięcznością, rozluźniając się po natarciu. – Poradziłabym to samo przyjaciółce. Poznała pani tego Rory’ego?

– Tak. Byłam nawet przy tym, kiedy się poznali. Facet, którego znam z pracy, Lar, wydał książkę o teatrach w Dublinie i promocja odbyła się w księgarni, której właścicielem jest Rory – Wayward Bookshop w Ranelagh. Byliśmy tam całą paczką z Torch, namówiłam Aislinn, żeby poszła z nami. Pomyślałam sobie, że wieczór w mieście dobrze jej zrobi.

Dostaję więcej informacji, niż chciałam uzyskać. To najstarsza ze znanych technik – sprowokować świadka, żeby wkurzył się na jedno z was, a drugiemu dorzuci coś ekstra – i często stosujemy ją ze Steve’em, chociaż zwykle odwrotnie dzielimy role. On notuje, a ja po raz pierwszy od dawna cieszę się, że mogę wystąpić jako dobry glina.

– I wtedy między Aislinn i Rorym zaiskrzyło – mówię.

– Mocno. Lar przeczytał fragment, potem podpisywał książki, reszta z nas snuła się po księgarni i popijała darmowe wino, a Aislinn i Rory zaczęli rozmawiać. Właściwie zniknęli razem w kącie... nie całowali się, nic z tych rzeczy, po prostu śmiali się i gadali. Rory pewnie miał ochotę przesiedzieć z nią całą noc, ale Ash ma zasadę, żeby nie rozmawiać za długo z facetem...

Lucy urywa i mruga. To właśnie filtr – żebyśmy, nie daj Boże, nie pomyśleli niczego złego o biednej Ash – ale dobrze wiem, o co jej chodzi: o Zasady.

– Żeby facet nie zaczął przypuszczać, że jej się podoba. – Kiwam głową, jak gdyby to było zrozumiałe samo przez się.

– Właśnie. Nie wiem, z jakiegoś powodu to coś złego. – Lucy wzrusza ramionami i krzywi usta, ale to czuły gest, pozbawiony złości. – No więc, po jakiejś godzinie Ash przybiegła do mnie i nic tylko: „O Boże, jaki on miły, jaki zabawny, jaki interesujący, jaki cudowny, tak super się bawiłam...”. Powiedziała mi, że dała mu swój numer, a teraz musi znaleźć kogoś innego do pogadania, więc została z moim towarzystwem z pracy, ale przez resztę wieczoru bez przerwy mnie zamęczała: „Patrzy w naszą stronę? Co teraz robi, patrzy na mnie?”. A on rzeczywiście cały czas się gapił. Oboje trafiło na amen.

– Lar, a jak dalej? – pytam. – I kiedy była ta promocja książki?

– Lar Flannery, Laurence. To było na początku grudnia, dokładnej daty nie pamiętam. Niedziela wieczór, żeby mogli przyjść ludzie z teatru.

– Potem spotkała jeszcze pani Rory’ego?

– Nie, już nie. Aislinn widziała się z nim tylko kilka razy. Wolą się nie spieszyć. – Głowa Lucy nachyla się nad papierosem, głęboki sztach. Właśnie

otarliśmy się o to, co przed nami ukrywa. Nie przerywamy ciszy, ale tym razem dziewczyna niczym jej nie wypełnia. Pyta tylko: – Czy... To znaczy... czy przypuszczacie, że to Rory...?

Pytanie jest całkiem naturalne, ale ni stąd, ni zowąd jej głos staje się dźwięczniejszy i brzmią w nim tony, których nie umiem zidentyfikować, a w przysłoniętych grzywką oczach pojawia się nagły błysk uwagi. Ta sprawa to dla niej coś więcej albo interesuje się nią bardziej, niż powinna.

– A jak pani sądzi? – pyta Steve. – Stawiałaby pani na niego?

– Na nikogo bym nie stawiała. To wy jesteście detektywami. On jest głównym podejrzanym, czy jak to się u was nazywa?

– Czy coś w Rorym zwróciło pani uwagę? – pytam. – Sprawiał wrażenie osoby, na którą lepiej uważać?

Lucy korci, żeby jeszcze o coś zapytać, ale górę bierze rozsądek. Inteligentna, zdolna, przyzwyczajona do improwizowania i podejmowania szybkich decyzji; ciężko będzie dokopać się tego, co chce zachować dla siebie. Znowu zaciąga się papierosem.

– Nie, nic konkretnie. Wyglądał na miłego faceta. Trochę nudziarza... przynajmniej moim zdaniem. Ale Ash pewnie zobaczyła w nim coś, czego ja nie widziałam, więc...

– Czy kiedykolwiek powiedziała coś, co by sugerowało, że się go boi? – pyta Steve. – Że do czegoś ją zmuszał? Próbował kontrolować?

Dziewczyna kręci głową.

– Nie. Serio. Nic takiego nigdy od niej nie słyszałam. Zawsze powtarzała, jaki jest cudowny, jak świetnie się z nim czuje i że nie może się doczekać następnego spotkania. Myśli pan...

– W takim razie będę z tobą szczerą, Lucy – włączam się. – Trudno zrozumieć, dlaczego tak się martwiłaś o Aislinn. Piszesz do niej, żeby była ostrożna, jasne. Ale żebyś od razu pomyślała, że przychodzimy w jej sprawie, ledwie rzuciłaś na nas okiem? Skoro twierdzisz, że Rory sprawiał wrażenie porządnego faceta, że wyglądał niegroźnie? Nie. Kiedy zapukaliśmy, powinnaś się zastanowić, czy gość z dołu nie handluje prochami albo czy w nocy ktoś nie zadźgał kogoś nożem na ulicy, albo czy kogoś z twojej rodziny nie potracił samochód, nie napadł jakiś bandzior. Niemożliwe, żebyś natychmiast skojarzyła naszą wizytę z Aislinn. Chyba że wiesz o niej coś, o czym nie chcesz nam powiedzieć.

Papieros spalił się do filtra. Lucy rozgniała go w popielniczce, bez pośpiechu, ale to nie jest unik ani gra na zwłokę; waha się przed podjęciem decyzji. Światło sączące się przez okno staje się intensywniejsze; obchodzi się z nią bezlitośnie, odbierając dziewczynie oryginalną urodę i ukazując tylko worki pod oczami i czarne smugi maskary na białym tle.

– Mogę sobie nalać szklanek wody? – pyta Lucy. – Głowa mi pęka.

– Nie ma sprawy – odpowiadam. – Nigdzie się nie spieszymy.

Odwraca się do nas plecami i wolno odkręca kran w aneksie kuchennym; nalewa wodę w stulone dłonie, zanurza w niej twarz i zastyga w tej pozycji, a jej ramiona unoszą się i opadają. Po chwili wraca do nas z pełną szklanką w jednej ręce, drugą ocierając mokrą twarz, i wydaje się trochę bardziej żywa. Siadając naprzeciwko nas, mówi:

– No dobrze. Myślę, że Ash mogła się spotykać z kimś jeszcze. Równoległe z Rorym.

Sprawdza naszą reakcję z tym samym jastrzębim, uważnym błyskiem w oczach. Ja i Steve nie patrzymy na siebie, ale potrafimy wyczuć, kiedy nasze myśli krzyżują się jak spojrzenia. Steve myśli: wiedziałem, wiedziałem, że kryje się za tym coś dziwnego; ja myślę: cholera, nie ma szans, żebym jeszcze zdążyła dzisiaj pobiegać.

– Jak się nazywał? – pyta Steve.

– Nie wiem. Nie mówiła.

– Nie zdradziła nawet imienia?

Lucy tak energicznie kręci głową, że grzywka opada jej na twarz. Odgarnia ją do tyłu.

– Nie. W ogóle nawet nie wspomniała, że widuje się z kimś innym. Po prostu miałam takie podejrzenie. Nic konkretnego nie wiem, rozumiecie?

– Rozumiem – mówię. – Jasne. Co nasunęło ci takie podejrzenie?

– Różne rzeczy. Na przykład w ciągu paru ostatnich miesięcy, na długo, zanim Ash poznała Rory'ego, kiedy pytałam ją, czy chce skoczyć gdzieś na drinka, mówiła, że nie, nie może, ale nigdy nie podawała powodu, chociaż wcześniej się tłumaczyła: „Nie mogę, idę na pilates” czy coś w tym stylu. Albo się zgadzała, a potem w ostatniej chwili przysyłała SMS-a „Zmiana planów, możemy się umówić na jutro?”. Ostatnio o wiele rzadziej była wolna. Za to częściej robiła sobie włosy i paznokcie... zawsze wyglądały idealnie. A kiedy ktoś rzadziej ma czas, a zaczyna tak dbać o wygląd... – Lucy wzrusza ramionami. – Zwykle chodzi o nowy związek.

Aislinn odwołała randkę w restauracji z Rorym zaledwie kilka godzin przed spotkaniem. Myślałam, że chce mu pokazać, kto tu rządzi.

Znowu to czuję, lekkie pulsowanie, jak w domu Aislinn, gdy Steve pokazał mi kuchenkę. Pulsowanie jak głód, jak takty tanecznej muzyki: daleko na horyzoncie majaczy coś dobrego. Czuję, że krew mojego partnera zaczyna tętnić tym samym rytmem.

– Kiedy to się zaczęło? – pyta Steve.

Lucy rysuje cienkie kreski na zaparowanej szklance i zastanawia się albo nad prawdziwą odpowiedzią, albo nad taką, której chce nam udzielić.

– Może pół roku temu. Pod koniec lata.
– Domyślasz się, gdzie mogli się poznać? W pracy? W pubie? Przy wspólnym hobby?

– Nie mam pojęcia.

– Z kim jeszcze Aislinn spotykała się towarzysko oprócz ciebie?

Dziewczyna wzrusza ramionami.

– Czasem chodziła na drinka z ludźmi z pracy. Ma niewielu znajomych.

– A hobby? Miała jakieś zainteresowania?

– Nic poważnego. Przez ostatnie parę lat robiła różne kursy wieczorowe; jakiś czas tańczyła salsę, potem bawiła się w wizaż i stylizację, trochę uczyła się hiszpańskiego... Latem w zeszłym roku chyba chodziła na kurs gotowania. Lubiła ludzi, których spotykała przy tych okazjach, ale nigdy nie mówiła o jakimś jednym konkretnym facecie. Nie było nikogo, o kim wspominałaby częściej niż o innych, nic z tych rzeczy.

Aislinn Murray coraz bardziej jawi się jako wyjątkowo rozrywkowa osoba.

– Muszę ci powiedzieć, Lucy, że to wszystko wydaje mi się bardzo dziwne – wyznaję. – Ty i Ash byliście najlepszymi przyjaciółkami od dzieciństwa, a ona nie mówi ci ani słowa o swoim chłopaku?

Unosi wzrok i patrzy nieufnie.

– Powiedziałam, że znamy się od dzieciństwa. Nie mówiłam, że jesteśmy najlepszymi przyjaciółkami.

– Nie? W takim razie kim?

– Po prostu przyjaciółkami. Trzymałyśmy się razem w szkole, zachowałyśmy ze sobą kontakt jako dorosłe. Nie miałyśmy żadnego połączenia jaźni jak w Star Treku.

Steve potrafi w cudowny sposób wyrazić mimiką niepokój i pretensję równocześnie.

– Wiesz, skąd znamy twoje nazwisko? Aislinn zapisała je w telefonie jako kontakt alarmowy. Kiedy wybiera się taką osobę, zwykle jest to człowiek, dla którego jesteśmy kimś ważnym.

Na widok pełnego wyrzutu spojrzenia Lucy odrzuca głowę do tyłu.

– Jej mama parę lat temu umarła, nie wiadomo, gdzie się podział ojciec. Ash jest jedynaczką. Kogo innego miałyby wybrać?

Znowu kłamstwo. Z jakiegoś powodu stara się pokazać, że ta przyjaźń nie jest dla niej warta funta kłaków, ale ciepło w jej głosie, gdy wspomniała o idiotycznych zasadach Aislinn, zdradzało co innego.

– Jesteś też osobą, do której najczęściej dzwoniła i esemesowała – dodaję. – Tak jak powiedziałaś, miała niewielu znajomych. Nie ma wątpliwości, że uważała cię za swoją najbliższą przyjaciółkę. Wiedziała, że ty traktujesz to inaczej?

– Przecież mówiłam, że się przyjaźnimy. Ale nie twierdzę, że jesteśmy jak

papuzki nierozłączki. Nie wiemy wszystkiego o swoim życiu, rozumie pani?

– Kto więc wie wszystko o życiu Aislinn? Kto był jej najlepszą przyjaciółką, jeżeli nie ty?

– Nie miała nikogo takiego, przynajmniej w takim sensie. Niektórzy nie mają.

W jej głosie słyhać napięcie. Daję spokój; ta dziewczyna ledwie się trzyma, jest o włos od załamania, a nie chcę, żeby się teraz przy nas rozsypała.

– Mimo wszystko – ciągnę – jeżeli ja z kimś chodzę, mówię o tym koleżankom, nawet jeżeli nie są moimi najlepszymi kumpelkami. Ty nie?

Lucy wypija łyk wody i bierze się w garść.

– Pewnie, że tak. Ale Aislinn nie mówiła.

– Twierdzisz, że przy każdej okazji opowiadała o Rorym, jaki z niego fajny facet. Czy wcześniej mówiła ci o innych chłopakach? Przedstawiała ci ich?

– Tak. To znaczy, minęło parę lat, odkąd ostatni raz z kimś chodziła... ale tak, poznałam tego chłopaka.

– Chciała o nim opowiadać, pytała, co o nim sądzisz i tak dalej. Zgadza się?

– Tak.

– Ale tym razem nie.

– Nie. Tym razem nie.

– Domyślałaś się dlaczego? – odzywa się Steve.

Lucy pociera szklanką płamę fioletowej farby na kolanie czarnych bojówek, drapie ją paznokciem.

– Domyśliłam się, że facet jest żonaty. Łatwo zgadnąć, prawda? – Patrzy na mnie.

– Na pewno bym tak pomyślała, od razu – przyznaję. – Zapytałaś ją?

– Nie chciałam wiedzieć. Jeżeli o mnie chodzi, to każdy zajęty facet jest poza zasięgiem i Ash dobrze o tym wie. Żadna z nas nie chciała takiej rozmowy. Zaczęłybyśmy się tylko kłócić.

– Twierdzisz jednak, że nie miałyby oporów przed spotykaniem się z żonatym facetem. Żonaci nie byli poza jej zasięgiem.

Odpadają płatki fioletowej farby. Lucy rozciera je, brudząc sobie palce.

– Brzmi, jakby była jakimś wampem rozbijającym rodziny. Wcale taka nie jest. W ogóle. Jest po prostu... niepewna. Wielu rzeczy. Czy to brzmi sensownie? – Zerka na mnie. Kiwam głową. Wygląda starzej niż w chwili, gdy tu weszliśmy, policzki stają się lekko obwisłe. Rozmowa sporo ją kosztuje. – A kiedy ta druga osoba jest czegoś zupełnie pewna, Ash najczęściej dochodzi do wniosku, że prawdopodobnie ten ktoś ma rację. Dlatego wyobrażam sobie, że mogła się związać z żonatym facetem. Nie dlatego, że uważała, że to w porządku albo w ogóle jej to nie obchodziło, ale dlatego, że ją przekonał, że to nie mogłoby być nie w porządku.

– Rozumiem – mówię. Cieszę się, że to Aislinn jest ofiarą, a Lucy świadkiem, nie odwrotnie. W tym momencie pewnie już rozwaliałabym Aislinn głowę czymś w różową kratkę.

– Czyli musiałaś być zadowolona, kiedy zaprzyjaźniła się z Rorym – wtrąca Steve. – Sympatyczny singiel, nie było powodu do żadnych napięć między wami, nie było się o co czepiać przyjaciółki. Prawda?

– Tak – odpowiada dziewczyna, ale dopiero po sekundzie wahania. Znowu trąciliśmy to, czego Lucy nie chce nam powiedzieć.

– Miałaś wrażenie, że zanim zaczęła się spotykać z Rorym, zerwała z tamtym? – pytam. – Czy przypuszczasz raczej, że widywała się z nimi na zmianę?

– Skąd mam wiedzieć? Mówiłam przecież...

– Dalej robiła uniki na temat swoich planów towarzyskich? Dalej odwoływała spotkania w ostatniej chwili?

– Hm... chyba tak.

– Czyli dlatego się o nią martwiłaś?

Lucy wciąż bawi się plamami po farbie, siedząc z łokciami opartymi o uda i opuszczoną głową.

– Każdy by się martwił. No bo jeżeli ktoś kręci z dwoma facetami naraz, a jeden z nich jest żonaty... to się nie może dobrze skończyć. A Ash... jest naprawdę naiwna, w wielu sprawach. Nie przyszłoby jej do głowy, że to tykająca bomba. Chciałam tylko, żeby o tym wiedziała.

To już brzmi sensowniej, choć jeszcze nie do końca.

– Powiedziałaś, że Rory nie wzbudził w tobie żadnych obaw – mówię. – A ten drugi?

– Nic nie wiem o tym, żeby budził w kimś jakieś obawy. Powiedziałam, że nie podobał mi się ten cały układ.

Spina się, wbijając łokcie w uda. Krążymy wokół zagadki, a Lucy nie jest zadowolona, że jesteśmy już tak blisko. Ja zresztą też nie jestem zadowolona. Ta dziewczyna nie jest idiotką; powinna wiedzieć, że nie pora pieprzyć głodne kawałki.

– To i tak nie tłumaczy, dlaczego od razu przyszła ci na myśl Aislinn, kiedy zobaczyłaś nas w drzwiach. Chcesz spróbować jeszcze raz?

Na dźwięk ostrego tonu jeszcze mocniej wbija łokcie w uda.

– Właśnie dlatego. Bo o co innego mogłoby chodzić? Może i mam nudne życie, ale większość moich znajomych nie robi niczego takiego, co sprowadziłoby do mnie detektywów z policji.

Mam coraz mniejszą ochotę na dalszy ciąg tych bzdetów.

– No dobrze – mówię. Pochylam się i mocno popycham w stronę Lucy popielniczkę, z której w świetle wzbija się obłoczek cuchnącego popiołu. –

Powtarzam, spróbuj jeszcze raz.

Lucy unosi głowę i spogląda na mnie z zupełnie nowym rodzajem nieufności.

Steve poprawia się na kanapie obok mnie. Znam ten gest: daj spokój.

Zastanawiam się, czy nie dać mu kuksańca między zębra, ale faktem jest, że ma rację. Dotąd szło mi nieźle i za moment wszystko schrzanię.

– Nie zamierzamy nic z tym robić – odzywam się łagodnie. – Interesuje nas tylko Aislinn.

Nieufność ustępuje, chociaż nie do końca. Steve – wracając do roli Dobrego Gliny, w której czuje się najlepiej – prosi:

– Opowiedz nam coś o niej. Jak się poznałyście?

Lucy zapala następnego papierosa. Uwielbiam nikotynę. Dzięki niej, kiedy sytuacja się komplikuje, świadkowie chowają się w swojej strefie komfortu, dzięki niej przyjaciele i krewni ofiary nie przeżywają kompletnego załamania, dzięki niej możemy do woli drażnić podejrzanych, a potem rzucić im błyskawiczną pigułkę uspokajającą, żeby wrócili do równowagi. Niepalący to dwa razy więcej kłopotów; trzeba znaleźć inny sposób, żeby ich wyregulować i wyciszyć. Gdyby to zależało ode mnie, wszyscy zamieszani w zabójstwa paliliby paczkę dziennie.

– Kiedy poszłyśmy do gimnazjum – mówi Lucy. – Czyli miałyśmy po dwanaście lat.

– Pochodzicie z tej samej miejscowości? Skąd?

– Z Greystones.

Małe miasteczko pod Dublinem, ale na tyle duże, że Lucy i Aislinn zaprzyjaźniły się z wyboru, nie dlatego, że nie miały pod ręką nikogo innego.

– Jaka ona wtedy była? – ciągnie Steve. – Gdybyś miała ją opisać jednym słowem, jakie byś wybrała?

Lucy sięga pamięcią do tamtych czasów. Jej rysy znowu miękną od czułości.

– Nieśmiała. Naprawdę nieśmiała. Nie mówię, że to była najważniejsza rzecz, wcale nie, ale wtedy przykrywała prawie wszystkie inne.

– Miała szczególny powód? Czy po prostu taka była?

– Trochę taka była, zwłaszcza w takim wieku. Ale chyba przede wszystkim przez matkę.

– Tak? Jaką była osobą? – To właśnie mam na myśli, gdy mówię, że Steve nieźle sobie radzi ze świadkami. Wychylona sylwetka na kanapie, przechylona na bok głowa, ton głosu; nawet ja byłabym gotowa uwierzyć, że jest autentycznie, po ludzku zaciekawiony.

– Załamaną – odpowiada Lucy. – Mówię o pani Murray, nie o Ash. Naprawdę kompletnie załamaną; powinna chodzić na terapię albo brać leki. Albo jedno i drugie.

Steve z przejęciem kiwa głową.

– Na czym polegało to załamanie?

– Ash mówiła, że kiedyś, zanim się poznałyśmy, wszystko z nią było w porządku. Ale gdy Ash miała niecałe dziesięć lat, odszedł od nich jej ojciec. – Lucy powinna się uspokajać, skoro zostawiliśmy temat morderstwa, haszu czy cokolwiek innego przed nami ukrywa, ale palce trzymające papierosa ciągle są sztywne, a stopy mocno wbite w zachlapaną farbą deski podłogi, jak gdyby lada chwila musiała stąd uciec. – Nigdy się nie dowiedziały, z jakiego powodu. Nie powiedział. Po prostu... zniknął.

– I to pomieszało w głowie pani Murray.

– Nigdy się z tego nie otrząsnęła. Zaczęła się staczać i nie umiała się już zatrzymać. Ash mówiła, że się wstydzi; uważała, że to na pewno jej wina. – Lucy znów krzywi usta, w których trzyma papierosa, ale tym razem nie ma w tym ciepła. – Takie pokolenie. To kobieta była zawsze wszystkimu winna, a jeżeli nawet nie zawiniła inaczej, to pewnie za słabo się modliła. No więc, mama Ash właściwie odcięła się od wszystkich. Chodziła wprawdzie na zakupy i do kościoła, ale nic więcej. Kiedy się poznałyśmy, Ash miała za sobą dwa lata, które prawie całe przesiedziała w domu, tylko z mamą i telewizorem... była jedynaczką. Nigdy nie chciałam do nich chodzić, bo bałam się jej mamy... Słyszałam na przykład, jak płacze w sypialni, albo wchodziłam do kuchni i widziałam, jak stoi i wpatruje się w łyżkę, a na kuchence coś się przypala. Zasłony były zawsze zasunięte, żeby ktoś nie zobaczył jej przez okno i... nie wiem, nie pomyślał sobie o niej czegoś złego... A Aislinn musiała tam mieszkać.

Steve wcisnął przycisk URUCHOM. Lucy mówi coraz szybciej; nie przerwie, dopóki my jej nie przerwiemy albo dopóki sama się nie zatnie.

– No i jeszcze różne drobiazgi. Na przykład, jej mama nie wychodziła z domu i nie miały za dużo pieniędzy, więc Ash zawsze była ubrana nie tak jak trzeba. Nigdy nie miała rzeczy, które nosiła reszta dziewczyn w szkole, zawsze chodziła w szmatach ze sklepów dobroczynnych, niemodnych od co najmniej dwóch lat i w dodatku nietwarzowych. Kiedyś pożyczałam jej swoje rzeczy, ale nosiłyśmy różne rozmiary... To też był powód jej braku pewności siebie. Aislinn zawsze była... no, może nie gruba, ale miała trochę nadwagi. Czasem moja mama coś jej kupiła, ale nas było czworo w domu, więc nie mogła sobie pozwolić na zbyt dużo. Może to nie brzmi aż tak poważnie, ale gdy masz dwanaście lat i wszyscy już wiedzą, że twój ojciec odszedł, a matka zwariowała, to na pewno nie masz ochoty wyglądać jak jakieś dziwadło.

To historie, które lubi Steve, ale ja mam się przed nimi na baczności. Jego zdaniem, pozwalają nam lepiej poznać ofiarę. A ja myślę o tych filtrach. Wiem już, że Lucy ma jakiś sekret, którego nie udało się nam ustalić. Dostajemy obraz Aislinn odmalowany tylko i wyłącznie przez Lucy, która może z nim zrobić, co tylko zechce.

– Zabrzmi to ostro, Lucy – uprzedzam ją – i przykro mi z tego powodu, ale nie rozumiem, dlaczego zostałąście przyjaciółkami. Próbuję to rozgryźć, lecz nie znajduję ani jednej rzeczy, która mogłaby was łączyć. Jak to się stało?

– Trzeba by tam być. – Lucy lekko się uśmiecha; nie do mnie, tylko do tego, co widzi we wspomnieniach. – Coś nas ze sobą łączyło. Ja też nie miałam w szkole życia jak z bajki. Nie byłam wyrzutkiem, ale zawsze interesowało mnie stolarstwo i elektryka, dlatego wszystkie te przewodniczki stada przypieprzały się do mnie, nazywały mnie lesbą, a reszta, która chciała się do nich przyłączyć, robiła to samo. To zresztą nie była jakaś wielka męczarnia, ale w sumie szkoła była do kitu. Za to Ash myślała, że jestem świetna, dokładnie z tych samych powodów, dla których wszyscy inni robili sobie ze mnie jaja. Uważała mnie za niezwykłą bohaterkę tylko dlatego, że mówiłam innym dziewczynom, żeby się odpieprzyły, i robiłam, co chciałam, chociaż im się to nie podobało. Ash uznała, że to najgenialniejsza rzecz na świecie.

Uśmiech przechodzi w jakiś żalony spazm. Lucy zaciąga się papierosem i wolno wypuszcza dym, żeby nad sobą zapanować.

– Owszem, początkowo kumplowałam się z nią między innymi dlatego, że podobało mi się, że uważa mnie za kogoś niezwykłego, ale potem po prostu ją polubiłam. Ludzie uważali ją za tępą, ale z powodów, o których mówiłam. Przez brak pewności siebie sprawiała wrażenie, jakby nie bardzo nadażała. A ona wcale nie była tępa. Tak naprawdę była wyjątkowo spostrzegawcza.

Steve cały czas kiwa głową jak oczarowany. Mnie też zaciekawiła jej opowieść, chociaż nie aż tak. Lucy chce, żebyśmy poznali Aislinn, a przynajmniej jej wersję Aislinn; bardzo jej na tym zależy. Czasem się z tym spotykamy: przyjaciele i rodzina chcą nam podetkać pod nos niewinnego baranka, żebyśmy nie pomyśleli, że to była wyłącznie wina ofiary. Robią to zwykle wtedy, gdy przypuszczają, że przynajmniej częściowo była to wina ofiary. Lucy mógł wystarczyć fakt, że Aislinn chodziła do łóżka z żonatym facetem, a może chodziło o coś więcej.

– Poza tym umiała dostrzec coś zabawnego w najbardziej zafajdanych sytuacjach. Na przykład raz pożałam się z jedną krową z naszej klasy, a potem wkurzona i nabuzowana adrenaliną burczałam: „Za kogo ta pipa się uważa, powinnam dać jej w pysk, aż...”. Ash zaczynała chichotać, ja się jeżyłam: „Co?! To wcale nie jest śmieszne!” i już chciałam na nią naskoczyć, ale ona na to: „Byłaś super, wyglądałaś jak wściekły kotek, który przegania wredną parszywą hienę”. A potem zaczęła mnie naśladować, jak podskakuję, próbując trafić pięścią w coś wysoko nad moją głowę. „Myślałam, że ucieknie – mówiła – że schowa się w kącie i będzie wołać o pomoc, ty będziesz ją gryźć po kostkach, a wszyscy stłoczą się dookoła i będą skandować twoje imię...”. W końcu ja też wybuchałam śmiechem i cała historia już mi się nie wydawała taka ważna. Sama też nie czułam się taka

ważna.

Lucy się śmieje, ale słychać w tym wymuszony ton, jak gdyby zmagająca się ze sporym ciężarem bólu, który ciągnął ją w dół.

– Taka była Ash. Dzięki niej życie stawało się lepsze. Może dlatego, że miała praktykę z matką i starała się, żeby żyło się im przynajmniej znośnie... nie wiem. Ale nawet kiedy nie umiała zmienić własnego życia na lepsze, zmieniała innym.

Błagam, nie wiem, jak jeszcze... Ta kobieta ciągle była dwunastolatką, którą opisywała Lucy: pucołowatą, niepewną siebie, ubraną w rzeczy, w których nikt nie wyglądałby dobrze, a na pewno nie ona. Martwa kobieta, którą widziałam, była kimś zupełnie innym.

– Jednak jej też jakoś się ułożyło – mówię. – Wyrosła na piękną kobietę, nabrała trochę klasy, trochę pewności siebie. Prawda?

Lucy rozgnięta niedopałek, bierze szklankę, ale nie pije. Wróciliśmy do terażniejszości, więc znowu staje się ostrożna.

– Nie tak szybko, jak powinno – odpowiada. – Nawet kiedy skończyłyśmy szkołę, dalej mieszkała z matką. Uważała, że nie może jej zostawić, i chociaż uznałam, że to okropny pomysł, rozumiałam, dlaczego to robi: bez Aislinn matka w ciągu kilku tygodni pewnie popełniłaby samobójstwo. I tak do niedawna, jeszcze parę lat temu, Ash co wieczór wracała do tego samego domu, jak w czasach naszego dzieciństwa. Przez to... – Lucy obraca szklankę w dłoniach, przyglądając się, jak światło tańczy na powierzchni wody. – Przez to nie mogła dorosnąć. Miała pracę, ale ciągle tę samą, odkąd skończyłyśmy szkołę. Była recepcjonistką w hurtowni, która sprzedaje firmom mydło i papier toaletowy. I nie byłoby w tym nic złego, gdyby chciała to robić. Ona tymczasem nie wiedziała, czego chce, bo nigdy nie miała okazji się nad tym zastanowić. Wyobrażałam sobie, jak mamy trzydzieści, czterdzieści lat i Ash pracuje w tym samym miejscu, do którego trafiła przypadkiem, a potem wraca prosto do domu, żeby zająć się matką, a całe życie... – Lucy pstryka palcami, unosząc dłoń w smudze białych promieni słońca – po prostu przelatuje. Zresztą sama to widziała. Nie miała tylko pojęcia, co może na to poradzić.

– No i co się stało? – pyta Steve.

– Pani Murray umarła. Trzy lata temu. Źle to zabrzmiało, ale Ash nie mogło się przydarzyć nic lepszego.

– Na co zmarła?

– Chodzi o to, czy popełniła samobójstwo? – Lucy kręci głową. – Nie. Miała tętniaka mózgu. Ash wróciła po pracy do domu i ją znalazła. Była zdruzgotana, oczywiście, ale po jakimś czasie zaczęła się z tego otrząsać i... wtedy zaczęło się jej prawdziwe życie. Sprzedała dom, kupiła szeregowkę w Stoneybatter. Zrzuciła sporo wagi, ufarbowała włosy, kupiła nowe ubrania, zaczęła wychodzić z domu...

– Niespodziewany uśmiech. – Bywała nawet w modnych miejscach. To była ta sama dziewczyna, którą kiedyś musiałam wyciągać na jedno piwo w jakimś zapłutym pubie, a teraz nagle nabrała ochoty na wyjście do supereleganckiego klubu, o którym czytała w rubryce towarzyskiej. Kiedy mówiłam, że nie ma szans, żeby bramkarz mnie wpuścił, odpowiadała: „Zrobię cię na bóstwo, pożyczę ci jakieś rzeczy, spokojnie, uda się wejść!”

Lucy uśmiecha się szerzej.

– I rzeczywiście się udało. To nie był mój klimat... tłum palantów w markowych ciuchach, którzy urządzili zawody, kto najgłośniej potrafi wrzeszczeć... ale było warto, żeby zobaczyć Ash. To był jej bal. Tańczyła, flirtowała z jednym z tych palantów, a potem puściła go kantem... Bawiła się jak dziecko w wesołym miasteczku.

Uśmiech znika. Lucy nabiera głęboko powietrza i głośno je wypuszcza, starając się zapanować nad sobą.

– Miała wreszcie okazję pomyśleć, co chce robić. Zaczynała nabierać przekonania, że w ogóle wolno jej się nad tym zastanawiać. Dopiero zaczynała...

Miała okazję, zaczynała nabierać. Lucy powoli przenosi Aislinn do czasu przeszłego. Dociera do niej. Lada chwila może się rozkleić.

– Zamierzała rzucić pracę. Nigdy wcześniej nie miała za bardzo na co wydawać pensji, więc zaoszczędziła kupę pieniędzy i chciała sobie zrobić rok czy dwa przerwy, żeby zdecydować, czym chce się potem zająć. Mówiła... – Następnym głębokim wdechem. – Mówiła o podróżach... nigdy nie wyjeżdżała z Irlandii... o college'u... Była tym dosłownie oszołomiona. Jak gdyby zbudziła się do życia ze śpiączki trwającej piętnaście lat i nie mogła uwierzyć, że słońce świeci tak jasno. Była...

Głos jej się łamie. Lucy pochyla głowę i skrobie następną zaschniętą plamę farby tak mocno, że chyba wbija paznokcie w ciało przez nogawkę bojówek. W cokolwiek z nami gra, wyraźnie widać, że to ją męczy.

– Jak to się...? Co on jej zrobił? – pyta, zwracając się do swoich kolan.

– Ze względów operacyjnych nie wolno nam zdradzać szczegółów – wyjaśniam. – Możemy tylko powiedzieć, że nie cierpiała.

Lucy otwiera usta, chcąc powiedzieć coś jeszcze, ale nie umie wydobyć z siebie głosu. Łzy kapią na bojówki i wsiąkają ciemnymi plamami.

Przyzwyczajenie nakazywałaby wyjść i zostawić ją w spokoju, żeby uderzyła ją i pochłonęła pierwsza fala rozpacz. Żadne z nas nie rusza się jednak z miejsca. Lucy wytrzymuje prawie minutę, a potem zaczyna szlochać.

Podajemy jej chusteczki i ponownie napełniamy szklankę wodą, pytamy, czy ma kogoś, kto mógłby przyjść i z nią zostać, ze współczuciem kiwamy głowami i zostajemy na kanapie, gdy udaje się jej wykrztusić, że woli zostać sama. Kiedy może już normalnie mówić, prosimy ją, żeby zrobiła listę byłych chłopaków

Aislinn – wszystkich trzech, łącznie z jakimś Jorge’em, w którym zadurzyła się na dwa tygodnie podczas wakacji, gdy miała siedemnaście lat, niezła z niej była zawodniczka – oraz wszystkich osób, które Lucy zapamiętała z promocji książki. Pytamy – tylko dla porządku, musimy dopełnić wszystkich formalności i zapytać wszystkich – gdzie Lucy spędziła wczorajszy wieczór. Była w Torch; przyjechała do teatru o wpół do siódmej, robiła różne rzeczy, o czym mogły zaświadczyć inne osoby, aż do zakończenia spektaklu tuż po dziesiątej, potem wstąpiła do pubu na parę kolejek i około pierwszej w nocy wróciła do domu z operatorem świateł oraz dwójką aktorów i całe towarzystwo zabawiało się w wiadomy sposób do mniej więcej czwartej. Sprawdzimy jej wersję – ściślej mówiąc, zrobią to nasze mrówki – ale nie znajdziemy w niej nieścisłości.

Kiedy zamierzam poruszyć temat oficjalnej identyfikacji zwłok, Steve mówi:
– Tu są nasze wizytówki. – Zerka na mnie. Gryzę się w język i wyjmuję wizytówkę. – Jeżeli uznasz, że jesteś gotowa złożyć oficjalne zeznanie, zadzwoń do nas.

Lucy machinalnie bierze wizytówki, nie wiedząc, co właściwie trzyma w ręce.

– Proszę, żebyś do tego czasu nie rozmawiała z żadnymi dziennikarzami – uprzedzam ją. – Serio. Nawet gdybyś uważała, że nie mówisz im nic ważnego, możesz nam poważnie zaszkodzić w śledztwie. Zgoda? – Nie mogę się pozbyć myśli o Kretynie Crowleyu, którego gębę ciągle mam gdzieś w tyle głowy. Jeżeli ktoś go na mnie szczuje, to na pewno ktoś, kto będzie miał dostęp do informacji o Lucy.

Dziewczyna kiwa głową, ocierając oczy wierzchem dłoni – zdążyła już zużyć wszystkie chusteczki. Zresztą nie ma to znaczenia; łzy płyną bez przerwy.

– Ktokolwiek to zrobił – mówi schrypniętym od płaczu głosem – to jakby zabił małe dziecko, które nie miało szansy zacząć normalnie żyć. Zabrał jej całe życie. Możecie o tym pamiętać? W czasie śledztwa?

– Nie martw się – uspokajam ją. – Zrobimy wszystko, co się da, żeby go złapać.

Lucy poddaje się i łzy zaczynają kapać jej po brodzie. Wygląda okropnie, ma półprzymknięte od opuchlizny oczy i smugę fioletowej farby na policzku.

– Tak, wiem, tylko... Możecie o tym nie zapominać?

– Zgoda – przytakuję. – Będziemy to mieli na uwadze. Ale w zamian za to zastanów się, czy możesz nam powiedzieć coś więcej. Cokolwiek. Dobrze?

Kiwa głową, choć nie wiadomo, co to może znaczyć. Nie patrzy na żadne z nas. Wychodzimy, a ona zostaje ze wzrokiem utkwionym w przestrzeni, wśród popiołu i resztek minionej nocy.

* * *

Kiedy siedzieliśmy u Lucy, na dobre zaczął się już dzień. Rathmines tętni życiem: studenci szukają lekarstwa na kaca, pary dbają o to, żeby cały świat widział, jak bardzo się kochają, rodziny za wszelką cenę zamierzają cieszyć się życiem rodzinnym. Wystarczy rzut oka i oboje wpadamy w lej poranka, gdy twoje ciało nagle sobie uświadamia, że całą noc byłeś na nogach, i wyłącza silnik, a ty zaczynasz słać się ze zmęczenia.

– Kawy – mówi Steve. – Jezu, jak mi się chce kawy.

– Mięczak.

– Ja? Jak zamkniesz oczy, padniesz na twarz i zaśniesz. No, spróbuj.

– Odwal się.

– Kawy. I jeść.

W pracy nie znoszę tracić czasu na jedzenie, nie mogę się doczekać, kiedy wynajdą jakąś odżywkę w pigułce, którą można będzie połknąć dwa razy dziennie, ale dopóki to się nie stanie, Steve'owi i mnie trzeba dużo jedzenia.

– Ty stawiasz, twoja kolej – przypominam. – Znajdź jakieś miejsce, gdzie sprzedają kawę na litry.

Steve dobrze wywiązuje się z zadania: omija lśniące modne lokale, gdzie podają chai i cronuty – połączenie amerykańskich pączków z croissantami – i wybiera najmniejszą i najnudniejszą knajpkę na rogu, a po chwili wychodzi z ogromnymi, stawiającymi na nogi porcjami kawy oraz wielkimi bułkami, w których piętzy się tyle kiełbasek, jajek i plasterków bekonu, by dostarczyły nam energii na większą część dnia. Zabieramy śniadanie do niewielkiego parku przy bocznej uliczce; jest na to o wiele za zimno, w powietrzu wisi paskudna wilgoć zapowiadająca śnieg z deszczem, który lada chwila może spaść nam kark, ale wysiadając z samochodu, wiemy, że nikt nie będzie nam zawracał głowy przez radio, poza tym musimy pogadać o rzeczach, o których raczej nie rozmawia się w kafejce.

Park wygląda uroczo, wszystkie ławki z bokami z kutego żelaza, starannie przyszyte żywopłoty i klomby czekają na wiosnę; kiedy jednak przyjrzeć się dokładniej, można zauważyć zużytą prezerwatywę wkręconą w żywopłot, wiszącą na balustradzie niebieską foliową torbę, z której wystaje coś, co mi się nie podoba. To miejsce ma swoje nocne życie. W blasku słońca byłoby zatłoczone, ale niepogoda budzi w ludziach opory. Na jednej z ławek siedzi facet w uniformie Tesco i pali papierosa, rozglądając się nerwowo po każdym sztachu, jak gdyby sprawdzał, czy nikt go nie widzi; dzieciak z ponurą miną zatacza koła na hulajnodze, podczas gdy jego matka buja kwilącym wózkiem, przesuwając palec po ekranie telefonu. Dzieciak ma czapkę, która wygląda jak dinozaur pożerający mu głowę.

Znajdujemy ławkę, której zapach świadczy o tym, że nikt ostatnio na nią nie nasikał. Stawiam kołnierz i jednym łykiem wlewam w siebie połowę kawy.

- Miałaś rację. Warto było pogadać z Lucy.
- Aha, tak mi się wydaje. Mimo wszystko to może być Rory Fallon...

Spoglądałam na niego spode łba.

- Bo to on. Prawie na sto procent on.

Steve niezdecydowanie kiwa głową. Rozkłada papierowe serwetki, żeby nimi przykryć przód marynarki – kanapki są zabójcze, a Steve bardzo poważnie traktuje swoje służbowe ubranie.

- Może. Ale tak czy inaczej, warto wiedzieć o całej reszcie.

Czuję się lepiej; kawa otworzyła mi szeroko oczy jak jakiejś postaci z kreskówki.

– Przynajmniej wiemy, dlaczego chata Aislinn wyglądała jak Domek Barbie Profesjonalistki – mówię. – I dlaczego Aislinn wyglądała jak Barbie Wymarzona Randka. Ta kobieta nie miała o niczym pojęcia; składała samą siebie z tego, co zobaczyła w kolorowych magazynach.

– Taka dziewczyna jak ona musiała być bezbronna – dodaje Steve. – Naprawdę bezbronna.

– Co ty powiesz! Rory mógł być kompletnym psycholem i mówiło o tym więcej znaków ostrzegawczych niż na górskiej drodze nad przepaścią, ale jeżeli tylko nosił markowe rzeczy i pomagał jej włożyć płaszcz, i tak zaprosiłaby go na kolację na randce numer trzy. Bo tak wypada.

– Lucy jest bystrzejsza – zauważa Steve. – Gdyby rzeczywiście było tyle sygnałów alarmowych, musiałyby je dostrzec.

– À propos. – Bułka jest niezła, przełożona grubymi plastrami bekonu, wszędzie rozlewa się tłuszcz i żółtko; czuję, jak powoli wraca mi energia. – Co myślisz o Lucy?

– Inteligentna. Przestraszona. – Skończył układać sobie śliniak na gorsie, stawia kubek z kawą na ławce i zaczyna odwijać kanapkę. – Coś ukrywa.

– Ukrywa bardzo dużo. I to właśnie nie ma sensu. Daj spokój! To kitowanie, dzielenie włosów na czworo, że to przyjaciółka od dawna, ale nie najbliższa, nie taka i nie najlepsza... Przecież widać, że była bardzo przywiązana do Aislinn. No więc, o co biega? Nie chce, żebyśmy złapali tego gościa?

– Twoim zdaniem, wie o tym żonatym chłopaku Aislinn więcej, niż nam zdradziła?

– Moim zdaniem, mamy tylko słowo Lucy na to, że ten żonaty chłopak w ogóle istnieje. – Staramy się rozmawiać przyciszonymi głosami; facet z Tesco i matka z wózkami wyglądają, jakby ledwie zwracali uwagę na naszą obecność, ale nigdy nie wiadomo. – Cholernie starała się nie podać żadnego szczegółu, który moglibyśmy zakwestionować, zauważyłeś? Żadnych nazwisk, opisów, dat, miejsc, w których się spotykali, nic.

Steve rozłożył bułkę na kolanach i starannie dekoruje jej zawartość sosem

z saszetki.

– Przypuszczasz, że wymyśliła go na poczekaniu? Tylko po co?

– Za bardzo chce wiedzieć, czy Rory jest naszym głównym podejrzanym – mówię. – Nie tyle chodzi jej o to, kto to zrobił jej przyjaciółce, ile chce wiedzieć, czy bierzemy pod uwagę przede wszystkim Rory’ego.

– Aha. – Steve wyciska resztę sosu prosto do ust i wyrzuca opakowanie do kosza na śmieci obok ławki. – Nie zrozumiałem tylko, czy liczyła na to, że tak, czy że nie. Od razu podała nam imię Rory’ego, powiedziała, że wczoraj wieczorem miał być u Aislinn, ale potem...

– Właśnie. To nic takiego, że podała imię i powiedziała o randce. Musiała się domyślić, że już o tym wiemy albo za chwilę będziemy wiedzieć. A potem rozpływała się nad nim, jaki to był miły chłopak, że nigdy nie wyczuła od niego zagrożenia, że Aislinn była z nim szczęśliwa. Może to wszystko prawda, może próbowała odciągnąć od niego naszą uwagę, bo rzeczywiście nie wierzy, że to on, nie chce, żebyśmy marnowali czas, zamiast łapać prawdziwego sprawcę. Zastanawiam się jednak, czy Rory naprawdę jest jej tak obojętny, jak sama twierdzi.

Steve unosi brwi.

– „Trochę nudziarz, ale Ash pewnie zobaczyła w nim coś, czego ja nie widziałam”.

– Aha, na to też mamy tylko słowo Lucy. Równie dobrze mogła być tak samo zainteresowana Rorym jak jej przyjaciółka. Mogła się z nim spotykać za jej plecami.

– Przecież właśnie powiedzieliśmy, że była przywiązana do Aislinn. I to bardzo.

– No i z jakiegoś powodu niechętnie się do tego przyznaje. Może to wyrzuty sumienia. – Wypijam następny łyk kawy. – Jak sama mówiła, taki cholerny trójkąt może się źle skończyć.

– Ma alibi – przypomina mi Steve.

– Ma, poza tym szok był autentyczny. To nie ona. Ale jej alibi oznacza, że nie może dać alibi Rory’emu. Czyli jeżeli chce, żebyśmy się od niego odczepili, wszystko jedno, z jakiego powodu, ma tylko jedno wyjście: wymyślić jakiegoś tajemniczego drugiego faceta, którego powinniśmy szukać.

Steve żuje i myśli.

– Sprawdzimy numery Lucy i Rory’ego, ich maile, konta na Facebooku, zobaczymy, czy się kontaktowali. Jeżeli nie, to i tak niczego nie dowodzi. Lucy mimo to mogła się w nim bujać.

– Aha. – Dzieciak z dinozaurem na głowie kręci się przy nas, balansując na hulajnodze i gapiąc się na nasze bułki. Patrzą na niego z ukosa, aż w końcu się wycofuje.

– I trzeba jak najszybciej przejrzeć rzeczy Aislinn, poszukać dowodu na istnienie tego drugiego. Jeżeli istniał, musimy coś znaleźć. Wiadomości, połączenia, maile.

Steve ogląda kanapkę, wybierając miejsce ataku.

– No... – bąka – może.

– Że niby co znaczy „może”? Dzisiaj nie ma już czegoś takiego jak niewidzialność. Jeżeli nie zostawił po sobie śladów, to dlatego, że go nie było.

– Powiem ci, co mi przyszło do głowy – mówi Steve. – To tylko luźna myśl. Zastanawiałem się jednak, czy ten drugi chłopak Aislinn nie był przypadkiem przestępcą? Na przykład gangsterem?

Kawałek smażonego jajka omal nie wpada mi do nosa.

– Jezu, Moran! Tak strasznie marzysz, żeby zrobić z tego ciekawą sprawę? Szkoda, że przymknęli Whiteya Bulgera¹, bo mógłbyś podejrzewać, że to on.

– Tak, jasne. Pomyśl. To wyjaśnia, dlaczego Lucy nie chce, żebyśmy ścigali Rory’ego: jest pewna, że to ten drugi, nie chce, żebyśmy szli fałszywym tropem. To wyjaśnia, dlaczego od razu się domyśliła, że przyszliśmy w sprawie Aislinn. Wyjaśnia, dlaczego wczoraj wieczorem w SMS-ie radziła jej ostrożność. Gdyby Aislinn przyprawiała rogi kryminaliście, musiałaby cholernie uważać, zapraszając nowego chłopaka na kolację...

Otwieram usta, żeby go zmieszać z błotem, gdy nagle dociera do mnie, że Mały Optymista ma rację. To by pasowało.

– Jezu – mówię tylko. Znowu tłucze się we mnie ten puls, niemal unosząc mnie z ławki. Chrzanić kawę! Ta robota, jeżeli tylko jest dobra, właśnie ta robota daje kopa, dla którego nałogowcy są gotowi poświęcić życie. – To by też wyjaśniało, dlaczego Lucy coś przed nami ukrywa. Chce, żebyśmy go złapali, ale nie ma najmniejszej ochoty zeznawać przed sądem i opowiadać na oczach jakiegoś gangstera, że to ona go wsypała. Dlatego podrzuca nam taką rzecz pod rozwagę, ale sama zarzeka się, że nie ma pojęcia, jak ten drugi się nazywa, że nic o nim nie wie, nie może nam nawet przysiąc, że facet w ogóle istnieje, a ona i Aislinn wcale nie były ze sobą tak blisko. Punkt dla ciebie. To się trzyma kupy.

– Ma się co nieco w głowie – mamrocze z kęsem bułki w ustach i pokazuje uniesiony kciuk. Przetyka i dodaje: – A gdyby to był gangster, uważałby, żeby nie zostawiać śladów. Żadnych SMS-ów, telefonów, nic z tych rzeczy.

– Zwłaszcza gdyby to był żonaty gangster. Połowa z nich żeni się z siostrami, kuzynkami innych bandziorów. Zrobisz skok w bok i zanim się obejrzyś, masz przestrzelone kolana. – Czuję już, że łapię drugi oddech. Jeżeli ta wersja się potwierdzi, stary chyba wysra jeża; to nie ma nic wspólnego z rutynowymi sprawami pokłóconych kochanków. – Jezu, to naprawdę ma sens.

– I wiadomo, dlaczego zadzwonił do komisariatu w Stoneybatter. Pierwszy lepszy cywil dzwoniłby pod dziewięć dziewięć dziewięć, gdyby chciał wezwać

karetkę...

– A kryminalista albo jego kumpel wiedziałby, że rozmowy z dziewięć dziewięć dziewięć są nagrywane. Nie chciał zostawiać na taśmie swojego głosu, żebyśmy nie mogli go zidentyfikować, zwłaszcza jeżeli już go znamy. No więc, zadzwonił do miejscowego komisariatu.

– Właśnie – zgadza się Steve. – Tylko jeden szczegół mnie zastanawia. Czy, twoim zdaniem, Aislinn wygląda na typ kobiety gangstera? Taka miła dziewczyna?

– Cholera, jasne, że tak. Modelowy typ. Miała takie nudne życie, że na samą myśl mam ochotę walnąć się młotkiem w twarz, żeby nabrało odrobiny atrakcji. Wiesz, co znalazłam w jej biblioteczkę? Masę książek o zbrodniach w Irlandii, w tym grubaśne tomy o gangach.

Steve parska śmiechem.

– Co ty. Może faktycznie była takim typem.

– Pomyślałam, że szuka mocnych wrażeń z drugiej ręki, ale możliwe, że zgłębiała tajniki pracy nowego chłopaka albo książka miała być tylko rozrywką, a dopiero potem trafiła się jej okazja poznać oryginał. Słyszałeś, co mówiła Lucy: Aislinn nie miała szczególnie rozwiniętego poczucia moralności ani nawet zdrowego rozsądku, które powstrzymałyby ją przed związkiem z kryminalistą. – Staram się panować nad głosem. To dopiero początek sprawy; na razie mamy kupę domysłów i przypuszczeń, które w każdej chwili mogą się rozwiać jak dym. – Wyobraź sobie, że jakiś śliski koleś podrywa ją w klubie. Jeżeli jest przystojny i dobrze ubrany, będzie wniebowzięta. To będzie dla niej wydarzenie roku.

– Większość gangsterów nie ubiera się za dobrze – wtrąca Steve. – Ubierają się tragicznie. I często tragicznie wyglądają.

– Czyli to ograniczy wybór. A po kilku miesiącach zachwyty mija, Aislinn zaczyna zauważać, że jej bombowy chłopak to w gruncie rzeczy bydlę. Właśnie wtedy poznaje Sympatycznego Rory'ego. Rzuca bydlaka... albo raczej nie może się zdobyć na odwagę, żeby to zrobić, więc zaczyna spotykać się z Rorym po cichu. Tak czy tak, bydlak nie jest zadowolony.

– Myślisz, że Lucy wie, jak on się nazywa?

– Jeżeli w ogóle można to wiedzieć.

– Jeżeli?

– Pewnie zna tylko imię albo ksywę. I pewnie nam nie powie. Jeżeli facet istnieje, będziemy musieli znaleźć go sami.

– Nie mam nikogo zaufanego w wydziale przestępczości zorganizowanej. A ty?

– Nie bardzo... hm... tak jakby. – Nie mogę spokojnie usiedzieć w miejscu, kiedy coś takiego tańczy mi przed nosem. Wpycham do ust ostatni kęs bułki, zwijam papier w kulkę i wrzucam do kosza nad głową Steve'a. – Tym się na razie nie przejmuj. Teraz trzeba uciąć sobie miłą pogawędkę z Rorym Fallonem.

Zależnie od tego, co z niej wyniknie, zdecydujemy, czy warto sprawdzić ten trop. A tymczasem...

Kątem oka dostrzegam jakiś ruch i błyskawicznie się odwracam, ale to tylko ten facet w uniformie Tesco, który nawciągał się już dymu i wraca pędem do ustawiania towaru na półkach. Wzdryga się i próbuje spiorunować mnie wzrokiem, ale celuję w niego palcem, więc skupia się na przebieraniu nogami. Kiedy prowadzę sprawę, staję się nerwowa, jak pewnie powiedziała by O'Kelly, ja jednak wolę to nazywać czujnością. Zresztą nie tylko ja; doświadcza tego wielu detektywów. To zwierzęcy odruch: gdy tropisz drapieżnika, to chociaż nie jesteś jego ofiarą i prawdopodobnie sam narobiłby w spodnie, gdybyście stanęli oko w oko, czujnik włącza ci w głowie pomarańczowy alarm. Ostatnio mam kłopoty z obniżeniem poziomu poczucia zagrożenia, nawet gdy nie pracuję.

– Tymczasem proponuję, żebyśmy nie puszczała pary z gęby na ten temat.

– Breslinowi.

– Nikomu. – Jeżeli nasza wersja się nie potwierdzi, staniemy się pośmiewiskiem wydziału: idiotami, którzy wytoczyli najcięższe działa, żeby rozpracować gang, a tak naprawdę mieli do czynienia ze zwykłą kłótnią kochanków. – To na razie same hipotezy, nie ma sensu nikomu ich podsuwać, dopóki nie będzie twardych dowodów. Na razie niech każdemu wystarczy, że Lucy opowiedziała nam o Aislinn, że, jej zdaniem, Rory wydawał się miłym chłopakiem, i tyle.

– W porządku – zgadza się Steve, trochę za szybko.

– Co ty powiesz! – Zdaję sobie sprawę, o co chodzi. – To dlatego chciałeś z nią pogadać z dala od biura. Ty cwany draniu.

– Mówiłem przecież. – Steve wyszczerza zęby w uśmiechu i zgniata swój śliniak z serwetek. – Ma się co nieco w głowie.

Dzieciak z dinozaurem na głowie spadł z hulajnogi i siedzi na ścieżce, próbując wydobyć z siebie przekonujący lament. Omijamy go w drodze do bramy, a kiedy dzwonię do naszych mrówek z poleceniem, żeby zgarnęli Fallona i przywieźli do centrali, kątem oka zauważam foliową torbę i uświadamiam sobie, co z niej wystaje: zdechły kot z sierścią przyklejoną płasko do czaszki, z obnażonymi ostrymi zębami, które rozchylają się szeroko w zastygłym wściekłym skowycie.

Biuro wydziału ożyło. Drukarka pracuje, dzwoni czyjś telefon, podniesiono żaluzje, próbując wpuścić odrobinę chuchrowatego słońca; w sali mieszają się zapachy kilku lunchów, herbaty, żelu pod prysznic, potu, gorąca i krzątania. O’Gorman siedzi rozparty na krześle z nogami na biurku, wrzuca do ust chipsy i krzyczy do Kinga o jakimś meczu; King czyta protokół zeznania i ilekroć O’Gorman robi przerwę dla nabrania oddechu, mruży „Aha”. Winters i Healy kłócą się o świadka, którego Healy chce mocniej przycisnąć, a Winters uważa to za stratę czasu. Quigley z grymasem niezadowolenia na obwisłym pysku przekopuje szafkę z dokumentami, zatrząskując szuflady mocniej niż trzeba; obok szafki pochylony nad biurkiem McCann przerzuca papiery i wzdryga się przy każdym trzasku – wygląda, jakby miał straszliwego kaca, ale z powodu zawsze widocznych worków pod oczami i wiecznego zarostu na policzkach i tak nigdy nie wygląda inaczej. O’Neill przyciska telefon do jednego ucha, a drugie zatyka palcem. Przy biurkach należących do mnie i Steve’a stoi dwóch facetów, prawdopodobnie nasze mrówki. Niezręcznie opierając się o to, co mieli pod ręką, próbują sprawiać wrażenie, że czują się swobodnie, i śmieją się z jakiejś bezsensownej historii opowiedanej przez Roche’a, licząc na to, że przypomni sobie o nich, gdy następnym razem będzie potrzebował kogoś do niewdzięcznej roboty.

Breslina ani śladu, ale na oparciu krzesła wisi jego płaszcz. Pewnie załatwia jeszcze pokój operacyjny i psioczy pod nosem na to, że komenderują nim tacy jak ja. Nie przejmuję się tym; Breslin za długo się w to bawi, żeby zadzierać nosa, kiedy nie ma z tego żadnego pożytku.

Parę osób unosi wzrok, kiedy wchodzimy ze Steve’em do biura, ale zaraz wraca do swoich zajęć. Nikt nas nie wita. My też z nikim się nie witamy. Idziemy do swoich biurek i mrówek. W biurze wydziału zawsze stawiam długie i szybkie kroki, powstrzymując instynktowną chęć, żeby ostrożnie przemykać na palcach, na wypadek gdyby ktoś zamierzał mi podstawić nogę. Nikt tego jeszcze nie zrobił, ale wydaje się, że to kwestia czasu.

– Cześć – mówię do mrówek, które prostują się i przywołują na twarze wyraz skupienia. Obaj są mniej więcej w naszym wieku: bysio, fan siłowni, który zaczyna już łysieć, oraz gruby blondyn próbujący zapuszczać wąs, chociaż z marnym skutkiem. – Conway, a to Moran. Macie coś dla nas?

– Stanton – odpowiada bysio, udając, że saltuje.

– Deasy – przedstawia się gruby. – Tak, parę minut temu przywieźliśmy waszego Rory’ego Fallona.

– Biedaczysko – odzywa się Roche ze swojego kąta cuchnącego wodą po goleniu i lepką klawiaturą. Roche to mięśniak bez szyi, który poszedł do tej roboty, bo staje mu tylko wtedy, gdy uda mu się zadręczyć kogoś do łez, ale nie jest głupi;

wie, kiedy trzymać ten instykt na uwięzi, a kiedy spuścić go ze smyczy, dzięki czemu osiąga całkiem niezłe wyniki. – Mam mu powiedzieć, żeby od razu obciął sobie jaja i oszczędził nam czasu i kłopotu?

– Nie moja wina, że mam lepszy wskaźnik wykrywalności od ciebie, Roche – informuję go. – To dlatego, że jesteś tumanem. Naucz się z tym żyć.

Mrówki są wyraźnie zaskoczone i próbują to ukryć. Roche patrzy na mnie bykiem, ale nawet tego nie zauważam.

– Co z tym Fallonem? – pytam, rzucając torbę na krzesło.

– Dwadzieścia dziewięć lat, właściciel księgarni w Ranelagh – odpowiada gruby. – Mieszka nad księgarnią.

– Z kimś?

– Nie. Sam.

Do kitu: współlokator byłby nie tylko niezłym świadkiem, ale też pierwszym kandydatem na człowieka, który zgłosił zdarzenie.

– Kiedy obserwowaliście jego dom, zdarzyło się coś ciekawego? – pyta Steve.

Spoglądają po sobie, kręcą głowami.

– Niewiele – mówi bysio. – Około dziesiątej w piżamie odsłonił okno od frontu. Poza tym nie zauważyliśmy żadnego ruchu. Jak weszliśmy go zdjąć, był już ubrany, ale nie miał butów, czyli nie wyglądało, jakby szykował się do wyjścia.

– Był po śniadaniu – dorzuca gruby. – Sądząc po zapachu, jadł coś smażonego i pił kawę.

Steve ściąga wzrokiem moje spojrzenie. Facet uderza i zabija swoją dziewczynę, potem wraca do domu i przebiera się w piżamkę, żeby położyć się do łóżeczka, a rano wstaje i napycha się sadzonymi jajkami z kiełbaską. To możliwe; Fallon mógł być tak oszołomiony, że działał na autopilocie albo był psychopatą, albo przygotowywał już obronę. Albo coś jeszcze innego.

W biurze jest gorąco, od irytująco suchego żaru swędzi mnie skóra szyi. Zdejmuję płaszcz.

– Co mu powiedzieliście?

– Tak jak chcieliście – odpowiada gruby. – Nic. Tylko tyle, że przypuszczamy, że być może ma jakieś informacje, które mogą się nam przydać w śledztwie, i poprosiliśmy, żeby pojechał z nami na komendę pogadać.

– I tak po prostu się zgodził? Bez żadnych pytań, bez problemów?

Obaj kręcą głowami.

– Uczynny gość – wyjaśnia bysio.

– Co ty powiesz – mówię. Ludzie, kiedy ich prosisz, żeby wpadli na posterunek i odpowiedzieli na parę pytań, zwykle domagają się przynajmniej odrobiny informacji, zanim rzucają swoje plany i zdecydują się z tobą pójść. Rory Fallon albo jest autentycznym frajerem, albo naprawdę bardzo chce się nam

przedstawić jako uczynny gość, który nie ma nic do ukrycia.

– Mówił wam coś po drodze? – dopytuje się dalej Steve.

– Kiedy wsiedliśmy do wozu, chciał wiedzieć, o co chodzi – informuje nas gruby. To też ciekawe. Oczywiście Rory mógł doskonale wiedzieć, o co chodzi, ale sądzi, że nie uda się nam tego udowodnić, co oznacza, że Lucy nie rzuciła się do telefonu, żeby do niego zadzwonić natychmiast po naszym wyjściu. Hipoteza o Lucy i Rorem traci jeden punkt. – Powiedzieliśmy mu, że nie znamy szczegółów, że dowie się od detektywów prowadzących dochodzenie. Później już się nie odzywał.

– Byliśmy dla niego mili – zaznacza bysio. – Zaparzyliśmy mu herbatę, chwaliliśmy go, jaki jest fajny, że chce nam pomóc, przekonywaliśmy, że bez takich odpowiedzialnych obywateli jak on nic by się nam nie udało zrobić, i tak dalej w tym guście. Uznaliśmy, że powinien być rozluźniony.

– Świetnie – chwali ich Steve. – Gdzie go zaprowadziliście?

– Do pokoju przesłuchań na końcu korytarza.

– To taki typ, który będzie się zastanawiał, czy nie prysnąć, jeżeli posiedzi sam przez parę minut?

Obaj wybuchają śmiechem.

– Nie – zapewnia bysio. – Mówiłem, uczynny gość.

– To dobry chłopak – dorzuca gruby. – Tylko zszedł na złą drogę.

– Dzięki – mówię. – Będzie nam potrzebna lista jego krewnych i znajomych. Możecie się do tego zabrać? Szczególnie interesują mnie przyjaciele, bracia, ojciec, kuzyni. Z informacją o sprawie dzwonił jakiś facet i jeżeli to nie Fallon, musimy ustalić, kto to był. – Bysio pilnie robi notatki w taki sposób, żebym to zauważyła. – Powinniśmy już mieć przygotowany pokój operacyjny – dodaję. – Odprawa o czwartej. Jeżeli godzina się zmieni, dam wam znać.

Mrówki oddalają się żwawym, choć starannie odmierzoną krokiem, by pokazać, że są czujni, ale nie działają w zbytnim pośpiechu. Pamiętam ten chód; pamiętam, jak sama poruszałam się w ten sposób, kiedy szłam robić listy i kserować zeznania dla jakiegoś detektywa z zabójstw, licząc w duchu, że kiedyś wychodzę sobie drogę do tego biura i nie będę musiała go już opuszczać. Na sekundę ogarnia mnie coś w rodzaju współczucia dla Stanton'a i Deasy'ego, dopóki sobie nie uświadomiam, że jeżeli kiedykolwiek tu trafią, poradzą sobie fantastycznie.

Steve włączył komputer i zaczyna klikać.

– Czemu chcesz zostawić Fallona samego? – pytam go.

– Tylko na chwilę. – Stuka w klawisze. – Gość wraca do domu, kładzie się spać, wstaje i smaży sobie jajka na śniadanie? Cokolwiek można o tym myśleć, wyjątkowo zimna krew jak na praworządnego obywatela. Nawet jeżeli tylko próbuje grać niewinnego. Sprawdzę, czy nie trafił do jakiejś kartoteki.

– Dziewczynę też sprawdź. Chcę wiedzieć, skąd ją pamiętam. – Dzwonię pod numer swojej poczty głosowej, przytrzymuję telefon brodą i zaczynam porządkować zeznania z nocnej imprezy bydlaków. Trzeba złożyć papiery u prokuratora, zanim upłynie przepisowy czas zatrzymania sprawców.

McCann mamrocze coś do komórki; najwyraźniej dostaje opieprz od swojej połowicy – „Przecież wiem. Przysięgam, że dzisiaj wrócę przed... tak, wiem, że mamy rezerwację. Oczywiście, że będę...” – a Roche pokazuje na migi trzaskanie batem.

Mam następną wiadomość od Breslina – zaczynam mieć nadzieję, że uda się nam przetrwać całą tę współpracę, nie odbywając ani jednego spotkania.

– Cześć, Conway. – Głos nadal aksamitny, na wypadek gdyby podsłuchiwało go Hollywood, ale daje się słyszeć ślad niezadowolenia; ja i Steve okazujemy się parą niesfornych policjantów. – Wygląda na to, że mamy kłopoty z porozumieniem. Wróciłem do centrali. Postaram się załatwić nam pokój operacyjny. Oddzwoń jak najszybciej. Do usłyszenia. – Usuwam nagranie.

– Rory’ego Fallona nie ma w systemie – melduje Steve.

– W ogóle?

– W ogóle.

– Mała Najświętsza Maryja – mówię. Nieobecność w systemie to zjawisko rzadsze, niż moglibyście przypuszczać; w kartotece lądujecie nawet przez mandat za przekroczenie szybkości. Oficjalnie Rory nie popełnił w życiu żadnego występku. – To wcale nie znaczy, że do wczorajszego wieczoru był dziewicą. Tylko że nigdy nikt go nie przyłapał.

– Wiem. Po prostu ci mówię.

– Sprawdziłeś już Aislinn?

– Właśnie to robię, poczekaj...

Dzwonię na pocztę głosową Breslina i zostawiam mu wiadomość z prośbą, żeby spotkał się z nami za dziesięć minut w pomieszczeniu technicznym przy pokoju przesłuchań.

– Nie – odzywa się Steve. – Na nią też nic nie ma. Od tych dwojga razem wziętych niedobrze się robi.

– Zdaje się, że byli dla siebie stworzeni – stwierdzam. – Szkoda tylko, że im nie wyszło. – Kończę przeglądać ostatnie zeznanie świadka i nieruchomościę.

Brakuje ostatniej strony. Bez niej – strony z podpisem – całe zeznanie jest nic niewarte.

Nigdy nie uda mi się udowodnić, że nie upuściłam kartki w drodze z pokoju przesłuchań. Istnieje nawet cień prawdopodobieństwa, że tak się rzeczywiście stało – było późno, czułam się zmęczona, wkurzona i spieszyłam się, żeby dokończyć robotę jeszcze podczas nocnej zmiany. Mogę to sprawdzić: krążyć tam i z powrotem jak idiotka, zaglądając z nadzieją pod biurka i do koszy na śmieci,

a cały pokój tych padalców będzie się krył za monitorami, tłumiąc w sobie chęć, żeby ryknąć pawianim śmiechem, i czekając, kto pierwszy nie wytrzyma. Mogę też wpaść w szał i wrzeszczeć, że powieszę skurwiela, który mi buchnął zeznanie, na co prawdopodobnie ktoś liczy. Mogę zamknąć gębę, odnaleźć tego bydlaka świadka i poświęcić następne parę godzin, by jeszcze raz go przekonać, że rozmowa z glinami jest w porządku, i wyciągać z niego zeznanie, monosylaba po monosylabie.

– O – odzywa się Steve. – Coś jest.

Dopiero po chwili przypominam sobie, co robi – jestem tak wściekła, że mam ochotę obgryźć blat własnego biurka. Steve unosi wzrok.

– Dobrze się czujesz?

– Tak, co znalazłeś? Jest ślad Aislinn w systemie?

– Nie, nie jej. Pewnie to nic ważnego, ale jest jej adres. Dwudziestego października w zeszłym roku o pierwszej w nocy jej sąsiad spod numeru dwadzieścia cztery zadzwonił do komisariatu w Stoneybatter. Wyszedł na patio, żeby zapalić ostatniego przed snem papierosa, i zobaczył, jak ktoś przechodzi przez mur za domem Aislinn, z jej patia na ulicę. Rysopis nie jest najlepszy. Na końcu uliczki stoi latarnia, ale sąsiad widział intruza tylko przez chwilę, i to od tyłu. Mężczyzna, średniej budowy ciała, w ciemnym płaszczu. Sądząc po jego ruchach, kiedy wspinał się na mur, sąsiad przypuszcza, że mógł być w średnim wieku, miał chyba jasne włosy, ale mogło się w nich odbijać światło. Stoneybatter wysłało na miejsce paru chłopaków, ale facet już dawno zniknął. Nie było śladów próby włamania, więc uznali, że sąsiad go spłoszył, zanim zdążył zabrać się do roboty. Udzielili Aislinn porady na temat środków bezpieczeństwa i dali sobie spokój.

– Hm. – Informacja nie wyjaśnia, gdzie wcześniej widziałam tę dziewczynę, jest jednak na tyle ciekawa, żebym na razie przestała myśleć o zaginionej stronie zeznania. – Masz coś o tym, jak zareagowała? Przestraszyła się, spanikowała? Poszła przenocować do Lucy?

– Nie. Tylko tyle: „Lokatorka ma w domu urządzenie alarmowe i drzwi wyposażone w odpowiednie zamki, ale doradzono jej, aby zainstalowała monitorowany alarm i sprawiła sobie psa”.

– I wiemy, że nie zastosowała się do rady. – Roche próbuje strzyc uchem; pokazuję mu środkowy palec i zniżam głos. – Jak na kobietę, która mieszka sama, zniosła to wtargnięcie na dużym luzie. Sprawia na tobie wrażenie kogoś z takimi jajami?

– Sprawia wrażenie kogoś, kto wiedział, że nie ma się czego bać – odpowiada Steve.

– Bo to nie był żaden włamywacz, tylko chłopak, z którym się potajemnie spotykała. Coś takiego! Może naprawdę istniał. – Znowu opanowuje mnie tamto podniecenie. Zagłuszam je. – Ale gdyby nawet istniał, to nie znaczy, że Rory

Fallon nie ma już kłopotów. Może się dowiedział, że Aislinn go zdradza, i nie bardzo mu się to podobało. Chodźmy go zapytać.

– Sekundę, chcę sprawdzić jeszcze jedną rzecz... – Steve z powrotem pogrąża się w komputerowych poszukiwaniach.

Wrzucam to, co zostało z zeznań, do zamykanej na klucz szuflady w biurku, gdzie od razu powinno się znaleźć, gdyby O’Kelly nie zaskoczył nas rano. Klucz wkładam do kieszeni spodni. Później otwieram notes i zza niego próbuję rozpracować biuro.

Nie widzę, by ktoś mnie obserwował, czekając, aż stracę głowę, ale przecież nie robiłby tego tak jawnie. Quigley znalazł akta, których szukał, i czytając je, dłubie w uchu, co pewnie oznacza, że nie spodziewa się, by ktokolwiek na niego patrzył, chociaż nigdy nie wiadomo. Quigley to dupek, O’Gorman kretyn, a Roche jest championem w jednej i drugiej kategorii; każdy z nich mógł uznać, że spieprzyć mi dzień to strasznie zabawny pomysł. McCann ma minę, jakby za bardzo cierpiał, by myśleć o czymkolwiek innym, a O’Neill zawsze wydawał się dość rozsądny, nie mogę jednak nikogo wykluczać.

Zresztą to i tak nie ma znaczenia. Nie chodzi o to, kto dokładnie wycina te cholerne numery – o czym wiedzą równie dobrze jak ja – bo za każdym razem winowajcą może być ktoś inny. Chodzi o to, że gównu mogę na to poradzić.

– Słuchaj – rzuca Steve przyciszonym głosem. – Mam coś jeszcze.

Tym razem nie zapominam o odpowiedzi.

– Tak? Co?

– Pomyślałem, że powinniśmy się dowiedzieć, czy Aislinn pojawiła się na celowniku ludzi z przestępczości zorganizowanej, pamiętasz? No więc sprawdziłem, czy ktoś jeszcze szukał jej w systemie. – Zaczynam się podnosić z miejsca, żeby zerknąć na monitor, ale Steve zatrzymuje mnie szybkim ruchem i ostrzegawczym spojrzeniem. – Nie wstawaj. I faktycznie: siedemnastego września w zeszłym roku ktoś ją próbował namierzyć.

Patrzmy na siebie.

– Musi być ze dwadzieścia kobiet, które nazywają się Aislinn Murray – mówię. – Co najmniej.

– Aislinn Gwendolyn Murray? Urodzona szóstego marca osiemdziesiątego ósmego?

Myśli kłębią mi się w głowie.

– Nie chcę wciągać w to przestępczości zorganizowanej. Przynajmniej na razie. Mam kumpla...

Steve przerywa mi, tak cicho, że nawet ja ledwie go słyszę:

– Ten, kto ją sprawdzał, wpisał login „Zabójstwa”.

Znowu spoglądamy na siebie. Wydaje mi się, że mam identyczny wyraz twarzy jak Steve: czujności; oboje próbujemy ocenić, ile czujności wymaga od nas

sytuacja.

– Jeżeli interesował się nią ktoś z zabójstw, to powinien to bez problemu ujawnić – mówię.

Twarz Steve'a tężeje. Mój partner posyła mi ostrzegawcze spojrzenie i otwiera usta, chcąc powiedzieć, dlaczego to zły pomysł, i ma rację – rozsądniej jest zachować wszystko dla siebie i sprawdzić to nieoficjalnymi kanałami – ale ciągle dręczy mnie myśl o brakującej stronie zeznania, mam potąd trzymania gęby na kłódkę i chodzenia na paluszkach we własnym wydziale. Obracam się na krześle do wszystkich i pstrykam palcami.

– Hej! Uwaga! – wołam donośnie na całe biuro. Twarze zwracają się w moją stronę, cichną rozmowy. – Aislinn Gwendolyn Murray, urodzona szóstego marca osiemdziesiąt osiem. Ktoś pamięta, czy we wrześniu zeszłego roku sprawdzał ją w komputerze?

Obojętne spojrzenia. Dwóch chłopaków kręci głowami, reszta nawet nie raczy zareagować i wraca do przerwanych zajęć.

Obracam krzesło z powrotem w stronę Steve'a.

– Może akurat nie ma go na tej zmianie – mówi. – Albo... – Wykonuje niejasny ruch głową.

– Albo nie dałby mi nawet ochłapu zgniłego mięsa, gdybym konała z głodu. Wiem. – Nie cierpię, kiedy Steve stara się być taktowny. – Albo chodziło o prywatną sprawę i po cichu zaglądał do kartotek.

To się często zdarza. Nie podoba ci się gęba chłopaka, którego córka przyprowadziła do domu, albo para, która przysłała obejrzeć twoje mieszkanie do wynajęcia, więc wstukujesz ich dane do komputera i sprawdzasz, czy coś wyskoczy. Wszyscy to robimy – moja matka była niezadowolona z nowego sąsiada, który rzeczywiście okazał się ćpunem, choć przynajmniej nie dilerem, zresztą wyprowadził się parę tygodni później, słowo daję – i jeżeli kogoś to oburza, niech lepiej przejrzy na oczy, ale fakt pozostaje faktem, że to nielegalne. Gdyby czyjś kuzyn zastanawiał się nad zatrudnieniem Aislinn albo czyiś rodzice zastanawiali się, czy dać na przechowanie zapasowe klucze miłej dziewczynie z domu obok, wystarczyłoby trzydzieści sekund i komputer; niewinna przysługa, o której nikt nie musiałby wiedzieć. Ponieważ jednak dziewczyna padła ofiarą zabójstwa, każdy, kto nielegalnie sprawdzał ją w systemie, dostanie opieprz od starego i straci minimum parę dni urlopu. Nic dziwnego, że nikt nie wyrywa się do odpowiedzi.

– Albo zaglądał po cichu, ale nie w prywatnej sprawie – dodaje ciszej Steve. – To by pasowało do wersji z gangiem. Powiedzmy, że ktoś ze zorganizowanej z jakiegoś powodu chce ją sprawdzić w tajemnicy przed swoim wydziałem, więc prosi kumpla z zabójstw, żeby zrobił to za niego...

Trudno mi sobie wyobrazić sytuację, w której mogłaby to być niewinna

przysługa. Pokój dziwnie się wykrzywia: kąty tracą pierwotny kształt, cienie zaczynają się wyginać i tańczyć.

– I kumpel nigdy nam o tym nie powie – dorzucam.

– Znam kogoś w przestępczości komputerowej – mówi jeszcze ciszej Steve.

– Chyba umiałby ustalić, z którego komputera wyszło zapytanie.

– Z którego komputera tak. Nie ustalili jednak, kto z niego korzystał. Gdybyśmy mieli indywidualne loginy zamiast jednego głównianego hasła na wydział...

– Mam się z nim skontaktować?

– Nie – odpowiadam. – Na razie nie.

Wszyscy wrócili już do swoich rozmów i papierów; nikt nawet nie patrzy w naszą stronę. Mimo to żałuję, że w ogóle otwierałam swoją niewyparzoną gębę.

* * *

Pokój techniczny jest ciasny i nieprzyjemny. Stoi w nim lepki stół, jedno rozchwiane krzesło i dystrybutor wody, który zwykle jest pusty. Nie ma okna, a wentylacja nie działa od lat; gdyby to był pokój przesłuchań, adwokaci mogliby zacząć marudzić, że ich klienci mają prawo oddychać, i wszystko migiem by naprawiono, ale ponieważ nikogo nie obchodzi nasza możliwość oddychania, wentylacja jest popsuta, jak była. Pomieszczenie cuchnie potem, kawą, którą rozlewano tu przez lata, płynem po goleniu facetów, którzy odeszli na emeryturę, kiedy ja i Steve byliśmy jeszcze w szkole policyjnej, dymem papierosowym z czasów przed wprowadzeniem zakazu palenia. Zimą jest gorzej, bo ogrzewanie w pełni wydobywa ten bukiet.

Breslina jeszcze nie ma. Rzucam zakiet na oparcie krzesła – nie mam ochoty zostawiać go w biurze, żeby potem się nie zastanawiać, czy ktoś nie wytarł w nią fiuta – i idę popatrzeć na Rory'ego Fallona. Steve staje obok mnie, tak blisko drugiej strony lustra weneckiego, że nasze oddechy zostawiają na szybie warstewkę pary.

Fallon wygląda na mniej niż dwadzieścia dziewięć lat. Jest raczej niewysoki, około metra siedemdziesięciu, do tego drobny. Mogłabym go zwalić z nóg jedną ręką; wystarczyłby jeden porządny cios, na który mogłaby się zdobyć nawet ostatnia oferma. Ma ciemne opadające włosy, ostrzyżone specjalnie na wielką randkę, okulary w oprawkach ze sztucznego szylkretu, tak starych, że plastik już zmatowiał, kremową koszulę ze stójką, starannie włożoną do wyblakłych džinsów, i delikatne rysy szczupłej twarzy, które nadają mu wygląd szalenie wrażliwego artysty albo mięczaka, w zależności od punktu widzenia. Nie wygląda źle, ale odstaje od moich wyobrażeń osoby, z którą mogłaby się zaprzyjaźnić Aislinn, podobnie jak było z Lucy. Spodziewałabym się raczej rosnącego tępaka w markowych ciuchach, pracującego w agencji handlu nieruchomościami i bez

przerwy gadającego o rugby. Rory sprawia wrażenie faceta, któremu w grze komputerowej najbardziej podoba się fragment, gdy penetruje się teren i podziwia nowoczesną grafikę, zanim trzeba się będzie zabrać do prymitywnego zadania i rozwalać przeciwników.

– Stawiam dychę, że się rozplącze – mówię. Zaczęliśmy to ze Steve'em przy domowych burdach. Oczywiście w pracy absolutnie nie może być mowy o hazardzie, ale jakoś udaje mi się uspokoić sumienie. Połowie podejrzanych wystarcza na nas spojrzeć, żeby uderzyć w bek, a ja mam wtedy ochotę poczęstować ich potężnym kopniakiem. Muszę się gryźć w język, żeby nie kazać im wziąć się w garść i zachowywać się jak mężczyzna... albo kobieta. Byliście tacy silni i twardzi, kiedy tłukliście na miazgę swoją drugą połowę, gdzie się podzielała wasza odwaga? Skoro już muszę to znosić, to czemu mam nie zarobić na tym parę euro?

– Kurczę, nie wiem, czy mam dychę – odpowiada Steve. – Patrz, w jakim on jest stanie.

– Ty to masz pecha. Następnym razem odezwij się szybciej.

Przyglądamy się, jak Rory Fallon obraca głowę we wszystkie strony i nerwowo przebiera nogami pod stołem, próbując się zorientować, co go czeka w pokoju przesłuchań. Pokoje przesłuchań są tak urządzone, aby nikt nie mógł się zorientować, co go czeka. Linoleum i stolik są nijakie i najprostsze z dostępnych na rynku, nie z powodu cięć budżetowych; to celowy zabieg, żeby umysł nie potrafił niczego z nich wyczytać, bo wtedy zaczyna w nich widzieć coś, czego nie ma. Wystarczy odpowiednio długo posiedzieć tam samemu, by pokój stał się najpierw złowrogim miejscem, a potem przerażającą pułapką z horroru.

Na oparciu krzesła wisi starannie złożony czarny płaszcz, na stole leżą szare ortalionowe rękawiczki, jedna obok drugiej. Dłonie Rory'ego spoczywają w takiej samej pozycji jak rękawiczki, przyciśnięte do blatu, stykając się kciukami. Z tej odległości zauważam, że kostki palców ma w idealnym stanie: ani jednego zadrapania.

– Widzisz jego ręce? – pyta Steve.

– To go wcale nie eliminuje. Sophie mówiła, że prawdopodobnie miał rękawiczki, pamiętasz?

– Zadzwoń do niej. Spytaj, czy w końcu znaleźli odciski palców.

Dzwonię do Sophie i włączam głośnik, zerkając jednym okiem na drzwi, w których lada chwila może stanąć Breslin.

– Hej, Sophie. To ja i Moran.

– Hej. Z ostatniej chwili: w zasadzie skończyliśmy oględziny zwłok i salonu... – Jej głos rwie się i zanika. – Sygnał jest do dupy. Zaczekajcie chwilę. – Trzask drzwi. – Już.

– Jak z odciskami palców?

– No więc, w zasadzie nie mamy szczęścia. – W tle szumi wiatr; Sophie jest na ulicy. Robi coś, osłania słuchawkę ręką i hałas cichnie. – Znaleźliśmy sporo na nakryciach stołowych, klamce u drzwi, butelce z winem, kieliszkach, ale mój człowiek tak na szybko twierdzi, że są za małe jak na mężczyznę i wyglądają, jakby wszystkie pozostawiła ofiara.

– Mieliliśmy rację, że facet miał rękawiczki – mówię. Steve się krzywi.

– Będziemy szukać dalej, ale chyba tak. Pewnie ze skóry albo goreteksu, jakiegoś gładkiego materiału. Na twarzy ofiary, w miejscu uderzenia, nie znaleźliśmy żadnych włókien, a coś by było, gdyby miał rękawiczki z wełny czy innej dzianiny. Włókna przykleiłyby się do krwi.

– A więc prawdopodobnie grube rękawice – mówię, zwracając się do Steve'a. – Czyli mógł nie rozbić sobie ręki, przynajmniej nie na tyle, żeby to było widoczne.

– Czyli zgarnęliście podejrzanego – domyśla się Sophie. – A on ma całe ręce.

– Aha. Gościa, który miał przyjść na kolację.

– Macie rękawice, które nosił wczoraj wieczorem? Bo jeżeli to on, prawa powinna być cała we krwi ofiary. Nawet gdyby ją wyczyścił. Cholerstwo zostaje na długo.

– Dzisiaj ma szare ortalionowe. Wyglądają na czyste, ale oddamy ci je do analizy, a jeżeli dostaniemy nakaz rewizji, przyślemy ci wszystkie z jego mieszkania, chociaż założę się, że też nie będziemy mieli szczęścia. Pewnie te z wczoraj wyrzucił w drodze do domu. – Jednym okiem obserwuję Fallona. Przestał się rozglądać, siedzi nieruchomo ze wzrokiem utkwionym we własnych rękach i głęboko oddycha. Wygląda, jak gdyby pogrążył się w medytacji. Uderzam otwartą dłoń w szybę, przerywam te głupoty. – Powinniśmy coś jeszcze wiedzieć, zanim zaczniemy go maglować?

Sophie wzdycha z irytacją.

– Niewiele. Dzisiaj głównie marnowaliśmy czas. Przez cały ten pieprzony ranek znaleźliśmy tylko jedną konkretną rzecz, trzy włókna czarnej wełny na sukience ofiary: dwa u góry z przodu po lewej stronie, jedno po lewej na dole. Najwyraźniej nie pochodzą z niczego, co miała na sobie, nie ma też w domu czarnego płaszcza, więc raczej nie przeniosły się na sukienkę, kiedy na przykład wyszła do sklepu. Możliwe, że narzuciła sweter, żeby ochronić sukienkę w czasie gotowania, ale sprawdziliśmy sypialnię i nie znaleźliśmy żadnego czarnego swetra. – Sophie mówi przyciszonym głosem; ktoś jest przed domem Aislinn, może tylko dzieciaki, a może dziennikarze. – Dlatego przypuszczam, że włókna przeniosły się z ubrania tego waszego, kiedy ją objął na powitanie, złapał, wszystko jedno. Sprawdźcie, czy ma czarny wełniany płaszcz.

– Właśnie w takim przyszedł. – Zerkam na Steve'a, a on wzrusza ramionami;

co drugi facet w Dublinie ma czarny wełniany płaszcz. – Przyślemy ci. Brawo, Sophie. Dzięki.

– Nie ma sprawy. Będę kończyć. Przy taśmie kręci się jakiś mały reporter i próbuje podsłuchiwać. Mam mu powiedzieć, że podejrzewamy wojowników ninja?

– Śmiało, sprawisz mu radość. Do usłyszenia.

– Chwileczkę – wtrąca Steve, pochylając się nad telefonem. – Cześć, tu Moran. Możecie zrobić jeszcze oględziny sypialni? I łazienki?

– Och, genialny pomysł. Jak ci się wydaje, co zamierzaliśmy z nimi zrobić? Pomalować farbami w sprayu?

– Chodzi mi o miejsca, które prawdopodobnie nie były dotykane wczoraj wieczorem, ale mogły być ostatnim razem, kiedy u ofiary nocował jakiś facet. Wezłowie łóżka, wewnątrz szafki nocnej, spód deski sedesowej. Możecie też sprawdzić, czy na materacu nie ma płynów ustrojowych?

– Hm – mruczy Sophie. – Chodzi wam o jej byłych?

– Coś w tym rodzaju. Dzięki. Pozdrów od nas małego reportera.

– Powiem mu, że aresztujecie go za wagarowanie. Słowo daję, niemożliwe, żeby miał więcej niż dwanaście lat, starzeję się... – Sophie się rozłącza.

Fallon drugi raz próbuje swojego numeru z medytacją. Breslin albo buduje pokój operacyjny od fundamentów, albo postanowił nas ukarać za to, że kazaliśmy mu czekać. Nie chowam telefonu.

– Jeszcze sekundę – mówię, przesuwam palcem po ekranie i oddalam się od Steve'a.

Wyszło już popołudniowe wydanie „Couriera”. Kretyn Crowley ostro wziął się do roboty.

Pierwsza strona krzyczy: POLICJA BEZRADNA WOBEC BRUTALNEGO MORDERSTWA. Pod spodem dwa zdjęcia. Aislinn w najnowszej wersji, ubrana w obcisłą pomarańczową sukienkę, roześmiana, z połyskliwym cieniem na powiekach – wygląda to na fotografię z bożonarodzeniowej imprezy, którą Crowley ściągnął z czyjejś strony na Facebooku. Na drugim zdjęciu jestem ja, wynurzająca się spod taśmy, która grodzi miejsce zdarzenia, w swoim najpiękniejszym wydaniu: worki pod oczami, opadające włosy, uniesione pięści i usta otwarte w grymasie wściekłości, który mógłby przerazić rottweilera.

Zaciskam szczęki do bólu. Przewijam stronę, ale tekst próbuje tylko podniecić wyobraźnię, rozczulić i wywołać święte oburzenie – przepiękna kobieta w kwiecie wieku, szczegóły jej obrażeń, jeszcze niepodane do publicznej wiadomości; cytat z sąsiada, któremu Aislinn zrobiła zakupy, gdy chodniki były oblodzone, cytat z sąsiadki, która nie będzie się czuła bezpiecznie we własnym domu, dopóki nie zrobimy tego, co do nas należy, i nie zgarniemy tego sukinsyna grasującego po ulicach; złośliwy przytyk o „detektyw Antoinette Conway, która

prowadziła śledztwo w niewyjaśnionej do dziś sprawie morderstwa Michaela Murnane'a w Ballymun z września zeszłego roku”, by dać czytelnikom do zrozumienia, że jestem niekompetentna i/lub gównu mnie obchodzą ofiary pochodzące z klasy robotniczej, albo jedno i drugie. Poniżej krótki artykułik *Rodzice przerażeni zboczeńcem z podwórek* oraz parę pogardliwych uwag na temat rady miasta, która najwyraźniej powinna coś zrobić z tą obrzydliwą pogodą, plus wypowiedź jakiejś celebrytki rozpływającej się z zachwytu nad komosą ryżową i całkiem zwyczajnym życiem, które udało się jej zapewnić swoim dzieciom.

– Co jest? – pyta Steve.

Udaje mi się rozewrzeć szczęki.

– Nic.

– Nie mów. Co?

Przecież nie zabronię mu dostępu do gazet, a ukrywanie przed nim artykułu mogłoby sugerować, że zdenerwowało mnie zdjęcie, na którym wyglądam jak pies gończy, chociaż naprawdę gównu mnie to obchodzi.

– Zobacz. – Podaję mu telefon.

Unosi brwi.

– Jezu. – Po chwili: – Rany, Jezuniu...

– Co ty powiesz!

Media nie podają tożsamości ofiar, dopóki nie dostaną od nas oficjalnego zezwolenia – ze względu na rodziny, które nie muszą się dowiadywać o zdarzeniu ze stoiska z gazetami w supermarkecie, ale czasem mamy inne powody, żeby przez dzień czy dwa nie ujawniać nazwisk. Często prasa przemycą dość informacji, by miejscowi mogli się zorientować, o kogo chodzi – „trzydziestoletni mężczyzna, ojciec dwojga dzieci, który pracował w sektorze finansowym”, czy coś w tym stylu – zresztą miejscowi i tak już wiedzą. Poza tym media bez pozwolenia nie zamieszczają też zdjęć detektywów, na wypadek gdybyśmy nie chcieli, by każdy mógł nas rozpoznać z odległości dziesięciu metrów. Nie pozwalam nigdzie zamieszczać swoich fotografii z ważnego powodu, ale kiedy ukazuje się jakieś zdjęcie, detektyw wygląda na nim na profesjonalną, przystępną i przyjazną osobę; taką, z którą świadkowie naprawdę chętnie byliby gotowi pogadać, nie straszycie, na którego widok wszyscy się chowają, bo wygląda jak skacowany rosomak. Jeżeli dziennikarz przekroczy tę granicę, musi za to zapłacić: wysychają źródła informacji związane ze śledztwem, dbamy też o to, żeby o wszystkim dowiedział się wydawca. Ten skurwiol Crowley właśnie co najmniej kilka razy przekroczył granicę.

Dotąd wiele razy próbował na nią nastąpić, ale zawsze były to marne zagrywki mięczaka, dzięki którym chciał się poczuć jak Bob Woodward, nie pakując się w żadne prawdziwe kłopoty; nigdy nie zrobił niczego takiego jak dziś. Crowley nie lubi gliniarzy, bo jest buntownikiem, który nie zgina karku przed

Władzą, ale jest buntownikiem, który musi płacić rachunki, więc się kontroluje. Albo nagle w późnym wieku wyhodował sobie jaja, albo próbuje popełnić zawodowe samobójstwo; albo dostał od kogoś zlecenie. Ktoś – ta sama osoba, która mu powiedziała, gdzie mnie znajdzie dzisiaj rano – kazał mu wydrukować te zdjęcia. Ktoś go zapewnił, że nie trafi na żadną czarną listę. Ktoś mu obiecał, że mu się to opłaci.

Steve ciągle przewija na ekranie artykuł.

– Nie ma tu żadnych poufnych informacji.

Czyli nie ma tropu, żeby namierzyć ich źródło.

– Wiem. Ale rozmawia z kimś od nas. Na bank. Jeżeli się dowiem, z kim...

Steve unosi wzrok.

– Moglibyśmy ubić z Crowleyem interes. Zaproponować mu pierwszeństwo do informacji o każdym ustaleniu w sprawie, jeżeli nam powie, kto jest jego kontaktem.

– Nic z tego nie będzie. Ten, kto go prowadzi, na pewno dużo mu już obiecał. Crowley nie będzie tego narażał. – Zabieram mu telefon i chowam do kieszeni. – Wiesz, kto miał najlepszą okazję pogadać z nim o tej sprawie.

– Breslin – mówi cicho Steve.

– Właśnie.

– On lubi robić dobre wrażenie. Chce pokazać, że partaczymy robotę, dopóki sam nie wkroczy, żeby wszystko naprawić. Pewnie tak to wykombinował.

– Albo ma ochotę pojeździć na mnie jak na łysej kobyle – odpowiadam też zniżonym głosem. – Zabawić chłopaków. A może ma z Crowleyem jakąś umowę, chciał mu rzucić coś na odczepne i traf chciał, że napatoczyliśmy się my.

– Może i tak. – Steve obserwuje drzwi. Ja też. – Słuchaj, tak czy inaczej, musimy sobie jakoś ułożyć współpracę z Breslinem.

– Umiem sobie ułożyć współpracę z każdym. To moja dewiza.

– Mówię serio.

– Będę z nim współpracować. – Ogarnia mnie ogromna chęć chodzenia po pokoju. Opieram się tyłkiem o krawędź stołu, żeby się powstrzymać. – Musimy go wykorzystać w przesłuchaniach. I przedstawić mu jego sytuację... – Podbródkiem wskazuję sylwetkę za lustrem weneckim. – Poza tym nie musi wiedzieć, co myślimy.

– Kiedy wypruwałem z siebie flaki, żeby się dostać do tego wydziału, inaczej to sobie wyobrażałem – mówi Steve ponuro.

– Ja też. Słowo daję. – Próbuję sobie przypomnieć, kiedy ten dzień się zaczął, ale kręci mi się w głowie. Chwyta mnie przemożne, gwałtowne jak skurcz pragnienie zimnego powietrza w płucach, muzyki rozrywającej bębenki w uszach i długiego biegu, który przerwałabym dopiero wtedy, gdy poczułabym palący ból w całym ciele.

Właśnie ten moment wybiera Breslin, by z hukiem otworzyć drzwi do pokoju technicznego. Oboje wzdygamy się z zaskoczenia. Stoї w drzwiach z rękami w kieszeniach, mierząc nas wzrokiem. Na jego ustach błąka się uśmieszek, wyrażający w równych proporcjach rozbawienie i chłód.

– Detektyw Conway. Detektyw Moran. Nareszcie.

Powinam go nawet lubić, bo jest jednym z niewielu chłopaków w wydziale, który nigdy nie przypieprzał się do mnie ponad normę, mimo to go nie lubię. Kiedy poznajesz Breslina, jesteś pod dużym wrażeniem. Ma mniej więcej czterdzieści pięć lat, ale ciągle jest w niezłej formie, barczysty, wyprostowany, zero piwnego brzucha, jaki wyrasta większości Irlandczyków. Dość wysoki, ma jasne oczy, zaczesane do tyłu blond włosy i jest przystojny – gdyby przyjrzeć mu się dokładniej, przypomina aktora, którego nazwiska nie umiem sobie przypomnieć, ale wiem, że gra niezależnych indywidualistów w garniturach, co akurat jest śmiechu warte, ponieważ trudno znaleźć kogoś mniej niezależnego niż Breslin. Ale jeśli dorzuci się ten głos, wszystko razem składa się na nimb wielkości, złoty blask, który od niego bije, wołając do wszystkich w jego zasięgu, że to wyjątkowy koleś, mądrzejszy, bardziej inteligentny, zdecydowany i uprzejmy od innych.

Breslin tak głęboko wziął sobie do serca tę wersję samego siebie, że wchodząc do pokoju, rzuca ci ją z rozmachem, tak że trudno się przed nią obronić. Przez swoje pierwsze tygodnie w zabójstwach Steve wpatrywał się w niego z cielecym zachwytem jak dwunastolatek w kapitana drużyny rugby, marząc o uśmiechu i życzliwym klepnięciu w ramię. Omal nie odgryzłam sobie języka, żeby powstrzymać się przed robieniem sobie jaj z tego żalostnego gówniarza, ale wytrzymałam, bo wiedziałam, że to minie. Mogłabym wręcz zaznaczyć z góry datę w kalendarzu. Kiedy sama zaczynałam pracę w wydziale, przez pewien czas modliłam się w duchu, aby Breslin pokłócił się z McCannem, bo wtedy mogłabym zostać partnerką Breslina i znaleźć się na prostej drodze do wielkiej chwały. I minęło.

Po trzech tygodniach cielecym zachwytem Steve'a jeden z chłopaków z obyczajówki strzelił sobie w usta, a Breslin – na środku biura, wśród ludzi, którzy znali samobójcę, pracowali z nim, chodzili się z nim napić – odsunął krzesło i bawiąc się trzymanym w palcach długopisem, uraczył nas głębokim i wnikliwym wykładem o tym, że kolega pozostałby wśród nas, gdyby rzucił fajki, miał więcej ruchu i poświęcił czas na budowanie prawdziwych przyjaźni w pracy. Inteligentniejsi chłopcy w wydziale nie przerwali swoich zajęć; głupszy z zapalem kiwali głowami i otwierali usta, porażeni geniuszem, jaki im się objawił. Biedny Steve miał taką minę, jak gdyby właśnie odkrył prawdę o Świętym Mikołaju.

Kiedy już sobie uświadamiasz, że Breslin jest idiotą, zaczynasz liczyć banały padające z jego ust, zauważasz, że gładko zaczesane włosy maskują łysinę, w pewnym momencie zdajesz sobie jeszcze sprawę, że w rzeczywistości ma

najwyżej metr siedemdziesiąt osiem wzrostu, i zaczynasz się zastanawiać, czy nie nosi pasa wyszczuplającego. Nie ma to żadnego znaczenia – świadkowie i podejrzani są pod wrażeniem blasku Breslina, który zawsze zdąży się wycofać, zanim przestanie działać – ale jestem wkurzona na siebie, że dałam się nabrać, wkurza mnie wszystko w Breslinie i sam Breslin.

– Cześć – mówię. – Szkoda, że nie udało się nam pogadać. Miałam cholernie słaby sygnał.

Ciągle stoi w drzwiach.

– Chyba powinnaś sobie sprawić nowy telefon, Conway. Ale zostawmy to. W końcu jesteśmy wszyscy w jednym miejscu.

– Owszem – przytakuję. – Rozejrzałeś się na miejscu zdarzenia?

– Tak. Typowa kłótnia kochanków. Trzeba to szybko wyjaśnić i zająć się poważnymi rzeczami. Co wy na to?

– Właśnie taki mamy zamiar – odpowiada spokojnie Steve, zanim udaje mi się otworzyć usta. – Dzięki, że dołączyłeś do zespołu. Jesteśmy ci wdzięczni.

– Nie ma sprawy. – Breslin łaskawie kiwa głową. – Dostaliśmy pokój operacyjny C.

W pokoju operacyjnym C jest tablica większa od mojej kuchni, tyle komputerów i telefonów, że można koordynować akcję w naprawdę dużej sprawie, projektor z ekranem, gdyby ktoś miał ochotę pokazywać prezentację w PowerPoincie, a za oknami rozciąga się piękny widok na Zamek Dubliński. Steve i ja byliśmy tam tylko jako mrówki kogoś innego.

– Ładny – oceniam.

– Zawsze to, co najlepsze. – Breslin podchodzi do lustra, żeby rzucić okiem na Rory'ego. – Mam tylko nadzieję, że dostaliście coś dobrego od jej najlepszej przyjaciółki... Jak jej tam?

– Lucy Riordan – podpowiada Steve. – W zasadzie nic więcej poza ogólnymi informacjami. Aislinn nie miała szczęśliwego dzieciństwa: ojciec odszedł, matka przeszła coś w rodzaju załamania, Aislinn wzięła na siebie rolę jej opiekunki. Dlatego dorastała jakby pod kloszem, mało doświadczeń życiowych, brak pewności siebie. Matka zmarła kilka lat temu i Aislinn zaczęła wychodzić ze skorupy, ale miała dużo do nadrobienia, ciągle była dość naiwna. Do tego stopnia, żeby nie zauważyć paru sygnałów alarmowych.

– A były sygnały alarmowe?

– Lucy o żadnych nie wie. Aislinn i Rory poznali się na promocji książki sześć czy siedem tygodni temu. Oboje z miejsca zadurzyli się w sobie, ale ona grała nieprzystępną. Rory sprawiał wrażenie miłego faceta, wydawało się, że dobrze ją traktuje. Lucy nie wyczuła w nim żadnego zagrożenia.

– Coś takiego. – Breslin przygląda się Rory'emu, który zaczął podrygiwać kolanem pod stołem. – Biedna ofierka, co? Wygląda, jakby nie umiał przywalić

nawet własnej babci. Lucy... jak jej tam... nie miała powodu przypuszczać, że tacy mogą być najbardziej niebezpieczni, kiedy czują się lekceważeni. Ona nie musi o tym wiedzieć, wystarczy, że my to wiemy. Coś jeszcze?

Steve kręci głową.

– To mniej więcej wszystko.

Breslin unosi brwi.

– Tylko tyle wie jej najlepsza przyjaciółka? Wiadomo coś o innych chłopakach ofiary? Zawiedzionych byłych? Zazdrosnych kobietach? Wrogach w pracy?

Oboje zaprzeczamy ruchem głowy.

– Nie – mówię.

– Dajcie spokój, przecież dziewczyny chętnie mówią. Mam rację, Conway? Nie chcę sobie nawet wyobrażać, co swoim koleżankom wygaduje przy winku moja połowica. Ofiara musiała zdradzić waszej Lucy jakieś bardziej pikantne szczegóły.

– Z tego, co mówi Lucy, nie były ze sobą tak blisko. Przyjaźnią się, bo przyjaźniły się od dzieciństwa i dlatego, że Aislinn nie ma innych koleżanek, ale niewiele je łączy i nie zwierzały się sobie.

Breslin zamyśla się nad tym, opierając się plecami o szybę i skubiąc dolną wargę.

– Nie wydaje się wam, że coś ukrywa?

Ja i Steve spoglądamy na siebie obojętnie. Steve kręci głową.

– Nie.

– Lucy nie jest idiotką – dodaję. – Zdaje sobie sprawę, że musi nam powiedzieć wszystko, co wie. Zastanowiło mnie tylko... – Urywam. – Ale to pewnie nic ważnego.

– Powiedz całej klasie, Conway. Nie przejmuj się, że to może zabrzmieć głupio, na razie rzucamy abstrakcyjne pomysły.

Co za bęcwał.

– Jasne – mówię. – Zastanowiło mnie, czy ona, to znaczy Lucy, nie ma słabości do Rory'ego. Bez przerwy gadała, jaki to świetny facet. Może i tak jest, ale gdyby właśnie zabito moją kumpelkę, traktowałabym jej nowego chłopaka przynajmniej odrobinę podejrzliwie.

– Hm... Czy ta Lucy ma alibi?

– Tak. Pracuje w Torch Theatre. Była tam od wpół do siódmej wczoraj wieczorem, a potem aż do czwartej rano stale miała jakieś towarzystwo. Zweryfikujemy to, ale jak mówię, nie jest idiotką: nie powiedziałaaby nam czegoś, co łatwo da się podważyć.

– No to sprawdzimy, czy kontaktowała się z naszym chłopakiem zza szyby, na wypadek gdyby jednak miała jakiś związek z motywem. Ale dopóki nie trafimy

na ślad ich kontaktów, nie sędzę, żeby jej hipotetyczne zadurzenie było dla nas ważne. A wy? – Ja i Steve potulnie kręcimy głowami. – Podoba mi się ta mała burza mózgow. Coś jeszcze przyszło wam do głowy?

– To wszystko – mówię.

– No dobrze... – Breslin nabiera powietrza, żeby westchnąć, ale się powstrzymuje. – Czyli warto było zrobić tę wycieczkę. Informacje ogólne to nigdy nie jest strata czasu. Teraz jednak proponuję, żebyśmy ruszyli tyłki i zabrali się do poważnej roboty. Co wy na to? Dobra myśl?

– Świetna – odpowiadam. Bo to prawda: jeszcze sześćdziesiąt sekund i rąbnę skurwiela kolanem w brzuch. – Ja poprowadzę przesłuchanie przy twoim wsparciu, Breslin. Moran, będziesz obserwował nas przez szybę i bądź gotów mnie zmienić, jeżeli uznam, że trzeba trochę namieszać.

Steve potakuje skinieniem głowy. Breslin poprawia mankiety koszuli.

– Chodź do tatusia – zwraca się do lustra weneckiego.

– To na razie wstępne przesłuchanie – uprzedzam. – Nie chodzi o to, żeby przyznał się do winy. Będzie można go przycisnąć, kiedy przyjdą wyniki analiz, sekcji zwłok, wszystkie mocne rzeczy, które wyłożymy na stół. – I kiedy przeprowadzimy ze Steve'em prywatne dochodzenie, żeby się dowiedzieć, z czym mamy do czynienia. – Teraz chodzi tylko o zarys sytuacji i najważniejsze punkty. Jaki jest Rory, co sądził o Aislinn, jak wyglądał ich związek, jaka jest jego wersja wczorajszych wydarzeń? Chcę wiedzieć, czy się przyzna, że rozmawiał z kimś między ósmą wieczorem a piątą rano. Jeżeli sam nie zadzwonił na policję, powiedział komuś, kto to zgłosił, a wtedy musimy wiedzieć, kto to był. Chcę mieć jego płaszcz i rękawiczki... technicy zdjęli z ciała włókna czarnej wełny i twierdzą, że sprawca prawdopodobnie miał rękawiczki z gładkiego materiału, z którego nie wychodzą żadne nitki, takie jak Rory ma dzisiaj. Jeżeli więc uda nam się go przekonać, żeby je oddał do analizy i oszczędził nam pieprzenia się z nakazem, będę bardzo zadowolona. Gdyby świat był doskonały, Rory pozwoliłby nam przeszukać dom i zabrać wszystkie płaszcze i rękawiczki, które znajdziemy, ale dzisiaj nie chcę go denerwować, jeżeli więc nie uda się od razu, damy spokój i postaramy się o nakaz. Zgoda?

Breslin zastanawia się nad tym.

– Mhm – bąka. – Zgoda, można i tak. Można też spróbować od razu walnąć z grubej rury. Nie chcę powiedzieć, że mam jakiś problem z tym, że przydzielono mnie do tej sprawy... okay, cieszę się, że mogę pomóc. Ale żeby tu przyjść, odłożyłem na bok wszystkie inne rzeczy i nie chcę poświęcać pospolitej domowej burdzie więcej czasu, niż to będzie konieczne. Na pewno macie podobne zdanie, prawda?

Moim zdaniem, przede wszystkim powinien zamknąć gębę i robić to, co mu każą detektywi prowadzący sprawę, ale dostrzegam błysk paniki w oczach Steve'a.

Ten widok mnie rozbija, mam ochotę się roześmiać.

– Owszem – odpowiadam uprzejmie. – Zróbmy tak: na razie, jak mówiłam, nie ma co się spieszyć. Gdy tylko dojdę do wniosku, że można przykręcić śrubę, obiecuję, że dam ci znak. Jasne?

Breslin nie wygląda na zadowolonego, ale po chwili wzrusza ramionami.

– Jak chcecie. Wobec tego możemy zacząć, zanim skończy się ta zmiana? – Kiedy prostuję się i odsuwam od stołu, dodaje: – Najpierw lepiej zrób coś z tym, Conway. Chyba że to element twojego chytrego planu.

„Tym” okazuje się odrobina czegoś w kąciu moich ust. Ocieram twarz: kawałek żółtka, z którym najwyraźniej chodzę od śniadania.

– Dzięki – zwracam się częściowo do Breslina, częściowo do swojego partnera, kapitana Sokole Oko. Robi przeproszącą minę.

– Pierwsze wrażenia i tak dalej. Jeżeli jesteśmy gotowi, to do roboty.

Breslin przytrzymuje mi otwarte drzwi, żebym pierwsza wyszła z pokoju technicznego i nie mogła za jego plecami zamienić ani słowa ze Steve'em – wprawdzie nie musimy porozumiewawczo szeptać, ale zawsze. W korytarzu, wśród ścian pomalowanych zgniłozieloną farbą, na wytartej wykładzinie, powinnam się poczuć jak u siebie, jak na bezpiecznym oznakowanym szlaku biegnącym przez moje własne terytorium, który prowadzi mnie prosto do nieprzyjaciela, ustawionego równiutko na celowniku w pokoju przesłuchań. Mam jednak wrażenie, jak gdybym wkroczyła na dziki szlak przecinający ziemię niczyją, naszpikowaną minami i błotnistymi dziurami, gdzie łatwo można złamać nogę w kostce.

Podczas przesłuchań każdy ma swój popisowy numer. Jeden z chłopaków w wydziale cudownie gra Ojca Spowiednika, demonizuje winę przesłuchiwanego i macha mu przed nosem obietnicą rozgrzeszenia jak kością pieskowi; inny występuje w roli Nabuzowanego Dyrektora Szkoły, spoglądając znad okularów i rzucając pytanie za pytaniem. Moja specjalność to Wojownicza, gotowa otworzyć ogień ze wszystkich luf i pomścić wyrządzone przez siebie krzywdy, jeśli tylko powiesz, co zrobiłeś, oraz jej druga twarz, Wredna Modliszka, kiedy chcemy rozdrażnić gwałciciela czy jakiegoś neandertalczyka; gram też Równą Luzarę, która w pubie potrafi dorównać tempem innym chłopakom, lubi się pośmiać i każdy facet może z nią pogadać, jeżeli krępuje się porozmawiać o czymś z mężczyzną. Steve gra Miłego Chłopca z Sąsiedztwa w różnych odmianach. Podczas przesłuchiwania kobiet Breslin występuje jako Szarmancki Dżentelmen, który bierze od nich płaszcz i pochyla głowę, słuchając z uwagą każdego słowa; przy facetach gra Championa Pakera, twojego najlepszego kumpla, którego powinieneś mieć po swojej stronie, bo inaczej wsadzi ci głowę do sedesu i spuści wodę. Oceniamy obiekt i wprowadzamy na scenę taką postać, która, naszym zdaniem, ma największe szanse.

Rory nie potrzebuje Wojowniczkę, przynajmniej tak sądzimy, a na widok Wrednej Modliszki prawdopodobnie schowałby się przerażony pod stołem, ale Luzara powinna go trochę uspokoić. Wydaje się, że szybko znalazłby wspólny język z Miłym Chłopcem z Sąsiedztwa, ale to na razie niemożliwe. Mam tylko nadzieję, że Paker nie przestraszy go, a mnie nie wkurzy do tego stopnia, by wyrzucić wszystko do góry nogami.

Początek naszej znajomości z Rorym kosztuje mnie dychę: nie płacze. Kiedy Breslin z rozmachem otwiera drzwi, Rory podskakuje jak oparzony, ale gdy kiwam mu głową i dorzucam szeroki uśmiech Luzary, na jego twarzy pojawia się coś w rodzaju uśmiechu.

– Czołem – mówię, siadając na krześle naprzeciw niego i wyjmując notes. – Detektyw Conway, a to detektyw Breslin. Dzięki, że pan przyszedł.

– Nie ma sprawy. – Rory próbuje odgadnąć, czy podamy sobie ręce. Nie podamy. – Nazywam się Rory Fallon. Czy...

– Dzień dobry – włącza się Breslin i podchodzi do rejestratora wideo. – Czujesz się na siłach z nami rozmawiać? Kac nie dokucza? Wiem, jak to jest: młody człowiek, niedziela rano...

– Dobrze się czuję. – Głos Rory'ego łamie się na ostatnim słowie. Facet odchrząkuje.

Breslin szczyrzy zęby w uśmiechu i dotyka przycisków.

– Hańba. W przyszły weekend musisz się bardziej postarać.

Ruchem głowy wskazując stojący przed Rorym kubek z wypitą do połowy herbatą.

– Podgrzać? A może kawy?

– Nie, dziękuję. Nie trzeba. – Rory siedzi na krześle ledwie skrawkiem tyłka; wygląda, jak gdyby był gotów dać nogę przy pierwszym głośniejszym dźwięku, jeśliby tylko było dokąd dać nogę. – O co chodzi?

– M... m – Breslin odwraca się od rejestratora, żeby wycelować w niego palec. – Chwila cierpliwości. Nie możemy jeszcze przejść do rzeczy. W dzisiejszych czasach z każdej rozmowy musimy mieć zapis audio i wideo. Żeby chronić wszystkich, rozumiesz, co mam na myśli?

Po chwili Rory niepewnie kiwa głową.

– Chyba tak.

– Oczywiście, że tak – zapewnia go pogodnie Breslin. – Daj mi chwilę, a zaraz nagadamy się do syta. – Odwraca się i dalej manipuluje przy aparaturze, cicho pogwizdując przez zęby.

Rory siedzi zgarbiony, z ramionami na wysokości uszu.

– Będę potrzebował adwokata? – pyta.

– Nie wiem. – Opuszczam notes, żeby spojrzeć na niego z całą uwagą. – A będzie potrzebny?

– Pytam tylko... czy nie powinienem wezwać adwokata?

Unoszę brwi.

– Jest jakiś powód?

– Nie. Nie mam nic do... A powinienem nie wzywać?

– Możesz wezwać, jeżeli chcesz – mówi Breslin. – Oczywiście. Wybierz sobie adwokata, zadzwoń do niego, zaczekamy, dopóki nie przyjedzie, nie ma sprawy. Ale powiem ci, co taki prawnik robi. Usiądzie obok ciebie, od czasu do czasu rzuci: „Nie musi pan odpowiadać na to pytanie”, a potem policzy sobie za każdą minutę usługi. To samo mogę ci poradzić za darmo: nie musisz odpowiadać na żadne z naszych pytań. Powtarzamy to każdemu na samym początku: masz prawo nic nie mówić, jeżeli nie chcesz, ale wszystko, co powiesz, zostanie zapisane i może zostać wykorzystane w postępowaniu dowodowym. Wytłumaczyłem wystarczająco jasno? Czy wolisz za to zapłacić?

– Nie, to znaczy... Tak, chyba poradzę sobie bez adwokata.

I w ten sposób mamy odfajkowane pouczenie o przysługujących mu prawach.

– Naturalnie, że sobie poradzisz – uspokaja go Breslin i poklepuje rejestrator.

– Wszystko gra: maszyna działa. Detektywi Conway i Breslin przesłuchują pana Rory’ego Fallona. Możemy zacząć.

Rory tak samo jak Lucy pyta:

– Chodzi o Aislinn?

– Zaraz, Rory, nie tak prędko. – Breslin ze śmiechem unosi dłonie. Ja też rozciągam usta w uśmiechu. – Spokojnie. Obiecuję, że zaraz do tego dojdziemy. Ale ja i detektyw Conway będziemy przeprowadzać setki takich przesłuchań, musimy więc zadawać te same pytania w identycznej kolejności, żebyśmy się nie pomylili i nie zapomnieli, o co już kogo pytaliśmy. Dlatego bądź taki miły i zgódź się, żebyśmy to zrobili po swojemu, dobrze?

– Dobrze. Przepraszam. – Ale Rory zgarbił ramiona, bo jest tylko jednym spośród setek innych, a my parą matołów, którzy lada chwila pogubią się we własnym scenariuszu. Breslin jest niezły. Obserwowałam go już wcześniej przy pracy, lecz nigdy nie byliśmy razem w pokoju przesłuchań i wbrew woli wcale nie czuję niesmaku.

– Nie ma sprawy – zapewniam życzliwie Rory’ego. Breslin zajmuje miejsce obok mnie i sadowimy się wygodnie; przewracamy strony w notesach, znajdujemy najlepszą pozycję w krzywiznach siedzących krzesła, sprawdzamy długopisy. – Zaczniemy od początku – proponuję. – Co robiłeś wczoraj, Rory? Powiedzmy, od dwunastej w południe?

Głęboko nabiera powietrza i poprawia okulary.

– No więc w południe byłem w księgarni, jestem właścicielem Wayward Bookshop, w Ranelagh. Nad księgarnią mam mieszkanie, do którego przyszedliście... właściwie przyszedli po mnie wasi koledzy.

– Mijałam ją setki razy, zawsze miałam zamiar zajrzeć – mówię. – Teraz będę musiała to zrobić, bo inaczej wniesiesz na mnie skargę. – Oboje z Breslinem chichoczymy. Rory odruchowo się uśmiecha: grzeczny chłopczyk, reaguje tak, jak sobie życzymy. – Jaki wczoraj był ruch?

– Całkiem duży. W soboty przychodzi wielu stałych klientów, najczęściej rodziców, którzy przyprowadzają dzieci, żeby wybrały sobie książkę. Mamy niezły dział dziecięcy, więc gdyby... to znaczy, do niczego nie namawiam, ale gdyby akurat...

Mruga nerwowo.

– Przyprowadzę siostrzeńców – obiecuję. Nie mam żadnych siostrzeńców. – Możesz im polecić coś o dinozaurach. A jak ogólnie idzie interes?

– Dobrze. To znaczy... – Dwuznacznie wzrusza ramionami. – Wszystkim księgarniom nie wiedzie się dzisiaj najlepiej. Ale ja mam przynajmniej stałych klientów.

Co oznacza, że Rory cienko przedzie. Sprawdzimy, co rozumie przez „dobrze”.

– W takim razie na pewno przyprowadzę siostrzeńców, żeby wesprzeć księgarnię – mówię z uśmiechem. – O której skończyłeś pracę?

– Zamknąłem o szóstej.

– I co potem robiłeś?

– Wróciłem na górę do mieszkania i wziąłem prysznic. Miałem, hm... – Policzki Rory’ego przybierają uroczy odcień różu. – Wybierałem się na kolację do dziewczyny... kobiety.

– Ach, tak. – Breslin przechyla do tyłu krzesło i rozpromienia się w uśmiechu. – Mój Rory to niezły zawodnik. Śmiało, opowiedz wszystko wujkowi Donowi. Dziewczyna? Przyjaciółeczka tylko od tych rzeczy? Prawdziwa miłość?

– To jest... – Róż nabiera głębi. Rory pociera dłońmi twarz, jak gdyby mógł zetrzeć rumieniec. – Nie wiem, czy mógłbym ją nazwać swoją dziewczyną. Spotkał się zaledwie kilka razy. Ale tak, mam nadzieję, że coś z tego będzie.

Czas terazniejszy. Co zresztą niewiele znaczy: Rory nie jest głupi. Uśmiecham się, słysząc o młodym, rozkwitającym uczuciu; w odpowiedzi widzę nieśmiały uśmiech.

– Czyli chyba się postarałeś – rzuca Breslin. – Mam rację? Powiedz, że się trochę postarałeś, Rory. Ta koszula wygląda świetnie, jeżeli sprzedajesz mamusiom książki o Tupciu Chrupciu, ale jeżeli chcesz zaimponować panience, żeby... powiedzmy, żeby otworzyć z nią nowy rozdział życia, to raczej się nie nadaje. W co się ubrałeś?

– W koszulę, sweter i spodnie. No, ale porządne rzeczy, nie żadne...

Breslin posyła mu sceptyczne spojrzenie.

– Jakiego koloru? Fasonu?

– Biała płócienna koszula, jasnoniebieski sweter i granatowe spodnie. Na co dzień chodzę w dzinsach, ale Aislinn... Wiedziałem, że włożę coś eleganckiego, więc pomyślałem, że też powinienem.

– Hm... Zdaje się, że mogło być o wiele gorzej. Masz dobry gust, kiedy się postarasz, synu. – Breslin ruchem głowy wskazuje płaszcz wiszący na oparciu krzesła. – Włożyłeś wczoraj ten płaszcz?

Rory niepewnie spogląda to na swoje okrycie, to na Breslina.

– Tak. Nie mam innego porządnego zimowego płaszcza. Kupiłem go u Arnotta, to nie jakiś byle... Jest w porządku, prawda?

– Niczego sobie – stwierdza Breslin, przypatrując się płaszczowi krytycznie.

– Może być. Ale chyba nie włożyłeś do niego tych rękawiczek, co? Włożyłeś? Niemożliwe.

Rory odwraca głowę, by popatrzeć na rękawiczki.

– Tak. Dlaczego? Coś z nimi nie tak?

– No właśnie. – Breslin się krzywi. Wyciąga rękę, trąca rękawiczki czubkiem długopisu i odwraca je na drugą stronę. Wyglądają na czyste. – Może po prostu się starzeją, może dzisiaj wszystkie supermodne dzieciaki, które chodzą na randki, wyglądają, jakby pożyczyły ręce od kolarza. Naprawdę je włożyłeś?

– Było zimno.

– Co z tego? Styl wymaga poświęceń, Rory. Nie masz czarnych?

Przynajmniej nie sterczałyby jak dwa zabandażowane kciuki.

– Szukałem. Myślałem, że mam gdzieś parę czarnych skórzanych, ale nie mam pojęcia, gdzie przepadły. Znalazłem tylko te.

My też ich poszukamy.

– Przestań już dręczyć biedaka – zwracam się do Breslina. – Przecież i tak rękawiczki zdejmuję się zaraz po wejściu, prawda, Rory? Kogo obchodzi, jak wyglądają?

Breslin przewraca oczami i odchyła się na krześle, kręcąc głową. Rory posyła mi pełne wdzięczności spojrzenie. Zmieniamy pokój przesłuchań w dobrze znany teren – nawet docinki Breslina brzmią jak żarty, które Rory musiał regularnie słyszeć w szkole – i to go uspokaja. Nie jest bezbronną fujarą, jak się spodziewałam, obserwując jego nerwowe ruchy i dygoty. To bardziej skomplikowane. W swojej strefie komfortu Rory radził sobie całkiem dobrze. Wystarczyło go z niej wyprowadzić, żeby stracił pewność siebie.

Na co dzień chodzę w džinsach... Aislinn nie była jego strefą komfortu.

– Gdzie mieszka Aislinn? – pytam.

– W Stoneybatter.

– Niedaleko – zauważam. – Wystarczy skoczyć na drugą stronę rzeki i jesteś na miejscu. Jak się tam dostałeś?

– Autobusem. Poszedłem na Morehampton Road... jeszcze nie padało... i wsiadłem do trzydziestkidziewiątki A do Stoneybatter. Przystanek jest praktycznie za rogiem jej domu.

– Zaraz, zaraz, zaraz. Wróc. – Brwi Breslina wędrują w górę. – Autobusem? Pojechałeś do niej autobusem? Świetny sposób, żeby zrobić wrażenie na damie, Rory. Nie masz samochodu?

Rory znowu miesza się i oblewa różem. Uwielbiam tych, co stają w pasach.

– Nie, no, mam. Pomyślałem tylko... że gdybyśmy wypili do kolacji wino i gdybym musiał wracać do domu...

– Naprawdę masz? Jaki to samochód?

– Toyota yaris...

Breslin prycha.

– Tak? Który rocznik?

– Dwa tysiące siódmy.

– Jezu – mruczy Breslin, uśmiechając się do swojego notesu. – Teraz rozumiem, dlaczego wybrałeś autobus. Mów dalej.

Rory pochyla głowę i podsuwa okulary na nosie. Najwyraźniej należy do tych, którzy wszystko potulnie znoszą, nawet kiedy podciągają im majty pod brodę. Gdy taki typ w końcu się załamie, robi się poważnie.

– O której godzinie wyszedłeś z domu? – pytam.

Rory błyskawicznie się prostuje. Słyszac mój głos, nie Breslina, tak się

cieszy, że powie mi wszystko.

– Za piętnaście siódma.

To najciekawsza rzecz, jaką dotąd powiedział. Był umówiony z Aislinn na ósmą. Żeby się dostać z Ranelagh do Stoneybatter, nie potrzeba godziny i kwadransa, zwłaszcza w sobotni wieczór. Pieszko pokonałby tę odległość o połowę krócej.

– A kiedy wsiadłeś do autobusu?

– Tuż przed siódmą. Podjechał, jak tylko dotarłem na przystanek.

Możemy to sprawdzić: na zapisie monitoringu w autobusie. Zapisuję to w notesie.

– O której miałeś być u Aislinn?

– O ósmej, ale... no, nie chciałem się spóźnić. Gdybym przyjechał za wcześniej, zawsze mógłbym trochę pospacerować.

– Brr – mówię, krzywiąc się. – W taką pogodę? Po co?

Rory przebiera nogami pod stołem, jak gdyby nie mógł znaleźć dla nich wygodnej pozycji. Rozmowa o ponadplanowym czasie wzbudza w nim niepokój. Najchętniej przybiłabym Rory'emu pieczętkę NIEWINNY i zaczęła szukać gangstera, o którym mówił Steve, ale czuję to wyraźnie jak zapach krwi: coś się za tym kryje.

– Nie wiem – odpowiada. – Po prostu... sprawdziłbym, czy bez problemu znajdę dom, coś w tym rodzaju.

Robię zdziwioną minę.

– Przecież mówiłeś, że przystanek autobusowy jest zaraz za rogiem jej domu. Brzmiało tak, jakbyś już wiedział, gdzie to jest.

Rory szybko mruga.

– Co...? Nie, wcale nie. Po prostu Aislinn powiedziała mi, jak trafić. Poza tym sprawdziłem na mapie w telefonie. Droga nie była skomplikowana. Chciałem mieć trochę czasu w zapasie, tak na wszelki wypadek.

Przez moment sceptycznie milczę, ale Rory nie wykorzystuje tej chwili.

– No dobrze – mówię. – Czyli wysiadłeś z trzydziestkidziewiątki A w Stoneybatter... O której?

– Krótko przed wpół do ósmej. Nie było dużego ruchu.

Na tyle wcześniej, żeby dojść do domu Aislinn, zabić ją, a potem się wycofać i zapukać do drzwi o ósmej, dziwiąc się, że nie otwiera. Nawet wyłączenie kuchenki ma sens: Rory nie chciał, żeby włączył się alarm przeciwpożarowy, zanim nie odegrał swojej komedii z telefonami i SMS-ami. Prawdopodobnie zaniepokojony krążył chwilę przed domem, na wypadek gdyby ktoś go obserwował. Nozdrza znowu wypełnia mi ten ostry zapach.

Zerkam na lustro weneckie, które spogląda na mnie obojętnie. Jeden rzut oka na Steve'a, i wiedziałabym, czy myśli to samo co ja. Zamiast niego mam jednak

Breslina, który kołysze się na tylnych nogach krzesła i bazgrze w notesie. Zastanawiam się przez chwilę, czy nie kopnąć w to krzesło.

– Byłeś tam o wiele za wcześnie – mówię. – Co robiłeś?

– Poszedłem na początek Viking Gardens – odpowiada Rory. – To ulica Aislinn. Jak już powiedziałem, chciałem sprawdzić, czy trafię bez kłopotu.

– Widziałeś kogoś na Viking Gardens?

– Nie. Ulica była pusta. Ale nie kręciłem się tam. Nie chciałem, żeby ktoś wziął mnie za włamywacza czy... czy jakiegoś stalkera. – Kolejny raz poprawia okulary.

– Wyszedłeś na środek ulicy? Żeby znaleźć dom Aislinn?

– Nie. To prosta uliczka, ślepa; od wlotu widziałem całą. Nie musiałem szukać numeru wcześniej. Poza tym wołałem, żeby Aislinn nie zobaczyła mnie pod domem pół godziny wcześniej, gdyby wyjrzała przez okno. Musiałaby mnie zaprosić, nie byłaby pewnie jeszcze gotowa i w ogóle wypadłoby to naprawdę niezręcznie.

Jest podenerwowany jak diabli, ale odpowiedzi padają płynnie, nie zacina się i nie poprawia. To jednak niewiele znaczy; nie u takiego faceta jak on. Powiedział mi już, że jest przewidujący, myśli do przodu, bierze pod uwagę każdą ewentualność, pamięta, by mieć wszystko na swoim miejscu, żeby nic mu nie przeszkodziło w realizacji planów. Gdyby zaplanował zabójstwo, alibi miałyby pewnie wykute na blachę; prawdopodobnie przygotował je i przećwiczył już kilka dni wcześniej. A jeśli tego nie planował, potrafiłby w jedną noc wymyślić przekonującą wersję wydarzeń i powtórzyć ją kilkaset razy. Facet jedyną prawdziwą strefę komfortu ma we własnej głowie.

– No i mogłaby pomyśleć, że jesteś jakimś maniakiem, który w wolnym czasie gapi się w jej okna – dorzuca Breslin. Rory się wzdryga. – A to nigdy nie wygląda dobrze. Co więc zrobiłeś?

– Zamierzałem pospacerować do ósmej. Ale nagle zdałem sobie sprawę, że niczego ze sobą nie wziąłem.

– Masz na myśli prezerwatywy? – Breslin rozpromienia się w szerokim uśmiechu. – To się nazywa pewnością siebie.

Rory gwałtownie spuszcza głowę i znowu zaczyna dźgać palcem okulary.

– Nie! Chodzi mi o kwiaty. Nie chciałem przychodzić z pustymi rękami. Aislinn mówiła mi, żebym nie przynosił wina, ale zamierzałem kupić jej kwiaty w Ranelagh, tyle że zapomniałem... Tak bardzo skupiłem się na tym, w co się ubrać, potem żeby to porządnie wyprasować i wyjść o właściwej godzinie... Uświadomiłem sobie dopiero na jej ulicy.

– Kłopot – oznajmia śpiewnie Breslin. Znowu kołysze się na krześle i bawi długopisem.

– No tak. Na sekundę wpadłem w panikę. Ale na Prussia Street jest Tesco,

więc...

– Chwileczkę – przerywam mu zdezorientowana. – Mówiłeś przecież, że nie znasz tej okolicy.

– Bo nie znam. Tylko... nie rozumiem.

– Skąd wiedziałeś, gdzie jest Tesco?

Rory wlepia we mnie zdumiony wzrok.

– Sprawdziłem w telefonie. No więc, poszedłem tam...

Zanim Breslin otwiera usta, wiem, że się wtrąci. Dobrze się nam współpracuje: ja dbam o luźną atmosferę, żebyśmy mogli uzyskać podstawowe informacje, on przyskakuje, ilekroć dostrzega okazję, i okłada Rory'ego kijem, a ja nadstawiam ręce jak pod latynoską piniatą, żeby złapać wysypujące się słodycze. Nie podoba mi się to, że dobrze mi się z nim pracuje. Mam wrażenie, jak gdyby mnie w coś wrabiał, chociaż trudno powiedzieć w co.

– Kwiaty z Tesco? – pyta. Wyraz jego twarzy jest czymś pośrednim między uśmiechem a grymasem zażenowania. – Mówiłeś, zdaje się, że ta Aislinn ma raczej wykwintny gust.

Rory poprawia tyłek na krześle.

– Mówiłem. Bo ma. Ale o tej godzinie...

– Ma wykwintny gust, dla ciebie przez cały dzień stoi przy garach, a ty zamierzasz do niej zapukać z bukietem przywiędłych, wściekle różowych margerytek? Dajże spokój.

– No, nie, tego nie planowałem. Chciałem... Aislinn mówiła mi, że kiedy była mała, ojciec zabierał ją do Powerscourt, spacerowali tam po ogrodzie japońskim i oglądali azalie, a tata opowiadał jej o dzielnej księżniczce Aislinn. Chciałem poszukać dla niej azalii. Myślałem... – Błady, smutny uśmiech przy wzroku wbitym w dłonie. – Pomyślałem, że się ucieszy.

– Miło – mówię, kiwając głową. – Naprawdę miło. Na pewno byłaby zachwycona.

– Otóż to – chwali Breslin, celując w Rory'ego długopisem. – To się nazywa dać z siebie wszystko. Właśnie w ten sposób facet może do czegoś dojść, jeżeli wiesz, co mam na myśli. Może nawet zatrzeć wrażenie po czymś takim. – Wskazuje na rękawiczki. – Szkoda, że to schrzaniłeś. W Tesco na pewno nie mają w sprzedaży azalii.

– Wiem, że nie mają. Ale o tej godzinie w sobotę nigdzie indziej nie kupiłbym kwiatów. Uznałem, że nawet paskudny bukiet będzie lepszy niż żaden. – Rory spogląda na nas z niepokojem, szukając aprobaty.

Breslin krzywi się i kołysze dłonią jak wahadłem.

– To zależy od dziewczyny. Jeżeli jest z dolnej półki, jasne, ale taka... Mniejsza z tym. I tak już za późno. No więc, poszedłeś do Tesco...?

– Tak. Zostało im niewiele kwiatów, przede wszystkim właśnie takie, jak

pan powiedział, margerytki w dziwnych kolorach, ale znalazłem bukiet irysów, całkiem ładny.

– W irysach nie ma nic złego – zapewniam go. – O której godzinie dotarłeś do Tesco?

– Mniej więcej za kwadrans ósma. Może trochę później.

To też da się sprawdzić. Monitoring w autobusie, monitoring w Tesco: chronologię, którą przedstawia nam Rory, łatwo da się zweryfikować, i zastanawiam się, czy to celowe. Zapomniane kwiaty to bardzo wygodny pretekst. Do Tesco z Viking Gardens można dojść w siedem czy osiem minut, dokładnie tyle, żeby się wytłumaczyć z dodatkowej półgodziny.

Jeżeli Rory całą drogę tam i z powrotem pokonał biegiem – musimy poszukać kogoś, kto widział, jak biegł – mógł skrócić ten czas o parę minut. Samo zabójstwo odbyło się błyskawicznie: dwie sekundy na zadanie ciosu, dziesięć do dwudziestu na zbadanie pulsu i oddechu Aislinn, dziesięć na wyłączenie kuchenki – wszystko mogło się rozegrać w ciągu minuty. Dłuższego czasu mogły wymagać przygotowania do zabójstwa, jeżeli w ogóle było przygotowane.

Jeśli Rory faktycznie jest sprawcą, nie należy do typowych, bezdennie głupich mięczaków. Zachowuje się nerwowo, ale zaciera każdy ślad, zanim zdążymy go dostrzec, i cały czas wyprzedza nas o krok. Jeżeli będziemy skazani tylko na niego, przynajmniej wywiąże się jakaś walka.

– Prawie w ostatniej chwili – mówię. – Jak długo byłeś w sklepie?

– Tylko parę minut. Spieszyłem się. Rzeczywiście miałem mało czasu. Właśnie z takich powodów wolę być wcześniej.

– Jasne – przytakuję. – Czyli po tym, jak wyszedłeś z Tesco...

– Wróciłem na Viking Gardens. Zdążyłem. Kiedy zerknąłem na zegarek, dochodziła ósma.

– Czy na ulicy był ktoś jeszcze?

Rory z namysłem pociera nos.

– Starszy mężczyzna na spacerze z psem, małym białym pieskiem. Wychodził z Viking Gardens. Kiwnął mi głową. Poza nim chyba nie było nikogo.

To też łatwo sprawdzić.

– I co potem?

– Poszedłem ulicą i patrzyłem na numery domów, dopóki nie znalazłem domu Aislinn, numer dwadzieścia sześć. Zadzwoiłem do drzwi...

Urywa.

– I? – ponaglę go.

– Nie otworzyła.

Tym razem szybko oblewa się ciemnym rumieńcem. Czuję, jak Steve za szybą nachyla się nad tym rumieńcem, przekonany, że miał rację i Rory Fallon to niewinny baranek. Ja nie jestem taka pewna. Może się rumieni, bo przypomina

sobie upokorzenie, a może to po prostu oznaka kłamstwa.

– Hm, dziwne – mówię. – Dlaczego? Co sobie wtedy pomyślałeś?

Rory spuszcza głowę.

– W pierwszej chwili uznałem, że Aislinn mnie nie usłyszała. Wiedziałem, że dzwonek działa, słyszałem, ale pomyślałem, że może jest w toalecie albo z jakiegoś powodu wyszła na moment tylnymi drzwiami.

– I co zrobiłeś?

– Zaczekałem chwilę i znowu zapukałem. Potem jeszcze raz zadzwoniłem. Ciągle nie otwierała, więc po paru minutach wysłałem jej SMS-a. Przyszło mi do głowy, że mogłem pomylić adres. Czekałem i czekałem, ale nie odpowiedziała.

– Ooo... – Breslin się krzywi. – Bolesna niespodzianka.

– Myślałem, że nie usłyszała sygnału SMS-a... – Rory dostrzega mieszaninę litości i rozbawienia na twarzy detektywa i znów pochyla głowę. – Przecież to możliwe. Mogła gotować czy coś, zostawiła telefon w pokoju... sygnał wiadomości może być okropnie cichy...

– Ja swojego nigdy nie słyszę – potwierdzam. – Cholery można dostać. No i co, jeszcze raz próbowałeś się z nią kontaktować?

– Zadzwoniłem do niej. To mały domek, parterowy, dlatego pomyślałem, że na pewno usłyszała dzwonek, wszystko jedno, gdzie była. Ale nie odebrała. – Rory unosi wzrok, widzi ironiczny uśmiech Breslina i krzywi usta. – Spróbowałem jeszcze raz, przyłożyłem ucho do drzwi, żeby sprawdzić, czy usłyszę dzwonek telefonu w środku. Zastanawiałem się, czy Aislinn w ogóle jest u siebie, czy... Ale nic nie słyszałem.

Sprawdzimy to.

– Domyśliłeś się, o co chodziło? – pytam.

– Nie byłem pewien. Przypuszczałem, że... – Głos Rory'ego prawie zupełnie zanika.

– Mów głośniej – prosi Breslin. – Kamera musi to zarejestrować.

Rory'emu udaje się wydobyć z siebie bardziej słyszalne dźwięki, ale nadal trudno mu na nas patrzeć.

– No... dwa tygodnie temu Aislinn odwołała nasze spotkanie w ostatniej chwili. Nie powiedziała mi dlaczego, tylko że coś jej wypadło. Dość trudno było nam też zaplanować inne terminy... proponowałem jakiś dzień, a jej nie pasowało albo z początku się zgadzała, a potem zdarzał się jakiś problem. Czasem nie odbiera telefonu... Nie wiem, czy to jakaś gra psychologiczna... to naprawdę zupełnie, zupełnie nie w jej stylu, ale w końcu aż tak dobrze jeszcze jej nie znam... czy w jej życiu jest coś, o czym mi jeszcze nie powiedziała, na przykład któreś z rodziców ma demencję albo jest alkoholikiem i czasem trzeba wszystko rzucić i natychmiast się nim zająć? – O zdradzie nie wspomina, chociaż taka możliwość musiała mu przyjść do głowy. Może po prostu chce uniknąć złości Breslina,

ale ciekawe, że akurat tego nie wymienił. – No więc, przypuszczałem, że tym razem chodzi o to samo. Wszystko jedno, co to jest.

– No i stałeś tam ze ślicznymi irysami z Tesco w garści – odzywa się Breslin, ledwie powstrzymując kpiący ton. – Zwarty i gotowy.

Głowa Rory'ego pochyla się jeszcze niżej.

– Martwiłeś się? – pytam ze współczuciem w głosie. – Że coś się stało Aislinn?

Rory z wdzięcznością kieruje na mnie wzrok.

– Tak, trochę się niepokoiłem. Dlatego kiedy weszliście, spytałem, czy chodzi o nią. Bałem się, że mogła zemdleć, poślizgnąć się pod prysznicem albo że tak źle się poczuła, że nie ma siły nawet odebrać telefonu... to znaczy, mam na myśli to coś, o czym jeszcze mi nie powiedziała: chorobę, padaczkę, nie wiem... Nie miałem jednak pojęcia, co zrobić. Nie mogłem zadzwonić pod dziewięć dziewięć dziewięć i powiedzieć, że kobieta nie otwiera drzwi facetowi, którego zna ledwie od paru tygodni. Roześmialiby mi się prosto w nos i poradzili, żebym lepiej znalazł sobie nową dziewczynę. Nawet ja wiedziałem, że to najbardziej prawdopodobny scenariusz. Ale to było silniejsze ode mnie, wyobrażałem sobie wszystkie możliwości... To mi się zdarza, nawet kiedy nie... Czy z Aislinn wszystko w porządku?

Wyszedł poza swoją strefę komfortu i zmienił się w beznadziejną rozedrganą galarete; albo chce, żebyśmy tak myśleli.

– No i co zrobiłeś? – pytam.

– Przez szczelinę między zasłonami widziałem w środku światło, więc próbowałem tam zajrzeć. Trochę się obawiałem, że sąsiedzi mnie zobaczą i zadzwonią na policję, ale miałem w telefonie wiadomości od Aislinn, w których zapraszała mnie do siebie. Poza tym uznałem, że może wezwanie policji nie jest takim złym pomysłem, bo przynajmniej mogłaby sprawdzić, czy nic złego się...

Facet nie potrafiłby zamówić kanapki, żeby nie zacinać się i płatać w obawie przed konsekwencjami prośby o majonez.

– Co zobaczyłeś?

Rory kręci głową.

– Nic. To była wąska szpara, a pod tym kątem widziałem tylko kawałek kanapy i lampę... lampa się paliła. Nie chciałem tam za długo sterczeć, tylko szybko zajrzałem.

– Zauważyłeś jakiś ruch? Cień? Oznaki czyjejś obecności?

– Nie, nic takiego. Cienie lekko drżały, ale nie odniosłem wrażenia, że ktoś chodzi po domu, raczej wyglądało to tak, jakby w kominku palił się ogień.

Rzeczywiście się palił. Notuję, żeby sprawdzić, czy można zobaczyć migotanie płomieni przez zasłony. Jeżeli Rory jest sprawcą, umie nad sobą panować; wielu ludzi nie potrafiłoby oprzeć się pokusie, by powiedzieć nam

o tajemniczym intruzie.

– I co potem zrobiłeś?

– Na wszelki wypadek napisałem do niej jeszcze jedną wiadomość, obawiając się, że źle się zrozumieliśmy co do dnia albo... – Breslin prycha. Rory się wzdryga. – Powiedziałem „na wszelki wypadek”. Zdaję sobie sprawę, że najprawdopodobniej mnie rzuciła. Ale gdyby to było jakieś nieporozumienie, a ja od razu skasowałbym jej numer z telefonu, to mogliśmy oboje stracić szansę na przeżycie czegoś niezwykłego. Nie chciałem aż tak ryzykować. Wolałem zrobić z siebie idiotę.

– Wygląda na to, że twoje życzenie się spełniło – mówi Breslin. – Powinieneś zwinąć żagle, kiedy nie otworzyła drzwi. Jeżeli będzie sama chciała to naprawić, niech to robi. Kobiętę trzeba trzymać krótko.

– Nie mam takich zwyczajów.

– Nie? I co, dobrze ci z tym?

– To porządny człowiek, Breslin – mówię. – Naprawdę dobrze postąpiłeś, Rory. Co zrobiłeś, kiedy nie odpowiedziała na SMS-a?

– Dałem spokój – odpowiada cicho Rory. – Minęło wpół do dziewiątej, marzłem, zaczynało padać. Wszystko jedno, co się działo, ale nawet gdybym stał tam całą noc, i tak niczego by to nie zmieniło. No więc poszedłem.

– Musiałeś się nieźle wkurzyć – zauważa Breslin. – Telepiesz się przez pół miasta w paskudny zimowy wieczór, drałujesz do Tesco i z powrotem, a jej się nawet nie chce wpuścić cię do domu? Mnie by się zagotowało.

– Mnie nie. Byłem raczej... przygnębiony. To znaczy, trochę też zły, ale...

– Pewnie, że tak. Waliłeś pięściami do drzwi? Krzyczałeś? Przeklinałeś? Kopales w latarnie? – Gdy Rory otwiera usta, Breslin uprzedza: – Pamiętaj, będziemy pytać sąsiadów.

– Nie. Nie robiłem niczego takiego. – Rory odwraca głowę, jak gdyby przez fakt, że nie kopnął w drzwi Aislinn, stał się mniej męski. – Po prostu wróciłem do domu.

– Punkt dla ciebie – chwale go. – Niektórzy faceci zrobiliby z siebie kretynów na oczach całej ulicy. Trudno w ten sposób zaimponować dziewczynie. Wracałeś też autobusem?

– Pieszko. Nie miałem ochoty czekać na autobus ani patrzeć na ludzi. Po prostu... poszedłem.

Czyli żaden kierowca ani pasażerowie nie mogliby nam powiedzieć, czy był roztrzęsiony i wyglądał na zszokowanego ani czy miał zakrwawione rękawiczki. Z troską ściągam brwi.

– Jezu, nie chciałabym iść na taki spacer. Przez środek miasta w sobotę wieczorem, pełno pijanych idiotów szukających zaczepki... Nikt się do ciebie nie przyczepił?

Plecy Rory'ego drgają, jakby chciał wzruszyć ramionami. Znowu stara się wsunąć głowę w tułów.

– Pewnie nawet bym nie zauważył, gdyby ktoś próbował. Na Aungier Street jakiś facet ryknął tuż za moimi plecami, ale nie wiem, o co chodziło... to chyba nie było po angielsku... I nie jestem pewien, czy w ogóle mówił do mnie. Po prostu...

– Znowu drgają mu ramiona. – Naprawdę nie zwracałem uwagi.

– I zdaje się, że niewiele straciłeś – mówię. – Co zrobiłeś z kwiatami?

– Wyrzuciłem. – Nagle w głosie Rory'ego wzbiera ból, przygnębienie i straszliwy smutek wczorajszego wieczoru. Głęboko przeżył stratę Aislinn, w taki czy inny sposób. – Z początku w ogóle o nich zapomniałem, a kiedy się zorientowałem, że ciągle je trzymam, chciałem się ich pozbyć. Przyszło mi do głowy, że powinienem znaleźć kogoś, komu mógłby je dać, ale nie miałem siły szukać. Wyrzuciłem je do kosza. Po tym wszystkim.

– Do kosza? Gdzie?

– Przy bulwarach. Tak... zanim przypomniałem sobie o kwiatkach, przeszedłem całą tę drogę, trzymając je jak transparent RZUCIŁA MNIE. Zabawne, prawda? – Ostatnie słowa są przeznaczone dla Breslina.

– Zrobiłabym to samo. – Znacząco zerkam na lustro weneckie: Steve musi wysłać parę mrówek, żeby przeszukały kosze przy bulwarach, zanim zostaną opróżnione. Na tym cholernym bukicie mogą być ślady krwi. – Tyle że w drodze do domu wstąpiłabym pewnie na piwo. Ty nie wstąpiłeś?

– Nie. Chciałem być jak najszybciej w domu. – Rory pociera dłońmi twarz. Zaczyna w nim narastać napięcie. – Możecie mi powiedzieć, o co chodzi?

– I kiedy dotarłeś do domu? – pytam.

– Dokładnie nie wiem. Pewnie krótko przed wpół do dziesiątej. Nie patrzyłem na zegarek.

– Do kogo dzwoniłeś? – włącza się Breslin.

– To znaczy?

– Kiedy wszedłeś do domu. Do kogo zadzwoniłeś, żeby się pożalić, że twoja wielka randka wzięła w łeb? Do najlepszego kumpla? Do brata?

– Do nikogo nie dzwoniłem.

Breslin wlepia w niego wzrok.

– Nie mówisz serio. Rory, na pewno masz kogoś, żeby do niego zadzwonić. Bo każdy kiedyś w życiu dostał kosza, zdarza się, ale jeżeli rzeczywiście wróciłeś do domu po takim wieczorze i nie przyszedł ci do głowy ani jeden koleś, z którym mógłbyś popsioczyć na baby i cały ten świat... to od wielu tygodni nie słyszałem smutniejszej rzeczy. Co ja mówię! Od miesięcy!

– Do nikogo nie dzwoniłem – odpowiada Rory. – Zrobiłem sobie kanapkę, bo z oczywistych powodów nie jadłem kolacji, a potem usiadłem, patrzyłem przez okno i czułem się jak najgorszy głupek na świecie. Tłumaczyłem sobie w coraz

bardziej idiotyczny sposób, że wszystko może być dobrze, i żałowałem, że nie jestem typem, który w takiej sytuacji wyszedłby z domu, urznął się w sztok i wdał się w jakąś burdę albo przeleciał nieznaną panienkę.

W jego głosie brzmi nuta upokorzenia, tak wyraźna, że jej gorycz czuć w powietrzu. Podoba mi się ten zapach. Jeżeli uda nam się trafić go w czuły punkt, to właśnie tak: przez upokorzenie.

Jeśli Aislinn trafiła go w czuły punkt, zrobiła to w ten sam sposób. Prawdopodobnie wystarczyłoby, żeby się dowiedział, że chodzi do łóżka z kimś innym.

– O północy, kiedy Aislinn nie zadzwoniła ani nie wysłała SMS-a, poszedłem spać. Ostatnią rzeczą, na jaką miałem ochotę, był telefon do kumpla, żeby mu o tym wszystkim opowiedzieć. Jasne?

Breslin przez następną minutę przygląda mu się z niedowierzaniem. Rory odwraca wzrok i skubie mankiet koszuli, ale nie odzywa się ani słowem.

Jak dotąd przedstawia nam wersję wydarzeń, którą łatwo zweryfikować, musi też wiedzieć, że możemy sprawdzić połączenia telefoniczne. Jeżeli z kimś rozmawiał, to w taki sposób, że w jego przekonaniu nie uda się nam tego wytropić. Zastanawiam się, czy w drodze do domu nie mijał mieszkania jednego ze swoich kumpli.

Zostawiam tę sprawę.

– Żeby nie było żadnych nieporozumień – zaznaczam – możesz potwierdzić, że to jest kobieta, z którą się spotykałeś? Do której poszedłeś wczoraj wieczorem?

Wyjmuję z teczki zdjęcie Aislinn i kładę przed Rorem na stole. Unosi głowę, otwiera szeroko oczy, zupełnie zapominając o chwili goryczy.

– Dlaczego macie... Już... Czy coś się...

– Jak mówił detektyw Breslin – odpowiadam życzliwym, ale stanowczym tonem – musimy wszystko robić po kolei. Czy to jest kobieta, do której poszedłeś wczoraj wieczorem?

Przez chwilę mam wrażenie, że Rory wyhoduje parę jaj i zacznie się domagać odpowiedzi, mimo to dalej patrzę na niego z uśmiechem i w końcu mruży oczy.

– Tak. To ona.

– Pan Fallon zidentyfikował fotografię Aislinn Murray – mówię z myślą o nagraniu.

– Popatrzmy. – Breslin nachyla się, żeby wziąć zdjęcie. Unosi brwi i wydaje stłumiony gwizd. – Kurczę. Szacun, przyjacielu! Co za laseczka!

Słyszając to, Rory zapomina o swoich pytaniach. Wbija w Breslina wściekłe spojrzenie, którego ten nie zauważa – ciągle trzyma zdjęcie w wyciągniętej ręce i z uznaniem kiwa głową.

– Jest piękna. Ale nie to mi się w niej podoba. – Breslin znad zdjęcia zerka

na niego z niedowierzaniem. – Mhm. Lecisz na jej błyskotliwą osobowość.

– Owszem. Jest interesująca, inteligentna, serdeczna, ma wyobraźnię... Nie chodzi o urodę. Pod względem fizycznym nie jest nawet w moim typie.

Breslin wydaje z siebie głośnie parsknięcie.

– Och, co ty wygadujesz! Ona jest w typie każdego faceta. Chcesz mi powiedzieć, że wolisz brzydkie? Gdybyś mógł zdecydować, wybrałbyś jakiegoś grubego, kosmatego trolla z gębą jak rozdeptane ciastko, ale tak się złożyło, że trafiłeś na nią? Jakże mi ciebie żal.

Rory czerwienieje.

– Nie. Mówię tylko, że nigdy nie zainteresowała się mną dziewczyna, która jest taka... no, taka elegancka. Wszystkie poprzednie były raczej... bardziej zwyczajne.

– Nie dziwię się. – Breslin przypatruje się koszuli Rory'ego. – Powiedz, jak ci się udało poderwać taką laskę? Nie obraż się, ale spójrzmy prawdzie w oczy: to nie jest twoja kategoria wagowa. Nie denerwujesz się, co? Że zwracam na to uwagę?

– Nie. Powiedziałem już, że jest piękna. – Rory kręci się na krześle, chcąc, żeby detektyw wreszcie odłożył fotografię. Breslin jeszcze raz obleśnie łypie na Aislinn.

– Śliczności. Natomiast ty... No, wszystko z tobą w porządku, ale Bradem Pittem nie jesteś, prawda?

– Wiem.

– No więc, jak ci się to udało? – Breslin macha zdjęciem.

– Zaczęliśmy rozmawiać. Na promocji książki u mnie w księgarni, na początku grudnia. To wszystko.

– Mhm. – Breslin znowu obrzuca go sceptycznym spojrzeniem. – Jaką metodę stosujesz? Pytam serio. Jeżeli masz jakieś rady, naprawdę chętnie posłucham.

Rory wyraźnie się jeży: prostuje kark, próbuje gromić wzrokiem Breslina.

– Nie stosuję żadnych metod. Po prostu z nią rozmawiałem. W ogóle nie brałem pod uwagę, że coś się może z tego narodzić. Świetnie wiedziałem, że jeżeli ktoś popatrzy na Aislinn, a potem na mnie, będzie gotów założyć się o każde pieniądze, że nic między nami nie będzie, bo myślałem tak samo. Zacząłem z nią rozmawiać tylko dlatego, że była sama w dziale dziecięcym, a ponieważ to moja księgarnia, czułem się odpowiedzialny za to, żeby wszyscy dobrze się czuli.

– A potem zaiskrzyło – wtrącam.

Uśmiecham się do niego, a on się zapomina i odpowiada uśmiechem.

– Tak. Naprawdę zaiskrzyło. Przynajmniej tak myślałem.

– O czym rozmawialiście?

– Przede wszystkim o książkach. Aislinn przeglądała zbiór baśni

George'a MacDonalda. W dzieciństwie uwielbiałem tę książkę, więc jej o tym powiedziałem, a ona, że też ją uwielbiała... mieliśmy nawet to samo wydanie. I od tego wszystko... Oboje lubimy realizm magiczny i oboje lubimy kontynuacje, nowe wersje. Aislinn bardzo się podobało *Szerokie Morze Sargassowe*; mówiłem jej, że musi koniecznie przeczytać *American Ghosts and Old World Wonders*. Opowiedziała mi, że gdy miała czternaście lat, tak ją zdenerwowało zakończenie *Małych kobietek*, że napisała je po swojemu, żeby Jo wyszła za Lauriego. Wkleiła kartki do książki i czytając drugi raz, udawała, że to prawdziwy tekst. Zabawnie o tym mówiła: że była wściekła na Louise May Alcott, dopóki nie znalazła rozwiązania... Śmialiśmy się serdecznie. – Rory znów bezwiednie się uśmiecha.

Trajkocze, jakbym była jego najlepszą przyjaciółką. Wiem, że ja i Breslin robimy swoje, wiem też, że przez głowę Rory'ego, zadreżdżającego się „co by było, gdyby”, przebiegają scenariusze, w których przez jedną odpowiedź może trafić do celu pełnej statystów z Krainy Oz, mimo to powinien już dawno uparcie domagać się od nas odpowiedzi, zamiast sypać nam garściami to, o co prosimy. Uczynny gość, mówiły mrówki, ale to już przekracza granice uczynności. Nie stawiają się tylko ci, którzy mają coś do ukrycia.

Chciałabym popatrzeć na Steve'a, ale spogląda na mnie lustro weneckie.

– Czyli wymieniliście się numerami telefonów – mówię. – A potem?

– Pisaliśmy do siebie SMS-y, później poszliśmy na drinka do Market Bar.

I znowu fantastycznie się nam rozmawiało. Miałem wrażenie... Wiem, pewnie mówię jak nastolatek, ale miałem wrażenie, że dzieje się coś niewiarygodnego. Nie mogliśmy przestać rozmawiać. Nie mogliśmy przestać się śmiać. Spotkaliśmy się o ósmej, a wyszliśmy z baru, dopiero gdy nas wyrzucili.

– Chyba randka, o jakiej wszyscy marzą – komentuję.

Rory unosi otwarte dłonie.

– Tak mi się wydawało. Aislinn... mówiła mi, że kiedyś była prostą dziewczyną, takiego właśnie słowa użyła: „prostą”. A teraz, ilekroć jakiś facet usiłuje ją zagadnąć, myśli tylko o tym, że kilka lat temu w ogóle by na nią nie spojrział, i to jej nie daje spokoju, nie potrafi kogoś takiego traktować z szacunkiem. Powiedziała, że mnie odbiera inaczej, czuje, że nawet wtedy rozmawiałbym z nią tak samo jak dzisiaj. Bo to prawda. Wydawała się... zaskoczona. Więcej niż zaskoczona: prawie oszołomiona. Rozumiecie, co mam na myśli? Naprawdę zaiskrzyło między nami. Nie tylko ja to czułem.

Nie pasuje mi to do prowadzącej swoje gierki fanki *Sekretnego poradnika*, jaką sobie wyobrażałam. Znowu mam to samo: z każdą nową informacją o Aislinn jej obraz staje się coraz bardziej nieostry i rozmazany. Albo to prawda, albo wciskała Rory'emu kit. Albo Rory wciska kit nam.

– A po tym wieczorze? – pyta Breslin.

– Odprowadziłem ją do taksówki.

– Daj spokój, Rory. Wiesz, o czym mówię. Nie pocałowaliście się w drodze.
Rory zadziera brodę.

– Jakie to ma znaczenie? – Próbuje się unieść honorem, ma jednak za krótkie skrzydełka.

Breslin chichocze w notes.

– Zero całuska – mówi do mnie. – A ty nazywasz to randką marzeń?

Rory połyka haczyk.

– Pocałowaliśmy się. Zadowolony?

– Ach, jak uroczo – odpowiada Breslin. – Pocałunek, nic więcej?

– Tak. Nic więcej.

Breslin wyszczerza zęby w uśmiechu.

– A po tym wieczorze?

– Dalej esemesowaliśmy. Zaprosiłem ją na kolację. Mówiłem już, że ustalanie terminu trochę trwało, ale w końcu udało się nam umówić. Poszliśmy do Pestle.

– Bardzo ładnie. – Breslin kiwa głową. Nawet ja słyszałam o Pestle, chociaż wolałabym wymazać to z pamięci. – Sprzedałeś nerkę?

Rory uśmiecha się ze smutkiem.

– Uznałem, że spodoba się Aislinn. Nie myślałem o tym, jaki to supermodny lokal, wybrałem go, bo na dachu jest tam oszklony ogród, więc można oglądać z góry miasto i rozmawiać... nie wiem, o wszystkich tych ludziach, o tym, co mogliby... Teraz już wiem, że zupełnie się pomyliłem. To musiało wyglądać tak, jakbym robił to samo co inni faceci: oceniał ją po wyglądzie. Czy... – zwraca twarz w moją stronę i nagle otwiera szeroko oczy – ...czy właśnie przez to...

– Za mało informacji, żeby to ocenić – odpowiadam. – Miałeś wrażenie, że podobał się jej ten wieczór?

– Tak... to znaczy... – Twarz Rory'ego zasnuwa się cieniem. – Podobał się jej. Naprawdę. Ale miałem wrażenie, że coś ją gnębi, jakby nie mogła się zupełnie rozluźnić. Za każdym razem, gdy wszystko układało się nieźle, kiedy dobrze się nam rozmawiało albo śmialiśmy się z czegoś, robiła strapioną minę i milkła, a ja musiałem zaczynać rozmowę od zera i cały czas ją podtrzymywać. Wtedy właśnie pierwszy raz pomyślałem, czy jest coś, o czym nie może mi jeszcze powiedzieć, na przykład jakiś problem w rodzinie...

– Albo – wtrąca Breslin – zaczęło do niej docierać, że aż tak jej na tobie nie zależy. I na widok twojego zachwyty, że wszystko tak super się układa, zmartwiła się, bo dla niej ta randka była do dupy i nie wiedziała, jak ci o tym powiedzieć.

Trafia Rory'ego w czuły punkt.

– Ta randka nie była dla niej do dupy. Na pewno bym zauważył... – Breslin chce coś dodać, ale Rory podnosi głos i go powstrzymuje; nabiera animuszu. – Byłem tam i wcale niczego sobie nie wmawiałem. Przez większość czasu czuliśmy

się ze sobą świetnie.

– Skoro tak twierdzisz... – Breslin ledwie powstrzymuje drganie kącika ust.

– A jak wyglądał koniec wieczoru?

– Znowu się pocałowaliśmy. Przypuszczam, że o to pan pyta.

Przednie nogi krzesła Breslina z hukiem lądują na podłodze.

– Pocałowaliście się? Nie zaprosiła cię do domu? Zastawiasz swoje organy, żeby ją zabrać do Pestle, a w zamian dostajesz tylko mokrego całusa pod latarnią, jak pieprzony nastolatek? Jeżeli to ma być, według ciebie, udana randka...

– Dwa dni później zaprosiła mnie do siebie na kolację – odburkuje Rory. – Możecie sprawdzić w moim telefonie: mam od niej wiadomości. Zrobiłaby to, gdyby ta randka była do dupy?

Breslin rozchyła wargi w wilgotnym, wygłodniałym uśmiechu. Jest zachwycony.

Też to czuję. Znaleźliśmy sposób na Rory'ego, wiemy, jak mu zagrać, żeby nam zatańczył, mamy go w garści. Będzie nam posłuszny jak skaczące jojo, możemy z nim wyczyniać wszystkie sztuczki, jakie zapagniemy.

Nie chcę go jednak na razie potraktować zbyt brutalnie. Posyłam Breslinowi ostrzegawcze spojrzenie.

– A więc zaprosiła cię na kolację na wczorajszy wieczór.

– Tak. – Kręgosłup Rory'ego wiotczeje; atak czupurności minął. – Na początku to miał być zeszły tydzień, ale Aislinn coś wypadło. Dlatego umówiliśmy się na wczoraj.

Breslin wycofuje się, ale nie do końca.

– Kiedy rozmawialiśmy o tym, jak dotarłeś do domu Aislinn, powiedziałaś...

– przegląda notatki – że pojechałeś autobusem, na wypadek gdybyś pił wino w trakcie kolacji, a potem musiał wracać do domu. Czyli nie byłeś pewien, że spędzisz u niej noc. Zgadza się?

Rory znowu różowieje.

– Nie miałem pojęcia. Właśnie dlatego nie przyjechałem samochodem. Nie chciałem, żeby Aislinn pomyślała, że spodziewam się zaproszenia na noc. Ani że próbuję je na niej wymusić.

Dziwię się, że ten facet potrafi wstać rano z łóżka, nie wpadając w atak paniki na myśl, że może się potknąć o dywanik w łazience i wbić sobie w oko szczoteczkę do zębów i że na stałe zostanie mu tik, przez który nie będzie miał szans bezpiecznie wylądować samolotem, gdy pilot dostanie zawału, i skaże setki ludzi na śmierć w płomieniach. Słyszając takie bzdury, zwykle przewracam oczami, tu jednak mogą się przydać, gdy tylko mocniej go przyciśniemy.

Bezsensowne gdybanie jest dla słabeuszy. Uciekają się do niego ci, którym brakuje sił, by wcielić swoje zamiary w czyn, muszą się więc chować w marzeniach, gdzie udają, że mają kontrolę nad tym, co będzie dalej. Przez to

stają się jeszcze słabsi. Każde „co by było, gdyby” to prezent dla wszystkich, którzy szukają na ciebie haka, czyli dla nas. Jeżeli facet nie odkleja się od rzeczywistości i twardo stąpa po ziemi, możemy dobrać się do niego tylko na poziomie twardej rzeczywistości. Jeżeli błąka myślami po dziesiątkach krętych hipotetycznych drózek, każda z tych bajeczek to szpara, przez którą możemy się wdrzeć do środka.

– Ale przypuszczałeś, że to może być Ta Noc.

– Nie miałem pojęcia. Tak właśnie...

– Daj spokój, Rory. Nie wciskaj mi kitu. To była wasza trzecia randka, zgadza się? Poprzednim razem przepuściłeś na nią cały budżet? Zaprosiła cię, żebyś skosztował, jak gotuje? Każdy normalny facet spodziewałby się...

– Niczego się nie spodziewałem. Ceny w restauracji nie miały nic wspólnego z... Aislinn nie jest ...

Rory wygląda zabawnie, kiedy się wkurza: jak szarżujący puchaty myszokoczek. Breslin wznosi oczy do sufitu.

– No dobrze, spróbujmy inaczej. Wziąłeś ze sobą prezerwatywy?

– Nie rozumiem, co to ma...

– Rory. Nie udawaj skromnisia. Wszyscy tu jesteśmy dorośli. Kiedy wczoraj wieczorem zapukałeś do Aislinn, miałeś przy sobie prezerwatywę? Tak czy nie?

– Tak, miałem opakowanie w kieszeni płaszcz – przyznaje się w końcu Rory. – Na wszelki wypadek.

– Czyli jednak wiesz, co jest naprawdę ważne. – Breslin odchyła się ze znaczącym uśmiechem. – O kwiatkach zapomniałeś, ale nie o gumach, o nich pamiętałeś.

– Widać, ile masz lat, Breslin – mówię spokojnie, częstując go takim samym uśmiechem. – Twoje pokolenie miało swoje podejście do bezpiecznego seksu. Ludzie w wieku Rory’ego i moim nigdzie nie chodzą bez opakowania z trzema prezerwatywami, tak na wszelki wypadek. – Breslin spogląda na mnie spode łba, a jego irytacja jest tylko częściowo udawana. – Mam rację, Rory? Masz je jeszcze w kieszeni?

Gdyby je miał, potwierdziłby, że to ten sam płaszcz, w którym wczoraj przyszedł do Aislinn. On jednak kręci głową.

– Wyjąłem. Gdy wróciłem do domu i zdjąłem płaszcz. Wyczułem je w kieszeni i po prostu... – Oddycha coraz szybciej. – Chyba od początku powinienem wiedzieć, że to by się nigdy nie stało. Jak pan zresztą powiedział – zwraca się do Breslina, który w odpowiedzi pochyla głowę. – To tak, jakby ona spotykała się ze mną tylko po to, żeby mnie zrobić w jakąś koszmarną historię z ukrytą kamerą, i kiedy pukałem, dzwoniłem i esemesowałem jak idiota, siedziała za drzwiami z gromadą znajomych i wszyscy zrywali boki ze śmiechu, że taka ofiara mogła naprawdę pomyśleć, że ma u niej szanse.

To uczucie jest autentyczne. Owładnęło jego całym ciałem, gotowe złapać go za kark, unieść z krzesła i cisnąć o ścianę. Co wcale nie znaczy, że Rory mówi prawdę. Możliwe, że tamto gorzkie upokorzenie spadło na niego rzeczywiście w tamtej chwili; możliwe, że pojawiło się, gdy przyszedł do Aislinn za wcześnie i nie powitała go tak, jak się spodziewał; możliwe też, że doznał go parę tygodni wcześniej, kiedy mu powiedziała, że spotyka się z kimś innym, albo gdy wyszli z Pestle i nie zaprosiła go do domu. I postanowił ją ukarać.

– Rzuciłem prezerwatywy w kąt pokoju – ciągnie Rory. – Czuję się przez nie głupio, jak jakiś odrażający lubieżnik i... Leżą gdzieś w salonie. Mam nadzieję, że ich nigdy nie znajdę.

Odzywam się rzeczowym, ale pełnym współczucia tonem – rzeczowość i współczucie to specjalność Równiej Luzary:

– Jeżeli naprawdę nie chciało jej się otworzyć drzwi, to było wredne z jej strony.

Rory wzrusza ramionami. Znowu składa ręce na stole. Ten wybuch go nadwątlił; wydaje się wręcz mniejszy.

– Może. Nie wiem, co się stało.

Breslin się porusza. Rory unosi wzrok i dostrzega jego kpiący uśmieszek. Wzdryga się i odsuwa.

– Mówię serio – zapewniam go. – Masz prawo się na nią złościć.

– Nawet się nie złoścę – odpowiada Rory. – Chcę tylko zrozumieć. – Wygląda na zupełnie wyczerpanego. Zdejmuje okulary i przeciera je mankietem koszuli. Kiedy nie widzi mnie najlepiej, łatwiej mu na mnie patrzeć. Jego oczy, obnażone i na wpół ślepe, są przejrzyste jak u zwierzęcia. – Żebyście nie wyobrażali sobie różnych scenariuszy, dodam tylko, że w nocy nic więcej nie robiłem. Nie mogłem uspokoić myśli, spałem może ze dwie godziny. – Świetne usprawiedliwienie, na wypadek gdyby ktoś słyszał, jak chodzi po domu w środku nocy, albo zobaczył zapalone światło. – Chciałem po prostu wiedzieć. To wszystko.

– Jak sądzisz, dlaczego cię tu przywieźliśmy? – pytam.

– Nie wiem. – Plecy Rory'ego sztywnieją. Czuje to: zmierzamy do sedna. – Na pewno coś się stało. Prawdopodobnie w pobliżu domu Aislinn, skoro wypytujecie mnie, co... Ale nie rozumiem... za dużo tu... bo mam nadzieję, że nie chodzi...

– Aislinn nie żyje – mówię, nie bawiąc się w subtelności.

Wiadomość działa na Rory'ego tak, jak gdyby ktoś zaświecił mu stroboskopem prosto w twarz. Gwałtownym ruchem odsuwa się na krzesło, a ręce tężeją mu konwulsyjnie, upuszczając okulary na środek stołu. Przez chwilę wydaje mi się, że dostał jakiegoś ataku – wygląda na typa, który nosi przy sobie inhalator – ale zaraz dochodzi do siebie. Po omacku szuka okularów i wciska je na nos; udaje

mu się dopiero po trzech niezgrabnych próbach: spadają, a on je łapie i usiłuje umieścić jak należy i nie pobrudzić palcami szkielek. Potem mocno przyciska dłonie do ust i ciężko dyszy przez sztywne palce, wpatrując się w przestrzeń.

Czekamy z Breslinem.

– Jak? – mamrocze Rory między palcami. – Kiedy?

– Wczoraj wieczorem. Ktoś ją zabił.

Przez jego ciało przebiega skurcz.

– Boże. Boże. To dlatego... Czy kiedy... kiedy pukałem do drzwi, ona już... a ta osoba jeszcze...

– Rozumiesz już, dlaczego musieliśmy z tobą porozmawiać? – pytam.

– Tak, już ro... O Boże! – Oczy Rory'ego przytomnieją i szeroko otwarte skupiają się na mnie. Dotarło do niego albo postanowił tak to zagrać. – Chyba nie sądzicie... Zaraz! Nie. Sądzicie, że to... Jestem podejrzany?

Breslin parska śmiechem, wydając krótki lodowaty dźwięk.

– Co? Co w tym zabawnego?

– Posłuchaj go tylko – zwraca się do mnie Breslin. – Cały czas nadaje o tym, jak bardzo zależało mu na Aislinn, jaką miała wspaniałą osobowość, aż nagle mówimy mu, że biedaczka nie żyje. I w jednej chwili zaczyna gadać wyłącznie o sobie. Do diabła z dziewczyną.

– Naprawdę mi na niej zależy! Tylko... to nie... – Rory rozpaczliwie łapie oddech. Wygląda jak siedem nieszczęść; blady, potargany, patrzy rozgorączkowanym wzrokiem to na mnie, to na Breslina. Mam nadzieję, że wziął ze sobą inhalator. – Myślałem, że chodzi o włamanie. Albo jakiś napad na ulicy. Nigdy bym...

Łapie się za głowę i masuje dłońmi skronie. Z trudem oddycha.

Wygląda to całkiem normalnie. Szok i rozpacz są niezdarne, brzydkie, nie mają nic wspólnego z eleganckim wycieraniem łez chusteczką. Rory miał jednak całą noc, żeby ze swojego gdybania wykuć sobie zbroję i ukryć się w niej. A ponieważ taką samą uwagę poświęcał temu, co mogłoby się zdarzyć, i temu, co naprawdę się zdarzyło, możliwe, że traktował swoją zmyśloną wersję jak prawdziwą.

Jedyny punkt, w którym jego wersja wydarzeń sypała się i pękała, to te pół godziny, które upłynęło między przyjazdem autobusu na miejsce i pukaniem do drzwi Aislinn. Coś się tu kryje. Cała reszta świadczyła albo o jego niewinności, albo o winie. Pół godziny, tanto ważne pół godziny, nie było niewinne.

Szok mógł być autentyczny, mimo to nie wykluczam, że to on. Jest tylko jeden powód, dla którego mógł się spodziewać, że usłyszy o napaści, a nie o morderstwie.

– Dlaczego pomyślałeś, że to mogło być włamanie albo napaść? – pytam.

– Czy mógłbym... – zaczyna schrypniętym głosem. Przęłyka ślinę, ale broda

mu się trzęsie. – Czy mógłbym na chwilę zostać sam?

– Po co? – pyta Breslin.

– Bo właśnie się dowiedziałem... – Gwałtownie odrzuca w tył głowę, jak gdyby jakieś drobinki krążyły mu przed oczami. – Potrzebuję chwili spokoju.

– Świetnie sobie radzisz – zapewniam go. – To nie potrwa długo. Wytrzymaj jeszcze.

– Nie, nie mogę. Muszę...

– Prosimy cię tylko o pomoc – dodaje Breslin. – Jest jakiś powód, dla którego masz opory?

– Chcę po prostu odzyskać jasność myśli. Chcę tylko... Muszę tu zostać? Wolno mi wyjść? – Głos Rory'ego przybiera na sile i wchodzi w coraz wyższe rejestry.

Breslin odchyła się na krześle, obserwując go ze skrzywionymi ustami.

– Rory. Weź się garść. – Ale do Rory'ego to nie dociera; nie dostrzega zde gustowanej miny Breslina, nie słyszy ostrych słów. – To rutynowa procedura. Nic osobistego. Taką samą rozmowę odbędziemy z każdym, kto miał cokolwiek wspólnego z Aislinn. I mogę ci zaręczyć, że ludzie, którym na niej zależało, będą gotowi zrobić wszystko, żeby nam pomóc. Ty nie chcesz?

– Chcę. Tylko... Nie jestem aresztowany, prawda? Mogę iść się przejść? A potem wrócić?

Okazuje się, że nie jest takim kompletnym jeleniem. Nasz puszysty myszokoczek potrafi się jednak postawić, kiedy naprawdę chce.

Od wyjścia z pokoju dzieli go tylko mały kroczek. Jeżeli Rory ruszy do drzwi, będę musiała wybierać: puścić go albo aresztować. Ani jedno, ani drugie rozwiązanie nie wydaje się dobre.

– Jezu, nie widziałeś, jaka jest pogoda? – odzywam się spokojnie. – Leje jak z cebra. Przemokniesz. Poza tym zabiorą nam ten pokój przesłuchań i minie parę godzin, zanim dostaniemy nowy. – Rory wpatruje się we mnie, zbyt zdezorientowany, żeby zdecydować, co o tym myśleć. – Wiesz co, zostawimy cię samego na parę minut, zgoda? Żebyś mógł złapać oddech. Usłyszałeś sporo jak na jeden raz.

Breslin wykonuje drobny, ale gwałtowny ruch, ale nie oglądam się na niego. Obdarzam Rory'ego uśmiechem Równiej Luzary, na tyle współczującym, żeby mu dodać otuchy, choć nie na tyle, by wyglądał cukierkowo.

– Napijemy się herbaty i wrócimy do ciebie – dodaję, szurając odsuwającym krzesłem i wstając, zanim zdąży podjąć decyzję. – Przynieść ci kubek?

– Nie. Dzięki. Chcę tylko... – Głos łamie mu się na pół. Rory przyciska dłoń do ust.

Breslin nie rusza się z miejsca. Utkwił we mnie te jasne oczy, które rozkazują mi tak wyraźnie, jak gdyby kurczowo złapał mnie za nadgarstek: „Siadaj

na dupie”.

Nie odrywając wzroku od jego oczu, mówię:

– Do zobaczenia za kilka minut, Rory. Wytrzymaj.

Odwracam się i podchodzę do drzwi. Zostawiam je za sobą otwarte, ale się nie oglądam. Gdy jestem w połowie drogi do pokoju technicznego, słyszę nieprzyjemne skrzypnięcie, gdy Breslin przesuwając nogi krzesła po brudnym linoleum.

* * *

Steve siedzi przy lustrze weneckim, ma podwinięte rękawy koszuli, a rude włosy sterczą mu we wszystkie strony; sporo włożył w obserwację naszego przesłuchania. Podchodzę, by zobaczyć, co Rory porabia w samotności. Po drodze spoglądam Steve’owi w oczy, ale tylko przez sekundę, dając mu znak „później”.

Rory oparł łokcie o stół i ukrył twarz w dłoniach. Sądząc po rytmicznych wstrząsach ramion, płacze. Nie widzę jednak, czy z oczu naprawdę płyną mu łzy.

– No, no – mówi za moimi plecami Breslin, z hukiem zatrzaskując drzwi. – Moim zdaniem, poszło całkiem nieźle jak na pierwszą rundę. Dobra robota, Conway.

Protekcjonalny skurwiol.

– Ty też nie byłeś zły – odwzajemniam się.

– Nie jestem pewien, czy to był dobry ruch: wycofać się dokładnie wtedy, gdy zaczął się załamywać. To zawsze dobry moment, żeby przycisnąć i poczekać, aż się przyzna. – Breslin palcem rozluźnia kołnierzyk i ściąga do tyłu barki. – Ale skoro raz dobraliśmy się już do niego, znowu to zrobimy. Mam rację?

– Bez problemu – przytakuję. – No to o ile zakład?

Wysuwa głowę, jak gdyby nie wierzył własnym uszom.

– Co proszę?

– Pytam o podejrzanego, detektywie. Winny czy nie? Chciałabym znać twoje zdanie.

Brwi Breslina podjeżdżają aż do starannie ułożonych włosów.

– Mówisz serio?

– Że chcę znać twoje zdanie? Mniej więcej tak.

Steve podchodzi do dystrybutora i obserwując nas, napełnia kubek wodą. Breslin unosi rękę.

– Zaraz, zaraz, zaraz. Chwilunia. Chcesz powiedzieć, że masz wątpliwości?

– Chcę cię tylko zapytać o zdanie. Jeżeli to dla ciebie problem, jakoś dam sobie z tym radę. – Znowu mam ochotę zadać gnojkiowi cios w krtań. Cienka nić sojuszu, która nawiązała się między nami w pokoju przesłuchań, pękła już pół minuty po wyjściu.

– Mów, Conway. Próbujesz być przezorna do przesady, co? Zabezpieczyć

się na wszystkich frontach? O to chodzi?

Całkiem niezła technika – zmusić drugą stronę, żeby się tłumaczyła, zepchnąć do defensywy – ale to właśnie miałam na myśli, wspominając, że Breslin nie jest taki bystry, jak mu się wydaje: przed chwilą widziałam, jak zastosował ją w przesłuchaniu Rory’ego, poza tym powinno mu przyjść do głowy, że jako detektyw mogą znać te same sztuczki. Opieram się ramieniem o taflę lustra, żeby mieć na oku Rory’ego i równocześnie trzymać ręce w kieszeniach.

– A sądzisz, że powinniśmy być ostrożni? – pytam.

Breslin wzdycha.

– Chyba musimy spojrzeć prawdzie w oczy: jedną z rzeczy, które mogą ci popsuć reputację, jest skłonność do falstartów. Ale drugą równie nieprzyjemną rzeczą jest opinia niezdecydowanego, który woli zostawić gościa na wolności, niż nadstawić karku i pokazać, że ma jaja. Jasno się wyrażam?

Steve, udając nieco zdziwionego, mówi:

– Momencik. Uważasz, że na pewno to zrobił, tak?

Breslin, poirytowany, wzdycha i przeciąga dłońmi przez resztkę włosów, uważając, by ich nie wzburzyć.

– Owszem, Moran. Można powiedzieć, że tak uważam. Facet był chłopakiem ofiary, czyli to pierwsza chybiona piłka. W czasie popełnienia zabójstwa był dokładnie na miejscu zdarzenia, nawet nie próbuje się tego wypierać, to drugie pudło. Miał gładkie rękawiczki, które nie pozostawiają włókien, takie same jak zabójca, pudło numer trzy. Był w czarnym wełnianym płaszczu, a na ciele ofiary znaleźliśmy włókna czarnej wełny, pudło numer cztery. Oprócz tego w zasadzie przyznaje, że tracił cierpliwość do laski, w którą zainwestował tyle czasu i pieniędzy, a mimo to nic nie wskazywało na to, że jest skłonna uraczyć go swoimi wdziękami. To piąta koncertowo schrzaniona piłka. Nie jestem wielkim miłośnikiem baseballu, ale jestem prawie pewien, że wystarczy mniej niż pięć nietrafionych piłek, żeby wyeliminować pałkarza na amen.

Steve popija wodę i kiwając głową, słucha punktów wyliczanych przez Breslina.

– Fakt, wystarczy – przytakuje życzliwie. Zaczyna mówić z wyraźniejszym dublińskim akcentem. Od czasu do czasu sama gram Tępą Dresiarę, ale tylko przed podejrzanymi, nie przed ludźmi z własnego wydziału. Czasami przez Steve’a robi mi się niedobrze. – Ale na razie chyba wolałbym nie wykluczać innych możliwości.

Breslin irytuje się jeszcze bardziej.

– Jakich możliwości? Nie ma innych, Moran. Masz Fallona, masz furę poszlak, które prowadzą prosto do niego, i tyle. Co innego bierzesz pod uwagę? Kosmitów? CIA?

Steve podciąga tyłek i wygodnie sadowi się na rozchwianym stoliku,

szykując się do pogawędki. Nie zamierzam mu przeszkadzać.

– Zastanawia mnie jedna rzecz – mówi. – Jak się rozegrało samo zabójstwo?

– O co ci chodzi? Zadał jej cios w twarz. Uderzyła się w głowę. Umarła. Tak się to rozegrało.

Steve zamyśla się nad tym – my, dresiarze, trochę ciężko kojarzymy.

– Ale dlaczego? – pyta po chwili.

Breslin zadziera głowę i na wpół w uśmiechu, na wpół w grymasie szczerzy zęby do sufitu.

– Moran. Moran. Czy ja wyglądam jak detektyw Poirot?

– Hm... Nie bardzo.

– Nie. Bo to nie jest sobotni wieczór przed telewizorem z herbatką i ciasteczkami, dlatego motyw nic mnie nie obchodzi. Naprawdę. Ciebie też nie powinien obchodzić. Myślałem, że już o tym wiesz.

Steve drapie się w nos.

– Może i masz rację. Pewnie tak. Tyle że nie bardzo rozumiem. Lubię umieć sobie wszystko wyobrazić. Wiesz, o czym mówię? Zobaczyć to w głowie. – Układa z rąk ramkę przed oczami, żeby Breslin na pewno wiedział, co ma na myśli.

Ten głęboko nabiera powietrza i wolno je wypuszcza, żeby nam pokazać, ile wysiłku kosztuje go zachowanie spokoju.

– Dobra – rzuca. – Dobra. Spróbujmy to sobie wyobrazić.

– Dzięki – odpowiada Steve z pokornym uśmiechem. – Jestem ci naprawdę wdzięczny.

– Rory przychodzi ze swoim badziewnym bukietem z Tesco. Aislinn, która najwyraźniej miała niewiele wspólnego z badziewiem z Tesco, jest niezadowolona. Zaczyna zadzierać nosa. Rory'emu ciężko to znieść... rujnował się dla niej, przedstawiał terminy spotkań i biegał w deszczu po Stoneybatter, żeby ją uszczęśliwić, ale to za mało dla naszej Księżniczki. Wygłasza jej jakiś cytat z Jane Austen o wymagających jędzach albo podpuszczalskich kusicielkach czy jak tam w literaturze nazywają takie dziewczyny. Aislinn ochrzania go jak burą sukę, tłumaczy wprost, dlaczego nie jest jej wart, dlaczego nie pozwoliła mu się przelecieć i dlaczego teraz tym bardziej nie pozwoli. Pada jeden przytyk za dużo i bach. – Breslin pokazuje na migi cios, nie wkładając w to wiele serca. – I mamy to, co mamy. Potrafisz to już sobie wyobrazić? Co?

– Tak mogło być, fakt. – Steve kiwa głową, z zapalem wyobrażając sobie tę scenę. – Tylko można by pomyśleć, że przy takiej szarpaninie trochę ucierpi bukiet. Że na przykład facet go upuści. Nie znaleźliśmy na podłodze żadnych płatków.

– Czyli żadne płatki nie spadły. Albo Rory miał na tyle oleju w głowie, żeby je pozbierać. Nie mówimy o jakiejś poważnej szarpaninie; najpierw było trochę tego... – Breslin pokazuje dłonią klapanie dzioba – a potem jeden cios i parę sekund szoku, kurczę, niech to szlag! Super byłoby znaleźć kilka płatków, ale w tej

robocie nie można być zbyt wymagającym. Trzeba pracować na tym, co masz, zamiast grymasić, że czegoś nie masz. – Zaczyna się już uśmiechać do Steve'a, gotowy do pojednania. – Mam rację czy nie?

– Masz absolutną rację – przyznaje pogodnie Steve. – Chciałbym po prostu poszperać po krzakach, sprawdzić, czy nie da się wygrzebać czegoś więcej. – Kiedy Breslin zaskoczony rozdziawia gębę, Steve usprawiedliwia się: – Jestem nowy. Muszę się jeszcze sporo nauczyć. Przecież równie dobrze mogę to robić w praktyce.

– Nie jesteś wcale takim złotodziobem. Oboje pracujecie w wydziale na tyle długo, że powinniście już radzić sobie ze swoimi sprawami bez niańki. Szef postanowił jednak, że do tego pasztetu będzie wam potrzebna.

– I jesteśmy ci bardzo wdzięczni, że wzięłaś to na siebie, stary. Poważnie. Ale muszę dojść do tego we własnym tempie, rozumiesz, o czym mówię? Inaczej nigdy się nie nauczę. Zresztą co to szkodzi?

– Moran. Daj spokój. Szkodzi, bo najecie się tylko wstydu, a bądźmy szczerzy, nie bardzo możecie sobie na to pozwolić. Jeżeli naprawdę wypuścicie tego gościa, żeby szperać po krzakach, czy gdzie tam chcecie, wyjdziecie na cholernych mięczaków. Niepewnych. Zresztą nie tylko w naszych oczach. Im dłużej będziecie zwlekać, tym lepiej wykorzysta to obrona: „Panie i panowie przysięgli, nawet policja nie jest pewna, czy mój klient jest winny, więc jak moglibyście nie podzielać uzasadnionych wątpliwości detektywów?”. W ogóle się tym nie przejmujecie?

Rory w pokoju przesłuchań unosi głowę i dłońmi ociera twarz. Ma na niej czerwone plamy; widzę łzy, choć to wcale nie musi nic znaczyć.

Steve wznosi kubkiem toast.

– Nie martw się, stary. Dopilnujemy, żeby szef się dowiedział, kto starał się nas wziąć do galopu.

– Zaraz. Spokojnie. Myślisz, że chodzi o mnie? – Breslin przywołuje na twarz udane połączenie zdumienia i urażonej godności. – Serio myślisz, że o to się martwię? O swoją reputację?

– Boże, skądże znowu – zapewnia go Steve, dodając do tego serdeczny uśmiech. – Masz doskonałą reputację, kapitalną... aha, chyba tego słowa szukałem. Żeby ją zepsuć, trzeba by było więcej takich jak my. Mówię ci tylko, żebyś się nie martwił: dopilnujemy, żeby pochwały trafiły tam, gdzie powinny.

– Naprawdę nie chodzi o mnie. Nie pracuję w ten sposób. Tu nawet nie chodzi o was. Gdyby zagrożona była tylko wasza reputacja, jasne, dla waszego dobra próbowałbym was powstrzymać przed rozbabramieniem sprawy, ale w końcu musiałbym wam pozwolić podjąć własne decyzje. Tu chodzi o cały wydział. Jeżeli przez miesiąc będziecie się zbierać na odwagę, żeby postawić zarzut temu pewniakowi za szybą, media nie będą trąbić o tym, że Conway i Moran powinni się

pozierać; będą trąbić o tym, że wydział zabójstw musi zacząć traktować poważnie swoją robotę i naprawdę chronić ludzi przed bydłakami. Mam nadzieję, że jesteście przynajmniej na tyle lojalni, żeby się tym odrobinę przejmować.

Tak się nakręcił i kipi takim świętym oburzeniem, że nie wiem już, czy naprawdę nie mówi tych bzdur serio.

– A jak wydział będzie wyglądał, jeżeli oskarżymy niewłaściwego człowieka? – pytam.

– Trzeba będzie wycofać zarzut – dołącza Steve z przestraszoną miną. – Prawdopodobnie złożycie publiczne przeprosiny. Media będą trąbić, że wydział zabójstw to zgraja nieudolnych palantów, których zupełnie nie obchodzi, kogo zamykają, bo liczy się tylko wykrywalność. Świadkowie boją się do nas zgłaszać, żebyśmy przypadkiem nie zakuli ich w kajdanki, bo tak nam się spieszy z oskarżaniem każdego, kto wpadnie nam w ręce... – Kręci głową. – Niedobrze, stary. To znaczy, dla wydziału.

Breslin znowu wzdycha.

– Conway. Moran... – Zmienia taktykę i próbuje łagodnego tonu. – Ten gość jest winny jak wszyscy diabli. Posłuchajcie kogoś, kto wsadzał do pudła bydłaków, kiedy oboje byliście dziećmi i wypełnialiście druczki zgłoszenia do szkoły w Templemore. To on. Pytanie nie brzmi, czy on to zrobił. Pytanie brzmi, czy potraficie zrobić to co trzeba.

– Wszyscy będziemy musieli trzymać kciuki – mówię. – Prawda?

– No dobra. Słuchajcie. – Breslin opiera się o ścianę i częstuje nas uśmiechem, który rozbraja świadków. – Wiem, że nie macie tu lekkiego życia. Pewnie myślicie, że tego nie zauważyłem albo że mnie to nie obchodzi, ale zdziwilibyście się, ilu z nas wam kibicuje. Zawsze mówiłem, że będziecie świetną parą detektywów, gdy się tylko otrzaskacie.

– Dzięki, stary – odpowiada Steve. Jego w zasadzie nikt się nie czepia; dostaje tylko rykoszetem to, co spada na mnie. Breslin chce w nas po prostu wzbudzić paranoję. – To dla nas ważne.

– Nie ma sprawy. Musicie po prostu przymknąć oko na te pierdoły, to nasze zwyczaje. Nowym zawsze robi się kawały, taka tradycja w tej robocie. Nic osobistego.

Ten obleśny sukinsyn jest zbyt tępy, żeby się zorientować, że pięć minut temu dokładnie te same słowa powiedział do Rory'ego Fallona, albo uważa nas za tępaków. I myśli, że jesteśmy na tyle głupi, by uwierzyć, że cały gnój, który na nas wylewają, to po prostu zwyczaj, albo na tyle zdesperowani, by udawać, że wierzymy.

– Chłopaki muszą sprawdzić, ile dacie radę znieść. A to? – Breslin wskazuje lustro weneckie. – To wasza szansa, żeby im pokazać, jacy jesteście twardzi. Wiem, że te idiotyczne żarty musiały podkopać waszą pewność siebie, ale jeżeli

przez szczeniackie numery tracicie wiarę we własną zdolność oceny sytuacji do tego stopnia, że boicie się oskarżyć gościa w sprawie prostej jak drut, to może byłoby lepiej, gdybyście wrócili do patrolu. Wiem, brzmi ostro – unosi rękę, jak gdyby któreś z nas chciało mu przerwać, chociaż w ogóle nie próbujemy – ale musicie to usłyszeć.

Zdaję sobie sprawę, że nie powinnam teraz patrzeć na Steve'a. Kątem oka dostrzegam, że wciąż spokojnie buja nogami i popija wodę, ale i on chyba czuje, że nie powinien na mnie patrzeć.

Breslin chce, żebyśmy oskarżyli Rory'ego Fallona. Pragnie tego jak kania dżdżu. Może dlatego, że ma dość roli niańki przy sprawie dla przedszkolaków, chce ją jak najszybciej skończyć, by wrócić do swojego kumpla McCanna i ich zawikłanych spisków i porachunków gangsterskich na poziomie doktoratu. Może dlatego, że chce się pochwalić przed O'Kellym: „Ta dwójka męczyła się nad ostatnią domową burdą przez miesiąc, a ze mną uwinęli się w jeden dzień, więc zrób dobrze mojemu ego i przedstaw mnie do awansu”. A może po prostu wywieranie nacisków na ludzi tak go kręci, że nie potrafi wytrzymać bez tego nawet jednego dnia. A jednak...

Zakładałam, że ktokolwiek dał o mnie cynk Kretynowi Crowleyowi, zrobił to pod wpływem impulsu, ot, tak sobie, dla jaj, tak jak ktoś wrzucił mi telefon do kawy, kiedy go jeszcze zostawiałam na biurku. Aż do tej chwili nie przyszło mi do głowy, że może się za tym kryć znacznie głębsza myśl.

Kretyn Crowley rozdmuchuje sprawę do ogromnych rozmiarów, bo ktoś go podpuszcza. Jeżeli widowiskowo dam ciała, na przykład jeżeli postawię zarzut Fallonowi, a okaże się, że istnieje jakiś niepodważalny dowód jego niewinności, który za czyjąś sprawą nie dotarł na moje biurko, i gazety się o tym dowiedzą, wybuchnie bomba na cały kraj. A wydział dostanie to, na co ostrzy sobie zęby: pretekst, żeby mnie wywalić.

Gdyby to było w trakcie przesłuchania, w tym momencie zerwałabym się na nogi, zatrzymałabym taśmę – „Przerwa w przesłuchaniu o godzinie czternastej pięćdziesiąt dwa, detektywi Conway i Moran wychodzą z pokoju przesłuchań” – i czym prędzej wyciągnęłabym Steve'a na korytarz. Musimy pogadać, natychmiast. Obojętnie patrzę na Breslina i czekam, co będzie.

– Zrobimy tak – mówi Breslin. – Moran, przejrzyś zapisy monitoringu, spróbujesz poszukać Rory'ego Fallona wychodzącego z domu ofiary wczoraj wieczorem i prześledzisz jego drogę przez miasto. Może da się ustalić, gdzie wyrzucił rękawiczki. Tymczasem Conway i ja jeszcze raz spróbujemy przycisnąć Rory'ego, żeby się przyznał. Nie powinno z tym być problemu, mam rację? – Uśmiecha się do mnie jak najlepszy kumpel i słowo daję, naprawdę klepie mnie po ramieniu. Niemal daję w gębę bezczelnemu skurwielowi. – Nawet jeżeli się nie przyzna, nic się nie stanie, i tak mamy już na niego sporo. Aresztujemy go,

postawimy zarzut, a ja powiem chłopakom, że kiedy przychodzi co do czego, potraficie stanąć na wysokości zadania, i mogę wam zaręczyć, że nikt w biurze nie będzie się już was więcej czepiał. Wszyscy będą bardzo zadowoleni.

Jest o krok od postawienia sprawy wprost: „Przyjmiecie moją propozycję, a ja załatwię wasze problemy z chłopakami”. Tu chodzi nie tylko o to, że chce wracać do McCanna albo dobrze wypaść w oczach starego. Wyraźnie nie może się doczekać oskarżenia Fallona.

W dodatku jest przekonany, że ochoczo pójdziemy na ten układ. Rusza już nawet do drzwi, poprawiając krawat.

– Zrobimy tak – odzywam się. – Deasy i Stanton robią listę krewnych i znajomych Rory’ego Fallona. Jeżeli to on jest sprawcą, na liście znajdzie się facet, który zadzwonił ze zgłoszeniem. Chciałabym, żebyś pogadał ze wszystkimi i spróbował go zidentyfikować. Zaczniij od najlepszych kumpli, braci, jeżeli ma. Gdyby się nie powiodło, możesz wziąć następnych z listy.

Breslin odwraca się i patrzy na mnie, ale ciągle jest neutralny, gotów dalej grać brata łąkę, jeśli mu tylko pozwolimy. Kiedy jest pewien, że skończyłam, pyta:

– Dlaczego?

– Bo dalsze przesłuchanie Fallona poprowadzę z detektywem Moranem – wyjaśniam.

Spogląda to na mnie, to na Steve’a – stara się wyglądać jak duży pies, który już wystarczająco długo znosił cierpliwie wybryki zuchwałych szczeniaków, ale fakt, że musi patrzeć na nas z dołu, osłabia nieco siłę wyrazu.

– Poproszę o wyjaśnienie – mówi.

Już otwieram usta, żeby oświadczyć: „Bo, do cholery, to nasza sprawa i jeżeli jeszcze raz spróbujesz mi rozkazywać, dostaniesz kolanem w jaja”, ale Steve odzywa się pierwszy:

– Masz absolutną rację, stary. Musimy zasłużyć na szacunek chłopaków. I nic z tego nie będzie, jeżeli Rory przyzna się przed tobą. Dzięki za propozycję, ale musimy z tym sobie poradzić sami.

Przyznaję, że brzmi to lepiej od mojej wersji. Sekunda konsternacji na twarzy Breslina wystarcza, żebym odzyskała panowanie nad sobą.

– Przecież detektyw Breslin o tym wie, tępoto – zwracam się do swojego partnera. – Wygląda ci na żółtodzioba? To był test. Chciał sprawdzić, czy kiedy dostaniemy szansę, wymiękniemy i zwalimy ciężkie zadanie na kogoś innego, czy też mamy jaja, żeby zrobić to, co do nas należy.

Steve otwiera usta. A potem wybucha śmiechem.

– Jezu! A ja tu siedzę jak idiota i wygłaszam mowę o szacunku chłopaków. Punkt dla ciebie, stary. Dałem się nabrać, nie ma co.

Na ustach Breslina czai się cień uśmiechu, ale jasne oczy, które wciąż przesuwają się między nami, są zimne i pozbawione wyrazu. On nie wie, czy nam

wierzy, czy nie.

Zdobywam się na półuśmiech.

– Z początku też dałam się zrobić w balona. Nie bez powodu ma kapitalną reputację. Dzięki, Breslin. Zrozumieliśmy jasno i wyraźnie. Zrobimy to co trzeba. A potem zobaczymy się w pokoju operacyjnym. Zebranie o czwartej.

Uprzejmie kiwam mu głową i odwracam się do tafla lustra weneckiego. Na obraz Rory'ego nakłada się odbicie Breslina, który ciągle się na mnie gapi. Ciarki przebiegają mi po plecach.

Po chwili wzrusza ramionami.

– Chciałbym myśleć, że wiecie, co robicie – oznajmia. – Do czwartej.

Odbicie odwraca się i znika. Rozlega się trzask zamykanych drzwi pokoju technicznego.

Czekamy ze Steve'em, nasłuchując i obserwując Rory'ego, który szpera w kieszeni, wyjmując zmiętą chusteczkę i próbuje doprowadzić do ładu twarz. Podchodzę do drzwi i gwałtownie je otwieram. Korytarz jest pusty.

– Nie podoba mi się to – mówi Steve. Już z normalnym akcentem.

– Mnie też.

– W co on gra?

– Nie mam pojęcia. – Zostawiam drzwi otwarte. Próbuję chodzić po pokoju, ale jest za mały; co dwa kroki zderzam się ze ścianą. Smród zgęstniał i wydaje się, jak gdyby w pomieszczeniu była jeszcze jedna osoba, która spycha nas na bok. – Słyszałeś go? „Mogę wam zaręczyć, że nikt w biurze nie będzie się już was więcej czepiał...”. Próbował nas przekupić.

– Dlaczego chce oskarżyć Fallona? Czemu aż tak mu zależy?

– Nie wiem. Nie sądziłam, że należy do tych, którzy próbują mi się dobrać do dupy. – Steve musiałby być w śpiączce, żeby nie widzieć, co się dzieje, ale nie jestem typem skłonny do zwierzeń, więc pierwszy raz mówię o tym otwarcie, i nie jest to miłe. – Ale jeżeli za szybko postawimy zarzut Fallonowi, a potem wszystko się posypie i Crowley robi szum na cały kraj... – Na samą myśl o burzliwych owacjach w biurze wydziału, o kpiącym uśmiešku na gębie Roche'a, nieskrywanej uldze w głosie O'Kelly'ego, gdy będzie tłumaczył, że jednak nam nie wychodzi, mózg przesywają mi czerwone błyskawice. – W ten sposób mogliby mnie unieszkodliwić.

Steve rozdarł plastikowy kubek po wodzie i składa go w różne kształty.

– Może chodzi tylko o to, że próbuje się nam dobrać do dupy.

To „nam” jest urocze, przecież nikt nie prowadzi żadnej akcji dobierania się do dupy Steve'owi. Mimo to na chwilę ogarnia mnie niedorzeczna fala ciepła.

– Ale ja też nigdy nie odebrałem od niego takich sygnałów – mówi Steve. – Zawsze miałem wrażenie, że nasza dwójka ani go ziębi, ani grzeje.

– Ja też. Jeśli jednak serio chodziło mu o to, żeby się nas pozbyć,

mielibyśmy właśnie takie wrażenie. On nie jest geniuszem, ale długo już w tym siedzi. Dobrze potrafi ukryć, w co gra.

– Albo, gdyby sprawdziła się wersja z gangsterem...

Steve nie kończy zdania. Uszy przeszywa mi ostry trzask zginanego plastiku.

Skorumpowani gliniarze istnieją. W rzeczywistości jest ich mniej niż w telewizji, ale są na świecie. Każdego rodzaju, od gościa, który anuluje mandat za przekroczenie szybkości w zamian za bilety na mecz, po faceta, który zaprzedał bossowi gangu duszę i ciało.

Jeśli Aislinn zabił jej chłopak gangster, on albo jego kumple natychmiast zadzwoniliby do swojego najlepszego przydupasa w policji, by to załatwił. A żeby załatwić to skutecznie i mieć spokój, wystarczyło postawić zarzut Rory'emu Fallonowi i zamknąć sprawę.

– Breslin – mówię. Przestaję spacerować po pokoju, prawie przestaję oddychać. – Breslin. Tak myślisz? Serio?

Steve wzrusza jednym ramieniem.

– Nie – rzucam. – Moim zdaniem, niemożliwe. Struga wielkiego bohatera. Nie mógłby wytrzymać, gdyby miał w sobie widzieć ulubionego glinę bandytów. To by mu rozsadziło szare komórki.

– Już on znalazłby sposób, żeby widzieć w sobie bohatera, bez względu na to, co robi – zauważa Steve. – Przyjmuje takie założenie: stoję po dobrej stronie, więc cokolwiek zrobię, będzie właściwe. A potem kombinuje, jak do tego dojść.

Coś w tym jest, tylko że wcześniej nie patrzyłam na to w ten sposób – dotąd nie poświęcałam aż tyle uwagi Breslinowi. Nagle czuję się tak, jakby coś zaciskało mi się na karku. To, o czym mówi Steve, nie dotyczy tylko Breslina; wszyscy myślimy w ten sposób. Kiedy wyciskasz zeznanie od wstrząśniętego świadka albo podstępem nakłaniasz matkę do ujawnienia dowodu, który zaprowadzi jej dziecko za kratki, upajasz się zwycięstwem, nie dręcząc sumienia czymś tak głębokim jak moralne subtelności, bo w tej bajce jesteś po stronie dobra. Steve drze to przekonanie na strzępy i pokazuje, że to coś zagmatwanego i kolczastego; niebezpiecznego.

– Poza tym jest takim typem, jakie oni lubią. Żona, dzieci, kredyt...

Chłopcy z gangów nie zawracają sobie głowy takimi jak ja i Steve, singlami z klasy robotniczej na dolnych szczeblach kariery; jeżeli nie chodzi o jakiś problem z hazardem albo uzależnienie od koki, mamy zbyt skromne wpływy. Ale Breslin ma wymagającą blond żonę i trzech synów z wystającymi zębami, rodzinę prosto z reklamy, oraz dom w supereleganckiej części Templeogue. Duże potrzeby do zaspokojenia i dużo do stracenia, gdyby w którymś momencie zapragnął zmienić zdanie. Jeśliby w to wszedł, choćby zanurzył tylko palec, już by nie wybrnął.

Breslin i McCann pracują nad mnóstwem poważnych gangsterskich zabójstw; spędzają dużo czasu na rozmowach z naprawdę twardymi graczy. To

by był cud, gdyby gdzieś po drodze ktoś nie złożył Breslinowi propozycji.

Znowu dostrzegam to samo skrzywienie przestrzeni co wcześniej w biurze wydziału, proste linie na obrzeżach pola widzenia zaczynają się wyginać. Serce wali jak młotem.

– Fakt, jest w ich typie – przyznaję.

– Właśnie. A detektyw z zabójstw dla bossa gangu byłby wart każdych pieniędzy.

Breslin nosi dobre garnitury, ale nie różni się tym od reszty. Jeździ bmw rocznik 2014 i ciągle nadaje, że jego dzieci chodzą do prywatnej szkoły, bo nie pozwoli, żeby obracały się w towarzystwie dresiarstwa i imigrantów, którzy ledwie dukają po angielsku – a to sami dresiarze, ha, ha, ha, bez obrazy, Conway, Moran – zawsze jednak myślałam, że finansują go mamusia z tatusiem. Na wakacje zabiera rodzinę na Malediwy, ale gdyby chciało mi się nad tym zastanowić, doszłabym do wniosku, że skreślił parę punktów karnych dyrektorowi swojego banku w zamian za niebotyczny limit karty kredytowej i dość swobodny termin spłaty.

Chcieliśmy ze Steve'em ciekawej sprawy. Ta może być o wiele ciekawsza, niż się spodziewaliśmy.

– I jeżeli to on dał cynk Crowleyowi – dodaje Steve – to by wyjaśniało dlaczego.

Im bardziej mętny obraz sytuacji, tym krótsza droga do uzasadnionych wątpliwości. Dostrzegam lekkie drganie przestrzeni w kątach pokoju.

I nie umiem powstrzymać uśmiechu.

Jeśli Steve ma rację, może nam grozić wielkie niebezpieczeństwo z wielu stron równocześnie. Gangsterzy nie zabijają gliniarzy – to by ściągnęło im na głowę za dużo kłopotów – ale nie mają oporów przed podpaleniem twojego samochodu, żeby dać ci do zrozumienia, że powinieneś dać sobie spokój. To zresztą drobnostka w porównaniu z tym, co zrobią chłopaki, jeżeli syplimy Breslina przed wydziałem spraw wewnętrznych.

Nie mogę się doczekać, kiedy wszyscy przystąpią do dzieła. Niebezpieczeństwo mi nie przeszkadza; mogłabym jeść niebezpieczeństwo łyżkami. Przy Breslinie, nadętym bęcwale, próbującym okręcić mnie dookoła małego palca, czułam się jak spętana kaftanem bezpieczeństwa, przez który nie mogę mu przywalić. Ale Breslin, skorumpowany glina, to wyzwanie, groźne i toksyczne wyzwanie, którego nie powinien podejmować nikt rozsądny, tylko że ja nigdy nie umiałam oprzeć się wyzwaniom.

Steve przygląda mi się, jakbym straciła rozum.

– Co jest? Co cię tak bawi?

– Nic. Cieszę się z takiego wyzwania.

– Czyli myślisz, że mam rację. Myślisz, że Breslin... – Nie kończy.

To mnie trochę otrzeźwia.

– Jeszcze nie wiem. Na razie grzęźniemy w samych hipotezach. Nie lubię hipotez. – Gryzę się w kciuk, żeby pozbyć się tego radosnego uśmiechu. – Na pewno wiemy tylko tyle, że Breslin chce jak najszybciej oskarżyć Rory’ego i zamknąć sprawę. Musimy grać na zwłokę, dopóki nie pokumamy dlaczego. To było dobre, żebyśmy sami odwalili brudną robotę. Powinno nam dać trochę czasu.

Steve krzywi usta w uśmiechu, choć nie wygląda na przekonanego.

– Myślisz, że to łyknął?

– Czy ja wiem? Chyba tak. Mam nadzieję. – Na wspomnienie lodowatego spojrzenia Breslina mocniej przygryzam kciuk. – W każdym razie tego będziemy się trzymać: jesteśmy tępymi żółtodziobami, które nie mają pojęcia, o co biega w tej robocie, i chcą poprowadzić sprawę po swojemu. Co ty na to?

Przypuszczam, że Steve być może będzie się chciał wykręcić. Istnieje spore prawdopodobieństwo, że w całym tym syfie chodzi wyłącznie o mnie. Jeżeli Steve dobrze to rozegra, zdąży zrobić unik i znajdzie sobie bezpieczne miejsce w wydziale, gdy po mnie zostanie tylko dymiący krater. Ale zmarnuje szansę, jeśli przekona Breslina, że jest idiotą.

Steve jednak rozpromienia się w uśmiechu.

– Poradzę sobie z rolą tępego żółtodzioba – mówi.

– Dla ciebie idealna. – Ogarnia mnie większa ulga, niżbym sobie życzyła. – Nie musisz grać.

– Trzeba korzystać z tego, co się ma. – Wskazuje kciukiem lustro weneckie. – Co z nim robimy?

Rory przestał płakać. Zaczyna się denerwować, unosi głowę i rozgląda się z niepokojem jak surykatka, zachodząc w głowę, gdzie zniknęliśmy. Powinien być dla nas dzisiejszym tematem numer jeden. Prawie zupełnie zapomniałam o jego istnieniu.

– Spróbujemy jeszcze raz. Tak jak powiedzieliśmy Breslinowi.

– To znaczy, że zostawiamy Breslinowi przesłuchanie krewnych i znajomych Rory’ego. Myślisz, że to bezpieczne?

Jeśli Breslin szuka sposobu, żeby dobrać się do dupy Rory’emu albo mnie, kumple podejrzanego mogą się okazać wymarzoną prezentem, który wykorzysta na kilkanaście sposobów.

– Pewnie nie – odpowiadam. – Ale co tam, trochę ryzyka w życiu nie zaszkodzi. Nie przyszedł mi do głowy żaden lepszy sposób, żeby się go pozbyć. Poza tym nie chcę już dłużej pracować z nim nad Rorym. Ten facet nie wytrzyma takiego pomiatania. Jeżeli Breslin jeszcze raz mu dowali, facet wstanie i wyjdzie. Wszystko jedno, czy jest sprawcą, czy nie, nie powinien o nas myśleć jak o groźnych brutalach, którzy chcą go dopaść. W każdym razie jeszcze nie teraz.

– „Wszystko jedno, czy jest sprawcą, czy nie” – powtarza za mną Steve. – Nie jesteś już pewna?

Wzruszam jednym ramieniem.

– Kiedy wychodziłam, byłam pewna. Nie na sto procent, ale prawie. Coś mi się nie podoba w tym, że tak wcześniej przyjechał do Stoneybatter. Nie chciał o tym mówić, zauważyłeś?

– Tak. Ale jego reakcja, kiedy mu powiedziałaś, że Aislinn nie żyje... To mi wyglądało autentycznie.

– Mnie też. Ale nawet gdyby było, to nie znaczy, że jest niewinny.

Rory wziął mokrą chusteczkę w dwa palce i rozgląda się, gdzie mógłby ją wyrzucić. Po chwili rezygnuje i wpycha ją do kieszeni.

– Może nawet nie wie, że ją zabił – mówię. – Uderza ją, dziewczyna pada, ale kiedy on bada jej puls i oddech, jeszcze żyje. Potem Rory wyłącza kuchenkę, żeby dom nie poszedł z dymem, i daje nogę. Przypuszcza, że Aislinn ma wstrząśnienie mózgu czy coś w tym rodzaju, przez całą noc modli się, żeby straciła pamięć. Kiedy się więc dowiaduje, że dziewczyna nie żyje, a nad nim zawisa zarzut morderstwa, mało nie robi w spodnie.

– To by pasowało – zgadza się Steve.

– Kiedy stamtąd wychodziłam, byłam gotowa się o to założyć. Ale teraz... – Rory podnosi się z krzesła, zaraz jednak znowu siada, jak gdyby wstawanie było zabronione. – A ty?

Steve przesuwając paznokciem po karbowanej ścianie plastikowego kubka i przygląda się, jak Rory próbuje zostać na krześle.

– Nawet jeśli on jest sprawcą, to nie znaczy, że nie spotykała się potajemnie z chłopakiem gangsterem, a Breslin jest czysty. – Przy ostatnich słowach zniża głos. Oboje odruchowo zerkamy na drzwi: nic. – Załóżmy, że ten chłopak istnieje. Jeżeli nawet nie zabił Aislinn, wołałby, żebyśmy nie węszyli, nie sprawdzali, co robił, nie mówili żonie o jego skoku w bok... W chwili gdy dowiaduje się o śmierci dziewczyny... na przykład kiedy późnym wieczorem wpada do niej na szybki numer... dzwoni do swojego człowieka w policji i każe mu to załatwić, i to szybko.

– A im wolniej będziemy to załatwiać, tym więcej mamy czasu, żeby się dowiedzieć, czy chodzi w tym jeszcze o coś innego. – Samo wypowiedzianie tych słów przyspiesza mi tętno.

– Czyli gramy na czas – podsumowuje Steve.

– Nie, nie gramy. Breslin ma rację, lepiej nie psuć sobie reputacji nicnierobieniem. Podejrzmy do tego spokojnie. Bez względu na to, o co tu naprawdę chodzi, nie chcę znowu zgarniać Rory'ego, dopóki nie będziemy znali każdego szczegółu tej sprawy. Jeżeli znowu weźmiemy go na warsztat, trzeba go zaatakować taką siłą ognia, żeby nie miał szans.

Steve potakuje skinieniem głowy.

– A teraz? – pyta.

Patrzę na zegarek: do odprawy w operacyjnym została prawie godzina.

– Teraz jeszcze każemy mu opowiedzieć wszystko od początku, sprawdzimy, czy coś sobie przypomniał, weźmiemy jego płaszcz i rękawiczki i przekonamy go, żeby pozwolił nam przeszukać mieszkanie. A potem odeślemy go do domu i pójdziemy na odprawę. Później...

– Później pójdziemy się przespać, do cholery. Jestem skonany. – Kiedy to mówi, otwiera usta w potężnym ziewnięciu.

Mnie się udaje powstrzymać, ale za późno: nagle sobie uświadamiam, że też jestem wykończona. Wszystko mi drży przed oczami; nie potrafię ocenić, jaka odległość dzieli mnie od ścian.

– Ale nie Breslin – zauważam. – Jeżeli pójdziemy do domu, zostanie sam i będzie mógł zrobić, co zechce.

– A jeśli nie pójdziemy, domyśli się, co jest grane.

Steve ma rację. Kiedy w grę wchodzi śmierć dziecka albo gliniarza, w razie potrzeby pracujesz dwadzieścia cztery godziny non stop, potem szybki prysznic, drzemka i wracasz na następną dobę. Gdyby utrzymać taki tryb przy każdej sprawie, człowiek wypaliłby się w ciągu trzech miesięcy. Na zwykłe zabójstwo zwykle wystarcza typowa ośmiogodzinna zmiana, czasem może dwanaście albo czternaście godzin, jeżeli zdarzy się coś ciekawego. Gdybyśmy ze Steve'em ciągnęli tę sprawę całą dobę bez przerwy, równie dobrze moglibyśmy iść prosto do Breslina i powiedzieć mu, że, naszym zdaniem, kryje się za nią coś podejrzanego.

– No to co z nim zrobimy? – pytam.

– Na odprawie trzeba go zawalić robotą. Żeby nie zrobił niczego głupiego.

– Jasne. Będzie zachwycony. Taki waśniak jak on...

Twarz Steve'a rozjaśnia się w uśmiechu.

– Przecież tu nie chodzi o ego Breslina, pamiętasz? Sam to powiedział. Chodzi o cały wydział. Zgodzi się namierzyć każdego pasażera z linii trzydzieści dziewięć A, jeżeli będzie to miał zrobić dla wydziału.

Ja też się uśmiecham.

– Przeszukaj każdy kosz na śmieci między Stoneybatter a Ranelagh: Breslin, to dla dobra wydziału. Pojedź na sekcję zwłok: Breslin, dla dobra wydziału. Wstukaj do komputera zeznania...

– Leć po pizzę: Breslin, dla dobra wydziału...

Oboje jesteśmy na granicy napadu chichotu. Jeżeli rozluźnię się do tego stopnia, za moment zasnę na stojąco.

– Każemy mu dalej sprawdzać Fallona – mówię. – Kiedy obrobi listę krewnych i znajomych, może pogadać z jego dawnymi dziewczynami, wypytać, czy kiedyś któreś nie uderzył...

– Na pewno nie. – Steve zbiera dłonią wilgoć z dystrybutora wody i chłodzi nią twarz, próbując zwalczyć senność.

– Prawdopodobnie nie. Ale skoro Breslinowi tak bardzo zależy na oskarżeniu go, chętnie zgodzi się grzebać w brudach, nie? Będzie miał za dużo roboty, żeby nam bruździć, przynajmniej dzisiaj wieczorem. No i podeślemy mu mrówkę. Może dwa razy się zastanowi, zanim zgubi gdzieś zeznanie, które mu się nie podoba.

Ton mojego głosu musiał coś zdradzić, bo Steve gwałtownie unosi głowę.

– Coś ci jeszcze zginęło? Od czasu tamtego świadka w sprawie Petrescu?

– Nie – uspokajam go; nie zamierzam wypłakiwać mu się w rękaw i skarżyć na niegrzecznych chłopców, którzy zwędzili mój śliczny protokół przesłuchania. – Co wcale nie znaczy, że nie zginie. Musimy bardzo uważać.

Steve ciągle mi się przygląda, ocierając kropelki wody z brody, i mam wrażenie, że zwleka z odpowiedzią o pół ułamka sekundy. Całkiem spokojnie mówi jednak:

– Mrówka nie powstrzyma Breslina przed składaniem meldunków Crowleyowi, jeżeli to on jest jego wtyczką.

– Wiem. Masz inny plan? Chcesz łączyć za nim do kibla i sprawdzać, czy jedną ręką nie pisze SMS-a do Crowleya, kiedy w drugiej trzyma fiuta?

– Nie, mrówka to dobry pomysł. Powiemy Breslinowi, że potrzebuje doświadczonego mentora.

Prycham.

– Łyknij od razu. Możliwe, że to w ogóle nie wyjdzie, Breslin pewnie okręci go sobie dookoła paluszka. Ale lepsze to niż nic.

– Nie można go dopuszczać do elektroniki Aislinn – podkreśla Steve.

Czyli jej telefonu, maili, kont w serwisach społecznościowych, miejsc, w których – przy założeniu, że chłopak gangster istnieje – może się znaleźć jakiś trop pozwalający go namierzyć.

– Na odprawie damy do zrozumienia, że mamy te wszystkie dane – mówię. – Breslin prawdopodobnie przejrzał jej telefon, kiedy przyjechał na miejsce zdarzenia, ale o ile wiem, nie ma w nim nic ważnego.

– Powiem ci, co jeszcze powinniśmy zrobić – dodaje Steve. – Musimy z nim gadać przy każdej okazji. Albo raczej pozwalać mu gadać do nas.

– Jezu. Lepiej od razu mnie zastrzel.

– Musimy. Trzeba ciągnąć go za język. Nie jest idiotą...

– Ale uwielbia dźwięk swojego głosu – kończę myśl. – Aha. Niech nam wszystko objaśnia do upadłego; nigdy nie wiadomo, co może chlapnąć. Trzeba też gadać z McCannem, gdyby była okazja. – McCann i Breslin pracują razem od dziesięciu lat. Są zgranymi partnerami. Jeżeli Breslin z jakiegoś powodu chce załatwić Rory'ego Fallona albo po prostu chce, żeby ta sprawa pogrążyła mnie, to McCann na pewno coś wie. – Wprawdzie gadułą nie jest, ale nigdy nie wiadomo.

– Nic lepszego nie da się zrobić. Na pewno nie możemy iść z tym do

przestępczości zorganizowanej, w każdym razie nie oficjalnie. – Steve obgryza skórkę paznokcia, patrząc na Rory’ego niewidzącym wzrokiem. – Mówiłaś, że masz tam kumpla. Możesz się z nim skontaktować? Zapytać, czy coś słyszał?

– Aha, tylko że to nie takie proste. – Zwilżam dłoń o dystrybutor i przykładam sobie do szyi. – Zobaczą, co się da zrobić.

– I niczego nie zapisujemy.

– Boże, nie. Ani nie zostawiamy niczego na biurku. – Myślę o zeznaniach, które zamknęłam w szufladzie. Nikomu nie będzie się chciało jeszcze raz przy nich gmerać, choć lubią mnie dręczyć, ale nagle nędzny, niepozorny zamek wydaje mi się śmieszną przeszkodą. – Ani w szufladach biurka. Notatki mamy zawsze przy sobie.

Steve przygryza kącik ust.

– Jezu.

Na razie mamy wielkie nic, same cienie, które może rzucać coś wielkiego albo coś, czego nawet nie warto szukać, mimo to pulsuje we mnie adrenalina i nic na to nie poradzę, ale uwielbiam to uczucie. Mam ochotę prysnąć wodą w twarz Steve’owi.

– Szkoda, że nie widzisz swojej miny. Głowa do góry, stary. To może być najlepszy numer, jaki w życiu widzieliśmy.

– Nie w moim stylu. Ukrywać coś przed własnym wydziałem...

– Spoko – przerywam mu. – Możliwe, że to tylko kupa bredni. Jak mówię, trzeba po prostu uważać.

Jakiś ruch w korytarzu. W dwóch susach jestem przy drzwiach, ale to tylko Winters prowadzi do innego pokoju przesłuchań jakiegoś gnojka w dresie o tępym wyrazie twarzy. Tak czy inaczej, mówię:

– Lepiej bierzmy się do roboty. Zanim wróci Breslin, żeby sprawdzić, co u nas.

Steve kiwa głową i wrzuca wymięty kubek do kosza. Jeszcze raz patrzę na Rory’ego, który trzęsie się, jakby już siedział na krześle elektrycznym. A potem wchodzimy, żeby na chwilę wnieść trochę łagodności.

* * *

W środku czuć zapach potu i łez.

– Do pokoju przesłuchań wchodzi detektywi Conway i Moran – informuję rejestrator.

– Dzień dobry – mówi Steve, siadając i uśmiechając się współczująco do Rory’ego. – Detektyw Breslin musiał wyjść. Ja go zastąpię. Detektyw Moran.

Rory niemal niedostrzegalnym ruchem kiwa głową. Odsuwam sobie krzesło.

– Jak się czujesz?

– W porządku. – Ma zapchany nos. – Przepraszam za...

– Nic się nie stało – uspokajam go. – Możesz już mówić?

Rory wbija we mnie oskarżycielskie spojrzenie czerwonych oczu.

– Wiedzieliście od początku. Że spotykam się z Aislinn. Że pojechałem do niej wczoraj wieczorem. Wiedzieliście.

Pocziwe serduszko klasy średniej. Czuje się autentycznie dotknięty tym, że funkcjonariusze policji mogli go oszukać.

– Tak – potwierdzam. – Wiedzieliśmy. Wiem, że to było wredne z naszej strony, ale prowadzimy śledztwo w sprawie zabójstwa i czasem, żeby zdobyć potrzebne informacje, musimy robić rzeczy odbiegające od ideału, bo nie ma innego sposobu. Gdybyśmy ci powiedzieli, mógłbyś się stać małomówny, nie chcieliśmy ryzykować. Być może wiesz coś ważnego i nawet nie zdajesz sobie z tego sprawy.

– Powiedziałem już wszystko, co wiem.

Naprawdę się na mnie boczy. Odchylam się i zerkam na swojego partnera, oddając mu głos.

– Tak się panu wydaje – prostuje Steve. – Ale mówił pan to, zanim się pan dowiedział, co się stało. Z mojego doświadczenia wynika, że taki szok potrafi odblokować pamięć. Byłby pan tak dobry i jeszcze raz wrócił do wczorajszego wieczoru? Dla pewności?

Rory mierzy go podejrziwym wzrokiem, ale Miły Chłopiec z Sąsiedztwa patrzy na niego ze szczerą nadzieją w oczach, Rory uznaje więc, że moje złe zachowanie to nie wina mojego partnera. I tak zresztą jest gotów polubić Steve’a tylko dlatego, że nie jest Breslinem.

– Chyba tak. Jestem prawie pewien, że nie było...

– Och, wspaniale – przerywa mu Steve. – Nawet drobny szczegół może nam pomóc. Czy w Stoneybatter zauważył pan kogoś, kogo umie pan opisać? Słyszał pan coś dziwnego? Czy cokolwiek rzuciło się panu w oczy?

– Raczej nie. W ogóle nie jestem zbyt spostrzegawczy, a wczoraj wieczorem byłem skupiony na... na Aislinn. Nie zwracałem uwagi na nic innego.

– No, tak. Znam to. Kiedy wchodzi się w nowy związek, zwłaszcza taki, który zaczął się jak wasz, nie istnieje nic innego.

Uśmiecha się, wywołując u Rory’ego drgnienie ust przypominające uśmiech.

– Właśnie. Wie pan, jaka wczoraj wieczorem była pogoda: obrzydliwa, było mi strasznie zimno, krople spadły z drzewa za mój kołnierz... Ale czułem się jak bohater cudownej opowieści. Zapach torfowego dymu, deszcz zacinający w świetle latarni...

– Widzi pan? O tym właśnie mówię: przypomina pan sobie więcej, niż można przypuszczać. Spędził pan w Stoneybatter całą godzinę, zgadza się? Między wpół do ósmej a wpół do dziewiątej. Musiał pan kogoś widzieć.

Znowu to widzę: gwałtowny, bezwiedny skręt szyi Rory’ego, ruch palca

podsuwającego okulary na nosie. Steve porusza temat nadprogramowego czasu i nagle Rory'emu zabawa przestaje się podobać. W nozdrza uderza mnie ten zapach krwi. Uniesiona głowa Steve'a to znak, że on też to czuje.

Rory'emu wraca pamięć: wciśnie nam każdy kit, żeby odwrócić naszą uwagę.

– Rzeczywiście kogoś widziałem. Na Prussia Street w drodze do Tesco minąłem trzy kobiety. Wyjściowo ubrane, dwie z nich miały takie włosy jak Aislinn, jasne, długie i proste... dlatego je zauważyłem. Szły pod jednym parasolem i śmiały się. A kiedy wysiadłem z autobusu na Astrid Road, za rogiem ulicy Aislinn, grała w piłkę grupka chłopaków w bluzach z kapturami. Nie przerwali gry, gdy podchodziłem, więc musiałem zejść z chodnika, żeby ich ominąć. Nie rozumiem tylko, co oni mogą mieć...

Steve z przejęciem kiwa głową, jak gdyby usłyszał właśnie kluczową informację.

– Nigdy nie wiadomo. Mogli coś widzieć. Każdy szczegół jest ważny. – Pilnie notuję to wszystko jak kluczowe informacje. Całkiem możliwe, że wymyślił te osoby. – Ktoś jeszcze? Coś jeszcze?

Rory kręci głową. Steve czeka, ale nie pada już nic więcej.

– No dobrze – mówi. – A rozmowy z Aislinn? Proszę się zastanowić. Czy wspominała kogoś, kto ją niepokoił? Może na przykład ktoś z pracy budził w niej obawy? Były chłopak, który nie chciał się odczepić?

Nasz podejrzany kręci głową.

– W porządku. Czy z jakiegoś powodu czuła się nieswojo? – ciągnie Steve. – Na przykład stawała się małomówna, gdy rozmowa schodziła na jakiś konkretny temat?

– Szczerze mówiąc... – Odchodzimy od drażliwego wątku, więc Rory zaczyna się rozluźniać. – Tak. Gdy była mowa o jej rodzicach, Aislinn... Coś było nie tak. Powiedziała mi, że oboje nie żyją, ojciec zginął w wypadku samochodowym, kiedy była mała, a matka długo chorowała na stwardnienie rozsiane i kilka lat temu zmarła...

Spogląda to na mnie, to na Steve'a, licząc, że potwierdzimy albo zaprzeczmy. Nie spełniamy jego nadziei.

– Wyraźnie czuła się nieswojo, kiedy o tym mówiła, i od razu zmieniała temat... może dlatego, że nie znaliśmy się jeszcze tak dobrze. Zastanawiałem się jednak, czy nie kryje się za tym coś więcej, na przykład, czy któreś z rodziców żyje, ale ma problem, jak mówiłem wcześniej. Oczywiście nie chciałem o to pytać, ale... to mnie zastanawiało.

Nie to próbował wyciągnąć od niego Steve.

– Ciekawe – ocenia. – Na pewno to sprawdzimy. Coś jeszcze?

Rory kręci głową.

– Nic innego sobie nie przypominam.

– Na pewno? Nie żartuję: każdy drobiazg może mieć znaczenie. Każdy.

Następuje chwila ciszy. Rory robi wdech, żeby coś powiedzieć, zaraz jednak wypuszcza powietrze. Nie patrzy już na Steve'a.

Mój partner czeka i przygląda mu się spokojnie i z zaciekawieniem jak kumplowi w pubie.

– Chciałbym tylko wiedzieć – odzywa się nieoczekiwanie i z wyraźnymi oporami Rory – co jeszcze przede mną ukrywacie.

– To zrozumiałe – odpowiada rzeczowym tonem Steve. – Mogę jedynie powiedzieć, że nie zatajamy pewnych rzeczy dla zabawy. Robimy to, żeby złapać osobę, która zabiła Aislinn.

Rory z trudem unosi wzrok, aby spojrzeć mu w oczy.

– Czy jestem podejrzany? – pyta. I przygotowuje się na straszną odpowiedź.

– W tym momencie każdy, kto miał jakikolwiek związek z Aislinn, jest potencjalnym podejrzany – wyjaśnia Steve. – Nie zamierzam obrażać pańskiej inteligencji, twierdząc, że stanowi pan wyjątek.

Rory musiał się tego domyślać, mimo to zdejmuje go strach.

– Wczoraj wieczorem nawet jej nie widziałem. Zależało mi na niej, myślałem, że będziemy... Po co miałbym...?

Jeśli zastanawiał się, czy nam o czymś powiedzieć, już przestał.

– Jasne, ale musimy zakładać, że każdy, z kim rozmawiamy, powie nam to samo – odpowiada przytomnie Steve. – I jedna z tych osób skłamie. Z przyjemnością wyeliminowalibyśmy pana z tego grona, bo im szybciej skrócimy listę, tym lepiej, nie możemy jednak polegać tylko na pana słowie. Rozumie pan, prawda?

– Jak w takim razie to zrobicie?

– Na podstawie dowodów. Zawsze potrzebne są nam odciski palców, a w tej sprawie prosimy też o płaszcz i rękawiczki. Naturalnie nie mogę powiedzieć dlaczego, ale te części garderoby powinny pomóc wykreślić pana z listy podejrzanych. Nie ma pan nic przeciwko temu? Możemy je wziąć? – Steve wskazuje rzeczy Rory'ego.

Ten jest zaskoczony, mój partner nie daje mu jednak większego wyboru.

– Chyba... to znaczy, dobrze. Ale dostanę je z powrotem?

– Oczywiście – zapewnia go Steve i sięga po rękawiczki, zahaczając je długopisem. – Najpóźniej za kilka dni. Zgodzi się pan, żebyśmy zajrzeli do mieszkania i poszukali innych, które być może należy wyeliminować?

– Przecież nie... – Rory trzepocze powiekami. Stres i duszne pomieszczenie zaczynają dawać mu się we znaki; trudniej mu za nimi nadążyć. – Nie wystarczy wam ten płaszcz i rękawiczki? Miałem je wczoraj na sobie, jeżeli to...

– Widzi pan – tłumaczy Steve – nie staramy się skreślić z listy tego

konkretnego płaszcza. Staramy się skreślić pana. A to oznacza, że potrzebne są nam wszystkie rzeczy, które mógł pan mieć na sobie, nie tylko te, które pan miał. Wyrażam się jasno?

Rory podsuwa w górę okulary, by przycisnąć palce do kącików oczu.

– Tak. Rozumiem. Dobrze, weźcie, co chcecie. Wolałbym jednak przy tym być... gdy wejdziecie do mojego mieszkania. Nie podoba mi się pomysł, żeby ktoś... Mogę?

– Nie ma sprawy – odpowiada jakby nigdy nic Steve. – Chłopcy, którzy odwieżą pana do domu, rozejrzą się na miejscu i tyle. Załatwimy to tak szybko, jak się da. Pobierzemy pana odciski palców i może pan wracać do swoich zajęć.

Rory zamyka oczy, dotykając powiek opuszkami palców.

– Tak – mówi. – Bardzo bym już chciał.

Wrzucam jego rękawiczki i płaszczy do toreb na dowody, a potem idę wysłać je Sophie, zanim facet się rozmyśli. Później przepisuję zeznanie, ignorując dupków w biurze, którzy mnie ignorują, podczas gdy Steve drukuje mapę, żeby Rory naszkicował na niej swoją drogę powrotną – jak najlepiej pamięta albo chce pamiętać – i jeszcze raz przepytuje go z sekwencji wydarzeń wczorajszego wieczoru. Zostawiam ich sam na sam tak długo, na ile możemy sobie pozwolić, na wypadek gdyby Rory ciągle miał do mnie żal, gdy jednak wracam do pokoju przesłuchań, Steve niedostrzegalnie kręci głową: nie zdarzyło się nic ciekawego.

– Proszę. – Rory podsuwa nam mapę. Wygląda marnie. Ma wyschnięte usta, mysie włosy są płasko przyklejone do czaszki, jak gdyby pokonał biegiem szmat drogi w upale. – Może być?

Ze Stoneybatter do Ranelagh prowadzi kręta linia, a przy bulwarach widnieje mały, starannie postawiony znak X z dopiskiem KWIATY.

– Świetnie – chwali Steve. – Dzięki serdeczne.

– Przeczytaj to – mówię, podając Rory'emu zeznanie i długopis. – Jeżeli wszystko się zgadza, postaw parafkę na każdej stronie i podpisz na końcu.

Nie wyciąga ręki po wydruk.

– Myślicie... – Robi długi wdech. – Gdybym nie poszedł do domu, gdybym walił w drzwi albo wezwał policję, albo włamał się do domu... mógłbym ją uratować?

Mam na końcu języka „tak”. Jeżeli nie jest sprawcą, to jest okropnym smętnym leszczem, którego trzeba stale walić po łbie, żeby nie był taki zapatrzony we własny pępek. Poza tym zmarnował nam pół dnia dlatego, że znalazł się w niewłaściwym miejscu i wyglądał na winnego jak wszyscy diabli. Wystarczy, że powiem „tak”, żeby biczował się do końca życia i torturował coraz bardziej rozbudowaną fantazją, w której wpada do jej domku w ostatniej sekundzie i ratuje Aislinn z rąk rozszalałego gangu motocyklowego, a potem żyją długo i szczęśliwie i rodzi im się 2,4 smętnego bachora. Naprawdę trudno się oprzeć.

Ale jeżeli jest sprawcą, to nie jest idiotą i znajdzie sposób, żeby wykorzystać każdą informację, którą ode mnie usłyszysz.

– Tego nikt nie może wiedzieć – mówię. – Proszę. – Podtykam mu zeznanie pod nos.

Czyta, a przynajmniej przez jakiś czas gapi się na każdą stronę. Na koniec podpisuje, jak gdyby trudno mu było sobie przypomnieć, jak to się robi.

Dochodzi czwarta. Wzywamy mrówki, które sprawdzały zapisy monitoringu – Kelleghera i Reilly’ego – i mówimy im, co mają zrobić z Rorym i jego domem. Steve znajduje w swojej szafce starą bluzę z kapturem, żeby delikatna osoba Rory’ego przypadkiem nie przemarzła w drodze do domu. A potem przekonujemy go, że jest fantastyczny, i przekazujemy go w ręce mrówek.

– Wisisz mi dychę – mówi Steve, kiedy patrzymy, jak Kellegher i Reilly prowadzą go korytarzem. Wciśnięty między ich krzepkie ramiona, drepcząc, żeby nadażyć za ich sprężystym policyjnym krokiem, wygląda jak klasowa oferma prowadzona za szkołę, żeby dostać tam wycisk.

Sprawdzam, czy nie brakuje żadnej strony zeznania.

– Gównu ci wiszę. Widziałeś, jak wypłakiwał sobie oczy? To ty mi jesteś winien.

– To się nie liczy. Miał się rozplakać ze strachu przed nami, nie dlatego, że właśnie się dowiedział o śmierci swojej dziewczyny.

– Od kiedy? – Steve ma rację, ale mam ochotę się z nim podroczyć. – Nie, nie. Nie możesz zmieniać zasad, żeby pasowały...

– Od zawsze. Czy ja kiedyś próbowałem się wymigać od...

– Czy ja kiedyś próbowałam cię wykiwać tylko dlatego, że nie podobał mi się moment, gdy...

Rory i mrówki zniknęli w bezładnym tupocie, którego echo cichnie w głębi marmurowej klatki schodowej. Zamykam z trzaskiem drzwi pokoju przesłuchań i idziemy do biura zebrać rzeczy. Ciągle mam wrażenie, jakby korytarz był pełen zamaskowanych dziur i najeżony ostrymi patykami, ale to już wcale nie wydaje się takie złe.

Kiedyś uwielbiałam pierwszą odprawę zespołu śledczego, uwielbiałam w niej każdy szczegół. Puls pokoju operacyjnego, gdzie wszyscy byli spięci jak charty w boksach na starcie przed wyścigiem; pokoju, w którym łatwiej było o odpowiedź na dowolne pytanie, a każda para oczu spoglądała bystrzej. Zadania rozdzielano z szybkością karabinu maszynowego: „Murphy, zbierz zapisy z monitoringu, Vincent, sprawdź złote toyoty camry, O’Leary, pogadaj z jego dziewczyną”, trach, trach, jak trzaski z bicia. Uwielbiałam chwilę, gdy zamykałam notes, mówiłam „Do roboty” i zanim zdążyłam zamknąć usta, wszyscy zrywaliśmy się z miejsc i byliśmy już w połowie drogi do drzwi. Kiedyś wychodziłam z takiej odprawy z przecuciem, że skurwiel, którego szukamy, nie ma najmniejszych szans. Wtedy na samą myśl o tym, że mrówki mierzyły mnie wzrokiem od stóp do głów, zastanawiając się, które z zasłyszanych plotek są prawdziwe, a ja przyglądałam się mrówkom, zastanawiając się, która z nich przyczepi się do jakiegoś mojego potknięcia, rozdmucha je do niewyobrażalnych rozmiarów i sprzeda kumplom jako świetny dowcip, zaczynało mnie mdlić i robiłam się zła jak na kacu.

A dziś pokój operacyjny C. Ostatni raz byłam w nim jako mrówka sprawdzająca bezsensowne tropy, nie tropy dla ważnych detektywów. Już zapomniałam, jak wygląda. Z wysokiego sufitu bucha białe światło, prześlizgując się z błyskiem po białej tablicy i dużych oknach. Powietrze pulsuje pomrukiem eleganckich komputerów, które prężą się w szeregu, gotowe do działania. Blaty są tak gładkie i lśniące, że człowiek boi się dotknąć ich krawędzi, by nie rozciąć sobie palca. Przekraczam próg i zmęczenie opada ze mnie jak kurz na wietrze, ładuję akumulator, aż zaczynam iskrzyć. Kiedy tu wchodzisz, czujesz, że mógłbyś rozwiązać sprawę Kuby Rozpruwacza. W dodatku tym razem nie jestem mrówką na każde skinienie jakiegoś ważniaka; tym razem sama jestem ważnym detektywem i cały pokój należy do mnie. Na sekundę dają się zaskoczyć, wydaje mi się, że kocham tę robotę świeżą, zieloną miłością, która kiełkuje we mnie na nowo.

Uniesiona głowa Steve’a i rozchylone w półśmiechu usta jak u dzieciaka na przedstawieniu gwiazdkowym mówią mi, że czuje to samo. Ten widok błyskawicznie przywraca mi poczucie rzeczywistości. Steve wpada w cieły zachwyty nad wszystkim, co piękne, nie zwracając sobie głowy, dlaczego jest piękne, skąd się wzięło i co się za tym kryje. Ja się nie zachwykam.

Z rozmachem kładę plik papierów na biurku szefa, ustawionym naprzeciw rzędu pozostałych, dwa razy krótszych od niego.

– Panowie – mówię głośno. – Zaczynamy. Czyje to? – Biorę stojący na blacie kubek kawy i unoszę.

Breslin opiera się o tablicę, brylując wśród mrówek: Deasy'ego i Stantona, którzy przywieźli Rory'ego, oraz dwójki wysłanej przez nas do sąsiadów Aislinn – śniadego, drobnego i ruchliwego chłopaka o nazwisku Meehan, którego lubię i kiedyś z nim pracowałam, oraz Gaffneya, nowego o wyniosłej minie i tak wyprostowanej sylwetce, że mundur wygląda na nim jak uniform szkolnego prefekta. Breslin, a raczej ktoś na jego polecenie, umieścił na tablicy pierwsze materiały – zdjęcia Aislinn, miejsca zdarzenia, Rory'ego, mapę Stoneybatter – i położył gruby notatnik w twardej oprawie z przeznaczeniem na książkę zadań, w której zapisujemy, co należy zrobić i kto ma to zrobić. Mamy nawet czajnik elektryczny.

– Moje – przyznaje się Gaffney, przyskakuje do biurka, chwytając kubek i purpurowy szybko wraca na miejsce. – Przepraszam.

– Meehan. – Rzucam mu notatnik. – Książka zadań, okay? – Łapie ją i kiwa głową. Steve kładzie swoje rzeczy obok moich i zaczyna rozdawać kserokopie: wypełnionego formularza zgłoszenia, raportu patrolu, zeznania Rory'ego. Podchodzę do tablicy i szkicuję oś czasu wczorajszego wieczoru. Mrówki wybierają sobie miejsca i pospiesznie siadają; gwar cichnie.

– Ofiara – mówię, wskazując pisakiem fotografię Aislinn. – Aislinn Murray, dwadzieścia sześć lat, mieszkała sama w Stoneybatter, pracowała jako recepcjonistka w firmie sprzedającej przedsiębiorstwom środki higieny. Nienotowana, zero zgłoszeń. Wczoraj wieczorem zaatakowana we własnym domu. Ze wstępnych oględzin Coopera wynika, że dostała cios w twarz i uderzyła głową w obramowanie kominka. Wiadomości w jej telefonie wskazują, że zgon nastąpił między dziewiętnastą trzynastą a dwudziestą dziewięć. – Przesuwam rękę na zdjęcie Rory'ego. – Ten człowiek to Rory Fallon, spotykał się z nią od dwóch miesięcy. Miał przyjść na kolację o ósmej.

– Skończony dureń – odzywa się Deasy, szczerząc zęby. – Jak miał taką łaskę, powinien przynajmniej poczekać, aż ją przeleci, i dopiero potem zabić.

Chichoty. Breslin chrząka z pobłażliwym uśmiechem i przechyla głowę w moją stronę. Chichot cichnie.

– Skoro to dla ciebie takie ważne, Deasy – mówię – możesz mu to wynagrodzić. Kiedy następnym razem go przywieziemy, możesz mu obciągnąć w toalecie.

Deasy skubie wąs i robi kwaśną minę. Znowu wzbiera fala chichotów, tym razem złośliwych i dwuznacznych.

– Ja, Moran i Breslin przed chwilą pogadaliśmy sobie z Fallonem. Według jego wersji, był pod domem Aislinn o ósmej, ale mu nie otworzyła, więc pomyślał, że dostał kosza, i jak niepyszny wrócił do domu, żeby wypłakać się w poduszkę.

– O dziwo, nie bardzo mu wierzymy – cedzi Breslin, obracając w palcach długopis.

– Przyjmujemy hipotezę – ciągnę – że Fallon przyszedł do domu ofiary około wpół do ósmej, coś się między nimi popsulo i ją uderzył. Prawdopodobnie pomyślał, że tylko straciła przytomność, zwiął do domu i liczył na to, że dziewczyna nie ściągnie mu na kark policji albo nie będzie pamiętała, co się stało.

Breslin z aprobatą kiwa głową, dając swoje błogosławieństwo hipotezie żółtodziobów.

– Wygląda raczej na nieumyślne spowodowanie śmierci niż na zabójstwo – zauważa. – Ale to nie nasz problem.

– Wcześniej rano – kontynuuję – albo Fallona ruszyło sumienie, albo pogadał z jakimś kumplem, który chciał się zachować, jak należy. Do komisariatu w Stoneybatter zadzwonił anonimowy informator i zawiadomił, że na Viking Gardens dwadzieścia sześć leży kobieta z obrażeniami głowy, i poprosił o przysłanie karetki.

– Moim zdaniem, zrobił to sam Fallon – oznajmia Breslin. – To właśnie taki typ, który spietra się na parę godzin, a potem, kiedy jest już za późno, zaczyna wszystko naprawiać.

– Informator dzwonił z zastrzeżonego numeru – uściśla Steve. – Kto chce się tym zająć?

Unoszą się wszystkie ręce.

– Spokojnie, chłopcy. – Breslin się uśmiecha. – Nikomu nie zabraknie roboty.

– Gaffney, sprawdzisz numer telefonu – decyduję. Muszę mu dać coś na zachętę, uspokoić go po wpadce z kubkiem. Meehan notuje przydział. – Stanton, Deasy: pracowaliście nad listą krewnych i znajomych Fallona. Jak poszło?

– Żadnych niespodzianek – odpowiada Stanton. – Matka, ojciec, dwaj starsi bracia, siostr nie ma, paru kolegów ze szkoły i college’u, kilku byłych współlokatorów, długa lista znajomych z pracy... przeważnie nauczyciele historii, bibliotekarze, tego typu towarzystwo. Prześlę wam listę mailem.

– Dobra. Breslin, zacząłeś już rozmawiać z osobami z listy, tak?

– Obaj bracia Fallona wydawali się zszokowani, stosownie do sytuacji – mówi Breslin. – Zgodnie z tym, co mówią, wiedzieli o wielkiej randce Rory’ego, ale na tym ich wiedza się kończyła... czekali na wszystkie pikantne szczegóły. Twierdzą, że nie dzwonili do komisariatu w Stoneybatter dzisiaj rano ani w ogóle, ale tego można się spodziewać, prawda? Po odprawie każdy z nich ma przyjąć pogadać ze mną oddzielnie.

Breslin planuje długi dzień pracy jak na pospolitą sprawę.

– Jeżeli nic z tego nie wyjdzie, zajmij się następnymi na liście – mówię. – Zacznij od tych mieszkającym w pobliżu trasy, którą Rory wracał do domu, i późnym wieczorem mógł im złożyć niezapowiedzianą wizytę. A przy okazji nagraj braci i najlepszych kumpli. Trzeba puścić ich głosy facetowi z komisariatu

w Stoneybatter, który przyjął zgłoszenie, może któryś rozpozna. Możesz się tym zająć?

Przez chwilę mam wrażenie, że Breslin każe mi sobie wsadzić tę niewdzięczną robotę, ale mówi:

– Czemu nie. – Chociaż krzywi przy tym usta.

– Świetnie. Ktoś musi przejrzeć nagrania z monitoringu. To zadanie dla Kelleghera i Reilly’ego. Zbierają cały materiał z kamer w mieście, więc równie dobrze mogą go przejrzeć.

Meehan kiwa głową, pilnie notując.

– Ktoś musi ściągnąć zapis z kamer w trzydziestcedziwiątce A. Trzeba znaleźć autobus, który wieczorem jechał trasą na północ i około siódmej zatrzymał się na Morehampton Road, zobaczyć, czy na nagraniu widać Rory’ego Fallona, sprawdzić, o której godzinie wsiadł i o której wysiadł w Stoneybatter. – Palec podnosi bysio. Wchodzę w ten rytm karabinu maszynowego, który uwielbiam; chociaż wiem, że nie powinnam mu ulegać, działa na mnie jak potrójne espresso. – To robota dla Stanton’a. Poza tym ktoś musi pojechać do Stoneybatter i zmierzyć czas pokonania trasy, którą Rory podobno szedł od przystanku: przez Astrid Road do skrzyżowania z Viking Gardens, potem do Tesco na Prussia Street, gdzie kupił kwiaty, i z powrotem na Viking Gardens. Meehan, jesteś mniej więcej tej samej budowy ciała i w podobnym wieku co Fallon. Zrobisz to? Zmierz czas dwa razy: najpierw idąc w normalnym tempie, potem najszybciej, jak się da.

Meehan kiwa głową. Steve, patrząc na niego i na Gaffneya, pyta:

– Znalazły się kwiaty Rory’ego w którymś koszu na bulwarach?

– Ja szukałem – odpowiada Meehan. – Gaffney dalej przepytывał sąsiadów. Sądząc po stanie pojemników, od wieczora ich nie opróżniano, ale nigdzie nie ma irysów. Może zwinął je jakiś chłopak dla dziewczyny.

– A może w ogóle nie było ich w żadnym koszu – wtrąca Breslin. – Nasz Rory wrzucił je do rzeki, bo nie chciał, żebyśmy zdjęli z nich ślady krwi albo włosów Aislinn, albo włókien z dywanu. Jak u niej wygląda lista krewnych i znajomych?

– Nie miała żadnej najbliższej rodziny, życie towarzyskie wyglądało raczej skromnie – wyjaśniam. – Jej przyjaciółka Lucy podała nam jednak parę nazwisk i numerów, żebyśmy mieli od czego zacząć. Ktoś powinien pójść do jej pracy, powiedzieć szefowi, żeby zidentyfikował ciało, pogadać ze wszystkimi kolegami. Chcę wiedzieć, czy mówiła komuś o Rorem i co powiedziała.

– Musimy też wiedzieć, czy któryś z kolegów nie bujał się w Aislinn – wtrąca Steve. – Na wypadek gdyby Rory mówił prawdę – Breslin prychnie – i ktoś rzeczywiście mógł być niezadowolony z tego, że Aislinn znalazła sobie chłopaka. A koledzy z pracy to było jedyne towarzystwo, z którym spędzała dużo czasu. – Zgrabny ruch. Jeśli ktoś się zorientuje, że część naszych działań nie skupia się na

Rorym, niewykluczone, że wina spadnie na ewentualnego stalkera Aislinn pracującego w jej firmie. Być może nawet okaże się to prawdą.

– Może wy dwoje zbadacie wątek biurowego romansu – proponuje Breslin. – Kobięca intuicja i tak dalej.

– Moja jest w warsztacie – odpowiadam. – Skrzynia biegów siadła. Będziemy musieli się zadowolić konkretną robotą śledczą. Deasy, Stanton, pojedziecie do firmy jutro z samego rana.

– Aislinn bywała też na wieczorowych kursach – przypomina Steve. – Tam mógł ją namierzyć jakiś stalker. Ktoś powinien ustalić, co to były za zajęcia, sporządzić listy uczestników, kursantów czy uczniów... nie wiem.

– Gaffney, to twoje zadanie – mówię. – Ja i Moran zajmujemy się billingami Aislinn, mailami, aktywnością w mediach społecznościowych, wszystkimi...

– Mógłbym się zabrać do tego dzisiaj wieczorem – proponuje Breslin. – Zostanę parę godzin dłużej, jeżeli to pomoże szybciej zamknąć sprawę, ale raczej trudno byłoby pukać do domów krewnych i znajomych Rory'ego o dziewiątej wieczorem i prosić o pogawędkę. Równie dobrze mogę popracować nad życiem towarzyskim ofiary.

Mój wzrok na ułamek sekundy krzyżuje się ze spojrzeniem Steve'a, który szybko pochyla się nad notesem. Być może Breslin stara się po prostu doskonalić swoją kapitalną reputację – wszyscy zawsze chcą zajrzeć do elektroniki ofiary, bo najczęściej trafia się tam coś ciekawego – a może liczy na to, że zrobi ze mnie niedołęgę, która nie potrafi znaleźć własnych dowodów. Albo chce się pozbyć śladów prowadzących do kumpla gangstera.

Meehan przerwał pisanie i niepewnie patrzy to na mnie, to na Steve'a.

– Ja i Moran już to zaczęliśmy – mówię. – Jesteśmy w biurze od wczorajszego wieczoru i potrzebujemy paru godzin snu, ale wrócimy do elektroniki Aislinn jutro z samego rana. Ty zacząłeś już prześwietlać Rory'ego Fallona, Breslin, więc lepiej zostań przy nim. Ktoś powinien zrobić listę jego byłych dziewczyn i sprawdzić, co mają do powiedzenia, zwłaszcza o tym, co go kręci i jak reaguje, kiedy coś idzie nie po jego myśli. Skoro chcesz zostać dłużej, może byś się do tego wziął.

Ma minę, jakby znalazł w zupie włos, i wie, że nie ma sensu prosić kelnera, żeby coś z tym zrobił.

– Może.

– Świetnie – mówię. Po chwili długopis Meehana znowu idzie w ruch. – Gaffney: pierwsza sprawa zabójstwa, mam rację?

– Tak, pierwsza. – Tam, skąd pochodzi, musiało być dużo owiec.

– No dobra. – Dziękuję w duchu staremu, że nie raczył nam przysłać mrówek z prawdziwym doświadczeniem. – Na razie trzymaj się detektywa Breslina; pokaże ci co i jak, pomoże się w tym wszystkim połapać. – Breslin

uprzejmie kiwa głową Gaffneyowi; nie ma nic przeciwko temu, ale to nic nie znaczy. – Możesz zostać dzisiaj dłużej?

Gaffney jeszcze bardziej się prostuje.

– Oczywiście.

– Ktoś nie może zostać? – Nikt się nie rusza. – To dobrze. Trzeba zbadać finanse Aislinn. Gaffney, zabierz się do tego. I tak będziesz musiał do nich zajrzeć, żeby sprawdzić opłaty za te kursy.

Breslin wzdycha na tyle głośno, by dać mi do zrozumienia, że marnują cenny czas i zasoby.

– Nie znamy jeszcze motywu – zwraca się do wszystkich Steve. – Najbardziej oczywisty to nieporozumienie kochanków, ale nie możemy wykluczyć powodów finansowych. Rory wspomniał, że jego księgarnia jest w trudnej sytuacji. Przyjaciółka ofiary, Lucy Riordan, powiedziała, że Aislinn uskładała trochę pieniędzy. Być może Rory poprosił ją, żeby dołożyła do księgarni parę tysięcy, i zrobił się niemiły, kiedy odmówiła... coś w tym rodzaju.

Breslin wzrusza ramionami. Rysuje coś na rogu kartki w notesie.

– Będzie też trzeba zbadać finanse Rory'ego – dodaję. – Gaffney, tym też się zajmiesz przy okazji. Ktoś powinien skontaktować się z operatorem i sprawdzić, dokąd dzwonił wczoraj wieczorem. Deasey, masz kogoś zaufanego w Vodafonie? Niech ktoś potwierdzi alibi Lucy Riordan u ludzi z Torch Theatre: Stanton, to twoja działka. Ktoś powinien też pogadać z obsługą Market Bar i Pestle, może powiedzą nam coś o randkach Aislinn i Rory'ego. Meehan, okay? Trzeba wyznaczyć jednego z mundurowych z miejsca zdarzenia, żeby pojechał na sekcję. Deasy, ty to zrobisz. Sekcja będzie jutro rano, dopilnuj, żeby się nie spóźnił, bo inaczej Cooper dostanie piany. – Wszyscy, którzy znają Coopera, prychną śmiechem. – Ja i Moran dalej pracujemy z kryminalistyką, żeby być na bieżąco. To na razie wszystko, ale na początek powinno wystarczyć. Jakieś pytania?

Wszyscy kręcą głowami przecząco. Wiercą się niespokojnie na linii startowej.

– No dobra – rzucam. – Do roboty.

Meehan z trzaskiem zamyka książkę zadań. Odwracają się do swoich biurk, telefonów, zeznania Rory'ego, ruszając z pracą z kopyta i zerkając, kto szybciej. Pokój operacyjny C tętni energią, która rykoszetem odbija się od lśniących rzędów biurk i rozpryskuje na oknach.

A gdzieś pod spodem, w tyle głowy mojej i Steve'a, coś uporczywie miota się i brzęczy, domagając się wypuszczenia na wolność. Breslin pochyla przylizane jasne włosy nad notesem, ale gdy wyczuwa moje spojrzenie, unosi wzrok i posyła mi szeroki, promienny uśmiech.

* * *

Steve przepisuje nasz raport dla starego, a ja przeglądam to, co przyniosły nam mrówki. Całkiem nieźle sobie radzą, choć Deasy ma trudności z ortografią, a Gaffney czuje potrzebę informowania o każdym szczególe na każdy temat, wszystko jedno, czy ma związek ze sprawą, czy nie („Świadek poinformowała, że kiedy odwoziła swoją ośmioletnią córkę Avę w odwiedziny do dziadka, który po ciężkim udarze leżał w szpitalu St James’s, zobaczyła wysiadającą z samochodu Murray...”). Rozmowy z sąsiadami nie przyniosły nic szczególnie interesującego: Aislinn była wobec nich życzliwa – żadnych zarzutów o hałasy czy zajmowanie miejsca parkingowego, nic z tych rzeczy – ale z nikim nie utrzymywała bliższych kontaktów; kilka osób widziało kobietę odpowiadającą rysopisowi Lucy, jak czasem wchodziła i wychodziła z jej domu; nikt nie zauważył innych gości. Aislinn nigdy nie wspominała o żadnym chłopaku. Prawie regularnie widywali ją, jak odstawiona wychodziła wieczorami z domu, ale nie należeli do plotkarzy, więc nie mieli pojęcia, dokąd się wybierała ani co robiła. Pod numerem dwadzieścia cztery mieszka małżeństwo na w pół głuchych staruszków, którzy wczoraj wieczorem niczego nie słyszeli; młode małżeństwo spod numeru dwadzieścia osiem słyszało, jak Aislinn puszczała Beyoncé na cały regulator, ale krótko przed ósmą ściszyła albo całkiem wyłączyła muzykę – potrafili dokładnie podać godzinę, bo o ósmej zasypiało ich małe dziecko, byli więc wdzięczni za ciszę. Później nie dotarł już do nich ani jeden dźwięk.

Starszy pan spod trójki potwierdza wersję Rory’ego, a w każdym razie jej fragmenty: tuż przed ósmą wychodził na spacer z psem (według raportu Gaffneya, białym terrierem o imieniu Harold) i zobaczył faceta odpowiadającego rysopisowi Rory’ego, który właśnie skręcał w Viking Gardens. Gdy piętnaście minut później wracał do domu, facet ciągle stał u wylotu ulicy i grzebał przy telefonie. W ciągu tego kwadransa nie wychodził nikt z pozostałych sąsiadów – na Viking Gardens mieszkają przede wszystkim starsi ludzie i parę młodych rodzin, nikt nie wybiera się na sobotnie biby – co oznacza, że Rory mógł zostać wpuszczony do domu, zabić Aislinn i wrócić na ulicę, żeby dziesięć po ósmej napisać SMS-a zapewniającego mu alibi. Ja tego jednak nie kupuję. Coś, co go zdenerwowało, zdarzyło się wcześniej, jeszcze przed wypadem do Tesco. Na ulicy nie było wtedy żadnego z sąsiadów, więc nikt nie mógł go zobaczyć albo nie zobaczyć.

Steve ciągle stuka w klawiaturę. Breslin wyszedł pogadać z braćmi Rory’ego, zabierając ze sobą Gaffneya, któremu po drodze nie szczędził zawodowych mądrości; Meehan zapiął się pod szyję i ruszył w trasę po Stoneybatter, żeby mierzyć sobie czas; Deasy rozmawia ze swoim kontaktem w sieci telefonicznej i świetnie się bawią; Stanton robi wykład komuś od autobusów. Ich głosy płyną pod wysoki sufit do wszystkich kątów sali i lekko się rozmywają w za dużej przestrzeni. Za oknami jest ciemność.

Dzwoni mój telefon.

– Conway.

– Ty i Moran, do mnie – wydaje polecenie O’Kelly. – Ze sprawozdaniem.

– Zaraz będziemy – odpowiadam i słyszę, jak się rozłącza. Patrzę na Steve’a, który odchylony na oparcie krzesła, ostatni raz rzuca okiem na raport. – Stary chce nas widzieć.

Unosi głowę i wbija we mnie zaskoczone spojrzenie. Każda z tych czynności trwa parę sekund; jest już w dwóch trzecich pogrążony we śnie. Przynajmniej raz wygląda na swój wiek.

– Po co?

– Chce usłyszeć sprawozdanie.

– Jezu.

Szef wymaga osobistego składania sprawozdań, gdy pracujesz nad dużą sprawą, a tę trudno tak nazwać, albo kiedy wyjaśnianie trwa za długo. Ale nawet jeżeli masz u niego złe notowania, powinien ci dać więcej niż jeden dzień. To nie może być nic dobrego.

Krażyły plotki, że dostałam tę robotę, bo O’Kelly musiał odhaczyć pozycję na liście wymogów poprawności politycznej, a dzięki mnie mógł odhaczyć dwie naraz – tak mówiły te milsze plotki. Wszystko to bzdury. Kiedy szef przyjmował mnie do wydziału, ze składu wypadł mu jeden detektyw – jeden z jego asów właśnie odszedł na wcześniejszą emeryturę – a ja byłam gwiazdą wydziału zaginionych, triumfalnie wymachującą grubymi plikami wyjaśnionych głośnych spraw. Właśnie skończyłam śledztwo, o którym gazety pisały na pierwszych stronach. Odwaliłam w nim solidną policyjną robotę każdego rodzaju, od lokalizowania telefonów i logowań do wi-fi po wyciąganie informacji od świadków – prośbą w przypadku członków rodziny i groźbą w przypadku przyjaciół – aby wytropić świeżo porzuconego przez żonę ojca, który uciekł z dwoma małymi synkami. A kiedy go odnalazłam, przez cztery godziny namawiałam go, żeby wysiadł z dziećmi z samochodu, zamiast zjechać nim z pomostu do wody. Byłam wtedy rewelacją. I ja, i szef mieliśmy wszelkie powody sądzić, że moje wejście do zabójstw to fantastyczny pomysł.

O’Kelly wie, co się dzieje w wydziale; wiem, że wie, chociaż nigdy nie powiedział na ten temat ani słowa; tylko obserwował i czekał. Żaden szef nie życzy sobie czegoś takiego u siebie, nie chce strażów z ukrycia i kłębów trującego dymu snujących się po biurze. Każdy szef na świecie zastanawiałby się już, jak się mnie pozbyć.

Steve wciska DRUKUJ i drukarka zabiera się do pracy nad raportem z zadowolonym pomrukiem, który w niczym nie przypomina przedśmiertnego rżenia gruchota w naszym biurze. Wyjmujemy grzebienie, doprowadzamy włosy do porządku, otrzepujemy ubranie. Steve ma plamę czegoś niebieskiego na koszuli,

ale nie mam sumienia mu o tym powiedzieć, żeby próby jej usunięcia go nie dobiły. Przypuszczam, że ja z kolei mam na twarzy ślady markera do tablicy czy czegoś innego, a on zachowuje się tak samo wobec mnie.

Nie ufam O’Kelly’emu między innymi z powodu jego gabinetu. Jest w nim pełno kretyńskich rzeczy – oprawiony w ramki rysunek z podpisem NAJLEPSZY DZIADEK NA ŚWIECIE, duperelne trofea golfowe, lśniący biurowy gadżet, na wypadek gdyby naszła go chęć głośnego stukania zawieszonymi na nitkach kulkami – oraz sterty zakurzonych akt, które ciągle leżą w tym samym miejscu. Każdy szczegół w tym pokoju wyraźnie daje do zrozumienia, że jego lokator to oportunistą, który w oczekiwaniu na emeryturę całymi dniami trenuje golfa, ćwicząc techniki uderzenia, poleruje tabliczkę ze swoim nazwiskiem i wymyśla skomplikowane sposoby sprawdzania, czy ktoś ruszał schowaną butelkę wybornej szkockiej. Gdyby O’Kelly faktycznie taki był, nie kierowałby wydziałem zabójstw od prawie dwudziestu lat. Wystrój gabinetu ma zamydlić ludziom oczy i uspić ich czujność. A nie widzi tego nikt inny oprócz ludzi z wydziału.

O’Kelly siedzi rozparty na swoim luksusowym ergonomicznym fotelu, z rękami spoczywającymi na oparciach, jak udzielający audiencji dyktator jakiejś bananowej republiki.

– Conway, Moran – mówi. – Opowiedzcie mi o Aislinn Murray.

Steve podaje mu wydruk raportu, jak gdyby machał kawałem surowego mięsa przed nosem złego psa. O’Kelly brodą wskazuje biurko.

– Połóż tu. Przeczytam później. Teraz chcę posłuchać.

Nie poprosił, żebyśmy usiedli – to musi być dobry znak: rzecz nie potrwa całą noc – więc stoimy.

– Czekamy jeszcze na sekcję – zaczynam – ale ze wstępnych oględzin Coopera wynika, że ktoś zadał jej cios w twarz, po którym uderzyła tyłem głowy w kominek. Czekala na niejakiego Rory’ego Fallona, który miał przyjść do niej na kolację. Facet przyznaje, że w czasie zdarzenia był na miejscu, ale twierdzi, że nie otworzyła mu drzwi i nie miał pojęcia, że nie żyje, dopóki nie powiedzieliśmy mu o tym dzisiaj po południu.

– Hm... – Padające z boku ostre światło lampy na biurku pogrąża O’Kelly’ego w cieniu, wygląda więc na cyklopa o nieprzeniknionej twarzy. – Wierzycie mu?

Wzruszam ramionami.

– Pół na pół. Według naszej zasadniczej teorii, otworzyła mu drzwi, doszło do jakiejś kłótni i Fallon ją uderzył. Chociaż być może mówił prawdę, że nie wiedział, że dziewczyna nie żyje.

– Macie jakieś twarde dowody?

Minęło niecałe dwanaście godzin, a ja dostaję opieprz za to, że nie mam wyników badań DNA. Wbijam ręce do kieszeni żakietu, żeby nie stracić z biurka

idiotycznej doniczki z zielistką.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, ubiega mnie Steve:

– Kryminalistka dostała płaszcz i rękawiczki, które Fallon podobno miał na sobie wczoraj wieczorem. Sprawdzamy miejsca na jego trasie do domu, na wypadek gdyby coś wyrzucił. Zgodził się, żebyśmy przeszukali jego mieszkanie i zabrali inne części garderoby, które wyglądają interesująco, więc pojechało do niego dwóch chłopaków. Technicy twierdzą, że jeżeli to on, mamy szansę znaleźć ślady krwi albo komórek nabłonkowych, albo włókna, które znaleziono na zwłokach.

– Powiedziałam koleżance z kryminalistyki, że to pilne – dodaję, panując nad głosem. – Jutro powinniśmy mieć wstępne wyniki. Zawiadomimy pana.

O’Kelly łączy dłonie opuszkami palców i przygląda się nam badawczo.

– Breslin sądzi, że szkoda dłużej marnować czas i powinniście aresztować tego gnojka – oznajmia.

– To nie jest sprawa Breslina – mówię.

– Czyli co? Macie wątpliwości? Czy tylko chcecie wszystkim pokazać, że nie dacie się rządzić Breslinowi?

– Jeżeli ktoś jest na tyle głupi, żeby myśleć, że damy się rządzić Breslinowi, nie zamierzam mu udowadniać, że się myli.

– A więc macie wątpliwości.

W ciemnościach za oknem wiatr przybiera na sile. Huczy jak wichur, który gna przez pola, nie spotykając żadnej przeszkody przez długie kilometry, jak gdyby nasz wydział stał pośrodku zupełnego pustkowia.

– Aresztujemy podejrzanego, gdy będziemy gotowi – mówię.

– Nie jesteście pewni, czy dacie radę udowodnić jego winę? – pyta O’Kelly.

– Czy macie wątpliwości co do winy tego chłopaka?

Patrzy na mnie, nie na Steve’a.

– Mamy wątpliwości, czy jesteśmy gotowi do aresztowania – wyjaśniam.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

Zapada cisza. Oko O’Kelly’ego, które lśni metalicznie w blasku lampy, wpatruje się we mnie bez zmrużenia powieki.

– Myślę, że to on – mówię. – Nie aresztuję go na podstawie samego przeczucia. Jeżeli na tym polega problem, to niech pan odbierze nam sprawę i da ją Breslinowi. Chętnie ją odstąpimy.

O’Kelly przypatruje mi się przez następną minutę; wytrzymuję jego spojrzenie. Wreszcie mówi:

– Informujcie mnie na bieżąco. Codziennie wieczorem chcę mieć na biurku pełny raport. Gdyby zaszło coś ważnego, nie czekajcie z tym do raportu, przekazcie mi od razu. Jasne?

– Jasne – przytakuję. Steve kiwa głową.

– To dobrze. – O’Kelly odwraca fotel od biurka, pochyla się nad jedną ze stert akt i zaczyna przerzucać papiery. W świetle lampy wiruje kurz. – Idźcie się przespać. Wyglądacie jeszcze gorzej niż rano.

Czekamy ze Steve’em aż do powrotu do pokoju operacyjnego i dopiero gdy zamykają się drzwi, spoglądamy na siebie.

– O co tu chodziło? – pyta.

Zdejmuję płaszcz z oparcia krzesła. Gdy weszliśmy, mrówki przyspieszyły tempo; słychać tylko stukot klawiszy i szelest papierów.

– O to, że stary się do nas przypieprzał. Czego nie rozumiałeś?

– Dobra, ale dlaczego? Dotąd zupełnie nic go nie obchodziły nasze sprawy, chyba że nie robiliśmy tego, czego sobie życzył, i chciał nas zrugać.

Zarzucam szalik i mocno okręcam nim szyję; gęstniejąca ciemność za oknem mówi mi, że jest zimno. O’Kelly pozbawił uroku naszą nową wspianą teorię; hipoteza o gangsterach i skorumpowanych gliniarzach wydaje się teraz naciągana jak mięsień akrobaty, jeżeli pomyśleć, ile osób próbuje mi robić koło pióra.

– Racja. I mimo tego rugania ciągle tu jestem. Może stary doszedł do wniosku, że musi zagrać ostrzej.

– A może... – Steve ścisza głos. Nie zaczął się jeszcze pakować; stoi przy biurku, wystukując palcem nieistniejący wzór na jego krawędzi. – Może zastanawia się nad tym samym co my, ale nie chce nic mówić, dopóki nie będzie pewien...

– Idę do domu – odpowiadam.

* * *

Z zewnątrz moja chata bardzo przypomina dom Aislinn Murray: wiktoriańska parterowa szeregówka o grubych murach i niskim suficie. Mnie wystarcza w zupełności; kiedy ktoś u mnie nocuje – co nie zdarza się często – rano zaczynam się denerwować i mam wrażenie, że we dwójkę wpadamy na ściany. Według spisu ludności z 1901 roku w takich domach mieszkały rodziny z ośmiorgiem dzieci.

Wystarczy wejść do środka, by się przekonać, że mój dom nie ma za cholere nic wspólnego z gniazdkiem Aislinn. Na podłodze mam oryginalne deski – sama je przeszlifowałam i pociągnęłam politurą zaraz po kupnie domu – i oryginalny kominek, żadną gazową tandetę z laminatu; ściany są zdarte do gołej cegły – to też moje dzieło – i pobielone. Kredyt i raty za samochód zżerają taką część mojego budżetu, że meble mam z Oxfam i dolnej półki Ikei, ale przynajmniej nic nie jest w kratkę.

Rzucam torbę na kanapę, wyłączam alarm i nastawiam ekspres do kawy. Dostaję wiadomość od swojej kumpeli Lisy: *Jesteśmy w pubie, chodź do nas!* Odpisuję: *Ciągnęłam dwie zmiany ciurkiem, padam na twarz.* To się akurat zgadza

– jestem na nogach od ponad dwudziestu czterech godzin i ledwie widzę na oczy – mimo to przydałoby mi się piwo i porcja śmiechu z grupą ludzi, którzy nie traktują mnie jak zarazy. Tyle że właśnie dlatego wolę zostać w domu. Kiedy spędzasz dużo czasu wśród osób, które odnoszą się do ciebie, jakbyś miał na czole napisane JESTEM DO DUPY, zaczynasz się niepokoić, że napis z wolna staje się rzeczywistością i każdy, kto z tobą rozmawia, może go przeczytać. W oczach moich kumpli jestem supergliną Antoinette, cwana i przebojową Antoinette, Antoinette, z którą nikt nie zadziera. I chcę, żeby tak zostało. W ciągu kilku ostatnich miesięcy wiele razy odmówiłam wyjścia na piwo.

Poza tym całkiem możliwe, że w ekipie w pubie jest mój kumpel z firmy ochroniarskiej. Nie chcę, żeby znowu proponował mi pracę. Nie przyjmę jego oferty – w każdym razie nie dzisiaj, gdy stoi przede mną to wyzwanie – ale nie chcę też, żeby się z niej wycofywał.

Powinam przegryźć jakąś kolację i iść spać, ale nie znoszę tracić czasu na sen jeszcze bardziej niż na jedzenie. Wkładam do mikrofalówki jakieś gotowe danie z makaronem; kiedy się podgrzewa, dzwonię do matki, bo robię to co wieczór, chociaż nie jestem pewna po co. Matka nie jest typem, który psioczy na ból pleców, informuje, która z córek jej znajomych zaszła w ciążę ani co znalazła podczas sprzątanego w koszu na śmieci jakiegoś menedżera średniego szczebla, co oznacza, że zostaje jej niewiele tematów do rozmowy. Kiedy jestem w dobrym nastroju, opowiadam jej ogólnie swój dzień. Kiedy nie jestem, opowiadam jej w szczegółach: jak wyglądały rany, co z płaczem mówili rodzice. Czasem przyłapuję się na tym, że gdy jestem na miejscu zdarzenia, notuję w pamięci najgorsze rzeczy, myśląc, że właśnie to w końcu ją ruszy, każe jej wstrzymać oddech albo nawet warknąć na mnie, żebym przestała. Jak dotąd nic jej nie ruszyło.

– Serwus – mówi matka. Trzask zapalniczki. Podczas naszej rozmowy zapala papierosa; kiedy go gasi, odkładamy słuchawki.

Wciskam przycisk espresso.

– Cześć.

– Co słychać?

– Ja i Moran mieliśmy dzisiaj sprawę burdy na ulicy. Dwóch zalanych gości skoczyło na łeb trzeciemu i zaczęło na nim tańczyć. Oko wypłynęło mu na chodnik.

– Hm... – Matka zaciąga się dymem. – Zdarzyło się coś jeszcze dziwnego?

Nie mam ochoty opowiadać jej o Aislinn. Za dużo mętnej wody wokół tej sprawy, za dużo rzeczy, w których nie umiem się połapać; nie opowiadam matce o niczym, czego porządnie nie rozpracowałam.

– Nie. Lisa przysłała mi SMS-a, żebym przyszła na piwo do niej i chłopaków, ale jestem wykończona. Idę spać.

Matka milczy przez chwilę, na tyle długą, żeby dać mi do zrozumienia, że

tym się nie wykręcę, po czym mówi:

– Marie Lane powiedziała, że jesteś w gazecie.

Cholera, jasne, że powiedziała.

– Tak?

– Nie pisali o żadnej burdzie na ulicy. Tylko o jakiejś młodej dziewczynie zabitej we własnym domu. Wyszłaś w gazecie na kompletną kretynkę.

Wymieniam kapsułkę w ekspresie i jeszcze raz włączam funkcję espresso: muszę wypić podwójne.

– To tylko pospolite zabójstwo. Napisali o tym w gazecie, bo to była blondynka z toną tynku na twarzy. A dziennikarz mnie nie lubi. I tyle.

Niejedna matka, gdyby wyczuła w tym słabość, zaczęłyby drażnić, dopóki nie wysączyłyby jej do ostatniej kropli. Ale nie moja. Moja chciała tylko pokazać, kto tu rządzi, a kto powinien bardziej się postarać, jeżeli chce wciskać kit takiemu zawodowcowi jak ona. Osiągnęła swój cel, więc kończy temat.

– Lenny znowu mnie pytał, czy może się wprowadzić.

Lenny i moja matka są razem od dziewięciu lat, z małymi przerwami. Całkiem porządny z niego gość.

– No i co?

Parska ochryplym śmiechem, wypuszczając równocześnie kłęb dymu.

– No i powiedziałam mu, że chyba sobie żartuje. Gdybym chciała mieć w sypialni jego śmierdzące gacie, już by tam były. Zresztą i tak opowiada brednie. Nie chce już jeść tego, co mu ugotuję, woli chodzić na kolację do smaźalni...

Śmieję się z Lenny'ego, dopóki matka nie kończy papierosa i naszej rozmowy. Mikrofalówka wydaje brzęk. Biorę breję z makaronem i kawę, siadam na kanapie i otwieram laptop.

Zaczynam przeglądać strony serwisów randkowych. W życiu nie zrobiłabym tego w pracy – gdyby tylko ktoś zerknął mi przez ramię albo zajrzał do komputera, kiedy nie będzie mnie w biurze... Już słyszę radosne wycie: „Jezu, chłopaki, Conway umawia się na randki przez internet!” „Aha, na stronie oziębłe-suki.com”. „Dzisiaj na rynku każdy znajdzie coś dla siebie”. „Ona też? Serio?” „Przecież wszyscy wiemy, że nieźle robi loda, inaczej by jej tu nie było, niech to sobie wpisze do profilu”. Ale jeżeli Bezimienny Ukochany rzeczywiście istnieje, Aislinn musiała go jakoś poznać. Sprawdzenie list kolegów z pracy i z kursów wieczorowych nie zamyka kręgu podejrzanych, a sądząc po zawartości jej telefonu i zeznaniu Lucy, Aislinn nie prowadziła bujnego życia towarzyskiego. Jeżeli nie znalazła sobie gangstera, który uczył się szydełkować, najbardziej prawdopodobnym miejscem jest internet.

Zakładam konta, korzystając z jednorazowego adresu mailowego, rysopisu Aislinn i zdjęcia uśmiechającej się z wyższością blondynki, które znalazłam w Grafice Google, na wypadek gdyby nasz poszukiwany miał swój typ i szukał

dziewczyny na zastępstwo, po czym przez jakiś czas przeglądam użytkowników. W serwisach na ogół używają nicków, nie imion – j-wow79, footballguy12345 – a rysopis Aislinn pasuje do połowy dziewczyn na tych stronach. Wybieram w opcjach wiek i typ, a potem przebiegam wzrokiem morze selfie z buźkami blondynek, które wszystkie układają usta w ryjek, i szukam, dopóki oczy nie zaczynają mi wychodzić z orbit, ale jej ani śladu. *Wierzę w pozytywne nastawienie do życia, przeznaczenia i tak nie oszukam ha, ha... Lubię romantyczność, spontaniczność, szacunek, szczerość, autentyzm, dobrą rozmowę... Chcę normalnie pogadać na luzie wyślij wiadomość nigdy nie wiadomo co się może zdarzyć!!!*

Makaronowe danie już wystygło i zmieniło się w glut. Mimo to przełykam ostatni kęs. Ulica za oknem jest ciemna, latarnie walczą z nocą, ale przegrywają. Wiatr miota papierową torbę po rybie z frytkami, tłukąc nią w mur i przytrzymując ją tam przez sekundę, żeby po chwili znowu cisnąć nią o jezdnię. Staruszka spod dwunastki pędzi pochylona w chustce na głowie, pchając przed sobą pełen zakupów wózek w kratę.

Przełączam się na zdjęcia facetów i szukam twarzy znanej z pracy albo z wiadomości: nic, chociaż wysoko postawiony gangster pewnie nie wrzucałby swojej fotki na serwis randkowy. *Pierwszy raz wszedłem na taką stronę nie bardzo wiem co napisać, szukam kogoś naturalnego wyluzowanego z poczuciem humoru... Jestem trochę wariat walę wszystko prosto z mostu jak myślisz że dasz sobie radę z takim narwańcem to napisz!!*

Wkurzają mnie ci ludzie. Jak zebrzą o trochę uwagi w internecie, podskakują, machają rękami, kręcą zgrabnymi tyłeczkami: popatrz na mnie, polub mnie, błagam, pragnij mnie!!! Tak samo okropna jest masa kandydatów kategorii „bo jestem tego warta/wart” (*Szukam kogoś wysokiego, szczupłego, wysportowanego, kto nie pali, nie bierze narkotyków, nie ma dzieci, nie ma zwierząt, ma pracę i samochód, lubi kuchnię fusion, zna co najmniej trzy języki, ćwiczy jogę Bikram i słucha acid jazzu...*) – zamawiają sobie partnera z internetowego menu, bo oczywiście trzeba go mieć, tak jak trzeba mieć najnowocześniejszy sprzęt audio i wypasiony wóz, a najważniejsze, żeby dostać dokładnie to, czego się chce. Mogę szanować tylko osoby, którym chodzi o interes: superlaski z Ukrainy szukające starszych mężczyzn z głębi kraju z myślą o małżeństwie. Całej reszcie przydałby się porządny kopniak w tyłek i podwójna dawka szacunku dla samego siebie.

Naprawdę nikt nie potrzebuje związku. Wystarczy tylko odrobina zdrowego rozsądku, żeby się tego domyślić, mimo bzdur nachalnie wciskanych przez media, że sam jesteś niczym, a jeżeli się z tym nie zgadzasz, to jesteś niebezpiecznym dziwolągiem. Prawda jest taka, że jeżeli nie istniejesz bez drugiej osoby, to w ogóle nie istniejesz. I nie dotyczy to tylko miłości do partnera. Kocham swoją matkę, kocham swoich przyjaciół, kocham bezgranicznie. Gdyby któreś z nich chciało,

żebym oddała własną nerkę albo rozwalila komuś łeb, zrobiłabym to bez wahania. A gdyby wszyscy mnie pożegnali i jutro zniknęli z mojego życia, pozostałabym tą samą osobą, którą jestem dzisiaj.

Dobrze mi w swojej własnej skórze. Wszystko, co dzieje się na zewnątrz, nie zmienia tego, kim jestem. Nie czuję dumy z tego powodu; moim zdaniem, to minimalny, podstawowy warunek, żeby móc się nazwać dorosłym człowiekiem, mniej więcej tego rodzaju co wiedza, jak zrobić pranie albo założyć nową rolę papieru toaletowego. Wszyscy ci idioci i idiotki z serwisów randkowych dobrowolnie stają się marionetkami, które błagają innych, żeby pociągnęli za ich zwiotczałe sznurki. Mam ochotę splunąć im pod nogi.

Dostałam już dwie prywatne wiadomości. *Heja co słyszać?? Rzuć okiem na mój profil może będziesz chciała pogadać.* Chłopak ma dwadzieścia trzy lata i jest informatykiem, czyli nie sprawia wrażenia kandydata na ściśle tajnego amanta Aislinn. *Witaj piękna kobieto, bardzo jestem ciekaw, co się kryje pod tą olśniewającą powierzchownością. Słowo o mnie: duchowo rozwinięty, kreatywny podróżnik, który zwiedził kawał świata, ludzie mi mówią, że powinienem napisać powieść o swoim życiu. Zaintrygowana? Dowiedzmy się o sobie czegoś więcej.* Poznają twarz z fotki na profilu: kiedy jeszcze byłam w patrolu, aresztowałam tego gościa za to, że brandzłował się w autobusie. Małe miasto. Notuję w pamięci, żeby w wolnej chwili sprawdzić, co ostatnio porabia, ale to nic pilnego; nie ma powodu, żeby Lucy miała przed nami ukrywać informacje o takiej drobnej gnidzie jak on.

Wchodzę w fazę, w której ekran tańczy mi przed oczami. Wychylam resztkę zimnej kawy. A potem loguję się na bardzo stare konto mailowe i wciskam **UTWÓRZ WIADOMOŚĆ**.

Cześć, skarbie, jak leci? Szmat czasu – chętnie się dowiem, co nowego u ciebie. Daj znać w wolnej chwili. Do zobaczenia – Rach xx

Adres nadawcy brzmi „rachelwodkazcola”. Czytam wiadomość jeszcze raz. Nie wysyłam.

Zmienia się natężenie światła w pokoju: zapaliły się lampy za domem włączane czujnikiem ruchu. Wstaję z kanapy, gaszę światła i z boku podchodzę do okna w kuchni.

Nic: puste patio. Biały blask i ruchome cienie nadają mu złowrogi wygląd: goły bruk, wysokie mury, rozłożysty ciemny wzór w miejscu, gdzie kiedyś piął się bluszcz, a dookoła gęsty mrok. Przez chwilę wydaje mi się, że widzę jakiś ruch nad murem z tyłu, jak gdyby kołysał się czubek głowy kogoś na ulicy. Mrużę oczy i głowa znika.

Serce mi wali. Myślę o Aislinn: samotna młoda kobieta w domku w Stoneybatter, do którego można się dostać z tyłu od uliczki. O intruzie, który zwał przez mur patia, gdy został zauważony. Myślę o tej mendzie Crowleyu, który wywala moje zdjęcie na pierwszej stronie, na wypadek gdyby ktoś miał ochotę

zaczekać pod Zamkiem Dublińskim i śledzić mnie aż do domu.

Wyłączam światła na patiu i sprawdzam broń. A potem z rozmachem otwieram tylne drzwi, pędzę przez patio, wbijam stopę w zagłębienie w murze i błyskawicznie wspinam się na niego.

Jestem gotowa stanąć oko w oko z każdym, od ćpuna po Freddy'ego Krugera. Widzę tylko półmrok wąskiej bocznej uliczki w słabym żółtym świetle latarni z ulicy. Pusto. Wzdłuż murów zalega cień i opakowania po chipsach, na jednej ze ścian można dostrzec trzeciorzędnej jakości niebieskie graffiti nabazgrane przez jakiegoś dzieciaka. Nasłuchuję; z głębi ulicy dobiega odgłos przypominający szybkie kroki, a może to tylko wiatr rozrzuca śmieci.

Bierze mnie złość, trochę z powodu rozczarowania – ostrzyłam sobie zęby na tę bójkę – a trochę na siebie, że jestem taką idiotką. Jeżeli nawet sprawa w czarodziejski sposób stanie się rozgrzewką jakiegoś seryjnego mordercy, to dzisiaj na pewno siedzi w domu i zażywa zasłużonego odpoczynku, zamiast grasować po ulicach w poszukiwaniu przygody. Zobaczyłam kołyszącą się za murem głowę, bo albo zmęczenie zmąciło mi wzrok, albo jakiś pijaczek przyszedł się wysikać; czujnik ruchu mógł włączyć albo wiatr rozdmuchujący śmieci, albo miejscowy półdziki kot, który wyruszył na żer.

Wracam do laptopa i długo siedzę z palcem na klawiszu, słuchając szumu wiatru za oknami i zerkając jednym okiem na światła na patiu, aż wreszcie wciskam WYŚLIJ.

Z samego rana w poniedziałek namierzam swojego świadka w sprawie nocnej imprezy bydłaków, wyciągam go z łóżka i nakłaniam, żeby przyszedł na komendę i jeszcze raz złożył całe zeznanie od początku, tyle że tym razem wkurzony wyrzuca mi, że to on płaci mi pensję – z zasiłku, co ciekawe – i że powinnam okazać mu szacunek i nie marnować jego cennego czasu w taki sposób. Oboje wiemy, że jeśli każę mu się zamknąć, natychmiast zapadnie na ostrą amnezję i nie przypomni sobie nic z sobotniej nocy. Nawet ten nędzny sukinsyn wyczuwa moją słabość. Parę klapsów nauczyłoby go moresu, ale wolę je oszczędzić dla kogoś ważniejszego.

Zresztą i tak poświęcam mu tylko część uwagi. Dzień zaczął się dziwnie. Kiedy wychodziłam z domu, było jeszcze ciemno, ulicę spowijała gęsta zimna mgła, nadając jej dawny, wiktoriański i tajemniczy wygląd: samochody zmieniły się w ciemne plamy, jasne punkty okien i latarni unosiły się w przestrzeni. A u wylotu ulicy, o poranku, kiedy nie powinno tam być żadnego człowieka będącego przy zdrowych zmysłach, stał jakiś facet. Po prostu stał, za daleko ode mnie, żebym mogła dostrzec coś więcej; wysoki, zwrócony twarzą w moją stronę, w ciemnym płaszczu i ciemnym kapeluszu, o sylwetce zdradzającej, że nie jest młody. Wrócił wczorajszy przyływ adrenaliny. Pomyślałam o informacji o tamtym facecie przechodzącym przez mur przy domu Aislinn – *średniej budowy ciała, w ciemnym płaszczu, sąsiad przypuszcza, że mógł być w średnim wieku...* Zanim zdążyłam wykręcić samochód z miejsca parkingowego i wcisnąć gaz, facet zniknął.

Przez całą drogę na parking służbowych wozów, potem do domu bydłaka i z powrotem do biura, gdy siedział z tyłu i zrzędził, zerkałam w lusterko wsteczne i patrzyłam na jadące za mną samochody, bo dodatkowe napięcie wywołał we mnie ciemny płaszcz. Steve miał rację, wielu facetów nosi ciemne płaszcze. Prawie wszyscy detektywi, jakich znam.

Jest kilka powodów, dla których detektyw mógłby obserwować moją ulicę. Niektóre zabawne, inne mniej.

Żeby nie było mi smutno, Kretyn Crowley dalej stara się rozdmuchać sprawę Aislinn, robiąc z niej temat roku. Wygrzebał jeszcze parę jej zdjęć – wszystkie z czasów już po zmianie wizerunku, bo Crowley i jego czytelnicy nie pocą się z podniecenia na widok przysadzistych brunetek w kostiumach z poliestru – które suto podlał masą emocjonalnych banałów, zajmując tym całą pierwszą stronę „Couriera”. Duża część tekstu to aluzje do bezczynności policji, w szczególności mnie, i sugestie, że nie traktujemy sprawy poważnie, bo za bardzo zajmuje nas ochrona polityków i elit, żebyśmy mieli sobie zawracać głowę porządnymi ludźmi pracy. Crowley wytrzasnął skądś moją niewyraźną fotografię z czasów

mundurowych, kiedy zabezpieczałam jakąś demonstrację; protestowało kilkuset ludzi, słusznie wkurzonych z powodu zamknięcia oddziału ratunkowego, nie było żadnej zadymy, ale na zdjęciu mam kamizelkę ochronną i pałkę, a to w zupełności wystarcza Crowleyowi na potwierdzenie jego tezy. Jeżeli szybko nie przymkniemy sprawcy, zacznie się presja na szefostwo, które da kopa staremu, a stary da kopa mnie.

Wyprowadzam bydlaka świadka – cały czas narzeka, że zerwałam go z łóżka bladym świtem – a potem patrzę, jak zapala papierosa i szybko się zmywa. Dochodzi dziesiąta; dzień osiągnął już pełnię i nie ma co liczyć na coś więcej niż słabiutkie szare światło, które sączy się z zapchanego chmurami nieba. Opieram się o mur i nie zważając na przenikliwy chłód wciskający się pod kurtkę, wykorzystuję chwilę prywatności, żeby zadzwonić do Sophie. Dochodzę do wniosku, że duży odcisk palca jakiegoś barona narkotykowego w sypialni Aislinn albo nawet ładna plama krwi na jednej z rękawiczek Rory’ego, znacznie poprawiłby mi nastrój.

– Hej – odzywa się Sophie. – Mogę cię przełączyć na głośnik? Ta waza musi wrócić do Galway w całości na sprawę O’Flaherty’ego, a mogłabym przysiąc, że ci idioci od transportu dowodów grają tym w piłkę, więc pakuję sama. W roczny przydział folii z bąbelkami. Jestem u siebie w biurze, nikt nas nie będzie słyszał.

– Dobra, przełączaj – odpowiadam. – Dostałaś rzeczy naszego podejrzanego?

– Dostałam. Szare nylonowe rękawiczki i czarny wełniany płaszcz, które miał wtedy na sobie, granatowe spodnie, dwie białe koszule, jasnoniebieski sweter, czerwone wełniane rękawiczki, wełniane z norweskim wzorem... serio... i czarny wełniany szalik z jego mieszkania. Plus odciski palców. – Sądząc po odgłosach, Sophie odrywa kawałek lasotaśmy. – Chcę ci powiedzieć, że wczoraj wieczorem dzwonił do mnie Breslin. Chciał wszystkie raporty z zabezpieczenia miejsca i z analizy elektroniki Aislinn.

Przez tkaninę na plecach czuję twardy, szorstki kamień.

– Co mu dałaś?

– A jak myślisz? Gównu mu dałam. Zaczął jak headhunter, powiadał, jaki to jest zachwycony, że właśnie pracuję nad tą sprawą, że żaden inny technik nie potrafi mi dorównać... Jaki idiota może pomyśleć, że sprawi mi przyjemność, psiocząc na moich kumpli? – Znowu trzask oddzieranej taśmy. – Powiedziałam mu, że jeszcze żaden raport nie jest gotowy, bo przecież to nie jest jedyna sprawa na świecie, a komputerowcy nie zaczęli nawet oglądać jej sprzętu. Co akurat jest prawdą albo prawie prawdą. Nie był zadowolony, ale dalej się przymilał. Przysięgam, na koniec myślałam, że zamierza mi przysłać kwiaty.

– Pogadam sobie z Breslinem – mówię. Byłabym gotowa ucałować Sophie.
– A naprawdę jak stoisz z naszą sprawą?

– Raporty są gotowe, dostaniesz, kiedy zechcesz. Kazałam moim chłopakom

zostać do nocy. Uznałam, że skoro próbujesz nie dopuszczać tego lizodupa do szczegółów... nie muszę wiedzieć dlaczego... to pewnie przyda się, jeżeli będziesz parę kroków dalej, niż się spodziewa.

– Przyda – przytakuję, w duchu pokazując Breslinowi środkowy palec. – Prawdziwy z ciebie skarb. Znalazłaś coś ciekawego?

Sophie wydaje dźwięk kojarzący się ze wzruszeniem ramionami.

– Czarne włókna na ciele ofiary pasują do płaszcza twojego podejrzanego, ale to żadna sensacja: jest ich od groma, pewnie by pasowały do połowy czarnych wełnianych płaszczy w mieście. Nie pochodzą z jego szalika. Na pozostałych rzeczach nie ma śladów krwi. Czyli jeżeli to on, nie miał tych rękawiczek podczas roboty. Niestety.

– Takie jest życie – mówię. Nie jestem zaskoczona: nawet Rory jest na tyle bystry, żeby znaleźć kosz i wyrzucić zakrwawione rękawiczki. – Będziemy szukać dalej. Coś jeszcze z miejsca zdarzenia?

– Większość przeczytasz w raportach. Masa przeróżnych niezidentyfikowanych włókien i tak dalej. Porównamy je z włóknami z mieszkania twojego podejrzanego, na wypadek gdyby doszło do wtórnego przeniesienia, na przykład jeśliby włókno z jego dywanu znalazło się na płaszczu, a stamtąd trafiło na jej kanapę, i sprawdzimy, czy na rzeczach podejrzanego nie ma włókien z mieszkania ofiary. Ale do tego jeszcze się nie zabraliśmy. Niech to szlag... – Szelest i łomot: Sophie walczy z rolką folii. – Jedna rzecz wydaje mi się trochę dziwna. Mieszkanie jest czyste.

– Zaprosiła chłopaka na kolację. Posprzątała.

– Nie mówię o czystości tego rodzaju. Znaczący... to też... wydaje mi się, że był z niej typ perfekcyjnej pani domu... na szafie prawie grama kurzu, jak u żony idealnej. Pewnie przed randką ze swoim Romeem ruszyła do frontalnego ataku. Chodzi mi jednak o odciski palców. Pamiętasz, jak Moran prosił mnie, żebyśmy sprawdzili miejsca, których mógł dotykać jakiś były chłopak? Wezglowie łóżka, spód deski sedesowej?

– Aha?

– Nic. Na wezglowiu nie było żadnych odcisków palców, nawet ofiary, a to farba z połyskiem, odciski powinny się na niej trzymać. Klamki, umywalka, sedes, drzwi lodówki, opakowanie prezerwatyw w szafce nocnej... same smugi.

– Ktoś wytarł całe mieszkanie – mówię. Na horyzoncie zaczyna majaczyć widmo chłopaka gangstera. Kryminaliści świetnie się znają na usuwaniu odcisków palców. Rory, który nigdy wcześniej nie był w tym domu, nie musiałby tego robić.

Sophie wydaje niezdecydowany dźwięk.

– Może. A może Perfekcyjna Pani Domu miała hardcorowe podejście do sprzątanania. Pasowałyby jedno albo drugie. Uznałam, że to cię zacieka.

– Fakt, ciekawe – potwierdzam. – Jakies płyny ustrojowe na łóżku?

– Pościel była czysta, ale znaleźliśmy plamy na materacu. Możliwe, że to tylko jej pot. Byłaś tam, wiesz, że miała w domu tropikalny upał. Gdybyśmy jednak mieli szczęście, będą ślady spermy albo przynajmniej potu kogoś innego. – Gwałtowny chrząst i szelest: Sophie owija wazę następną warstwą. – Tylko że nawet jeśli uda się zidentyfikować DNA, nie będzie szans ustalić czasu pochodzenia. Gdyby było wiadomo, kiedy kupiła materac, można wyznaczyć górną granicę, ale dalej...

– Chcę na bieżąco wszystko na temat tego DNA – mówię. Nie robię sobie wielkiej nadziei, bo opakowanie prezerwatyw świadczy o tym, że to mało prawdopodobne, by czyjekolwiek nasienie trafiło na ten materac. – Dzięki, Soph. A co z elektroniką Aislinn? Jest coś?

– Raczej to, co u wszystkich. W komórce nic ciekawego: wyszukiwanie sklepów z ubraniami i klubów nocnych, słodzisie gry pełne wrózek, które trzepoczą skrzydełkami. Na zdjęciach nie ma nikogo interesującego, ale przesłałam ci kopie, żebyś sama obejrzała. Na Facebooku same selfie, testy w stylu „Którą jesteś postacią w *Igrzyskach śmierci*”, łańcuszki „Jeśli nienawidzisz raka, prześlij dalej”... Kurwa, jaki w tym sens? Jeżeli odpowiednio dużo osób polubi post, to rak zrozumie aluzję i zniknie?

– Podaj nam info o loginie, dobra? Trzeba będzie sprawdzić znajomych z Facebooka.

– Nie ma sprawy – odpowiada Sophie. – Chociaż nie ma tam raczej najlepszych kumpli, zero prywatnych wiadomości; wszyscy wyglądają mi na koleżanki i kolegów z pracy i dawnych ze szkoły, takich znajomych, którym wpisujesz komentarz raz do roku, jak cudownie wyglądają na urodzinowej fotce, bo nic cię to nie kosztuje.

Jeżeli chłopak gangster istnieje, to doskonale udaje niewidzialnego; zresztą trudno się dziwić.

– Co z mailami? Jakieś listy miłosne, flirty, namiętne wyznania, wiadomości, w których się z kimś umawiała? Od Rory’ego Fallona albo kogoś innego?

– Nic z tych rzeczy. Konto na Gmailu połączone z telefonem jest pełne przede wszystkim potwierdzeń zamówień i ofert promocji ze stron z ciuchami. Człostki są tylko od jakiejś kuzynki z Australii, która w każdym mailu na końcu dopisuje całuski. Dalej bierzecie pod uwagę jej byłych?

– Nie wykluczamy żadnych możliwości. – Mija mnie grupka turystów, którzy zadzierają głowy i z rozdziawionymi ustami patrzą na budynki zamku. Jeden z nich celuje w moją stronę aparatem fotograficznym, ale posyłam mu spojrzenie zdolne stopić obiektyw, więc szybko rezygnuje.

– Widać tylko to, co zostawiła – przypomina mi Sophie. – Mogła usunąć wszystko, co przypominało jej dawnego chłopaka. Maile, SMS-y, zdjęcia.

– Wiem. – Albo sam to zrobił w sobotę wieczorem. – Skontaktujemy się

z operatorem i sprawdzimy jej billingi; pewnie Steve już się tym zajął. Wyślij mi szczegółowe dane jej konta mailowego, do Steve'a też. Mogłabyś pogadać z jej dostawcą internetu? Weź od niego rejestry, żebyśmy mogli porównać z tym, co zostało w jej skrzynkach.

– Mój komputerowiec ma znajomych gdzie trzeba. Przekażę mu to, jak tylko skończymy z tą pieprzoną wazą. Szkoda, że jej nie widzisz, wysoka na metr z hakiem i we wszystkie strony sterczą porcelanowe mopsy spryskane krwią. Co akurat przemawia na jej korzyść.

– Co z laptopem ofiary? Powiedz mi, że coś w nim jest. – Jest mi zimno; myśl o rozpuszczalnej kawie bez smaku w pokoju operacyjnym wydaje się całkiem kusząca.

– Jak chcesz ciekawych dowodów, daj mi ciekawą ofiarę. Ta kobieta miała nudne życie. W sieci spędzała sporo czasu, ale z tego, co da się zauważyć, nie zapuszczała się w żadne podejrzone zakątki internetu. Nasz informatyk dokładnie przyjrzał się historii przeglądania z ostatnich dwóch miesięcy. Dużo czasu, naprawdę dużo, poświęciła na strony o podróżach. Czytała o Australii, Indiach, Kalifornii, Portugalii, Chorwacji... Szukała informacji o kursach wieczorowych w Dublinie, zajęciach humanistycznych na uniwersytetach, często kupowała markowe ciuchy w promocjach, czytała wszystkie relacje z dwóch procesów gangów. Strasznie potrzebowała wrażeń, najwyraźniej nigdzie indziej za cholere nie mogła ich znaleźć.

Tak właśnie pomyślałam, gdy trafiłam na jej biblioteczkę reportaży kryminalnych. Zupełnie zapominam o kawie.

– Fakt – przytakuję, starając się, żeby mój głos tego nie zdradził. – Pamiętasz, o jakie sprawy chodziło?

– Franciego Hannona i tego, jak mu tam... z obciętym językiem. Zapomniałam już, jakie używanie miały z nim wtedy gazety. Niejednemu dziennikarzowi chyba naprawdę stawał.

Obaj pochodzili z tego samego gangu, zgrai wrednych chłopaków z Northside, którym przewodził skończony psychol znany jako Biała Bila Lanigan. Sprawy obu prowadzili Breslin i McCann.

– Zdaje się, że na naszą ofiarę też działało – mówię. Jeżeli Aislinn zadawała się z chłopcami Białej Bili, to zapłaciła za to stosunkowo niską cenę. – Coś jeszcze znaleźliście w laptopie?

W słuchawce znowu rozlega się ostry chrzęst folii.

– Czytała dużo tekstów fan fiction. Z rodzaju tych ckliwych, nie pieprznych. Nasz informatyk był trochę rozczarowany. Powiedział, że przestał czytać po takim, w którym Julia budzi się wcześniej i żyje długo i szczęśliwie z Romeem.

– Urocze – mówię. – Serwisy randkowe?

– Nic.

– Udzielała się na jakimś forum?

– Nie. Nasz fachowiec twierdzi, że nikt nie majstrował przy historii przeglądania.

– Moglibyście sięgnąć trochę dalej wstecz? Potrzebna nam będzie historia z co najmniej pół roku. Jeszcze lepiej z roku.

Sophie głośno wypuszcza z ust powietrze.

– Na pewno? Jeżeli wkurzysz mi komputerowca, przyśle ci listę wszystkich adresów, które kiedykolwiek odwiedziła. Przez resztę życia będziecie sprawdzać każdą stronę każdej witryny z precenionymi markowymi ciuchami.

– Po to właśnie Bóg stworzył mrówki – zauważam. – Nic więcej w temacie laptopa?

– Nie poganiaj mnie – rzuca Sophie przez hałas odwijanej taśmy. – Właśnie przechodzę do najlepszego fragmentu. Komputerowiec przejrzał jej dokumenty. Jedyne w miarę ciekawe rzecz jest taka, że dwa miesiące temu uaktualniła CV; pewnie zastanawiała się nad zmianą pracy. Obejrzał też jej zdjęcia. Większość wygląda tak samo jak te z galerii w telefonie, selfie z klubów, lecz jeden folder jest chroniony hasłem. Utworzony we wrześniu zeszłego roku, nazywa się „Hipoteka”, ale kto, do cholery, robi zdjęcia swojej hipotece? I zamyka hasłem?

Już nie potrzebuję kawy; senność minęła. Wrzesień: długo przed spotkaniem Aislinn i Rory’ego, krótko po tym, jak, według słów Lucy, związała się ze swoim tajemniczym kochaniem.

– Ta nazwa to kamuflaż – stwierdzam. – Żeby odwrócić uwagę każdego, kto by przeglądał jej pliki. Jak wam idzie z otwarciem folderu?

– Na razie słabo. Komputerowiec wrzucił słownik i sprawdzał słowo po słowie, próbował różnych kombinacji imienia i nazwiska Aislinn i daty urodzenia, ale nic z tego.

– Próbował hasła z konta na Facebooku?

– Nie znamy. Facebook i Gmail w telefonie były już otwarte. Zresetowaliśmy hasła, odpowiadając na pytanie zabezpieczające. O panięńskie nazwisko matki, litości! Możemy więc wejść na konta w innych urządzeniach, ale oryginalnych haseł nie znamy. Dostawcy też ich nie mają, są zaszyfrowane.

– Ten twój fachowiec ciągle nad tym pracuje?

– Tak i w końcu sobie poradzi. Ta laska nie była Jasonem Bourne’em; nie ma mowy, żeby dorównała naszemu informatykowi. Mówię ci tylko jedno: przynajmniej starała się podejść poważnie do zabezpieczenia tego folderu.

– Wierzę w ciebie i twojego komputerowca. – Znowu buzuje we mnie adrenalina; chociaż bardzo próbuję się powstrzymać, w wyobraźni widzę, jak fachowiec Sophie łamie hasło i wygarnia z katalogu naręczną zdjęć Aislinn ujeżdżającej Bilę Lanigana, a w tle Breslin liczy gotówkę. – Daj znać, kiedy to stworzycie, okay?

– Od razu zadzwonię. – Sophie odrywa jeszcze jeden pasek taśmy i przykleja. – Będzie musiało wystarczyć. Przysięgam, ta waza jest okropna, mam cichą nadzieję, że ją rozwałą. Świat byłby piękniejszy.

* * *

Ruszam na poszukiwania Breslina. Bernadette informuje mnie, że jest w budynku, ale w biurze wydziału ani śladu – kiedy stoję w progu, rozmowy cichną, a potem znowu podnosi się gwar przetykany chichotami, gdy zamykam za sobą drzwi – w bufecie też go nie ma. Idę na górę zajrzeć do pokoju operacyjnego.

Na półpiętrze słyszę ten aksamitny głos lektora dobiegający z góry schodów. Breslin cicho rozmawia z kimś gdzieś nade mną.

Staję jak wryta. Po chwili ostrożnie ruszam w górę – to dawne zamkowe schody, szerokie, z białego marmuru, każdy dźwięk odbija się tu echem – dopóki go nie dostrzegam przez słupki poręczy. Breslin i McCann stoją blisko siebie u szczytu schodów.

Powinnam wykorzystywać każdą okazję, żeby pogadać z tą dwójką, ale McCann nie sprawia wrażenia osoby skorej do pogawędki. Zapadł się w garnitur i wepchnął ręce do kieszeni. Breslin opiera się o balustradę, zwrócony plecami do mnie. Z napięcia ramion domyślam się, że ta nonszalancja wymaga od niego pewnego wysiłku.

McCann mruczy pod nosem, a mnie udaje się wyłowić słowa „ta suka”. Są wypowiedziane poważnym tonem.

– Zajmę się tym – mówi Breslin. – Nie wchodź w to, zostaw wszystko mnie. Dobra?

McCann porusza się, jakby garnitur był lepki od wilgoci.

– Nie lubi, kiedy się nią dyryguje. Jeżeli spróbujesz...

– Nie zamierzam nią dyrygować. Nie o to chodzi. Trzeba jej pokazać, że naprawdę ma tylko jedno wyjście.

McCann odchyła głowę do tyłu i dłońmi pociera worki pod oczami.

– Załatwię to z nią – obiecuje Breslin. – Zobaczysz, wszystko szybko wróci do normy.

McCann, unosząc głowę, żeby coś powiedzieć, dostrzega moje czarne spodnie i zakiet na tle białych schodów i tężeje.

– Bres – mówi.

Breslin odwraca się, a jego gęba przybiera obojętny wyraz.

– Detektyw Conway – mówi. – Miło, że wpadłaś.

– Miałam coś do załatwienia. Zostało mi coś po sobotniej nocy, musiałam się tym zająć – odpowiadam. – To nie zamach na Kennedy’ego; nie będę z tego powodu odwoływać wszystkich zaplanowanych rzeczy. Muszę z tobą zamienić dwa słowa.

– Dobrze, przejdźmy się. Później, Mac, dobra? – McCann kiwa głową, nie unosząc wzroku.

Breslin klepie go w ramię, mija mnie i rusza w dół po schodach.

Idę za nim. Kiedy się odwracam, McCann ciągle stoi na półpiętrze i wpatruje się w przestrzeń.

– McCann ma ostatnio drobne kłopoty małżeńskie – informuje mnie w zaufaniu Breslin na tle stukotu naszych kroków. – Pewnie słyszałaś jego rozmowy przez telefon, co?

Wydaję dźwięk, który może oznaczać cokolwiek. Wszyscy słyszymy jego rozmowy przez telefon; McCann burczy przez zaciśnięte zęby coś o wcześniejszym powrocie do domu, jego głowa pochyla się coraz niżej nad biurkiem, a chłopaki śmieją się na tyle głośno, że to słyszy.

– Żonie nie podoba się jego praca. Nie podobają się jej godziny, nie podoba się jej, że kiedy McCann wraca do domu, ma głowę pełną zabitych dzieci, czyli to co zwykle... Trudno się jej dziwić, nie? On przypuszcza, że w końcu dostanie od niej ultimatum: albo załatwi sobie przeniesienie, albo żona go wyrzuci.

Kiwam głową. To kit. Wydział plotkuje jak salon bingo, ale mnie nikt nie raczy w nic wtajemniczać. Ci dwaj rozmawiali o mnie: albo zastanawiają się, jak mnie zmusić do zamknięcia sprawy, albo jak mnie wywalić z wydziału. Pytanie tylko dlaczego.

– Hm – mówię. – I co zamierza zrobić?

– Oczywiście ani jedno, ani drugie go nie zachwyca. Obiecałem mu, że pogadam z małżonką i spróbuję ją uspokoić. Od dawna się przyjaźnimy; ona wie, że mam na względzie tylko ich dobro. – Twarz rozjaśnia mu się w życzliwym uśmiechu człowieka, który ma na względzie dobro wszystkich. – Musisz mi coś obiecać, Conway. Nikt inny nie może się o tym dowiedzieć. McCann nie chce, żeby cały wydział żył jego prywatnymi sprawami. Nie powinnaś tego w ogóle słyszeć – podkreśla to stosownym gestem, grożąc mi palcem – ale skoro już słyszałaś, to powinnaś to uszanować.

– Nie plotkuję – odpowiadam. – Zostawiam to chłopakom. – Korci mnie, żeby trzasnąć go w tę obłudną twarz, ale przecież chciałam z nim pogadać, trzeba korzystać z okazji. – Sądzisz, że uda ci się to załatwić?

– Och, tak. W głębi duszy szaleją za sobą, trzeba im o tym tylko delikatnie przypomnieć. Niedługo wszystko będzie dobrze. McCann po prostu się martwi.

– Hm... obaj wyglądaliście na mocno zestresowanych.

Breslin zatrzymuje się, żeby na mnie spojrzeć.

– Ja? Co chcesz powiedzieć?

Unoszę ręce.

– Nic, tak tylko mówię.

– Czy tak, twoim zdaniem, wygląda stres? – Pokazuje na swoją gębę, na

której maluje się coś pośredniego między niedowierzaniem a niesmakiem. – Może powinnaś sobie wyregulować czujniki, Conway. Co miałyby mnie stresować?

Wzruszam ramionami.

– Skąd mam wiedzieć?

Nie rusza się z miejsca.

– Nie. Rzucasz coś i zaraz się wycofujesz, kiedy chcę, żebyś to udowodniła. Słucham: co miałyby mnie stresować?

Zestresowany jak diabli i w dodatku się jeży, ciekawe. Tego drugiego wolę nie komentować.

– Bo ja wiem. To co zwykle. Praca. Kasa. Życie.

– Życie mam wspaniałe, dziękuję bardzo. Uwielbiam swoją pracę w odróżnieniu od niektórych. A jeżeli myślisz, że parę dni z tobą i Rudym może to zmienić, to sobie pochlebiasz. Finansowo wszystko u mnie w porządku... lepiej niż w porządku. Nie mam żadnych powodów do zmartwień. Naprawdę szczęśliwy ze mnie człowiek. Jasne?

– Rany, chciałam tylko pogadać o niczym.

Breslin na długą chwilę wbija we mnie wzrok.

– W porządku – rzuca wreszcie. Rusza w dalszą drogę po schodach, więc ja za nim. – Jedna wskazówka, Conway: wszyscy mamy swoje mocne strony. Być może gadanie o niczym nie należy do twoich.

– Być może – zgadzam się. I tyle, jeśli chodzi o rozmowy od serca z Breslinem. – Chcesz mi coś powiedzieć o wczorajszym wieczorze?

– Bracia Rory'ego stawili się na pogawędkę. Raporty są na moim biurku, gdybyś chciała rzucić okiem, ale nie ma w nich nic ciekawego. Obaj twierdzą, że Rory to Mężczyzna Nowoczesny, który szanuje kobiety i broń Boże nigdy by żadnej nie uderzył. Parę dziewczyn go rzuciło... A to ci niespodzianka! I zawsze reagował przygnębieniem, nigdy złością. Wiedzą, że księgarnia nie jest w najlepszej sytuacji finansowej. Twierdzą, że gdyby Rory potrzebował pożyczki, przyszedłby do nich, nie do nowej laski, ale obaj też są bez grosza, więc nie rozumiem, po co miałyby sobie zawracać głowę. Nagrałem ich obu, więc możemy puścić temu ze Stoneybatter, ale szczerze mówiąc, zdziwiłbym się, gdyby ich zidentyfikował. Chyba rzeczywiście nie udają i nie mają o niczym pojęcia.

– Świetnie – mówię. – Dzwoniłeś do Sophie Miller i pytałeś o elektronikę Aislinn?

Odwraca się twarzą w moją stronę; jego brwi unoszą się ostrzegawczo.

– Tak. To jakiś problem?

– Powiedziałam, że ja się tym zajmuję ze Steve'em.

Zatrzymuje się na półpiętrze, żeby przyjrzeć mi się uważniej.

– Conway, daj spokój. Rozumiem, że wolicie zostawić sobie najlepsze, ale nie jesteśmy w przedszkolu; tu się nie zaklepuje ulubionych zabawek. To

prawdziwy świat. Liczy się przede wszystkim to, żeby wykonać zadanie.

– Aha. I wszyscy umiemy to zrobić.

– Nie wczoraj wieczorem. Wy dwoje wróciliście do domu, żeby się wyspać... Wiem, wiem, dwie zmiany, ale fakt faktem, że was tu nie było, prawda? A ja byłem. Skończyłem przesłuchiwać braci Rory'ego, umówiłem się z resztą osób z listy, zadzwoniłem w sprawie billingów i zostało mi jeszcze trochę wolnego czasu. Postanowiłem go wykorzystać. Powinnaś mi podziękować, zamiast się wkurzać z byle powodu.

– Dowiedziałeś się czegoś istotnego?

Przypatruje mi się badawczo.

– Miller nie była jeszcze z niczym gotowa – mówi.

– Jasne. Dlatego ci nie dziękuję. I dlatego, że lubię wiedzieć, kto co robi w moim śledztwie, żeby nie wyjść na durnia i nie próbować robić tego samego drugi raz.

Breslin porusza szczęką.

– Conway. Nie powinnaś się tak denerwować. Pamiętaj, że mam o wiele większe doświadczenie niż ty. Jeżeli coś robię, możesz mi chyba uwierzyć, że robię to w najlepszym interesie śledztwa.

– Nie – odpowiadam. W mojej głowie brzmi głos Steve'a powtarzający: „Musimy sobie jakoś ułożyć współpracę z Breslinem”, ale chcę zobaczyć, co się stanie. – O niczym nie pamiętam. Jeżeli nie przegapiłam twojego awansu, to ciągle jesteśmy w tym samym wydziale, a to śledztwo prowadzę ja. Co oznacza, że jesteś tylko bezczelnym gnojkiem, który uważa się za ważniejszego od innych, i to ty powinieneś pamiętać, kto jest kim.

Przez chwilę mam wrażenie, że posunęłam się za daleko, ale Breslin przywołuje na twarz wyraz zmęczenia i rezygnacji jak nauczyciel, który po sprawiającej kłopoty uczennicy nie powinien się spodziewać niczego więcej.

– No dobrze. Kiedy następnym razem będę się zastanawiał, czy wykonać jakieś dodatkowe zadanie w ramach twojego śledztwa, najpierw zgłoszę się z tym do ciebie. – Przewraca oczami. – Lepiej się teraz czujesz?

– Tak. Lepiej.

– Dobrze. Może więc będziesz tak uprzejma i przestaniesz grać taką nadętą sztywniarę?

– Do... Jezu. – Przystawiam wachnię o sto osiemdziesiąt stopni, robię się potulna jak baranek. – Nie chciałam... – Zerkam na korytarz, sprawdzając, czy nikt nie słyszał, jaką jestem strasznie niewychowaną policjantką. – Wcale nie jest tak łatwo, rozumiesz? Mieć w zespole kogoś takiego jak ty. To przytłacza. Nie zawsze potrafię... Właśnie, nie zawsze potrafię poradzić sobie z tym tak, jak powinnam.

– Hm. – Breslin spokojnie to rozważa, zastanawiając się, jak dać mi nauczkę, ale nadyma się jak paw. – Chyba rozumiem. Ale to nie tłumaczy, dlaczego się tak

jeżysz. Gramy w jednej drużynie.

– Jasne, wiem. Przepraszam. – Nie będę nikomu wchodzić w tyłek bez mydła, żeby zyskać sobie względy palantów, ale żeby zyskać pewność, że dopadnę palantów, jestem gotowa włączyć z największą gorliwością. – Jestem ci wdzięczna za pomoc i rady. Nawet jeżeli nie umiem najlepiej tego okazać.

Breslin kiwa głową.

– W porządku – mówi wielkodusznie. – Nie będziemy do tego wracać.

– Dzięki. Dokąd szedłeś?

– Jestem umówiony z następnymi osobami z listy krewnych i znajomych. Jeżeli nie masz nic przeciwko temu. – Uśmiecha się, chociaż pod spodem czai się rozdrażnienie.

– Wspaniale. Wielkie dzięki. Na razie.

Pokornie chylę głowę i ruszam z powrotem w stronę pokoju operacyjnego. McCanna nie ma już na półpiętrze. Dopiero gdy wchodzę na samą górę i skręcam do korytarza, dobiega mnie suchy i wolny stukot kroków Breslina, które odbijają się echem w całej klatce schodowej.

* * *

W pokoju operacyjnym mimo mojej nieobecności praca wre, co prawdopodobnie powinnam uznać za pozytywny fakt. Mrówki pilnie się uwijają, starając się, aby to było widoczne: Gaffney skrzętnie pisze, Meehan kończy rozmowę przez telefon, a Kellegher i Reilly pochylają się nad monitorami, przewijając rwany zapis z monitoringu. Stanton i Deasy gdzieś poszli, przypuszczalnie do pracy Aislinn. Steve ma dla siebie całe nasze biurko szefa, które wymościł masą wydruków i batoników KitKat; przegląda papiery, spokojnie pogwizdując. Wygląda na zadowolonego.

– Dzień dobry wszystkim – mówię, rzucając rzeczy na biurko. Mrówki posyłają mi uśmiechy, jak gdyby mnie uwielbiały. Jeżeli ktoś przekabacił któreś z nich – a to prawie pewne, bo bez względu na to, jaki plan ma Breslin, jego pierwszy cel to mieć co najmniej jedną mrówkę w kieszeni – świetnie to ukrywają.

– Hej – mówi Steve. – Załatwiłaś?

– Aha. – Nie wtajemniczałam go w szczegóły, powiedziałam tylko, że potrzebne mi dodatkowe informacje od jednego z wczorajszych świadków, a on nie pytał. – Powinnam coś wiedzieć?

– Sophie właśnie przesłała nam parę rzeczy. – Unosi kartkę.

– Tak, rozmawiałam z nią. – Wieszam płaszcz na oparciu krzesła. – Któryś z jej ludzi ma nam skombinować maile Aislinn. Dostałeś jej billingi?

– Tak. Przysłał je mój człowiek z Meteora. – Steve spogląda na sterty papierów i klepie tę po prawej. – Breslin ściągnął billingi Rory’ego; twierdzi, że nic się nie rzuca w oczy. W sobotę wieczorem nie było żadnych innych połączeń

oprócz telefonów do Aislinn, wczoraj rano zero połączenia z komisariatem w Stoneybatter, nie ma żadnych z Lucy Riordan. Próbuje teraz zdobyć teksty wiadomości i sprawdzić, czy coś tam będzie.

– Gaffney – mówię. – Wiadomo już coś o numerze, z którego przyszło zgłoszenie?

Gaffney podskakuje na krześle.

– No... tak, zrobiłem to. Ustaliłem numer. Ale jest niezarejestrowany.

– Nie rozumiem, po co Rory miałby mieć zapasową, niezarejestrowaną komórkę – mówi Steve. – Której w dodatku nie znaleziono w czasie przeszukania.

A większość gangsterów ma tyle niezarejestrowanych telefonów, że nie o wszystkich pamięta.

– Nigdy nie wiadomo – odpowiadam. – Ale masz rację, wygląda na to, że to chyba nie Rory dzwonił do komisariatu w Stoneybatter. Ściągniemy wszystkie rejestry połączeń tego numeru i zobaczymy, czy znajdziemy jakiś trop właściciela. Moran, możesz się tym zająć?

Steve notuje i kiwa głową. Gaffney wygląda na urażonego, ale trudno: jeżeli billing jest pełen połączeń z dilerami, to ja i Steve musimy o tym wiedzieć pierwsi.

– Meehan – zwracam się do kolejnej mrówki – mierzyłeś czas trasy, którą Fallon podobno poruszał się po Stoneybatter. Jak poszło?

– Według zeznania Fallona – mówi Meehan, odwracając się z krzesłem w naszą stronę – wysiadł z autobusu tuż przed wpół do ósmej, a do domu Aislinn zapukał tuż przed ósmą, co potwierdził świadek, który wyprowadzał psa. Czyli miał pół godziny na całą drogę, z autobusu do wylotu Viking Gardens, do Tesco po kwiaty i z powrotem do jej domu. Kiedy szedłem normalnym tempem, zajęło mi to dwadzieścia siedem minut. Gdy szedłem najszybciej, jak mogłem, ale nie biegłem, skróciłem czas o sześć minut.

– Czyli Rory mógł mieć w zapasie prawie dziesięć minut – podsumowuję.

– Więcej – wtrąca Steve. – Posłuchaj tego. Stanton wziął zapis monitoringu z trzydziestkidziewiątki A i obejrzał z samego rana. Rory wsiadł do autobusu za dziesięć siódma, nie tuż przed siódmą, jak nam powiedział, a wysiadł kwadrans po, a nie tuż przed wpół do. Mógł źle zapamiętać albo po prostu podał godzinę w przybliżeniu, ale...

– Ale obsesyjnie bał się spóźnić do Aislinn – mówię – żeby nie poczuła się dotknięta, nie rzuciła go i nie zrujnowała mu życia i tak dalej. Nie, to nie było przybliżenie ani kiepska pamięć. Brakuje od kilku do dwudziestu pięciu minut, z których Rory nie potrafi się wytłumaczyć i kręci, dlatego to przed nami ukrywa. – W nozdrzach znowu łaskocze mnie zapach krwi. Rory, bezradny jak wielkooki puchaty pluszak, aż się prosi, by zatopić w nim zęby; przyjemnie byłoby załomotać do jego drzwi, przywlec go tu i podsunąć mu pod nos ekran z nagraniem monitoringu. – I dobrze. Kiedy przywieziemy go z powrotem, lepiej, żeby umiał

szczegółowo wyjaśnić, co wtedy robił. Mamy już obraz z monitoringu w okolicy?

– Tak – odzywa się Kellegher, odchylając głowę od monitora. Jest wysoki, piegowaty, wyluzowany i na tyle pożyteczny, że prędzej czy później trafi do tego wydziału. – Zła wiadomość jest taka, że nie ma kamer między przystankiem trzydziestkidziewiątki A a Viking Gardens ani między Viking Gardens a Tesco, czyli nie da się zweryfikować trasy Fallona ani czasu. Ale mamy na taśmie, jak kupuje kwiaty w Tesco. Płacił za dziewięć ósma, co zgadza się z jego wersją.

– To akurat mnie nie dziwi – przyznaję. – Musiał wiedzieć, że kamera w Tesco go złapie; nie skłamałaby. Trzeba poszerzyć obszar Stoneybatter, z którego weźmiemy zapis monitoringu. Rory mógł zjechać z trasy, którą nam opisał, żeby zrobić to, co robił w tym brakującym czasie. Reilly, ty się tym zajmiesz.

Meehan sięga po książkę zadań, a Reilly zerka przez okno – zbiera się na deszcz – po czym wraca do monitora.

– Nie skończyłem jeszcze oglądać tego, co już mamy.

Był rok niżej niż ja w szkole policyjnej. Znacznie mniej z niego pożytku niż z Kelleghera, ale przypuszczam, że szybciej niż on trafi do wydziału, sądząc tylko po tym, jak cudownie by pasował do tej zgrai.

– Kellegher może to skończyć – zarządzam. – Jeżeli Fallon miał wolne dwadzieścia minut, mógł zjechać z trasy, jaką nam podał, o mniej więcej kilometr. Na początek skup się na obszarze w promieniu kilometra. Do zobaczenia.

Reilly zaczepnie wysuwa podbródek i patrzy na mnie spode łba, ale dźwiga się z krzesła i zaczyna rozplątywać płaszcz zwinięty na oparciu.

– Kellegher, nie mów, że nie masz żadnej dobrej wiadomości – zwracam się do jego towarzysza.

– Jakąś mam. Namierzyliśmy Fallona w czterech miejscach między Stoneybatter a Ranelagh w drodze do domu. Zazaczyłem je na mapie. – Kellegher wskazuje zawieszoną na tablicy nową mapę z naniesionymi znakami X i strzałkami oraz aureolą niewyraźnych zdjęć, opatrzonych datą i godziną. – Zgadzą się z jego wersją.

Przyglądam się fotografiom. Szczupły mężczyzna w czarnym płaszczu, przybity po fatalnym wieczorze, pochyła głowę, chroniąc twarz przed deszczem, ale to na pewno Rory. Na zdjęciu zrobionym najwcześniej, na bulwarze po północnej stronie, widać wystający mu spod pachy bukiet mocno sfatygowanych kwiatów; na drugim brzegu rzeki, gdy jest już w Temple Bar, bukietu nie ma.

– W którymś momencie widać jego dłonie? – pytam.

– Nie. Cały czas trzyma je w kieszeniach.

– Meehan – mówię. – Musisz zmierzyć czas drogi Fallona do domu. Chcę wiedzieć, czy mógł skręcić gdzieś w bok, żeby wyrzucić rękawiczki albo odwiedzić kumpla. Kellegher, według nagrań z monitoringu, w jakim tempie szedł Fallon?

– Powiedziałbym, że w żwawym – odpowiada, przyglądając się zdjęciu z Temple Bar, gdzie Rory został zepchnięty z chodnika przez rozwrzeszczaną gromadę uczestników wieczoru kawalerskiego, którzy machają sztucznymi biustami i puszkami piwa. – Nie biegł, ale widać, że chciał jak najszybciej być w domu. Tak, szedł żwawym krokiem.

– Słyszałeś? – zwracam się do Meehana. – Z Viking Gardens do księgarni Wayward, żwawym krokiem. Zanotuj też czas, kiedy będziesz w miejscach, gdzie monitoring złapał Rory’ego.

– Dzięki tej sprawie będę miał kondycję – zauważa Meehan, odsuwając krzesło.

– Jeżeli się pośpieszysz, zdążysz przed deszczem – mówię. – Dzięki. Kellegher. Ile nagrania zostało ci jeszcze do obejrzenia?

– Niewiele.

– Kiedy skończysz, idź pogadać z ludźmi, którzy byli wtedy na promocji książki, kiedy Rory poznał Aislinn. Dowiedz się, jak to wyglądało: kto za kim się uganiał, czy którekolwiek z nich mówiło o tym drugim coś ciekawego. Wyciągnij z nich wszystko, co się da. Dobra?

Meehan w drodze do wyjścia notuje to jeszcze w książce zadań. Kellegher pokazuje mi uniesiony kciuk i przewija zapis z kamer – ciemne sylwetki obracają się i podskakują na ulicy jak nakręcane zabawki. Odwracam się do naszego biurka i zaglądam Steve’owi przez ramię.

– To billingi telefonu Aislinn – informuje mnie, stukając palcem w stertę papierów. – A to rzeczy przysłane przez Sophie, które były w telefonie. Chcę to porównać, sprawdzić, czy ktoś czegoś nie usunął.

– Czytasz mi w myślach. Właśnie chciałam ci o tym powiedzieć. – Zniżam głos. – Musimy pogadać. Nie tutaj. – To zupełnie popieprzone: muszę wychodzić z własnego pokoju operacyjnego, żeby zamienić dwa słowa z partnerem, ale nie wiadomo, która z mrówek to człowiek Breslina.

Steve kiwa głową.

– I tak trzeba przeszukać dom Aislinn.

– Może być. Chodźmy.

Steve wrzuca do kosza opakowania po kitkatakach, bo jest dobrze wychowany.

– Kiedy będziemy w Stoneybatter, oprowadzisz mnie po pubach w okolicy?

– Po co? – pytam.

– Może kiedyś gdzieś wstąpili na piwo.

Mrówki wyglądają na zupełnie pochłonięte pracą, mimo to dalej mówię przyciszonym głosem. To już odruch.

– Kto? Aislinn i jej tajemniczy chłopak? Myślisz, że facet, który ma romans na boku, będzie się obściskował z dziewczyną w pubie w jej dzielnicy?

– Według Lucy, spotykali się od mniej więcej pół roku. Nie można przez

sześć miesięcy siedzieć w domu i bzykać się. – Steve grzebie w papierach na biurku, znajduje zdjęcie Aislinn i wsuwa do kieszeni. – Niedługo otworzą puby. Co ci szkodzi?

Nie ruszam się z miejsca.

– Nawet jeżeli ten facet istnieje, nie poszliby do żadnej knajpy w mojej okolicy. Lucy mówiła, że Aislinn uwielbiała ekskluzywne kluby. Pub w Stoneybatter raczej nie pasowałby do jej stylu, delikatnie mówiąc.

– Czyli było mniejsze prawdopodobieństwo, że ktoś ich zobaczy. A jeżeli facet jest żonaty, to bzykali się u Aislinn. Gdyby nie mogli już wysiedzieć w czterech ścianach i postanowili wyskoczyć na piwko, pewnie wylądowaliby gdzieś niedaleko. – Steve narzuca płaszcz i zerka w okno. – Świeże powietrze dobrze nam zrobi.

– W Stoneybatter nie ma świeżego powietrza. Jesteśmy za bardzo cool na takie wsiurskie klimaty. I myślisz, że barman będzie pamiętał jakąś laskę, która wygląda dokładnie jak połowa dwudziestoparolatek w Dublinie?

– Ty ją zapamiętałaś. Poza tym barmani mają pamięć do twarzy. – Steve zdejmuję mój płaszcz z oparcia krzesła i podaje mi jak służący. – Nie bądź taka.

– Dawaj mi to. – Wyrwam mu z rąk płaszcz i go wkładam. – I uporządkuj to. – Brodą wskazuję wydruki, posyłając mu ostrzegawcze spojrzenie. Zaczyna układać papiery w równy plik.

Zerka na nas Gaffney.

– Gaffney, zapowiedz wszystkim – polecam mu. – Odprawa o wpół do szóstej. I poszukaj Breslina. Miałeś chodzić za nim jak cień, pamiętasz? Co ty tu w ogóle robisz?

– Ale powiedział mi... – Gaffney drętwieje z przerażenia; biedak widzi już, jak jego kariera wali się z hukiem i rozpryskuje na całej podłodze. – Chodziłem za detektywem Breslinem jak cień wczoraj przez cały wieczór i dzisiaj rano. Robiłem dla niego notatki, a on mi tłumaczył, jak pracujecie i w ogóle... Dopiero jak wychodził, powiedział, że świetnie sobie poradzę sam i pewnie będę wam bardziej potrzebny niż jemu, więc... to znaczy...

Breslin miał oczywiście rację: nie trzeba trzymać za rączkę Gaffneya, który potrafi sprawdzić dokumenty finansowe i dzwonić do różnych osób, inaczej nie zostałby przecież mrówką. Potrafi też jednak robić notatki podczas przesłuchań, a Breslin nie jest typem, który z własnej woli zrezygnuje z posłusznego sekretarza, chyba że chce mieć wolną rękę i urobić świadków, tak by nikt tego nie widział.

Z Gaffneya uszła cała para i chłopak patrzy na mnie żałośnie. Nie ma sensu wysyłać go do Breslina; tamten i tak znajdzie jakiś pretekst, żeby się wyślizgnąć, albo po prostu nie będzie odbierał telefonu.

– Spoko sobie radzisz – mówię. – Nie przejmuj się. Na pewno nie będziesz narzekał na brak pracy.

Gaffney zaczyna szukać w głowie wyrazów wdzięczności, ale jestem już w drodze do wyjścia. Za sobą słyszę szcęk kluczyka w zamku szuflady w biurku Steve'a, tylko nie wiem, czy to w ogóle ma jakieś znaczenie.

Ja i Steve ruszamy w stronę służbowego parkingu po naszego badziewnego kadetta. Sieć uliczek za Zamkiem Dublińskim tętni życiem: udręczeni kacem studenci ciągną w kierunku Trinity College, typki o wyglądzie biznesmenów rozmawiają za głośno przez za duże telefony, żebyśmy wszyscy padli z wrażenia, słuchając o transakcjach na rynku bułgarskich nieruchomości, apetyczne mamusie idą szaleć na zakupach, dresiarze ruszają na poszukiwania łatwego łupu. Dobrze jest wyjść na ulicę, gdzie żadne z napotkanych niebezpieczeństw nie grozi nam osobiście, bo tego nie cierpię.

– Czyli Breslin nie życzy sobie dzisiaj towarzystwa – mówię, gdy oddalamy się od biura na bezpieczną odległość, zanurzając się w ludzki strumień. – Chce być sam podczas przesłuchań.

– Podczas przesłuchań – prostuje się Steve, robiąc unik przed dwojgiem ludzi, którzy po rosyjsku dają wyraz złożonym problemom w swoim związku. – Albo podczas czegoś innego. Krótco przed twoim przyjściem zadzwoniła jego komórka. Popatrzył na ekran, zrobił taką minę... – Steve zaciska szczęki i rozszerza nozdrza: Breslin usiłujący nie dać po sobie poznać, że jest wkurzony. – Wyszedł z telefonem na korytarz. Ale zanim zamknął drzwi, powiedział jeszcze „Nie dzwoń pod ten numer”.

Steve ma rację: być może nie chodzi o przesłuchania. Może Breslin ma do zrobienia coś innego albo po drodze musi się z kimś spotkać; ma do załatwienia sprawę, przy której nie potrzebuje obecności Gaffneya. Skacze mi adrenalina.

– Chcesz wiedzieć, co robił wczoraj wieczorem? – pytam. – Przymilał się do Sophie o raporty z zabezpieczania śladów na miejscu i elektronikę Aislinn.

Steve unosi brwi.

– Być może to nic nie znaczy – dodaję. – Rozmawiałam z nim: twierdzi, że się nudził, szukał czegoś do roboty. Jasne, że zależy mu na czymś, co zrobi z niego wielkiego bohatera. Ale...

– Ale chciał to od niej dostać.

– Aha. Tak bardzo, żeby próbować to wydebić za naszymi plecami, chociaż musiał przypuszczać, że się dowiemy.

– Wyciągnął coś od Sophie?

– Nie. Zresztą niewiele by mógł wyciągnąć. Na materacu Aislinn są plamy, ale nawet gdybyśmy dostali wyniki DNA i okazałoby się, że to nie jej, nie dałoby się ustalić, ile mają lat. Na pewno nie pochodzą z sobotniego wieczoru, bo wtedy byłyby też na pościeli, a prześcieradło jest czyste. – Adrenalina każe mi gnać w takim tempie, że typki z wielkimi telefonami schodzą mi z drogi. – Ciekawe natomiast jest to, że miejsca, które Sophie miała sprawdzić na twoją prośbę, rama łóżka, sedes, są za czyste. Nie ma odcisków palców, są tylko smugi. Sophie

twierdzi, że sprawca mógł wytrzeć mieszkanie na błysk...

– Aha, gol! – Steve triumfalnym gestem zaciska dłoń w pięść. – Nie ma powodu, żeby Rory wycierał ramę łóżka, skoro pierwszy raz był w tym domu...

– Tak, tak, jesteś geniuszem. Albo Aislinn miała fioła na punkcie sprzątanía. Sophie nie wyklucza żadnej z tych możliwości.

Mimo to Steve wygląda na zadowolonego z siebie.

– Coś jeszcze?

– Twoim zdaniem, to oznacza, że Aislinn naprawdę miała drugiego chłopaka?

– Tak.

– Na razie nic o tym nie świadczy. Nie ma śladu na Facebooku ani w jej telefonie, ani w skrzynce mailowej. – Jakiś ćpun przyparł do muru dwoje nieco zagubionych ludzi z plecakami i nagabuje ich o kasę; pstrykam mu palcami pod nosem i pokazuję ulicę w przeciwnym kierunku, nie przerywając marszu i nie szukając legitymacji, a on obrzuca nas spojrzeniem i posłusznie oddala się w podskokach. – Jeżeli ten drugi w ogóle istnieje, musieliby się umawiać telepatycznie.

– A może Aislinn usunęła wszystkie wiadomości – sugeruje Steve. – Albo on. Dopiero zacząłem porównywać rejestry połączeń i ciągle czekam na maile.

– W laptopie były za to dwie ciekawe rzeczy – ciągnę. – Nie nakręcaj się za bardzo, ale Aislinn czytała o procesach dwóch gangsterów. Franciego Hannona i tego gościa z językiem.

Steve gwałtownie obraca się twarzą w moją stronę.

– To byli ludzie Bili Lanigana. Obaj. – Czuję, że porywa go ten sam prąd, który każe mi pędzić chodnikiem, czuję, jak ta sama myśl coraz mocniej pulsuje nam w głowach. – I obie sprawy prowadził Breslin. Jeżeli, dajmy na to, Lanigan go kupił i jeżeli Aislinn spotykała się z kimś z gangu i coś poszło nie tak, to pierwszą rzeczą, jaką zrobiłby Lanigan...

– Mówiłam, żebyś za bardzo się nie nakręcał. Próbuję wybadać grunt. Jeżeli Aislinn spotykała się z kimś od Lanigana, niedługo się dowiem. – Steve wygląda na trochę urażonego, że nie odkrywam przed nim wszystkich kart, ale musi się z tym pogodzić. – Druga ciekawa rzecz w laptopie: Aislinn miała chroniony hasłem folder ze zdjęciami, utworzony we wrześniu. Nazwała go „Hipoteka”... – Steve parska głośnym śmiechem, ja też nie mogę powstrzymać uśmiechu. – Tak, na pewno ściema. Sophie i jej ekipa cały czas próbują złamać hasło. Da nam znać, jeśli im się uda.

– Powiedziała o tym Breslinowi?

– Nie. Ja też nie. I nie zamierzam.

– Czyli od września Aislinn niepokoiła się, że ktoś może jej zajrzeć do laptopa – mówi Steve. – Nie Rory. Poznała go w grudniu i nigdy wcześniej nie był

w jej domu.

– Może. Albo folder jest pełen nagich selfie i Aislinn nie obawiała się nikogo konkretnego, po prostu nie chciała, żeby jakiś ćpun ukradł jej laptopa i wrzucił do sieci jej fotki na golasa.

– Nagie selfie dla kogo?

– Dla zabawy, dla dodatkowych paru groszy, pamiątka od któregoś z byłych chłopaków, może pamiątka na przyszłość, gdy będzie stara i pomarszczona i będzie chciała sobie przypomnieć, jaka z niej kiedyś była laska. Skąd mam wiedzieć?

– Albo to jej zdjęcia z tym tajemniczym chłopakiem – sugeruje Steve. – I naprawdę nie chciała, żeby ktokolwiek, łącznie z nim, wiedział, że je ma. Przynajmniej na razie.

Pomyślałam o tym samym.

– Szantaż.

– Albo ubezpieczenie. Jeżeli była z gangsterem, może miała przynajmniej na tyle rozsądku, by wiedzieć, że to się może skończyć niebezpiecznie dla niej.

– „Jeżeli” – zaznaczam. – Od tej chwili za każdym razem, gdy powiesz „jeżeli” w związku z tą sprawą, wisisz mi euro. W weekend będę bogata.

– Myślałem, że lubisz wyzwania. – Steve się uśmiecha. – Przyznaj się: liczysz na to, że mam rację.

– Liczę. To by była miła odmiana.

– Ale liczysz.

Zwolniliśmy za parą zagadanych staruszków.

– Chciałabym tylko, żeby to się udało.

Dotąd starałam się nie wypowiadać tego głośno, bo nie chcę zapeszyć. Jak tępy dzieciak; jak zrzęda, która wierzy, że cały wszechświat uwziął się na nią i tylko szuka pretekstu, żeby wszystko spieprzyć. Nigdy taka nie byłam. To zupełnie nowe, głupie; towarzyszy mi, odkąd wydział mnie tresuje, żebym wszędzie spodziewała się pułapek – w zeszłym tygodniu, wychodząc do toalety, zostawiłam kawę w biurze, a po powrocie już unosiłam kubek do ust, ale w ostatniej chwili dostrzegłam pływającą po powierzchni plwocinę – nie ma mowy, żebym to wygadała Steve’owi. Cholernie mi się nie podoba, kiedy ktoś próbuje mnie na kogoś wytresować; nie podoba mi się to ani trochę. Maszeruję dalej i liczę facetów w czarnych płaszczach.

– Ale co? – odzywa się Steve.

– Nic. Nie chcę się za bardzo przywiązywać do tej wersji, dopóki nie będziemy mieli prawdziwego dowodu, i tyle.

Zaczyna coś mówić, lecz ja już skończyłam temat.

– Druga rzecz – mówię, omijając staruszków i znowu przyspieszając kroku.

– Pamiętasz, powiedziałam ci, że rozmawiałam z Breslinem o jego telefonie do Sophie?

– Jezu. Będzie żył?

– Och, tak. Puder zamaskuje wszystkie sińce.

– Byłaś dla niego miła, co? Powiedz, że byłaś miła.

– Spoko – odpowiadam. – Wszystko gra. Właśnie to jest ciekawa rzecz. Nie byłam dla niego miła, celowo ciosałam mu kołki na łbie, ale on cały czas był dla mnie miły.

– Czyli możliwe, że wczoraj wieczorem nie wciskał nam kitu. – Steve zastanawia się, czy to prawdopodobne; robi to w najlepszej intencji. – Może rzeczywiście myśli, że sobie poradzimy.

– Tak uważasz? Nazwałam go bezczelnym gnojkiem, który uważa się za nie wiadomo kogo. Powiedziałam mu, że w moim śledztwie musi robić to, co mu każe. – Steve prychnął pełnym grozy śmiechem. – Wiem, ale chciałam się przekonać, co zrobi. Spodziewałam się, że mi urwie głowę. Wiesz, co zrobił? Westchnął i powiedział: dobra, świetnie, odtąd będzie się ze mną konsultował.

Steve przestaje się śmiać.

– Czy, twoim zdaniem, to do niego podobne? – pytam.

Po chwili odpowiada:

– Moim zdaniem, wynika z tego, że zależy mu, żebyśmy nie przestali się do niego odzywać – odpowiada po chwili. – Bardzo mu zależy.

– Właśnie. Po to, żeby patrzeć nam na ręce, a nie dlatego, że wierzy, że zaczniemy koncertowo grać w jednej drużynie, czy jak on to nazwał. Kiedy go znalazłam, gadał z McCannem i na mój widok zaraz się zamknęli. Breslin chrząknął coś o kłopotach małżeńskich McCanna, ale jestem prawie pewna, że rozmawiali o tym, jak najszybciej można się mnie pozbyć.

Steve posyła mi spojrzenie, którego nie umiem odczytać.

– Tak myślisz? O czym mówili?

Wzruszam jednym ramieniem.

– Gównu mnie to obchodziło, więc nie zapamiętałam. McCann był niezadowolony, Breslin go pocieszał, że szybko załatwi coś z jakąś kobietą i sytuacja wróci do normy, McCann chciał, żeby się z tym pospieszył. Z grubsza o to chodziło.

– I jesteś przekonana, że nie mogli mieć na myśli żony McCanna?

– Mogli. Ale nie mieli.

Podchodzi do nas palant w kurtce z jakimś logo i z kartką na podkładce w ręce, otwiera usta, przygląda się nam trochę uważniej i robi w tył zwrot. Odzyskuję moc. Dwa dni temu pewnie ruszyłby za mną ulicą, nagabywał o datek na rzecz walki z łuszczycą w krajach Trzeciego Świata i kazał mi się uśmiechnąć.

– No dobrze – mówi Steve. – Zastanawialiśmy się, czy Breslin może być skorumpowany... – Chociaż jesteśmy tak daleko od biura, oboje odruchowo oglądamy się przez ramię. – A jeżeli to McCann?

Wcześniej nawet o tym nie pomyślałam. Przez chwilę czuję się jak idiotka, której paranoja przesłoniła widok na rzeczywistość, ale wrażenie ulatuje ze wzbierającą falą podniecenia: znowu wyrasta przede mną to groźne wyzwanie i kusi coraz bardziej.

– Niewykluczone. – Przebiegam myślą to, co wiem o McCannie. Jest z Droghedy. Żona i czworo nastoletnich dzieci. W odróżnieniu od Breslina nie pochodzi z bogatej rodziny. Pamiętam, jak kiedyś rzucił cierpką uwagę, że przestępczość można by zredukować do zera, gdyby wszystkie te rozpieszczone bachory ze smartfonami wysłać na naukę zawodu w wieku czternastu lat, tak jak zrobił jego ojciec. Nie może sięgnąć do Banku Mamusi i Tatusia, gdyby siadł mu samochód; na domu dach jest do wymiany, trzeba zapłacić chesne za college dzieci, a pensja detektywa nie wystarcza. Szefowi gangu szukającemu pieska w policji McCann bardzo by się spodobał. – Albo obaj.

– Nic dziwnego, że Breslin położył uszy po sobie i znosił wszystkie twoje szpile – dodaje Steve. – Boi się, żebyśmy nie powiedzieli staremu, że go nie chcemy.

– Jeżeli to w ogóle prawda – zaznaczam.

– Jeżeli. Jak się rozstałaś z Breslinem?

– Przeprosiłam. Powiedziałam, że za bardzo przytłacza mnie jego wielka osobowość, że bym mogła logicznie myśleć. Spodobało mu się.

– Sądzisz, że ci uwierzył?

Wzruszam ramionami.

– Naprawdę nic mnie to nie obchodzi. Jeżeli nie uwierzył, to uważa mnie tylko za wredną choleryczkę, zresztą wcześniej myślał tak samo. Szukał pretekstu, żebyśmy znowu byli kumplami, więc mu go dałam. Między nami wszystko gra.

Dotarliśmy już do parkingu. Podczas tego krótkiego spaceru naliczyłam jedenastu wysokich facetów w ciemnych płaszczach. Na widok każdego z nich coraz bardziej czułam się jak idiotka z urojeniami, ale nawet cała ich armia nie potrafi wyciszyć dzwonka ostrzegawczego, który włącza się w mojej głowie, kiedy myślę o tym gościu stojącym na końcu mojej ulicy.

– Co zrobimy? – pyta w bramie Steve.

Na początek musielibyśmy przeświecić finanse Breslina i McCanna, sprawdzić ich billingi i polecić komuś przekopać ich komputery, żeby się dowiedzieć, czy nie zaglądali gdzieś, gdzie nie powinni. Nic z tego się jednak nie zdarzy.

– Dalej pracujemy nad sprawą. Dalej z nimi rozmawiamy. I nie puszczamy pary z ust. – Macham do gościa zawiadującego parkingiem; w odpowiedzi macha do mnie i odwraca się, żeby poszukać kluczyków do kadetta. – A ja się przekonam, czy uda mi się zmusić Breslina do połknięcia robaka.

* * *

Dom Aislinn został ostro przetrzepany. Kiedy ktoś po naszej wizycie wraca do siebie, staramy się nie zostawiać ruiny – ścieramy proszek daktyloskopijny, książki ustawiamy na regałach – chyba że chcemy sprawić komuś zimny prysznic; gdy jednak wiemy, że lokator nie wróci do domu, dajemy sobie spokój z wrażliwością. Ekipa Sophie połowę domu pokryła czarnym proszkiem, a drugą połowę białym, wycięła prostokąt wykładziny w miejscu, gdzie leżały zwłoki, odpiłowała spory kawał obramowania kominka, rozbebeszyła łóżko i wycięła głębokie dziury w materacu. W rodzinnym domu, w którym panuje przytulny, swojski rozgardiasz, takie pobojuwisko wygląda koszmarnie, wbrew naturze, ale lokum Aislinn w ogóle nie wyglądało jak dom normalnego człowieka, a teraz przypomina obiekt szkoleniowy techników kryminalistyki.

Steve wybiera salon i łazienkę, ja przeszukuję kuchnię i sypialnię. Jest cicho. Steve pogwizduje pod nosem, od czasu do czasu jakiś dźwięk sączy się z ulicy – głosy plotkujących staruszek, których gromadka przechodzi pod oknem, wrzask dzieciaka – ale od sąsiadów nie dobiega żadne skrzypnięcie ani stukot; stare mury są grube. Jeśli nie rozpętała się tutaj dzika awantura i nikt się nie wydzierał, sąsiedzi niczego by nie usłyszeli. Chłopak, z którym potajemnie się spotykała, musiał o tym wiedzieć, jeżeli był u niej wcześniej.

Przeszukanie nie przynosi żadnych istotnych rezultatów. Typowe schowki – paczka groszku w zamrażarce, opróżniony pojemnik w stojaku z przyprawami, pod materacem, w butach – są puste. W rzeźbionej w esy-floresy toalecie nie ma żadnych liścików miłosnych, w komodzie żadnej zapasowej pary bokserów na rano następnego dnia. W szafie nie ma koperty z gotówką ani gotowej do odbioru paczki z meksykańską herą; jedyna rzecz, jaką udaje mi się znaleźć, to kilka albumów z rodzinnymi zdjęciami, upchniętych daleko w głąb górnej półki, za zapasową kołdrą. Przeglądam fotografie w poszukiwaniu wskazówki, gdzie mogłam wcześniej widzieć Aislinn, ale nic. Nie była ładnym dzieckiem: przysadzista, z włosami splecionymi w mysie ogonki, przyszczatym czołem i niepewnym uśmiechem. Ktoś, kto poświęcił tyle godzin na siłowni, tyle zainwestował w selery i specyfiki do włosów, żeby wyglądać jak Aislinn, miałby niejeden powód, żeby schować te albumy. Nigdzie w domu nie ma żadnych rodzinnych zdjęć; ściany zdobią tylko reprodukcje na płótnie z obrzydliwymi kwiatami i kurczaki w kratkę, ale rodzina tkwi w głębi szafy. Byłaby to gratka dla psychoanalityka – Aislinn chciała pogrzebać rodziców z zemsty za to, że ją porzucili, albo musiała pogrzebać prawdziwą siebie, żeby się zmienić w Barbie w wersji Wymarzona Randka – mnie jednak interesuje tylko to, że nikt inny na zdjęciach nie wygląda znajomo. Dom Aislinn nie da mi żadnej wskazówki, gdzie ją widziałam.

Dziwne jest to, że nie znajduję też nic, co nie ma związku ze śledztwem.

W czasie rewizji zawsze trafiają się niespodzianki, bo każdy ma parę rzeczy do ukrycia nawet przed najbliższymi; jedyne pytanie, czy mają coś wspólnego ze sprawą. Tu jednak nie ma nic, o czym nie wiedzielibyśmy od Lucy, a ponieważ nie znalazłam dowodów na istnienie tajemniczego chłopaka, jest wręcz mniej, niż powiedziała nam Lucy. Zero podejrzanych tabletek na odchudzanie zamówionych przez internet, zero wyrafinowanych zabawek erotycznych, nie ma nawet egzemplarza *Sekretnego poradnika*. Największe odkrycie jest takie, że Aislinn nosiła czasem usztywniane biustonosze.

– W papierach ma zupełny bajzel – informuje mnie Steve, stając w drzwiach sypialni. – Wszystko wrzucone na kupę do wielkiego pudła pod stolikiem: wyciągi z banku, rachunki, paragony.

Wpycham albumy z powrotem na półkę w szafie.

– Finanse robi Gaffney. Dowiemy się o nich od niego. Ale mimo wszystko weź to pudło. Trzeba będzie sprawdzić paragony, na wypadek gdyby facet, który przywiózł jej kanapę, dostał jakiejś manii. Masz coś ciekawego?

– Testament. Samoróbka, na formularzu ściągniętym z sieci. Połowę wszystkiego zapisała Lucy, drugą połowę na pomoc rodzicom niepełnosprawnym lub chorych dzieci. Nie wiadomo, czy będzie można poświadczyć autentyczność.

– Na szczęście dla niej Lucy ma alibi.

– Aha – przytakuje Steve. – Testament ma datę sprzed dwóch miesięcy.

– Czyli być może Aislinn zaczynała się bać, że wpadła po uszy w coś podejrzanego, albo po prostu uznała, że pora dorosnąć i zadbać o testament. Coś jeszcze?

– Miała wniosek o pierwszy paszport, już wypełniony. Ze zdjęciem i tak dalej. Gotowy do złożenia.

– Czyli chciała wyjechać na wakacje do ciepłych krajów. Jak wszyscy.

– Albo wiedziała, że być może będzie musiała niedługo opuścić kraj.

– Może. – Z trzaskiem zamykam drzwi szafy. – To wszystko? Nie ma terminarza z agencji towarzyskiej? Ani rulonu gotówki schowanej w kanapie? Męskiego dezodorantu w szafce w łazience?

Kręci głową.

– A u ciebie?

– Gównno.

Patrzemy na siebie, stojąc na dywanie w stokrotki, po dwóch stronach pociętego łóżka.

– To może w pubach czegoś się dowiemy – proponuje po chwili Steve.

Wynosimy pudło papierów, żeby wrzucić je do bagażnika, a potem przeprowadzić sondę w pubach – ale niewiele więcej wiemy. Ja i Steve szukamy naprawdę dokładnie, mam jednak wrażenie, że Aislinn przemyciła nam coś tuż pod nosem i choćbym nie wiem ile razy się nad tym zastanawiała, nie umiem odgadnąć,

co to mogło być.

* * *

Nie doceniałam barmanów i Aislinn, a być może przeceniałam jej kochasia. W pierwszych pubach, które odwiedzamy, kiedy Steve pokazuje zdjęcie, odpowiadają mu obojętne spojrzenia i kręcenie głową, a ja trzymam w pogotowiu notes, by zapisywać nieistniejące informacje, i unoszę brwi z miną „A nie mówiłam?”. Ale barman w Ganly’s – knajpce ukrytej w bocznej uliczce, na tyle zaplutej, że udało się jej obronić przed hipsterami poszukującymi autentycznych klimatów i utrzymać klientelę złożoną ze starszusków w smętnie powyciąganych marynarkach – patrzy na fotografię i stuka palcem w twarz Aislinn.

– Aha. Była.

– Jest pan pewien, że to ona? – pyta Steve, patrząc na mnie triumfalnie.

Barman ma około siedemdziesiątki, łysinę i bystre spojrzenie; rękawy wykrochmalonej koszuli podtrzymują błyszczące opaski.

– Tak. Zamówiła likier brzoskwiniowy z żurawiną. Mówiła, że próbuje wszystkich zwariowanych drinków, jakie przyjdą jej do głowy, żeby zobaczyć, co jej najbardziej smakuje. Powiedziałem jej, że jak szuka wrażeń, to źle trafiła. W końcu zdecydowała się na rum z ginger ale. – Przybliżyła zdjęcie do marnego światła. – Aha, to ona, na bank. Dobrze się jej przyjrzałem. Jak tylko mam okazję, muszę ryzykować; nieczęsto przychodzą do nas takie sztuki.

– Za brzydki jestem dla ciebie, co? – odzywa się siedzący na stołku starszerek. – Możesz sobie wygłądać, jak chcesz; u mnie masz gratis.

– Sam zobacz, jak wyglądasz. Właśnie dlatego gapiłem się na tę młodą: potrzebuję czegoś świeżego, żeby oczyścić głowę z twojego widoku.

– Kiedy tu była? – pyta Steve.

Barman zastanawia się przez chwilę.

– Parę miesięcy temu. Może w sierpniu.

– Sama?

– O nie. Takie jak ona chyba nigdzie nie chodzą same. – Dziadek na stołku chichocze z uznaniem. – Był z nią jakiś facet – wyjaśnia barman.

Steve znowu zerka na mnie ze zwycięskim „Ha!” w oczach.

– Pamięta pan, jak wyglądał?

– Nie skupiałem się na nim, jeżeli rozumiecie, co mam na myśli. Pamiętam tylko, że był od niej starszy; czterdzieści parę, może pięćdziesiąt lat. Nic szczególnego, ani gruby, ani chudy. Może taki trochę wyższy. No i trzeba mu przyznać, że miał wszystkie włosy na głowie.

Co dość dobrze pasuje do rysopisu mężczyzny, który przełaził przez mur za domem Aislinn. Wbrew woli przychodzi mi na myśl: pasuje też do tego faceta, który kręcił się rano na końcu mojej ulicy.

– Poznałby go pan, gdyby go pan zobaczył? – dopytuje się Steve.
Barman wzrusza ramionami.
– Może tak, może nie. Niczego wam nie obiecuję.
– Pana zdaniem, to był jej chłopak? – pytam. – Trzymali się za ręce, całowali się? Czy raczej wyglądał na znajomego, wujka, kogoś takiego?
Barman krzywi się i z wahaniem kręci głową.
– Mogło być tak albo tak. Nie było migdalenia, nic z tych rzeczy, ale pamiętam, jak pomyślałem sobie, że jeżeli nie są parą, to siedzą strasznie blisko siebie. I że mogła wybrać lepiej.
– Na przykład ciebie, co? – odzywa się staruszek przy barze.
– A co ze mną nie tak? Zachowałem świetną figurę.
– Może był milionerem? – sugeruje Steve. – Wyglądał na nadzianego?
– Nie zauważyłem. Powiedziałem, nic szczególnego.
– A co by robił milioner w takim burdelu? – szydzi staruszek.
– Szukał porządnego piwa – odpowiada z godnością barman.
– Jakby znalazł, toby wrócił.
– A wrócił? – pyta Steve.
– Nie. Tych dwoje widziałem u nas tylko raz.
– A mnie? – odzywam się. – Byłam tu wcześniej?
Barman przygląda mi się spod przymrużonych powiek i wyszczerza zęby.
– A tak, była pani. Latem półtora roku temu, zgadza się? Z gromadą dziewczyn i facetów, siedzieliście w tamtym rogu i świetnie się bawiliście?
– Punkt dla pana – przyznaję. Rzucam się w oczy znacznie bardziej niż Aislinn, ale od mojej wizyty w pubie minęło więcej czasu. Barman nie wciska nam kitu, żebyśmy byli zadowoleni; naprawdę ją pamięta.
– Co wygrałem?
– Niech pan przeczyta, a jeżeli wszystko się zgadza, proszę podpisać – odpowiadam, podając mu notes. – Jeśli będzie miał pan szczęście, wygra pan okazję, żeby przyjść do nas na komisariat i powtórzyć to do mikrofonu.
Staruszek przy barze wyciąga szyję, żeby spojrzeć na zdjęcie Aislinn.
– Ma dziewczyna kłopoty, co? – pyta. – Szukacie jej, bo coś komuś zrobiła?
– Daj spokój, Freddy. – Barman nie odrywa wzroku od mojego notesu. – Mnie to nie interesuje. – Składa podpis ze staranną kreską na końcu, oddaje mi notes i bierze ściereczkę do szkła. – Coś jeszcze?

* * *

Na ulicy Steve chowa zdjęcie Aislinn z powrotem do kieszeni. Powtarza w myślach: „A nie mówiłem?” tak głośno, że nie musi nawet otwierać ust.

– No i co? – pyta tylko.

– No i już – mówię. Myśl o pokoju operacyjnym zostawionym samemu

sobie, a raczej Breslinowi, wywołuje we mnie podenerwowanie. – To wszystkie puby w okolicy. Możemy wracać do biura?

– Jasne, nie ma sprawy.

Idziemy zrytym wybojami zaułkiem w stronę głównej ulicy. W końcu zaczyna padać, deszcz pluje grubymi kroplami przechodzącymi w płaty śniegu – mam nadzieję, że Meehan szedł na tyle żwawo, by zdążyć. Na rogu czai się potencjalne źródło drobnych problemów – grupa dzieciaków, które nie mogą wrócić do domu, bo są na wagarach – ale oprócz nich ulica jest pusta. Z żaluzji na oknie zamkniętego sklepu spogląda na nas zrobione markerami graffiti przedstawiające stwora o wylupiastych oczach, który wyszczerza zęby obok ogłoszenia o zaginionym kocie i wyblakłych resztek plakatu z jakiejś letniej imprezy, z roztańczonymi latawcami i uśmiechającymi się głupkowato lodami.

Steve’owi kończy się zapas opanowania.

– Tajemniczy chłopak wygląda całkiem niezłe.

Wygląda.

– Chyba że to jakiś facet z pracy Aislinn...

– Pracowała w Clondalkin. Po co mieli jechać na piwo do Stoneybatter, jeżeli nie kręciło ich własne towarzystwo i nie chcieli, żeby ktoś ich zobaczył?

– ...albo kolega z kursu degustacji wina czy innych zajęć, na które chodziła w sierpniu. – Samochód jest zaparkowany kilka pubów stąd. Przyspieszam kroku. – W tych superklubach, które tak jej się podobały, było pełno przystojnych, bogatych i młodych facetów. Mogłaby mieć każdego z nich. Dlaczego kręcił ją jakiś raczej nieszczęśliwy gość w średnim wieku?

Steve wzrusza ramionami.

– Niektóre kobiety wolą starszych facetów.

– Rory jest mniej więcej w jej wieku.

– Może wcześniej miała kompleks tatusia. Przypomnij sobie, co mówiła Lucy: że odejście ojca spaprało Aislinn życie. Może szukała kogoś z ojcowskim autorytetem. Kiedy nie wyszło tak, jak miała nadzieję, przerzuciła się na rówieśników...

– Jezu!!! – Omal nie zderzam się z latarnią; w ostatniej chwili osłaniam się ręką. – To stąd ją znam. Kurwa mać, tam ją widziałam!

– Co? Gdzie?

– Jezu Chryste... – Dłoń mi pulsuje: lśniaca farba na słupie latarni jest lepka w dotyku. Słyszę, jak gdzieś za nami dzieciaki na rogu śmieją się ze mnie. – To ona.

Wydział osób zaginionych, dwa i pół roku temu. Pewnego słonecznego południa, niedługo przed moim odejściem z wydziału, siedziałam w recepcji; wpadający przez otwarte okno lekki wiaterek pachniał jak wiejskie powietrze, jak gdyby lato zrzuciło wszystkie miejskie powłoki, żeby wpaść w najczystszej

i najświeższej postaci. Słuchałam skoczego popu z lat dziewięćdziesiątych, który dobiegał z czyjegoś otwartego szyberdachu, jadłam kanapkę z indykiem, myślałam o happy endzie tamtego poranka – dziesięciolatek, który zniknął po kłótni z rodzicami, odnalazł się w pokoju u swojego najlepszego kolegi, gdzie spokojnie grał na nintendo – i o wydziale zabójstw, dokąd przenosiłam się za dwa tygodnie. Tamtego dnia miałam wrażenie, że ja i świat stoimy po tej samej stronie; to było miłe uczucie.

Kiedy dziewczyna w szmatławym kostiumie pojawiła się w drzwiach, odłożyłam kanapkę i powitałam ją stosownym uśmiechem oraz pytaniem, czym mogę służyć, nie nachalnym, ale ciepłym i życzliwym. Podziałało: wywaliła na moje biurko wszystko, co jej leżało na sercu.

Opowiedziała o swoim tacie, cudownym, uroczym i wspaniałym człowieku, który uczył ją grać w szachy, zabierał swoją taksówką nad wodospad Powerscourt i potrafił ją tak rozbawić, że dostawała czkawki. O dniu, w którym zeszła na dół w szkolnym mundurku, a rozgorączkowana matka po raz setny dzwoniła na komórkę ojca, „Nie wrócił na noc do domu nigdzie nie umiem go znaleźć och Jezus Maria Józefie wiem że na pewno nie żyje...”. O detektywach, którzy przyjęli zeznania i pocieszali, że większość zaginionych wraca do domu po kilku dniach, potrzebują po prostu trochę czasu dla siebie. Kilka dni zmieniło się w tygodnie i nadal nie było śladu Supertatusia, wizyty detektywów stawały się coraz rzadsze, a słowa pociechy – coraz bardziej mętne. Jeden z nich w końcu pogłaskał ją po głowie i powiedział: „Zostały ci po nim cudowne wspomnienia; chyba nie chcemy tego zmieniać, prawda? Czasem lepiej zostawić wszystko tak, jak jest”.

– Przecież to musi znaczyć, że coś wiedział, nie sądzi pani...? Albo przynajmniej miał jakieś wyobrażenie, tylko wyobrażenie... Nie wydaje się pani, że... że wiedział, co...?

Nachylała się nad biurkiem, opierając dłonie o blat i splatając je tak mocno, że zbielewały kostki palców. Z obojętną miną wzruszyłam ramionami.

– Nie umiałabym przeniknąć procesu myślowego tego detektywa – odpowiedziałam. – Przykro mi.

Mówiła więc dalej. Z tygodni zrobiły się miesiące, potem lata; podskakiwała jak oparzona, ilekroć dzwonił telefon, każde urodziny spędzała na czekaniu na listonosza w nadziei, że przyniesie jej kartkę. Nocami słuchała nieustannego płaczu matki. Kilka razy była pewna, że zauważyła go na ulicy; o mało nie wyskoczyła ze skóry, ale gdy mężczyzna odwracał głowę i okazywało się, że to obcy przechodzień, stawała bez tchu, sparaliżowana, a jedyna chwila, której pragnęła od świata, na jej oczach rozsypywała się w proch. Rzut oka na moją twarz powinien jej powiedzieć, że niczego nie wskóra, mówiła jednak dalej.

Często spotyka się takich ludzi w wydziale osób zaginionych; myślą, że widok ich twarzy i ich szloch sprawią, że bardziej przyłożysz się do pracy. Spotyka

się rodziców, którzy przychodzą w każdą rocznicę zaginięcia dziecka, by się dowiedzieć, czy zdobyłeś chociaż strzęp nowych informacji. W pewnym sensie to działa: pamiętasz o rocznicy, a kiedy się zbliża, poświęcasz sprawie parę dodatkowych godzin, stajesz na głowie, żeby coś dla nich znaleźć. Z tą dziewczyną była zupełnie inna historia. Nie miałam najmniejszego zamiaru wypruć z siebie żył, żeby pomóc jej znaleźć tatusia.

O czym jej zresztą powiedziałam, w nieco taktowniejszy sposób, zastanawiając się, jak długo będę musiała ją ignorować, zanim się ode mnie odpieprzy. Nie wolno nam ujawniać akt, ustawa o wolności informacji nie dotyczy śledztw prowadzonych przez policję, przykro mi, nie mogę pani pomóc.

Wtedy oczywiście zalała się łzami. Błagam, nie mogłaby pani tylko zajrzeć do akt, nie wyobraża sobie pani, co to znaczy dorastać bez itd., itp.; do tego jakiś mdły hollywoodzki kit o konieczności poznania prawdy, żeby przestała rządzić jej całym życiem – nie mogę przysiąc, czy faktycznie mówiła o „zamknięciu rozdziału” i „nabraniu wiary w siebie”, bo przestałam słuchać, ale na pewno by pasowało. W tym momencie mój radosny nastrój był już spieprzony z kretesem. Chciałam tylko zamknąć jej gębę i wyrzucić ją za drzwi.

Aislinn nie szukała substytutu ojca. Szukała swojego tatusia.

– Jej ojciec od nich nie odszedł – mówię. – Zaginął. Aislinn przyszła do wydziału zaginionych po informacje. Miałam wtedy dyżur.

– Hm... – zastanawia się Steve. – „Po prostu zniknął”, powiedziała Lucy, pamiętasz? Nie skapowałem, że chodzi o zaginięcie. Co wtedy powiedziałaś Aislinn?

– Gównu jej powiedziałam. Biadoliła, wierciła mi dziurę w brzuchu, łaśliła się, czy nie mogłabym zajrzeć do akt i zdradzić, co w nich jest... – Znowu czuję to co wtedy... wzbierającą pod żebrami falę gniewu. Odpycham się od latarni i ruszam przed siebie. – Podałam jej nazwisko jednego ze starszych chłopaków, którzy pewnie byli wtedy w wydziale, kazałam jej przyjść, kiedy będzie miał służbę, i pokazałam jej drzwi.

Steve musi wyciągać nogi, żeby dotrzymać mi kroku.

– I co? Przyszła?

– Nie pytałam. Miałam to w dupie.

– Zajrzałaś do teczki jej ojca?

– Nie, nie zajrzałam. Nie rozumiesz czegoś w wyrażeniu „mieć coś w dupie”?

Nie zwraca uwagi na mój zgryźliwy ton. Robi unik, żeby nie zderzyć się z paroma wózkami spacerowymi zaprzężonymi w trajkoczące istoty w butach eskimoskach.

– Bardzo chciałbym zobaczyć tę teczkę.

To mnie intryguje.

– Sądysz, że jest jakiś związek? Między zaginięciem ojca a jej zabójstwem?
– Sądzę, że to pechowa rodzina.
– Widziałam gorsze historie. – Nie jestem już pewna, dlaczego chcę, żeby sprawa przybrała interesujący obrót.

– Jeżeli przyjmujemy wersję z chłopakiem gangsterem...

Mam wrażenie, że całe Stoneybatter na mnie wrzeszczy: na połatanej bramie garażu wymalowano sprayem wielki napis NIE ZAPŁACIMY, z reklamy na przystanku autobusowym histerycznie śmieje się jakaś kobieta, staruszka z mojej ulicy macha do mnie z chodnika po drugiej stronie – odpowiadam jej skinieniem ręki i przyspieszam kroku, zanim postanowi do mnie podejść, żeby pogadać.

– Nie mamy żadnego dowodu na to, że chłopak gangster w ogóle istniał. Pamiętasz? Sam go wymyśliłeś.

– No dobrze, ale powiedziałem „jeżeli”. Wiszę ci euro.

Nie śmieję się.

– Jak sobie chcesz.

– Gdyby na przykład Aislinn myślała, że w zniknięcie jej ojca jest zamieszany jakiś gang. Powiedzmy, że nie była zadowolona z interwencji wydziału zaginionych. – Steve stara się być taktowny. – Powiedzmy, że spławiło ją jakieś wredne babsko.

– Dlaczego, do cholery, miałyby tak myśleć? Nie mówiła mi wtedy o żadnych gangach. Gadała tylko o tym, jakiego ma idealnego tatusia. Chybaby zaczęła świrować, gdybym jej zasugerowała, że kiedykolwiek dostał mandat za nieprawidłowe parkowanie. Poza tym gangi nie zawracają sobie głowy znikaniem normalnych, porządnych obywateli.

– Może o tym nie wiedziała. Wiemy, że była naiwna. Może sądziła, że gangi przypominają czarne charaktery z bajek, które łapią i porywają ludzi tylko dlatego, że są złe. A może dowiedziała się, że tatuś nie jest wcale tak święty, jak przypuszczała. Niektórzy normalni, porządni obywatele wikłają się w różne historie z gangami.

– Ojciec był chyba taksówkarzem – przyznaję niechętnie.

Chłopaki z gangów uwielbiają korzystać z pomocy taksówkarzy. Wszystkie ich samochody są na cenzurowanym, przez większość czasu są obserwowane, czasem na podsłuchu. Taksówkarz, nie ściągając na siebie uwagi, może przewieźć narkotyki, broń, pieniądze i ludzi.

– No właśnie – triumfuje Steve, zafascynowany teorią jak szczeniak smakowitą kością. – Wplątuje się we współpracę z bandziorami, popełnia jakiś błąd i gdzieś w górach dostaje dwie kulki w tył głowy. Wydział zaginionych nie może tego udowodnić, ale wie, co jest grane, i kiedy Aislinn rozmawia z twoim kumplem, ten nie potrafi utrzymać języka za zębami i mówi o dwa słowa za dużo. Dziewczyna postanawia przeprowadzić własne śledztwo i zanim zdąży się

zorientować, tkwi już w tym po same uszy...

– Jej biblioteczka – mówię. Wolałabym się w ogóle nie odzywać i mieć nadzieję, że to cholerstwo samo się rozplynie, ale wydaje mi się, że Steve zasługuje na dodatkową przyjemność. – Książka o zaginionych, a zaraz obok o przestępczości irlandzkich gangów. W obu gęsto od podkreśleń.

Steve prawie podskakuje z emocji.

– Widzisz? Rozumiesz, o czym mówię? Prowadziła własne śledztwo.

– Do dupy z takim gdybaniem – rzucam, wyjmując telefon.

Między innymi dzięki temu wiem, że – bez względu na to, co te sukinsyny z zabójstw usiłują mi wmówić – nie jestem wredną, pozbawioną poczucia humoru suką, z którą żaden normalny człowiek nie może pracować: w wydziale zaginionych układało mi się super. Nie znalazłam wprawdzie żadnych przyjaciół od serca, ale miałam z kim się pośmiać i pójść na piwo, brałam udział w przygotowaniu średnio smacznego dyżurnego kawału, w którym uczestniczył jeden z chłopaków i piszczący gumowy chomik; kiedy chcę, zawsze mogę zadzwonić do każdego z wydziału zaginionych.

– Wtedy wysłałam ją do Gary’ego O’Rourke’a – oznajmiłam. – Zapytam go.

W telefonie Gary’ego odzywa się poczta głosowa.

– Cześć, Gary. Tu Antoinette. Będę ci winna piwo. Chciałabym, żebyś coś dla mnie zrobił. Szukam faceta, który zaginał mniej więcej koło dziewięćdziesiątego ósmego albo siódmego, czyli w komputerze może nic o nim nie być... dobra, niech będą dwa piwa. Nazywał się Desmond Murray, zamieszkały w Greystones, taksówkarz, wiek między, powiedzmy, trzydzieści a pięćdziesiąt lat. Zaginięcie prawdopodobnie zgłosiła żona. Może pamiętasz córkę, Aislinn... przyszła dwa lata temu i pytała o informacje. Chciałabym jak najszybciej dostać wszystko, co masz na jego temat. I niech człowiek, który to będzie przesyłał, pamięta, żeby dotarło bezpośrednio do mnie albo mojego partnera Morana, dobra? Dzięki.

Rozłączam się. Dziesięć minut temu cieszyłam się, że mamy tę sprawę. Podobała mi się; była sympatyczną odmianą od innych. A teraz, tak jak ostrzegał mnie tamten żaloszny głosik, świat szuka sposobu, żeby wszystko spieprzyć.

– Cholerna bezmózga suka – mówię.

Steve szeroko otwiera oczy.

– Że co?

– Wiesz, jeżeli rzucę tę robotę, to zostanę terapeutką. Będę prowadzić nowy rodzaj terapii, specjalnie dla takich ludzi jak Aislinn. Za sto euro za godzinę będę walić klienta w łeb i powtarzać, żeby w końcu zmądrzał.

– Bo mogła się wplątać w coś z gangiem?

– Gównu mnie to obchodzi... jeżeli w ogóle się wplątała, bo jeszcze mnie nie przekonałeś. – Przechodzę na drugą stronę ulicy tak szybko, że Steve musi

podbiegać, żebym go nie zostawiła w tyle; jakiś samochód mija nasze tyłki o parę centymetrów. – Nie: bo miała dwadzieścia sześć lat i uganiała się za tatusiem, licząc na to, że wszystko za nią zrobi. Kurwa, to przecież żalosne.

– No co ty. – Steve zrównuje się ze mną na chodniku. – To nie była rozpieszczona córeczka tatusia, która dzwoniła po niego, żeby zmienił jej koło z kapciem. Zniknięcie ojca poważnie odbiło się na jej życiu. Nie wiemy, co przeżyła; nie możemy...

– Ja akurat wiem. Mój ojciec zmył się, zanim się jeszcze urodziłam. Czy wyglądam na kogoś, kto snuje się jak przymulony i kombinuje tylko, jak go znaleźć i rzucić mu się w ramiona?

Zamykam Steve'owi gębę. Sobie zresztą też. Nie wiedziałam, że to w ogóle padnie z moich ust, dopóki sama tego nie usłyszałam.

– Nie zdawałem sobie sprawy – odzywa się po dobrej chwili. – Nigdy nie mówiłaś.

– Nie mówiłam, bo to nie ma znaczenia. O to mi właśnie chodzi. Nie ma go, a jeżeli czegoś nie ma, to jest nieistotne. I tyle.

Steve – ostrożnie, bo wie, że może się sparzyć – pyta:

– I chcesz mi powiedzieć, że nigdy o nim nie myślałaś? Serio?

– Myślałam, jasne – przyznaję. – Dużo o nim myślałam. – Powinno istnieć specjalne słowo zamiast tego oględnego określenia. Gdy byłam mała, myślałam o nim nieustannie. Co tydzień pisałam do niego list, w którym opowiadałam, jaka jestem wspaniała, że bezbłędnie odrobiłam zadanie z matmy i wygrałam w sprincie ze wszystkimi w klasie, by mu uświadomić, że warto do mnie wrócić, kiedy w końcu znajdę adres, pod który będę go mogła wysłać. Codziennie wychodziłam ze szkoły i szukałam wzrokiem jego białej limuzyny, żeby zabrała mnie z tego betonowego podwórka i od dzieciaków z żądzą zadymy w oczach, które miały już rezerwacje w więzieniach i ośrodkach odwykowych, żeby zawiozła mnie do krainy mieniącej się błękitem i zielenią, gdzie będę mogła sobie wybrać cudowne życie spośród ogromnej lśniącej góry czekających na mnie ofert. Każdego wieczoru leżałam w łóżku i wyobrażałam sobie przyszłość: siebie w stroju chirurga ze stetoskopem na szyi, w szpitalu tak olśniewająco jasnym od bieli i chromu, jakby za chwilę miał wystartować w kosmos; siebie schodzącą po szerokich schodach w takt granego przez orkiestrę walca, w sukni zrobionej z wirującej piany i mgły; siebie jadącą konno po plaży, jedzącą rano egzotyczny owoc na pałacowym dziedzińcu, wydającą polecenia ze skórzanego fotela za biurkiem czterdziści pięter nad oszałamiającym widokiem na miasto. – Myślałam dokładnie to samo co Aislinn: że dopiero kiedy wróci, moje życie naprawdę się zacznie.

Boże drogi, Steve stara się przywołać na twarz odpowiedni wyraz współczucia.

– Jezus, ale masz minę – rzucam. – Przestań robić takie wielkie smutne oczy,

głupku. Miałam wtedy osiem lat. A potem dorosłam, zmądrzałam i uświadomiłam sobie, że to moje prawdziwe życie i lepiej, żebym zaczęła sama nim kierować, zamiast czekać, aż ktoś inny zrobi to za mnie. Tak zachowują się dorośli.

– A teraz? Myślisz jeszcze o nim?

– Od lat już nie myślę. Najczęściej zapominam, że w ogóle istniał. Tak samo zrobiłaby Aislinn, gdyby miała rozum przynajmniej taki jak M&M. Jej matka też.

Steve niezdecydowanie kiwa głową.

– To nie to samo. Nie poznałaś swojego ojca. Dla Aislinn tato był kimś, kogo kochała.

Pewnie w jakimś sensie ma rację, ale mam to gdzieś.

– Był kimś, kogo nie było. Aislinn i jej matka mogłyby normalnie żyć dalej, dojść do wniosku, że gdyby kiedyś poznały odpowiedź, potrafiłyby ją przyjąć do wiadomości. A postanowiły, że całe ich życie będzie się obracało wokół człowieka, którego nie ma. Nic mnie nie obchodzi, kim on był. To żalosne.

– Może.

– Cholernie żalosne – dodaję. – I tyle.

Nie odpowiada. Idziemy dalej. Przed nami widzę samochód zaparkowany dokładnie w tym miejscu, w którym go zostawiliśmy, co jest miłą wiadomością.

Chcę, żeby Steve do mnie mówił. Próbuję wyczuć, czy zaszła w nim jakaś zmiana; sprawdzam, jaką utrzymuje ode mnie odległość, w którą stronę kieruje głowę, jaki jest ton jego głosu. Nie mówię ludziom o ojcu, bo to nie ich sprawa, ale przede wszystkim dlatego, że kiedy się o wszystkim dowiedzą, od razu włożą mnie albo do szufladki z napisem „Och, biedactwo”, albo do szufladki z napisem „Dresiara”. Dorastanie Steve’a wyglądało bardzo podobnie jak moje – pewnie miał trochę bardziej luksusowe życie, rodzina zajmowała dom komunalny, a nie mieszkanie komunalne, ojciec miał pracę, a matka kładła na oparciu kanapy koronkowe ozdóbki, ale w szkole prawdopodobnie spotkał masę dzieciaków, które nie znały swoich tatusiów. Nie martwię się, że będzie zgrywał przede mną snoba. Ale Steve to romantyk; do wszystkiego lubi podchodzić artystycznie, naładować każdą historię odpowiednią porcją dramatyzmu, przewidywalnymi schematami i ładnie zakończyć, nie zostawiając żadnego szczegółu bez wyjaśnienia. Nie zdziwiłabym się, gdyby wyobrażał sobie mój tragiczny los porzuconego dziecka, które walczy o lepsze życie z własnymi demonami, a jeżeli naprawdę tak to widzi, będę musiała zdrowo przywalić mu w łeb.

Przynajmniej nie rzuca mi kliwych spojrzeń ani nie podchodzi bliżej, żeby mnie wspierać w cierpieniu. Kątem oka dostrzegam tylko, że intensywnie myśli.

– A jeżeli go znalazła? – pyta po chwili.

– Co ty wygadujesz? – Ulga sprawia, że w moim głosie brzmi arogancki ton.

– Tajemniczy facet, dla którego Aislinn zaniedbywała Lucy. Facet w pubie.

– Steve podchodzi do drzwi po stronie pasażera i opiera się o dach, podczas gdy ja

szukam kluczyków. – Jeżeli to wcale nie był jej chłopak? Jeżeli to był jej ojciec? Namierzyła go, próbowali odbudować więź...

– Jezu! Dość tego. – Mam ochotę wcisnąć gaz do dechy, pognać do mieszkania Rory'ego i aresztować go w cholerę, zanim się okaże, że Aislinn miała budujące spotkanie po latach z tatusiem, a ja będę musiała słuchać wszystkich łązawych szczegółów. – Jesteś mi już winien cztery euro. Nie – dodaję, kiedy Steve rozpromienia się w uśmiechu – jeżeli będę musiała znosić te bzdety zaczynające się od „jeżeli”, to za moment kompletnie oszaleję. Nie chcę nawet myśleć o ojcu Aislinn, dopóki Gary nie oddzwoni i nie opowie, jak było naprawdę. Tymczasem nie wsiądziesz do samochodu, dopóki nie dostanę swoich czterech euro.

Dzwonię kluczykami i wpatruję się w niego, aż w końcu sięga do kieszeni i kładzie na dachu piątaka.

– A moja reszta? – domaga się, gdy chowam banknot do kieszeni i otwieram samochód.

– Zanim dojedziemy do centrali, i tak będziesz mi ją winien. Wsiadaj.

– Okay. – Steve wskakuje do opla. – Równie dobrze mogę przegrać to euro od razu. Jeżeli więc ojciec chce nadrobić stracone lata, kiedy nie było go przy Aislinn i nie mógł jej chronić, a nie podoba mu się gęba Rory'ego...

– Ja pierdzielę. – Odpalam kadetta i słucham, jak kwęka, że przerywam mu drzemkę. – A może ja ci mam zapłacić, żebyś skończył z tymi bzdetami, co? To by było skuteczniejsze?

– Zdecydowanie powinnaś spróbować. Przyjmuję czeki.

– A snickersy? Przynajmniej zatkasz sobie dziób, jak będziesz jadł.

– Ach, cudownie – odpowiada uszczęśliwiony Steve. – Będę grzeczny.

Wygrzebuję z torby snickersa i rzucam mu na kolana, a on zabiera się do pałaszowania.

Nie sprawia wrażenia, jakby rozmyślał nad moją inspirującą albo tragiczną historią. Wiem, że Steve pod żadnym względem nie przypomina zwyczajnego piegowatego dzieciaka, na jakiego wygląda, a jednak ma minę, jakby myślał tylko o czekoladzie.

– Co? – pyta z pełnymi ustami.

– Nic. Ta chwila ciszy bardzo ci służy i tyle. – Wciskając wóz w gęsty ruch na ulicy, uświadamiam sobie, że się uśmiecham.

Wracamy do pokoju operacyjnego, w którym nie czeka na nas nic. Breslina ciągle nie ma; pewnie rozmawia z krewnymi i znajomymi Rory'ego; mrówki wchodzą i wychodzą, znosząc kolejne wielkie nic i rzucając je na nasze okazałe biurko. Stanton i Deasy nie dogrzebali się niczego w pracy Aislinn, nie ujawnili plotek o romansie z szefem ani nikim innym, nie dowiedzieli się o żadnych nieodwzajemnionych uczuciach czy konfliktach w biurze ani klientach o prześladowczych skłonnościach. Meehan, który miał sprawdzić drogę powrotną Rory'ego, melduje, że czas pokonania trasy zgadza się z zapisem monitoringu, co oznacza, że Rory nigdzie nie zбочył między domem Aislinn a miejscem, gdzie ostatni raz uchwyciła go kamera – chociaż nie możemy w żaden sposób potwierdzić, o której godzinie wrócił do domu ani co robił potem. Nie wykluczamy więc wypadu w bok w ostatniej chwili albo nocnego wyjścia. Gaffney sprawdza znajomych Aislinn w systemie, który wypluwa masę mandatów, parę drobnych spraw o posiadanie narkotyków i jeden zarzut dla gościa, który odkurzaczem rozwalil bratu przednią szybę w samochodzie. Wchodzi zgarbiony Reilly z następnym nagraniem z monitoringu i posyłając mi puste spojrzenie, zasiada przed ekranem, a potem od czasu do czasu wydaje dźwięk przypominający coś pomiędzy kaszlem a stłumionym rykiem, żeby nam przypomnieć, że tu jest i że się nudzi.

Korci mnie, żeby sprawdzić w systemie chłopców Bili Lanigana, ale tego nie zrobię: czułabym się jak ostatni głupol, traktując tak poważnie historię o gangu, poza tym każdy mógłby znaleźć ślady mojego wyszukiwania, tak jak znaleźliśmy dowód na to, że jesienią zeszłego roku ktoś sprawdzał informacje o Aislinn. Postanawiam więc znowu usiąść do przeglądania zeznań złożonych przez sąsiadów; tym razem robię to porządnie, szukając detali, którym należy poświęcić więcej uwagi. Nie znajduję ich – Gaffney pojechał do miasta sprawdzić zakreślony na żółto fragment zeznania pewnej kobiety, która twierdzi, że tydzień czy dwa wcześniej słyszała, jak facet spod piętnastki krzyczał coś o zabójstwie, ale widząc, że pod piętnastką mieszka trójka nastolatków, dochodzę do wniosku, że na razie nie musimy wytaczać sprzętu do podtapiania. Steve porównuje billingi Aislinn z danymi z jej telefonu i nie trafia na rozbieżności: nikt nie usuwał wiadomości czy informacji o połączeniach, ani Aislinn, ani nasz poszukiwany. Nie ma też połączeń lub wiadomości od niezidentyfikowanych numerów; każdy jest na liście kontaktów – namierzemy wszystkich właścicieli, by się upewnić, czy to naprawdę osoby figurujące w telefonie – albo należy do jakiegoś biura obsługi klientów. To ma swoją dobrą stronę – solidny cios dla uroczej fantazji Steve'a o spotkaniu Aislinn z tatusiem – wiele bym jednak dała za choć jednego SMS-a z niezarejestrowanego numeru z propozycją: *Spotkajmy się o 8 na szybki numerek przy magazynie*

heroiny.

W każdym śledztwie łowi się całe sieci niczego. To potrzebne – tylko w ten sposób można zawęzić pole poszukiwań – i zwykle miło jest wycinać z tablicy fałszywe i ślepe tropy, zostawiając tylko konkretne i obiecujące, żeby były po oczach. Tym razem jednak nie ma wycinania, tylko na moje biurko spadają bezużyteczne kawałki niczego jak oślinione kulki papieru, które wystrzeliwuje przez dmuchawkę nieuchwytny żartowniś. Ten narastający szum zaczyna mi działać na nerwy, sprawia, że wiercę się na krześle, podryguję kolanem i próbuję ocierać się plecami o oparcie, bo wydaje mi się, że coś mnie swędzi. Potrzebuję czegoś, czegokolwiek, co zdmuchnie ogromną pierzastą chmurę ulepioną z gdybania Steve’a, żeby zostały mi w ręce same twarde konkrety. Pokój operacyjny C wydaje się absurdalnie pusty: w sali, w której spokojnie pomieściłoby się trzydzieści osób, siedzi nas raptem kilkoro, rozsianych tu i ówdzie między rzędami lśniących biurków i pod wysokim sufitem, jak laleczki w za dużym domku. Przychodzi mi do głowy, że Breslin być może postanowił zrobić sobie z nas jaja, biorąc luksusowy apartament do sprawy za trzy grosze, do której bardziej pasowałaby jakaś ciasna, cuchnąca nora po dawnej szatni.

O drugiej wysyłamy Gaffneya po pizzę, a Stanton ściąga na telefon jeden z tych łzawych programów radiowych, żebyśmy mogli się trochę rozerwać podczas lunchu. Jak można się spodziewać, spory fragment jest poświęcony Aislinn i stanowi wstęp do ogólnego festiwalu oburzenia z powodu sytuacji w kraju, gdzie przyzwoitym, praworządnym obywatelom zagraża coraz większe niebezpieczeństwo, a policję guzik to obchodzi. Towarzyszą temu telefony od starszków, którzy padli ofiarą napaści, a kiedy konali w kałuży własnej krwi, gliniarze przestępowali przez nich, gorączkowo szukając polityka, któremu mogliby wleźć do dupy. Wypowiada się nawet Crowley, wygłaszając głęboką myśl o tym, że nasza niefrasobliwa postawa wobec zabójstwa Aislinn i bezwzględne gnębienie geniuszy takich jak on to symbol choroby dręczącej społeczeństwo „w niemal mitycznej skali”, cokolwiek to może, jego zdaniem, oznaczać. Kiedy wszyscy zwijamy się ze śmiechu, na chwilę zapominamy, co sądzymy o sobie nawzajem.

– Kiedyś chodziła z nim moja kuzynka – mówi Meehan.

– Twoja kuzynka ma główniany gust – informuje go Reilly.

– Fakt, ma. Rzuciła go, bo nie chciał używać kondomów. Powiedział, że to produkt feministycznego spisku, który ma na celu poskromienie męskiej energii.

Wszyscy znowu ryczą ze śmiechu.

– Kurwa, piękne! – Stanton sięga po następny kawałek pizzy. – Zobaczę, czy też będę mógł sobie na to pozwolić.

– Nie masz szans – wtrącam. – Jeżeli nie dał się na to nabrać ktoś na tyle tępy, że chciał się bzykać z Crowleyem... Nie chcę obrazić twojej kuzynki,

Meehan...

– Nie, spoko. Naprawdę jest tępa. Pożyczyła temu gnojkwowi trzy tysiące, żeby mógł sobie sam wydać swoją autobiografię. – Ta informacja wywołuje następną falę ogólnej wesołości. – Nie oddał ani centa.

– Jaki dał tytuł? – pyta Kellegher. – *Gumalu, czy ci nie żal?*

– *Uwolnić prącie* – mówię. Wybuchają śmiech, w którym wyczuwam ton zaskoczenia, jak gdyby połowa mrówek nie przypuszczała, że potrafię kogoś rozbawić.

– Mam – włącza się Steve, przesuwając palec po ekranie swojego telefonu. – *Męczennik prawdy*, autor Louis Crowley... Nie! Słuchajcie, jest recenzja. Pięć gwiazdek. *Cięta i wnikliwa analiza spisana przez człowieka, który wyrusza w samotną odyseję, by odsłonić ukrytą mroczną twarz irlandzkiego systemu sprawiedliwości. Jeśli w ogóle zależy wam na prawdzie...* Jezu, to jest dłuższe od samej książki.

– Chcecie się założyć, kto to napisał? – pyta Stanton.

– Jak się odsłania ukrytą mroczną twarz? – zastanawia się głośno Kellegher.

– Wszyscy należycie do tego spisku – oznajmia nam Meehan. – Na pewno włóczęcie się po ulicach, żeby nakładać kondomy biednym, niepodjeżdżającym niczego przechodniom.

Reilly kiwa na niego palcem.

– Chodź no, to ci nałożę.

– Musiałbyś mieć do pomocy co najmniej jeszcze dwóch.

– Masz. – Stanton rzuca Meehanowi zatłuszczoną serwetkę. – Możesz tym poskromić swoją męską energię. – Meehan odbija ją, serwetka wpada do kawy Kelleghera i nagle wszyscy domagają się, żebym spisała pozostałych za molestowanie, stwarzanie nieprzyjaznych warunków pracy, noszenie badziewnych krawatów oraz pierdzenie w nieoznakowanych pojazdach służbowych. Przez chwilę pokój operacyjny wydaje się całkiem fajnym miejscem.

„Wielu funkcjonariuszy to z pewnością wspaniali, wartościowi ludzie – mówi do nas Crowley z telefonu Stanton. – Ale gdy jeden z nich dopuszcza się napaści na mnie tylko dlatego, że chcę was informować o tym, co robią w sprawie śmierci tej pięknej kobiety, sądzę, że wszyscy powinniśmy sobie zadać pytanie, dlaczego tej policjantce – albo oczywiście temu policjantowi – tak bardzo zależy na decydowaniu, o czym wolno się wam dowiedzieć. Przecież...”

Mówił namaszczonym głosem, a pod spodem na pewno z zachwytem spuszczał się w spodnie: jego temat zaczyna żyć własnym życiem i rozwijać się równoległe do rzeczywistości, i to ze znacznie większą szybkością. Reilly szczerzy zęby w uśmiechu.

– Wystarczy – mówię. Śmiech cichnie; Crowley przyprawia mnie o mdłości.

– Nie jesteście bandą uczniaków. Biercie się do roboty.

Stanton wyłącza radio w telefonie i wszyscy z powrotem pochylają się nad komputerami, spoglądając na siebie z ukosa i znacząco unosząc brwi, jaka to ze mnie wredna jędza, a atmosfera w pokoju operacyjnym wraca do normy.

* * *

Jedyny konkret, jaki udaje się nam zdobyć, to informacja z raportu patologa. Cooper nie znosi większości ludzi, ale mnie lubi – prawdopodobnie z czystej przekory, ale dobre i to – zamiast więc kazać mi czekać na oficjalny raport, dzwoni do mnie, gdy tylko kończy spisywać wyniki sekcji.

– Detektyw Conway, przykro mi, że nie spotkaliśmy się wczoraj na miejscu zdarzenia – mówi.

Co ma być dla mnie sygnałem do przeprosin, że nie zdążyłam go złapać.

– Nam też przykro, że się nie widzieliśmy – odpowiadam i pstrykam palcami na Steve'a. – Utknęliśmy na robotach drogowych. Jestem wdzięczna, że pan dzwoni, doktorze Cooper.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Mam nadzieję, że śledztwo posuwa się naprzód.

– Nie jest źle. Mamy podejrzanego, chociaż przydałoby mi się więcej twardych dowodów i trochę mniej gdybania. – Steve robi kwaśną minę. – Będzie mi pan mógł w tym pomóc?

– Chyba mogę obiecać minimum gdybania. – W głosie Coopera słychać cień pogardy, jak gdybym powiedziała coś wulgarnego. – To raczej nie moja specjalność.

– W takim razie to będzie miła odmiana. – Odpowiadam Steve'owi równie krzywą miną.

Cooper wydaje krótki skrzekliwy dźwięk, który może uchodzić za śmiech.

– Jeżeli chodzi o twarde dowody, to autopsja w przeważającej części nie przyniosła żadnych zaskoczeń. Ofiara była zdrowa, nie wykazano śladów obrażeń odniesionych wcześniej niż w sobotę wieczorem, brak oznak odbytego niedawno stosunku płciowego, nie była w ciąży, nigdy nie rodziła. – Cooper milknie i odchrząkuje: załatwił podstawowe fakty i przechodzimy do najważniejszego. – Tak jak sugerowałem na miejscu, odniosła obrażenia twarzy i tylnej dolnej części sklepienia czaszki. Kształt i rodzaj obrażeń twarzy odpowiadają uderzeniu pięści. Najistotniejszym faktem jest stopień spowodowanych uszkodzeń: zuchwa ofiary została złamana, a dwa dolne lewe siekacze wybite z zębodołów. To wymagało znacznej siły. Można z dużą dozą pewności stwierdzić, że cios zadał mężczyzna o ponadprzeciętnej sile i sprawności fizycznej.

„Silny facet”, informuję Steve'a, bezgłośnie poruszając wargami. Unosi pytająco brwi: „To, twoim zdaniem, pasuje do Rory'ego?”

– Te urazy nie zagrażałyby jednak życiu – ciągnie Cooper. – Śmiertelna

okazała się rana z prawej strony potylicy. Ma kształt linii, długości około sześciu centymetrów, i została zadana narzędziem z ostrą, prostokątną krawędzią, taką jak obramowanie kominka, na którym znaleziono ofiarę. W wyniku uderzenia doszło do poważnego pęknięcia czaszki i powstania krwiaka nadtwardówkowego. Ponieważ nie podjęto natychmiastowej interwencji medycznej, zwiększający się ucisk krwiaka na mózg doprowadził do zgonu.

– Ofiara dostała cios w twarz, upadła na wznak i uderzyła głową o obramowanie kominka – mówię. – Po jakim czasie zmarła?

– Nie można tego określić. Krwiak nadtwardówkowy może doprowadzić do śmierci w ciągu kilku minut albo kilku godzin. Biorąc pod uwagę stopień obrażenia, spodziewałbym się, że w tym przypadku narastał dość szybko, ale dokładnego czasu nie da się ustalić. Jedynym ewentualnym wskaźnikiem może jednak być drugi uraz po prawej stronie potylicy.

– Chwileczkę – powstrzymuję go. – Drugi uraz?

Brwi Steve'a wędrują w górę. Przysuwam krzesło bliżej niego, włączam głośnik i kładę palec na ustach. Cooper jeszcze nie zdecydował, jaki ma stosunek do Steve'a; wystarczyłoby jedno nieopatrzone słowo mojego partnera, żeby rozmowa została błyskawicznie zakończona. Czuję dziwny, idiotyczny skurcz triumfu niczym niesforny dzieciak, gdy widzi, jak jego dobrze ułożony braciszek podpada rodzicowi, a on przynajmniej raz zostaje pogłaskany po główce. Tłumię w sobie tę głupią satysfakcję.

– Proszę powstrzymać ten entuzjazm – radzi Cooper. – Druga rana jest drobna, to zaledwie lekkie stłuczenie. Poza tym do złudzenia przypomina tę pierwszą: kształt linii prostej, długość pięć centymetrów, zadana przedmiotem o prostokątnej krawędzi. Obydwa obrażenia biegną równolegle do siebie, w odległości około pół centymetra, co wyjaśnia, dlaczego drugi uraz nie był od razu widoczny na miejscu zdarzenia. – Wydaje się zirytowany faktem, że rana się przed nim schowała.

– Czyli kiedy ofiara upadła – mówię – albo uniosła głowę i znowu opuściła, albo zrobił to zabójca.

– Mhm – mruczy Cooper. Steve gryzmoli coś w notesie. – Obie wersje zdarzeń są możliwe. Zabójca na pewno mógł unieść jej głowę, żeby sprawdzić, czy daje oznaki życia, mogła też sama próbować wstać, ale była w stanie tylko podnieść głowę. Spodziewałbym się, że pierwszy uraz pozbawił ją przytomności; doszło do krwotoku śródmózgowego, który na ogół ma natychmiastowe skutki neurologiczne. Ale nie można wykluczyć, że przed śmiercią na krótko odzyskała przytomność.

Steve podaje mi notes. To chyba jedyny znany mi gliniarz, który ma czytelne pismo – ładne, pełne wyraźnych, staroświeckich zawijasów i kresek; podejrzewam, że w wolnym czasie ćwiczy kaligrafię. Wiadomość brzmi: *A może najpierw pchnął,*

a potem uderzył, kiedy już leżała?

– A czy obrażenia mogły powstać w odwrotnej kolejności? – pytam. – Najpierw zabójca, zamiast uderzyć, pchnął ofiarę. Padając, tyłem głowy uderzyła o kominek, ale niezbyt mocno. A potem, kiedy leżała oszołomiona, podszedł i zadał jej cios w twarz?

– A – mówi Cooper z wyraźną przyjemnością. – Aha. Ciekawe. I możliwe... z pewnością możliwe. Zaimponowała mi pani, detektyw Conway.

– Właśnie dlatego płacą mi takie grube pieniądze – odpowiadam. Steve obrusza się. „Ej!”, mówi bezgłośnie i pokazuje na siebie. Rozkładam dłoń i uśmiecham się do niego. „Przykro mi, stary, nic na to nie poradzę”.

– Hm – mruczy znów Cooper i słyszę szelest przewracanych kartek. – W świetle tej nowej teorii muszę skorygować ocenę siły fizycznej zabójcy. Jeżeli uderzył ofiarę, gdy jej głowa leżała już na kamiennym obramowaniu, a nie kiedy ofiara była w pozycji wolno stojącej, że się tak wyrażę, zadanie tych ran wymagałoby znacznie mniejszej siły. Oczywiście musiał włożyć w to trochę wysiłku, ale mogłaby to zrobić każda dorosła, normalnie umięśniona osoba.

Teraz ja zerkam na Steve'a i unoszę brwi: to już pasuje do Rory'ego Fallona.

– Przykro mi, że musi pan poprawiać raport – mówię. Cooper pisze ręcznie; nikt z nas nie ma odwagi wprowadzać go do dwudziestego pierwszego wieku, kažemy więc mrówkom wstukiwać jego raporty do komputerów.

– Wybaczyłbym gorsze grzechy za przyjemność poznania alternatywnej hipotezy, która tak znakomicie pokrywa się z faktami – oznajmia Cooper. – Otrzyma pani poprawiony raport, gdy tylko go skończę. Życzę powodzenia w szukaniu twardych dowodów – dodaje i odkłada słuchawkę.

Spoglądamy na siebie ze Steve'em.

– To nie jest nieumyślne spowodowanie śmierci – mówi.

– Nie jest. W każdym razie jeżeli rzeczywiście tak to się rozegrało. – Bici ludzie często się przewracają, potem wstają i oddają cios; nikt się nie spodziewa, że to doprowadzi do śmierci. Ale jeżeli bijesz w twarz kogoś, kto opiera się tyłem głowy o ostrą kamienną krawędź, to musisz mieć jaja, by twierdzić, że, według twoich przypuszczeń, ta osoba wstanie i spokojnie odejdzie.

– A Breslin chce, żeby było. – Steve zniża głos prawie do szeptu. Ma rację: Breslin natychmiast przyjął scenariusz nieumyślnego spowodowania śmierci. Może dlatego, że taki zarzut lepiej pasuje do Rory'ego Fallona, a Breslin chce, żeby to był Rory, by wszystkim ułatwić życie; może doskonale wie, że to nie on, ale sądzi, że prawdopodobnie szybciej łykniemy taką wersję.

– Aha – przytakuję. – Sprawdźmy, co sądzi o umyślnym zabójstwie.

– Wyobrażasz sobie, że Rory Fallon byłby do tego zdolny? – pyta Steve. – Jeden cios w afekcie... może. Ale żeby zaatakował ją w taki sposób?

– Ktokolwiek to zrobił, musiał wpaść w szal – mówię. – Przestał nad sobą

panować. To już wiemy. I wiemy, że nie szukamy King Konga. Rory mógłby to zrobić, bez problemu.

– Mógłby. Ciągłe jednak nie znamy powodu, dla którego przestałby nad sobą panować, a z tego, co dotąd wiemy, nie miał wcześniejszych doświadczeń z używaniem przemocy. Trudno jest zadać taki brutalny cios, zwłaszcza jeżeli ktoś nie tknął innego człowieka, odkąd w wieku dziewięciu lat dał kuksańca bratu. Znacznie łatwiej przyszłoby to komuś, kto miał praktykę.

– Nie, nie, nie. – Odsuwam się na swój koniec biurka; w pokoju operacyjnym C nawet kółka krzeseł działają lepiej. – Słyszałeś Rory’ego. Ten facet najintensywniej przeżywa to, co się dzieje w jego głowie. U takich ludzi nie możesz się kierować tym, co widzisz. Nie wiemy, co tam sobie potajemnie praktykuje; równie dobrze może od lat prowadzić zupełnie osobne alternatywne życie, w którym toczy walki w klatce. A kiedy pojawił się duży stres, ten drugi Rory wyskoczył z niego i trach.

Oboje w tym momencie widzimy w myślach to uderzenie i słyszymy chrzęst kości łamanej o kamień. Steve ma rację: trudno wyobrazić sobie Rory’ego jako właściciela pięści, która zadała cios, ale może po prostu żadne z nas tego nie chce.

– Właśnie dlatego ciągle ci powtarzam, żebyś skończył z tym pieprzonym gdybaniem – dodaje. – To niebezpieczne dla zdrowia.

– Nie martw się – rzuca Steve, wracając do papierów. – W swoim urojonym życiu jestem superdetektywem, który wyjaśnia każdą sprawę.

– Zarząbicie. Czyli musimy ci załatwić taki poziom stresu, żeby z ciebie wyskoczył.

Unosi wzrok, a mnie zaskakuje gwałtowność i ironia tego spojrzenia. Przez chwilę mam wrażenie, że chce coś powiedzieć, ale kręci głową i zaczyna wodzić długopisem po liście numerów telefonicznych.

* * *

Żeby było jasne: wiem, a ponieważ Steve nie ma złotych papierów, przypuszczam, że też zdaje sobie z tego sprawę, że powinniśmy się modlić na kolanach, żeby głównym i jedynym bohaterem sprawy był Rory Fallon. Jeżeli znajdziemy jakikolwiek dowód na to, że Breslin się sprzedał, mamy przesrane.

Kiedy przyłapiesz innego gliniarza na łamaniu procedur albo prawa, albo jednego i drugiego, twoje pierwsze wyjście to morda w kubel. Właściwie wszyscy je wybierają, gdy chodzi o duperele w rodzaju lewego załatwienia mandatu albo sprawdzenia na boku czyjejs przeszłości w prywatnej sprawie. Udajesz, że tego nie widzisz, bo nie warto zwracać sobie tym głowy, i dlatego, że prędzej czy później sam znajdziesz się w sytuacji, gdy będziesz chciał, żeby ktoś inny przymknął oko. Ale nawet jeżeli zdecydujemy się iść tą drogą – chociaż jestem daleka od pewności, czy naprawdę tego chcę – tym razem nie będzie tak łatwo, zwłaszcza

gdybyśmy się dowiedzieli o czymś, co będzie zaplątane w naszą sprawę zabójstwa.

Drugie wyjście, które powinno się wybrać, to wizyta w wydziale wewnętrznym. Nigdy tego nie próbowałam. Słyszałam, że czasami to rozwiązuje problem. Może raz na jakiś czas rozwiązuje problem nawet w taki sposób, że nikt się o tym nie dowiaduje, nie traktuje cię jak radioaktywnego odpadu i przez resztę życia nie czujesz się jak nędzny kapuś.

Trzecie wyjście to pogadać z facetem, powiedzieć mu, że musi z tym skończyć dla dobra własnego sumienia, kariery albo rodziny, wszystko jedno. Być może czasem to też skutkuje. Wyobrażam sobie minę Breslina, gdybym pogroziła mu paluszkami i powiedziała, jaki z niego bezczelny smarkacz. Jeżeli nie utonę pod falą swojego świętego oburzenia, do końca służby będę musiała dwa razy częściej oglądać się za siebie.

Czwarte wyjście to iść do szefa, który prawdopodobnie z ojcowską mądrością poklepie cię po ramieniu, zapewni, że dobrze zrobiłeś, a potem za ciebie wybierze wyjście numer dwa albo wyjście numer trzy. Biorąc pod uwagę charakter moich relacji z O'Kellym i charakter jego relacji z Breslinem, zaryzykuję wniosek, że nawet gdybym chciała pobiec po pomoc do pryncypała, ta możliwość nie wchodzi w grę.

Piąte wyjście to zrobić parę aluzji i wejść w interes. Być może naprawdę chcesz się przyłączyć do zabawy; może po prostu chcesz uszczknąć kawałek łapówki w zamian za dyskrecję. Nie przepadam za kasą do tego stopnia, żeby się za nią sprzedawać, nie przepadam za niczym do tego stopnia, żeby uzależniać własne życie od jakiegoś bydlaka, który już udowodnił, że nie można mu ufać.

Szóste wyjście to znaleźć sobie dziennikarza z jajami wielkości arbuź, który nie będzie miał nic przeciwko temu, żeby przez resztę życia co drugi dzień zatrzymywali go za jazdę po pijanemu, i za jego pośrednictwem ujawnić wszystko od początku do końca.

Żadne z tych rozwiązań nie wydaje mi się dobre. Pościg, który prowadzimy, sprawia mi ogromną frajdę i nic mnie nie obchodzi, czy to oznacza, że jestem złym człowiekiem. Wiem jednak, że jeśli upolujemy to coś, prawdopodobnie rozerwie nas na strzępy.

Trudno mi spokojnie usiedzieć. Co kilka minut odwracam głowę, żeby popatrzeć na Steve'a, który pólleży na biurku jak uczeń, z palcami wplecionymi w pomarańczowe włosy, i spod zmarszczonego czoła wpatruje się w wir papierów. Nie wiem, co się dzieje pod tą rudą czupryną. Parę razy otwieram usta, żeby go zapytać: „A co zrobimy, jeżeli naprawdę...?”. I za każdym razem gryzę się w język i wracam do pracy.

* * *

Podobnie jak w każdym biurze, w pokoju operacyjnym późnym

popołudniem zwykle siada energia, ale dzisiaj utrzymuje się na wysokim poziomie. Częściowo przez sam pokój, którego standardom wszyscy próbujemy dorównać, ale częściowo przez mnie. Nastrój szefa udziela się reszcie, a w mojej głowie ciągle tańczy to wyzwanie i tętno przyspiesza mi za każdym razem, gdy wynurza się na powierzchnię, żeby mnie kusić i budzić we mnie lęk. Jego szelmowski uśmieszek każe mi pracować na najwyższych obrotach, a kiedy kończę gruntowne przeczesywanie raportów, każe mi wstać i kręcić się po pokoju, dopisywać informacje na tablicy, zaglądać do formularzy zgłoszeń z telefonu dla informatorów – jakiś anonimowy gość jest przekonany, że widział Aislinn na bardzo wyspecjalizowanej stronie internetowej, jak zadeptywała robaki, co wydaje się mało prawdopodobne, ale szczęściarze z przestępczości komputerowej i tak to zbadają. Sprawdzam, co robią mrówki, tu i ówdzie rzucam słówko pochwały albo zachęty – kiedy mam ochotę, całkiem nieźle radzę sobie z tym pieprzonym zarządzaniem. Śmieję się z czegoś z Kellegherem, mówię Stantonowi i Deasy’emu, że ich przesłuchania znajomych Aislinn z pracy były na medal. Breslin byłby ze mnie dumny. Na myśl o nim – powinien niedługo wrócić – znowu zaczynam krążyć.

Steve’owi też się to udziela; rozmawia przez telefon, próbując wziąć do galopu swojego człowieka z Meteora, żeby dał mu pełne billingi tego niezarejestrowanego numeru. Moglibyśmy wyjść, rozładować tę nerwówkę przesłuchaniem świadków, ale nie chcę się stąd nigdzie ruszać. Nie chcę się rozminąć z Breslinem.

Gaffney skończył spisywać listę zajęć wieczorowych Aislinn – którą uznałabym za cholernie dołującą, gdybym nie była w dobrym nastroju: Aislinn naprawdę płaciła za zajęcia zatytułowane „Restylizuj się!”, z wykrzyknikiem, ale też za kurs oceny wina i coś o nazwie „Obóz szkoleniowy dla zapracowanych babek” – i wydzwania, prosząc o listy uczestników. Przejmuję od niego finanse, żeby poszukać w nich jakichś nieprawidłowości, dopóki Breslin nie zajrzy mi przez ramię.

Na rachunek bieżący Aislinn nie wpływały ani z niego nie wypływały żadne niewyjaśnione kwoty. Rzuca się w oczy tylko to, że Lucy miała rację – Aislinn rzeczywiście miała do dyspozycji całkiem nieźłą kasę: w 2006 roku, w tym samym miesiącu, w którym zaczęła pracę, otworzyła rachunek oszczędnościowy i większa część jej pensji wpływała właśnie na to konto. W ciągu dwóch ostatnich lat ograniczyła oszczędzanie i wydała nadwyżki na kiczowate ciuchy z internetu, ale i tak zostało jej zachomikowane ponad trzydzieści tysięcy. Nie była obciążona żadnym kredytem – szeregówkę w Stoneybatter i głównianego używanego volkswagena polo kupiła za pieniądze ze sprzedaży domu w Greystones, a zadłużenie na karcie kredytowej spłacała poleceniem zapłaty. Gdyby chciała podróżować albo pójść do college’u, nie miałaby z tym trudności. Bez problemu

mogłaby też pożyczyć komuś parę kawałków, gdyby ktoś zwrócił się do niej z taką prośbą.

Sytuacja finansowa Rory'ego jest bardziej skomplikowana, przede wszystkim z powodu księgarni, i nie wygląda ani trochę tak kwitnąco jak u Aislinn. Nic nie budzi nawet cienia podejrzeń – jeżeli w sprawę są zamieszani gangsterzy, to nie piorą pieniędzy przez Wayward Bookshop, żebyśmy mieli ciekawsze życie – ale Rory ledwie wiąże koniec z końcem: w ciągu pięciu lat, gdy był właścicielem księgarni, dochody spadły o jedną trzecią i musiał zwolnić pracownika. Pensja, jaką sobie wypłaca, nawet pomocnikowi kucharza z fast foodu wydałaby się nędzna. Breslin nie mylił się, przypuszczając, że kolacja w Pestle pochłonęła jego cały budżet.

Widzieliśmy już, jak Rory źle znosi upokorzenie. Jeżeli przyszedł błagać Aislinn, a ona go zrugła, z wyjściowego sweterka mógł wyskoczyć drzemiący w nim Hulk.

Kiedy chcę zawołać Steve'a, który stoi przy tablicy, żeby podszedł rzucić okiem, w drzwiach pokoju operacyjnego ukazuje się głowa chudego chłopaka o jasnych, zlepionych w kępki włosach, ubranego w marny garnitur.

– Hm – mówi. – Detektyw Conway?

– Tak.

Wchodzi i chyłkiem przemyka między biurkami, jak gdyby się spodziewał, że w połowie drogi ktoś założy mu chwyt na szyję.

– Przysłał mnie detektyw O'Rourke z wydziału zaginionych. Przepraszam, że to tyle trwało; na dole byłem już wcześniej, ale jakiś gość... hm, to znaczy inny detektyw... powiedział mi, że pani nie ma. Powiedział, że mogę mu to dać, ale detektyw O'Rourke mówił, że to tylko dla pani, więc czekałem. A potem pomyślałem, że może powinienem sam sprawdzić, tak na wszelki wypadek...

– Jestem – przerywam mu. – Dawaj.

Znika. Ściągam na siebie wzrok Steve'a, kiedy odwraca się od tablicy, i przywołuję go lekkim ruchem głowy. Żadna z mrówek nie wydaje się tym zainteresowana, ale nie byłabym taka pewna.

– Co jest? – pyta Steve.

– Akta sprawy ojca Aislinn. Tylko nie rób wielkiego halo.

Chłopak pojawia się ponownie, taszcząc kartonowe pudło, które waży chyba więcej niż on. Steve pochyla się nad swoją połową biurka i grzebie w papierach, nie zwracając na niego uwagi.

– Uff – sapie chłopak, stawiając karton obok mojego krzesła i zataczając się do tyłu. – Jeszcze to. – Z kieszeni wyjmuję kopertę i podaje mi.

– Dziękuję – mówię. – Ten facet, który myślał, że mnie nie ma... jak wyglądał?

Chłopak sprawia wrażenie, jakby próbował zniknąć w głębi swojego

garniturę. Czekam na odpowiedź.

– Hm – bąka w końcu. – Pod pięćdziesiątkę? Prawie metr osiemdziesiąt wzrostu, średniej budowy ciała. Ciemne włosy... jakby kręcone, trochę siwizny... Zarost...

Brzmi bardzo podobnie do rysopisu McCanna.

Nie ma żadnego powodu, by McCanna mogło obchodzić, co ktoś mi przysyła.

– Świetnie – rzucam. – Będę musiała mu przekazać, że w tym tygodniu jestem na miejscu. Dzięki.

Chłopak ociąga się z odejściem, liczy na to, że pogłaszczę go po główce.

– Powiem detektywowi O'Rourke'owi, że dobrze się spisałeś – dodaję. – Na razie.

Zmyka na korytarz.

– Co za facet myślał, że cię nie ma? – pyta Steve.

– Ktoś próbował przechwycić te rzeczy. – Wiem, że to brzmi, jakbym popadała w paranoję, ale nic mnie to nie obchodzi. – Z opisu wynika, że McCann.

Steve idzie śladem mojego toku rozumowania i dochodzi do tego samego wniosku.

– Przecież Breslin nie wie, że zajmujemy się ojcem Aislinn.

– Racja. McCannowi nie chodziło konkretnie o te papiery; próbował na nich położyć łapę, bo je zobaczył.

– Niedługo przyjdzie Breslin – mówi Steve. – Chcesz zabrać ten majdan gdzie indziej?

– Pieprzyć to. – Nic nam to nie da. – Jeśli on wróci, kiedy nas nie będzie, ktoś mu powie, że zniknęliśmy, wynosząc ogromne pudło papierów. Poza tym to jest mój pokój operacyjny. Nie będę spierniczał stąd do jakiejś kryjówki. – Szybko to przeczytamy.

Rozrywam już kopertę. Steve przysuwa krzesło do mojego – od niechcienia, sprawdzając równocześnie, czy nie dostał SMS-ów, jak gdyby nie działa się nic ważnego.

Wiadomość brzmi: *Hej, Conway, akta twojego zaginionego. Sugestia od kumpla, nie baw się w ciocię Dobra Rada. Jeżeli coś ci się nie spodoba, gęba na kłódkę, okay? Robiłem co nieco przy tej sprawie, więc gdybyś miała jakieś pytania, dzwoń. GO'R.*

– Hm? – dziwi się Steve. – Trzymać gębę na kłódkę na jaki temat?

– Pojęcia nie mam. – Wpycham list do kieszeni z zamiarem wrzucenia go do niszczarki. – Może nas oświeci, kiedy przejrzymy te papiery.

Razem czytamy raport wstępny, a ja jednocześnie zerkam jednym okiem na resztę pokoju, sprawdzając, czy któraś z mrówek nie zdradza oznak zaciekawienia. Śledztwo prowadził niejaki Feeney; pamiętam jego nazwisko ze starych

dokumentów. Kiedy pojawiłam się w wydziale zaginionych, on od kilku lat był już na emeryturze. Teraz pewnie nie żyje. Jeżeli będziemy potrzebować informacji z pierwszej ręki, będziemy musieli liczyć na Gary'ego.

W 1998 roku Desmond Joseph Murray miał trzydzieści trzy lata, był taksówkarzem, mieszkał w Greystones i pracował w centrum Dublina. Na dołączonych do akt zdjęciach widać szczupłego mężczyznę średniego wzrostu, o starannie uczesanych ciemnych włosach i uroczym krzywym uśmiechu. Ledwie go dostrzegłam w albumach Aislinn. Gapiłam się tylko na nią, w nadziei, że jej twarz odświeży mi pamięć, że nie zauważyłam tego, co miałam przed nosem.

Jest tu tylko jedna fotografia rodzinna. Jego żona była drobna, smągła, zadbana i atrakcyjna; bardzo atrakcyjna, o urodzie bezbronnej dziewczynki z wielkimi oczami i wydętymi ustami, na których widok robi się niedobrze. I jest Aislinn z ciasno zaplecionymi warkoczykami i promiennym uśmiechem, wtulona w otaczające ją ramie ojca.

– Wiesz, kogo mi przypomina? – mówi Steve. – Naszego Rory'ego.

Przechylam zdjęcie w swoją stronę. Rzeczywiście: może nie są bardzo do siebie podobni, ale zdecydowanie w tym samym typie.

– Kurwa mać, co za cholerny banał – mówię. – Głupia pipa powinna była wziąć się w garść, naprawdę tego potrzebowała.

– Próbowала. Przynajmniej za to musisz ją docenić.

Zbierają się chmury, przez co światło wpadające przez okna zmienia się i faluje; pokój operacyjny sprawia wrażenie niebezpiecznego miejsca, jak statek na wzburzonym morzu albo dom na wyspie, nad którą nadciąga burza. Coś – może światło albo głos Steve'a, który rozprasza się w tej pustej przestrzeni i zamiera, zanim dotrze do ścian – coś sprawia, że te słowa, nie wiadomo dlaczego, brzmią ogromnie smutno. Nie chcę za nic doceniać Aislinn, mam ją w dupie i interesuje mnie tylko ze względów zawodowych, ale w tym momencie ona i jej sytuacja wydają się tak gęste i ciężkie od smutku, że dosłownie zwalają z nóg.

– Nie ma znaczenia, co o niej myślę – odpowiadam. – Czytaj.

Piątego lutego, tuż po trzeciej po południu, Desmond wyjechał taksówką z domu do swoich rutynowych czwartkowych zajęć: miał odebrać dziewięcioletnią Aislinn ze szkoły, podrzucić ją do domu, a potem jechać do Dublina i pracować do około pierwszej w nocy, kiedy po zamknięciu pubów wracają ostatni imprezowicze. Zgodnie z planem, odebrał córkę i odwiózł ją do domu. Wtedy rodzina widziała go po raz ostatni.

Około czwartej nad ranem jego żona Evelyn obudziła się, zauważyła, że go nie ma, i zaczęła się niepokoić. Desmond miał komórkę, ale jej nie odbierał; o szóstej zadzwoniła do jego firmy taksówkarskiej, lecz nie odpowiadał również na ich wezwania radiowe. O dziesiątej rano zadzwoniła do miejscowego komisariatu. Zgodnie ze wstępnym raportem, „informatorka była bardzo zdenerwowana”, co

w wewnętrznym kodzie oznacza „zesrana ze strachu”. Miejscowi chłopcy sprawdzili szpitale i dworce, nic nie znaleźli i powiedzieli jej, że mąż prawdopodobnie potrzebuje trochę czasu dla siebie i wróci wieczorem. Kiedy nie wrócił, a informatorka zdenerwowała się do tego stopnia, że musiał przyjechać lekarz i podać jej środek uspokajający, zgłosili sprawę w wydziale zaginionych.

– Zgadza się z wersją Lucy – zauważa Steve. Wygarnia z pudła gruby plik zakurzonych papierzysk, połowę podaje mnie i odsuwa się na swoją część biurka.

– Na razie – mówię. – Pamiętaj, pospiesz się.

Steve zaczyna przeglądać. Kładę nogi na biurku, po czym, zerkając znad papierów, szybko i dyskretnie rozglądam się po pokoju, ale żadna z mrówek nie patrzy w naszą stronę; w niespokojnym świetle wszystkie uwijają się jak pilni uczniowie.

W zeznaniu Evelyn przysięgała, że jej małżeństwo było wspaniałe, zakochali się w sobie w dzieciństwie, a potem żyli długo i szczęśliwie; papier ocieka ckliwymi szczegółami, jak to mąż przynosił czerwone róże i codziennie mówił jej, że jest miłością jego życia. Mnie się wydaje, że to kit, ale sąsiedzi nie podważali jej słów – żaden z nich nie słyszał, żeby kiedykolwiek się kłócili, nic podobnego. Dokumenty finansowe też okazały się czyste: Desmond i Evelyn nie należeli do ludzi zamożnych, ale i nie byli bez grosza. To, co zostawili im rodzice, wystarczyło na spłacenie hipoteki i licencję taksówkarza dla Desmonda, która w tamtych czasach mogła kosztować nawet sto tysięcy. Nie mieli żadnych innych obciążeń; na rachunku bieżącym nie było podejrzenie wysokich lokat ani zagadkowych wypłat sugerujących, że ktoś kupował kokę albo obstawiał zakłady bukmacherskie. Desmond nigdy nie cierpiał na chorobę psychiczną. Nie był notowany – miał na koncie parę mandatów za przekroczenie prędkości, za nieprawidłowe parkowanie, nic poza tym, czego można się spodziewać po taksówkarzu. Znajomi twierdzili, że był pogodnym, towarzyskim facetem, ciężko pracował i lubił swoją pracę, nie miał wrogów i nie był typem człowieka, który zraza do siebie innych. Ich obraz małżeństwa kolegi różnił się od tego odmalowanego przez Evelyn: według nich, Des był w zasadzie więźniem Evelyn, która nie lubiła wychodzić z domu, ale całymi dniami płakała, jeżeli wybierał się dokądś bez niej; panikowała, kiedy ociągał się z odbieraniem telefonu. Żaden z kolegów nigdy jednak nie słyszał, by Des wspominał, że chce od niej odejść, chociaż większość z nich przypuszczała, że jest z nią ze względu na dziecko i wyrwie się w dniu, gdy córka wyprowadzi się z domu. Sprawa nie wygląda mi na szkatułę pełną tajemnic. Pod raportem dostrzegam podpis Gary’ego, zgrabniejszy i wyglądający młodziej niż ten, do którego jestem przyzwyczajona.

– Zeznanie Aislinn – mówi Steve. – Zobacz.

Jest podpisane starannym, krągłym pismem dziecka. W dniu, w którym Desmond zaginął, Aislinn niewiele rozmawiała z ojcem w drodze ze szkoły do

domu; miała zadanie domowe, którego nie rozumiała, i bała się kłopotów, jeżeli nie będzie potrafiła go odrobić, więc myślała przede wszystkim o tym. Nie zauważyła niczego dziwnego w zachowaniu taty, ale pewnie i tak by się nie zorientowała. Zwróciła uwagę tylko na ich pożegnanie, gdy zatrzymał się przed bramą, a ona otworzyła drzwi, żeby wysiąść. Powiedział jej, że ją kocha i żeby była grzeczna, tak jak zawsze; potem jednak przyciągnął ją do siebie i przytulił – co zwykle się nie zdarzało – i powiedział jej, żeby opiekowała się mamusią. Patrzył, jak wchodzi do domu, a kiedy zamknęła drzwi, jeszcze stał i machał do niej.

– Masz tu swoją odpowiedź czarno na białym – mówi Steve. – Facet po prostu zwiął.

– Aha, zwiął. W takim razie co jest w reszcie tej kupy? – Ruchem głowy wskazuję pudło, gdzie została mniej więcej jedna trzecia papierów. Spodziewałabym się, że na tym skończą się akta sprawy. Dorosły mężczyzna, który nie ma powodów popełniać samobójstwa, nigdy nie leczył się psychiatrycznie, nie miał wrogów, ewidentnie pożegnał się z dzieckiem. W takich wypadkach zazwyczaj wysyłało się ostatni komunikat do mediów i przyjmowało założenie, że zniknął, bo chciał, i wróci do domu, kiedy uzna za stosowne, albo nie wróci.

Tyle że wydział zaginionych na tym nie poprzestał. Ściągnął billingi telefonu Desmonda – co trwało kilka tygodni: komórki nie były wtedy tak powszechne, detektywi nie mieli swoich ludzi u operatorów, musieli więc korzystać z oficjalnych kanałów – i namierzył wszystkich, z którymi kontaktował się w ciągu kilku miesięcy. Właścicielami większości numerów byli albo jego koledzy, albo stali klienci, którzy zamiast do dyspozytora firmy dzwonili bezpośrednio do Desmonda, i wszyscy potrafili podać swoje miejsce pobytu w czasie jego zaginięcia.

Ciekawe tylko, dlaczego w ogóle pytano ich o alibi. Wydział zaginionych cierpi na chroniczne braki kadrowe, podobnie jak co druga komórka policji; priorytetem są zazwyczaj dwuletnie dzieci, kiedy rodzice toczą spór o opiekę nad nimi, albo staruszki cierpiące na alzheimera, ale nie faceci z kryzysem wieku średniego.

– Nie masz wrażenia, że dziwnie nad tym pracowali? – pytam Steve’a.

– Byli cholernie dokładni – odpowiada.

– Właśnie. Żeby pytać o alibi klientów? Zabrali się do tego, jakby myśleli, że to było zabójstwo.

– Jeżeli Des Murray był na celowniku w związku z jakąś historią z gangiem w tle, nawet całkiem drobną, poszliby na całość. Na wypadek gdyby miał się stać dla gangu ciężarem i ktoś wpakował mu dwie kulki w łeb, a zwłoki porzucił w górach.

– Nie trafiłam na żaden trop gangu. A ty?

Steve kręci głową.

– Też nie. Ale możliwe, że w aktach nie napisali o tym ani słowa.

To akurat prawda. Jeśli Feeney nie miał ochoty oddawać sprawy przestępczości zorganizowanej, zachowałyby dla siebie wszystkie domysły i przypuszczenia związane z gangami, tak samo jak my.

– Czytaj dalej – ucinam.

Taksówka Desa Murraya została znaleziona na bocznej ulicy w Dún Laoghaire, co oznaczało, że prawdopodobieństwo samobójstwa awansowało o parę oczek – w Dún Laoghaire są odpowiednie mola sięgające głęboko w morze – tyle że w taksówce nie było listu pożegnalnego. Nie stwierdzono też śladów walki ani kradzieży. W samochodzie, w schowku przy dźwigni zmiany biegów, były trzydzieści cztery funty, a kwota zgadzała się ze wskazaniem taksometru z tego popołudnia. Jeżeli Des zwiął, zostawił żonie i dziecku całą kasę, jaką mógł.

Dzwoni telefon dla informatorów; Stanton biegnie odebrać, przez chwilę słucha, po czym odpowiada, że nie przypuszczamy, aby Aislinn Murray wczoraj wieczorem zamawiała wódkę z colą w klubie w Waterford, ponieważ nie żyje, ale dzięki za telefon. Parę mrówek przy biurkach parska śmiechem. Nikt nie unosi wzroku.

– No – odzywa się nagle Steve, cicho, ale takim tonem, że podrywam głowę.

– Proszę bardzo.

Zdejmuję nogi z biurka, obracam się z krzesłem w jego stronę.

– Pokaż.

To raport na temat jednego z kontaktów w telefonie Desmonda Murraya. Dotyczy numeru komórkowego zarejestrowanego na niejaką Vanessę O'Shaughnessy, ale detektywi potrzebowali czasu, żeby ją namierzyć. Okazało się, że wyjechała z kraju. Szóstego lutego popłynęła do Anglii.

– No jasne – mówię. – To musiało zwrócić uwagę wszystkich. – Moją zwróciło na pewno. Prom do Anglii odchodzi z Dún Laoghaire.

Steve przewraca kartki: raport na temat Vanessy O'Shaughnessy. Szybko przebiegamy go wzrokiem. Dwadzieścia osiem lat, asystentka stomatologiczna, mieszkała w Dublinie, dzieląc dom z dwiema współlokatorkami. Zdjęcie ukazuje piegowatego rudzielca o żywym, szelmowskim uśmiechu – urodą nie dorównywała Evelyn, ale mogłabym się założyć, że z Vanessą spędzało się czas znacznie weselej. Prawie dwa lata przed zaginięciem Desmonda Murraya zaczęła dzwonić do niego albo wysyłać SMS-y w każdą niedzielę po południu. Według jej współlokatorek, woził ją do mamy, która miała parkinsona i mieszkała w domu opieki gdzieś w zachodnim Dublinie, dokąd nie dochodzą autobusy, więc uzgodnili, że Desmond będzie to robił stale. Potwierdzała to treść wiadomości, kiedy dostarczył je operator: *Cześć des tu vanessa chcę się upewnić czy możesz przyjechać po mnie o 3?... Cześć vanessa tak będę do zobaczenia.*

Po kilku miesiącach telefony i wiadomości stały się częstsze – dwa, trzy razy

w tygodniu, a potem prawie codziennie. Współlokatorki mówiły, że z jej mamą jest gorzej, więc Vanessa musi ją częściej odwiedzać. W SMS-ach dalej nie było nic obciążającego. *Cześć jesteście umówieni na jutro wieczór? I Tak przyjedź będę gotowa o 7.* Od czasu do czasu jakiś emotikon z uśmiechem; nic bardziej intymnego.

– Krótko i na temat – ocenia Steve.

– Inaczej nie mogłoby być. Żona wiedziała, że Desmond ma komórkę. I wygląda mi na typ, który nie miał oporów przed sprawdzaniem telefonu.

Drugiego stycznia, pięć tygodni przed zaginięciem Desa Murraya, zmarła matka Vanessy. Po pogrzebie dziewczyna oświadczyła swoim współlokatorkom i szefowi, że rzuca pracę i wyprowadza się do Anglii, żeby zacząć nowe życie. Szóstego lutego wyjechała, a Des zniknął.

Według raportu z domu opieki – matka Vanessy zmarła niespodziewanie – jej stan ostatnio wcale się nie pogarszał – a Vanessa nigdy nie odwiedzała jej częściej niż dwa razy na tydzień. Wydział zaginionych poprosił o spłatę długu wdzięczności czyjś kumpla w Anglii i ten dowiedział się, że Desmond Murray złożył wniosek o licencję taksówkarza w Liverpoolu. Wtedy wydział poprosił o spłatę innego długu wdzięczności czyjś kumpla w Liverpoolu; ten udał się pod wskazany adres i potwierdził, że Murray żyje, ma się doskonale i mieszka z Vanessą O'Shaughnessy. Na tym akta się kończą.

– A to niespodzianka – mówię. – Facet znudził się żoną i wymienił ją na nowszy model. Zero powiązań z gangami. I nic wspólnego z naszą sprawą, jak mi się wydaje.

– Ale dlaczego wydział zaginionych nie zawiadomił rodziny? – pyta Steve. – Aislinn nie miała o niczym pojęcia. Dlaczego nie powiedzieli o tym jej matce?

Kiedy namierzasz zaginioną osobę, a ona nie chce, żeby komukolwiek o tym mówić – wiele z nich sobie tego nie życzy – powinieneś trzymać gębę na kłódkę. Zazwyczaj jednak starasz się przekazać rodzinie czytelny sygnał, choćby dla czystego sumienia, gdy matka jakiegoś chłopaczka do towarzystwa przedawkuje valium, bo jest przekonana, że jej synka dopadł seryjny morderca. Sprawa należy właśnie do kategorii tych, które wymagają starannie sformułowanej aluzji: „Oczywiście nie wolno nam ujawniać szczegółów śledztwa, ale mogę panią zapewnić, pani Murray, że nie zamierzamy zwracać się do pani z prośbą o identyfikację zwłok...”. Z jakiegoś powodu Feeney i jego drużyna postanowili tego nie robić.

– Chyba że... Chyba że to była jakaś śliska sprawa i detektywi chcieli chronić rodzinę – podsuwa Steve.

– A może powiedzieli żonie, a ona nie przekazała nic dziecku.

– Przez piętnaście lat? Nawet kiedy dziecko było już dorosłe? I chciało się za wszelką cenę dowiedzieć, co się stało z ojcem?

Wzruszam ramionami.

– Ludzie bywają dziwni. Słyszałeś Lucy: matka wstydziła się, że mąż odszedł. Może wstydziła się też powiedzieć córce dlaczego.

Steve ślini palec i kartkuje górę dokumentów, od czasu do czasu wyjmując stronę czy dwie, żeby dołożyć ją do leżącego na biurku pliku.

– Nie. Przypomnij sobie wiadomość od swojego kumpla. Właśnie o to mu chodziło: nie zawiadomili rodziny, a jeżeli myślisz, że powinni, zachowaj to dla siebie.

– Bo myślę, że powinni zawiadomić rodzinę. To by oszczędziło nam kupę czasu i zawracania głowy.

Steve unosi wzrok.

– Powinni zawiadomić rodzinę, kropka – mówi. – Nawet jeżeli w tle było coś podejrzanego, powinni delikatnie dać do zrozumienia, że Desmond żyje.

– Może. – Składam i wyrównuję swoją połowę akt. – Zadzwońię do Gary’ego, zapytam, o co chodziło.

– Nie uważasz, że powinni?

– Nie wiem. Wyglądam ci na papieża? Trudne decyzje moralne to nie moja broszka.

– Co byś zrobiła, gdyby to była twoja sprawa? Trzymałabyś gębę na kłódkę? Serio?

– Przeniosłabym się do zabójstw. Gdzie nigdy nie trzeba się pieprzyć z takimi głupotami.

– A ja bym powiedział – oznajmia Steve. Chcę wrzucić moją porcję papierów z powrotem do pudła, ale zabiera mi je, dorzuca do swoich i przegląda dalej. – Na pewno. Ojciec Aislinn? Mąż tej kobiety? Miały prawo wiedzieć. Gdyby wiedziały, co się naprawdę stało, nie spałyby sobie życia, w każdym razie nie aż tak.

Wyjmuję telefon, ale słowa Steve’a sprawiają, że się odwracam.

– Tak? Bo co? Jeżeli nie wiedziały, gdzie jest tatuńcio, nie miały innego wyjścia, tylko zamknąć się na cztery spusty w domu, żeby się zadręczać? Nie można inaczej stanąć na nogi i wrócić do życia?

Brzmi to ostrzej, niż zamierzałam. Steve przerywa grzebanie w papierach.

– Daj spokój. Tego nie powiedziałem. Tylko... jeżeli przez większość czasu czekają, aż ojciec stanie w drzwiach, a przez resztę wyobrażają go sobie leżącego gdzieś w górach, to tak, od tego może namieszać się w głowie.

Wybieram numer Gary’ego i jednym okiem zerkam na drzwi, czy nie pojawi się w nich Breslin.

– Nie musiały się tak zachowywać. Policja ich do tego nie zmuszała. Mogły sobie znaleźć hobby. Zrobić coś na drutach.

– To chyba nie... – zaczyna ostrożnie Steve, ale przerywam mu, unosząc

rękę; w telefonie rozlega się sygnał.

Znowu poczta głosowa. Nie chcę się martwić, dlaczego Gary nie chce ze mną rozmawiać.

– Cześć, Gary, tu Antoinette. Dostaliśmy, dzięki. Przejrzeliśmy; twój człowiek może to odebrać, kiedy będziesz chciał. – Nie zamierzam przekazywać pudła żadnej z naszych mrówek. – I przedzwoń, jak będziesz miał okazję, dobra? Mam parę pytań i wolałabym je zadać tobie, zamiast ścigać kogoś innego. Na razie.

Rozłączam się.

– To go powinno zainteresować, jeżeli nie chce, żebym męczyła detektywów, którzy prowadzili sprawę. A jeżeli kryło się za tym coś śliskiego, da mi znać, żebym przestała węszyć.

– Tu są najważniejsze rzeczy – informuje mnie Steve, unosząc plik papierów, które wyjął z akt. – Chcę zrobić ksero. Na wszelki wypadek. – Zgarnia z biurka garść przypadkowych papierów, wciska między nie zeznania i swobodnym krokiem rusza do drzwi, bez pośpiechu, jakby nie robił niczego, na co warto zwracać uwagę.

Nogą wsuwam karton pod nasze biurko, żeby czekał, dopóki Gary nie przyśle po niego chłopaka w marnym garniturze. Nie widzę powodu, dla którego Breslin nie powinien widzieć tego pudła – o ile nam wiadomo, nie ma tu nic do oglądania – mimo to nie chcę, żeby je zobaczył. Powtarzam sobie, że to tylko zdrowy rozsądek, wszystko jedno, co się stanie; jeżeli w aktach nic nie ma, nie chcę, żeby Breslin nas opierniczył, że marnujemy czas. Potem rozkładam przed sobą dokumenty finansowe Rory'ego i na użytek siedzącego tu pieska Breslina, ktokolwiek nim jest, udaję, że szalenie mnie intrygują.

Mam intuicję – wcale się nie chwale, ma ją każdy detektyw, zwłaszcza ci, którzy trafiają do zabójstw – i wiem, jak ją wykorzystać. Zawsze działała, kiedy cała solidna robota śledcza doprowadzała mnie do ściany. Tym razem jednak za cholerę nie ma z niej pożytku. Nie chodzi o to, że przestała działać – wszystkie sensory buzują, mrugają czerwone lampki, dźwięczą sygnały kontrolne – ale tylko penetrują i niczego nie potrafią zidentyfikować. Rory coś ukrywa, ale nie wiem, czy zabójstwo, czy coś innego; Breslin robi nas w jajo, ale nie umiem się domyślić dlaczego. Mam wrażenie, że nie dostrzegałam czegoś oczywistego, ale im mocniej się skupiam, tym więcej odbieram zakłóceń. Coś po drodze miesza docierające do mnie sygnały.

Inny detektyw, z większym doświadczeniem niż ja, prawdopodobnie by sobie z tym poradził. Oprócz umiejętności korzystania z szóstego zmysłu detektywi mają jeszcze jedną zdolność: unieszkodliwiania intuicji innych. Podejrzani nie popełniają błędów dlatego, że są kretynami, w każdym razie nie wszyscy. Popełniają błędy, bo wiem, jak ich zmylić.

Ktoś chce, żebym popełniła błąd. A ja mam w głowie kompletny mętlik,

ponieważ wszystkie moje systemy świrują.

To akurat samo w sobie nie zbija mnie z tropu. Zagrożenie nie jest czymś, co zakłóca odbierane przeze mnie sygnały; to jedyna rzecz, dzięki której mam na tyle jasny umysł, żeby mieć szansę odnalezienia wyjścia z tej kabały. Patrzę na wracającego Steve'a, który idzie między biurkami, niosąc wystającą z naręcza papierzysk nowiutką niebieską teczkę, i mam wielką nadzieję, że mój partner funkcjonuje tak samo jak ja.

Niedługo potem wchodzi Breslin, otwierając z rozmachem drzwi pokoju operacyjnego i oznajmiając światu:

– Jezu Chryste, ci znajomi podejrzanego... sami pieprzeni nauczyciele historii. Ktoś chce wiedzieć, jak zmieniła się krzywa wskaźnika zabójstw od założenia Wolnego Państwa Irlandzkiego?

Czuję się jak nastolatka na widok kogoś, kto jej się podoba: ta sama błyskawica przesywająca mostek i sięgająca w głąb.

– Cześć – mówię.

Mrówki odpowiadają Breslinowi śmiechem, na który czekał, ale nie raczy wyrazić za to wdzięczności; patrzy tylko na mnie i Steve'a.

– Coś nowego?

– Dzwonił Cooper – mówię.

– I?

– I mamy dwie możliwości. Albo potężny kulturysta zadał jej cholernie mocny cios, przewróciła się i roztrzaskała sobie głowę o kominek. Albo ktoś, niekoniecznie kulturysta, popchnął ją, upadła na kominek, nie odnosząc przy tym poważniejszych obrażeń, a wtedy on podszedł i uderzył ją, kiedy leżała.

Breslin zastyga w bezruchu i przez chwilę ma głupią minę. Pod spodem gorączkowo kłębią się myśli. Podobnie jak mnie i Steve'owi, trudno mu sobie wyobrazić Rory'ego w takiej hardcorowej akcji i nie jest z tego powodu zadowolony.

Szybko to jednak maskuje.

– Kulturysta – prycha kpiąco. – Nie chcę obrazić Coopera, ale to typowe gadanie gościa z laboratorium. Gdyby spędził trochę czasu w okopach, na pewno by wiedział, że nawet taki mięczak jak Rory potrafi zdrowo przyładować, kiedy się odpowiednio wkurzy.

Też tak myślałam, ale gdy słyszę to z jego ust, wydaje mi się, że nie powinnam dać się nabrać.

– Być może – przyznaję.

Breslin rusza slalomem między biurkami, zmierzając w naszą stronę, a po drodze klepie po ramieniu Stantona.

– Trzeba się dowiedzieć od Rory'ego, prawda? Fajnie będzie go zapytać, kiedy go tu znowu ściągniemy.

– Będzie kompletnie zaskoczony – odpowiada uprzejmie Steve. Niebieska teczka zdążyła już zniknąć w morzu papierów na biurku.

– Nie mniej niż ona – kwituje Breslin, jak było do przewidzenia, ale mówi to bez przekonania. – Podobno dostaliście przesyłkę. Coś miłego? Chcielibyście się pochwalić przed grupą?

Ja i Steve spoglądamy na siebie zdumieni.

– Billingi telefonu ofiary, tak? – mówi Steve.

– Chyba że strasznie dużo dzwoniła. McCann mówił, że dostaliście wielkie pudło czegoś tak ważnego, że kurier nie chciał wypuścić tego z rączek. – Czubkiem lśniącego buta trąca wystający spod biurka róg kartonu. – Czy to może jest to?

Patrzy na mnie spod półprzymkniętych powiek jakby mimochodem, na granicy nonszalancji. Nie ma sensu się uchylać, chyba że jestem gotowa zablokować mu dostęp do pudła własnym ciałem; zresztą niespodziewanie uznaję, że mam już dość chodzenia na paluszkach koło Złego Breslina, zasłaniania plecami własnego śledztwa jak dzieciak chowający papierosa na widok nauczyciela.

– To? Ojciec Aislinn zaginął, kiedy była mała – mówię, obserwując jego twarz. – Moran pomyślał, że to może mieć jakiś związek z naszą sprawą. Na przykład, że zamieszany był jakiś gang albo nie udało im się spotkanie po latach.

Breslin robi wielkie oczy.

– Gang? Moran, Conway... Mówicie serio? Myślicie, że ojca Aislinn porwał gang i wrócił dwadzieścia lat później, żeby ją zabić? Cudowne. Opowiedzcie coś jeszcze.

Ledwie nad sobą panuje, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Steve pochyla głowę i czerwieni się.

– Nie, wcale nie myśleliśmy, że naprawdę... To znaczy, tak się tylko zastanawiałem. – Wraca do roli tępawego żółtodzioba, ale rumieniec jest prawdziwy.

W tej kwestii częściowo zgadzam się z Breslinem, ale chodzi mi po głowie coś innego. Myślę o jego twarzy, kiedy mu powiedziałam, co jest w pudle: może na jedną dziesiątą sekundy rozluźniła się z ulgą. Jeżeli próbuje nas od czegoś odwieść, nie ma to nic wspólnego z ojcem Aislinn.

– Nie trzymajcie mnie w takiej niepewności – mówi Breslin. Ciągłe się uśmiecha. – Kto zabił? Baroni narkotykowi? Przemytnicy broni? Mafia?

– Okazuje się, że ojciec zwił do Anglii, żeby zamieszkać z młodszą – wyjaśniam. – Nie było też żadnego spotkania po latach. Wszystkie kontakty znalezione w elektronice Aislinn zostały sprawdzone.

Wydaje mi się, że na twarzy Breslina znowu dostrzegam trwającą mgnienie oka erupcję ulgi, ale zanim zdążę nabrać pewności, maskuje ją udawanym bezbrzeżnym zdumieniem.

– Nie! – Wzdryga się, kładąc dłoń na piersi. – Chyba sobie żartujesz. Kto by przypuszczał?

Trochę przesadza. Breslin jest starym wygą, ma na to za dużo doświadczenia. Za bardzo chce nas zawstydzić, że w ogóle przyszedł nam do głowy wątek gangsterski.

– Wiem – mówi żałośnie Steve, kiwając głową i równocześnie wzruszając

ramionami. – Naprawdę. Po prostu nie chciałem niczego pominąć.

– Dalej szperaliście po krzakach – rzuca drwiąco Breslin. Uśmiech znika z jego twarzy. – Tak to chyba nazwałeś? Nie jestem przekonany, że podatnicy akurat na to chcieliby przeznaczać pieniądze, ale przecież to nie ja jestem tu szefem. Szperajcie sobie dalej. Dajcie znać, jeżeli coś znajdziecie.

– Zrobi się – przytakuje Steve. – Miałem tylko nadzieję... – Z miną winowajcy wicherzy sobie czuprynę.

Breslin rzuca z ramion płaszcz i wieszka na oparciu krzesła – wybrał biurko blisko naszego, czuje się więc szczególnie wyróżniona.

– Między nadzieją a desperacją jest bardzo cienka linia. Trzeba wiedzieć, kiedy wrzucić na luz, jak to mówią.

– Już wrzuciliśmy – odpowiadam. – McCann chce przejrzeć akta? Zanim odeślemy je z powrotem do wydziału zaginionych?

Odpowiedzią jest znaczące spojrzenie.

– McCann próbował wam pomóc, Conway. To się nazywa uprzejmość. Mogłabyś się nauczyć normalnie ją przyjmować, zamiast wpadać w furję.

Steve wierci się na krześle i próbuje wysłać do mnie uspokajające wibracje.

– Wyślę mu kartkę z podziękowaniem – odgryzam się. – Jak wczoraj wieczorem sprawił się Gaffney?

– Dobrze. Nie należy do najlotniejszych orłów, ale w końcu uda mu się do czegoś dojść.

– W takim razie dlaczego dzisiaj się go pozbyłeś? – pytam.

Breslin otrzepuje i wygładza tu i ówdzie płaszcz, żeby się nie pogniótł – dbając o to, żebyśmy zauważyli metkę Armaniego – ale na moje pytanie unosi głowę.

– Że co?

– Miał chodzić za tobą cień. Twierdzi, że mu powiedziałaś, że nie będzie ci potrzebny w czasie przesłuchań znajomych Fallona.

– Bo nie był. Potrafię słuchać i pisać równocześnie. Wielozadaniowość, Conway, już nie jest tylko dla pań.

– Miło mi to słyszeć. Ale ty byłeś potrzebny Gaffneyowi. Przede wszystkim dlatego kazałam mu zostać przy tobie. Nie chcę, żeby jakiś żółtodziób coś schrzanił, bo nikt mu nie pokazał co i jak. Dlaczego go zostawiłeś?

Spodziewam się, że tak jak rano zaciśnie zęby i będzie udawał mojego kumpla. Między innymi dlatego się go czepiam: chcę, żeby Steve to zobaczył. Breslin natomiast nachyla się konspiracyjnie, a kącik jego ust unosi się w uśmiechu.

– Conway. Daj spokój. Człowiekowi trzeba dać trochę luzu. Od czasu do czasu facet ma spotkanie, które musi odbyć zupełnie sam. Rozumiesz, o czym mówię? – I naprawdę puszcza do mnie oko.

Czyli zrobił sobie przystanek po drodze, żeby wsadzić fiuta tam, gdzie nie powinien. To by nie tylko wyjaśniało, dlaczego pozbył się Gaffneya, ale i usprawiedliwiało osobę, która tego dnia rano nie powinna dzwonić na jego komórkę.

Nie kupuję tej bajeczki. W wydziale, gdzie o metodach zdrady rozmawia się podczas przerwy na kawę, Breslina i McCanna nazywa się Mnichami. Według informacji poczty pantoflowej, żaden z nich nigdy nawet nie zerknął na co ładniejsze policjantki z patrolu ani nie próbował zagadać do laski z kryminalistyki, do której każdy próbuje zagadać. Breslin pewnie przypuszcza, że ja i Steve jesteśmy za daleko od kręgu wtajemniczonych, żeby o tym wiedzieć. Zapomniał, że nie zawsze byliśmy wewnętrznymi wyrzutkami wydziału, zapomniał, że dzieciaki marzące o przydziale do zabójstw chciwie chłoną każdą plotkę o niezwykłych, dumnych i wyniosłych stworzeniach, do których być może kiedyś dołączą.

– Jasne, morda w kubek – mówi szybko Steve, unosząc rękę. Jego uśmiech wyraża coś pomiędzy zażenowaniem a podziwem, jestem jednak prawie pewna, że myśli to samo co ja. – O niektórych sprawach dżentelmen nie mówi.

– Zgadza się, Moran. Bardzo ci dziękuję.

– No dobra. – Przywołuję na twarz taki sam uśmiech jak Steve. – Gaffney chyba nie narobi dużej szkody, jeżeli przerzuci tu trochę papierów. Jak poszło ze znajomymi Rory'ego?

– Świetne rozmowy pod każdym względem. – Breslin siada na krześle, odpala komputer i czekając, aż się uruchomi, przeciąga się. – Zgraja sztywnych nudziarzy z gatunku tych, co poprawiają twoje błędy gramatyczne i uważają, że trzy drinki na mieście to upojny wieczór, ale, moim zdaniem, za bardzo się nas boją, żeby kłamać. Wszyscy mówią o Rorym to samo: facet jest do rany przyłóż, nie skrzywdziłby muchy. Jeden powiedział mi, że Rory nie chciał nawet oglądać boksu, bo to zbyt przykre. Co za delikatniś!

To by się zgadzało: nasz podejrzany nie lubi, kiedy rzeczywistość wdiera się w jego życie.

– Nawet delikatniś potrafi stracić głowę – zauważam.

Breslin z aprobatą pstryka palcami.

– Otóż to, Conway. Potrafi. Właśnie miałem sam to powiedzieć. Wszyscy znajomi zgodnie twierdzą, że Rory zakochał się w Aislinn po uszy: odkąd ją poznał, gadał o niej bez przerwy. Mówią, jak gdyby to było dobre: patrzcie, tak się zadurzył, że na pewno nigdy nie zrobiłby nic złego swojemu słoneczku. Chyba nie przyszło im do głowy, że między zadurzeniem a obsesją jest bardzo cienka linia. – Zerka na nas, wyjmując z kieszeni notes. – Miło słyszeć, że jedno z was przyznaje, że opętany obsesją chłopak na miejscu zdarzenia może być podejrzany. Conway, czyżby nie myliło mnie przecucie, że zaczęło cię męczyć grzebanie

w poszukiwaniu czegoś więcej?

– Nie – odpowiadam. – To niezła gimnastyka. Ale jak mówisz, dopóki nie znajdziemy czegoś dużego, mamy tylko Rory’ego. Wystarczy jeden twardy dowód, i możemy zamykać sprawę. Puściłeś głosy facetowi w Stoneybatter, który odebrał zgłoszenie?

– A właśnie. Słówko w tej kwestii, Conway... – Breslin zerka na mrówki i zniża głos: – Musisz się nauczyć, jak należy rozdzielać zadania. Wiem, że to brzmi jak nudne kierownicze pierdoły, ale teraz prowadzisz śledztwa; czy ci się to podoba, czy nie, jesteś szefem. I nie trzeba detektywa z zabójstw z dwudziestoletnim stażem, żeby parę razy wcisnąć odtwarzanie.

Ktoś ma tu chyba za duże ego, żeby się zmieścić w drzwiach posterunku w Stoneybatter. Steve znowu wierci się na krześle.

– Jasne – przyznaję potulnie. – Wyślemy tam Gaffneya? Żeby wiedział, że nie stracił w twoich oczach?

– Teraz mówisz jak prawdziwy detektyw prowadzący sprawę. Tak zrobimy. Powiedz mu sama, żeby wiedział, kto tu rządzi. Co ty na to? – Breslin posyła mi życzliwy i promienny uśmiech mądrego nauczyciela, od którego poczułabym miłe ciepło, gdybym była głupsza niż wór owsa.

– Dzięki – mówię z głęboką wdzięcznością. – Świetny pomysł. – Obracam krzesło, nie patrząc na Steve’a, żeby któreś z nas nie dostało ataku chichotu, i wołam: – Gaffney, chodź! Mam dla ciebie robotę.

Gaffney tak się spieszy, że prawie spada z krzesła.

– Proszę. – Breslin rzuca mu dyktafon. – Tu są próbki głosów Rory’ego Fallona, jego braci i wszystkich kumpli. – Patrzy na mnie, unosi brew i wysuwa brodę w stronę Gaffneya, aby nie było wątpliwości, że daje mi znak.

– Weź to, jedź na posterunek w Stoneybatter i sprawdź, czy któryś głos wyda się znajomy temu, kto odebrał telefon. Gdyby nie był pewien, zorganizuj mu okazanie głosów. Poradzisz sobie?

Gaffney przyciska dyktafon do piersi jak skarb.

– Tak, poradzę. Nie ma sprawy. Wezmę... pojedę. – Z takim zapalem obraca głowę raz do mnie, raz do Breslina, próbując ustalić, kto tu jest szefem, że trudno mu sklecić jedno zdanie.

– Dzięki. – Breslin nagradza go uśmiechem. – Zrób coś dla mnie: jak będziesz wracać, kup mi kanapkę. Szynka, ser i sałatka na ciemnym pieczywie, bez cebuli. Nie miałem okazji zjeść lunchu i umieram z głodu. – Znowu puszcza oko do mnie i Steve’a, po czym wyjmuje kasę, żeby dać Gaffneyowi. – Przepraszam, nie mam drobnych.

To pięć dych. Siedzę na tyle blisko, że udaje mi się zobaczyć, skąd wyciągnął pieniądze: z grubego zwitka banknotów w kieszeni koszuli, wsuniętego do wymiętej białej koperty.

* * *

Miałam rację, że moja wiadomość da Gary'emu kopniaka w tyłek; pięć minut później na ekranie telefonu wyświetla się jego imię. Nie ma mowy, żebym odebrała w obecności Breslina siedzącego półtora metra ode mnie, nie ma też mowy, żebym demonstracyjnie wychodziła na korytarz.

– Cholera jasna, mam, jestem w pracy – mruczę pod nosem, wciskam ODRZUĆ POŁĄCZENIE i wpycham telefon z powrotem do kieszeni. Udając zmieszanie, zerkam w stronę Breslina, sprawdzając, czy słyszał; patrzy na zeznanie, które właśnie przepisuje, ale na jego twarzy drga cień uśmiechu.

Czekam kwadrans – chętnie przeciągnęłabym to o kilka minut, ale jest piąta, a o wpół do szóstej mamy odprawę – po czym wychodzę z pokoju operacyjnego, zostawiając płaszcz i torbę. Jeżeli dobrze pójdzie, Breslin pomyśli, że oddzwaniem do mamy. Nie patrzę na Steve'a. Mam nadzieję, że nie muszę.

Na zewnątrz jest ciemno; białawe oświetlenie, przenikliwy chłód, widok przypadkowego urzędnika, który z postawionym kołnierzem pędzi do domu, sprawiają, że wielki dziedziniec wygląda niepokojąco i złowrogo jak krajobraz przyszłości, do którego wpadłam przez pomyłkę i nie mogę odnaleźć wyjścia. Znajduję ciemne miejsce, otulam się szczelnie żakietem i patrzę na zegar w telefonie.

Cztery minuty później otwierają się drzwi i z budynku wykrada się Steve, próbując zapanować nad wielkim naręczem papierów, po czym ostrożnie zamyka za sobą drzwi, żeby nie trzasnęły.

– Najwyższy czas – mówię, łapiąc kartkę, która wysuwa się ze sterty.

– Spadajmy stąd. Mam niby kserować to wszystko. Jeżeli Breslin pójdzie mnie szukać...

– Nic lepszego nie mogłeś wymyślić? Chodź, szybko... – Zmykamy za róg budynku, śmiejąc się z własnej zuchwałości jak para dzieciaków na wagarach, co jest chyba lepsze od rozmyślania nad faktem, że chociaż podobno mam do dyspozycji pokój operacyjny C, to jestem tu i wystawiam tyłek na ziąb.

Park widać z naszych okien, a na dziedzińcu moglibyśmy się natknąć na Gaffneya wracającego ze Stoneybatter. Idziemy na plac przed głównymi budynkami zamku, gdzie można spotkać wyłącznie turystów – choć przy tej pogodzie nie ma na nim żywego ducha – i znajdujemy kącik osłonięty od wiatru. Mam wrażenie, że otaczające nas budynki mają ze trzydzieści metrów wysokości; błyśnięcie latarni odbiera im barwę i fakturę, mogłyby być zrobione z czegokolwiek: blachy, gładkiego plastiku czy powietrza.

Steve kładzie na ziemi papiery i stawia na nich stopę, żeby nie odfrunęły. Jest w samej koszuli; zmarznie. Trzymając telefon między nami, wybieram numer i włączam głośnik.

– Hej – odzywa się Gary. – Dostałaś to, nie?

Jest starszy ode mnie o dziesięć lat i idealnie nadaje się do swojej roboty. Spora część pracy w wydziale zaginionych polega na nakłanianiu do rozmowy ludzi, którzy wolą trzymać się z daleka od gliniarzy – prostytutek, żeby ci opowiedziały o nowej dziewczynie na ulicy, której rysopis pasuje do pokazywanej w wiadomościach nastolatki, bezdomnych ćpunów, którzy wpadają, mówią, że gość próbujący spać w ich rewirze wygląda dokładnie jak twarz z tego plakatu, i pytają, czy dostaną jakąś nagrodę? Wszyscy rozmawiają z Garym, a on rozmawia z każdym i między innymi dlatego wysłałam do niego Aislinn. Inna równie spora część pracy polega na pacyfikowaniu rodziny i przyjaciół zaginionego, a Gary potrafi uspokoić cały pokój samym pojawieniem się w progu; raz byłam świadkiem, jak w ciągu dziesięciu minut wytropił stukniętą nastolatkę, która uciekła z domu, kiedy udało mu się tak skutecznie uspokoić jej rozhisteryzowaną, również stukniętą przyjaciółkę, żeby przypomniała sobie imię chłopaka, którego tamta poznała przez internet. Gary jest potężnym facetem; wygląda, jakby w razie potrzeby potrafił zbudować szopę, i ma charakterystyczny głos – cichy, głęboki, z odrobiną akcentu z prowincji – którego dźwięk sprawia, że masz ochotę zamknąć oczy i zasnąć. Słyszając ten głos, trochę się rozluźniam.

– Hej – rzucam. Gary rozmawia z biura wydziału zaginionych; w tle snuje się gwar rozmów, ktoś kogoś strofuje, ktoś się śmieje, dzwoni telefon. – Tak, dostałam. Jesteś nieoceniony. Mam tylko parę szybkich pytań. Zrobisz dla mnie coś jeszcze? Możesz pójść do jakiegoś ustronnego miejsca?

– Nie ma sprawy. Zaczekaj chwili... – Słyszę skrzypnięcie krzesła, które miesza się z komentarzem któregoś z rozbawionych chłopaków. – Tak, tak, tak – odpowiada mu Gary. – Przemądrzały gnojek, chce wiedzieć, czy nie dokucza mi prostata – informuje mnie. – Dzisiejsza młodzież nie ma za grosz szacunku.

– Och, Gar. Nie przejmuj się. Ja cię szanuję.

– Przynajmniej nie nabijasz się z mojej prostaty. Nigdy nie nabijaj się z niczyjej prostaty. To nie fair.

– Poniżej pasa, nie?

– Jezu drogi, takie u was są żarty? – Trzask zamykanych drzwi, głosy cichną; Gary wyszedł na korytarz. – Dobra, co chciałaś wiedzieć?

Steve rozgląda się, pilnując dróg prowadzących na plac, ale słucha.

– Po pierwsze – zaczynam – zabraliście się do sprawy Desmonda Murraya całą armią. Wszystkie okoliczności wskazywały na to, że przepadł z własnej woli, potem okazało się, że rzeczywiście przepadł z własnej woli, ale pracowaliście nad tym, jakby chodziło o zabójstwo. Dlaczego?

Gary prycha.

– To bardzo proste. Przede wszystkim z powodu jego żony. Widziałaś zdjęcie?

– Tak. Była bardzo atrakcyjna.

– Fotka tego nie oddaje. Była przepiękna. Nie w typie laski, co to masz ochotę zerwać z niej seksowną bieliznę i bzykać do nieprzytomności; w typie, który wzbudza uczucia opiekuńcze. Chcesz otwierać przed nią drzwi. Trzymać nad nią parasol. – Jego głos jest przygłuszony szumem wody i brzękiem naczyń; Gary płucze kubek w kuchni, przytrzymując telefon pod brodą. – I wiedziała, jak to wykorzystać. Patrzyła na nas jak na superbohaterów, powtarzała, że na pewno znajdziemy jej męża, ma szczęście, że trafiła na nas, i nie wie, co by zrobiła, gdyby całe jej życie znalazło się w rękach ludzi, którym nie mogłaby zaufać tak, jak ufa nam... i tak w kółko. Płakała we wszystkich właściwych chwilach i dbała, żeby dobrze przy tym wyglądać. Jej mąż właśnie zaginął, ale mimo to robiła sobie fryzurę, makijaż, ubierała się w ładne sukienki. Wiedziała, co robi, jak nic.

Zdaje się, że Aislinn odziedziczyła to po mamusi.

– Myślisz, że to była komedia? Że guzik obchodził ją mąż i zależało jej po prostu na tym, żeby zwracać na nią uwagę?

Gary cmoka.

– Nie, to nie tak. Odwrotnie. Chyba naprawdę strasznie chciała odzyskać męża. Nie była typem towarzyskiej osoby, nie miała przyjaciół, pracy, nie miała nic oprócz niego i dziecka, więc kiedy zniknął, zaważyło się jej całe życie. A zdawała sobie sprawę, że faceci będą wychodzić ze skóry, żeby się nią zaopiekować, jeżeli będzie śliczna i pachnąca; wiedziała, że nie ma na to lepszego sposobu.

– Urocze – mówię. Słyszę warkot ekspresu do kawy; zamiast non stop narzekać na lurowatą kawę, tak jak w zabójstwach, wydział zaginionych zrzucił się po parę euro od głowy i sprawił sobie porządny ekspres. – I poskutkowało.

– Aha. Akurat na mnie taki typ nie działa, ale paru chłopaków byłoby gotowych sprowadzić wojsko, żeby przeczesać kraj w poszukiwaniu jej męża. Namierzyć kilka komórek, przesłuchać kilku dodatkowych świadków... to był dla nich naprawdę drobiazg.

Sporo pamięta o tej kobiecie jak na kogoś, kogo nie ruszały jej wdzięki. Zbywam to milczeniem – Gary wyzwała we mnie lepszą stronę mojego charakteru.

– Czyli nie chodziło o to, że ktoś podejrzewał Murraya o związki z gangami? Wybuchają śmiechem.

– Jezu, nie. Nic podobnego. Murray był czysty jak łąza. Przynajmniej jeżeli chodzi o przestrzeganie prawa.

Rzucam Steve'owi znaczące spojrzenie. Krzywi się, ciągle nieprzekonany. Włożył sobie ręce pod pachy, żeby nie zmarzły.

Przewracam oczami i mówię do telefonu:

– Na pewno coś byś słyszał?

– Serdeczne dzięki, Antoinette.

– Daj spokój, Gar, przecież wiesz, że nie chcę ci dogryźć. Ale ile miałeś wtedy lat, dwadzieścia sześć, siedem? Skończyłeś z patrolem jakieś trzy tygodnie wcześniej, nie? Prowadzący sprawę detektywi niekoniecznie mówili ci wszystko, co im chodziło po głowie.

Słysząc cichy brzęk łyżeczki w kubku z kawą.

– Tak to wyglądało, kiedy u nas byłeś? – pyta Gary. – Myślisz, że coś przed tobą ukrywałem, żeby nowa знаła swoje miejsce?

– Nie. Ty byś mi powiedział.

Wydział zaginionych różni się od zabójstw. W zaginionych nie pracujesz nad sprawą po to, żeby złapać bandytę; pracujesz nad sprawą, żeby szczęśliwie się zakończyła. Jeżeli nawet okoliczności wskazują, że należałoby złapać jakiegoś bandziora, to zazwyczaj nie jest już twój problem – jeżeli, na przykład, odnajduje się ofiarę, której śmierć wydaje się podejrzana, od razu przekazujesz sprawę do zabójstw. Może się zdarzyć, że przez całe życie zawodowe ani razu nie sięgniesz po kajdanki. Taka wizja przyciąga zupełnie inny typ ludzi niż zabójstwa albo przestępstwa seksualne, wydziały, w których skupiasz się na zadaniu ostatecznego ciosu, a happy endów nie ma w programie, co sprzyja zupełnie innej atmosferze. Wydział zaginionych nigdy nie był dla mnie, ale na chwilę ogarnia mnie fala tęsknoty za powrotem. Czuję zapach dobrej kawy, słyszę Gary’ego śpiewającego teatralnie *Bring Him Home* po szczęśliwym zakończeniu sprawy, gdy wszyscy wrzeszczą, żeby się zamknął i spróbował sił w *X Factorze*, wymyślam nowe miejsca, w których można schować tego gumowego chomika. Jak dziecko, które chce do mamusi, gdy tylko zaczyna być ciężko. Niedobrze mi się robi.

– Pewnie, że bym powiedział – przytakuje Gary. – Tak samo było wtedy: gdyby prowadzący sprawę pomyśleli o gangach, powiedzieliby mi. Skąd w ogóle ten pomysł?

Na wszelki wypadek nie patrzę w stronę Steve’a, żeby nie dostrzegł w mojej twarzy oznak, że na chwilę zamieniam się w mięczaka.

– Pamiętasz córkę Murraya, którą do ciebie przysłałam, kiedy przysłała pytać o ojca? Została zamordowana.

– Hm. – Gary jest zaskoczony, ale nie zszokowany. – Panie, świeć nad jej... Miła dziewczyna, takie miałem wrażenie, kiedy do mnie przysłała. Myślisz, że wplątała się w historię z jakimś gangiem?

– Niekoniecznie. Wszystko wskazuje na to, że jej chłopak dostał szafu, ale na wszelki wypadek chcemy wyjaśnić parę szczegółów. Zastanawialiśmy się, czy kiedy szukała tatusia, nie nastąpiła komuś na odcisk.

– Nie byłoby powodu. W sprawie nie było śladu żadnych śliskich interesów.

Naprawdę chciałam, by Gary powiedział mi, że coś jednak śmierdziało. Czuję przenikającą mnie razem z zimnem świadomość, jak bardzo tego pragnęłam. Nie wiem, czy od początku wiedziałam, że nie powie.

– Detektywi – szepcze Steve. – Dlaczego nie pisnęli słowa rodzinie?

– Druga rzecz – mówię do Gary’ego. – Był jakiś powód, dla którego nie powiedzieliście im wtedy, gdzie się podział ojciec?

Gary przełyka kawę i sapie z rozdrażnieniem.

– Antoinette. Kiedy ci napisałem, żebyś nie bawiła się w ciocię Dobra Rada, nie żartowałem. To nie była twoja sprawa, nic ci do tego, jak ją prowadzili. Jeżeli zaczniesz kłapać dziobem, że wszystko zrobiłabyś inaczej, tylko wkurzysz ludzi. Myślisz, że możesz sobie na to pozwolić?

Co oznaczało, że wieści już się rozeszły. Wydział zaginionych został poinformowany, że traktuje się mnie jak zarazę. Gdybym nawet chciała przenieść się do nich z powrotem, szef prawdopodobnie by mnie nie przyjął. Wie, że jestem dobra, ale nikt nie chce detektywa, który przynosi ze sobą masę problemów. I nie ma nic do rzeczy, czy to jego problemy, czy innych.

– No to nie prowokuj mnie do kłapania dziobem – ripostuję. – Skończ z tym tajnym przez poufne i powiedz, co było grane, to nie będę musiała pytać innych detektywów.

– Nie ma nic tajnego przez poufne. Kiedy namierzyli Murraya, nie pracowałem już przy tej sprawie, byłem jedynie przy pierwszej fazie. Więc nie znam wszystkich szczegółów. Słyszałem tylko, że znaleźli go w Anglii, gdzie uwił sobie gniazdko ze swoją nową ukochaną. Zadzwoił do niego jeden z naszych chłopaków: facet był szczęśliwy jak świnia w błocie, nie zamierzał wracać do domu i nie chciał, żeby ktokolwiek mówił coś jego żonie i córce. No więc, nikt im nie powiedział.

Gary bierze moje milczenie za dezaprobatę – ale się myli, bo ja też wolałabym się do tego nie mieszać. Po prostu jakaś tępa częśćka mnie ciągle ma nadzieję, że to nie jest cała historia.

– Nie prowadzimy terapii rodzinnej – oświadcza Gary. – Dobrze wiesz. Rozwiązywanie czyjegoś trójkąta małżeńskiego to nie nasza sprawa; mamy tylko znaleźć faceta, a oni to zrobili. Zamknęli sprawę i zabrali się do następnej.

Steve robi drwiącą minę, zwracając twarz w stronę ciemnych okien patrzących na nas pustymi oczami; ciągle nie daje mu to spokoju.

– Nie mówiąc nawet żonie, że Desmond żyje? – pytam. – Wspomniałeś, że owinęła sobie wszystkich detektywów dookoła palca, że stawali na głowie, żeby znaleźć dla niej informacje. Ale kiedy naprawdę dowiadują się, co się stało, nabierają wody w usta?

– Powtarzam ci tylko to, co słyszałem. I radzę, żebyś się do nikogo nie przypieprzała. Zresztą co to ma wspólnego z twoją sprawą?

– Pewnie nic. Mówiłam: staram się wyjaśnić parę szczegółów. Szperam po krzakach. – Unoszę brew i zerkam na Steve’a, który przymruża oczy: bardzo śmieszne. – Jeszcze jedno. Wiem, że minęły ponad dwa lata, ale mógłbyś mi

zdradzić, co powiedziałaś Aislinn, kiedy do ciebie przyszła?

Gary siorbie kawę i wraca myślami do tamtego spotkania.

– Przypuszczała, że wiemy więcej, niż mówiliśmy jej i jej mamie. Powiedziała, że matka zmarła, a ona strasznie chce odnaleźć ojca. Według niej, jego zniknięcie spaprało jej całe życie. Zamierzała go wytropić, popatrzeć mu w oczy i zapytać, dlaczego to zrobił. Nie była pewna, co się potem stanie. Mówiła, że jej widok przypomni mu, jacy byli sobie bliscy, może będą mogli znowu być rodziną... Ale twierdziła, że gdyby nawet się nie udało, wystarczy jej poznać prawdę, żeby zacząć normalne życie. Swoje własne.

Słodki Jezu w morelach. Trzymam tu stronę Desa Murraya. Prawdopodobnie dał nogę, bo inaczej roztrzaskałby pogrzebaczem głowy swojej ckliwej rodzinie.

– I co od ciebie usłyszała?

– Powiedziałem, że nie wolno mi ujawniać żadnych informacji ze śledztwa. Ale... no, przecież ją widziałaś. Była w proszku. Chociaż starała się nie płakać, naprawdę ledwie nad sobą panowała. Błagała mnie... przez chwilę bałem się, że padnie na kolana w pokoju przesłuchań. W końcu zadzwoniłem do kumpla, poprosiłem, żeby sprawdził Desmonda Murraya w brytyjskim systemie, żeby wiedzieć, czy jeszcze żyje. Nie byłoby sensu, żeby uganiała się za nim po świecie, jeżeli leżał już dwa metry pod ziemią.

Aislinn była córeczką swojej mamusi, jak nic; może wyglądała na bezradną, ale wiedziała, jak skłonić ludzi, żeby spełniali jej życzenia. Nawet ja podałam jej nazwisko Gary'ego i jego grafik. Coraz mniej ją lubię.

– Pomyślałem – ciągnie Gary – że jeżeli on jeszcze żyje, dam jej do zrozumienia, zasugeruję, żeby lepiej wynajęła prywatnego detektywa w Anglii. Co mi szkodziło?

Wydział zaginionych: banda nałogowców uzależnionych od happy endów.

– No i?

– No i od paru lat już nie żyje. Nic podejrzanego, po prostu umarł, chyba na zawał.

Czyli tatuś był zszedł. Z ulgi o mało nie wybucham śmiechem. Opanowuję się jednak, trącam Steve'a łokciem i mówię bezgłośnie: „A widzisz?”. Wzrusza ramionami: „Warto było spróbować”. Przewracam oczami.

– Zostawił żonę – dodaje Gary. – To znaczy, tak jakby, bo nie ożenił się z tą, z którą uciekł, ponieważ nie rozwiódł się z matką Aislinn. Ale ciągle byli razem. I mieli troje dzieci.

– Ile powiedziałaś Aislinn?

Głośno wypuszcza powietrze.

– No, łatwo nie było. Uznałem, że to byłby szok dla wdowy i przyrodniego rodzeństwa, gdyby na ich progu pojawiła się przeszłość tatusia, a ponieważ Aislinn nie mogła porozmawiać z ojcem, to nawet gdyby się o wszystkim dowiedziała,

i tak nie o to jej chodziło. Nie zamierzałem jednak wyrzucić biednej dziewczyny na ulicę: „Idź i dalej szukaj taty, powodzenia!”. Miała prawo wiedzieć, że jej ojciec nie żyje.

Steve rozkłada dłonie w wymownym geście: „Otóż to”. Pokazuję na migi trzepanie kapucyna.

– Czyli jej powiedziałaś.

– Tak. Tylko tyle: z informacji w systemie wynika, że zmarł. I że nie mam żadnych bliższych informacji.

– Jak to przyjęła?

– Nie za dobrze. – Poznaje po głosie, że Gary się krzywi. – Szczerze mówiąc, kompletnie ześwirowała... i chyba trudno się dziwić. Dostała hiperwentylacji, przez chwilę myślałem, że będę musiał wezwać karetkę, ale kazałem jej wstrzymać oddech i w końcu się pozbierała.

– Nikt nie nadaje się do tego lepiej niż ty.

– Hm, tak. Może. Ciągłe była zdenerwowana, dygotała, pochlipywała i tak dalej. Dopytywała się, dlaczego nikt jej nie powiedział; czy chłopcy okłamali jej matkę, czy naprawdę byli tacy beznadziejni; jak mogli nie ustalić tego, co mnie udało się znaleźć w dziesięć minut? Wyjaśniłem jej, że chłopcy radzili sobie bardzo dobrze, ale czasem śledztwo dochodzi do ściany niezależnie od zdolności detektywów, a informacje z innych źródeł docierają do naszego systemu dopiero po jakimś czasie...

To instynkt, podobny do odruchu mrugania, kiedy piasek wpadnie ci do oka: jeżeli cywil oskarża innego gliniarza, że coś spieprzył, zaprzeczasz. Nieważne, czy oskarża słusznie, czy nie. Otwierasz usta i bez zająknięcia opowiadasz jakąś kojącą bajeczkę. Dotąd nigdy się tym nie przejmowałam – przecież Aislinn nic nie przyjdzie z najpokorniejszych przeprosin, to tylko strata czasu – ale dzisiaj wszystko wydaje mi się podejrzanym, gotowe wybuchnąć mi w rękach przy jednym nieudolnym dotknięciu; mam wrażenie, że już nic mi nie sprzyja.

– Uwierzyła ci? – pytam.

Gary odchrząkuje wymijająco.

– Nie jestem pewien. Cały czas mówiłem, żeby ją zagadać. Plotłem o tym, że przynajmniej może już zamknąć ten rozdział i zająć się nowym, że ma pełne prawo zacząć wspaniałe własne życie; mówiłem, że z tego, co wiem, jej ojciec był cudownym człowiekiem i na pewno bardzo ją kochał, że bez względu na to, co się stało, serce mu się krajało, kiedy ją opuszczał... I dalej w tym stylu. Nie wyglądała na przekonaną. Szczerze mówiąc, nie jestem pewien, czy to w ogóle do niej dotarło, ale w końcu udało mi się ją uspokoić. – Jego głos podziałał; równie dobrze Gary mógłby jej czytać harmonogram dyżurów, a efekt byłby taki sam. – Kiedy była już w stanie usiąść za kierownicą, odesłałem ją do domu. To wszystko. Rozumiesz? Nie było nic, co mogłoby się jej skojarzyć z gangami.

– Na to wygląda – rzucam i patrzę na Steve’a, który znowu wzrusza ramionami. Śledzi jakiegoś człowieka zmierzającego szybkim krokiem do głównej bramy, za daleko od nas, żebyśmy w tym świetle mogli go rozpoznać, ale walczy z wiatrem o własny szalik i nawet nie patrzy w naszą stronę. – Dzięki, Gar. Jestem ci bardzo wdzięczna.

– W takim razie dasz spokój reszcie chłopaków? Jeżeli nie chcesz tego zrobić dla własnego dobra, zrób to dla mnie. Jesteś mi to winna. Nie chcę, żeby skoczyli mi do gardła za to, że podrzuciłem ci akta tej sprawy.

Inaczej mówiąc, Gary nie chce, żeby oblażył go moje wszy. Z jednej strony świetnie go rozumiem: nikt nie chce się zarazić, z drugiej zaś strony mam ochotę iść do niego, powalić skurwiela na ziemię i powiedzieć mu, żeby miał jaja.

– Jasne – odpowiadam. – Przyślesz po papiery tego młodziaka?

– Nie ma sprawy. Zaraz do was jedzie.

– To miło. Dzięki jeszcze raz. Odezwę się do ciebie w przyszłym tygodniu w sprawie tego piwka.

– W przyszłym tygodniu mam młyn. Zadzwoń, jak się uspokoi, dobra? Powodzenia ze sprawą. Szkoda, że nie mogłem się bardziej przydać. – Gary rozłącza się i wraca do biura z kubkiem prawdziwej kawy, żeby słuchać docinków na temat swojej prostaty, śpiewać kawałki z musicali i pracować na happy endy.

Nie zadzwoni, a świadomość tego dotyka mnie głębiej i boleśniej, niż przypuszczałam. Udaję, że chowanie telefonu w kieszeni wymaga ode mnie pełnego skupienia. Steve pochyla się, żeby poprawić stertę papierów zapewniających mu alibi. Nie wiem, czy naprawdę próbuje się zachować taktownie, bo jeżeli tak, być może będę musiała go zabić.

– No dobra – odzywam się z nową energią. – Czyli hipotezę gangsterską skreślamy, przynajmniej jeśli chodzi o Desa Murraya. Nawet jeżeli detektywi mieli jakieś podejrzenia, o których nie chcieli pisać w papierach, Gary by o tym wiedział. Des Murray wyjechał ze swoją nową ukochaną. Koniec i kropka.

– Jasne. – Steve się prostuje. – Ale Aislinn o tym nie wiedziała.

– Co z tego? Gary ma rację: nie było powodu, żeby pomyślała o gangach. Żadnego. Zero.

– Pod warunkiem, że rozumowała logicznie. Ale nie rozumowała... Chwila, Antoinette, posłuchaj. – Nachyla się bliżej i mówi coraz szybciej. – Aislinn lubiła fantazjować. Pamiętasz, co mówiła Lucy o czasach ich dzieciństwa? Kiedy działo się coś złego, Ash wymyślała jakieś niestworzone historie, żeby było lepiej. Bo musiała, prawda? Przecież w rzeczywistości zawsze ktoś nią dyrygował, decydowali o niej inni. Jedyne miejsce, gdzie miała władzę, jedynym miejscem, gdzie coś od niej zależało, była jej wyobraźnia.

Zupełnie zapomniała o chłodzie.

– No i zbudowała sobie całą tę fantazję: chciała ruszyć na poszukiwanie ojca

i roiała sobie, że kiedy rzuci mu się w ramiona, znowu będzie miała normalne życie. To urojenie dawało jej siłę. I nagle twój kumpel Gary w jednej chwili je zburzył.

– Opowiadasz o tym, jakby spalił ulubioną laleczkę biednemu bezbronnemu dziecku. Aislinn była dorosła, nie miała już matki. Mogła robić ze swoim życiem, co jej się żywnie podobało. Do niczego nie potrzebowała fantazji o tatusiu; tylko jej przeszkadzały. Gary oddał jej przysługę.

Steve kręci głową.

– Nie miała zielonego pojęcia, czego chce od prawdziwego życia. Kompletnie brakowało jej doświadczenia. Słyszałaś, co mówiła Lucy: dopiero jakieś dwa lata temu zaczęła stawiać pierwsze kroki, które i tak miały więcej wspólnego z fantazją niż z rzeczywistością. Robiła się na bóstwo z kolorowych magazynów, chodziła do modnych klubów... I kiedy Gary zabił jej marzenie o spotkaniu z ojcem, potrzebowała szybko nowego. Wątek gangsterski świetnie by się nadawał.

Twarz mu jaśniej; zobaczył to wszystko jak na dłoni. Nie można go nie uwielbiać. Tam gdzie ja widzę ślepa uliczkę, on dostrzega przełom w swojej niesamowitej historii. Szkoda, że nie mogę spędzić wakacji w głowie Steve'a.

– Może na przykład uznała, że ojciec był świadkiem jakiegoś zabójstwa na zlecenie i musiał szybko wyjechać z miasta, zanim gang go wytropi... coś w tym rodzaju. Dramatyczna sytuacja, masa emocji, świetny powód, dla którego ojciec zniknął i nigdy nie wrócił, żeby ją odnaleźć...

– Ale to nie wyjaśnia, dlaczego gdzieś po drodze nie wytropił jej na Facebooku. „Cześć, rybko, tatuś żyje, kocham cię, pa, pa”.

– Bał się, zakładał, że gang śledzi jej konto facebookowe i będzie chciał ją dopaść. Tak, ja akurat wiem, że to bzdura – dodaje, gdy pryham – ale Aislinn nie musiała wiedzieć. Mogła to sobie tłumaczyć na tysiące sposobów. Wiesz, jaki jest następny rozdział tej fantazji? W następnym rozdziale Aislinn występuje jako dzielna córka, która postanawia wkroczyć w świat przestępczości zorganizowanej, żeby poznać sekret ojca. Głowę daję.

– Poznać sekret? Jak? Miałaby wejść do jakiejś mordowni i wypytywać, czy ktoś słyszał o Desmondzie Murrayu?

Steve z zapalem kiwa głową. Mija nas kolejny urzędnik zmagający się z wiatrem, ale on nawet go nie zauważa; za bardzo fascynuje go własna barwna opowieść.

– Pewnie coś w tym rodzaju. Każdy, kto czyta wiadomości, wie, do których pubów lubią wpadać członkowie gangów. Aislinn wchodzi do któregoś z nich na drinka...

– Myślisz, że miała aż takie jaja? Nawet mnie nie uśmiechałoby się coś takiego, a umiem sobie poradzić o wiele lepiej niż ona. – Irytuje mnie ta sytuacja: dwoje dorosłych detektywów z zabójstw ugania się po mieście za jakąś idiotyczną

urojoną historią w stylu Nancy Drew. Moja robota to historie, które dzieją się naprawdę, które muszą złapać za kark i doprowadzić do właściwego zakończenia, chociaż próbują mnie gryźć i szarpać pazurami. Historie rozgrywające się tylko w czyjejs główce, ulotne jak biały puszek, którego nie umiem złapać, to zupełnie nie moja broszka.

– Nie chodzi o jaja. Chodzi o to, jak mocno wbiła sobie tę fantazję do głowy. Jeżeli to jest jedyne miejsce, gdzie ma władzę, to nie uwierzy, że coś może pójść nie tak. Jak dziecko... Tak mówiła Lucy, pamiętasz? We własnej wyobraźni Aislinn jest bohaterką. Bohaterka może czasem wpaść w tarapaty, ale zawsze się z nich wykaraska.

– I co potem? Siedzi w pubie i liczy na to, że podejdzie do niej właściwy człowiek?

– Wygląda tak wystrzałowo, że ktoś musi podejść. Na sto procent. Flirtuje, przychodzi następnego wieczoru, poznaje jego kumpli. Gdy trafia się facet, który wygląda obiecująco, bierze go na cel. A tak naprawdę... – Steve pstryka palcami. – Wiesz co? Może właśnie dlatego tak wyglądała. Myśleliśmy, że schudła i sprawiła sobie nowe ubrania, bo chciała zacząć wszystko od nowa. Ale jeżeli to była część większego planu?

– Hm. – Zastanawiam się nad tym. Jeżeli tak, to po raz pierwszy kielkuje we mnie odrobina szacunku dla Aislinn. Każdą, która zmienia się w Barbie, bo tylko w ten sposób może się poczuć interesująca, należy zdrowo kopnąć w tyłek, ale ktoś, kto robi to z myślą o zemście, zasługuje na kilka punktów za determinację.

– Wszystko się zgadza z chronologią – ciągnie Steve. – Według Lucy, Aislinn zaczęła tę swoją odmianę mniej więcej dwa lata temu. Czyli niedługo po rozmowie z Garym, kiedy musiała zmienić plan... – Znowu pstryka. – Jezu... ten jej dom. Wiesz, dlaczego nie miała żadnych rodzinnych fotografii? To mógł być powód. Nie chciała, żeby chłopak rozpoznał na zdjęciu jej ojca. – Oczy mu błyszczą. Szczerze mówiąc, zaczynam liczyć na to, że nigdy nie trafi się nam naprawdę dobra sprawa; z podniecenia mógłby sobie zmoczyć nogawkę. – I dlatego rzuciła tego bydlaka dla Rory'ego. Bo w końcu sobie uświadomiła, że nic jej nie może powiedzieć. Wszystko trzyma się kupy, Antoinette. Naprawdę.

– Albo – mówię – cała ta historia z gangiem to od początku do końca jeden wielki kit. Kiedy po rozmowie z Garym Aislinn dowiedziała się, że nigdy nie przytuli tatusia i nie wypije z nim gorącego kakao, zdjęła ze ścian fotografie rodzinne, bo wytrącały ją z przyjemnego nastroju, i postanowiła, że chce tylko sympatycznej fantazji z gatunku „długo i szczęśliwie”. Takiej, gdzie brzydkie kaczątko zmienia image, staje się pięknym łabędziem i znajduje sobie przystojnego księcia. Tyle że przystojny książę okazuje się złym wielkim ogrem. To też pasuje.

Nic jednak nie popsuje Steve'owi humoru. Zanim jeszcze kończę zdanie, kręci głową.

– W takim razie co z Lucy? Sądzisz, że, ot tak sobie, wymyśliła bajeczkę o trzymanym w tajemnicy chłopaku? I tylko udawała zdenerwowanie?

– Być może – przytakuję. Kielkujący we mnie szacunek do Aislinn szybko wiednie; cała ta teoria coraz bardziej mnie wkurza. Wbijam obcas w ziemię, żeby przestać nerwowo podrygiwać kolanem. – Jeżeli Aislinn kręciła z gangsterami, dowiem się o tym. A kiedy Lucy zbierze się na odwagę i przyjdzie do nas, mocniej ją przyciśniemy, zobaczymy, co powie. Mniej chętnie będzie ukrywała informacje w czasie oficjalnego, nagrywanego przesłuchania. A do tego czasu...

Steve bębni dwoma palcami w ścianę; jest sfrustrowany tym, że ciągle nie kapuję.

– Do jakiego czasu? A jeżeli Lucy nie przyjdzie?

– Damy jej jeszcze dwa dni, żeby ją zestresować, a potem po nią pójdziemy. A na razie trzymamy się tego, co już wiemy. Nie tego, co, twoim zdaniem, być może gdzieś czeka na odkrycie.

Nie wygląda na zadowolonego.

– Co jeszcze chcesz zrobić? – pytam. – Zaliczać po kolei ulubione puby gangów i pytać wszystkich chłopaków, czy nie posuwali naszej ofiary?

– Chcę wziąć z kartoteki zdjęcia bandy Bili Lanigana i pokazać je barmanowi w Ganly's. Może pamiętać więcej, niż mu się wydaje.

Wzruszam ramionami.

– Nie krępuj się. Ja wolę się skupić na tym, czy z tych kretyństw Aislinn da się zrobić użytek. – Trzymam już w ręce telefon i przewijam listę w poszukiwaniu numeru Sophie.

– Co? Do kogo?

Włącza się poczta głosowa.

– Cześć, tu Antoinette. Jeżeli twój komputerowiec nie złamał jeszcze hasła do tego folderu, podsunę mu parę propozycji. Niech spróbuje różnych kombinacji „Desmonda Murraya” albo „Desa Murraya” i czegoś z „tata” albo „tatusiem”, znaleźć tatę, szukać taty, tęsknić za tatą. Ojciec ofiary zwał z domu, kiedy była mała, a z naszych informacji wynika, że być może go szukała. W każdym razie warto spróbować. Dzięki.

Rozłączam się.

– Dobrze – chwali Steve. Wygląda na znacznie bardziej zadowolonego ze mnie. – Jeżeli ten folder jest pełen zdjęć śliskich typów... czy wtedy...?

– Boże – przerywam mu, otwierając szeroko oczy. – A jeżeli Aislinn pomyślała, że jej ojciec naprawdę został gangsterem? Że na przykład podrzucił swoje dokumenty przy zwłokach jakiegoś biednego kretyna, a teraz cały i zdrowy żyje sobie gdzieś pod nowym nazwiskiem? – Gdy Steve otwiera usta i trwa tak przez chwilę, próbując się domyślić, czy mówię serio, dorzucam: – Ty baranie. Chodź, trzeba iść zrobić odprawę.

* * *

Musimy wrócić do pokoju operacyjnego osobno, a wcześniej pozbyć się zimna i zapachu z zewnątrz. Skręcam do toalety i zlewam się mydłem do rąk, dopóki nie jestem pewna, że czuć ode mnie tylko sztuczną ziołową czystość. Steve idzie do bufetu na kawę. Kiedy jak gdyby nigdy nic spokojnie zjawiamy się przy biurku, Breslin właśnie słodzi i kadzi przez telefon jednej z byłych dziewczyn Rory'ego; ledwie unosi wzrok, gdy każde z nas siada na swoim miejscu.

Tylko że moje rzeczy wyglądają inaczej, niż je zostawiłam. Jestem pewna, że na wierzchu leżał wyciąg bankowy Rory'ego, a teraz częściowo przykrywa go mój notes; poza tym jest otwarty na notatkach z rozmowy z Cooperem, chociaż pamiętam, że go zamykałam. Zerkam na Breslina, ale ciągle szczebiocze do słuchawki, przekonując byłą Rory'ego, by pozwoliła mu wpaść wieczorem na chwilę rozmowy, i w ogóle nie patrzy w moją stronę. Im bardziej staram się przypomnieć sobie, co gdzie było, tym mniej mam pewności.

Tuż przed wyznaczoną godziną odprawy do pokoju wpada Gaffney – z różowymi plamami na twarzy i zażawionymi od zimna oczami – żeby nam opowiedzieć, jak mu poszło w komisariacie w Stoneybatter: odtworzył nagranie z głosem Rory'ego, jego dwóch braci i wszystkich najlepszych kumpli funkcjonariuszowi, który jest pewien na dziewięćdziesiąt dziewięć procent, że nie dzwonił żaden z nich.

– No cóż – mówi Breslin. – Mimo wszystko dzięki. Jestem ci naprawdę wdzięczny. Za to też. – Odpakuje kanapkę. – Cudowna.

– Chyba raczej zrobiłem więcej złego niż dobrego – wyznaje zmartwiony Gaffney. Oddaje Breslinowi resztę, ogromną garść banknotów i bilonu. – Na koniec, kiedy już posłuchał tych wszystkich głosów, trudniej mu było sobie przypomnieć, jak brzmiał ten oryginalny. Wie pan, o czym mówię? I jeżeli puścimy mu więcej głosów, nie będzie potrafił...

– Tak to już bywa przy okazaniach – kwituje Breslin i zaszczycza Gaffneya uśmiechem. – To nie twoja wina, synu, trzeba się z tym liczyć. Dobrze sobie poradziłeś.

– Tak – dodaję. – Dzięki. – Brzmi to jak nieuprzejme burknięcie, chociaż i tak nie ma znaczenia: Gaffney wpatruje się w swojego bohatera Breslina z tak cielęcym zachwytem, że nie zauważa mojego istnienia. Myślę tylko, że okazanie oczywiście pogrzebało jakiegokolwiek szanse na identyfikację faceta, który dzwonił do Stoneybatter. Nawet kiedy coś mamy, to ledwie tego dotkniemy, rozsypuje się w proch i zostajemy z niczym. Nic sypie się na nas jak drobny pył, tworząc lepkie zasy na lśniących biurkach i zapychając bajeranckie komputery.

* * *

Przed wyjściem do domu idziemy złożyć sprawozdanie staremu. O'Kelly stoi przed wysokim oknem, odwrócony do nas plecami, z rękami w kieszeniach tweedowych spodni, i kołysze się na piętach. Wygląda, jakby gapił się na ciemny park, słuchając nas tylko jednym uchem, ale widzę w szybie jego oczy, które czujnie biegają między naszymi odbiciami.

Kiedy kończymy, milczy przez chwilę, dając do zrozumienia, że chce usłyszeć coś więcej. Odbicie Steve'a zerka na moje. Ja na niego nie patrzę.

O'Kelly, nie odwracając się, mówi:

– Około południa zajrzałem do waszego pokoju operacyjnego. Nie było was. Gdzie się podziewaliście?

Już dawno żaden szef nie kazał mi się tłumaczyć jak gówniarze, gdzie byłam i co robiłam. Zanim zdążyłam otworzyć usta, Steve spokojnie odpowiada:

– Przeprowadzaliśmy rewizję domu Aislinn. Potem wzięliśmy jej zdjęcie i pokazywaliśmy w Stoneybatter, pytaliśmy w pubach i lokalach w dzielnicy, czy ktoś ją poznaje. Czy ktoś widział, jak robiła coś ciekawego.

– I?

Steve wzrusza jednym ramieniem.

– Nie bardzo.

O'Kelly na kilka sekund daje temu spokój.

– Dzisiaj po południu dostaliście przesyłkę dostarczoną przez chłopaka, który nie chciał jej wypuścić z rąk – odzywa się po chwili. – Co to było?

Jak sięgnąć pamięcią, Bernadette ma słabość do starego; wszyscy wiedzą, że skorzysta z każdej okazji, żeby mu szepnąć słówko. To ona mogła nas zakapować – albo i nie ona.

– Kiedy Aislinn była mała, zaginął jej ojciec – wyjaśnia Steve. – Wydało się to nam trochę zbyt podejrzane jak na zbieg okoliczności, więc zajrzeliśmy do akt.

– Z powodzeniem?

– Nie. Uciekł z młodszą. Kilka lat temu zmarł.

O'Kelly się odwraca. Oparty plecami o szybę, przygląda się nam badawczo. Dzisiaj rano kiepsko poszło mu golenie: skóra twarzy jest podrażniona i łuszczy się, jak gdyby ulegał powolnej erozji.

– Wiecie, jak się zachowujecie? – pyta.

Czekamy.

– Zachowujecie się, jakbyście nie mieli podejrzanego. Miotacie się, rzucacie w różne strony za wszystkim, co zobaczycie. Tak się zachowują detektywi, którzy nie mają nic. – Przesuwa wzrok ze Steve'a na mnie. – A przecież macie idealnego podejrzanego tuż pod nosem. Coś przegapiłem? Co jest nie tak z Rorym Fallonem?

– Jeżeli chodzi o Fallona, mamy na niego same poszlaki – mówię. – Żaden twardy dowód nie wiąże go z zabójstwem: na jego rzeczach nie ma krwi, na zwłokach ofiary nie ma śladów jego krwi ani włosów, Fallon nie ma żadnych

uszkodzeń dłoni. Nie możemy nawet udowodnić, że był w domu. Brakuje motywu. Cały czas pracujemy nad tym wszystkim i jeżeli dostanę z kryminalistyki informację, że znaleźli na spodniach Rory'ego włókna z dywanu Aislinn, wtedy owszem, nie będę w takim stopniu brała pod uwagę innych możliwości. Ale dopóki są same poszlaki, będę sprawdzać i eliminować inne scenariusze. Nie chcę stawiać Fallona przed sądem i ryzykować, że obrona wyciągnie z rękawa świadka, który widział straszną kłótnię między Aislinn a facetem zupełnie niepodobnym do niego.

O'Kelly wyjął z kieszeni garść rzeczy – spinacz, zmiętą chusteczkę, kamyk – i wolno obraca je w palcach, nie patrząc na mnie.

– Dlaczego dzisiaj go nie przywieźliście? – pyta.

Już dawno żaden szef nie kazał mi się tłumaczyć z decyzji w sprawie, która toczy się całkiem normalnie i nic nie wskazuje, żeby miała się wymknąć spod kontroli. Gdybym była przekonana, że opiernicz od O'Kelly'ego ma być próbą wyrzucenia mnie za drzwi, dostałabym białej gorączki; wcale jednak nie jestem przekonana. Myślę o grubym rulonie pięćdziesiątek Breslina i O'Kellym, który, stojąc przed harmonogramem dyżurów, mówi: „Zaraz przychodzi Breslin. Weźcie go”. Mam wrażenie, że wypełniające budynek powietrze zmieniało się w coś innego, w rozpędzoną, nabierającą impetu masę, w każdej chwili gotową wykonać ostry zwrot; wiem, że rozsądniej byłoby się tym nie upajać.

– Bo nie chciałam – odpowiadam nieco buńczucznie. – Kiedy dostaniemy wszystko od kryminalistyki, sprowadzimy Fallona i ostro się do niego weźmiemy. To nerwowy typ; nie zaszkodzi dać mu spokój na jakieś dwa dni, żeby się trochę podrećzył.

O'Kelly na moment wbija we mnie spojrzenie ostre jak nóż, ale zaraz odwraca wzrok. Z trzymanej w dłoni kupki śmieci wyjmuje zmaltretowaną pastylkę na gardło i przygląda się jej z lekkim niesmakiem.

– Nie wiem, z czego się tak cieszysz, Conway.

Mówiłam: O'Kelly jest znacznie bystrzejszy, niż woli udawać. Błyskawicznie ścieram z twarzy tę minę.

– Słucham, szefie?

– Nieważne. – Wyciąga rękę nad koszem i otwiera dłoń. Śmieci z grzechotem wpadają do środka. – Szukajcie dalej. Do jutra. Spróbujcie do czegoś dojść.

* * *

Prawie nic mnie tak nie relaksuje jak jazda samochodem, ale tego wieczoru w ogóle na mnie nie działa. Wiatr wycina wredne numery, najpierw zamiera na dłużej i pozwala mi się wyluzować, a nagle wali w samochód jak szarżujący rugbysta, bębniąc w szyby deszczem. Ruch traci przez to płynność, wszyscy za szybko wciskają klaksony i za wcześnie ruszają po zmianie świateł, przechodnie

gubią rytm i przemykają między autami w najmniej odpowiednich momentach.

Zostaję zatrzymana jeszcze przed mostem. Właśnie śmignęłam na żółtym i z początku przypuszczam, że mundurowy po prostu też ma zły dzień, ale kiedy wyjmuję legitymację, prawie krztusi się z wrażenia, domyślam się więc, że chodzi o coś więcej. Od razu puszcza farbę: ktoś zgłosił, że stwarzam zagrożenie na drodze i prawdopodobnie jestem pijana. Jakiś kierowca mógł w deszczu i gęstym ruchu źle przeczytać numer rejestracyjny, za to dobrze opisał wóz: czarne audi TT rocznik 2008. Tu nie było pomyłki.

Mundurowy chce się zapaść pod ziemię, ale zmuszam go, żeby zbadał mnie alkomatem i sporządził służbową notatkę, zanim ktoś zadzwoni do Kretyna Crowleya i poinformuje go, że użyłam odznaki, żeby obronić się przed zatrzymaniem za jazdę po pijaku. Mogłabym namierzyć numer, z którego dzwoniło na komisariat, ale z góry wiem, że będzie niezarejestrowany – wielu gliniarzy ma jednorazowe komórki na kartę z takiego czy innego powodu. Przez resztę mojej relaksującej przejażdżki co chwilę oglądam się przez ramię, sprawdzając, czy nie pojawią się następne niebieskie koguty. Nie widzę żadnych, co oznacza, że mogę się ich spodziewać dopiero następnego ranka.

Przynajmniej tym razem nikt się nie kręci na końcu mojej ulicy, a to już coś. Otwieram drzwi, zapalam światło, rzucam torbę, zatraskuję za sobą drzwi i kiedy skręcam do salonu, w mgnieniu oka rejestruję trzy rzeczy po kolei. Zapach kawy. Ciszę zamiast pikania alarmu. I ruch, leciutki szelest w ciemnej kuchni.

Wyjmuję pistolet – mam wrażenie, że wolno jak w stanie nieważkości, chociaż wiem, że działałam błyskawicznie – i celuję w drzwi kuchni.

– Policja – mówię. – Rzuć broń, pokaż ręce i powoli wyjdź.

Przez sekundę widzę w drzwiach kuchni cherlawego gnojka w błyszczącym niebieskim dresie, który trzyma ręce nad głową; myślę, że jakiś szurnięty ćpun źle wybrał dom do obrabowania, a chłodny spust pasuje jak ulał do mojego palca i nie przychodzi mi na myśl żaden powód, dla którego nie miałabym go nacisnąć. Nagle ćpun mówi:

– Musisz sobie sprawić lepszy alarm.

– Fleas!!! – Wybucham głośnym śmiechem; gdybym była typem pieszczocha, na pewno bym go przytuliła. – Ty cholerny zasańcu. O mało nie dostałam przez ciebie zawału. Nie mogłeś mi po prostu odpisać na maila?

– Tak jest bezpieczniej. Zresztą za długo się nie widzieliśmy. – Fleas ma na twarzy uśmiech szerokości półmiska. Czuję, że wyglądam podobnie.

– Bezpieczniej? O mało cię nie zastrzeliłam! – Chowam broń do kabury. Od adrenaliny kręci mi się w głowie. – Jezu Chryste!

– Nie bałam się. Wierzę w ciebie. – Fleas wraca do kuchni. – Zrobić ci kawę?

– Aha, zrób. – Idę za nim i daję mu fangę w potylicę, nie za mocno. – Nigdy

więcej mi tego nie rób. Jeżeli mam kogoś zabić, nie chcę, żebyś to był ty.

– Au! – Pociera sobie głowę z urażoną miną. – Nie próbowałem cię nastraszyć. Zaczekałbym w salonie, ale pomyślałem, że może przyprowadzisz ze sobą chłopaka.

– Aha, jasne. Pomarzyć zawsze można. – Ciągle mam banana na twarzy. Nie umiem się go pozbyć. – Jesteś głodny?

– Wszystko ci się skończyło. Sprawdzalem.

– Bezcelny typ. W zamrażarce są paluszki rybne. Chcesz kanapkę z paluszkami rybnymi?

– Zarząbicie – odpowiada zadowolony i zaczyna wciskać przyciski ekspresu. – Super masz tę maszynkę. Może też sobie taką sprawię.

– Jeżeli mi zginie, dopadnę cię. – Włączam kuchenkę i otwieram zamrażarkę.

Fleas opiera się łokciami o blat i zafascynowany obserwuje, jak kawa tryska z ekspresu.

Jest mikrusem i wygląda, jak gdyby jego matka piła za mało mleka, kiedy go nosiła, co zresztą pewnie jest prawdą, biorąc pod uwagę fakt, w jakim bloku mieszkali. Przewisko przyłgnęło do niego w szkole policyjnej – był na moim roku – bo nie umie usiedzieć w miejscu². Nawet czekając, aż kubek napełni się kawą, przestępuje z nogi na nogę, jakby coś go swędziało. Polubiliśmy się w szkole. Nie poszłam tam szukać przyjaciół od serca, nie chciałam też, żeby kretyni mówili, że bzykam się z facetem w zamian za opiekę; ale gdyby nie to wszystko, moglibyśmy się zaprzyjaźnić.

W połowie drugiego roku Fleas zniknął. Chodziły słuchy, że został wywalony, bo znaleźli przy nim hasz – co wywołało żarty o przebieraniu dresiarzy w mundury i mundurowych w dresy – ja jednak nie dałam się na to nabrać: Fleas był na to za cwany. Kilka lat później, kiedy zostałam wyciągnięta z za biurka, żeby przez parę tygodni grać rolę Rachel, jego kuzynki, która z przyjemnością zgodziła się odwieźć walizkę z kasą za narkotyki przyjacielowi szefa Fleasa, do Marbelli, okazało się, że od początku miałam rację. Prowokacja poszła nam śpiewająco, paru bandziorów trafiło do pudła, a ja i Fleas mieliśmy ubaw po pachy. Zanim wróciłam za biurko, założyliśmy Rachel konto mailowe, by w razie potrzeby móc się skontaktować. Do tej pory nie było potrzeby.

Zanosimy kanapki i kawę do salonu i wyciągamy się na przeciwległych końcach kanapy, stawiając sobie talerze na kolanach. Rozpaliłam w kominku; ciągle wieje, ale grube mury tłumią gwizd wiatru i zmieniają go w sympatyczny szum.

– Aaach – wzdycha Fleas, z lubością moszcząc się na poduszkach. – Cudownie, naprawdę. Sprawię sobie kiedyś takie miłe gniazdko. Pokażesz mi, jak je odpicować.

No właśnie...

– Skąd wiedziałeś, gdzie mnie znaleźć?

– Otóż to! Gdzie miałbym cię szukać, gdybym się nie dowiedział? – Posyła mi swój promienny uśmiech. – W zabójstwach, nie? Na samym szczycie. Jak ci tam?

Czyli wypytuje o mnie, kiedy ma okazję.

– Świetnie. Robota o wiele lepsza niż wlepianie punktów karnych.

– A chłopaki? Fajne towarzystwo?

Nie wiem, co ma na myśli. Ma pełne usta jedzenia, a jego twarz niczego nie zdradza.

– W porządku – mówię. – A ty co teraz porabiasz?

– Sama wiesz. To i owo. Pamiętasz tego twojego Gogglesa? Małego grubaska bez szyi?

– Jezu, tego. – Rozbawia mnie to wspomnienie. – Wiesz, że próbował mnie podrywać. Za każdym razem, kiedy zostawiałeś mnie samą, zaraz się pojawiał, przysuwał do mnie i mówił, że uwielbia wysokie laski, że najmniejsi dżokeje mają największe szpicruty. Zawsze był naćpany i zapominał, że już próbował i mu nie wyszło.

Fleas wyszczerza zęby w uśmiechu.

– Co za gość! W końcu go przymknęliśmy. A nawet tego nie chcieliśmy, mógł się jeszcze przydać, ale ten kretyn... Był ze swoim kumplem Fonziem w pensjonacie w Cork, nie? Pakowali partię ecstazy, która właśnie przypląnęła statkiem. – Dostaje ataku chichotu; to zaraźliwe i zaczynam mu wtórować, chociaż jeszcze nie wiem, z czego się śmiejemy. – No i Goggles spróbował towaru, tyle że trochę przesadził. O trzeciej rano stał w ogródku przed pensjonatem w samych gaciach i śpiewał... podobno *I Kissed a Girl*.

W tym momencie leżę już na wznak na kanapie i ryczę ze śmiechu. Miłe uczucie.

– Kiedy gospodarz wyszedł sprawdzić, co się dzieje, Goggles go wyściskał, powiedział mu, że jest wyjątkowo przystojny, a potem zwał do środka, wskoczył do łóżka do jego żony i zaczął się bawić w „a kuku” pod kołdrą. Przyjechał patrol, zaprowadził go do pokoju, żeby się przespał i doszedł do siebie, a tam Fonzie chrapie w fotelu, a na łóżku sto tysięcy tabletek ecstazy.

– Jezu... – Krztuszę się ze śmiechu, ocierając oczy. – Piękne, naprawdę. Nie mogliście przejąć towaru i wypuścić tych gości?

– Próbowaliśmy. Szef kazał połowie wydziału szukać haków na patrol, sprawdzić, czy czegoś nie spieprzyli, czy na przykład nie przeprowadzili nielegalnej rewizji. Ale wszystko odbyło się bez zarzutu. Biedny Goggles poszedł siedzieć. Słuchaj – Fleas celuje we mnie kanapką – powinnaś go odwiedzić w pudle. Będzie miał trochę rozrywki.

Wyglupia się, ale kryje się za tym wszystkim jakaś nutka serio.

– Namówię go, żeby zaśpiewał mi coś Katy Perry – odpowiadam. – Oboje się rozerwiemy.

– Z tego, co słyszałem, to raczej słaba rozrywka.

– A skoro mowa o chłopakach... „Courier” wydrukował moje zdjęcie. Będziesz miał przez to jakiś smród?

Właśnie z powodu Fleasa nie pozwalam publikować swoich zdjęć. Do tamtego występu u jego boku zrobili mnie na bóstwo – loki, wielkie kółka w uszach, trzy tony makijażu, krótkie różowe bluzeczki z napisami DIABLICA i TWÓJ CHŁOPAK MNIE PRAGNIE – ale mimo wszystko lepiej dmuchać na zimne. Fleas wzrusza ramionami.

– Na razie nikt się nie czepia. Zobaczymy. – Tajniacy nie panikują z byle powodu. – Moim zdaniem, nikt cię nie rozpoznał. Teraz taka z ciebie elegantka – ruchem głowy wskazuje mój kostium z mieszaniną podziwu i rozbawienia – no i trzeba przyznać, że minęło parę lat.

– Jasne, jeszcze mnie zdołuj.

Gryzie kanapkę i mierzy mnie krytycznym okiem.

– Wyglądasz w porządku. Chociaż raczej nie super; przydałyby ci się wakacje. Albo środek na wzmocnienie.

– Czuję się świetnie. Może przydałoby mi się trochę słońca. Są jakieś perspektywy?

– Albo zmiana otoczenia.

Gwałtownie unoszę wzrok znad kanapki, ale on pochyla się po stojący na stoliku kubek; nie widzę jego oczu. Tajniacy już tacy są – nie potrafią niczego powiedzieć wprost – ale jestem prawie pewna, że połapałam się, o co mu chodzi. Fleas wie, że nie układa mi się w zabójstwach. Myśli, że napisałam do niego maila, bo chcę, żeby szepnął za mną słówko w wydziale tajnych operacji.

Przez ułamek sekundy waham się, czy wyprostować nogę i dać mu kopniaka w brzuch. Mówię jednak tylko:

– Jestem zadowolona ze swojego otoczenia. Chciałabym cię zapytać o zdanie w pewnej sprawie.

– Tak? – Ton głosu Fleasa się nie zmienia, ale przez jego twarz przemyka cień, jakby żalu. – W jakiej?

– Popatrz na to. – Prostuję się i sięgam po torbę, znajduję w niej zdjęcia Aislinn i podaję mu. – Nazywa się Aislinn Murray. Dwadzieścia sześć lat, metr siedemdziesiąt wzrostu, prawdopodobnie mówiąca z akcentem klasy średniej z Greystones. Widziałeś ją gdzieś?

Żuje kanapkę, podryguje kolanem i uważnie przygląda się fotografii.

– Trudno powiedzieć na sto procent, dużo dziewczyn tak wygląda. Ale nie wydaje mi się. Kto to jest?

– Ofiara zabójstwa.
Kolano przestaje podrygiwać.
– To ona? Ta z pierwszych stron gazet?
– Aha. Jej najlepsza koleżanka twierdzi, że przez ostatnie pół roku miała chłopaka, z którym spotykała się po kryjomu. Przypuszczamy, że to mógł być gangster. Może ktoś z bandy Bili Lanigana.
Przypatruje się jeszcze chwilę. I kręci głową.
– Nie. W każdym razie nie była z żadnym z chłopaków Lanigana.
– Na pewno?! Wiem już z tonu jego głosu: na pewno. Miłe uczucie błogości szybko się ulatnia. Pluję sobie w brodę, że w ogóle ściągnęłam go do tej sprawy.
– Na sto procent. Spotkałbym ją. – Pewnie też by ją kojarzył, gdyby była z kimś z Crumlin albo Drimnagh.
– Niekoniecznie. Jeżeli ona trzymała w tajemnicy ten związek, może on też. Fleas parska śmiechem.
– Nie, nie. Jeżeli ktoś bzyka taką laskę, to chce, żeby świat o tym wiedział. Przy każdej okazji pokazywałby się z nią w pubach i na imprezach.
– Nawet gdyby był żonaty?
– Co to za problem? Nikt nie spodziewa się po tych chłopakach, że będą pustelnikami... Rozumiesz, o czym mówię? Nawet ich żony. Jeżeli ktoś ożeni się z siostrą innego z chłopaków, wtedy okay, nie będzie podtykał szwagrowi pod nos swojej panienci, ale przed resztą kumpli będzie się chwalił. A chłopaki plotkują jak staruszki. Wszyscy wiedzą, kto ma kogoś na boku. – Wciąż ogląda zdjęcie, ale już zaczyna mu podskakiwać kolano: Fleas traci zainteresowanie. – Miała jakieś błyskotki i drogie rzeczy nieznanego pochodzenia? Rolex, biżuterię, markowe ciuchy?
– Nie zauważyłam – mówię. – Wszystko, co miała, było ze średniej półki, nic, na co nie mogłaby sobie sama pozwolić; nic, co by wskazywało, że kupował to ktoś inny. Ale może po prostu nie interesował ją układ ze sponsorem.
Fleas prychnął.
– Jakaś nadprogramowa kasa?
– Nic takiego nie znaleźliśmy. Finanse na oko w porządku.
– Wyjazdy? Jej chłopak nie mógłby się oprzeć, żeby nie wykorzystać takiej kryształowo czystej istotki do przewiezienia jakiegoś towaru. A jeżeli należała do tych, co lecą na gangsterów, pewnie by nie odmówiła.
Kręć głową.
– Jej przyjaciółka mówiła, że nigdy nie wyjeżdżała z Irlandii. Znaleźliśmy wniosek o wydanie paszportu... pierwszego, nie o wymianę na nowy. Nie miała wcześniej paszportu.
– No to już wiesz – podsumowuje Fleas. Oddaje mi zdjęcie. – Nie przysięgam na własne życie i nic innego, ale gdybym lubił hazard, postawiłbym

dużo, że nie miała nic wspólnego z tym środowiskiem.

I już. Uczucie błogości wypala się i zmienia w garstkę popiołu.

– Ale przysiąc nie możesz – rzucam. – Mogła mieć jakieś związki.

Wzrusza ramionami.

– Aha. Moja mama też mogła.

Fleas jest inny niż Steve; nie bawi się w bezsensowne gdybanie. Kiedy coś mówi, to zawsze jest konkret.

I tak nasza piękna hipoteza o gangu zostaje spuszczone z wodą; znika w głębi ścieku z przeciągłym bulgotem. Myślałam, że jestem na to przygotowana.

Przez ostatnie półtora dnia wyobrażałam sobie samą siebie jako groźnego snajpera zaszytego w głębi dżungli, który kieruje celownik to na Breslina, to na McCanna i czując pulsującą w żyłach czystą adrenalinę, czeka na znak, którego z nich powinien zlikwidować najpierw. Idiotka, pięciogwiazdkowa kretyńska. W niczym nie lepsza od Gogglesa, który nawalił się własnym towarem i został dożywotnym bohaterem anegdoty. Odkąd dostałam tę sprawę, udało mi się zachować na tyle rozsądku, żeby trzymać gębę na kłódkę. Wszystkie inne pomysły i teorie były śmiechu warte.

Wkładam zdjęcie z powrotem do torby – nie chcę go już więcej widzieć.

– Możesz mimo wszystko mieć oczy i uszy otwarte? Zobaczyć, czy ktoś w tym tygodniu nie wydaje się lekko wytrącony z równowagi albo spędza więcej czasu w pubie, pije więcej niż zwykle? – Błagalny ton w moim głosie brzmi żałościwie. – Została zamordowana w sobotę wieczorem, więc zabójca powinien jeszcze odczuwać skutki.

Fleas ponownie zajmuje się kanapką.

– Może tak, może nie. Wielu z nich to kompletni psychole, potrafiliby bez mrugnięcia okiem rozwalić głowę własnym babciom.

– Ale wie o tym ktoś, kto nie jest kompletnym psycholem. Jakiś facet zadzwonił do miejscowego komisariatu i to zgłosił, chciał, żeby przysłać karetkę. Jeżeli nie sam sprawca, to kumpel, z którym o tym rozmawiał.

– Dobra. Będę miał oko na każdego, kto jest nie w formie.

Ustępuje mi dla świętego spokoju, ale wiem, że to zrobi.

– Gdybyś coś zauważył – ciągnę – napisz maila, zanim do mnie wpadniesz. Słowo daję, jeżeli jutro wieczorem znajdę cię pod łóżkiem, odstrzelę ci to chude dupsko.

– Lepiej posłuchaj. – Wierzchem dłoni ociera majonez z policzka. – Wcale nie żartowałem, że potrzebujesz lepszego zabezpieczenia. Zablokowałem alarm najwyżej w dwadzieścia sekund, zamki zajęły mi może minutę. Już pewnie o tym wiesz, ale jakiś gość węszy na twojej ulicy.

Otoczające mnie powietrze gęstnieje i drapie skórę jak papier ścierny.

– Tak – przyznaję. – Zastanawiałam się nad tym. Gdzie go zauważyłeś?

– Zanim do ciebie przyszedłem, zrobiłem sobie spacer przy wlocie ulicy, żeby trochę poznać okolicę. Właśnie tam się kręcił. Jakby na kogoś czekał, ale wyczułem od niego fluidy... wiesz jakie.

– Aha. – Wszyscy znamy te fluidy. – Przyjrzałeś mu się dobrze?

– Próbowałem. Podszedłem wysepić papierosa. – Fleas garbi się, spogląda na mnie szklстым wzrokiem ćpuna i jęczy przez nos: – „Słuchaj, koleś, masz fajkę?”
– Normalnym głosem wyjaśnia: – Ale ledwie mnie zobaczył, dał nogę. Jasne, może nie miał ochoty, żeby zaczepiali go tacy jak ja, ale... – Wzrusza ramionami. – Facet w średnim wieku, średniej budowy, w drogim płaszczu, z wielkim kinolem. Tyle zdążyłem zobaczyć; był nieźle opatulony, miał kapelusz, pół twarzy zasłaniał mu szalik. Rozumiem, przy tej pogodzie. Ale mimo wszystko.

– Jasne. Mimo wszystko. – Tak czy inaczej, rysopis wyklucza Kretyna Crowleya, kurdupła w śliskim płaszczu przeciwdeszczowym, a szkoda. Bardzo ucieszyłby mnie dobry pretekst, żeby go wziąć za stalkera. – Ten gość chyba obserwuje mój dom.

Fleas bez zdziwienia kiwa głową.

– Też mi się tak wydaje. Domyślasz się, kto to może być?

Kręcę głową.

– Zastanawiałam się, czy jakiś gangster nie próbuje mnie nastraszyć. Po tym zdjęciu w „Courierze” każdy mógłby zaczekać, aż wyjdę z pracy, i śledzić mnie do samego domu. Ale skoro uważasz, że ten gangsterski wątek to lipa... – Za każdym razem, gdy wspominam o gangu, brzmi to coraz głupiej. Prostuję nogi na kanapie i staram się odzyskać tamto uczucie odprężenia. Zniknęło na dobre. Wyczuwam za plecami ciemne okno w salonie, w które uparcie tłucze wiatr.

– „Courier” to banda cymbałów – rzuca Fleas. – A co do tego gościa... nawet jeśli nie jest gangsterem, to wcale nie znaczy, że nie zabił tej dziewczyny.

– Już o tym pomyślałam. Wyglądam na taką tępą?

– Tylko mówię. Lepiej szybko załatw sprawę z alarmem. Zamów sobie monitoring w PhoneWatch albo coś w tym rodzaju.

– Nie, dzięki. – Jeżeli w przypadku włamania PhoneWatch nie dostanie od ciebie sygnału, że odwołujesz alarm, zawiadamia policję. Wolalabym już, żeby poćwiartował mnie seryjny morderca, niż żeby wydział miał się dowiedzieć, że jak cholerny cywil pobiegłam z piskiem po pomoc do gliniarzy. – Spoko, nic mi nie będzie. Z tobą skutecznie dałam sobie radę, nie?

– Ja nie przyszedłem cię zabić – zauważa Fleas. – To nie to samo. Wiem, że umiesz poradzić sobie z każdym, i współczuję biedakowi, który będzie się chciał z tobą zmierzyć, ale czasem musisz spać, prawda?

– Rano zamówię fachowca do zamków.

– I do alarmu.

– I do alarmu. Mamusiu.

Przygląda mi się znad kubka. Przynajmniej tym razem się nie rusza.

– Mam zostać na noc? – pyta.

Może mieć na myśli różne rzeczy. Akurat dzisiaj wieczorem wszystkie brzmią zachęcająco. Gdyby nie facet u wylotu ulicy, gdyby nie smrody w pracy, zgodziłabym się, w takim czy innym sensie.

Nie ścierpię tego, by któreś z nas myślało, że jest mi potrzebny.

– Jesteś w porządku – mówię. – Ale dzięki.

– Nikt nie będzie za mną tęsknił.

– Ach. Biedactwo.

– Jesteś pewna?

– Na sto procent. Ale gdybyś znowu zobaczył tego faceta, jak będziesz wychodził z ulicy, wyślij mi SMS-a, dobra?

– Nie ma sprawy. – Podnosi się z kanapy, podciąga spodnie dresowe i bierze talerz i kubek. – No to dam ci spokój.

– Zostaw. Ja to zrobię. – Zamierzałam zaparzyć jeszcze kawy, ale już za późno, żeby to proponować.

– Nie. Mamusia nauczyła mnie sprzątać po sobie. – Rusza do kuchni. – Dzięki, że mnie nakarmiłaś. Robisz fantastyczne kanapki z paluszkami rybnymi, naprawdę.

Idę za nim. Pochyla się nad zmywarką i wkłada talerz do przegródki.

– Dawaj – mówi, wyciągając do mnie rękę.

Podaję mu swój talerz.

– Cieszę się, że przyszedłeś – mówię. – Miło było cię zobaczyć.

– Ciebie też. – Fleas zatrząskuje drzwiczki zmywarki i prostuje się. – Jeżeli zauważę, że któryś z tych gości wygląda na zestresowanego, dam ci znać. Słowo daję, tym razem najpierw napiszę maila. A jak nie...

– Jak nie, to zobaczymy, kiedy się znowu zobaczymy – kończę.

Fleas uśmiecha się i szybko obejmuje mnie jednym ramieniem. Dotyk chudej, silnej ręki i jego zapach – taniego dezodorantu z czasów, gdy miałam piętnaście lat – wyzwala we mnie falę słabości i ulgi, że wychodzi. Potem wyłącza lampy z czujnikiem ruchu, otwiera tylne drzwi i znika, przeskakując przez mur za domem bezszelestnie i zwinnie jak lis. Zamykam za nim drzwi i czekam, ale nie dostaję SMS-a.

Następnego dnia rano leżę w łóżku i zastanawiam się, czy tam nie zostać. Niewiele spałam; kiedy zadzwoniłam do matki i opowiedziałam jej o wypełniających usta Aislinn wybitych zębach zmieszanych ze skrzepłą krwią („Hm”), przez pół nocy zrywałam się z łóżka, żeby zbadać źródło różnych hałasów – przy tej pogodzie było ich sporo – a przez drugie pół próbowałam zdecydować, kto bardziej zasługuje, żeby dostać w pysk: Steve za to, że wymyślił tę całą teorię o gangu, czy ja za to, że dałam się w nią wciągnąć. O szóstej rano moje ciało jest sztywne i napięte jak struna. Od czasów szkolnych nie wagarowałam, ale dzisiaj nie pamiętam dlaczego. Powstrzymują mnie dwie rzeczy: jeżeli nie pójdę do pracy, będę biegać, dopóki nogi nie odmówią mi posłuszeństwa, a potem będę siedzieć w domu i wariować; i jeżeli nie pójdę do pracy, będę musiała poświęcić tej zaszrannej sprawie jeszcze jeden dzień.

Nie zapalając światła, wkładam strój do biegania. Potem wyłączam lampy z czujnikiem ruchu, wychodzę na patio i przeskakuję przez mur z tyłu. Jest ciemno, panuje martwy, głuchy mrok tuż przed świtem, kiedy nawet nocne stworzenia – lisy, nietoperze, pijacy i degeneraci – skończyły załatwiać swoje sprawy i poszły spać; nawet wiatr się uspokoił i zmienił w słabe chaotyczne podmuchy. Bezszelestnie idę uliczką za domem, przywieram plecami do muru i z ciemnego ukrycia wyglądam za róg na ulicę. Na jej końcu nikt się nie kręci; z tego, co widzę w mdłym żółtawym świetle, nie ma na niej nikogo. Patrząc w drugą stronę mojej ulicy: tu też nie ma żywej duszy.

Zwykle w czasie biegania nie czuję nic oprócz siły napływającej do długich mięśni, które pulsują energią, gotowe na więcej, na wszystko. No, dalej, kto mi chce podskoczyć? To uczucie pozwala mi przetrwać zmianę. Dzisiaj nie ma ani śladu tej siły. Zataczam się jak początkujący patałach; powłóczę nogami, jakby ktoś przywiązał mi do nich worki z mokrym piaskiem, ręce bezwładnie zwisają, oddech nie może znaleźć właściwego rytmu. Próbuje wycisnąć z siebie więcej, dopóki piersi nie rozrywa mi przeszywający ból, a przed oczami kotłuje się gęsta czerwień. Przystaję, przytrzymuję się latarni i zgięta wpół czekam, aż odzyskam wzrok.

Ruszam do domu truchtem – jakiś głos w głowie powtarza mi, że jeżeli zwolnię do marszu, mam przesrane bardziej, niż potrafię sobie wyobrazić. Gdy skręcam w swoją ulicę, nogi już mi nie dygoczą. Zaczynają opadać pierwsze zasłony nocy, w oknach zapalają się światła. Ciągłe nikogo nie ma.

Powiedziałam Fleasowi, że sprowadzę fachowców do zamków i alarmu. Wtedy naprawdę miałam taki zamiar, ale gdzieś po drodze zmieniłam zdanie. Facet śledzący mój dom to jedyne w tym tygodniu, co ma jakiś potencjał. Jeżeli zobaczy, że przy moim domu roi się od ślusarzy i monterów systemów alarmowych, będzie

wiedział, że wpadł; znajdzie sobie inną ofiarę albo zmieni hobby, albo zniknie i przyczai się na kilka tygodni czy miesięcy, żeby znów zacząć mnie szukać. Teraz jest mi potrzebny.

Biorę prysznic, wrzucam w siebie porcję płatków i ruszam do pracy. Na ulicy ciągle nikogo nie ma.

* * *

Docieram na miejsce niezatrzymywana przez patrole – rano nawet palanty potrzebują trochę czasu, żeby się przygotować do wyjścia. Przed budynkiem komendy, w dziwnym mglistym połączeniu porannego światła i blasku halogenów, stoi oparty o ścianę McCann i pali papierosa.

– Hej! – rzucam, nie zatrzymując się przy nim.

Unosi głowę, ale nie raczy się odezwać, czego zresztą wcale się nie spodziewam.

Wygląda okropnie. Przede wszystkim nie jest taki przylizany jak Breslin; należy do tych, którzy zawsze wyglądają, jakby walczyli ze swoim wrodzonym niechlujstwem – popołudniowy zarost pojawia się już przed dwunastą, siwiejące ciemne loki nie dają się gładko przyczesać. Zwykle wygrywa tę walkę; nie tak dawno temu wyglądał całkiem nieźle, zanim brzuch i policzki zaczęły mu obwisać, no i wszystkie ubrania zawsze miał nieskazitelnie czyste i wyprasowane tak idealnie, że można by było jeździć na nich na łyżwach. Dzisiaj rano jednak sromotnie przegrywa. Popołudniowy zarost zgęstniał w twardą szczecinę; koszula jest wygnieciona, na rękawie marynarki widać jakąś lepką brązową plamę, pod czarnymi oczami rysują się coraz cięższe worki.

Kiedy ja i Steve rzeźbiliśmy nasze kunsztowne teorie konspiracyjne, jak para debili w jakimś internetowym ścieku, Breslin od początku mówił prawdę: McCann popadł w niełaskę u małżonki. Śpi na kanapie i sam sobie prasuje ubrania. Mogłabym się roześmiać, gdyby nie było mi głupio.

Otwieram już drzwi, gdy mówi:

– Conway.

Zatrzymuję się odruchowo. Chcę usłyszeć to, co już wiem, że powie, aby potwierdzić swoje przypuszczenia. McCann podsunie mi piękną i czytelną sugestię, że on i Breslin biorą w łapę.

– Tak?

Opiera głowę o ścianę, spoglądając na zmizerniały zimowy park, nie na mnie.

– Jak ci się pracuje z Breslinem? – pyta.

– Może być.

– Mówi o tobie dużo dobrego.

Jasne, sranie w banię.

– Miło mi to słyszeć – odpowiadam.

– Breslin to dobry detektyw, naprawdę. Najlepszy. I dobrze się z nim pracuje. Zawsze się o ciebie zatroszczy, choćby nie wiem co. Pod warunkiem, że nie będziesz mu zawracać dupy pierdołami.

– McCann – mówię. – Robię, co do mnie należy. Nie zamierzam zawracać dupy twojemu kumplowi. Jasne?

W odpowiedzi niewesoło unosi kącik ust.

– Radzę ci tego nie robić. I tak ma już dość problemów na głowie.

No i proszę. Potrzebował ledwie dwudziestu sekund.

– Tak? Jakich na przykład?

Kręci głową.

– Nieważne. Lepiej nie wiedzieć.

Gdybym usłyszała to wczoraj, z emocji zaśliniłabym sobie płaszcz. Teraz czuję tylko niewielki i pełen goryczy przyływ złości, za słaby, żeby trwała dłużej. Bez względu na to, w co gra Breslin, uznał, że jego metoda nie działa, więc podobnie jak w przypadku podejrzanego zdradzającego oznaki tępoty, wysłał McCanna, żeby spróbował innej taktyki. Niedopałki u stóp McCanna świadczą o tym, że czeka już Bóg wie jak długo, żeby poczęstować mnie paroma kwestiami z kiepskiego filmu.

– Jak uważasz – rzucam. – Oddam ci całego i zdrowego najszybciej, jak się da. Możesz mi wierzyć.

Gdy odwracam się, McCann, nie wyjmując papierosa z ust, mówi:

– Zaczekaj.

– Co?

Przygląda się, jak powiew wiatru rozrzuca popiół po bruku.

– To Roche zwinął ci kartkę z zeznania.

– O czym ty mówisz?

– O waszej nocnej burdzie ulicznej w sobotę. Brakowało ci ostatniej strony zeznania świadka.

– Nie pamiętam, żebym ci o tym mówiła.

– Bo nie mówiłaś. Wczoraj w biurze Roche śmiał się z tego. – McCann sięga do kieszeni marynarki, wyjmując złożoną kartkę i podaje mi. Rozkładam ją: strona z mojego zeznania. – Z przeprosinami od Roche'a. Mniej więcej.

Wyciągam do niego rękę z kartką.

– Sprowadziłam świadka, żeby jeszcze raz złożył zeznanie.

Nie zamierza jej wziąć.

– Wiem. Nie chodzi o to... – Pstryka w papier. – Podrzyj to, wsadź Roche'owi w tyłek, wszystko mi jedno.

– W takim razie o co chodzi?

– O to, że nie wszyscy w wydziale są tacy jak on. Ja i Bres nic do ciebie nie

mamy. Nie jesteś takim patafianem jak niektórzy z tej bandy, masz zadatki na niezłego detektywa. Cieszylibyśmy się, gdyby ci się powiodło.

– Fantastycznie – mówię. Wypowiedziane rzeczowym tonem z ledwie wyczuwalną nutą serdeczności, słowa mrukliwego starego wyjadacza, który nie zamierza się rozklejać, ale życzy jak najlepiej młodemu adeptowi, bo ten zasłużył sobie na jego szacunek, brzmiały bardzo szczerze. Gdybym nie widziała, jak McCann dziesiątki razy stosuje ten numer podczas przesłuchań i gdybym była tysiąc razy głupsza, może nawet dałabym się nabrać. – Dzięki.

– Kiedy więc Breslin radzi, żebyś coś zrobiła, ma na uwadze tylko twoje dobro. Nawet jeżeli tobie wydaje się, że jest inaczej. Nawet jeśli sądzisz, że się myli. Jeżeli jesteś rozsądna, posłuchasz go. Rozumiesz, o czym mówię?

McCann patrzy na mnie; oczy ma przekrwione od wiatru i zmęczenia. Zniża głos, który staje się intensywny, skupiony. To najważniejsze, co miał mi do powiedzenia; właśnie po to czekał w chłodzie, aż wynurzę się z mętnego, nierównego światła i podejść tam, gdzie chciał mnie zaprowadzić.

– Świetnie rozumiem – mówię. – Wszystko co do joty. – Zgniatam w ręce ostatnią stronę zeznania i chowam do kieszeni płaszcz. – Do zobaczenia.

– Tak – odpowiada McCann. – Do zobaczenia. – Znowu się odwraca, pokazując ciemny profil z obwisłym podbródkiem na tle coraz jaśniejszego dnia. Do budynku wchodzi ze mną smród jego papierosa.

* * *

Ja i McCann przychodzimy za wcześnie. Sprzątaczką jeszcze odkurza korytarz; kiedy mijam drzwi biura wydziału, dobiegają zza nich tylko strzępki rozmowy dwóch ludzi i dziarski szczebiot porannego programu w radiu. Pokój operacyjny C jest pusty, jeżeli nie liczyć Steve'a, który z rozczochranymi włosami półleży przy naszym biurku, ściskając w ręce kubek kawy.

– Wcześnie przyszedłeś – witam go.

– Nie mogłem spać.

– Ja też. Breslin już się pokazał?

– Nie.

– To dobrze. – Nie mam nastroju na spotkanie z nim. Na biurku przed Steve'em leży plik niewielkich foliowych albumów ze zdjęciami: fotki z kartoteki. Wskazuję je głową.

– Po co ci to?

– Chłopaki z gangów – wyjaśnia, ziewając. – Przede wszystkim banda Lanigana. Chcę ich pokazać barmanowi w Ganly's. Potem sąsiadom Aislinn. Zobaczę, czy ktoś rozpozna...

– Teoria z gangiem padła – informuję go. Mam wrażenie, jakbym dostała cios w bolesny siniak.

Steve robi osłupiałą minę.

– Chwileczkę – bąka. – Co?

– Skończyła się. Szlag ją trafił. Nigdy więcej nie chcę o niej słyszeć. Wyraziłam się wystarczająco jasno?

– Zaraz. – Próbując pozbierać myśli, zapomina, że wcześniej uniósł rękę. – Zaraz. Nie. W co w takim razie grał wczoraj Breslin, kiedy się pozbył Gaffneya? Tylko mi nie mów, że naprawdę wierzysz, że wstąpił gdzieś na szybki numer.

Rzucam torbę na podłogę i opadam na krzesło. Miłe uczucie patrzeć, jak to wreszcie dociera do Steve'a.

– Może poszedł zrobić sobie manicure. Może w ogóle nigdzie nie poszedł i chciał nam tylko pokazać, że nie zamierza słuchać takich jak my. Nic mnie to nie obchodzi.

– Widziałaś, jak dawał Gaffneyowi kasę na kanapkę? Z tej rolki pięćdziesiątek? Po co mu tyle?

– Nie słyszałaś, co powiedziałam? To mnie nie obchodzi. Zwisa mi, czy nosi w kieszeni całe swoje oszczędności, żeby nie dostały się w łapy zakonu iluminatów. Jego sprawa. Nie nasza.

– Okay – zgadza się ostrożnie Steve. Patrzy na mnie, jakby się bał, że dostałam wścieklizny. – Okay. Co się stało wczoraj wieczorem?

– Wczoraj wieczorem – mówię – gadałam ze znajomym. Zna na wylot światek gangów i twierdzi, że możemy skreślić ten wątek. Aislinn za cholerę nie miała nic wspólnego z żadnym gangiem. Koniec i kropka. Gdyby jednak znalazł jakiś dowód świadczący o tym, że jest inaczej, chociaż jest na to praktycznie zero szans, da nam znać, ale lepiej się tym nie podniecać. I powinniśmy się cieszyć, że dowiedzieliśmy się o tym, zanim zdążyliśmy zrobić z siebie głupoli przed całym wydziałem.

Steve wygląda, jak gdyby tir przejechał mu chomika.

– Dobrze znasz tego faceta? – pyta.

– Dość dobrze. I długo.

– Jesteś pewna, że możesz mu zaufać?

Ta jego mina: niemożliwe, to nie może być prawda, przecież to jego własna ukochana hipoteza.

– Kurwa, czy pytałabym go o zdanie, gdybym mu nie ufała?

– Nie, tylko...

– Nie. Czy wyglądam, jakby coś mi się porobiło z mózgiem?

– Nie...

– No więc, kiedy mówię, że możemy mu zaufać, to prawdopodobnie znaczy, że możemy mu zaufać.

– Jasne. – Steve ma teraz obojętną minę; wycofał się i zamknął w sobie, jak zawsze, kiedy jest wkurzony. – To zaufajmy.

Zostawiam go, żeby się podąsał, i wracam do pracy, a przynajmniej próbuję. Ale nie bardzo mi wychodzi; każde zdanie muszę czytać trzy razy, zanim dotrze do mnie jego sens. Zwykle umiem się skupić w dowolnych warunkach – uczysz się tego w wydziałowych biurach, zwłaszcza w takim biurze, w którym pracuję – ale uwiera mnie to, co powiedział Steve.

Fleas strasznie dużo wie o mnie i mojej karierze jak na kogoś, kto od lat działa pod przykrywką. Pomyślałam, że to miło z jego strony, że zadał sobie tyle trudu, by śledzić moje losy. Może i tak było, a może nie.

Nagle zaczynam krytycznie analizować krok po kroku naszą sympatyczną rozmowę na kanapie, szukając miejsc, w których mógł się ujawnić jego ukryty plan: Fleas namawia mnie, żebym się wycofała, w obawie, że mogłabym zagrozić jakiejś operacji antynarkotykowej albo po prostu nie chce, żeby moje wszy oblażyły to, co właśnie robi; Fleas pozbywa się mnie, bo zaczął grać dla drugiej strony i chroni swojego nowego szefa. Sobie też przyglądam się krytycznym okiem, zastanawiając się, czy naprawdę musiałam rozmawiać z nim w związku ze śledztwem, czy raczej w głębi duszy szukałam wymówki, żeby pogadać przy kanapie z kimś, kto nie wie, że jestem pariasem. Nie wierzę w sens krytykowania czegoś po fakcie, nie wierzę w sens rozpamiętywania tego, co się nie odstało, i nie jestem zadowolona, gdy zdaję sobie sprawę, że robię jedno i drugie. Żałuję, że bardziej nie dopieklam Steve'owi. Mam nadzieję, że czuje się do dupy.

* * *

Przeoglądam wiadomości, którym udało się dotrzeć na moje biurko albo do mojej skrzynki mailowej. Jeżeli ktoś rąbnął mi coś ciekawego, to był bardzo skrupulatny. Poprawiony raport z sekcji zwłok od Coopera; kilka zgłoszeń, które trzeba będzie sprawdzić – parę tygodni temu ktoś widział w nocnym klubie kobietę, być może Aislinn, w pijackiej awanturze z facetem o wyglądzie rugbyisty; ktoś inny w sobotę po południu widział kręcących się po Viking Gardens trzech nastolatków, którzy wyglądali podejrzanie, cokolwiek to znaczy. Raporty z kryminalistyki: plamy na materacu Aislinn to nie sperma, czyli prawdopodobnie pot. Technicy próbują zbadać DNA, ale niczego nie obiecują; Aislinn utrzymywała w domu wysoką temperaturę, materace nie są sterylne, ciepło i działanie bakterii mogły rozłożyć DNA do stanu, w którym do niczego się już nie nadaje. Trudno mi uwierzyć, że to by cokolwiek zmieniło.

Okazuje się, że ogromna sterta papierów to zapis maili Aislinn z całego roku, które należy porównać z danymi z jej konta i sprawdzić, czy czegoś nie skasowano. Dobre zajęcie, któremu można się poświęcić, dopóki nie eksploduje ci mózg. Właśnie do takich pierdół Bóg stworzył mrówki, ale jeżeli istnieje choć jedna istotna rzecz, którą można znaleźć w tej sprawie, najprawdopodobniej trzeba szukać w elektronice Aislinn. Dzielę stertę na pół i jedną część kładę po stronie

Steve'a, który, nie unosząc wzroku, mówi: „Dziękuję” i odsuwa ją na bok. Mam ochotę kopnąć tego naburmuszonego palanta pod stołem. Daję sobie jednak spokój, rozkładam na biurku rejestr wiadomości mailowych Aislinn oraz wydruki z jej skrzynek i zabieram się do porównywania jednej i drugiej listy; zaczynam od najnowszych wpisów i cofam się do dawniejszych, sprawdzając, czy nie brakuje żadnego maila. Niedziela, trzecia osiemnaście rano, oferta z internetowego sklepu kosmetycznego, ciągle w skrzynce odbiorczej. Niedziela, trzecia dwie rano, spam od nieistniejącej laski z Rosji szukającej towarzystwa, ciągle w skrzynce odbiorczej. Mam ochotę położyć głowę na stosie papieru i zasnąć.

Mrówki schodzą się jedna po drugiej, na nasz widok otrząsają się z porannego zamroczenia i siadają do zadań wyznaczonych w czasie wczorajszej odprawy. Daję Gaffneyowi raport Coopera, aby go przepisał – ciągle jestem na niego wkurzona, że nie udało mu się nakłonić tego gliniarza ze Stoneybatter do identyfikacji głosu. Wpada Breslin. Podśpiewując pod nosem, rzuca na cały pokój:

– Siemandro, los druhos! – po czym zwraca się do mnie i Steve'a: – Dwie były Rory'ego zaliczone jeszcze wczoraj wieczorem, przede mną tylko dwie. I kto tego dokonał?

– Ty tego dokonałeś – odpowiada odruchowo Steve, odwracając kartkę. – Dowiedziałeś się czegoś ciekawego?

– Żadnych niespodzianek. Rory to przewidywalny gówniarz. Zobaczymy, czy dwie pozostałe będą miały mi coś miłego do powiedzenia. – Breslin opiera się o nasze biurko i próbuje odczytać do góry nogami leżącą przede mną kartkę. – Co to jest?

– Rejestry maili Aislinn – wyjaśniam.

– Hm. I co?

– Jeżeli chcesz siedemdziesiąt procent zniżki na bajeczną długą suknię, mogę ci polecić właściwy adres.

– Zdaje się, że masz ubaw po pachy. – Posyła mi najlepszy ze swoich uśmiechów gwiazdora, bierze listę wiadomości wysłanych przez Aislinn i kartkuje. – Jezu, już rozumiem. Może obrzydnąć. Chcesz, żebym cię zmienił? Możesz wziąć byle Rory'ego.

– Nie. – Nie zamierzam nawet udawać, że nabieram podejrzeń. Bardzo się stara, ale ja już przestałam się bawić w gierki Breslina. – Zaczęłam i skończę.

– Conway. – Uśmiech Breslina przybiera lekki odcień smutku. – Próbuję ci okazać, że naprawdę wiem, kto prowadzi to śledztwo. Jeżeli trzeba odwalić jakąś niewdzięczną robotę, proponuję ci pomoc.

– Dzięki – mówię. – Poradzę sobie.

Po chwili wzrusza ramionami.

– Jak chcesz. – Jeszcze raz bez pośpiechu przegląda maile, po czym odkłada na moje biurko. – Moran? Chcesz wyjść na trochę z biura? – Obraca w swoją

stronę papiery Steve'a i studiuje je z uwagą. O ile dobrze widzę, to rejestr wiadomości mailowych Aislina, chociaż mogłabym przysiąc, że Steve nie zwracał na nie uwagi, dopóki nie wszedł Breslin.

– Nie – odpowiada Steve. – Już prawie kończę. To znaczy, jeżeli do tej pory nie umarłem z nudów...

Breslin wzrusza ramionami i z powrotem przysuwa papiery Steve'owi.

– Pamiętaj – zwraca się do mnie, celując palcem w moją twarz. – Proponowałem.

– Zapamiętam – zapewniam go. – Miłej pogawędki z byłymi Rory'ego.

– Nie robię sobie wielkich nadziei. Szkoda, że nie widziałaś dwóch pierwszych. – Sadowi się na krześle, przeprowadza dwie pełne wazeliny rozmowy telefoniczne, umawiając się z dziewczynami, a potem wypada z pokoju, tak jak wpadł. – Dzisiaj też nie potrzebuję wsparcia – informuje mnie i Steve'a, puszczając do nas oko w drodze do drzwi. – Jeżeli rozumiecie, o co chodzi. – Oboje odruchowo rozciągamy usta w uśmiechu.

– Po co on w ogóle przyszedł? – zastanawia się Steve po jego wyjściu. – Mógł zadzwonić z dowolnego miejsca.

W jego głosie pobrzmiwa jeszcze ta bezbarwna nuta, ale przynajmniej mówi do mnie, co prawdopodobnie powinno wlać w moje serce odrobinę ciepła.

– Nie mógł się powstrzymać, żeby nie zobaczyć twojej ślicznej buźki – mówię.

– Nie, pytam serio. Chciał po prostu sprawdzić, co robimy. I spróbować przejąć elektronikę. Znowu. Boi się, że coś tam znajdziemy?

– Nic mnie to nie obchodzi – odpowiadam. A kiedy on znowu otwiera usta, powtarzam: – Nie obchodzi!

Steve przewraca oczami, spoglądając w sufit, odsuwa spisy maili na bok i znów zajmuje się tym, co naprawdę robił. Ja próbuję wrócić do miejsca, w którym skończyłam, ale skupienie szlag trafił; cały ten spam zlewa mi się w jedną nieskończoną reklamę viagry. Nogi mnie świerzbią, żeby wstać i zacząć się ruszać.

Tylko jedna rzecz niemrawo kołocz mi się po głowie: opowiedziana przez Lucy historia o tajemniczym chłopaku Aislina. Od tego zaczęły się te wszystkie bzdety o gangsterach, a ponieważ pozbyliśmy się już bzdetów, zostaje ta historia, którą wciąż trzeba wyjaśnić. Przychodzi mi na myśl coś, co powinno było przyjść już dwa dni temu: że mogą być inne powody, dla których Lucy była taka małomówna. Być może chłopak jest żonaty i z nią pracuje – przecież Aislina poznała Rory'ego przez Lucy, więc jest spore prawdopodobieństwo, że w ten sam sposób poznała tego drugiego, a Lucy nie chce żadnych scen w pracy, jeżeli facet się dowie, że go wsypała. A może, tak jak przypuszczałam z początku, chłopak w ogóle nie istniał. Zastanawiam się, czy nie wyciągnąć Lucy z mieszkania i ostro przycisnąć, żeby się przyznała, że historia o chłopaku to zemsta na jednym

z byłych Aislinn albo sposób, byśmy nie pominęli żadnej możliwości, a wtedy mogłabym wziąć ten umęczony i zziębiony wątek poboczny i skrócić mu cierpienia.

W tym momencie Steve podrywa głowę znad papierów.

– Antoinette! – Zupełnie zapomniał, że się na mnie boczy.

– Co?

Przysuwa w moją stronę jakieś zeznanie. Brwi podjechały mu do połowy czoła.

Patrzę na miejsce, które mi wskazuje. To jedna z kserokopii z poprzedniego dnia, zeznanie, w którym klient taksówki Desmonda Murraya dowodził, że ma alibi. Funkcjonariusz, który go przesłuchał, nabazgrał nieczytelny podpis, ale pod spodem jest wydrukowane jego nazwisko: detektyw Joseph McCann.

Spotykam wzrok Steve'a.

– Co jest, do cholery? – mówi bardzo cicho.

Irlandia jest mała, mały jest też zasób detektywów; zdziwiłabym się, gdyby przynajmniej jeden z ludzi zajmujących się sprawą Desmonda Murraya nie pracował teraz w zabójstwach. To w każdym razie wyjaśnia, dlaczego Gary'emu tak zależało, żebym trzymała gębę na kłódkę: jeżeli wywołam zamieszanie, to skutki dotkną mnie bezpośrednio. Poza tym, po nie najlepszych doświadczeniach ostatnich miesięcy nie jestem pewna, czy to kolejna garść niczego, czy coś, na co powinny zareagować moje czujniki i uruchomić najwyższy alarm.

– Trzeba sprawdzić resztę papierów z tej teczki – mówię. – Daj mi połowę.

Szybko przerzucamy dokumenty, popatrując jednym okiem na drzwi. Nabazgrany podpis jest wszędzie. Gdybyśmy się wczoraj tak nie spieszyli, musielibyśmy zauważyć: McCann, McCann, McCann. Nie został przydzielony do sprawy, żeby pomóc przy pierwszej intensywnej fazie, jak Gary. Był w niej od początku, w samym centrum.

Aislinn, pochylona nad moim biurkiem, wpatrzona we mnie wielkimi oczami, splatająca palce, opowiadająca o detektywie, który pogłaskał ją po głowie i powiedział: „Zostały ci po nim cudowne wspomnienia; chyba nie chcemy tego zmieniać, prawda? Czasem lepiej zostawić wszystko tak, jak jest...”. To mógł być McCann.

Steve unosi gruby plik kartek, co najmniej jedną trzecią z tego, co zaczął studiować.

– Wszędzie – mówi półgłosem.

– Aha. – Pokazuję mój plik, tej samej grubości. – Tu też.

Steve bierze ode mnie papiery, wsuwa z powrotem do teczki i spokojnie zamyka na klucz w szufladzie biurka. Nie jestem pewna, czy ochrzanić go za paranoiczne obawy, czy powiedzieć mu, żeby się pospieszył.

– Pytanie tylko – mówi – czy McCann i Breslin zorientowali się, że zaginiony ojciec Aislinn to ta sama osoba co zaginiony McCanna?

Splatam dłonie na karku, żeby je unieruchomić. Żadna z mrówek nie patrzy w naszą stronę.

– Nie wiem. Obserwowałam Breslina, kiedy mu powiedziałam, że w pudle są akta z wydziału zaginionych. Mogę przysiąc, że wyraźnie mu ulżyło. Jeżeli się boi, że coś znajdziemy, musi chodzić o co innego.

– Powiedziałaś mu, że przejrzelismy akta i nie znaleźliśmy nic ciekawego. Może mu ulżyło, że nie zauważyliśmy nazwiska McCanna?

– Dlaczego? Jak w ogóle by to skojarzyli?

– Breslin mówi McCannowi o naszej sprawie, wspomina nazwisko ofiary...

– Przecież już wiemy: musi być z kilkadziesiąt kobiet, które nazywają się Aislinn Murray. Naprawdę sądzisz, że McCann pamiętałby takie popularne nazwisko? Po siedemnastu latach? To nie ona zaginęła, nie była nawet kontaktową osobą w rodzinie; była po prostu dzieckiem gdzieś na drugim planie.

– Ciężko pracował nad sprawą zaginięcia Desmonda Murraya – zauważa Steve. – Mogła mu utkwąć w pamięci.

– Jeżeli nawet, to co z tego? W tym zaginięciu nie ma nic podejrzanego... nie ma nawet miejsca na coś podejrzanego. Co mogłoby ich obchodzić to, że znaleźliśmy związek z naszą sprawą?

Steve kręci głową.

– Nic podejrzanego oprócz tego, że detektywi nie zawiadomili rodziny. Przypuśćmy: Breslin i McCann wiedzą, że McCann dał ciała. Może myślą, że to w jakiś sposób przyczyniło się do zabójstwa Aislinn. A może nawet nie, tylko po prostu nie chcą, żeby to wyszło na jaw. Dlatego próbują nam wepchnąć do gardła Rory'ego Fallona i liczą na to, że go łatwo połkniemy.

Może to zmęczenie, ciepło i za mało kawy, ale mam wrażenie, że mój mózg otula wata; nie wiem, czy taki scenariusz brzmi wiarygodnie, czy brzmi dobrze tylko dlatego, że Steve tak zgrabnie go przedstawia.

– I pewnie by się udało – ciągnie – gdybyś tamtego dnia nie miała dyżuru w wydziale zaginionych albo gdybyś o tym zapomniała. Mogliśmy się w ogóle nie dowiedzieć o zaginięciu Desmonda, a tym bardziej o tym, że Aislinn próbowała go znaleźć.

Bardzo bym chciała w to wierzyć. Jeśli Breslin kombinuje przy sprawie, a nie przeciwko nam osobiście – czyli mnie – jeżeli w grę nie wchodzi żaden gang, żaden skorumpowany gliniarz, jeżeli chodzi tylko o to, że McCann siedemnaście lat temu głupio dał ciała i nie chce, żeby to wyszło na jaw; wtedy mamy ich obu w garści, a w perspektywie wypracowanie układu, dzięki któremu wszyscy będą bardzo zadowoleni. Przez chwilę czuję, jak świadomość tego przenika całe moje ciało: zdejmuję ze mnie ciężar pokoju operacyjnego, napełnia siłą każdą komórkę jak tlenem. Tylko spróbujcie teraz mną pomiatać, skurwysyny! W końcu mam w ręku mocne karty, które mogę wsadzić Roche'owi tak głęboko, że jeszcze przez

parę miesięcy będzie pluł asami, a cholerny wydział zabójstw nareszcie staje się wymarzonym miejscem, do którego od zawsze chciałam przychodzić co rano.

Tyle że w to nie wierzę, choćbym się bardzo starała. Pokój znowu zamyka mnie w swoim wnętrzu – w gęstym, rozgrzanym powietrzu, w stukocie klawiszy pod palcami Reilly’ego, który tłucze, jak gdyby próbował siłą zmusić klawiaturę do posłuszeństwa – wyciska ze mnie całą energię, zwija ją w kulę i rzuca w kąt.

– Aha, byłoby fajnie – mówię. – Tylko czemu McCanna i Breslina miałyby to obchodzić? Może nie było ładnie ze strony detektywów, że trzymali Evelyn Murray w nieświadomości, ale wszystko robili zgodnie z procedurami. Jaka najgorsza kara mogłaby ich spotkać, gdyby to teraz wyszło? „Proszę bardzo, podręcznik zasad postępowania z ofiarami, przejrzyjcie w wolnej chwili”? Przecież nie każą im włożyć munduru i nie wyślą z powrotem na ulicę, zwłaszcza po tak długim czasie.

– To zależy, dlaczego trzymali Evelyn w nieświadomości. Wszystko jedno, co mówi ten twój Gary, to jest dziwne, Antoinette. Naprawdę dziwne. Kiedy pracowałaś w zaginionych, zrobiłaś to kiedyś jakiejś rodzinie? Poznałaś odpowiedź i ani słowem nie dałaś znać krewnym? Chociaż raz?

Głowa Steve’a pochyla się blisko mojej; jego głos drży z napięcia. To idiotyczne: czuję się jak dzieciak, który bawi się z kolegą w policjantów, nosi tekturową odznakę i plecie kupę bzdur zasłyszanych w telewizji. Odsuwam się od niego.

– No i co? McCann nie prowadził tamtej sprawy. Nawet jeśli za jego decyzją stał jakiś podejrzaný powód, odpowiedzialność spada na kogoś innego.

– Jak długo McCann jest żonaty? – pyta Steve.

– Bernadette w zeszłym roku puściła w obieg po wydziale kartkę rocznicową. Pewnie obchodził srebrne gody. No i co?

– Czyli gdy pracował nad tą sprawą, był już żonaty. Gary mówił, że sporo detektywów było oczarowanych Evelyn. A może dla McCanna to było coś poważniejszego? I przeciągał sprawę, bo chciał mieć pretekst, żeby ją widywać?

Ciepło i klekot klawiszy otulają mój umysł następną warstwą waty, grubą jak izolacja. Wyobrażam sobie, jak łapię klawiaturę Reilly’ego i łamię ją na pół na kolanie.

– Tyle że nikt sprawy nie przeciągał. Zamknęli ją, gdy tylko znaleźli Desmonda.

– Aha, przynajmniej oficjalnie. Uznaliśmy nawet, że to dziwne, że nie zrobili tego wcześniej, pamiętasz? Ale może McCann obiecał Evelyn, że w wolnym czasie dalej będzie prowadził śledztwo, będzie w kontakcie, żeby przekazywać jej nowe informacje. Może rzeczywiście coś między nimi było, może nie, ale tak czy inaczej, niewykluczone, że McCann nie chciał, żeby to wyszło. Jego małżeństwo nie jest chyba w najlepszym stanie, prawda? I ma gromadkę dzieci. Jeżeli żona się

dowie, że wykorzystywał pracę, żeby się uganiać za Evelyn, będzie to mogła wykorzystać do...

– Daj spokój! – rzucam. – Przestań.

Zabrzmiało to za głośno. Ze dwie mrówki unoszą głowy. Wykrzywiam się do nich w grymasie, na którego widok natychmiast pochylają się z powrotem nad pracą.

Steve gapi się na mnie.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Wytężając całą siłę woli, żeby nie podnosić głosu, wyjaśniam:

– To wszystko cholerne wymysły. Nie rozumiesz? Naprawdę? Prawie wszystko, co powiedziałeś, odkąd dostaliśmy tę sprawę, wzięłeś z sufitu. Gangi, romanse, Jezu drogi, sama nie wiem, co jesz...

– Po prostu stawiam hipotezy – przerywa mi Steve. – Na tym polega nasza praca.

– Jasne, hipotezy. Ale nie pieprzone bajeczki!

– To nie są żadne...

– Są, Moran. Wszystkie. Jasne, każda jest możliwa, ale na żadną z nich nie ma ani grama twardego dowodu. Nawijasz mi bez końca, że Aislinn lubiała fantazjować, wymyślała różne bzdury, żeby łatwiej jej było znieść swoje zafajdane życie. Kurwa, przecież ty robisz to samo!

Przygryza wargę i kręci głową. Nachylam się bliżej, czując, jak krawędź biurka wbija mi się między zębra, i wgniatam mu słowa prosto w twarz:

– Rory Fallon zabił Aislinn Murray, bo się poprzytkali o jakąś pierdołę i przestał nad sobą panować. Breslin i McCann mi brużdżą, bo chcą się mnie pozbyć. Desmond Murray nie ma z tym wszystkim nic wspólnego. Nie ma tu żadnej pasjonującej ukrytej historii, Moran. Nie ma nic, co by ci pozwoliło stać się Sherlockiem Holmesem na tropie arcyministra zbrodni. Jesteś nędznym wyrobnikiem i pracujesz nad zasraną sprzeczką kochanków, a twój zasrany wydział tylko czeka, żeby ci dosrać, bo to banda zasrańców. I tyle.

Steve jest kredowobiały w miejscach, gdzie nie ma piegów, ciężko oddycha przez nos. Przez chwilę mam wrażenie, że wstanie i wyjdzie, nagle zdaję sobie jednak sprawę, że to nie jest upokorzenie; to złość. Steve jest wściekły.

Zaczyna coś mówić, ale ja celuję palcem w jego twarz.

– Zamknij się. Powinam wiedzieć od samego początku... I wiedziałam od początku, tylko jak jakaś cholerna idiotka dałam sobie zamydlić oczy twoją uroczą historyjką. Gdyby od tej sprawy było chociaż czuć coś ciekawym, nawet byśmy się o nią nie otarli...

Steve gwałtownie odchyła się na krześle.

– Jeezuu, tylko nie to. „Wszyscy się nade mną pastwią, cały świat jest przeciwko mnie...”

– Kurwa, tylko mi nie...

– Jakbym pracował z nastoletnią emo. Nikt cię nie rozumie, tak? I co, pójdziesz zamknąć się w swoim pokoju i będziesz się boczyć?

Nie mogę pojąć, jak mu się udało dożyć takiego wieku. Czy co dzień wieczorem wstrzykuje sobie do ucha środek na kasowanie pamięci, żeby wypalić z mózgu cały dzień i zachować niewinność?

– Ty cholerny rozpuszczony bachorze – mówię. Steve szeroko otwiera oczy.
– Masz tyle wyobraźni, a nie umiesz sobie wyobrazić, że inni mogą nie mieć tak łatwo jak ty?

– Wiem, że nie masz łatwo. Przecież tu jestem. Codziennie to widzę. Są tacy, którzy lubią ci dosrać. Ale to nie znaczy, że wszystko, co się dzieje, to tylko pretekst, żeby cię rzucić wilkom na pożarcie. Nie jesteś aż tak cholernie ważna.

Staramy się, żeby nasze głosy brzmiały w miarę spokojnie. Z odległości kilku metrów, która dzieli nas od mrówek, wydaje się, jakbyśmy prowadzili rutynową rozmowę o śledztwie. Tym więcej w niej jadu.

– Rozumiem, że chcesz, żebym pieprzyła od rzeczy, Moran. Rozumiem. Byłoby ci o wiele łatwiej żyć, gdyby...

– Nie, po prostu nie chcę już dłużej obchodzić się z tobą jak z jajkiem. Stawać na głowie, żeby poprawić ci humor i żebyś nie urywała głowy każdemu, kto się nawinie...

Myślę o tym, jak Steve opowiada kiepskie dowcipy, kiedy mam doła, dopóki się nie poddam i nie parsknę śmiechem, który stara się wywołać. Sądziłam, że po prostu lubi, żeby było miło, może nawet lubi mnie i zależy mu na moim dobrym samopoczuciu. Czuję się, jakbym wypila łyk ścieków z kanału. Zmuszał mnie, żebym była radosna jak szczypiorek na wiosnę i nie zrujnowała mu szans kumplowania się z chłopakami. Dałam się na to nabierać, raz za razem, śmiałam się razem z nim i świat wydawał mi się lepszy. Steve kręcił piruety i wycinał hołubce, a ja klaskałam w rytm jego tańca, z gębą rozdziawioną ze szczęścia.

– Wreszcie coś sobie wyjaśniliśmy – mówię. – Chciałbyś wierzyć, że chronisz mnie przed moim własnym zgubnym wpływem, ale kiedy lepiej się temu przyjrzeć, to chodzi tylko o to, żebyś miał dobre notowania u wszystkich.

Zirytowany odrzuca głowę do tyłu.

– Chodzi o to, żeby nie utrudniać sobie życia dziesięć razy bardziej niż trzeba. Tobie i mnie. To takie straszne? Czy przez to jestem takim okropnym gościem?

– Nie rób mi łaski. Chcesz się tylko przytulić do łona wydziału i żyć z nim długo i szczęśliwie, może nawet ci się uda, ale oboje wiemy, że ja nie mam co na to liczyć.

– Fakt – zdecydowanie potwierdza Steve. – Nie masz. – Nasączone złością słowa twardnieją i spadają na biurko między nami jak kamienie. – Bo nastawiłaś

się na porażkę i tak intensywnie o niej myślisz, że przegrasz z hukiem, nawet gdyby cała policja kochała cię na zabój. Jeżeli będzie trzeba, sama sobie podstawisz nogę. A potem będziesz się mogła poklepać po ramieniu i powiedzieć sobie, że wiedziałaś o tym od początku. Gratuluję.

Próbuję odsunąć krzesło na swój koniec biurka, żeby w spokoju dąsać się na mnie, wredną piekielnicę, ale nie pozwalam mu tak łatwo uciec. Pod osłoną blatu biurka łapię go za nadgarstek.

– Teraz ty mnie posłuchaj – odzywam się prawie szeptem, zaciskam palce mocniej, żeby bolało, i muszę się powstrzymać, żeby nie ścisnąć jeszcze bardziej. Reilly przestał bębnić w klawisze, więc cisza wypełnia moje uszy, mój nos, utrudniając oddychanie. – Posłuchaj, pieprzony lizodupie.

Steve nie wzdyga się ani nie wyrywa. Patrzy mi prosto w oczy. Tylko wyraz ust zdradza, że go boli.

– Nie masz pojęcia, jak bardzo chciałam, żeby to była sprawa gangsterska – mówię. – Nawet sobie nie wyobrażasz. Bo gdyby chodziło o gang, to byłoby jasne, co się dzieje. Breslin wciska nam Rory’ego, stary czepia się wszystkiego, McCann próbuje rąbnąć akta starej sprawy, Gary nie chce mieć ze mną nic wspólnego. Wszyscy chronią coś grubszego: albo skorumpowanego gliniarza, albo siedzą w kieszeni gangu, albo coś jeszcze innego. Ale mój kumpel z tajnych operacji twierdzi, że nie ma tu najdrobniejszego śladu związków z gangsterami. Nic.

Od ściszenia głosu boli mnie gardło, jak gdybym źle coś połknęła i teraz zaczyna puchnąć.

– Rozumiesz, co to znaczy? Breslin i McCann wciskają nam ten cały kit tylko i wyłącznie po to, żeby mi zrobić koło dupy. Nie ma innego powodu. Cały ten cyrk z rulonem pięćdziesiątek, sekretnymi spotkaniami... Wiesz, o co w tym naprawdę chodzi? Breslin i McCann nie są bardziej skorumpowani niż ty i ja. Chcieli, żebym zaczęła węszyć i drażnić, aż zabrnęłabym za daleko, by się cofnąć, a wtedy postawiliby mnie przed starym. „Szefie, ona grzebie w naszych finansach, podsłuchuje nasze telefony, jest stuknięta, niebezpieczna dla wydziału...” I załatwione, wylatuję. – Kiedy to mówię, żołądek się we mnie skręca. Łyknęłam to wszystko, pożarłam, aż mi się uszy trzęsły. – A jeżeli do tego już doszło, jeżeli robią to ludzie tacy jak Breslin i McCann, którym nigdy nie nastąpiłam na odcisk, jeżeli aż tak im zależy, żeby się mnie pozbyć, to po mnie, Moran. Po mnie. Nie ma już powrotu. To się nie może zakończyć inaczej.

– Puść mnie – cicho i bardzo wyraźnie mówi Steve.

Po chwili puszczam jego nadgarstek. Ściszałam go tak mocno, że dostałam skurczu palców. Na skórze zostały mu białe ślady.

Steve opuszcza rękaw. Potem wkłada płaszcz, bierze albumy ze zdjęciami i wychodzi.

Kilka mrówek unosi głowy, żeby odprowadzić go wzrokiem i z lekkim

zaciekawieniem zerknąć na mnie. Patrzą na nich obojętnie, słuchając krwi huczącej mi w uszach. Zdaje się, że już nie mam partnera. Pokój sprawia wrażenie, jakby podskakiwał i natrząsał się ze mnie, brzęcząc cicho „ha, ha, ha!”, bo przecież od początku powinnam się tego spodziewać.

Spuszczam głowę i przerzucam papiery, nie widząc ich. Z gąszczu wyskakują przypadkowe pojedyncze słowa – *niezgodny, próbką, między* – i toną z powrotem, zanim się domyślę, co oznaczają. Pokój zalatuje płynem do czyszczenia, starym dymem papierosowym z czyjegóż płaszcza, niedojeżdżonym jabłkiem, które ktoś zostawił na noc, żeby sobiegniło.

Nie dociera to do mnie od razu. Wsącza się powoli jak zimna kroplówka do żyły.

Steve od początku naciskał, żebyśmy na łeb na szyję rzucili się na nieistniejący wątek gangsterski, który mógł mnie kosztować sprawę i zrobić ze mnie pośmiewisko. Steve uwielbia być lubiany i marzy o tym, by na stałe zostać w wydziale, i mógłby błyskawicznie osiągnąć jeden i drugi cel, gdybym tylko przestała mu zawadzać. Kiedy jechaliśmy na miejsce zdarzenia, pytał mnie w samochodzie, czy zamierzam skorzystać z propozycji kumpla i przejść do agencji ochrony.

Poszedł sam do kuchni Aislinn Murray, skąd mógł wysłać wiadomość Kretynowi Crowleyowi i napisać, co tylko chciał.

O Stevie krążą różne historie. Mało ważne rzeczy z dawnych lat, ale ludzie pamiętają. Kiedy byliśmy jeszcze w szkole policyjnej, coś słyszałam: Steve pisał połowę wypracowań dzieciakowi jakiegoś komisarza, podlizywał się, żeby dostawać dobre przydziały. Doszłam do wniosku, że większość tych opowieści to kwękanie chłopaków ze wsi, których pokonał dublińczyk niewiele lepszy od dresiarza, poza tym nie znałam Steve’a na tyle, żeby się przejmować. Ale kiedy pracowaliśmy razem nad pierwszą sprawą, dowiedziałam się więcej. Steve wykantował prowadzącego śledztwo detektywa, żeby zapisać sobie na koncie parę zasług i podrasować CV, oddał komuś kilka przysług, porzucił rolę mrówki i został przyjęty do wydziału. Facet, który mi to opowiadał, miał w tym własny cel; zaryzykowałam, olałam go i zaufałam Steve’owi. I miałam rację.

Wtedy, trzymając się mnie, Steve mógł dużo zyskać. Szukał sposobu, żeby się dostać do zabójstw, panikował, że go nie znajdzie. Wystarczył jeden dzień współpracy i sama go tam wprowadziłam.

Pasowaliśmy do siebie, tak myślałam. Podobało mi się, że gdy jedno z nas utracąło teorię drugiego, zawsze prowadziło to do nowej myśli, nigdy w ślepy zaułek. Że bezwiednie nauczyliśmy się, jak się nawzajem uzupełniać: każde z nas wiedziało, jaką taktykę przyjmie to drugie w czasie przesłuchania, kiedy powinnam się cofnąć i pozwolić działać Steve’owi, a kiedy wkroczyć i zmienić ton. Podobało mi się, jak wytykał mi moje różne głupoty, nie dlatego, że nosił wielkie ego

w spodniach, ale dlatego, że te głupoty wchodziły nam w drogę. Podobało mi się, kiedy śmialiśmy się z czegoś. Raz czy dwa – chyba więcej – przyłapałam się na tym, że jak sentymentalna nastolatka marzę o naszej wspólnej przyszłości: o czasach, gdy będziemy dostawać porządne sprawy, o genialnych planach łapania w pułapkę przebiegłych psychopatów, o przesłuchaniach, które przejdą do legendy w wydziale. Twarda Conway wzruszała się do łez; ale chłopaki by się śmiały.

Byłam frajerką. Kiedy poznałam Steve'a, wydział zabójstw zdążył mi już zdrowo dopieć; wystarczyła odrobina spokoju, strzęp lojalności, żebym zmiękła i zaczęła wyłazić ze skóry, by wkręcić Steve'a do wydziału. Oczywiście, że dobrze mi się z nim pracowało; miał swoje powody, żeby o to dbać. Wiedziałam, że jest mistrzem w przybieraniu takiej postaci, jaką chcesz zobaczyć, codziennie widziałam, jak to robi, ale wmówiłam sobie, że z nami jest inaczej. Zbiera mi się na wymioty.

Ma już niewiele do zyskania, trzymając ze mną, a bardzo dużo do stracenia. Jęczę maltretowane klawiatury, wiatr wali w okno, które dygocze w ramach. Pieką mnie wszystkie pory w skórze. Kiedy przesuвам ręką po głowie, wydaje mi się, że mam nie swoje włosy.

Nie potrafię myśleć. Nie wiem, czy to wina mojej pokręconej paranoi, czy może szok po bolesnym zderzeniu z cholerną oczywistością. Od dwóch lat nieustannie się pilnuję, uważam na każdy krok i każde słowo, codziennie jestem w gotowości bojowej; moja intuicja wypaliła się do ogarka. Przez chwilę zastanawiam się, do kogo mogłabym zadzwonić i zapytać o zdanie, ale gdybym nawet chciała to zrobić – a nie chcę – taka opcja nie wchodzi w grę. Sophie, Gary, Fleas... Każdy, kto przychodzi mi do głowy, wydaje się śliski i niepewny jak obraz, który za szybko drga, by skupić na nim wzrok.

Reilly coś mówi i razem ze Stantonem wybuchają śmiechem, wydając głośne, niepohamowane ryki zapowiadające atak wesołości. Nie wytrzymam dłużej w tym pokoju. Dzwonię pod numer komórki Lucy: wyłączona. Rozgrzebuję papiery, odnajduję dane kontaktowe dwóch byłych chłopaków Aislinn – nikt jeszcze nie wytropił studenta z Hiszpanii, z którym przeżyła wakacyjną przygodę – i wsuwam kartkę do kieszeni. Potem narzucam płaszcz i wychodzę.

Aislinn wiedziała, jak ich wybierać. W porównaniu z jej byłymi Rory oferował atrakcje i mocne wrażenia jak cały park rozrywki. Pierwszy facet jest księgowym w firmie informatycznej, która, sądząc po przetartej wykładzinie i plamach wilgoci na suficie, w czasie recesji przechodziła ciężki okres, ale krzątania w biurze chyba świadczy o wychodzeniu na prostą. Poznał Aislinn w kolejce w barze kanapkowym, gdy mieli po dziewiętnaście lat; chodził z nią przez pół roku, żadne z nich jednak nie kryło, że nie szuka poważnego związku. Kiedy się sobą znudzili, każde poszło w swoją stronę, bez złości i obietnic, że zostaną przyjaciółmi. Przypomina sobie mgliście Lucy, ale nigdy nie było między nimi żadnych problemów, więc nie widzi powodu, dla którego miałyby czuć do niego urazę. Jest całkiem przystojny, chociaż niewart zapamiętania, robi wrażenie miłego faceta; twierdzi, że Aislinn była miłą dziewczyną, miło spędzili razem czas, a teraz ma bardzo miłą narzeczoną, którą w sobotę zaprosił na kolację do miłej restauracji i nigdy nie szukał Aislinn na Facebooku.

Drugi był chłopak jest może o pół stopnia mniej nudny. Pracuje w call center w wielkim biurowcu zbudowanym w szczerym polu; pewnie ktoś wpadł na genialny pomysł stworzenia centrum biznesowo-biurowego, który rozbił się w zderzeniu z kryzysem, albo starannie zaplanował sobie stratę, żeby zapłacić mniejszy podatek. Parter i trzy piętra są puste; na piątym kilkudziesięciu pracowników trajkocze przez telefon, nie przejmując się, że mówią za głośno, bo nie ma nikogo, komu mogliby przeszkadzać. Były Aislinn prowadzi mnie do narożnego gabinetu, kompletnie pustego, z wielkim jak łóżko biurkiem, na którym zalega warstwa kurzu. Poznał Aislinn przez Lucy pięć lat temu, kiedy próbował jeszcze zrobić karierę jako operator oświetlenia w teatrze. Chodzili ze sobą przez osiem miesięcy, kiedy jednak zaczął przypuszczać, że to się może przerodzić w coś wyjątkowego, rzuciła go. Powiedziała mu – a on jej uwierzył – że kończy to właśnie dlatego, że czuje to samo co on: robiło się poważnie, a opiekując się chorą matką, Aislinn nie miała czasu ani energii na poważny związek. Od tamtego czasu nie kontaktowali się, zobaczył ją dopiero w wiadomościach dwa dni temu. Kiedy odszedł z teatru, urwał się też kontakt z Lucy; nie byli ze sobą w złych stosunkach, ale też nigdy szczególnie się nie przyjaźnili, nie mieli więc powodu się spotykać. W sobotę wieczorem był na koncercie – sprawdzimy alibi obu chłopaków, lecz nie oczekuję niespodzianek. Szok, smutek i nuta żalu za tym, co by mogło być, gdyby było, brzmią wiarygodnie, ale tak samo prawdziwy wydaje się dystans: Aislinn należała do jego przeszłości. Nie uganiał się za nią, nie próbował rozpalić dawnego płomienia, nie wkurzał się, gdy zobaczył, jak szykuje się na randkę z kimś innym.

Właśnie tego się spodziewałam. To były niezłe przesłuchania; Równiej Luzarze udało się wyciągnąć od byłych chłopaków rzeczy, których nie zamierzali

mi zdradzać. Żadna z nich na nic się nie przyda.

Wracam do samochodu, idąc przez rozległą i zimną ciszę, zakłócaną tylko przez szum wiatru w wysokiej trawie, której fala przykrywa pustą przestrzeń, opływa mnie i rozciąga się dalej, niż sięgam wzrokiem. Taki widok zwykle mnie denerwuje – za dużo przyrody przyprawia mnie o gęsią skórę – ale przynajmniej przewietrzyłam głowę i przywróciłam myślom jasność, którą chciałam odzyskać podczas porannego biegania. Po raz pierwszy od wielu dni, może nawet miesięcy, wreszcie mogę pomyśleć.

Nie umiem pozbyć się wrażenia, że to możliwe dlatego, że wygoniłam Steve'a. Kiedy nie ma go obok mnie – kiedy nie szarpie mnie za rękaw, nie nadaje bez przerwy, nie wskazuje we wszystkie strony naraz, bombardując mnie lawiną dźwięków, które mogą coś oznaczać albo nie, o czym sama muszę decydować – w końcu mam czas i miejsce spokojnie przyjrzeć się sprawie. Za zasłoną tego gdybania i urojeń kryją się tylko dwie rzeczy, na które warto zwrócić uwagę.

Rory Fallon, smętny mięczak. On jest całą sprawą; oprócz niego nie ma nic. Dlatego ciągle zbieramy pełne garście niczego: bo nie ma nic więcej do znalezienia.

I druga rzecz: to moje ostatnie śledztwo w wydziale zabójstw. Mogę przechytrzać Breslina, McCanna, Roche'a i resztę tej bandy z pianą na gębach jeszcze jeden dzień, tydzień, miesiąc, ale prędzej czy później powinie mi się noga i będą mnie mieli w garści. Przychodzi mi na myśl bokser, który robi uniki i zwroty, uchylając się przed każdym ciosem, coraz szybciej i szybciej, dopóki na moment nie przymknie oczu, a wtedy łup i ciemność.

Nie zamierzam czekać na nokaut i dawać okazji Breslinowi, Roche'owi czy komuś jeszcze, by ze złośliwym uśmieszkiem zrobił wokół mnie rundę honorową. Zejdę z ringu na własnych warunkach. Skończę tę sprawę i zrobię to porządnie, połączę Rory'ego Fallona z zabójstwem takimi mocnymi dowodami, że najlepsi obrońcy w kraju nie dadzą rady go wypłatać; odejdę z podniesioną głową. Później zadzwonię do swojego kumpla w agencji ochrony i spytam, czy oferta pracy jest jeszcze aktualna. I gdzieś po drodze powiem O'Kelly'emu, żeby się odpierdolił, a Roche'owi wybiję zęby.

Przez chwilę zastanawiam się, czy to możliwe, że skoro całą resztę rozumiałam na opak, podchodziłam od dupy strony, to również źle zrozumiałam Steve'a. Zastanawiam się – mimo że to i tak już nie ma znaczenia – czy cały czas próbował odwrócić moją uwagę, bo nie chciał, żebym sobie uświadomiła, że już po mnie. Czy temu biednemu stukniętemu optymizmowi naprawdę dobrze się ze mną pracowało, tak jak przypuszczałam? Czy snuł takie same sentymentalne marzenia, że razem bez trudu zatrzymamy jakiegoś Hannibala Lectera, poprawimy mankiety i pójdziemy zająć się następną nierozwiązywalną sprawą, do której trzeba najlepszych z najlepszych. Czuję bolesne ukłucie, które daje mi nadzieję, że się

myle.

W samochodzie jest zimno. Nawet po zamknięciu drzwi dalej słyszę nieustanny szum wiatru w wielkim morzu trawy. Z jednej strony mam ochotę wcisnąć gaz do dechy i spadać stąd, z drugiej jednak – nie przychodzi mi na myśl nic, do czego mogłabym się spieszyć.

* * *

Kiedy wracam do pokoju operacyjnego, Steve'a jeszcze nie ma. Mrówki jedzą lunch i wieszają psy na jakimś artykule, który wieszają psy na policji. Breslin siedzi na swoim miejscu na przechylnym do tyłu krześle, z nogami na biurku, kończąc kielbaskę w cieście francuskim i przeglądając „Couriera”.

– O – mówi, stawiając krzesło na czterech nogach i rzucając gazetę na biurko, gdy stoję na progu. – Oto i kobieta, na którą czekam. Porabiałaś coś ciekawego?

– Rozmawiałam z byłymi chłopakami Aislinn – odpowiadam i zrzucam płaszcz. – Nie było czego słuchać. Sprawdzimy alibi i skreślimy ich z listy. – Nagłówek na pierwszej stronie „Couriera” brzmi KTO MIAŁ PRZYJŚĆ NA KOLACJĘ? Ktoś powiedział Crowleyowi o randce Aislinn.

Breslin stawia stopy na podłodze.

– Muszę rozprostować po tym nogi. – Klepie się po brzuchu. – Chodźmy się przejść.

– Muszę przepisać notatki.

– To może poczekać. – Ciszej dodaje: – Mam coś, co nie może.

Pewnie chce mi odpalić działkę ze swoich zmyślonych lewych dochodów. Nie chce mi się za bardzo zastanawiać, czy grać z nim tę komedię, skoro to i tak nie ma znaczenia, ale dzięki temu mogę wyjść z pokoju.

– Czemu nie? – mówię i z zadowoleniem widzę błysk zaskoczenia na jego twarzy, kiedy odwracam się i ruszam do drzwi.

– No więc, rozmawiałem z byłymi dziewczynami Rory'ego – zaczyna w korytarzu.

Ciekawe, dokąd idziemy pogadać. W tym tygodniu po raz pierwszy dociera do mnie, jak mało prywatności mamy tu wszyscy. Ciągłe ktoś wchodzi i wychodzi w bufecie, w biurze wydziału, w szatni; pokoje przesłuchań mają lustra weneckie i mikrofony. Nigdy wcześniej sobie nie uświadamiałam, że przeżyjesz to tylko wtedy, kiedy wydział będzie częścią ciebie, bliską i niezawodną jak własne ciało.

– I co? – pytam.

Breslin rozpromienia się w uśmiechu.

– Jak on to powiedział? Że zwykle jego typ był „raczej bardziej zwyczajny” niż Aislinn? To na pewno bardzo miłe dziewczyny, ale... Boże drogi... miałem ochotę zagonić to całe towarzystwo do jakiegoś programu o metamorfozie i kazać

stylistkom wytoczyć ciężką artylerię. – Truchtem rusza w dół schodów. – Pamiętasz te okropne niby-egzotyczne włochate bluzy z kapturem, które studenci nosili w latach dziewięćdziesiątych, żeby pokazać, że planują wyprawę z plecakiem na Goa? Przysięgam, że ostatnia z nich miała na sobie właśnie coś takiego.

– Coś nam powiedziały?

– I tak, i nie. Wszystkie twierdzą, że Rory był skończonym dżentelmenem: nigdy ich nie uderzył, nigdy nie wrzeszczał, nie miał skłonności do ich kontrolowania, nie wpadał w szał zazdrości, nie robił się złośliwy, gdy nie postawił na swoim, nic z tych rzeczy. – Skręca w inny korytarz i uchyla drzwi pokoju operacyjnego E, paskudnej dawnej szatni. Pusto. – Tutaj.

Przytrzymuje mi otwarte drzwi. Rozumiem, co chce przez to powiedzieć: tutaj, gdzie trafiłabym, gdyby mi nie pomógł. W pokoju jest gorąco i ciągle cuchnie przepoconymi strojami gimnastycznymi; na mikroskopijnej tablicy są plamy w miejscu, gdzie ktoś użył nieodpowiedniego markera, a wszystkie krzesła zdają się lepkie od brudu. Nie siadam.

– Ale posłuchaj najciekawszego – ciągnie Breslin, zamykając za nami drzwi. – Dwie dziewczyny, w tym ta ostatnia, mówią, że rzuciły Rory'ego, bo za bardzo wszystko przeżywał. Jedna określiła to dosłownie, „szedł na maksa”; druga powiedziała, że „za bardzo się spieszył”. Myślałem, że to eufemizm, ale okazało się, że nie miała na myśli seksu: biedulka nie miała żadnych oporów, żeby bzykać się z nim do nieprzytomności już na drugiej randce. Dzisiejsza młodzież nie wie, jak ma dobrze.

– No to co miała na myśli?

– Kiedy spotykali się ze sobą od kilku miesięcy, Rory zaczął dochodzić do wniosku, że to jakieś głębokie, ogromne uczucie, podczas gdy dziewczyna ciągle się wahała, czy w ogóle chce poważnego związku. Twierdzi, że naprawdę go lubiła, ale miała dopiero dwadzieścia cztery lata; chodziło jej o trochę zabawy i intelektualnej rozmowy... robi doktorat z literatury rosyjskiej... plus dużo seksu. Nie była gotowa chodzić z kimś, kto cały czas powtarza, jak byłoby cudownie wyjechać razem w podróż dookoła świata. – Breslin przygląda się ścianie przy wejściu, zdejmuje z niej drobinę jakiejś substancji i opiera się o ścianę. – No więc, rzuciła go. Druga dziewczyna powiedziała mniej więcej to samo. Ciągle słyszę, że kobiety marzą o facecie, który nie boi się zaangażowania, ale wygląda na to, że Rory za bardzo się bał.

Według drugiego byłego chłopaka Aislinn, kiedy związek zaczynał się rozwijać w coś poważniejszego, dziewczyna związała żagle – chociaż tłumaczyła to chorobą matki.

– Czyli gdy Rory nam mówił, że od pierwszego wejrzenia zakochali się w sobie z Aislinn na zabój, to wcale nie znaczy, że ona czuła to samo – zauważam.

– Właśnie. Pamiętasz, co opowiadał o randce w Pestle? Za każdym razem, kiedy mu się zdawało, że dobrali się jak w korcu maku, Aislinn milkła i musiał zaczynać rozmowę od nowa. Coś mi mówi, że gdybyśmy mogli usłyszeć wersję drugiej strony, to by było coś w rodzaju: „Za mocno wszystko przeżywał, ale przecież to miły chłopak, więc próbowałam dać mu szansę...”.

– Tyle tylko – wtrącam – że to nie pasuje do tego, co powiedziała nam jej przyjaciółka. Była przekonana, że Aislinn zakochała się po uszy. Pamiętasz te SMS-y w telefonie Aislinn, jaka była przejęta, czekając na Rory’ego z kolacją? Nic nie świadczy o tym, że próbowała się wycofać. Jeżeli Rory szedł na maksa, Aislinn nie miała nic przeciwko temu.

Breslin wyjmuje telefon wielkości własnej głowy, z błyszczącą stalową obudową, i obraca go w rękę.

– Muszę się do czegoś przyznać. Od samego rana biję się z myślami, czy ci o tym powiedzieć, czy nie.

Jeszcze wczoraj połknęłabym haczyk. A teraz nie odzywam się i czekam.

Kiedy orientuje się, że nie zamierzam go błagać, wzdycha i dalej obraca telefon, który rzuca intensywne szare refleksy.

– W zasadzie jestem graczem zespołowym. Ludzie uważają, że mam duże osiągnięcia, ale tak naprawdę wierzę w pracę zespołową. To się jednak udaje tylko wtedy, gdy reszta ludzi w twoim zespole pracuje tak samo. Rozumiesz, do czego zmierzam, Conway?

– Jestem tępą – odpowiadam. – Musisz mi wyjaśnić łopatologicznie.

Breslin udaje, że się zastanawia. Temperatura i smród wzmagają się i gęstnieją w twardą bryłę, która na nas napiera.

– Na pewno chcesz to usłyszeć?

– To ty mówisz, że masz mi coś do powiedzenia. Tak, jestem pewna, chcę, żebyś to wywalił z siebie, zamiast kręcić i rzucać półsłówka.

Znowu wzdycha.

– No dobrze – zgadza się łaskawie. – To posłuchaj: kiedy wchodzisz w jakąś interakcję, traktujesz każdą osobę jak wroga. Oboje wiemy, że w niektórych przypadkach masz do tego dobre powody, ale nawet gdy nie masz żadnego, zawsze od razu jesteś w pełnej gotowości bojowej. To tworzy atmosferę, w której nawet najbardziej zagorzały gracz zespołowy dwa razy się zastanowi, zanim ci coś zdradzi.

Inaczej mówiąc, to moja wina, że ukrywa dowody przed prowadzącym śledztwo detektywem. Nawet jeśli miałabym jakiś powód, żeby grać z nim tę komedię, nie wiedziałabym, jak to robić.

– Wydusisz to z siebie czy nie? – pytam. – Bo jeżeli nie, to powiedz, wtedy będę mogła wrócić i przepisać notatki.

Wbijają we mnie wzrok. Nie chce mi się nawet spojrzeć mu w oczy. Na pewno

wszystko mi wyśpiewa; marzy o tym. Sprawdza tylko, co uda mu się w zamian wyciągnąć ze mnie.

– Conway – mówi, wkładając w to cały zapas cierpliwości. – Rozumiesz, o co mi chodzi? Powiedz przynajmniej, że rozumiesz.

– Aha. Jestem wredna. To już wiedziałam wcześniej. – Ruszam do wyjścia.

– W porządku – rzuca Breslin spokojnie, chociaż szybko. – Chyba przez ten tydzień poznałem cię już na tyle dobrze, by uznać, że reszta się zgadza.

– Jak sobie chcesz.

– Nasz Reilly... Pamiętasz, jak ściągał zapisy monitoringu ze Stoneybatter?

Po chwili robię krok do tyłu, cofając się od drzwi.

– No więc – ciągnie Breslin z cieniem uśmiechu na wargach, by mi pokazać, że znowu jesteśmy kumplami. – Reilly okazał się całkiem rozgarnięty. Przyniósł monitoring z ostatnich czterech tygodni, w każdym razie tyle, ile udało mu się zdobyć, bo w niektórych miejscach nagrania zostały już skasowane. I siedział nad tym do piątej rano, z palcem na klawiszu przewijania z podglądem.

Podstępny skurwiel.

– Mam nadzieję, że potrafi się wytłumaczyć, dlaczego dowiaduję się o tym od ciebie, a nie od niego – mówię.

– Hm, chciałbym cię prosić, żebyś okazała chłopakowi trochę wyrozumiałości. Domyślam się, że chciał mi zaimponować. – Breslinowi prawie udaje się ukryć radosny uśmiech samozadowolenia. – Nie ma w tym nic złego. Spędzisz jeszcze kilka lat w wydziale i też zobaczysz, jak nowi prężą przed tobą muskuły.

Chwytam aluzję: jeżeli wytrzymasz jeszcze kilka lat.

– I co znalazł? – pytam.

– Tu masz przedsmak. Nagrałem krótki klip z monitora... sam zapis monitoringu... pokazuje więcej.

Stuka palcem w ekran i podaje mi telefon. Biorę go i patrzę.

Widzę zamazany kolorowy obraz, ale bywam w tym sklepie na tyle często, że rozpoznaję go od razu: Tesco na Prussia Street. Poznaję też sylwetkę chudego faceta, który wyjmuje z lodówki butelkę lucozade i idzie z nią do kasy samoobsługowej. Delikatny profil, pochYLENIE głowy, lekko zgarbione ramiona, senne ruchy rąk; dwa dni temu przez parę godzin skupiałam się na każdym szczególe jego wyglądu i zachowania.

– To Rory Fallon – stwierdzam.

– Albo jego klon. Popatrz na to.

Dwoma palcami powiększa ekran i robi zbliżenie daty i godziny nagrania: 21.08, 14/01/2015. Dwa tygodnie temu.

– Rory powiedział nam, że w sobotę musiał znaleźć najbliższe Tesco w telefonie – mówię.

– Tak powiedział. Dał nam też wyraźnie do zrozumienia, że nigdy wcześniej nie był w Stoneybatter. – Na ekranie Rory odbiera resztę wydaną przez automat i rozgląda się. Przez sekundę patrzy prosto w kamerę. Jego szeroko otwarte, rozmazane oczy wpatrują się w skupieniu w obiektyw, jak gdyby widział mój wzrok po drugiej stronie. – Jak mówię, to tylko wierzchołek góry lodowej. Mamy go na taśmach z tego miesiąca co najmniej jeszcze trzy razy w miejscach o parę minut spacerkiem od domu Aislinn. W zeszły czwartek wieczorem jego samochód złapała kamera na Manor Street, jedenastego stycznia kupował na rogu niedzielną gazetę, a piątego był na piwie w Hanlon’s.

Rory wił się jak na torturach, kiedy rozmawialiśmy o jego wypadzie do Tesco po kwiaty. Przypuszczałam, że denerwuje się z powodu niejasności chronologicznych, ale chodziło o coś więcej. Nie musiał sprawdzać w telefonie, gdzie w okolicy są sklepy. Wiedział to już na pamięć.

– Nie liczę przypadków, których Reilly nie zauważył albo których nie złapał monitoring, albo sprzed czterech tygodni. – Breslin odbiera mi telefon. – To się nazywa „iść na maksa” – mówi. – On po prostu śledził Aislinn.

– Na to wygląda – zgadzam się.

– Raczej nie przywoził pożywnych posiłków starszym mieszkańcom Stoneybatter. Gdyby to było coś niewinnego, już by nam powiedział. – Wsuwa telefon do kieszeni. – I co, warto było zostać chwilę dłużej?

– Pogadam sobie z Reillym – mówię. – I chcę obejrzeć resztę tych nagrań. Potem jeszcze raz ściągnę tu Rory’ego i zobaczę, co ma do powiedzenia.

– Może zobaczymy razem. Ty i ja zobaczymy, co ma do powiedzenia.

– Sama sobie poradzę. Dzięki.

Breslin unosi brwi.

– Sama? A Moran?

– Wyszedł.

– Mhm. Każesz mu teraz samemu szperać po krzakach, tak? Tak myślałem, że kończy ci się cierpliwość.

– Moran naprawdę świetnie da sobie radę sam. Nie muszę trzymać go za rączkę.

Breslin obrzuca mnie rozbawionym spojrzeniem.

– Mógłbym ci od razu powiedzieć, że ty i Moran nie pasujecie do siebie.

– Nie pytałam.

– Daj temu chłopakowi kilkunastu świadków, pozytywny wynik badania DNA i zapis wideo z zabójstwa, a przez cały rok będzie prowadził poszukiwania, żeby mieć stuprocentową pewność, że bydlak nie miał dawno zaginionego brata bliźniaka, świadkom nic się nie pomyliło i nikt nie napluł w miejscu znalezienia DNA. Wcale tego nie krytykuję; niektóre sprawy wymagają takiego podejścia. Ty natomiast chcesz zrobić to co trzeba.

– Zgadza się, chcę. Dlatego pójdę załatwić sprawę z Reillym i rzucę okiem na to nagranie, zamiast prowadzić rozmowy o życiu. Na razie.

– Jezu Chryste, Conway, możesz na chwilę wrzucić na luz? Przecież jestem po twojej stronie. Zachowujesz się, jakbym był twoim wrogiem. Nie wiem, skąd ci to przyszło do głowy, ale naprawdę chcę zamknąć tę sprawę.

– Breslin, jestem ci wdzięczna, że pokazałeś mi ten klip i tak dalej. Ale będę zakładać, że każdy w wydziale jest moim wrogiem, dopóki nie znajdę konkretnego, twardego dowodu na to, że nie jest. Na pewno rozumiesz dlaczego.

– Och, tak. – Uchyła drzwi i wygląda na korytarz: nikogo. – Świetnie rozumiem dlaczego. Prawdę mówiąc, rozumiem o wiele lepiej niż ty. Chcesz wiedzieć, co o tobie słyszałem?

Wydaje mu się, że może mnie skusić.

– Na początek możesz po prostu założyć, że to ściema, a dopiero potem pytać – mówię.

– Zakładam, że to ściema. Ale i tak musisz to usłyszeć.

– Przez trzydzieści dwa lata życia miałam to w dupie, co ludzie o mnie wygadują. Chyba jeszcze jakiś czas poradzę sobie bez tej wiedzy.

– Nie. Nie poradzisz sobie. Za każdym razem, gdy wchodzisz do biura, kiedy myślisz, że spokojnie sprawdzasz maila i pijesz kawę, chłopaki przypominają sobie tę historię. Patrzą na ciebie i mają w głowach tylko to zdarzenie. I co, dobrze ci z tym?

Strasznie chce mi to opowiedzieć. Razem z McCannem ciężko pracowali, żebym zobaczyła w nim człowieka o wielkim sercu, ale propozycja tego typu – słuchaj, wezmę kawałek twojego życia i napiszę go po swojemu – nigdy nie płynie z dobroci serca.

– Kiedy będę potrzebowała pomocy, dam ci znać.

– To będzie przykre. Nie zamierzam cię okłamywać. – Breslin ma współczującą minę, ale widziałam ją już w pokojach przesłuchań. – Rozumiem, dlaczego nie chcesz się tym zajmować.

– Nie chcę. Nie chcę się zajmować niczym oprócz spraw, które prowadzę. I chcę pogadać z Reillym.

Robię krok w stronę drzwi, ale Breslin wyciąga rękę, żeby zatarasować mi drogę.

– W pierwszym tygodniu u nas miałaś spięcie z Roche'em – mówi. – Pamiętasz to?

– Ledwo, ledwo. Dawno i nieprawda.

– Może, tyle tylko, że to prawda. Nie doceniłaś Roche'a. Krótco potem powiedział nam, że kiedy byłaś w patrolu, poważnie dałaś ciała. Miałaś pilnować jakiegoś dilerka, kiedy twój partner przetrzepywał jego dom; zdjęłaś podejrzanemu kajdanki, żeby mógł pójść za żywopłot się wysikać, a on po prostu zwał. Potem

zagroziłaś partnerowi... Roche nie podawał nazwisk, jest na to zbyt cwany... No więc, zagroziłaś, że jeżeli wspomni o tym w raporcie, oskarżysz go o molestowanie seksualne i powiesz, że łąpał cię za biust w radiowozie.

Breslin opuszcza rękę i odsuwa się na bok, schodząc mi z drogi. Nie ruszam się z miejsca, tak jak przypuszczała.

– A gdy twój partner mimo to ujawnił sprawę – ciągnie – spełniłaś groźbę: poszłaś do szefa. Zrobił się smród, raport poprawiono zgodnie z twoją wersją, a twój partner został uziemiony w patrolu do końca służby, tymczasem ty dostałaś trzy tygodnie płatnego urlopu, żeby dojść do siebie po tym traumatycznym przeżyciu. Brzmi znajomo?

Trzy tygodnie, które spędziłam w roli kuzynki Fleasa. A wcześniej rzeczywiście podejrzany – jakiś naćpany speedem idiota – zwiął mnie i mojemu partnerowi. Całe zdarzenie zrobiło na mnie takie wrażenie, że nie pamiętam nawet jego nazwiska. Mój partner był porządnym gościem, chociaż przeciętnym i bez polotu, z tych, co od pierwszego dnia mają wypisane na czole MUNDUROWY NA WIEKI. Roche zrobił wywiad, postarał się, żeby historia miała w sobie odrobinę prawdy i ludzie mogli ją łyknąć w całości.

– Pół wydziału w to wierzy – dodaje Breslin. – I chce się ciebie pozbyć jak najszybciej, zanim narobisz takiego samego gnoju któremuś z nich. Traktują to bardzo, bardzo serio.

Obserwuje mnie spod półprzymkniętych powiek, czekając na łzy, drżenie, jakiś znak, że mam ochotę dać Roche'owi w pysk, żeby nakrył się nogami.

– Miałam rację – mówię. – Jakoś bym przeżyła bez tej wiedzy. Ale dzięki. Będę pamiętać.

Breslin wytrzeszcza oczy.

– Podchodzisz do tego bardzo niepoważnie, Conway.

– Z Roche'a jest kawał gnoja. To żadna sensacja. Co mam, twoim zdaniem, zrobić? Rozplakać się? Zemdleć?

– Niełatwo było mi podjąć decyzję, żeby ci o tym powiedzieć. Jestem bardzo lojalny. Niejeden uznałby to za zdradę wydziału, a ten wydział dużo dla mnie znaczy. Chcę, żebyś przynajmniej okazała trochę wdzięczności za to, co zrobiłem.

Jeszcze chwila, a tak się nakręci, że dostanie piany z oburzenia, a ja, zanim wrócę do pracy, będę musiała to posprzątać.

– Jestem wdzięczna – odpowiadam. – Naprawdę. Tylko nie rozumiem, po co mi o tym mówisz.

– Bo ktoś musi. Twój partner powinien to zrobić parę dobrych miesięcy temu. Daj spokój, Conway, oczywiście, że Moran wie. Myślisz, że Roche nie zaczął go już w pierwszym tygodniu, żeby mu uświadomić, z kim związał go los?

Ciągle czeka na moją reakcję, szuka jej oznak łapczywym wzrokiem gliniarza, a na jego ustach błąka się kpiący uśmieszek. Breslin chce doprowadzić

do tego, żebym na koniec tej rozmowy wypłakiwała sobie oczka albo waliła pięściami w ścianę, albo jedno i drugie. Wkłada w to całą swoją energię. Co za marnotrawstwo!

– Partner powinien cię wspierać i osłaniać – dodaje. – Nie byłoby tej rozmowy, gdyby załatwił to jak trzeba.

– Może nie widział powodu, dla którego miałabym o tym wiedzieć.

– Że co? Jak to: nie widział powodu? Oczywiście, że jest powód, do cholery! Powinnaś wiedzieć teraz... Nie, kurwa, powinnaś wiedzieć już parę miesięcy wcześniej. Przecież ledwie się trzymasz. Rozumiesz to, Conway? – Breslin nachyla się, przytłacza mnie swoim ogromem: to jego sztuczka na podejrzanych, którzy są o jeden chwiejny krok od przyznania się do winy. – Masz jeszcze szansę, ale ta jest ostatnia. Przestań chować głowę w piasek i wystawiać dupę, przestań traktować mnie jak wroga, a zamkniemy sprawę jeszcze w tym tygodniu. Będę mógł zaręczyć za ciebie w wydziale, a moje słowo naprawdę coś tam znaczy. Potem, jeżeli dasz radę potraktować chłopaków uprzejmie, czeka cię błogi spokój, staniesz się atutem wydziału... a jak wspominałem, to dla mnie coś znaczy. Ale jeżeli dalej będziesz mnie blokować, bo masz jakiś kompleks męczennicy, sprawa pójdzie się pieprzyć, a ja nie będę już trzymał twojej strony, bo nie lubię, żeby mnie kojarzono ze sprawami, które poszły się pieprzyć. Wtedy, mówiąc bez ogródek, będziesz miała przesrane.

Znowu opiera się o ścianę i wkłada ręce do kieszeni.

– Wybieraj. – Dzielny rycerz gotów przybyć na ratunek, jeżeli mu tylko pozwolę.

Nie dam się uratować. Korzystam z pomocy – z tym nie mam problemów – tak jak skorzystałam z pomocy Gary’ego i Fleasa. Ratunek to coś innego, zwłaszcza kiedy toniesz trzeci raz, próbowałeś już wszystkiego i nic.

Jeżeli ktoś cię ratuje, trzyma cię w garści. Nie dlatego, że stajesz się jego dłużnikiem – to się da załatwić odpowiednią liczbą przysług albo przystrojonych we wstążeczki butelek wody. Trzyma cię w garści, bo przestajesz grać główną rolę w swojej historii. Jesteś biedną udręczoną ofiarą/bezradną damą w opałach/dzielnym giermkim/ocaloną/ocalonym przed zagrożeniem/hańbą/upokorzeniem przez wspaniałego, dzielnego/pełnego współczucia bohatera/bohaterkę, i to oni wybierają ci rolę, bo już nie decydujesz, jak toczy się ta opowieść.

Zupełnie nie zrozumiałam zamiarów Breslina. Nie chce mnie pogrążyć, w każdym razie niekoniecznie. Chce mnie mieć w garści.

Po to właśnie McCann próbował mnie zmiękczyć odzyskaną kartką zeznania i numerem pod tytułem „gliniarz o złotym sercu”. Może Breslin planuje jakiś rozłam w wydziale, on kontra Roche, i buduje sobie drużynę. Może dostał cynk, że stary myśli o odejściu na emeryturę – jako jego ulubieniec wiedziałby o tym

pierwszy – i sądzi, że zwiększy swoje szanse na to stanowisko, jeżeli poskromi krnąbrną dziewczynę w wydziale. Może nie ma na oku żadnego konkretnego celu, tylko uznał po prostu, że łatwo mu ze mną pójdzie, żal zmarnować okazję, a w przyszłości mogę mu się przydać.

Mogłabym się roześmiać, gdybym miała dość energii. Nie zamierzam przydać się nikomu w tym wydziale.

Breslin stuka palcami w telefon w kieszeni.

– Conway – odzywa się łagodniejszym tonem. – Pamiętaj, że nie musiałem ci w ogóle o niczym mówić. Mógłbym sam ściągnąć Rory’ego i go przeczołgać bez twojej pomocy. Mówię ci, bo uważam, że będzie lepiej dla wszystkich, jeżeli będziemy pracować razem. Lepiej dla sprawy, dla wydziału, dla ciebie... tak, dla mnie też. – Obdarza mnie uśmiechem, w którym w idealnej proporcji łączy się ojcowskie ciepło i zawodowy szacunek. – Spójrzmy prawdzie w oczy, Conway: ty i ja tworzymy niezły zespół. W niedzielę po południu dobrze nam poszło z Rorym. A z tym... – znowu stuka w telefon – pójdzie o wiele lepiej.

Mam już na końcu języka, gdzie sobie może wsadzić tę swoją akcję ratowniczą, ale zdaję sobie sprawę, że to nie ma znaczenia. Nie muszę się przejmować, czy Breslin chce mnie ratować, trzymać w garści, pograżyć; nie mam co zawracać sobie głowy żadną z tych pierdół; wszystko jedno, jaki plan ma wobec mnie, nie zrealizuje go, bo mnie tu już nie będzie. Ma rację, nieźle nam idzie współpraca i nagle mogę to wykorzystać, nie dygocząc z niepokoju o konsekwencje, jakie wynikną na przykład dla samego cholernego Rory’ego Fallona. Fajnie jest rzucać wszystko w diabły; szkoda, że nie pomyślałam o tym parę miesięcy temu.

– Dobra – decyduję. – Zróbmy to. Ale nie wspominałyśmy o monitoringu, dopóki nie powiem. Chcę to zostawić na koniec.

– Nie ma sprawy. Ty dasz znak. – Uśmiecha się od ucha do ucha. – Będzie niezła zabawa, Conway. Kiedy to pokażemy, Rory zmoczy się w majteczki z falbankami.

– Jest jeszcze lepiej – mówię. Breslin pytająco unosi brwi. – Szukaliśmy motywu, a przynajmniej czegoś, co by doprowadziło do ataku. Zgadza się?

Wydmuchuje powietrze kącikiem ust.

– Wy szukaliście. Mnie w ogóle nie obchodzi, dlaczego to zrobił, jeżeli tylko możemy udowodnić, że to zrobił.

– Rory przyjeżdża do Aislinn, podjarany przed szaloną nocą. Jest trochę za wcześnie, ale to nic. Otwiera mu drzwi, cieszą się, że się widzą. A potem z jakiegoś powodu wychodzi na jaw, że ją śledził. Może wyrwało mu się coś, z czego ona odgadła, że Rory zna Stoneybatter. Albo wspomniała, że widziała go w okolicy, a on nie wiedział, jak to wytłumaczyć.

To miłe uczucie, wymyślać jakąś bajeczkę. Rozumiem już, dlaczego

wszyscy tak się od tego uzależniają. Cała scena rozgrywa się przede mną jak klip wideo, ale tu mogę wszystko ustawić i wygładzić, żeby w każdym szczególe zgadzało się z moim scenariuszem. – W każdym razie Aislinn nie jest zadowolona. Już wcześniej miała wątpliwości, bo Rory wyraźnie szedł na maksa. Próbowwała się ich pozbyć, ale teraz przekroczył granicę szajby. Każe mu wyjść, a Rory traci głowę.

Breslin zaciska usta i z zapalem kiwa głową.

– Podoba mi się – oznajmia. – Bardzo mi się podoba. Chyba jesteś na właściwym tropie, Conway. Wiedziałem, że wierzę w ciebie nie bez powodu.

– Sprawdźmy, co Rory o tym sądzi – proponuję.

Uśmiecha się do mnie radośnie i serdecznie, jakby od miesiący nie spotkało go nic miłszego.

– Chodźmy stąd – mówi. – Ten pokój cuchnie.

Po syfie, którym tu oddychaliśmy, mogłabym wypić duszkiem całe powietrze z korytarza. Breslin zamyka za nami drzwi pokoju operacyjnego ze zdecydowanym, pogardliwym trzaskiem, który mówi: „Już nigdy więcej nie będziesz potrzebowała tej nory”.

* * *

Po powrocie do pokoju C dzwonię do Rory’ego i pytam go życzliwie i niezobowiązująco, czy mógłby nam w czymś pomóc i wpaść na jeszcze jedną krótką rozmowę. Przygotowuję się do odparcia lawiny wymówek, że nie może zostawić księgarni, że ma spotkanie albo że źle się czuje, ale on wyłazi ze skóry, by mnie zapewnić, że tak, przyjedzie zaraz, jak najszybciej. Bardzo mu zależy na udowodnieniu, że jest po naszej stronie, ale nie jestem przyzwyczajona, żeby wszystko szło tak prosto, dlatego wydaje mi się to nienaturalne, trochę straszne, jak gdyby świat odrobinę się przekrzywił i nie chciał wrócić do rzeczywistego położenia. Chcę zasnąć i spać bardzo długo.

Steve’a ciągle nie ma. Przyłapuję się na tym, że podświadomie liczę na to, że pojawi się tu jeszcze przed Rorym – będę musiała zacząć przesłuchanie z Breslinem, ponieważ to on dał mi zapis z monitoringu, ale zanim przejdziemy do ostatniego uderzenia, będę go mogła wymienić na Steve’a; przyciśniemy Rory’ego, aż się przyzna, pokażę temu słodkiemu idiocie Steve’owi, że od początku miałam rację, on mnie przeprosi, pójdziemy na piwo i wszystko będzie jak dawniej... W tym momencie odzywa się mój mózg, by mi przypomnieć, że już nigdy nic nie będzie tak jak dawniej. Pokój operacyjny kołysze się, światła podskakują i mrugają, szum komputerów wzmaga się i potężnieje jak ryk syren.

Kiedy przywołuję do siebie Reilly’ego, nie chce mu się nawet udawać skruchy, przybiera tylko bezmyślną, upartą minę i gapi się w przestrzeń nad moim ramieniem, czekając, aż skończę. Byłam gotowa urwać mu głowę, ale patrząc na

jego twarz, która ledwie skrywa drwinę, myślę tylko o Stevie: Stevie z czasów tamtej dawnej sprawy, kiedy wziął kluczowy dowód i przypiął sobie do piersi jak order, zamiast zanieść go w zębach prowadzącemu śledztwo detektywowi. Reilly wywołuje we mnie mdłości. Nie chcę już rozerwać go na strzępy; chcę tylko, żeby zszedł mi z oczu. Kiedy mu każę wracać do ogólnego, widok jego twarzy – z której błyskawicznie znika drwina, ustępując miejsca kipiącej złości i upokorzeniu – nie daje mi ani odrobiny satysfakcji. Pozostałe mrówki udają, że skupiają się na pracy, on tymczasem zbiera swoje rzeczy i wychodzi, z rozmachem zatraskując za sobą drzwi. Breslin siedzi rozparty przy biurku i obserwuje mnie spod półprzymkniętych powiek, gryząc koniec długopisu, zwarty i gotowy, żeby mi powiedzieć, czy zrobiłam dobrze, czy nie. Nie pytam.

Monitoring pokazuje dokładnie to, o czym mówił Breslin: Rory szwendał się po Stoneybatter, kiedy nie powinno go tam być. Wysyłam na miejsce Meehana z poleceniem, by ściągnął zapis monitoringu z grudnia – niewiele już tego będzie – i zasiadam do oglądania. Wybieram najlepsze ujęcia Rory'ego z datą i godziną i je drukuję.

Dzwoni telefon na moim biurku: Bernadette z wiadomością, że Rory Fallon czeka na dole.

– Już jest – informuję Breslina.

– No to chodźmy – mówi, odsuwając krzesło. – Na razie, chłopcy. Przyniesiemy wam piękny skalp.

Mrówki unoszą wzrok i szybko kiwają głowami, bojąc się, że rozszarpie gardło każdemu, kto ośmieli się nawiązać kontakt wzrokowy. Mój monitor pokazuje życie na czarno-białej ulicy w Stoneybatter toczące się w skokowym rytmie – nieruchomy biegacz w rogu ekranu zostaje w ułamku sekundy teleportowany na przeciwległą stronę; owczarek niemiecki, przyłapany podczas sikania na mur, po chwili znika – dopóki nie naciskam STOP. Kontury komputerów, białej tablicy i mrówek marszczą się i falują jak delikatna tkanina zanurzona w wodzie, odpływając coraz dalej i dalej.

Rory jest w jeszcze gorszej formie niż w niedzielę. Ciągłe ma tak samo przyklepnięte włosy i przekrwione oczy, jego skóra jest sucha i biała jak płótno. Biję od niego zapach ubrań, które za długo przeleżały w pralce. Na nasz widok twarz drga mu w uśmiechu, ale to tylko nerwowy i mechaniczny odruch. Będzie niezła zabawa, żeby go na tyle wyluzować, aby nadawał się do użytku.

Na początek prowadzimy go do ładnego pokoju przesłuchań przeznaczonego dla zszokowanych świadków i członków rodziny ofiar. Ślicznie tu; żółta pastelowa farba, krzesła, które nie dają ci w kość, czajnik i koszyczek w hotelowym stylu pełen torebek z herbatą i malutkich saszetek rozpuszczalnej kawy. Nazywamy go Moim Pierwszym Pokojem Przesłuchań. Mimo nerwówki Rory wyczuwa różnicę; uspokaja się do tego stopnia, że zdejmuje swój zastępczy płaszcz i starannie wiesza go na oparciu krzesła. Pod spodem ma dzinsy i wyciągnięty beżowy sweter, depresyjny koszmar z dzianiny za dwie dychy.

– Najpierw załatwimy papierologię – zapowiada Breslin, podsuwając mu długopis oraz druczek z pouczeniem o przysługujących mu prawach.

Ponieważ Czempion Paker – uzbrojony w grubą teczkę wypchaną wszystkim, co się może przydać, plus plikiem rozmaitych papierów jako wypełniaczem – budzi strach. Równa Luzara w głębi duszy trzyma stronę Rory’ego, dlatego nie mam nic oprócz notesu i długopisu.

– Przepraszam, wiem, że już to robiłeś, ale za każdym razem musimy mieć nowy kwit – tłumaczy się Breslin. – Masz prawo nic nie mówić, jeżeli nie chcesz, ale wszystko, co powiesz, zostanie zapisane i może zostać wykorzystane w postępowaniu dowodowym. Tak jak poprzednim razem. Zgoda?

Rory podpisuje, nie czytając.

– Dzięki. – Breslin tłumi ziewnięcie i przeciąga się, wypinając pierś. – Muszę się napić prawdziwej kawy, nie tego rozpuszczalnego świństwa. Rory? Antoinette? Co wam przynieść?

W innych okolicznościach zjeżyłabym się na tę „Antoinette”, ale wiem, do czego zmierza.

– Boże, tak, prawdziwa kawa! Dla mnie czarna, bez cukru. Mógłbyś jeszcze wykombinować parę ciastek? Umieram z głodu.

– Zrobię nalot na zapasy O’Gormana – odpowiada Breslin z szerokim uśmiechem. – Zawsze kupuje coś porządnego, żadne tam herbatniczki bez smaku. A dla ciebie, Rory?

– Hm... – Rory ze skonsternowaną miną stara się przewidzieć możliwe konsekwencje zamówienia gorącego napoju. – Chętnie napiłbym się herba... nie, kawy. Z odrobiną mleka. Dziękuję.

– Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem. – Breslin z jękiem dźwiga się

z krzesła. – Mógłbym przespać cały tydzień. Cholerna pogoda. Wystarczyłaby solidna dawka słońca, i poczułbym się jak nowo narodzony.

– Zjrzyj przy okazji do biurka O’Gormana – radzę mu. – Zobacz, czy nie ma tam biletów na Barbados.

– Jeżeli ma, to spadamy stąd. Rory, wzięłeś ze sobą paszport?

Rory’emu udaje się załapać i parsknąć śmiechem, parę sekund za późno. Breslin posyła nam uśmiech i wychodzi.

Odchylam się na krzesło, wyciągając przed siebie nogi, i ściągam gumkę z włosów, żeby poprawić fryzurę w oczekiwaniu na powrót Breslina.

– Uff – wzdygam. – To były długie dni. Jak sobie radzisz?

– W porządku. Sporo jak na jeden raz, musiałem się z tym wszystkim oswoić. – Rory ma się na baczności. Nie zapomniał, że to ja jestem tym złym gliną, który nie powiedział mu o śmierci Aislinn. Steve w mig by go ugłaskał i rozwiązał mu język.

Ale nie tylko Steve potrafi być miły.

– Rzeczywiście, sporo – zgadzam się. – Chcesz, żeby cię umówić ze Wsparciem dla Ofiar Przestępstw, znaleźć kogoś, z kim mógłbyś pogadać? To ich praca, pomagają ludziom przejść przez takie rzeczy. I świetnie to robią.

– Nie. Dzięki.

– Na pewno?

– Tak. Dam sobie radę. Tylko... przede wszystkim chcę wiedzieć, co się stało. Muszę to wiedzieć.

– No tak – mówię ze smutnym uśmiechem. – Jak my wszyscy.

Rory odważa się zerknąć na mnie.

– A jeszcze nie... Już wiecie?

Wzdycham i korzystając z tego, że mam rozpuszczone włosy, masuję sobie głowę.

– Szczerze mówiąc, nie, nie wiemy. Sprawdziliśmy mnóstwo różnych tropów w śledztwie... szczegółów nie mogę ci ujawniać... ale w zasadzie do niczego nas nie doprowadziły. Dlatego wzywamy jeszcze raz osoby, które były najbliższej Aislinn. Mamy nadzieję, że ktoś podsunie nam świeżą myśl, da nowy impuls.

– Znałem ją tylko dwa miesiące – odzywa się ostrożnie.

– Tak, wiem. Ale to, co łączyło cię z Aislinn, liczy się bardziej, niż gdybyś przez lata siedział obok niej w pracy i rozmawiał o zdjęciach kotków w internecie.

– Dobieram właściwy ton: żadnego rozczulania, tylko bezpośrednio, jasno i rzeczowo. – Rozumiałeś ją. To wyraźnie wynikało z naszej ostatniej rozmowy. Nie widziałeś w niej tylko umalowanej blondynki, widziałeś, co się kryje pod tym. Widziałeś, kim jest naprawdę.

– Tak mi się wydawało – przytakuje cicho Rory.

– To nieoceniona rzecz. Ja jej nie poznam. Muszę polegać na słowach ludzi takich jak ty, żeby zrozumieć, kim była. Tylko w ten sposób będziemy mogli dojść do tego, co się stało. – Tak bardzo angażuję się w rozmowę, tak głęboko wchodzę w tryb pozasłużbowy, że zupełnie zapominam o ułożeniu włosów w kok. – Przypuszczam, że przez ostatnie dwa dni nie myślałeś o niczym innym. Mam rację?

Rory przygryza wargi.

– Mniej więcej – mówi po chwili. – Tak.

– I przez ostatnie dwie noce.

Skinienie głową.

– Trzymaj się – odzywam się łagodnie. – Wiem, jak to jest. Z początku masz wrażenie, że to opanowuje całe twoje życie, prawda? I że już nigdy się nie wygrzebieesz.

Rory wypuszcza z płuc powietrze, a razem z nim pozbywa się nieufności. Garbi ramiona, wkłada palce pod okulary i przeciera oczy.

– W ogóle nie spałem. Nie najlepiej znoszę brak snu, ale nie mogę... Godzinami chodziłem tam i z powrotem po salonie, nie czuję nóg. Wczoraj w nocy coś się stało na ulicy, krzyczał jakiś człowiek, a ja pomyślałem, że mam zawał... naprawdę pomyślałem, że umrę tak jak stoję, oparty o ścianę. Nie byłem w stanie otworzyć księgarni, nie mogłem nawet wyjść z własnego mieszkania, żeby się nie wygłupić i nie zemdleć, kiedy ktoś na przykład trzaśnie drzwiami samochodu. – Spogląda na mnie wzrokiem, który ma być wyzywający. – Pewnie uważa pani, że to żalotne.

Uważam, ale ważniejsze, że to się da wykorzystać.

– Ja? – zdumiewam się. – Jezu, nie. Widziałam wiele osób, które przeżywały coś takiego. To, co czujesz, naprawdę nie odbiega od normy.

– Kiedy pani zadzwoniła... poczułem autentyczną ulgę, wie pani? Zdaję sobie sprawę, że to śmieszne, ale pomyślałem tylko o tym, że nie będę musiał spędzać całego dnia... – Głos mu drży. Przyciska palce do ust.

– Ja też jestem ci wdzięczna. – Przywołuję na twarz odpowiednio współczujący uśmiech. – Tutaj mi o wiele lepiej, niż gdybym przy tej pogodzie musiała łązić po domach.

– Nic innego nie robię, tylko ciągle o tym myślę, o tym, jak to mogło się wydarzyć. Ułożyłem sobie w głowie chyba kilkadziesiąt scenariuszy. Dlatego nie mogę spać. Kiedy zamykam oczy, nic innego nie widzę.

– Dzięki Bogu – mówię z głębi serca. A kiedy Rory z zaskoczeniem unosi wzrok, wyjaśniam: – Przecież o to nam chodzi, prawda? Stawiamy hipotezy, jak to się mogło zdarzyć, a potem staramy się dopasować do faktów. Tyle że tym razem nic nam nie pasuje i muszę przyznać, że już mi się wyczerpał zapas hipotez. Próbuję wymyślić więcej i wariuję od tego. Jeżeli masz jakieś nowe, to, na litość

boską, podrzuć mi coś.

Steve na pewno by się roześmiał; błagam tego faceta, żeby zasypał mnie lawiną idiotycznego gdybania. Na myśl o Stevie czuję bolesne ukłucie pod żebrami, które na moment zatyka mi dech w piersi.

Rory zdobywa się na błady, wymuszony uśmiech.

– A ile mamy czasu?

– Zróbmy tak: zacznij od tej, która wydaje ci się najbardziej prawdopodobna. Od tego, co w głębi duszy uważasz za prawdziwą wersję wydarzeń. Jeżeli to ma ręce i nogi... Jezuu, będę ci dozgonnie wdzięczna. A jeżeli nie będzie trzymało się kupy, a ten gość nie przyniesie jeszcze kawy, podrzucisz mi następną wersję.

Patrzy na mnie, jakbym go wkręcała w jakiś kawał.

– Serio?

– Oczywiście, że serio – zapewniam go. – Mówiłam przecież: zadzwoniliśmy do ciebie, bo potrzebna nam każda pomoc. Cokolwiek nam powiesz, będzie lepsze niż nic. Chyba że przypuszczasz, że za tym stoją, bo ja wiem, kosmici.

Tym razem uśmiech wygląda na prawie autentyczny.

– Nie kosmici – mówi Rory. – Słowo. – Prostuję się i otwieram notes, gotowa zapisać każdą złotą myśl, jaka spłynie z jego ust. – No więc, najczęściej wracam do jednej hipotezy. Chodzi o to, że Aislinn...

Wzdryga się, wymawiając jej imię. Zdejmuje okulary i przeciera je, pozbawiając mnie i pokój ostrości, bo łatwiej mu mówić do rozmazanych konturów.

– Chodzi o to – ciągnie – że Aislinn była osobą, która pobudzała do fantazjowania. Przy niej człowiek uświadamiał sobie, że układa w głowie różne historie. – Przestaje się garbić; wkroczył na znajome terytorium. – Zastanawiałem się, czy to dlatego, że też lubiła fantazjować... widziałem to; swój pozna swego... ale to było coś więcej. Nie miała nic przeciwko temu, żeby wchodzić w moje fantazje. Dla towarzystwa. Po prostu to lubiła.

Dla mnie brzmi to jak kupa bzdetów: nikt nie lubi grać epizodów w czyjejs fantazji. Jeżeli nawet moja twarz zdradza, co myślę, Rory nie widzi tego bez okularów, mówi jednak, jak gdyby słyszał moje myśli.

– Naprawdę. Wyglądało to na przykład tak: kiedy poszliśmy na kolację, powiedziałem jej, że mam wrażenie, jakbyśmy się znali od lat. Aislinn na to, że ona czuje to samo. Powiedziała coś w rodzaju: „Może już się kiedyś spotkaliśmy. To mały kraj...”. Ja na to: „Może bawiliśmy się razem, gdy byliśmy mali. Mieliśmy na przykład sześć lat. Na placu zabaw jesienią. Może przyniosłaś swoją lalkę...”. Aislinn uśmiechała się i mówiła, że zawsze przynosiła na plac zabaw lalkę, taką starą i brudną, która miała na imię Caramel. Na to ja powiedziałem: „Może posadziłaś Caramel na ławce, żeby mogła patrzeć, jak się huśtasz, a ja siedziałem

na huśtawce obok. Potem przyszła jakaś mała dziewczynka i pomyślała, że ktoś zostawił Caramel, więc ją wzięła...”.

Wtrącenie imienia lalki byłoby urocze, ale w przemowie pana młodego; w tym kontekście zdecydowanie przekracza granicę dobrego smaku. Rory uśmiecha się lekko do Aislinn w tym wspomnieniu.

– Opowiedziałem jej całą historię. Zobaczyliśmy, jak ta dziewczynka zabiera Caramel, więc uciekliśmy swoim rodzicom i poszliśmy za nią i jej matką, wsiedliśmy razem z nimi do autobusu i pojechaliśmy daleko do miasta, goniliśmy ją O’Connell Street aż do Clery’s. Powiedziałem, że biegł za nami policjant, ale schowaliśmy się przed nim pod wielkim parasolem, a potem zatrzymaliśmy kieszonkowca, podcinając mu nogi szpicem tego parasola... Okazało się, że kieszonkowiec właśnie ukraść portfel matce tej dziewczynki, były nam bardzo wdzięczne, a dziewczynka chętnie oddała Aislinn Caramel. Potem razem z matką odwiozły nas do domu powozem zaprzężonym w konie.

Słodki Jezu. W tym momencie wybiegłabym z restauracji i byłabym już w połowie drogi do domu, rozmawiając przez telefon ze swoją kumpelą Lisą, tarzając się ze śmiechu i przyrzekając na wszystkie świętości, że w życiu nie wpakuję się w żaden związek.

– Już rozumiem, co masz na myśli, mówiąc o fantastycznej randce. – Uśmiecham się jak wariatka. – Musiało być cudownie.

– Było. To na pewno zabrzmiało głupio, ale wtedy zdawało mi się... – Zaczepnie unosi brodę. – Zdawało mi się, że to magia. Jak gdyby to wszystko naprawdę się zdarzyło, ale dziwnym trafem oboje zapomnieliśmy, a opowiadając o tym, z powrotem ożywiamy tę historię. Aislinn śmiała się, dodawała coś od siebie; mówiła: „Przecież na pewno umieraliśmy z głodu, może ten człowiek z budki na O’Connell Street dał nam pączki” i „Może jakiś pies wywęszył nas pod parasolem i rzuciliśmy mu kawałek pączka, żeby sobie poszedł...”. Naprawdę cieszyła się, kiedy układałem historie o niej. Sama mnie do tego namawiała. Budziła w ludziach taką chęć.

W jego ustach brzmi to tak, jakby cała rzecz była słodka i bezmyślna jak uśmiech, jakby Aislinn biegała wśród stokrotek i gdziekolwiek postawiła stopę, sypała radosnymi fantazjami. Mnie to nie przekonuje. Myślę o tamtym dniu, kiedy przyszła do wydziału zaginionych, bombardując mnie wszystkim, co powinno oderwać moje myśli od historyjek: przyszła z tajemnicą, płaczem, strzępami informacji o swoim ojcu, skrawkami wspomnień z dzieciństwa. Jeślibym to łyknęła – może tak by się stało, gdyby te bzdury o tatusiu nie podziały na mnie jak płachta na byka – pewnie byłabym o wiele bardziej skłonna dać jej to, o co błagała: *Itak genialna detektyw wybawiła z kłopotów biedną sierotkę i żyły długo i szczęśliwie*. Na Gary’ego to podziało. Aislinn wiedziała, jak używać swoich zdolności.

Mnie nie poruszyła. W duchu pokazuję jej środkowy palec i mówię do Rory'ego:

– I przypuszczasz, że to mogło mieć coś wspólnego z tym, co ją spotkało.

Rory energicznie kiwa głową.

– Tak. tak. Z fantazjami jest tak, że mają krótki żywot. Wystarczy, że otrą się o rzeczywistość, i koniec. Wiem, komuś takiemu jak pani może się wydawać, że mówię jak szajbus, ale to wiem na pewno.

W jego głosie nagle pojawia się ostrzejszy ton, a w oczach błysk; znika tak szybko, że trudno go uchwycić, ale uważnie go obserwowałam. Rory nie tylko buja w pierzastych obłoczkach i uwielbia urocze zakończenia; ma w sobie jakieś twarde i kanciaste jądro. Tak jak Aislinn. To połączenie sprawiło, że ci dwoje pasowali do siebie jak ulał, a potem zwróciło się przeciwko nim.

– Ktoś taki jak ja nie ma z tym problemu – ciągnie Rory. – I tak zresztą połowę życia przeżywam w głowie, zawsze tak było. Z tego też zdaję sobie sprawę. – Znowu ta zadziorna nuta. – Więc kiedy rozbijam się o rzeczywistość i bańka pryska, to nie jest dla mnie koniec świata. Przyzwyczyliem się do tego. W głębi duszy cały czas się tego spodziewałem.

Brzmi to jak pokrętnie tłumaczenie: dlatego nie mogłem tego zrobić, pani detektyw, jak Boga kocham, to nie ja. Często słyszy się coś takiego. Przede wszystkim od zabójców. Kiwam głową, skupiając całą uwagę na tych cennych spostrzeżeniach.

– Ale wielu ludzi jest innych – mówi Rory. – Trochę trwało, zanim to sobie uświadomiłem, kiedy byłem młodszy. Niektórzy cały czas skupiają się na tym, co się naprawdę dzieje.

– Wiem, co masz na myśli – przytakuję. I dodaję poufnym tonem: – Wielu gliniarzy tak ma. Zero wyobraźni.

Reaguje odruchowym półuśmiechem, ale nie zwraca na mnie szczególnej uwagi, bo za bardzo pochłania go własna opowieść.

– Gdyby więc taki człowiek trafił na Aislinn, nie wiedziałby, jak się przygotować na fakt, że jego bańka prawie na pewno pęknie. A kiedy to się stanie...

– Rozumiem – zapewniam go, lekko marszcząc brwi. – W każdym razie tak mi się wydaje. Opowiedz, co sobie wyobrażasz. Konkretnie.

Rory rysuje palcem wzory na stole.

– Myślę – zaczyna wolno – że to był ktoś, kto nawet nie pojawił się na waszym radarze, bo znał Aislinn bardzo krótko. Poznają się w nocnym klubie albo u niej w pracy, zaczynają rozmawiać. Może bierze od niej numer telefonu i umawiają się na drinka, a może nie zaszło tak daleko. Ale on już roi sobie w głowie różne historie i jest odurzony tym uczuciem, zwłaszcza że w jego przypadku to coś zupełnie nowego.

Breslin prawdopodobnie jest już w pokoju technicznym za szybą, przewraca oczami i mruży do mnie, żebym się z tym uwijała, a kawa stygnie. Może sobie wziąć parę głębokich oddechów. Jeżeli Rory potrzebuje całego dnia, żeby gadaniem wpędzić się w pułapkę, będzie miał cały dzień.

– A potem z jakiegoś powodu Aislinn postanawia nie kontynuować tej znajomości. – Rory unosi wzrok i patrzy na mnie. Przyciska mocno palce do blatu. – Jeżeli ktoś nie jest przyzwyczajony do takiego zderzenia z rzeczywistością, będzie zdruzgotany. Przypuszczam, że tak się czuje narkoman na głodzie, po odstawieniu heroiny: przeżywa prawdziwy wstrząs, fizyczny i psychiczny. Miota się i ciało, i umysł.

– I wtedy postanawia ją dopaść? – pytam.

Gwałtownie kręci głową.

– Nie. To nie tak. Ktoś, kto by zaatakował kobietę tylko dlatego, że zerwała z nim po jednym czy dwóch wieczorach, to potwór. Psychopata. Aislinn w ogóle nie zainteresowałaby się kimś takim. Lubiła fantazjować, ale to nie znaczy, że nie była świadoma rzeczywistości. To musiał być przyzwoity człowiek. Tylko sytuacja wymknęła się spod kontroli.

Przeciętny niewinny facet, którego dziewczyna została zamordowana, wyobraziłby sobie jej zabójcę jako dzikie rozwścieczone zwierzę, które zasługuje na siedem rodzajów krzesła elektrycznego. Rory nie może sobie na to pozwolić.

– Aha, to brzmi logicznie – rzucam, robiąc notatki i kiwając głową. – No więc, co robi?

– Jeżeli nie może być z Aislinn, potrzebuje przynajmniej materiału do fantazji. Żeby miał czym je karmić. Wspominała mu, gdzie pracuje, więc zaczyna się tam kręcić, żeby ją zobaczyć, jak wychodzi. I pewnego dnia śledzi ją w drodze do domu. – Przez głos Rory’ego przebija jakaś nowa energia, która go napędza i wzmacnia. Już go nie muszę zachęcać. – I kiedy wie, gdzie mieszka, wpada w nałóg. Nie potrafi trzymać się od niej z daleka. Próbuje, ale co kilka dni, zanim się zorientuje, co robi, rusza w kierunku Stoneybatter. Krąży po ulicach, myśląc o tym, że jej stopy dotykają tych samych chodników; kupuje batony, których nie chce, tylko po to, żeby robić zakupy tam, gdzie ona. Skrada się pod jej dom i obserwuje ją, kiedy zaparza sobie herbatę ziołową i prasuje ubrania.

Trzyma się blisko prawdy, sunie równoległe do niej, prawie jej dotyka. Sprytny ruch: dzięki temu opowieść brzmi prawie wiarygodnie.

– Przyzwyczajają się do tego, do wystawiania na ciemnych ulicach, kurczenia palców u nóg, żeby nie zmarzły. Obserwuje światło w jej oknach. Wyobraża sobie, jak przekręca klucz w jej drzwiach i wchodzi do tego ciepłego wnętrza, a ona staje przed nim i go całuje. Wyobraża sobie, jak w tej jasnej kuchni razem gotują kolację. Wyznacza sobie jakiś stały porządek, znajduje jakąś równowagę, rodzaj zadowolenia. Mógłby tak żyć bez końca.

Rory ulega przemianie. Nie jest już tchórzliwym myszokoczkiem. Siedzi wyprostowany, dłonie wykonują szybkie i wyraźne, zdecydowane gesty; wyczuwalna w jego głosie energia przybiera na sile i wypełnia każdy kąt pokoju. Po raz pierwszy rozumiem, dlaczego mógł się spodobać Aislinn. Ta kupa bzdetów jest ostatnią rzeczą, jakiej chciałabym u faceta, ale ma swoją moc. Wyrwał się ze swojego smętnego beżowego kokonu i zmienił się w postać, która przykułaby uwagę, gdyby pojawiła się w drzwiach.

– Przychodzi sobota wieczór – mówi dalej. – Jak zwykle poszedł obserwować Aislinn, ale zobaczył coś innego. Zobaczył, że jest wystrojona, umalowana i błyszcząca jak skrzynia pełna skarbów. Zobaczył, jak przygotowuje kolację nie tylko dla siebie, ale dla dwóch osób; jak wyjmuje z szafki dwa kieliszki i znosi je do salonu. Zobaczył, jak śpiewa do korkociągu, tańczy, potrząsa włosami i śmieje się sama do siebie. Zobaczył, jaka jest szczęśliwa. Jak nie może się doczekać.

Szykuję się i śpiewam do korkociągu jak nastolatka do szczotki do włosów. W powietrzu znowu rozchodzi się ten zapach krwi, gęsty jak u rzeźnika. Rory ma bujną wyobraźnię, ale nie jest jasnowidzem. W sobotę wieczorem śledził Aislinn.

– Z wrażenia pewnie zapało mu dech w piersiach. Poczul, że świat się chwieje; musiał pomyśleć, że tak mocno uwierzył w swoją fantazję, że wdarła się w rzeczywistość... Nie wiedział, że życie rządzi się innymi prawami. – Gorycz wykrzywia mu kącik ust. – Musiał być pewien, że Aislinn włożyła tę sukienkę i gotuje dla niego. A kiedy mógł już oddychać, wyszedł z ciemności, strzepnął z płaszcza krople deszczu i zapukał do jej drzwi.

Ładne zakończenie. Rory splata palce, bierze głęboki oddech i patrzy na mnie wyczekującym wzrokiem. Nie chce kontynuować opowieści.

Bardzo podoba mi się to przesłuchanie. Nie tylko dlatego, że świetnie idzie; podoba mi się, bo jest czyste. Nie ma żadnego gdybania, nigdzie nie czają się znaki zapytania, od których powietrze staje się lepkie i swędzi mnie skóra pod ubraniem. Nie ma kolejnych warstw prawdopodobieństw i ewentualności, które musiałabym brać pod uwagę za każdym razem, gdy otwieram usta albo słucham odpowiedzi. Tylko ja i siedzący naprzeciwko facet i to, co oboje wiemy, że zrobił. Leży na stole między nami jak solidna, twarda bryła z ciemnym połyskiem meteorytu i czeka, aż zgarnie go zwycięzca.

– A potem? – pytam.

Rory obraca głowę. Kiedy przyglądam mu się spod pytająco uniesionych brwi, mówi:

– Oczywiście Aislinn nie przygotowywała się na jego przyjście; przygotowywała się dla mnie. Od miesięcy nawet o nim nie myślała. Dlatego była zaskoczona jego widokiem. Prawdopodobnie kazała mu wyjść. A wtedy przestał nad sobą panować.

Dalej patrzę na niego pytająco.

– I?

– I zrobił jej krzywdę – odpowiada ciszej, ze wzrokiem wbitym w stół. Tamta energia ulatnia się z pokoju, z głosu i z twarzy Rory’ego, który z powrotem zmienia się w wąż, beżowe biedactwo. Jego uroczą historią, tak jak opisał, roztrzaskała się w zderzeniu z twardą jak gładź rzeczywistością śmierci Aislinn. W ciszy dodaje jeszcze słabszym głosem: – Zabił ją.

– Jak to zrobił?

Kręci głową.

– Rory. Pomóż mi.

– Przecież już wiecie.

– Proszę cię, żebyś coś dla mnie zrobił – mówię łagodnie, pochylając się, żeby mu spojrzeć w oczy. – Możemy udawać, że to zmyślona historia, zgoda? Jak te, które opowiadałeś Aislinn. Chciałabym, żebyś ją dokończył.

– Nie... Wiem tylko, że nie miałyby przy sobie broni. Noża, niczego takiego. Nigdy by przecież nie planował... Może wziął... hm, lampę albo inny przedmiot, który już tam był... – Przesuwa po twarzy drżącą dłońią. – Nie umiem sobie...

Nie zdradzi mi, że wie, jak zginęła. Nie szkodzi; próbowałam bez wielkich nadziei.

– No, no. – Odchylam się na krześle, wzdygam ciężko i przeczesuję palcami włosy. – Kurczę. Naprawdę mocna rzecz.

– Czy to... – Rory bierze głęboki wdech. Wkłada okulary i mruży oczy, próbując skupić na mnie wzrok. – To się przyda? Pani zdaniem?

– Możliwe. Całkiem możliwe. Naturalnie nie będę wdawać się w szczegóły, ale niewykluczone, że powiedziałaś nam coś naprawdę cennego. Dziękuję ci. Bardzo.

– Nie ma sprawy. Myśli pani...

– Hej-hej-hej! – grzmi radośnie tubalny głos Breslina, który otwiera plecami drzwi i wchodzi z kubkami w rękach. – Przepraszam, że to tak długo trwało. Tej bandzie prymitywów nie chce się nawet odnosić kubków do bufetu, nie mówiąc już o ich umyciu. Musiałem je wytropić. Za to... – podaje nam kubki i z kieszeni marynarki zamaszystym gestem wyjmuję paczkę ciastek – zapasy O’Gormana mnie nie zawiodły. Panie i panowie, oto oreo w polewie czekoladowej. I kto tu rządzi?

– Ach, jesteś wielki – odpowiadam. – Dosłownie umieram z głodu.

– Do usług. – Breslin rzuca po jednym oreo mnie i Rory’emu, który oczywiście nie potrafi złapać ciastka, upuszcza je na wykładzinę i musi się po nie schylić. Gapi się na nie, jak gdyby nie bardzo wiedział, do czego służy. – Wcinaj – radzi Breslin. – Zanim O’Gorman przyjdzie ich szukać.

– Chodź – mówię, zanurzając oreo w kawie. – Rory ma hipotezę.

– Bogu dzięki. – Breslin wzdycha z ulgą. – Przynajmniej ktoś ma. Sensowna?

– Możliwe – przytakuję z ustami zapchanymi prawie całym ciastkiem. – Mówiąc w skrócie, jego zdaniem Aislinn należała do tych, które o wiele szybciej niż zwykle potrafią skłonić faceta do marzeń o związku długim i szczęśliwym. No i spotykała się z jakimś facetem, ale za krótko, żeby udało nam się go namierzyć. Kiedy go rzuciła, gość zabrnął tak daleko, że nie mógł przestać o niej myśleć. Zaczął ją śledzić. Gdy zobaczył, że przygotowuje się do kolacji z Rorym, uwierzył, że czeka na niego. Zapukał do niej, przeżył niemiły szok, widząc, że nie ucieszyła się na jego widok, i stracił panowanie nad sobą.

– Ciekawe – orzeka Breslin. Wrzuca ciastko do ust i z namysłem chrupie. – Podoba mi się. Może pasować do masy rzeczy, które już wiemy.

Rory nie wygląda na ośmielonego. Skulony na krześle, oskubuje oreo z kłaczków z wykładziny. W chwili gdy wszedł Breslin, skurczył się jak wygotowany sweter.

– Właśnie – zgadzam się. – Czuje się, że to się zgadza, rozumiesz? W tej robocie człowiek uczy się rozpoznawać, czy coś gra, czy nie. Praktycznie i psychologicznie.

– Uwielbiamy to wrażenie – mówi Breslin, zwracając się do Rory'ego. – Szukamy go przez cały tydzień. Muszę przyznać, synu, że twoja hipoteza chyba trafia w dziesiątkę. Polecimy naszym ludziom, żeby bliżej zbadali przypadkowe kontakty Aislinn: w nocnych klubach, w pracy. Jeżeli ten facet się odnajdzie, to jesteśmy ci winni bilet na Barbados, Rory.

Odchyła się na krześle i siorbiąc, wypija spory łyk kawy, przeglądając równocześnie zawartość swojej teczki.

– Tymczasem – ciągnie – skoro już tu jesteś, mógłbyś wyjaśnić parę drobiazgów? Żebyśmy mogli je skreślić z naszej listy?

– Jezu, ty i twoje listy. – Przewracam oczami. – Nie zwracaj na niego uwagi, Rory. Ten gość robi listy wszystkich rzeczy, które wkłada do kieszeni, żeby mógł dokładnie sprawdzić, czy czegoś nie zgubił. Nie daj się w to wciągnąć. Uciekaj, póki możesz.

– Odczep się od moich list – obrusza się Breslin, celując we mnie palcem. – Ile razy uratowały nam tyłek?

– Tak, tak, tak.

– Rory? Zgodzisz się? To tylko parę minut.

Wszyscy wiemy, że Rory nie wyjdzie, bo nie ma dokąd iść, chyba że chce wracać do spacerowania w kółko po mieszkaniu i gonienia własnych myśli.

– Chyba nie...

– Widzisz? – zwraca się do mnie Breslin. – Rory nie ma nic przeciwko temu, żeby spełnić moją prośbę. Prawda, Rory?

– Tak. To znaczy...

– Ale ja mam – mówię. – Jeżeli będę musiała znowu znosić...

– Cudownie – ucina Breslin. – Weź się w garść, Conway. – Przerzuca kartki. Ciężko wzdycham i zwijam włosy w kok: pora przejść do obowiązków.

Breslin miał rację, przesłuchania idą nam nieźle. Świadczy to dobitnie o jednym: dobra współpraca nie znaczy nic a nic więcej. Kątem oka zerkam na zimną i gładką taflę lustra weneckiego i zastanawiam się, czy jest za nią Steve.

– O, jest – rzuca Breslin. – Moja lista. Pytanie numer jeden. Rory, w sobotę wieczorem Aislinn rozmawiała z koleżanką o waszej kolacji. Wszystko wskazuje na to, że nie mogła się doczekać. – Uśmiecha się do Rory'ego i czeka, dopóki ten nie odpowie czymś w rodzaju uśmiechu. – Urocze. A koleżanka ostrzegła Aislinn... – udaje, że sprawdza w notatkach – „bądź ostrożna, okay?”. Dlaczego to zrobiła?

Rory wlepia w niego zdumione spojrzenie.

– Kto tak powiedział?

– A jak byś przypuszczał, kto?

– Nie... nie wiem. Prawie w ogóle nie znam koleżanek Aislinn. Kto to...

– Zaraz... – Breslin unosi rękę. – Chcesz nam powiedzieć, że gdyby koleżanki Aislinn cię znały, miałyby powód, żeby jej doradzać ostrożność? Jaki?

– Nie. Wcale tego nie powiedziałem. Nie miałyby żadnego...

– Jedna z nich sądziła, że ma.

– Nie miała. Żadna z nich nie miała powodu. Absolutnie żadnego.

– Na pewno zaszło jakieś nieporozumienie – włączam się. – Czy koleżanka mogła coś źle odczytać? Kiedy na horyzoncie pojawia się nowy facet, koleżanki stają się nadopiekuńcze, wszędzie widzą znaki ostrzegawcze...

– Albo zazdrosne – podsuwa Breslin. – Może koleżanka ugania się za facetami, ale nie umie żadnego złowić, więc wkurza się i postanawia wymyślić jakiś numer, żeby wbić klina między Aislinn a ciebie. Co by wymyśliła?

Rory przeciera dłonią oczy i próbuje się zastanowić. Jego oreo leży nietknięte; doszedł do wniosku, że już nie chce się w to bawić. Ja i Breslin dalej rozplwamy się w uśmiechach, ale atmosfera w pokoju przesłuchań się zmieniła; puls bije szybciej i mocniej, a tempo nadaje mu teraz Breslin, nie Rory.

– Do głowy przychodzi mi tylko jedno... – Milczymy, żeby go zachęcić. – Mówiłem wam poprzednim razem: z Aislinn było ciężko się umówić. Ale próbowałem, nawet kiedy odwoływała spotkanie. Przypuszczam, że to mogło sprawiać wrażenie... nie wiem, natręctwa? Wiem, że ona nie uważała mnie za natrętnego, bo inaczej od razu by to zakończyła, ale któraś z jej koleżanek mogła...

– Zaraz – powstrzymuje go Breslin. – Nie tak prędko. Najpierw mówisz, że nakłaniałeś Aislinn do spotkań, nawet kiedy je odwoływała; potem, że gdyby ci kazała spadać, tobyś jej posłuchał. No więc, jedno czy drugie?

– Ale... Nie. To nie to samo. Nigdy nie mówiła, że nie chce się już więcej ze mną widzieć. Gdyby tak powiedziała, oczywiście, że dałbym jej spokój. Kiedy ktoś mówi: „W czwartek jestem zajęta”, to nie to samo, to coś zupełnie... – Rory nakręca się i grzęźnie w płątaniu oburzenia i prób obrony.

– Nas nie musisz przekonywać – włączam się. – To koleżanka się martwiła. My tylko staramy się ustalić dlaczego.

– Jedynie to mi przychodzi do głowy. Nic więcej.

Breslin wstaje od stołu i zaczyna spacerować, zmuszając Rory'ego, by patrzył w dwa miejsca.

– Mnie brzmi to dość słabo – oznajmia.

– Mnie też – przyznaje. – Ta koleżanka nie jest typem histeryczki. Jeżeli sądziła, że Aislinn powinna być ostrożna, musiała mieć powód.

– Może... – Rory odchrząkuje. – Hm... jeżeli się nie mylę co do tego człowieka, który śledził Aislinn... może go zauważyła i wspomniała o nim koleżance? A ta obawiała się, że facet się rozżołości, kiedy się dowie, że Aislinn mnie zaprosiła.

Breslin przystaje i posyła mu lekko zdziwione spojrzenie – Rory wytrzymuje jego wzrok, mrugając nerwowo.

– Czy Aislinn wspominała o jakimś byłym chłopaku, którego się bała?

Rory kręci głową.

– Głośno, żeby odpowiedź się nagrała.

– Nie. Nie wspominała.

– Kobieta na ogół nie mówi nowemu chłopakowi o swoim byłym – zauważam. – Mogłaby wyjść na mściwą maniaczkę.

Breslin wzrusza ramionami.

– Może i tak. Wspominała kiedyś, że ktoś ją nękał?

Rory krzywi się na to słowo.

– Nie.

– Nigdy?

– Nie. Ale być może... nie wiem, nie chciała mnie odstraszyć...

– Co takiego? Myślała, że uciekniesz, gdzie pieprz rośnie, bo kręcił się przy niej jakiś przypadkowy gość? Uciekłybyś?

– Nie! Ale...

– Oczywiście, że nie. Aislinn nie była idiotką, więc wiedziała. Myślisz, że w ogóle chciałoby się jej z tobą zadawać, gdyby uważała cię za takiego mięczaka? Conway, chciałabyś faceta, którego tak łatwo nastraszyć?

– A skąd! Wolę, jak mają przynajmniej jedno jajo.

– Otóż to. Jestem gotów się założyć, że Aislinn też.

Rory porusza się niespokojnie.

– Zgoda. Mogła nie wiedzieć, że ten facet ją śledzi...

– Może. – Breslin gwałtownym ruchem nachyla się nad stołem, a Rory wzdyga się, ale on sięga tylko po kubek z kawą. – Może nie. W takim wypadku wracamy do punktu wyjścia. Czyli kiedy koleżanka radziła Aislinn ostrożność, nie mogła mieć na myśli byłego chłopaka, który ją nękał. Który nie przyszedł do głowy nikomu oprócz ciebie.

Owszem, przyszedł. Ta myśl dokucza jak ból zęba, który niby został już uśmierzony i ustąpił: były chłopak przyszedł do głowy Lucy. Według jej zeznania, między innymi z jego powodu wysłała do Aislinn tego SMS-a.

Breslin odstawia kubek, uderzając nim głośno o blat stołu.

– No więc, o czym mówiła ta koleżanka? – pyta.

Rory kręci głową. Z powrotem zapadł się w siebie.

– Głośno, żeby się nagrało.

– Nie wiem, co miała na myśli.

– Szkoda – mówi Breslin. – Przydałoby się wyjaśnienie. Ale skoro jesteś pewien, że nie możesz nam w tym pomóc... – Robi pauzę, czekając, by Rory ją wypełnił, on jednak nie korzysta z okazji. – Sądzę, że na razie można to zostawić. Przejdźmy do następnego punktu na mojej liście, dobrze? – Pochyla się nad notatkami. – O właśnie. Pytanie numer dwa.

Z kieszeni marynarki wyjmuje kartkę i rozkłada ją z głośnym szelestem, na którego dźwięk Rory'emu podskakują ramiona. Breslin znowu zaczyna się przechadzać po pokoju, czytając bez pośpiechu i krążąc za plecami Rory'ego, żeby ten musiał obracać się na krześle.

– Tylko mi nie mów, że to następna lista. – Wzdycham i przewracam oczami, patrząc na Rory'ego. Bez reakcji.

Breslin stuka palcem w kartkę.

– To jest chronologia wydarzeń sobotniego wieczoru, którą nam podał Rory.

Ramiona Rory'ego sztywnieją.

– Aha – mówię. – Nie wiem, czemu robisz z tego taki problem, przecież wszystko jasne.

– Może masz rację, ale sprawdźmy.

– Co... – zaczyna drżącym głosem Rory. Odchrząkuje i próbuje jeszcze raz.
– Coś nie tak?

– Hm, to będzie trochę skomplikowane – odpowiada Breslin. – Więc przerwij mi, kiedy uznasz, że nie nadążasz. Zgodnie z tym, co powiedziałeś, wsiadłeś do trzydziestkidziwiątki A tuż przed siódmą i wysiadłeś w Stoneybatter tuż przed wpół do ósmej. Poszedłeś na Viking Gardens, żeby sprawdzić, czy trafisz... czyli była... powiedzmy, siódma trzydzieści dwie. Skoczyłeś do Tesco po kwiaty. Przyjeliśmy, że pieszo pokonałeś tę drogę w jakieś siedem minut, to znaczy, że dotarłeś do sklepu za dwadzieścia ósma.

Rory przestał śledzić spacerującego Breslina. Siedzi jak sparaliżowany,

wbija stopy w podłogę i patrzy prosto przed siebie.

– Według twojego zeznania, spędziłeś w Tesco „parę minut”; powiedzmy, że wyszedłeś około siódmej czterdzieści trzy. Dodajmy siedem, osiem minut na powrót na Viking Gardens, może trochę mniej, skoro się spieszyłeś. Przy drzwiach domu Aislinn stanąłeś za dziesięć ósma. Nadażasz?

– Jeżeli nie – wtrącam się – powiedz Bresowi, żeby ci to napisał. Niech zapracuje na swoją pensję.

Rory, nie patrząc na mnie, odpowiada:

– Nadażam bez trudu.

– Oczywiście, że nadażasz – przytakuje z zapalem Breslin. – Tyle że powiedziałaś nam, że przyszedłeś pod dom Aislinn tuż przed ósmą. Co robiłeś przez te pozostałe osiem czy dziewięć minut?

Ramiona Rory’ego znowu wiotczeją. Myśli, że ma już spokój; z ulgą rozluźnia ciało i umysł.

– Nie mam pojęcia. To znaczy... Boże... może wysiadłem z autobusu trochę później, niż mi się wydawało, albo trochę dłużej wybierałem kwiaty, albo dotarłem do domu Aislinn kilka minut wcześniej, niż myślałem. Albo wszystko naraz. Naprawdę nie zwracam takiej uwagi na godzinę, nie uczono mnie tego tak jak was. Nie potrafiłbym powiedzieć z dokładnością do ośmiu minut, która jest teraz godzina ani jak długo tu już siedzimy.

Breslin z zakłopotaniem pociera nos.

– Skoro tak twierdzisz...

– Widzicie? – zwracam się do nich obu. – Nie ma co robić problemu.

– Skrzywienie zawodowe. – Breslin smętnie śmieje się z siebie. Ja też parskam śmiechem; Rory wydaje nieco histeryczny dźwięk przypominający śmiech, wszyscy się śmiejemy. – Słowo daję, czasem myślę, że już zapomniałem, jak to jest być normalnym. Bo normalny człowiek nie straciłby poczucia czasu w skali godzin, prawda? Nie mógłby się pomylić nawet o pół godziny? Niemożliwe, żebyś przyszedł pod dom Aislinn o wpół do dziewiątej i myślał, że jest ósma. Granica błędu to jakieś dziesięć minut, tak?

– Tak sędzę. – Rory przypomina sobie o kawie i ukradkiem szybko wypija łyk. – Prawdopodobnie.

– Hm. – Breslin odwraca kartkę. – Tutaj mam inną chronologię. Napij się jeszcze kawy, to ci się przyda.

– Mnie też. – Unoszę kubek w stronę Rory’ego i puszczam do niego oko. – Trzymaj się. Ta lista kiedyś musi się skończyć.

– Tak. Im wcześniej przestaniecie narzekać, tym szybciej się z tym uporamy. – Breslin podchodzi do stołu od mojej strony, gotów do otwarcia ognia. – Ta chronologia została odtworzona na podstawie monitoringu. Według jego zapisu, wszedłeś do autobusu za dziesięć siódma, Rory, a wysiadłeś w Stoneybatter

piętnaście po. Co niezupełnie zgadza się z tym, co nam powiedziałaś: parę minut tu, parę minut tam, dla normalnych ludzi... – Uśmiecha się do Rory'ego, który ciągle jest na tyle rozluźniony, by odpowiedzieć uśmiechem. – Tylko że następnym razem zostałeś namierzony już w Tesco, kiedy płaciłeś za kwiaty o siódmej pięćdziesiąt jeden.

Uśmiech znika z twarzy Rory'ego. Zaczyna rozumieć.

W głosie Breslina brzmi cięższy ton, słowa spadają na stół z surowym, głuchym łomotem.

– Jak wspomnieliśmy, z domu Aislinn do Tesco idzie się około siedmiu minut. Jeżeli więc płaciłeś za kwiaty za dziewięć ósma, musiałeś ruszyć z Viking Gardens około siódmej czterdzieści. Dwadzieścia pięć minut, Rory. Właśnie ustaliliśmy, że normalny człowiek nie może się pomylić o dwadzieścia pięć minut. Powiesz mi, co robiłeś przez te dwadzieścia pięć minut?

Rory wpatruje się w przestrzeń między mną a Breslinem. Siedzi napięty jak struna; ledwie poruszając ustami, mówi:

– Już wam powiedziałem.

– Też tak sądziłam – odzywam się urażonym głosem. Na myśl o tym, że traci taką uroczą sojuszniczkę jak ja, oddycha coraz szybciej, ale na mnie nie patrzy. – Wygląda jednak na to, że wciskałeś nam furę kitu. Chcesz spróbować jeszcze raz, zanim dojdziemy do wniosku, że być może masz powód, żeby nam nie zdradzać, co robiłeś tamtego wieczoru?

– Już wam opowiedziałem, co robiłem. Nic na to nie poradzę, że to nie pasuje do waszej chronologii.

Nie najgorsza strategia: wybrać jedną wersję, stanąć na niej mocno obiema nogami i nie ruszyć się z miejsca, choćby nie wiem co. Kiedy odrobinę się przesuniesz, będziemy mogli pozbawić cię równowagi i krok po kroku popchnąć tam, gdzie będziemy chcieli. Musimy poruszyć Rory'ego.

Breslin przysuwa sobie krzesło do stołu i siada jednym płynnym ruchem. Odchylam się; na razie pozwalam mu działać, a Rory niech się zastanawia, czy dalej może mnie uważać za swoją kumpelkę.

– Skąd wiesz, że Aislinn nie miała zasłon w oknie w kuchni?

To do niego dociera; Rory gwałtownie drga i wybałusza oczy.

– Co?

– I skąd wiedziałeś o uliczce z tyłu za domem?

– Zas... nie wiedzia... to znaczy, nie wiem. Jakiej ulicz...

– Opisałeś, jak ten twój domniemany podglądacz obserwował Aislinn, gdy gotowała kolację i wyjmowała kieliszki. Takie rzeczy musiałyby robić w kuchni, której okno wychodzi na tyły domu. Nie kazałeś mu przyglądać się, jak nakrywała do stołu, który jest w salonie od frontu. Inaczej mówiąc, wiedziałeś, że stalker mógłby ją obserwować przez okno z tyłu.

Rory w zdumieniu trzepocze powiekami. Breslin dodaje z szerokim uśmiechem:

– Chłopie, widzisz to lustro? Siedziałem za nim i słuchałem całej waszej pogawędki. Antoinette to pierwszorzędny detektyw, ale... jak mam to ująć, żeby nie dostać w pysk?

– Uważaj – ostrzegam.

– Spokojnie, bestio. – Breslin odchyła się ode mnie i wyciąga rękę, żeby się osłonić. – Powiedzmy, że jest troszkę bardziej niż ja skłonna wierzyć, że jesteś po naszej stronie. Jest optymistką, od początku ma nadzieję, że ta sprawa okaże się wielką intrygującą zagadką. – Zerka na mnie z ukosa z leciutkim jak piórko cieniem uśmiechu, który może oznaczać wszystko. – Ja trochę więcej widziałem w życiu. Jestem podejrzliwy... to też element skrzywienia zawodowego, o którym mówiliśmy. Dlatego mam oko na wszystko. Słyszałem prawie każde twoje słowo. I pytam: skąd wiedziałeś, że podglądacz mógł obserwować Aislinn w kuchni, jeżeli sam nie byłeś tym podglądaczem?

– Domyślałem się. Przecież tylko... to znaczy, wystarczy trochę... trochę zdrowego rozsądku. Jeżeli nie chciał, żeby widzieli go sąsiedzi... – Rory nie bardzo sobie radzi z opanowaniem oddechu. – A kuchnia... Gdzie miała przygotowywać kolację, skoro miałem przyjść... chciałem przyjść... nie mówię, że „miałem”...

Bezpieczna wersja zaczyna mu się usuwać spod nóg.

– Jeszcze jedno – mówię z odrobiną niepokoju i niezadowolenia z kierunku, w jakim zmierzamy. – Twierdziłeś, że podglądacz mógł zobaczyć, jak Aislinn śpiewa do korkociągu. Z wysłanych przez nią SMS-ów wiemy, że w sobotę wieczorem właśnie to robiła. Skąd wiedziałeś, jeżeli to nie ty ją obserwowałeś?

Zanim Rory zdążył nabrać do płuc powietrza przed odpowiedzią, Breslin wtrąca:

– Zrób coś dla mnie: nie próbuj nam wmawiać, że się domyślałeś. Za diabła nie mógłbyś tego odgadnąć, chyba że jesteś medium. Jesteś nim, Rory?

– Co? Nie! Jak mógłbym... przecież nie...

– Hm... no to nam ulżyło. Wobec tego opowiedz, skąd wiedziałeś o korkociągu.

Rory bez słowa kręci głową, nie mogąc złapać tchu.

– W takim razie ja powiem – mówię. – Tamtego wieczoru obserwowałeś Aislinn od strony uliczki za domem. Mam rację?

Po dobrej chwili bezradnie opuszcza głowę: tak.

– W ten sposób spędziłeś brakujące dwadzieścia pięć minut.

Znowu kiwa głową. Kątem oka łowię kolejny odprysk światła odbitego od lustra weneckiego. Mam nadzieję, że stoi za nim Steve. Mam nadzieję, że jest purpurowy po cebulki włosów.

– Głośno – komenderuje Breslin.

Rory’emu udaje się wydobyć z siebie szczyptę głosu.

– Chciałem tylko... chciałem poświęcić chwilę, żeby to do mnie dotarło. Że to się naprawdę dzieje. Nic więcej.

– I mogłeś to zrobić tylko w jeden sposób – mówi Breslin. – Podglądając Aislinn przez okno z tyłu domu.

W jego ustach brzmi to jak coś obrzydliwego. Rory wzdryga się.

– Wcale nie pod... po prostu tam stałem. Cieszyłem się. Nie wiem, jak to wytłumaczyć...

– Chyba rozumiem – odzywam się. – Mniej więcej. Nie patrzyłeś, na przykład, jak bierze prysznic... Czy patrzyłeś?

– Nie! Gdybym nawet chciał... ale nie chciałem... oszczędłbym stamtąd, jeśliby...

Breslin prychnie z rozbawieniem. Rory ignoruje go, skupiając uwagę na mnie. Odzyskuje oddech, bo mówi prawdę – albo opowiada mi bajeczkę.

– W każdym razie – ciągnie – i tak bym nie mógł: okno łazienki jest matowe. Aislinn była w kuchni. Słuchała muzyki... za bardzo wiało, żebym mógł usłyszeć, co to było, ale na pewno coś radosnego, bo tańczyła i śpiewała do... tak. Do korkociągu. – Zerka na mnie, ale jego wzrok wyraża tyle smutku, że nie ma miejsca na przekorę. – Miała na sobie różowy sweter i džinsy, wyjmowała z lodówki różne rzeczy, otwierała je, wkładała do garnków i cały czas tańczyła. Po jakimś czasie wyszła z kuchni. Czekałem, a kiedy wróciła, była ubrana w niebieską sukienkę... Cała w błękicie i złocie, wyglądała, jak gdyby po prostu zjawiała się w kuchni jak jakaś wizja, tak jak przed wiekami ludzie wyobrażali sobie świętych. I uśmiechała się. Nie mogłem w to uwierzyć, że za kilka minut będę tam razem z nią. I że będzie się uśmiechać do mnie.

Żal sięga głębiej, do samego źródła jego głosu. To jednak nic nie znaczy.

– Potem pomyślałem o kwiatkach i pobiegłem do Tesco. I gdybym nie... – Rory spazmatycznie wciąga powietrze nosem, jak gdyby coś go zabiło. – Gdybym nie pamiętał o tej azalii, gdybym został i patrzył dalej, zobaczyłbym... jak on wchodzi. I mógłbym...

Usta zaczynają mu drżeć. Rory przyciska do nich palce. Czuję, jak Breslin tłumi złośliwy uśmieszek, wyobrażając sobie Rory’ego, który w trykocie i łopoczącej pelerynie robi z bandyty miazgę. Rory prawdopodobnie przerobił dwieście wersji tego scenariusza.

– Ale nie zrobiłem niczego takiego – mówi zza palców. – Zwiąłem do Tesco jak idiota, a kiedy mnie nie było, ktoś przyszedł i zabił Aislinn. Mogłem go zobaczyć, ale nawet tego nie zauważyłem, bo świata nie widziałem poza swoim własnym szczęściem. I kiedy nie otworzyła mi drzwi, czekałem i czekałem, bo nie potrafiłem uwierzyć, że zmieniła zdanie, skoro jeszcze parę minut wcześniej

zachowywała się, jakby nie mogła się mnie doczekać. Stałem i marzłem, starając się zrozumieć, jak to możliwe, a ona leżała za drzwiami i umierała albo już nie żyła. W końcu, zamiast pójść po rozum do głowy, zorientować się, że coś musi być nie tak, i wyważyć drzwi, wróciłem do domu, żeby uzalać się nad sobą. To wszystko! Tak to wyglądało.

– Jezu, Rory – odzywam się z wyrzutem. – Dlaczego nam tego nie powiedziałaś?

– Bo wiem, jak to brzmi! Wiem, że wyszedłbym na jakiegoś... Nie mogę liczyć na to, że zrozumiecie, jak było naprawdę.

– Staram się, jak mogę. Byłoby o wiele łatwiej, gdybyś od razu wszystko powiedział.

– Mówię teraz.

Dotykam pod stołem stopą kostki Breslina.

– W każdym razie część prawdy na pewno – rzuca bez wahania. – To nie był jedyny raz, kiedy obserwowałaś Aislinn. Mam rację?

Oczy Rory'ego prześlizgują się po jego twarzy, mojej, po czym uciekają w kąt pokoju. Szybko podejmuje decyzję.

– To był pierwszy raz.

– Nie, nie był.

– Dlatego musiałeś spędzić chwilę za jej domem – mówię – żeby pojąć, że to rzeczywistość. Bo wcześniej już wiele razy obserwowałaś ją w kuchni i marzyłeś, żeby się tam znaleźć. Prawda?

– Jak facet z twojego scenariusza – dorzuca Breslin. – Hipotetycznego scenariusza.

– Naprawdę był hipotetyczny. Chcieliście, żebym sobie wyobraził...

– Ta chwila musiała być dla ciebie niezwykła – przerywam mu. – Skoro przedtem tyle razy musiałeś wracać do domu i marznąć...

– Tak... to było wspaniałe uczucie. Ale nie dlatego, że byłem... Nie śledziłem Aislinn... nigdy nie... – Znowu zaczyna bełkotać.

– Cii – mówi Breslin.

– Co?

– Cii. – Breslin bierze ze stołu teczkę. – Chcę ci coś pokazać.

Odsuwa się i bez pośpiechu przegląda jej zawartość, przerywając od czasu do czasu, żeby poślinić kciuk. Rory przygląda się temu z dłońmi zaciśniętymi na krawędzi blatu, jakby był gotów zerwać się z krzesła, ale się nie odzywa. Nie stracił do końca panowania nad sobą.

– Proszę. – Breslin rzuca na stół kilka dużych zdjęć. Rory wyciąga ręce, ale je rozsypuje. Łapie jedno, ogląda i wydaje piskliwy jęk zaskoczenia.

– Pozbieraj resztę – nakazuje mu Breslin.

Rory się nie rusza. Pochyla głowę nad fotografią, ale ma szklisty, niewidzący

wzrok.

– Pozbieraj.

Wykonuje polecenie jak automat, składając zdjęcia w plik jedno po drugim.

Drżą mu palce.

– Przyjrzyj się.

Zbiera siły i zaczyna oglądać, mimo to widok każdego z nich wywołuje w nim głębokie zdziwienie.

– Właśnie – mówi do kamery Breslin – pokazałem panu Fallonowi ujęcia z monitoringu zarejestrowane w Stoneybatter w ciągu minionego miesiąca.

Cisza.

– Rory. Jesteś na tych zdjęciach. Co do tego chyba wszyscy się zgadzamy, prawda?

Znowu cisza. Po chwili głowa Rory’ego wykonuje ledwie dostrzegalny ruch: tak.

– Głośno.

– Tak.

Breslin pochyla się nad stołem – Rory się kuli – i kładzie palec na leżącym na wierzchu zdjęciu, z twarzą patrzącą prosto w obiektyw kamery w Tesco.

– To ty. Czternastego tego miesiąca.

– Tak. Wszedłem coś kupić, szukałem...

Myśli kotłują mu się w głowie w poszukiwaniu nowej historyjki.

– Powiedziałeś nam, że przed sobotą nigdy wcześniej nie byłeś w Stoneybatter – przypominam mu. – I musiałeś szukać w telefonie najbliższego Tesco.

Porusza ustami, próbując przełknąć ślinę.

Palec Breslina nadal miażdży twarz Rory’ego na fotografii.

– Wróćmy do twojej uroczej bajeczki o facecie, który uzależnił się od szpiegowania Aislinn – odzywa się uprzejmym tonem. – Była oparta na prawdziwych wydarzeniach, jak mówią w telewizji. Zgadza się?

– Nie ta... Nie. Nie w tych fragmentach, gdzie... – Oddech Rory’ego znowu wymyka się spod kontroli. – Nigdy... ja przecież nigdy...

Jeżeli dostanie hiperwentylacji i nam tu zemdleje, będziemy siedzieć nad papierami całą noc.

– Rory – mówię spokojnie, ale stanowczo – fragment scenariusza, w którym facet łązi po Stoneybatter, żeby poczuć się bliżej Aislinn... Trochę sam tak robiłeś, prawda?

– Tak, ale...

– Chwileczkę. Wszystko po kolei. Fragment, w którym facet obserwuje Aislinn z uliczki za domem... Trochę sam tak robiłeś, prawda?

– Ja tylko... – Ociera usta wierzchem dłoni, na tyle mocno, że zostawia

czerwone ślady. – Nie, wcale...

– Rory. – Nie ustępuję. – Przestań. Naprawdę chcesz nam powiedzieć, że tygodniami snułeś się po Stoneybatter, ale nigdy nie zbliżyłeś się do domu Aislinn aż do tego wieczoru, kiedy zginęła? Bo nie brzmi to wiarygodnie.

– Nie. Zaraz. – Wyrzuca ręce w górę. Bardzo łatwo daje się zapędzić krok po kroku do kąta, z którego już się nie wydostanie. – Obserwowałem ją może kilka razy. Tylko po to, żeby...

Breslin przysuwa sobie zdjęcie i ogląda je z bliska.

– Ale w sobotę wieczorem Aislinn cię przyłapała. – Ten głos. Spokojny, niemal leniwy, niemal przyjazny. Ale wypełnia całą przestrzeń, nie zostawia miejsca na nic innego. – Jak to się stało? Wyszła z jakiegoś powodu na patio, zobaczyła, że wystajesz za murem? A może powiedziałaś o swoim wypadzie do Tesco coś, z czego jasno wynikało, że znasz Stoneybatter. Może powiedziałaś, że kuchnia wygląda ładnie z nowym obrazkiem albo że uwielbiasz wołowinę w cieście. I nagle trzask-prask – Breslin unosi dłoń i z hałasem opuszcza ją na zdjęcie – twój brzydki sekret wychodzi na jaw.

Twarz Rory'ego pokrywa niezdrowa warstewka lśniącego potu.

– Nigdy tam nie byłem. Nie. Nie byłem w jej domu.

Breslin nie zwraca na to uwagi.

– Wchodzisz do jej domu, myśląc, że wkraczasz do raju, a w ciągu pięciu minut wszystko się sypie w diabły. Jezu, chłopie. Aj... Rumienię się na samą myśl. – W kąciку ust igra mu sadystyczny uśmieszek, który zmienia to w żart. – Jak przyjęła to Aislinn?

– Aislinn... nie... To się w ogóle nie zdarzyło, nic podobnego, to...

– Na pewno świetnie pamiętasz wyraz jej twarzy. Na pewno nie możesz go zapomnieć. Była zniesmaczona? Przestraszona? Pomyślała, że jesteś dziwakiem? Czy psychopatą? A może żalosną ofiarą losu? Co powiedziała?

Rory próbuje dalej zaprzeczać, ale Breslin nie daje mu szansy. Pochyla się w jego stronę, tak blisko, że Rory czuje jego oddech, jego wodę po goleniu, ciepło jego ciała.

– Co? Śmiała się z ciebie? Kazała ci wyjść? Zagroziła, że nas wezwie? Jaki był powód? Co cię wyprowadziło z równowagi?

– Nic nie zrobiłem! – Wyrzuca to z siebie jak dziki wrzask.

Breslin wpatruje się w niego.

– Co ty pieprzysz, człowieku? Śledziłeś ją, podglądałeś. Twoim zdaniem to jest nic?

– Nie...

– Ona uważała, że to nic takiego?

– Nic nie wiedziała! Ja wcale...

– Gówny prawda! Bredzisz, że musiałeś „poświęcić chwilę”, ale dwadzieścia

pięć minut to nie jest chwila. Dwadzieścia pięć minut to wystarczająco dużo czasu, żeby spędzić „chwilę” za domem, stanąć u drzwi Aislinn, palnąć coś głupiego, stracić głowę, zabić Aislinn, posprzątać po sobie, zorientować się, że musisz załatwić sobie jakieś alibi na ten czas, i pobiec do Tesco. I wszystko to zrobiłeś.

Na twarzy Rory’ego maluje się dziwna mieszanina zgrozy i czegoś przypominającego ulgę. Odtwarzał sobie tę scenę w głowie setki razy. Kiedy przybrała realne kształty i rozegrała się na jego oczach, wydaje się czymś dobrze znanym, poręcznym, pozbawionym kantów i gładkim od ciągłego dotykania. Tym razem jest nawet łatwiej; wszystko robimy za niego. On musi tylko wygłosić swoją kwestię.

– Nic jej nie zrobiłem.

Na tle barytonu Breslina jego głosik wydaje się leciutki jak wątpa drobina unosząca się w rozgrzanym powietrzu.

– Ale wszedłeś do jej domu – mówię.

– Nie. Przysięgam.

– Kryminaliści badają ubranie, które wtedy miałeś na sobie. Co powiesz, kiedy na twoich spodniach znajdą włókna z jej dywanu?

– Nie mogą. Nie znajdą. Nie było mnie tam.

– Ani nikogo innego – rzuca Breslin.

– Ale ten facet, ten podglądacz...

– Och, daj spokój. Naprawdę uwierzyłeś, że jesteś pierwszą osobą, która pomyślała, że trzeba wziąć pod lupę życie towarzyskie Aislinn? Każdego faceta, który kiedykolwiek się do niej uśmiechnął, Rory, prześwietliliśmy jak rentgen. I każdego z nich wyeliminowaliśmy. Możesz nam podać powód, jeden maleńki powód, dla którego powinienem uwierzyć, że ten twój podglądacz istnieje?

Rory nagłym ruchem unosi dłonie.

– Zaraz. Tak. Był jakiś facet, w sobotę widziałem na ulicy faceta...

Nasz prywatny automat do cukierków: otwiera się okienko i wyskakuje nowa, świeżutka historyjka. Przewracam oczami. Breslin wybuchu szczerym, gromkim śmiechem, który wgniata Rory’ego w krzesło.

– Jasne. Tylko potem porwali cię kosmici i wymazali ci pamięć, która akurat w tym momencie zaczyna ci wracać.

– Nie...

– Fortepian spadł ci na głowę i dostałeś amnezji.

– Nie dosta...

– W niedzielę powiedziałeś nam jasno i wyraźnie, że nie pamiętasz, żebyś kogoś widział w Stoneybatter z wyjątkiem grupki chłopaków grających w piłkę i paru dziewczyn, które szły w miasto. Nie było mowy o żadnym facecie.

Rory próbuje coś powiedzieć, ale Breslin przebija jego głos jak pajęczynę i rozrywa na strzępy.

– W tej sprawie jesteś tylko ty. Gdziekolwiek zajrzemy, widać tylko twoją twarz. To ty byłeś podglądaczem, Rory. Każdy z nas o tym wie. Okazuje się, że wszystko, co nam o nim powiedziałaś, od początku dotyczy ciebie. Został jedynie moment, kiedy podglądacz puka do drzwi Aislinn i wszystko się wali w diabły. I wiesz co? Też się okaże, że to ty.

– Nie okaże się. Nigdy nie byłem w tym domu. Nigdy.

Wygląda teraz, jakby był dziesięć razy mniejszy od Breslina, ale zhardział i stanął okoniem. Już nie tak łatwo ruszyć go z miejsca. Trafiliśmy na jego punkt największego oporu.

Poprawiam się na krześle.

– Jest jeszcze jedna rzecz, która wydaje mi się ważna – zwracam się do Breslina.

– Nie trzeba nam niczego więcej, Conway. Mamy już wystarczająco dużo. – Breslin sięga po zdjęcia, zabiera je Rory’emu i składa w równy plik. – Aresztujmy go, chodźmy zjeść kolację i potem do tego wrócimy.

Na słowo „aresztujmy” Rory otwiera usta, ale wydobywa się z nich tylko bezgłośny oddech. Kieruje na mnie wytrzeszczone z przerażenia oczy. Cholera, właśnie żarty się skończyły.

– Chwileczkę – zwracam się do Breslina. – Posłuchaj mnie.

– Ty tu rządzisz – odpowiada z westchnieniem. Zostawia zdjęcia, odchyła się z krzesłem do tyłu i słucha.

– Dobra, Aislinn miała włączoną kuchenkę, nie? – mówię. – Przygotowywała tę wykwinną kolację dla Rory’ego.

– Aha. I co?

– I zanim Rory wyszedł, wyłączył ją.

Rory zaczyna – „Wcale nie...” – ale Breslin unosi rękę, żeby go uciszyć.

– No tak. Dlaczego to ma być ważne?

– Wyłączyłby ją tylko z jednego powodu: żeby nie wybuchł pożar – odpowiadam. – Jeżeli wiedział, że Aislinn nie żyje, albo gdyby go nie obchodziło, czy umarła... Wstrzymaj się chwilę... – Rory znowu próbuje się odezwać – to byłoby dla niego najlepiej, gdyby dom się spalił. Wszystko poszłoby z dymem, razem z dowodami jego obecności: włóknami, odciskami palców, DNA, ze wszystkim. Wie o tym każdy, kto oglądał przynajmniej jeden kryminał w telewizji. Mam rację?

– Cały czas cię słucham – mówi Breslin, po czym patrzy na Rory’ego, który dosłownie wyskakuje z krzesła: – Lepiej siądź i uważaj, stary. Mam wrażenie, że to ci naprawdę może pomóc, a jeżeli mam być z tobą szczery, to każda taka rzecz jest ci koniecznie potrzebna.

Po chwili Rory siada. Jego pierś unosi się i opada jak po forsownym biegu.

– Pozwolisz detektyw Conway skończyć to, co mówi? – pyta go Breslin.

– Tak. Pozwolę. – Kiedy Breslin dalej wyczekująco unosi brew, Rory dodaje: – Przepraszam... że przerwałem.

– Chodzi mi o to – ciągnę – że nie chciałby, żeby dom się spalił, tylko wtedy, gdyby przypuszczał, że Aislinn jeszcze żyje, i gdyby nie chciał jej śmierci. Czyli gdyby nie zamierzał jej zabić.

– Mhm. – Breslin wolno kiwa głową. – Rozumiem już, do czego zmierzasz. Masz rację, to jest ważne. Cała reszta wskazuje na zabójstwo, i to dość paskudne. Jeżeli jednak masz rację co do powodu wyłączenia kuchenki, wtedy nie ma mowy o zabójstwie. Wtedy mówimy o nieumyślnym spowodowaniu śmierci.

– Właśnie – przytakuję. – Jeżeli mam rację.

– Mhm... jeżeli... Jest dużo powodów, dla których kuchenka mogła zostać wyłączona. Może wyłączyła ją sama Aislinn. A może Rory ma lekką nerwicę natręctw, nie może wyjść z domu, jeśli nie wyłączy wszystkich urządzeń. Ale jeśli masz rację...

Oboje spoglądamy na Rory'ego. Ma szkliste oczy. W jego głowie tłoczą się i piętrzą kolejne historyjki; traci nad nimi panowanie. Do pewnego momentu to dla nas korzystne: jeżeli facet nie bardzo wie, co i kiedy powiedział na jaki temat, zaczyna zaliczać wpadki. Gdy jednak przegapimy ten moment, niewiele się już dowiemy. Jeśli chcemy z niego cokolwiek wyciągnąć, trzeba się spieszyć.

– Skończyłam, Rory – informuję go. – Możesz mówić.

Breslin pozwala mu otworzyć usta, ale zaraz ucina:

– Lepiej nic nie mów. Znowu będziesz nam powtarzać, że nigdy nie byłeś w tym domu, więc dobrze się zastanów. Zabójstwo oznacza z automatu dożywocie, Rory. Nieumyślne to może sześc lat, wychodzisz po czterech. A jeżeli nam nie powiesz, dlaczego wyłączyłeś kuchenkę, nie będziemy mieli nic, absolutnie nic, co by wskazywało na nieumyślne spowodowanie śmierci, bo cała reszta wskazuje na zabójstwo. Radzę ci, dla twojego własnego dobra, zanim się odezwiesz, zastanów się przez pięć minut. – Kiedy Rory znowu próbuje coś powiedzieć, Breslin mówi: – Mhm. Pięć minut. Powiem ci, kiedy czas minie. – Podciąga mankiet i patrzy na zegarek. – Start.

Rory daje za wygraną. Gapi się w przestrzeń, kołysząc się lekko ze zmęczenia.

– Minuta minęła.

Rysy Rory'ego z wolna tężeją. Przestaje się kiwać. W jego głowie trwa gorączkowy ruch.

Breslin popełnił błąd. Wiem, co robi – liczy na to, że wymuszona cisza i strach tak mocno przygniotą przesłuchiwanego, że się załamie – ale na niego działa akurat grad słów i żądań. Zamknąć tego faceta w jego własnej głowie oznacza dać mu szansę, żeby z powrotem się skupił i uporządkował swoje bajki. Tracimy go.

– Dwie minuty.

– Daj spokój. – Uderzam mocno rękami o blat. – Więcej czasu już nie dostanie. Rory, popatrz na mnie. – Pstrykam mu palcami przed nosem. Mruga zaskoczony. – Dlaczego wyłączyłeś kuchenkę?

Za późno.

– Nie wyłączyłem – mówi Rory. – W ogóle nie byłem w domu Aislinn. Nie zrobiłem jej żadnej krzywdy. Chcę już iść do domu.

Wstaje na chwiejnych nogach i próbuje zdjąć płaszcz z oparcia krzesła. Dygoczą mu ręce; nie jest w stanie chwycić okrycia.

– Chwila, moment – powstrzymuje go Breslin. – Jeszcze nie skończyliśmy. Siadaj.

– Ja skończyłem. Jestem aresztowany?

Widzę, jak Breslin już otwiera usta.

– Nie – ubiegam go i nie zwracam uwagi, kiedy obraca głowę w moją stronę. – Na razie nie. Ale jeżeli chcesz, żebyśmy uwierzyli w twoją historyjkę, to wychodząc stąd, wcale sobie nie pomagasz. Musisz zostać i współpracować.

– Nie. Jeżeli nie jestem aresztowany, wracam do domu. – Udaje mu się zdjąć płaszcz z krzesła, ale upuszcza go na podłogę.

– Zrobimy tak – rzucam, zamykając notes. – Wracasz do domu. Prześpisz się. Porozmawiamy z sąsiadami Aislinn i sprawdzimy, czy ktoś przypadkiem nie wyrzwał przez okno z tyłu domu i nie zauważył cię w uliczce między, powiedzmy, wpół do ósmej a za dwadzieścia ósma. Jeżeli tak, to damy ci spokój; nie miałbyś czasu na zabicie Aislinn. – Oczywiście rozmawialiśmy już z sąsiadami i idę o zakład, że wspomnieliby, że po uliczce kręcił się jakiś szajbus, ale najwyraźniej Rory'emu taka możliwość nie przychodzi do głowy. – Przyjdź jutro podpisać zeznanie, wtedy się dowiesz, co i jak. Zgoda?

Rory narzuca płaszcz na ramiona, nie próbując zmagać się z rękawami.

– Tak. Dobrze.

– Przyjedziemy po ciebie – dodaje Breslin z nutą groźby w głosie. Wstaje i przeciąga się. – Planujesz być gdzie indziej niż u siebie w mieszkaniu albo w księgarni?

– Nie. Nigdzie się nie wybieram.

– Dobry plan – chwali Breslin. Otwiera drzwi i zamaszystym gestem zaprasza go do wyjścia, udając, że się kłania. – Proszę przodem.

W drzwiach pomieszczenia technicznego stoi Steve z przewieszoną przez ramię marynarką i podwiniętymi rękawami; najwyraźniej było mu gorąco. Przez dobrą chwilę spogląda mi w oczy. Mijamy go i idziemy dalej korytarzem. Rory przyspiesza kroku, zmierzając w kierunku chłodnego świeżego powietrza napływającego od strony schodów, a Breslin wesoło nuci coś pod nosem.

* * *

Stoję z Breslinem w drzwiach, odprowadzając wzrokiem maszerującego po bruku Rory'ego. Wydaje się drobny i niechlujny; podmuchy wiatru szarpia połami płaszcza i plącza mu włosy, spychając go z kursu. Jest już prawie ciemno. Po jakichś dwóch miesiącach pracy w ochronie powinnam zaoszczędzić na tyle, żeby wystarczyło na wakacje w jakimś niemiłosiernie skwarowym i jaskrawo kolorowym miejscu, gdzieś bardzo daleko stąd.

– Oświeć mnie – mówi do mnie uprzejmie Breslin. – Dlaczego ten facet wraca do domu?

– Prawie się udało. Był już o krok, tylko ta przerwa dała mu okazję, żeby pozbierać myśli. A jeżeli raz mogliśmy go doprowadzić do tego stanu, uda nam się to znowu. Ale jeśli go aresztujemy, weźmie sobie adwokata i można się pożegnać z szansą, że przyzna się do winy.

– Nie musi się wcale przyznawać, Conway. Mamy na niego dość poszlak, żeby go pogrzebać żywcem.

Pewnie ma rację. Nic mnie to nie obchodzi. To moja ostatnia sprawa zabójstwa, więc nie będę jej nakłuwac garstką gwoździków: tu trochę poszlak, tam parę uzasadnionych konkluzji. Zamierzam wbić jej prosto w serce solidny kołek i mieć pewność, że już się nie podniesie.

– Chcę, żeby się przyznał – mówię. – Możemy spokojnie zostawić sobie Rory'ego na jutro.

– Chyba że rzuci się do Liffey.

– Nie rzuci. Ciągłe myśli, że w końcu mu uwierzę. Chce tego.

Breslin przygląda mi się badawczo.

– Ma rację?

– Nie. – Adrenalina szybko opada; czuję nadciągający dół, jaki zwykle mam po przesłuchaniach. Zostaje po nich wrażenie zięjącej pustki i jeśli człowiek nie ma się na baczności, może to odebrać jako poczucie straty. Potrzebuję kofeiny, cukru, ogromnego hamburgera. – To on, na bank.

– On. Ale wyłączona kuchenka wcale nie znaczy, że to było nieumyślne. Mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę. Nie ma mowy, żeby taki żaloszny mięczak mógł logicznie myśleć, kiedy chwilę wcześniej zabił człowieka; żeby się martwił, czy dom się nie spali. Miał galaretę zamiast mózgu. Pewnie wyłączył kuchenkę, bo jedzenie zaczęło się przypalać i drażnił go zapach. Pamiętaj o raporcie Coopera: możliwe, że to nieumyślne spowodowanie śmierci, jeżeli Rory znalazł w sobie siłę na zadanie poważnego ciosu, możliwe też, że celowo rozbił jej czaszkę, kiedy już leżała. A im dłużej przyglądam się tym nędznym namiastkom mięśni...

– To nie mój problem – stwierdzam. – Niech to ustalą prawnicy i przysięgli. Ja chcę tylko niezbitego dowodu na to, że ją zabił.

– No. – Ton Breslina jest tak serdeczny, że przez chwilę spodziewam się klepięcia w plecy. – To nie powinien być nasz problem. Wyślemy wszystkich ludzi na poszukiwania dodatkowych dowodów, zwalimy to Rory’emu na łeb, a załamie się jak kiepski leżak. A nawet jeśli nie, to co z tego? Będziemy mieli dość poszlak, żeby sprawa była nie do podważenia. Prawda?

– Prawda – zgadzam się.

Rory zniknął za rogiem, zmierzając do bramy. W plamie żółtego światła lśni pusty bruk, śliski i niebezpieczny po ulewnym deszczu.

Trybiki w głowie Breslina obracają się tak ciężko, że prawie je słyszę. Patrzę na miejsce, w którym zniknął Rory, aż w końcu czuję, jak Breslin się odsuwa, i słyszę szcęk zamykanych drzwi.

* * *

Z toalety dzwonię do Lucy. Tym razem odbiera, ale ma wyraźnie udręczony głos, niewiele głośniejszy od szeptu; w tle ktoś wykrzykuje polecenia, nagle rozlega się jazgot country, przerywany przez czyjś zirytowany wrzask. Teatr wystawia dzisiaj premierę, mają kłopoty techniczne i Lucy naprawdę musi kończyć (w tle: „Luce! Wiadomo już, co z tymi reflektorami?”). Przyrzeka, że jutro będzie cały dzień w domu, ale nie mam pojęcia, czy to prawda, czy po prostu chce się mnie pozbyć.

Jutro rano będę łomotać w jej drzwi, zanim zdąży zwlec się z kaczem z łóżka. Mam nadzieję usłyszeć od niej, że wymyśliła tajemniczego chłopaka Aislinn, żebyśmy przeprowadzili rzetelne i dokładne śledztwo. Mam nadzieję, że gdy będę wychodzić od Lucy, zadzwoni do mnie Sophie z wiadomością, że zabezpieczony hasłem folder w komputerze Aislinn zawierał tylko zdjęcia tatusia, które zeskanowała, aby wygodniej było nad nimi popłakać.

I tak oto modlę się, żeby najciekawsze tropy sprawy zakończyły się spektakularną klapą. Mam wrażenie, że to wbrew naturze, jak gdyby do głowy wślizgnął mi się jakiś pasożyt i kawałek po kawałku wyżerał mi mózg. Ale Lucy i ten folder to ostatnie dwa niesforne wątki, które nie pozwalają mi dopiąć sprawy, przewiązać śliczną wstążeczką, położyć przed drzwiami gabinetu O’Kelly’ego z moją odznaką na wierzchu, odwrócić się na pięcie i odejść.

* * *

Steve czyta maile przy naszym biurku. Siadam obok i zaczynam przeglądać stertę papierów, które zmaterializowały się, kiedy mnie nie było. Mrówki starają się, żebym nie zauważyła ich ukradkowych spojrzeń; zastanawiają się, kiedy ta stuknięta baba znowu wpadnie w szal.

Ciężka cisza między mną a Steve’em ma zadry, jak brzeg rozprutej blachy.

– Widziałeś Rory’ego w pokoju przesłuchań – odzywam się.

– Dużą część. – Nie unosi wzroku. – Niezłe przesłuchanie.

Nie brzmi to jak komplement.

– Dzięki. – Łowię znaczące spojrzenie Breslina, który na nas zerka: *Nigdy nie pasowaliście do siebie.* – Gdzie byłeś?

– Pokazałem fotki z kartoteki barmanowi i sąsiadom Aislinn. Nikogo nie poznali. – Czeka na moje: „A nie mówiłam?”. Milczę, więc ciągnie: – Potem poszedłem pogadać z kilkoma chłopakami, którzy pracowali nad zniknięciem Desa Murraya. Nie martw się, byłem dyskretny.

– Nie martwię się.

Steve rzuca mi z ukosa przelotne spojrzenie, bo nie wie, jak ma to rozumieć.

– W każdym razie... – mówi po chwili obojętnym, rzeczowym, zdystansowanym tonem, który znam, ale słyszałam go tylko, kiedy rozmawiał z adwokatami i cwanyimi dziennikarzami, nigdy ze mną – według nich, McCann na pewno miał słabość do Evelyn Murray. To on naciskał na kontynuowanie śledztwa, rozwodził się nad losem tej biednej, delikatnej kobiety, której życie legło w gruzach. McCann nie należy do gadatliwych, więc chłopcy tym bardziej to zapamiętali. Znalazł nawet kupca na taksówkę Desa i zadbał, żeby poszła za jak najwyższą cenę, żeby Evelyn i Aislinn nie musiały się martwić o kasę. Wszyscy chłopcy są jednak pewni, że nie doszło do romansu. Już wtedy nazywali go Świętoszkiem, więc nie ma mowy, żeby przystawiał się do żony zaginionego. Śmiali się, że w ogóle mogłem o tym pomyśleć.

Znowu przerwa na moje „A nie mówiłam?”. Dłużej nie zniosę siedzenia obok niego i wymieniania uprzejmości pod rozbawionym spojrzeniem Breslina.

– Był powód przypuszczać, że to miało cokolwiek wspólnego z naszym śledztwem? – pytam.

– Nie.

– To dobrze. W takim razie zrobmy odprawę.

Podnoszę się z krzesła i w tym samym momencie mrówki odkładają pracę i prostują się, skupiając całą uwagę i starając się, żeby, broń Boże, nie nawiązać kontaktu wzrokowego ze wściekłą bestią.

– Słuchajcie, mam dobre wiadomości – zaczynam. – Wszystko coraz wyraźniej wskazuje, że to Rory Fallon. Z jego zeznań i monitoringu wynika, że od co najmniej miesiąca śledził Aislinn. Właśnie na to poświęcił ten czas przed randką w sobotę, którego nie mogliśmy wyjaśnić, a przynajmniej część tego czasu: zaglądał przez jej okna.

– Mały zboczeniec. – Stanton szczyrzy zęby. – Lepiej sprawdzić, czy na ścianach domu nie ma jego DNA.

Fala nerwowego chichotu.

– Zróbcie to – zgadzam się. Ślady zostawione przez Rory'ego może nie będą dowodem zabójstwa, ale zwiększą nasze szanse na procesie; ławy przysięgłych nie

cierpią onanistów. – Twierdzi, że stał w uliczce za jej patiem, więc niech technicy porządnie zbadają tamten mur i rzucą okiem na ścianę pod oknem kuchennym, na wypadek gdyby odważył się na numer z bliska.

Stanton kiwa głową; Meehan zapisuje to w książce zadań.

– Przyjeliśmy nową roboczą hipotezę – ciągnę – że gdy Rory przyszedł do Aislinn, ona w jakiś sposób się dowiedziała, że ją śledził. Kazała mu się wynosić, a on stracił głowę.

– Rory jeszcze nie puścił farby – włącza się Breslin – ale już niedługo. Mamy nadzieję, że jutro.

– Zanim go przymkniemy, przekonajmy się, jaka była skala tego stalkingu – mówię. – Potrzebuję dwóch ludzi, żeby pochodzili po Stoneybatter ze zdjęciem Rory’ego i sprawdzili, czy ktoś go rozpozna. Prowadzi księgarnię, więc w grę wchodzi głównie wieczory i niedziele w ciągu ostatnich dwóch miesięcy. Próbujcie wszędzie: w domach, w sklepach, pubach, biurach, których pracownicy mogli się na niego natknąć, wychodząc do domu. Kiedy traficie na jakieś zamknięte grupy, kluby sportowe, salony bingo, trzeba dotrzeć do wszystkich członków. – Kellegher unosi palec. – Kellegher, zajmiesz się tym z Gaffneyem. Poza tym chcę wiedzieć, co przez dwa ostatnie miesiące działo się z telefonem Rory’ego: kiedy się przełączał na stacje bazowe w okolicy Stoneybatter, czy logował się do lokalnych sieci wi-fi. Stanton, kiedy będziesz dzwonił, sprawdź też to przy okazji.

Śledztwo się zmieniło. Przedtem zarzucaliśmy sieci i przeszukiwaliśmy to, co się złowiło, w nadziei, że znajdziemy coś ciekawego. Teraz ruszyliśmy na polowanie. Osaczyliśmy ofiarę, podchodzimy coraz bliżej i każdy nasz ruch prowadzi do chwili, gdy weźmiemy ją na muszkę i naciśniemy spust.

To uczucie nie jest jakąś cholerną figurą retoryczną. Żyje gdzieś głęboko w tobie, jest bardziej rzeczywiste i odwieczne niż wszystko poza seksem, a kiedy się budzi i wzbiera, opanowuje całe ciało. To zapach krwi kipiący w nozdrzach, pulsowanie mięśnia przed puszczeniem cięciwy łuku, narastający łomot w uszach i zwycięski ryk rodzący się w dole trzewi. Chcę się upoić tym uczuciem ostatni raz. Wypić do dna, wchłonąć każdą cenną sekundę, odłożyć na zapas, który będzie mi musiał wystarczyć na resztę życia.

– Chcę wiedzieć, gdzie Rory chodzi się napić – mówię – co sądzi o nim barman i stali klienci, czy wiadomo o jego obsesji na punkcie jakiejś dziewczyny, od której nie chciał się odczepić, czy łatwo się złości, wszystko, co może być ważne. – Meehan unosi rękę. – Meehan, to twoje zadanie. Będziesz miał okazję popracować na innym terenie niż Stoneybatter. Chcę jeszcze wiedzieć, co myślą o Rorym ludzie z Ranelagh. Czy ktoś słyszał, że narzucał się jakiejś klientce w księgarni albo kręcił się pod piekarnią, czekając, aż urocza panienska skończy pracę.

– Ja to zrobię – ofiarowuje się Breslin. – Moran, chcesz dołączyć?

Zaskoczony Steve unosi wzrok, ale Breslin posyła mu tylko mdły uśmiech.

– Czemu nie – odpowiada Steve po chwili.

– Świetnie. – Breslin puszcza do niego oko. – Chodźmy razem załatwić tego gnojka.

Nie mam ochoty wdawać się w szczegóły swoich planów na jutro.

– Z samego rana skontaktuję się z kryminalistyką – mówię – i sprawdzę, czy ustalili coś z włóknami i DNA. – I z folderem w komputerze Aislinn, o czym też nie mam ochoty wspominać. – Tymczasem ktoś musi mieć oko na mieszkanie Rory’ego... tylko dzisiaj w nocy i jutro, dopóki nie będziemy gotowi go zdjąć. – Breslin zerka na mnie z rozbawieniem. Prawdę mówiąc, nie sądzę, żeby Rory zamierzał rzucić się do Liffey, dać nogę z miasta albo pozbyć się dowodów, których nie zauważyliśmy, nie chcę jednak ryzykować, oszczędzając na kilkugodzinnej obserwacji. – Deasy, ty się tym zajmiesz albo wyślesz tam dwóch mundurowych, tylko powiedz im, że muszą być w cywilu i w nieoznakowanym wozie.

Deasy kiwa głową.

– Dobra – rzucam. – Jeżeli nie przyzna się do winy, to będzie materiał oskarżenia. Dlatego musicie się przyłożyć. Dzięki i do jutra.

W chwili kiedy odwracam się do Steve’a, żebyśmy nadal udawali partnerów, gdy pójdziemy złożyć sprawozdanie staremu, na widok pokoju operacyjnego ścisną mnie w dołku. Przez tę sekundę z każdego kąta bucha ciepły blask tego, „co by było, gdyby” przez jakieś dwadzieścia lat. Każdej chwili, w której wchodziłabym tu, śmiejąc się ze Steve’em, wydawałabym triumfalny okrzyk, gdy przychodziłby długo wyczekiwany billing albo wynik testu DNA, każdych podziękowań dla zespołu składanych na zakończenie dużej sprawy. Czuję to wszystko, wiedząc już, że nigdy się nie urzeczywistni.

Nie zamierzam się w to bawić. Mam pod ręką kilkanaście wymówek – brak snu, brak jedzenia, presja, ważna decyzja i tak dalej, i tak dalej – ale i tak jak wysypka na skórze drażni mnie tamto wrażenie, że to wbrew naturze.

– Chodź – zwracam się do Steve’a. – Idziemy do szefa.

Ruszam do drzwi, nie czekając na niego, żebyśmy nie musieli razem iść korytarzem.

* * *

O’Kelly ściera kurz ze swojej zielistki małą, nieporęczną ściereczką, którą ludzie czyszczą okulary.

– Conway. Moran. – Wita nas, ledwie unosząc głowę. – Mam nadzieję, że wreszcie doszliście do czegoś.

– Na to wygląda – odpowiadam.

– Cholera, najwyższy czas. To posłuchajmy.

Składam mu raport. Słucha, obracając kwiat do światła, żeby sprawdzić, czy wyczyścił go dokładnie z każdej strony.

– Hm – odzywa się, kiedy kończę. – I to wam wystarczy. – Jedno oko spogląda na mnie z ukosa.

– Jutro jeszcze raz spróbujemy go przycisnąć, żeby się przyznał – mówię. – Niech się pan nie martwi: nie wyślemy papierów do prokuratury, dopóki nie dopniemy sprawy na ostatni guzik.

– Nie chodzi mi o to, czy to wam wystarczy do wysłania papierów, ale czy wystarczy, żeby stwierdzić, że to Fallon.

– Tak. – Widzę to oko, wilgotne i czerwone w miejscu, gdzie powieka zaczyna mu opadać jak u staruszka. Nie potrafię go rozgryźć; nie umiem wykrzesać z siebie odrobiny zainteresowania, czy bierze udział w grze Breslina, czy nie. – To on. – Czuję, jak stojący obok Steve przestępuje z nogi na nogę, ale się nie odzywa.

Stary przygląda mi się jeszcze przez długą chwilę, a potem wraca do zielistki. Przechyla liść, by go dokładnie obejrzeć, jeszcze raz przeciera w jednym miejscu.

– Myślałem, że czekacie na coś mocniejszego niż poszlaki.

Tak mu powiedziałam wczoraj wieczorem, kiedy w sprawie kłębiło się jeszcze wiele ewentualności, które mogły prowadzić w każdym kierunku. Wydaje się, że to było wieki temu.

– Albo na wykluczenie innych możliwości. Wykluczylismy.

– Wykluczyliscie.

– Jest zero powodów do podejrzeń, że był w to zamieszany ktokolwiek inny oprócz Rory'ego Fallona.

O'Kelly opuszką kciuka sprawdza czubek liścia.

– W porządku – mówi. – W porządku.

Wygląda, jakby o nas zapomniał; nie wiem, czy już zostaliśmy odprawieni.

– Przydałaby się jeszcze jedna mrówka – dodaję. – Odesłałam Reilly'ego z powrotem do wydziału.

To budzi zainteresowanie szefa.

– Dlaczego?

– Znalazł dowód. Zamiast przyjść z tym do mnie albo do Morana, zwrócił się do Breslina.

– Niedopuszczalne – stwierdza O'Kelly. Nie próbuje zamaskować przeciągłego spojrzenia na Steve'a. – Dobrze, dostaniecie jeszcze jedną. Informujcie mnie na bieżąco.

Odwraca się bokiem do nas i delikatnie wsuwa palce między liście, by sięgnąć ściereczką aż do samej nasady.

* * *

– Zero powodów do podejrzeń, że był zamieszany ktokolwiek inny oprócz Rory’ego – mówi Steve w korytarzu. W jego głosie ciągle brzmi ten oschły ton.

– Aha – przytakuję. – Dokładnie zero powodów.

– A tajemniczy facet Lucy? Folder w komputerze Aislinn?

– Jutro zobaczę się z Lucy. Do Sophie zadzwonię z samego rana. Jeżeli któraś z nich da nam coś konkretnego, będziemy się zastanawiać. – Słyszę w swoim głosie sygnały ostrzegawcze. – Ale na razie zero powodów. Zero.

– DNA na materacu Aislinn.

– Ślady znalazły się tam wcześniej niż w sobotę wieczorem, inaczej byłyby też na pościeli. Nie mają nic wspólnego z naszą sprawą.

Steve przystaje. Patrzy w głąb korytarza na okno – za którym widać ciemne niebo zaciągnięte gęstą żółtawą warstwą światła – nie na mnie.

– Widziałeś Rory’ego w czasie przesłuchania – przypominam mu. – Słyszałeś, co powiedział. Tylko mi, kurwa, nie mów, że masz jeszcze wątpliwości.

Za długo zwleka z odpowiedzią. Zostawiam go w korytarzu.

* * *

Kiedy wkładam płaszcz, dociera do mnie, że w ciągu całego popołudnia Breslin ani razu nie próbował mi dać do zrozumienia, że bierze w łapę.

Powinam poczuć ulgę, ale ta myśl dźga mnie boleśnie jak ukłucie igły pod paznokciem. Moim zdaniem, nie ma żadnego powodu, dla którego Breslin tak nagle, w ciągu paru godzin, kiedy wyszłam pogadać z byłymi chłopakami Aislinn, postanowił porzucić cały misterny i podstępny plan. Wkręcał mnie bardzo zręcznie – wystarczyłoby jeszcze kilka ruchów i gdyby nie Fleas, wystawiłby mnie sobie do zadania ostatecznego ciosu – ale ni stąd, ni zowąd dał sobie z tym spokój. Przeglądam w pamięci przebieg całego dnia – swoją rozmowę z McCannem, raporty mrówek – szukając czegoś, co mogło go skłonić do zmiany kursu: czegoś, co pozwoliłoby mu domyślić się, że rozgryzłam jego grę, albo doprowadziłoby go do wniosku, że jednak nie warto mieć mnie w garści. Niczego takiego nie znajduję.

Pozostaje tylko jedna możliwość, jeszcze bardziej bolesna: Breslin skądś wie, że nie ma sensu dłużej się w to bawić. Słowa, które zamierzam powiedzieć staremu, otaczają mnie smrodem jak swąd spalonych włosów, kładą się na mojej twarzy coraz gęstszym cieniem. Breslin spojrział na mnie i dzięki intuicji detektywa z bogatym dwudziestoletnim stażem wiedział, że ten ostateczny cios został już zadany. Wiedział, że jestem bezużyteczna.

Przez całą drogę do domu czekam, aż coś się stanie: znowu zatrzyma mnie jakiś mundurowy albo kiedy skręcę w swoją ulicę, zza latarni wyskoczy mi wprost przed samochód facet, który się na niej czaił, albo z ciemnej kuchni wystawi głowę Fleas. Nic się nie dzieje. Moja ulica jest pusta; wchodząc do domu, od razu wiem, że nikogo tu nie ma. Mimo to sprawdzam.

Marzę o tym, żeby zasnąć i spać długo; najlepiej, by przed drzwiami mojej sypialni stał ktoś zaufany i uzbrojony. Nie położę się jednak, dopóki nie będę miała pewności, że zapadnę w sen, gdy tylko dotknę pościeli. Jest cała lista rzeczy, o których nie zamierzam dzisiaj myśleć, ale obejmuje ona tyle tematów, a ja jestem taka zmęczona, że wszystko mi się myli i od czasu do czasu zza tej bariery coś się wymyka. Przez pół sekundy, zanim zdążę się w duchu ochrzanić, zastanawiam się, co teraz robi Steve.

W lodówce mam kompletne pustki; razem z Fleasem pożarliśmy moje paluszki rybne na czarną godzinę. Dzwonię do mamy i opowiadam jej o wazie Sophie, która została zbryzgana krwią, bo dwóch bydlaków włamało się do mieszkania staruszki i tak ją rąbnęło w brzuch, że zwymiotowała krwią, co mama kwituje krótkim „Hm”. Nie wspomina o Aislinn, ja też nie. Pali papierosa, ja tymczasem robię kawę i górę grzanek, usuwam zieloną część ze starego kawałka sera i zabieram wszystko do salonu.

Dzisiaj w okno nie tłucze wiatr; ucichł, zostawiając tylko lepki i nieruchomy chłód. Wyglądam w ciemność i myślę: No chodź, skurwysynu. Chodź, pokaż, na co cię stać. Zostawiam szeroko rozsunięte zasłony.

Dostaję maila od Fleasa.

Hej, Rach! Super, że się odezwałaś. Tu nic nowego, u całej bandy wszystko gra, nikt nie robi nic szczególnego. Mam teraz młyn, ale fajnie będzie się spotkać, kiedy oboje będziemy mieli trochę czasu. Trzymaj się, słonko xx.

Czyli w jego zakątku gangsterskiego świata nie ma nikogo, kto nagle zaczął zalewać robaka, wygląda na podenerwowanego albo wypłakuje się w rękaw Fleasowi z żalu po śmierci dziewczyny. I do zobaczenia w bliżej nieokreślonej przyszłości.

Zespół Sophie nie znalazł w laptopie Aislinn żadnych śladów odwiedzanych przez nią serwisów randkowych, ale nie dostałam jeszcze informacji o jej komputerze służbowym. Zaglądam na konta Blondynki z Google'a. Świetnie sobie radzi: dziesiątki wiadomości. Mniej więcej jedna czwarta z nich to fotki fiutów, które prawdopodobnie nie mają jej zachęcić do zastanowienia się nad poważnym związkiem, ale do sięgnięcia po sole trzeźwiące, chociaż nigdy nie wiadomo. Reszta to przede wszystkim jednozdaniowe i nic nieznaczące przynęty zarzucane przez facetów, którzy zaczepiają każdą nową ładną dziewczynę, w nadziei, że coś

się złowi. Warto przyjrzeć się bliżej tylko dwóm. Żadnych zdjęć, starannie zredagowane propozycje bez zobowiązań, z zapewnieniem całkowitej dyskrecji: żonaci, którzy chcą się zabawić na boku i szukają dziewczyny odpowiadającej urodą Aislinn.

Kiedy pracuję nad odpowiedzią, kątem oka dostrzegam jakiś ruch. Odwracam się, ale za wolno. Od okna odsuwa się gwałtownie duży, ciemny kształt, zanim udaje mi się zobaczyć, co to jest.

Łapię klucze i rzucam się do drzwi. Kiedy je otwieram, ulica jest pusta.

Ruszam, zmuszając się, żeby iść swobodnym krokiem: idę do samochodu, bo zapomniałam coś zabrać, nic takiego. Przy każdym oddechu wypuszczam z ust obłoczki pary, ale chłód zupełnie na mnie nie działa. Czuję zapach torfowego dymu, słyszę samochody śmigające na drugim końcu ulicy, a mięśnie nóg pulsują i rwą się do biegu.

Gdy otwieram drzwi samochodu, mruga światło. Pod latarnią na końcu ulicy kręci się wysoki facet. Zatrząskuję drzwi i robię krok w jego kierunku, a wtedy rusza z kopyta i daje nura w ciemność za rogiem.

Prawie na pewno jestem od niego szybsza, ale Stoneybatter roi się od krętych i wąskich uliczek, jeżeli więc dobrze zna dzielnicę, to go nie dopadnę. Gdyby nawet nie znał, zawsze może skręcić do jakiegoś pubu, odwrócić się i gapić na mnie z resztą klienteli, kiedy wpadnę za nim do środka. Muszę go dopaść na własnym terenie.

Wracam do domu, zasłaniam okno w salonie i przez wąską szparę obserwuję ulicę.

Jeżeli dostanę następną szansę, będzie ostatnia. Jeszcze jedna taka sytuacja, i facet nie będzie miał wątpliwości, że go nakryłam.

Nie dam rady zrobić tego sama. Myślę o każdej ewentualnej pomocy, jaka przychodzi mi do głowy – Fleas, Sophie, Gary, moja kumpelka Lisa, wszyscy inni kumple, sąsiedzi. Zastanawiam się nawet, czy nie zwrócić się do mamy. Jak Boga kocham, przez ćwierć sekundy myślę o Breslinie!

Nie mogę tego zrobić. Na tej liście nie ma nikogo, do kogo mogłabym zadzwonić i powiedzieć: „Cześć, nie dam rady, przyjedź mi pomóc”. Po takim telefonie dla każdej z tych osób stanę się kimś innym. Otaczająca mnie pustka wydaje się tak gęsta i ciężka, że mogłaby zachwiać w posadach całym domem.

Facet ma przynajmniej trochę zimnej krwi: poza kręgiem światła latarni głębszy mrok zapadnie dopiero za jakieś dwadzieścia pięć minut. W tej samej sekundzie, kiedy sobie uświadamiam, że od początku wiedziałam, co zrobię, serce bije mi mocniej.

Nadciągają gęste ciemności i zalegają na dobre. Wyjmuję telefon, biorę głęboki oddech i dzwonię do Steve’a.

Odbiera dopiero po kilku dzwonekach.

- Cześć – mówi.
- Cześć. Robisz coś ważnego?
- Nie bardzo.

I tyle. Znowu ten starannie opanowany, obojętny głos, jak gdyby próbował wyczuć – albo zdecydować – czy jesteśmy jeszcze partnerami.

Nie mam czasu na wyrafinowane podchody.

– Steve, posłuchaj. Potrzebuję pomocy. – Ciężko przechodzi mi to przez gardło, ale gdy zerkam przez okno, facet ciągle tam jest i stoi nieruchomo na skraju plamy światła latarni.

Na długą chwilę w słuchawce zapada cisza. Zamykam oczy.

– Dobra, co jest? – odzywa się wreszcie Steve.

Jego głos ociepla się o dwa, może trzy stopnie. To idiotyczne, jak wielką ulgę mi to przynosi, ale nie mam też czasu, żeby się nad tym zastanawiać.

– Jakiś skurwiel od dwóch dni obserwuje mój dom – informuję go – a ja mam tego dość. Nie mogę wyjść i sama go złapać, bo ma widok na każdą stronę, z której mogłabym go podejść, a jak mnie zobaczy, to zwieje.

– Ale mnie nie śledzi – mówi Steve, zapominając o wszystkim innym i skupiając się na moich kłopotach.

– Na to właśnie liczę.

– Gdzie teraz jest?

– Na końcu mojej ulicy. – Steve wie, gdzie mieszkam; nigdy u mnie nie był, ale kilka razy podjechaliśmy do mnie, żeby coś zabrać. – Wcześniej zaglądał przez okno od frontu i widziałam go na uliczce za domem, ale zwykle kręci się na rogu. Wysoki, dobrze zbudowany, w średnim wieku, ciemny płaszcz, filcowy kapelusz.

Przypuszczam, że Steve zauważył podobieństwo do rysopisu faceta, który przechodził przez mur za patiem domu Aislinn.

– Dobra, co mam z nim zrobić?

– Przyrowadź go do mnie. Chcę z nim pogadać.

– Będę najpóźniej za piętnaście minut. – Słyszę, że już się zbiera; wkłada buty albo narzuca płaszcz.

– Zadzwoń, jak będziesz dojeżdżał do mojej ulicy. Jeden sygnał, potem się rozłącz.

– Okay. – Brzęk kluczy; Steve jest gotowy. – Uważaj na siebie.

– Dzięki. Do zobaczenia.

Wkładam telefon do kieszeni, rozsiadam się wygodnie na kanapie i klikam na różne głupoty w laptopie. Okno obok działa na mnie tak, jak gdyby ktoś bębnił mi paznokciami w czaszkę. Nie patrzę w jego stronę. Mam wrażenie, że mija godzina, gdy w końcu rozlega się pojedynczy dzwonek telefonu, i udaje mi się nie wzdrygnąć z zaskoczenia.

Przeciągam się, wstaję i podchodzę do drzwi wejściowych, których nie

widać z okna. Wyjmuję pistolet i przykładam oko do wizjera.

Widać ciemność i żółte drzwi po drugiej stronie ulicy, wyrzuczone przez soczewkę rybiego oka. Piesek sąsiadów ujada jak szalony. Gdzieś z oddali dobiega pisk dziewczyn. Po chwili rozlega się nierówny, zbliżający się tupot kroków na bruku.

Łapię klamkę, siłą woli zmuszając się do cierpliwości, i dopiero gdy w wizjerze pojawia się skotłowana czarna masa, gwałtownym ruchem otwieram drzwi. Do środka wpada dwóch szepionych ze sobą ludzi, a ja szybko zatrzaskuję za nimi drzwi.

Potykają się o dywan, łapią równowagę i zataczając się, stają pośrodku salonu. Steve jedną ręką trzyma faceta za kołnierz, a drugą wykręca mu ramię za plecami. Mężczyzna jest wysoki, ma czarne, siwiejące włosy – kapelusz zgubił gdzieś po drodze – i długi czarny płaszcz.

– Odczep się ode mnie...

– Mam go – mówię i kieruję lufę w stronę jego głowy. Steve puszcza go i odskakuje do tyłu.

– Na litość boską – wyrzuca z siebie mężczyzna, po czym odwraca się do mnie i wszyscy troje nieruchomiejemy.

Nie spodziewał się zobaczyć broni. A ja nie spodziewałam zobaczyć jego. Byłam przygotowana na widok każdego, od seryjnego zabójcy po jednego z naszych, ale nie na widok tego człowieka.

Nigdy go wcześniej nie widziałam, ale znam wszystkie szczegóły jego wyglądu, bo co dzień je widzę: ostro zarysowany nos, lekko przymrużone ciemne oczy, długie i mocne łuki czarnych brwi. Przez sekundę wydaje mi się, że to jakiś pieprzony kawał; mój umysł, wywijając kozły i rozpaczliwie szukając punktu oparcia, zastanawia się, czy tego numeru nie wycięły mi palanty z wydziału, żebym dostała świra. Facet jest podobny do mnie kropka w kropkę.

Steve spogląda to na mnie, to na niego. Ma opuszczone ręce i rozluźnione dłonie, jak gdyby nie był pewien, co z nimi zrobić.

– Możesz już iść, Steve – mówię. Mam zdrętwiałe usta.

– Antoinette... – odzywa się mężczyzna.

– Zamknij się, bo cię rozwalę. – Zaciskam palce na pistolecie. Posłusznie się zamyka. – Steve, wracaj do domu.

– Jesteś... – zaczyna Steve.

– Idź już.

Po chwili wychodzi, prawie na palcach. Cicho zamyka za sobą drzwi. Facet i ja patrzymy na siebie.

Poprawia kołnierz, za który trzymał go Steve.

– Dziękuję – mówi. – Nie bardzo wiem, kto to był...

– Poprosiłam go, żeby cię przyprowadził – wyjaśniam. – Kręciłeś się po

mojej ulicy i miałam już tego dość.

Nie wygląda na zbitego z tropu.

– W takim razie być może oboje wyświadczyliście mi przysługę. Nie wiem, kiedy zebrałbym się na odwagę, żeby do ciebie zapukać.

Jego akcent zdradza wykształcenie, słychać też lekki wpływ wymowy z północy – może z Belfastu. Nie spędził ostatnich trzydziestu dwóch lat w egipskim pałacu ani w nocnym klubie w Brazylii. Spędził je w miejscu, do którego mogłabym dojechać pociągiem.

– Rozejrzyj się – proponuję. – Mam cię wprowadzić po całym domu?

Przygląda się mojej twarzy tak intensywnie, że mam ochotę rozwalić mu nos rękkością pistoletu, żeby przestał.

– Jesteś do mnie bardzo podobna – zauważa. – Zdajesz sobie z tego sprawę?

– Nie jestem ślepa – mówię. – Ani głupia.

Moje słowa wywołują lekki uśmiech satysfakcji na jego twarzy, jak gdyby fakt, że nie jestem idiotką, miał być jego zasługą.

– Nigdy bym się tego nie spodziewał.

Wszystkie te zadania z matmy, które zbierałam, żeby mu pokazać... W milczeniu czeka, aż coś powiem, a może rzucę mu się na szyję. Nie robię ani jednego, ani drugiego.

– To dla mnie bardzo dziwna chwila – wyznaje. – Szukam cię prawie od roku.

– Rany. Od całego roku, naprawdę?

– Na początku zastanawiałem się, czy się z tobą skontaktować. Słowo daję. Ale nie wiedziałem, jak się nazywasz, a twoja matka bardzo skutecznie zniknęła z pola widzenia. Poza tym wtedy... z powodu moich różnych komplikacji życiowych... uznałem, że będzie dla ciebie lepiej, jeżeli...

– A teraz co, potrzebujesz nerki?

Blady uśmiech.

– Prawie dwa lata temu zmarli moi rodzice, w odstępie paru miesięcy. – Robi pauzę, żeby wyraziła mu współczucie, pogrążyła się w smutku czy cholera wie co. – Strata matki i ojca w ogromny sposób zmienia perspektywę. Mnie uprzytomniła, jak cenna była ich obecność w moim życiu, w znacznie większej skali, niż wcześniej przypuszczałem. Zdałem sobie sprawę, jakie to cenne, że korzenie człowieka sięgają głębiej i dalej niż jego życie. Po raz pierwszy uświadomiłem sobie tak jasno, czego cię pozbawiłem. I wtedy zacząłem cię szukać.

Te ciemne oczy, takie skupione, wyraziste i wymowne. Nic dziwnego, że matka uległa ich czarowi. Miała zaledwie dwadzieścia lat. Ja mam więcej. Prawda jest taka, że nagle poczuł się bezradny; skoro był następny w kolejce, potrzebował więc kogoś, przy kim mógłby poczuć, że nie zniknie bez śladu.

– W pewnym momencie wynająłem nawet prywatnego detektywa – ciągnie.
– Ale mogłem mu podać tylko nazwisko twojej matki i...

– Jakoś mnie jednak znalazłeś.

– Gdy tylko dowiedziałem się, gdzie jesteś, przyjechałem. Zarezerwowałem pokój w hotelu w Dublinie i przyjechałem jeszcze tego samego dnia.

Jego mina sugeruje, że spodziewa się wielkiego wzruszenia.

– Szkoda, że nie dowiedziałeś się wcześniej – mówię. – Mógłbyś mi kupić prezent na Gwiazdkę.

– To naprawdę konieczne? – Wskazuje głową pistolet. – Musisz wiedzieć, że nie mam zamiaru cię skrzywdzić. Poza tym to psuje rozmowę.

W kąciu ust igra mu uśmiech, który – w jego mniemaniu – powinien na mnie podziwiać. Czarus. Szkoda, że następne pokolenie nie odziedziczyło tego genu.

– Nie ma żadnej rozmowy – rzucam. Jeżeli Steve miał na tyle rozsądku, żeby mnie posłuchać, wsiadł do samochodu i jest już daleko, za daleko, żeby ten facet mógł go dogonić i spróbować wyciągnąć z niego jakieś informacje. – Właśnie stąd wychodzisz.

Uśmiech znika.

– Rozumiem, że możesz być na mnie zła – mówi ostrożnie.

– Nie jestem zła. Nie mam ci nic więcej do powiedzenia. No już. – Lufą wskazuję drzwi.

– Nie. – Wyciąga ręce w moją stronę. – Pozwól mi zostać. Proszę. Tylko na chwilę, na godzinę. Pół godziny. Jeżeli wtedy dalej będziesz chciała, żebyśmy wyszedł, wyjdę.

– Wynoś się.

– Zaraz. – Nie rusza się z miejsca, ale jego głos brzmi jak próba zatarasowania drzwi. – Proszę cię, nie zamierzam być wścibski. Powiesz mi tyle, ile zechcesz, albo nic, to zależy tylko od ciebie. A ja powiem ci wszystko, co będziesz chciała wiedzieć. Na pewno masz dużo pytań. Pytaj.

No i proszę: mam rozmawiać o najgłębiej skrywanych sprawach, których nigdy nie pozna mój najlepszy kumpel, partner ani kochanek. W tym momencie widzę to, co zobaczyła Aislinn. To, dla czego pokonywała przeszkody i brnęła przez błota, czego szukała nawet po drugiej stronie śmierci; to coś wpada do mojego domu jak skwierczący piorun kulisty, mam to przed sobą na wyciągnięcie ręki. *Jak się nazywasz, jak poznaliście się z mamą, dlaczego odszedłeś, gdzie się podziewałeś, co robisz? Opowiedz mi o ty wszystkim...* Widzę siebie jak jastrzębia unoszącego się w rozgrzanym powietrzu nad rozwijanym przez niego krajobrazem rzeki moich gdybań, żeby mogła bez pośpiechu nad nim krążyć, dopóki nie wryję sobie w głowie mapy wszystkich rozwidleń i dopływów, żeby mogła je odzyskać i posiąść. Widzę go, jak rozchyła poły peleryny, żeby pokazać mi

wszystkie zaginione strony mojej historii, zapisane srebrem na podszewce barwy nocnego nieba.

– Dobra. – Opuszczam broń. – Mam pytania. – Trudno mi oddychać.

– Czyli mogę zostać? Na pół godziny.

– W porządku. Czemu nie?

Kiwa głową. Wpatruje się we mnie w takim skupieniu, że nie jest w stanie mrugać; czeka na pytania, jak gdyby to był najwspanialszy prezent, jakim mogę go obdarować.

Matka – pomiędzy swoimi idiotycznymi bajeczkami – uprzedzała mnie: jeżeli pozwolę mu odpowiedzieć, będzie mnie miał w garści. Całe moje życie, moja przeszłość i przyszłość będą należały do niego; on zdecyduje, w co je zamieni.

– Jak mnie namierzyłeś? – pytam.

Wtedy dopiero mruga zaskoczony.

– Powiedziałeś, że mogę pytać, o co zechcę.

Zerka na kanapę.

– Mogę usiąść?

– Nie. Najpierw zaczniesz odpowiadać. Potem zobaczę.

Drwiąco wygina brew, jakby postanowił ustąpić rozhisteryzowanemu dziecku. Czasem patrzę w ten sposób na świadków.

– No dobrze. W niedzielę po południu wszedłem do sklepu, żeby kupić gazetę. Kiedy stałem w kolejce, rzuciłem okiem na inne gazety. Na pierwszej stronie było twoje zdjęcie. Wiedziałem, gdy tylko cię zobaczyłem.

Przeszywa mnie palący gniew: nie ma prawa mnie rozpoznawać.

– I co wtedy zrobiłeś?

– Szukałem cię w książce telefonicznej, ale masz zastrzeżony numer. Byłem pewien, że u ciebie w pracy nie udzieliliby mi informacji. No więc, zadzwoniłem do gazety i poprosiłem do telefonu dziennikarza, który napisał ten artykuł. Powiedziałem mu, kim jestem... inaczej nie mógłbym się spodziewać, że cokolwiek mi zdradzi... i że liczę na nawiązanie kontaktu, ale nie jestem pewien, jak mnie przyjmiesz. – Ironicznie zerka na pistolet. – I, jak widać, miałem powody.

– A on tak po prostu podał ci mój adres? – Nawet w przypadku Crowleya nie brzmi to wiarygodnie; Crowley niczego nie robi za darmo. – Co mu za to dałeś?

– Nic mu nie dałem.

Znam to ostre i zdecydowane przeczenie; za dobrze, żebym dała się nabrać.

– Na razie – mówię. – Co mu obiecałeś?

Zastanawia się nad kłamstwem, ale jest zbyt inteligentny, by ryzykować.

– Ten dziennikarz powiedział, że może podać mi twój adres. W zamian za wywiad po naszym spotkaniu.

Już to sobie wyobrażam. *Gorzkie dzieciństwo świetnej policjantki*, a obok zdjęcia mojego zaplutego bloku i jego eleganckiego domku na przedmieściu. „*Za*

każdym razem, kiedy podczas śledztwa szukała prawdy, w rzeczywistości szukała mnie”, mówi ze szlochem zaginiony ojciec. Nie na pierwszej stronie – skąd! – jako fragment dwustronicowego cukierkowego artykułu o kobietach, które wychowały się bez ojca. Na samą myśl robi mi się niedobrze. Crowley nie musiałby tego nawet publikować; wystarczyłoby pomachać mi tym przed nosem i zażądać, żebym dzieliła się z nim każdą informacją we wszystkich sprawach, jakie będę prowadzić, a wiedziałby, że je dostanie.

– A ty mu powiedziałaś, że tak, nie ma sprawy – mówię.

– Nie byłem zachwycony tą perspektywą. Nigdy sobie nie wyobrażałem, że będę otwierał serce dla jakiegoś tabloidu. Ale byłem gotów zrobić o wiele więcej, żeby cię znaleźć.

Nie sprawia wrażenia idioty, chociaż nigdy nie wiadomo.

– Mogłeś też zadzwonić na komendę i poprosić mnie do telefonu – sugeruję.

– Albo napisać list.

– Owszem, mogłem. – Przesuwa palcami po policzku i wzdycha. – Będę z tobą szczery. Chciałem mieć okazję poobserwować cię przez jakiś czas, zanim zdecyduję się na ten krok.

To znaczy, chciał sprawdzić, czy warto się ze mną kontaktować. Gdybym miała faceta w błyszczącym dresie, pół tuzina rozwrzeszczanych bachorów i peta przyklejonego do ust, pewnie odwróciłby się na pięcie i czmychnął do domu – nie ma sprawy, bo nic się nie stało, wszystko się skończyło, zanim się jeszcze zaczęło.

Może nawet wierzy, że dlatego zrobił to tak, a nie inaczej, ale ja nie wierzę. Dobrze wiem, o co mu chodziło. Gdyby chciał to załatwić w ogólnie przyjęty sposób – zawiadomić mnie ostrożnie i delikatnie, z bezpiecznej odległości, przeprowadzić parę wstępnych, przemyślanych rozmów przez telefon, spotkać się na neutralnym terenie w dogodnym dla wszystkich momencie i tak dalej – wtedy mogłabym sama zdecydować, kiedy i czy w ogóle. Facet nie zamierzał tego zrobić. Chciał rozegrać sytuację – i mnie – na swoich warunkach, od początku do końca. Na nieszczęście dla niego, akurat ten gen następane pokolenie odziedziczyło.

– Czyli przez następne trzy dni kręciłeś się pod moim domem jak podglądacz – mówię.

Porusza nozdrzami.

– Przyznaję się, chociaż niechętnie. Ale mówiłem, że powiem ci wszystko, o co zapytasz. Już chyba widzisz, mam nadzieję, że mówiłem serio.

– Twój kumpel dziennikarz nic nie dostanie. Jutro rano zadzwonisz do niego i powiesz mu, że się pomyliłeś i to nie ja. I postaraj się zrobić to przekonująco.

Unosi głowę. Z dumą mu do twarzy i zdaje sobie z tego sprawę.

– Dałem mu słowo.

Chce, żebym go błagała albo tupnęła nóżką i przypomniała mu, że jest mi winien dużo więcej niż jakiemuś pismakowi. Parskam śmiechem – na nic więcej

nie może liczyć.

– I co zrobi, pozwie cię?

– Raczej nie. Ale wolę wywiązywać się ze swoich zobowiązań. – Gdy unoszę kącik ust, dodaje: – Poza tym nie sądzę, żeby któreś z nas chciało mieć w nim wroga.

– Uwierz mi: lepiej, gdybyś miał wroga w nim niż we mnie. Myślisz, że w twoich stronach nie mam znajomości w policji? Chcesz, żeby przez resztę życia zatrzymywali cię i kazali ci dmuchać w balonik, gdy tylko wsiądziesz do samochodu? Przywozili cię na posterunek za każdym razem, kiedy jakiś dzieciak powie, że bandyta miał ciemniejszą skórę?

Zaciska usta – szerokie i mocno wykrojone jak moje.

– To dla ciebie najwyraźniej bardzo ważne. – Czekaj, dając mi okazję, żebym połknęła haczyk. Nie połykam. – No dobrze. Powiem temu dziennikarzowi, że się pomyliłem. – Ruchem głowy wskazuje kanapę. – Mogę już usiąść?

Bezczelny skurwiol już idzie w jej stronę.

– Świetnie – mówię. Unoszę pistolet i znowu wymierzam w niego. – Możesz już iść.

To go zaskakuje.

– Przecież masz pytania. Nie chcesz wiedzieć...?

– Nie. Spadaj.

Nie rusza się z miejsca.

– Mówiliśmy, że pół godziny.

– Skończyłam wcześniej.

– Pół godziny. Taka była umowa.

Wybucham głośnym śmiechem.

– Powinieneś zażądać tego na piśmie. Spierdalaj stąd. I nie wracaj.

Zaciska szczęki.

– Jeżeli próbujesz sprawić mi przykrość...

– Próbuję cię wywalić z domu. Gdybym chciała, żeby ci było naprawdę przykro, użyłabym tego. – Brodą wskazuję pistolet. – No już.

Przez sekundę wydaje mi się, że będę musiała użyć broni. Nie jest przyzwyczajony do ustępowania komukolwiek. Zabawne, ja też nie.

Dostrzegam moment, w którym zdaje sobie sprawę, że naprawdę to zrobię. Szeroko otwiera oczy i cofa się o krok w kierunku drzwi, ale ma jeszcze coś do powiedzenia:

– Rozumiem, że to dla ciebie szok. Uwierz mi, nie chciałem, żeby to tak wyglądało... Zostawię ci wizytówkę. Kiedy zmienisz zdanie...

Jego ręka wędruje do kieszeni.

– Nie – powstrzymuję go i celuję w tę rękę, dopóki nie znieruchomieje. – Już skończyliśmy. Jeżeli jeszcze raz cię zobaczę, zastrzelę cię. A potem będę

tłumaczyć, że przestraszyłam się stalkera, mój kumpel Steve to potwierdzi i sprzedam twojemu znajomemu dziennikarzowi historię naszego tragicznego nieporozumienia za grubą forszę.

Powoli odsuwa dłoń od kieszeni i opuszcza ją.

– Inaczej sobie ciebie wyobrażałem – mówi.

– Co ty powiesz! Spadaj.

Przez chwilę stoi pośrodku salonu i niewidzącym wzrokiem gapi się na kanapę, jakby nie potrafił załapać, co się teraz stanie albo jak ma się do tego zabrać. Nie jest już podobny do mnie kropka w kropkę. Wygląda jak gość w średnim wieku, który przez ostatnie dni spędził za dużo czasu w zimnie i za dużo sobie wyobrażał.

W końcu rusza do wyjścia. Przy otwartych drzwiach odwraca się i kiedy myślę, że zamierza coś powiedzieć, tylko kiwa głową i rusza w ciemność.

Podchodzę do drzwi i odprowadzam go wzrokiem na koniec ulicy. Jego kapelusz leży pod latarnią, kołysząc się lekko w powiewach wiatru; facet pochyla się po niego takim ruchem, jakby bolały go plecy, otrzepuje go z kurzu i idzie dalej, poza krąg światła i za róg. Nie ogląda się już więcej za siebie.

Czekam pięć minut, potem następne pięć, by mieć pewność, że odszedł. Drżą mi ręce – od chłodu – i pilnuję, żeby lufa broni była skierowana do tyłu, w głąb domu. Kiedy nie mam wątpliwości, że nie będzie już próbował wrócić, chowam pistolet i dzwonię do Steve'a.

Odbiera błyskawicznie.

– Wszystko gra?

– W porządku. Gdzie jesteś?

– W pubie zaraz za rogiem... jak on się nazywa, Gospoda Coś Tam. Pomyślałem, że na wszelki wypadek... to znaczy, wiem, że potrafisz sobie poradzić, ale... Czy on tam jeszcze jest? Czy...

Chce wiedzieć, czy mam zwłoki w salonie na podłodze.

– Wyszedł. Możesz przyjść?

– Jasne – odpowiada, trochę za szybko; bałwan przypuszcza, że chcę mu się wyplakać w rękaw. – Będę za pięć minut.

Przybiega po trzech z szalikiem rozwianym na wietrze.

– Jezu, wyluzuj – radzę, otwierając mu drzwi. – Dom się nie pali.

– Nic ci nie jest?

– Przecież mówiłam. Wszystko w porządku. Nie skończyłeś piwa?

– No, nie skończyłem. Pomyślałem...

Rude włosy sterczą mu jak pomarańczowy alarm.

– Nie ma co histeryzować – mówię. – Chcesz drinka w ramach rekompensaty?

– Pewnie. Dzięki.

Idę do kuchni i otwieram barek.

– Może być whiskey?

– Może. – Staje w drzwiach i uważnie rozgląda się po kuchni, żeby nie patrzeć na mnie. – Widziałem go – zwraca się do okna. – To znaczy, jego twarz.

– Aha, ja też.

Steve czeka, aż powiem coś jeszcze.

– Chcesz lód? – pytam.

– Tak, poproszę. – Przygląda się, jak stawiam szklanki i nalewam; moje ręce znowu są pewne i nie drżą. – Czy... to znaczy, zamierzasz się z nim jeszcze spotkać?

Podaję mu szklaneczkę.

– Nie sądzę. Powiedziałam mu, że jeżeli znowu się zobaczymy, to go zastrzelę.

Głośne parsknięcie, które wyrywa się z ust zaskoczonego Steve'a, uświadamia mi, jak to brzmi, i nagle sama też wybucham śmiechem.

– Rany boskie – wykrztusza przez falę śmiechu Steve. – Chyba nie poszło mu tak, jak sobie zaplanował.

To jeszcze bardziej mnie obezwładnia.

– Biedny skurwiel. Prawie mu współczułam, wiesz?

– Serio?

– Nie. Mam nadzieję, że się zesrał. – Oboje skręcamy się ze śmiechu i opieramy o ściany. Ocieram oczy i jednym haustem wychylam whiskey, po czym zaraz nalewam sobie drugą. – Twoje zdrowie. – Wyciągając rękę w stronę szklaneczki Steve'a. – Zasłużyłeś. Pewnie myślałeś, że potrzebuję twojej pomocy, żeby pozbyć się zwłok, nie?

Krztusi się, przełykając alkohol, i zgina się wpół, co znowu wzbudza we mnie wesołość. Rozlewa połowę whiskey, która jest za dobra, żeby ją marnować, ale nic mnie to nie obchodzi. Dawno tak dobrze się nie czułam.

– Co ty wyprawiasz? – Zabieram mu szklaneczkę. – Musisz się nauczyć, jak trzymać drinka. Masz. – Nalewam mu drugą kolejkę i idę usiąść na kanapie.

– Rzeczywiście wszystko z tobą w porządku. – Steve poważnieje i w końcu obrzuca mnie baczny spojrzeniem. – Prawda?

– Przecież mówiłam. – Rozsiadam się wygodnie i pociągam łyk, tym razem delektując się whiskey jak trzeba. Czuję, jak wszystko przestawia mi się w zakamarkach głowy: zmienia się kąt padania światła, rzeczy odzyskują równowagę. Może jutro, gdy zadzwonię do matki, opowiem jej, jak spędziłam wieczór. To powinno ją w końcu sprowokować do reakcji.

– W takim razie...? – odzywa się Steve. Co oznacza: „W takim razie, co ja tutaj robię?”.

Prostuję się i też przestaję chichotać.

– Coś do mnie dotarło. W związku z naszą sprawą.

Tamten moment, gdy wzrok splątał mi figła i w całej niewiarygodnej i straszliwej okazałości zobaczyłam to, czego szukała Aislinn. W tym momencie zauważyłam coś, co powinniśmy ze Steve'em dostrzec co najmniej dobieć temu: to, co ujrzała Aislinn, kiedy rozmowa z Garym roztrzaskała w drobny mak jej marzenia o tatusiu. Kiedy w rumowisku dobiegł ją kojący, ratunkowy głos Gary'ego. Zrozumiała jasno, gdzie powinna jeszcze poszukać.

Steve zajmuje drugi koniec kanapy. Nie pije, tylko obraca szklaneczkę w palcach i przygląda mi się.

– Pamiętasz, co Gary mówił przez telefon? – pytam. – Kiedy powiedział Aislinn, że jej ojciec nie żyje, kompletnie się rozsypała. Dlatego dalej do niej mówił, żeby ją uspokoić: opowiadał, jak ojciec ją kochał, jakim był wspaniałym człowiekiem. Wydaje ci się, że przez taką gadaninę mogła przestać tęsknić za tatusiem? Pomyśleć: E tam, lepiej dam sobie z tym spokój?

– Nie. Ktoś taki jak ona musiałby dojść do wniosku, że nie może odpuścić, że na pewno jest jeszcze coś, co warto znaleźć. Tak zresztą mówiłem.

– Pamiętasz, co jeszcze Gary jej powiedział? Wspomniał o chłopakach prowadzących sprawę jej ojca. Że byli dobrymi detektywami, że pracowali bardzo sumiennie. I że gdyby dało się coś znaleźć, na pewno by to znaleźli.

Steve kręci głową, marszcząc brwi: „Co z tego?”.

– Gdybym była Aislinn... – mówię, czując, jak serce mi wali. – Gdybym była kimś takim jak ona, nie wbijałabym sobie do głowy żadnej bezsensownej historii o gangsterach, jeżeli nie miałabym dobrego powodu. Poszukałabym kogoś, od kogo na pewno mogłabym dostać prawdziwe informacje. Poszłabym do jednego z tych detektywów.

Cisza. W kominku miota się lekki wiatr.

– Jak byś ich znalazła? – pyta Steve.

– Gary na pewno podał jej nazwiska. „Znam Feeneya i McCanna, to świetni detektywi, głowę daję, że zrobili wszystko, co w ich mocy...”.

– McCanna – powtarza za mną Steve, jakby miał kłopoty z oddychaniem.

Znowu cisza i wiatr.

– Aislinn dzwoni do wydziału zaginionych – ciągnę – i pyta o Feeneya albo McCanna. Dowiaduje się, że Feeney odszedł na emeryturę, a McCann został przeniesiony do zabójstw. Nie może dotrzeć do Feeneya, ale to bułka z masłem dowiedzieć się, gdzie jest wydział zabójstw, i zaczekać przed budynkiem na koniec zmiany. Nie musiałaby nawet nikogo prosić, żeby jej wskazał gościa; tyle czasu spędziła na rozmyślaniu o tym, że na pewno by go poznała. Nawet piętnaście lat później.

– I co potem? Powiedzmy, że go namierzyła; co potem?

Kręcę głową.

– Nie wiem.

Steve przesuwając dłoń po włosach, odruchowo próbując je przygładzić.

– Przypuszczasz, że to on był tym tajemniczym chłopakiem?

– Myślałam o tym, ale nie mam pojęcia, z jakiego powodu chciałyby z nim być. Wracamy do tego samego pytania: po co taka dziewczyna wybrałaby sobie gliniarza w średnim wieku, który zaczyna hodować piwny brzuch? Flirtować, żeby wyciągnąć od niego coś na temat ojca... Czemu nie? Ale żeby przez pół roku miała być jego kochanką? Po co?

– Starła się być bliżej ojca i oprócz McCanna nie miała nikogo, kto łączyłby ją z...

– Jezu. – Krzywię się. – Zdrowo popieprzone. Ale jakoś tego nie kupuję. Gary też był dla niej łącznikiem z ojcem, a nie próbowała z nim takiego numeru. Powiedziałaby nam.

– A może była z tych, co lecą na mundur. – Steve nadal co chwilę przygładza włosy. – Przychodzi pogadać z tobą i Garym, rozgląda się, podoba się jej atmosfera...

Są takie. Najczęściej kobiety, ale natknęłam się też na paru facetów. Mógłbyś mieć gębę jak warchlak, i tak guzik by je to obchodziło; ledwie zwracają uwagę na twój wygląd. Kręci je tylko adrenalina z drugiej ręki, władza z drugiej ręki, opowieści, które nie kończą się zdaniem „A potem żył długo i szczęśliwie, pracując w call center”. Mów, kogo dzisiaj aresztowałeś, nie zdejmuj munduru w sypialni, tylko wyciągnij kajdanki. Łatwo je zauważyć, ale są gliniarze, którzy to uwielbiają; czują się dzięki temu jak gwiazdorzycy rocka. I mają okazję zagrać w wyższej lidze.

Dla McCanna byłby to jednak awans do jeszcze wyższej klasy niż dla większości innych.

– Gdyby zależało jej tylko na tym – mówię – mogłaby iść do Copper Face Jack's i wybrać któregoś z przystojniejszych i młodszych chłopaków. Czemu akurat on?

– Bo nie chciała pierwszego z brzegu mundurowego, który całymi dniami czepiałby się ludzi za to, że nie zapłacili w terminie podatku drogowego. Mówiliśmy już: miała takie życie, że chciała mocnych wrażeń. Chciała detektywa z zabójstw.

Rozumiem. Wydział zabójstw poluje na grubego zwierza; całymi dniami tropimy najbardziej niebezpieczne drapieżniki. Dla tych ludzi jesteśmy najcenniejszą zdobyczą.

Jeżeli Aislinn zależało właśnie na tym, to Steve ma rację: nie miała wielkiego wyboru. Wydział zabójstw jest mały: dwadzieścia parę osób. Połowa jest w wieku McCanna albo starsza. Żaden nie ma urody supermodela.

Mimo to nie chce mi się wierzyć, że wybrała jego. Sądząc po Rorym i jej

byłych, nie gustowała w szorstkich i małomównych typach. Rzuciłaby okiem na McCanna i szukała dalej, a w końcu zdecydowałaby się na kogoś gładszego w obejściu, kogoś, z kim można sympatycznie pogadać, kogoś takiego...

Kogoś takiego jak Breslin.

Breslin ze swoją uroczą żonką i trojgiem uroczych dzieciaczków. Breslin, który miałby dużo do stracenia, gdyby maniaczka gliniarzy okazała się maniaczką zemsty. Breslin, który ciągle naciska na nas, żeby postawić zarzut Rory'emu i zamknąć sprawę.

– Jezu... – bąkam.

– Jedyne problem to chronologia – mówi Steve. – Jeśli masz rację i Gary podał Aislinn nazwisko McCanna, to było dwa i pół roku temu. Według Lucy, zaczęła się spotykać z tajemniczym chłopakiem pół roku temu. Skąd taka przerwa?

– Może było tak: Aislinn przychodzi do McCanna po informacje, on ją splawia. Ona nie daje za wygraną, wraca co parę miesięcy i dalej truje dupę. Kiedy pewnego dnia pojawia się w wydziale, McCann nie ma ochoty z nią rozmawiać i żeby się jej pozbyć, wysyła do niej swojego partnera. A jego widok przypada Aislinn do gustu.

Twarz Steve'a tężeje. Zmienia się, spada z niej maska szczeniackiego zawadiactwa i pierwszy raz mogę się przyjrzeć temu, co kryje się pod spodem. Staje się dorosły, czujny, wygląda jak ktoś, z kim lepiej nie zadzierać.

– Pamiętasz sąsiada, który zadzwonił z informacją o facecie, który przechodził przez mur za patiem Aislinn? Średniej budowy ciała, w ciemnym płaszczu, prawdopodobnie w średnim wieku i prawdopodobnie z jasnymi włosami...

– Mnich Breslin – rzuca Steve – ma regularny romans. Myślisz?

– Wszyscy mówią, że Aislinn miała w sobie coś wyjątkowego, umiała wciągać ludzi w swoje fantazje. Ta dziewczyna miała talent i praktykę. A Breslin przecenia siebie i nie docenia innych. Właśnie tacy zwykle się potykają. Jeżeli postanowiła, że go chce...

– Dobra, ale pakować się w coś tak ryzykownego? Breslin jest bardzo ostrożny.

– Był ostrożny. Zero telefonów, SMS-ów, maili, nic. Pamiętasz, jak ktoś sprawdzał Aislinn w systemie? We wrześniu zeszłego roku, czyli krótko po tym, jak poderwała swojego tajemniczego chłopaka. Sprawdzał, czy nikt nie składał na nią skarg za stalking, nękanie, szantaż, czy nic nie wskazuje na to, że ma do czynienia z psychopatką.

Rysy twarzy Steve'a znów twardnieją.

– Pamiętasz, jak kazałaś Breslinowi pojechać na posterunek w Stoneybatter z nagraniami głosów braci i kumpli Rory'ego? Żeby sprawdził, czy mundurowy będzie umiał zidentyfikować człowieka, który zadzwonił ze zgłoszeniem?

– Tak. Nadęty sukinsyn wcisnął to Gaffneyowi... – Urywam.
– Uznałem, że nie chce odwalać czarnej roboty, bo czuje się za ważny.
– Ja też.
– Chciał, żebyśmy tak pomyśleli. Chodziło o coś zupełnie innego. Nie mógł ryzykować, że mundurowy usłyszy jego głos.

Głos ze zwiastunów filmowych. *W świecie, w którym...* Nawet najbardziej tępy gliniarz musiałby go zapamiętać. Chyba że ktoś wcześniej zbombardowałby go taką masą próbek, żeby doszczętnie zaćmić mu pamięć.

To Breslin zadzwonił i zawiadomił o zabójstwie. Mój umysł zacina się na tym fakcie jak igła na płycie gramofonowej i odtwarza w kółko to samo. Nie bawimy się w żadną grę wyobraźni. To się naprawdę stało. Dzwonił Breslin.

– Nic dziwnego, że nie zgłosił tego pod dziewięć dziewięć dziewięć. Nie mógł dopuścić do tego, żebyśmy mieli pod ręką nagranie rozmowy.

– I nic dziwnego, że tajemniczy chłopak jest niewidzialny. Breslin nie próbowałby zostawiać liścików miłosnych ani wysyłać wiadomości na Facebooku. Jeżeli w tym folderze w jej laptopie nie ma czegoś konkretnego, to nie mamy nic.

– Mamy Lucy. Mogłaby potwierdzić ten związek. Ale czy to robi, to już zupełnie inna rzecz.

– Lucy. – Steve raptownie odchyła głowę. – Jezu Chryste! Zastanawialiśmy się, dlaczego jest taka małomówna. Próbowwała się zorientować, czy jesteśmy kumplami Breslina, czy nie.

Smak whiskey staje się nagle ostry, niebezpieczny.

– Bo przypuszcza, że to on zabił Aislinn.

Cisza, tym razem krótsza. Uszy wypełnia mi miarowy łomot mojego serca.

– To wcale nie znaczy, że ma rację – zauważa Steve.

– Bała się nas – mówię. – „Nic nie wiem o tajemniczym chłopaku Ash, nic mi nie mówiła, nie byłyśmy ze sobą aż tak blisko...”. Była przerażona, że przyszliśmy posprzątać do końca, i gdybyśmy doszli do wniosku, że coś wie...

– Mimo to napomknęła o chłopaku. Jeślibyśmy mieli uczciwe zamiary, chciała, żebyśmy się dobrze rozejrzeli, zamiast fiksować się na Rorym.

– Aha – przytakuję. – Brawo, Lucy. Dzielna dziewczyna.

Steve pociąga łyk, jak gdyby naprawdę tego potrzebował.

– Dzielna, ale czy na tyle, żeby z otwartą przyłbicą powiedzieć wszystko, co wie? Minęły już dwa dni, nie kontaktowała się w sprawie swojego zeznania... Nie chce mieć z nami do czynienia.

– Jest nam potrzebna. Bez niej gównie mamy, żeby połączyć Aislinn z Breslinem albo McCannem. Nie możemy pokazywać jej zdjęcia w biurze i pytać, czy ktoś pamięta, że widział ją z którymś z nich.

– A barman w Ganly's? Widział Aislinn z jej chłopakiem.

– Nie ich. Widział Aislinn z jakimś facetem w średnim wieku, na którego nie

zwracał szczególnej uwagi. Nie będzie go umiał zidentyfikować.

– Jest jeszcze Rory – przypomina Steve. – Coś ukrywa: przez te pół godziny, kiedy za wcześnie przyjechał do Aislinn, coś się tam stało. Może coś widział albo ona coś powiedziała...

– Cholera! – Prostuję się gwałtownie. – Byłeś za lustrem, kiedy Breslin spytał go, czy ma dowód na to, że ktoś śledził Aislinn?

– Jezu. – Steve z sykiem wciąga powietrze do płuc. – Tak, słyszałem. Rory zaczął mówić, że w sobotę wieczorem widział jakiegoś gościa, a Breslin od razu go skasował.

– Breslin i ja – przypominam mu. – Siedziałam obok i pomagałam mu jak ostatnia idiotka. Ale posłuchaj: facet, którego widział Rory, to nie mógł być Breslin. Gdyby tak było, poznałby go w niedzielę, a przynajmniej dzisiaj, kiedy o tym wspomniał. Poza tym, jeśliby rozpoznał Breslina, zauważylibyśmy, niemożliwe, żebyśmy to przegapili. To nie Breslin był w sobotę wieczorem w Stoneybatter.

– Hm. – Steve znowu znieruchomiał, tylko jego umysł gorączkowo pracuje, obracając i przestawiając sprawę jak kostkę Rubika. – Może tak: Breslin był chłopakiem Aislinn. W ciągu ostatnich dwóch tygodni zaczął podejrzewać, że go zdradza. Na przykład zajrzał do telefonu... dało się go odblokować tylko pociągnięciem palca, pamiętasz? I znalazł wiadomości od i do Rory'ego. Potem, w zeszłym tygodniu, znalazł SMS-a od Rory'ego o kolacji.

– Breslin byłby niezadowolony, gdyby został rogaczem – mówię. – Z takim ego... musiałby być bardzo niezadowolony.

– Ale miałyby na tyle zdrowego rozsądku, żeby nie odwalać samemu brudnej roboty. – Steve unosi wzrok i patrzy mi w oczy. – Wiesz, kogo by sprowadził.

– McCanna. – Na myśl o powierzeniu swojego losu partnerowi w mojej głowie dzieje się coś dziwnego. Patrząc na Steve'a i widzę, że wygląda inaczej niż kiedykolwiek przedtem: piegi mają bardziej żywą barwę, usta wyraźniejszy zarys, prawie czuję ciepło bijące z jego ciała. Wygląda realniej.

– Tak, McCanna.

– Breslin na wszelki wypadek załatwia sobie żelazne alibi – kontynuuję. – O co chcesz się założyć, że w sobotę zaprosili z żoną znajomych na wieczór albo poszli do zatłoczonej restauracji? A McCann jedzie do Stoneybatter załatwić sprawę z niewierną suką.

– Niemożliwe, żeby to się potoczyło zgodnie z planem. – W głosie Steve'a brzmi znak zapytania. Wątpi, czy rzeczywiście chcieli śmierci Aislinn.

– Niemożliwe – zgadzam się. – Tylko za to, że zdradziła Breslina? Mógł się wściec, ale niezależnie od tego, jak ci dwaj są ze sobą blisko, nie ma mowy, żeby McCann wpakował się w coś takiego tylko dlatego, że jego partner nie umiał trzymać krótko swojej panienki.

– Czyli McCann zamierzał tylko z nią pogadać. Dać jej do zrozumienia, dlaczego niedobrze jest zdradzać gliniarza. Może chciał też pogadać z Rorym, ostrzec go. Tylko pogadać.

Steve bardzo chce w to uwierzyć. Dziwne, ale ja w dużym stopniu też.

– Może – mówię. – Prawdopodobnie. Ale coś idzie nie tak. Aislinn zaczyna krzyczeć i McCann panikuje, coś w tym rodzaju.

– I ją uderza. Albo popycha, a potem uderza. – Steve mocno zaciska palce na szklance. Cholernie trudno to wypowiedzieć, mamy wręcz fizyczny problem. To wbrew zasadom. Nie chce się nam precyzyjnie przez gardło.

– Zdaje sobie sprawę, co się stało – ciągnę. – Wyciera dom do czysta, ulatnia się i daje znać Breslinowi. Kiedy Breslin dochodzi do siebie po ataku szału i zaczyna myśleć, zawiadamia posterunek w Stoneybatter. Czeka z tym na odpowiedni moment, żeby znaleźli Aislinn, kiedy zacznie się jego zmiana i będzie mógł mieć oko na śledztwo. Wtedy właśnie wchodzimy my.

Przez długą chwilę wydaje się, jakby nie było nic więcej do powiedzenia. Jakby już nigdy miało nie być nic do powiedzenia. Że nie pozostało nam nic innego, tylko siedzieć na kanapie i popijać whiskey, podczas gdy gdzieś daleko krzyczy jakiś człowiek, a w kominku trzepocze ten słaby, ale irytujący wiatr.

W domu robi się zimno, muszę się więc w końcu ruszyć, żeby włączyć ogrzewanie.

– Ty zajmiesz się Rorym – mówię po powrocie do salonu. – W niedzielę super ci z nim szło. Ja pogadam z Lucy.

Steve z namysłem skrobie paznokciem szklaną.

– Najpierw Rory – odzywa się po chwili. – Jutro z samego rana.

– Wtedy będzie można wykorzystać wszystko, co nam powie, żeby złamać Lucy.

– Breslin... – Steve spogląda na mnie. – Co z nim zrobimy?

Nawet nie mogę myśleć o tym, co naprawdę chcę zrobić z Breslinem.

– Umówiłeś się z nim, żeby sprawdzić, jaką opinię ma Rory w swojej dzielnicy, pamiętasz? Kiedy to zrobisz, ktoś będzie musiał znaleźć resztę ludzi, którzy chodzili z Aislinn na kursy wieczorowe. Nie zaszkodzi dać to zadanie Breslinowi.

– Jeżeli Lucy albo Rory rozpoznają jego albo McCanna...

– To się zrobi ciekawie – przyznaję.

– Niech to szlag! – Dociera do nas: to rzeczywistość, przed którą nie uciekniemy. – Niech to jasny szlag trafi.

Wybucham śmiechem. Widok jego miny jest bezcenny: wygląda jak dobry obywatel, który po powrocie do domu znajduje we własnym łóżku martwą dziwkę i kilo koki.

– Jezu, Antoinette. Co cię tak śmieszy? To jest zdrowo popieprzona historia.

Mówimy o gościu z naszego wydziału. Który kogoś zabił, może nawet z premedytacją. – Śmieję się jeszcze głośniej. – Nie. Czy ty w ogóle... Jeżeli to prawda, co, do cholery, mamy z tym...

– Szkoda, że się nie widzisz. Rany, co za mina! Tylko żebyś mi tu nie dostał zawału. Wiesz, jakie mogą być plotki...

– Antoinette! Co zrobimy?

Oczywiście tak jak on, nie mam pojęcia. Powiedziałabym mu, że wykombinujemy coś na poczekaniu, tyle że to mało prawdopodobne.

– Głowa do góry – rzucam. – Może się okazać, że to lipa. Może jutro wystarczy lekko przycisnąć Rory'ego, a rozplacze się i przyzna do wszystkiego. Weź chusteczki.

Steve bierze głęboki oddech i przesuwa dłonią po twarzy.

– Możliwe, że lipa. Nie? Możliwe. Breslin bzykał Aislinn, poszedł do niej w sobotę późnym wieczorem z nadzieją na numerka, znalazł ją martwą i spanikował. Każdy by spanikował. Reszta to tylko zbieg okoliczności i bzdury.

– Możliwe. – Ale tak nie było.

– Możliwe. Bajeczka i tyle. Nie ma żadnych mocnych dowodów... gdybanie i nic więcej. – Uśmiecha się do mnie szeroko, ale to dość złożony uśmiech. Steve wie, przynajmniej częściowo, co się działo w mojej głowie przez ostatnie kilka godzin. Mimo to jest tu, a nie gdzie indziej.

– Tak, tak, tak – mówię. Brzmi to naturalnie, ale on ma rację, i to budzi we mnie nieokreślony niepokój. – Dalej stawiasz na groźny gang narkotykowy, prawda?

– Jezu. – Uśmiech na twarzy Steve'a gaśnie. – Naprawdę żałuję, że ten wątek padł. Przynajmniej mielibyśmy prostsze życie.

– Nie. Gdybyśmy mieli proste życie, dalej bym marudziła, a ty marudziłbyś dlatego, że ja marudzę. Tak jest lepiej.

Wydaje bezradny dźwięk, który brzmi jak coś pomiędzy śmiechem a jękiem.

– Boże, a te numery z rolką pięćdziesiątek...

– Aha – przytakuję. – Te numery. – Te wszystkie finezyjne aluzje Breslina, że bierze w łapę, miały podsunąć mnie i Steve'owi cudowny fałszywy trop. Pierwszego dnia, kiedy zapytałam cały wydział, kto sprawdzał Aislinn w systemie, McCann musiał chyba narobić w gacie. Przy pierwszej okazji złapał Breslina i razem wymyślili jakieś wytłumaczenie, po co sprawdzano Aislinn, wytłumaczenie na wszystko, co mogłoby ją z nimi łączyć, żebyśmy mieli czym się zająć i nie doszli do niczego, dopóki Breslin nie złamie Rory'ego. Musiał się niezłe bawić, ponuro mamrocząc do telefonu i mydląc nam oczy ewidentnie zmyślonymi historyjkami o tym, jak to po drodze wstąpił gdzieś zaliczyć numerka, żebyśmy szukali ukrytej pod spodem nie tak ewidentnie zmyślonej historii, i patrzył, jak łączywie się na to rzucamy.

Teraz już wiem, dlaczego Breslin dzisiaj rano rzucił w diabły tę komedię. Nie chodziło o to, że się zorientował, że już mnie urobił. Kiedy wrócił z przesłuchań byłych dziewczyn Rory'ego, mrówka, którą sobie kupił – jeżeli to nie Reilly, dowiem się, kto to jest – powiedziała mu, że pokłóciłam się ze Steve'em i mój partner wyszedł. Breslin, który wiedział, że od początku byłam bardziej przekonana do winy Rory'ego, przyjął założenie, że właśnie ta sprawa była jedną z głównych przyczyn awantury, wiedział też, że korci mnie, żeby mieć w niej ostatnie słowo. Aby mi w tym pomóc, pokazał mi nagranie z monitoringu, z którego wynikało, że Rory śledził Aislinn. Dał sobie spokój z udawaniem skorumpowanego gliny i skoncentrował się na tym, aby szybko aresztować Rory'ego i nie dopuścić do zgody między mną a Steve'em, dopóki sprawa nie trafi do prokuratury.

Ja z kolei skupiałam się na gotowości do walki z każdym, kto próbował mnie pogrążyć, podporządkować sobie czy zrobić ze mnie swoją marionetkę, i w ogóle nie przyszło mi na myśl, że być może wcale nie chodzi tu o mnie. Z wywieszonym językiem pognałam za marchewką – Steve na swój sposób też – i gdyby ten zarozumiały skurwiel nie kręcił się pod moim domem albo gdybym nie zmusiła się, żeby zadzwonić do Steve'a, albo gdyby Steve był trochę innym facetem, na pewno nie siedzielibyśmy teraz na kanapie.

– Dzięki, że przyjechałeś – mówię.

– Nie ma za co. W telewizji nie było nic ciekawego.

Chciałabym go przeprosić, ale byłoby za dużo wstydu i zawracania głowy z wyjaśnieniem, za co go przepraszam, a za co nie. On być może myśli tak samo, nie wiem. Biorę butelkę whiskey i dolewam nam obojgu. Siedzimy, pijemy, a to, co prawdopodobnie powinniśmy sobie powiedzieć głośno, dzieje się w ciszy.

– Kurwa mać! – Coś sobie nagle uświadamiam. – Jestem pół-Angielką.

– I z klasy średniej – dorzuca Steve. – Kiedy następnym razem będziesz wracać do domu, spuszczą ci solidny łomot.

– Cii. Nikt nie musi wiedzieć.

– Wyczują to od ciebie.

– Mówię serio. – Patrzę na niego. – Nikt nie musi wiedzieć.

Steve spogląda mi prosto w oczy.

– I nikt się nie dowie.

– To dobrze.

– Chyba że ktoś inny wygada. Wiesz, jak twój stary cię znalazł?

– Dostał mój adres od Crowleya – odpowiadam. Smak tych słów sprawia, że szybko kończę whiskey. – Muszę się zająć tym smętnym gnojem, zanim coś chlapnie.

– Crowley to żaden kłopot. Jutro to załatwimy.

Liczba mnoga brzmi dobrze.

– Zapowiada się długi dzień.
– No. – Steve robi głęboki wdech, wychyla resztkę drinka i otrząsa się po palącym smaku. – Pójdę już. Odpocznij trochę.
– Za dużo wypiliśmy. Weź taksówkę, po wóz wpadniesz jutro.
– Przejdę się trochę, taksówkę zatrzymam po drodze. Przewietrzę głowę. – Wstaje i wkłada płaszcz. – Pojedziesz ze mną do Rory’ego?
– Pojadę. Dalej myśli, że jestem w porządku. Bądź wcześniej. Na przykład o siódmej? Musisz zdążyć do biura, umówiłeś się z Breslinem.

Kiwa głową. Nazwisko Breslina nie wywołuje już nawet wspomnienia tamtej przerażonej miny; przekroczyliśmy granicę i jesteśmy gdzieś po drugiej stronie.

– Siódma pasuje.

Nie pyta. Mimo że zadzwoniłam do niego z prośbą o pomoc, bo pod moim domem wystawał jakiś paskudny facet, nie pyta, czy może mnie zostawić samą, czy wolałabym, żeby ze mną został. Gdybym była kimś zupełnie innym, mogłabym go za to uściskać.

– Jak wrócisz do domu, wyślij mi SMS-a – mówię tylko. – Daj znać, czy wszystko okay.

Steve przewraca oczami.

– Nikt się nie czai, żeby się na mnie rzucić.

– Wiem, bałwanie. Ale to ja wyciągnęłam cię z domu. Czuję się odpowiedzialna. Kiedy będziesz chciał, żeby ktoś się na ciebie rzucał w twoim wolnym czasie, proszę bardzo.

– Wielkie dzięki. – Uśmiecha się do mnie, owijając szyję szalikiem. – Wyślę.

Po jego wyjściu biorę do łóżka laptop i zabijam nazistów. Nie muszę się nawet powstrzymywać od myślenia o całym cholerstwie na coraz dłuższej liście czekającego mnie cholerstwa, o którym nie chcę myśleć. Umysł zakończył na dziś pracę, nastąpiło zwarcie i w mojej głowie brzmi tylko ciągły sygnał.

Pół godziny później odzywa się telefon. *Wróciłem bezpiecznie. Do jutra.*

Odpisuję: *Dobra, do jutra. Dobranoc.* Zasypiam niemal w tym samym momencie, gdy odkładam telefon, a nawet wcześniej.

Budzę się następnego dnia, jak gdybym budziła się rano po przeprowadzce, przeniesieniu do nowego wydziału, rzuceniu chłopaka: wiesz, że na świecie zaszła jakaś zmiana, zanim sobie jeszcze przypomnisz jaka. Powietrze smakuje inaczej, ostro, dziwnie, żywicznie, z wyczuwalną w tle nutą przenikliwego chłodu. Zanim sobie przypomnisz, wiesz, że dzisiaj trzeba uważać na każdy krok.

Biegnę jak automat przez ciemność i zawieszoną w powietrzu mgiełkę drobnego deszczu. Tego dnia rano moje ciało funkcjonuje jak niezależny ode mnie byt – napędza się samo i nie potrzebuje żadnych bodźców z zewnątrz. Zmuszam je do wysiłku, biegnę szybciej i dalej niż zwykle i nawet nie jestem zadyszana. Mój umysł wyprzedza mnie tylko o krok: mam jechać do Rory’ego. Dalej ziele pustka.

Steve pojawia się wcześniej, za piętnaście siódma, ale jestem gotowa: najedzona, nasycona kofeiną, umyta i ubrana. Wątpię, by ktokolwiek obserwował mój dom, ale kiedy Steve puka, na wszelki wypadek dosłownie wciągam go do środka.

– Jak się czujesz? – pytam.

Kiwa głową. Jest bledszy niż zwykle, ale wyraz twarzy i zaciśnięte szczęki świadczą o gotowości do ataku.

– A ty?

– Dobrze. Chcesz kawy, coś zjeść?

– Nie, dzięki, nic. Jak zamierzasz to zrobić?

– Deasy miał zorganizować obserwację mieszkania Rory’ego – mówię. – Wydaje mi się, że sam się tym zajął; musiałby mieć szczęście, żeby dostać zgodę na przydział mundurowych, poza tym będzie chciał pochwały, jeżeli zdarzy się coś ciekawego. Nie chcę, żeby Deasy wiedział, że razem pracujemy nad Rorym. Może jest pieskiem Breslina.

Steve kiwa głową.

– Wejdziemy oddzielnie.

– Aha. I pamiętaj, że nie układa się między nami za dobrze.

– Przygotowałem tablicę pogładową – mówi. Wyjmuje z torby cienki plik kartek. Ośmiu gładko ogolonych facetów z ciemnymi, siwiejącymi włosami, wszyscy w ujęciach en face albo prawie, na neutralnym tle na stop-klatkach z nagrania wideo. Musiał chyba poświęcić pół nocy na znalezienie odpowiedniego ujęcia McCanna, a potem przeczesywał internet w poszukiwaniu podobnych twarzy, żeby nikt nie mógł zarzucić, że tablica została spreparowana. McCann jest trzeci od góry po lewej, ma na sobie chyba garnitur, w którym chodzi do sądu, i spogląda ponuro ponad moim ramieniem na zachmurzone niebo. – Na wszelki wypadek wydrukowałem sporo kopii.

– Dobrze. – Na widok jednego z naszych zajmującego miejsce przeznaczone

dla jakiegoś bydlaka czuję, że dymią mi druciki w głowie; tablica wygląda jak zrobiona dla kawału kartka urodzinowa. – Masz taką z Breslinem? Może mi być potrzebna z Lucy.

– Mam. – Pokazuje jeszcze jedną kartkę, pełną przystojnych blondynów w średnim wieku. Drwiący uśmiezek Breslina jest w górnym prawym rogu.

Jeżeli zacznę myśleć, jakie to wszystko jest popieprzone, to już po mnie. Trzeba iść naprzód, nie patrzeć w dół.

Widzę, że Steve myśli o tym samym.

– Fajne – rzucam. – Do roboty. – I otwieram drzwi, żeby go wypuścić.

* * *

Na ciemnym odcinku ulicy między latarniami naprzeciwko Wayward Bookshop stoi zaparkowane czarne mitsubishi pajero z przyciemnianymi szybami. Dopiero świta i wewnątrz widzę tylko szeroką sylwetkę za kierownicą, ale kiedy pukam w okno – pochylona, kryjąc się za samochodem – widzę, że to Deasy, który podrywa się i opuszcza trochę szybę.

– Hej – witam go. – Coś nowego?

– Niewiele. – Wygląda na wykończonego, dlatego wierzę, że prawie w ogóle nie spał. Wnętrze auta czuć rybą z frytkami i oparami oddechów, pod siedzeniem leży pewnie butelka na mocz. – Przez tamte szare drzwi obok księgarni wchodzi się do jego mieszkania, okna nad księgarnią to jego salon. Koło dziewiątej wieczorem wyszedł do Spara na rogu i wrócił z małą butelką mleka i kanapką. Gnojek wyglądał na przerażonego, rozglądał się, jakby się spodziewał, że ktoś go napadnie. Kiedy mnie mijał, miałem ochotę zatrzeć tylko po to, żeby popatrzeć, jak mdleje.

Oboje wybuchamy śmiechem.

– Cudownie – mówię. – Właśnie tak się ma czuć. Działo się coś jeszcze?

– Jak wszedł, zasłonił okna, ale światło paliło się przez całą noc. Dwadzieścia po piątej zszedł do księgarni. Odtąd już się nie pokazał. Zabiera go pani?

– Nie, później. Chcę mu tylko trochę poprzekadzać, żeby nie stracił czujności. Nie ma powodu, żeby się wylegiwał, jeżeli ja nie śpię.

Na wspomnienie o tym Deasy ziewa.

– Skoro o tym mowa – dodaję – ściągnij kogoś, żeby cię zastąpił, a potem idź się przekimnąć.

Jest wyraźnie zaskoczony. Uświadamiam sobie, że przy tej sprawie jestem chyba dla mrówek trochę wredna, przynajmniej czasami. Gdy Breslin szukał sobie wtyczki, ułatwiłam mu zadanie.

– Dzięki – mówię. – Że się tym zająłeś.

Zanim Deasy zdążył poszukać w głowie odpowiedzi, zbliża się Steve z rękami w kieszeniach płaszcza i z miną, której nikt nie mógłby nazwać zyczliwą.

- Cześć – mówi. – Co jest?
- Nic nie jest – odpowiadam. – Co tu robisz?
- Chciałem zajrzeć. Zobaczyć, czy Rory robił coś ciekawego.
- Nie robił.

Steve spogląda pytająco na Deasy'ego, a ten chłonie to wszystko z lubością.

- Co u niego słyhać?

Deasy otwiera usta, łowi mój wzrok i szybko je zamyka.

- Hm, niewiele.
- Tak jak ci powiedziałam – mówię. – Spotkamy się w centrali.

Steve nie rusza się z miejsca.

- Zamierzasz z nim pogadać?
- Może.
- Chyba do ciebie dołączę.

Obracam oczy w stronę ciemnego nieba, ale udaje mi się zachować spokój, bo przecież Deasy i tak dalej.

- Nie wolisz poszperać w jakichś krzakach, co?
- Dobrze – odpowiada Steve. – Wchodzimy?

Po chwili wydaję zirytowane westchnienie.

– Jak chcesz. – Zwracam się do Deasy'ego: – Do jutra. – I ruszam na drugą stronę ulicy, nie czekając na Steve'a.

Dogania mnie przed księgarnią. Witryna jest ciemna, dociera do niej tylko słabe światło z głębi. Wystawa jest udekorowana z perfekcją, w której czuć desperację: bestsellery kusząco przeplatają się książeczkami dla dzieci w jaskrawych okładkach, z których w mrok spoglądają obłąkane oczy rysunkowych postaci i enigmatycznych bohaterek. Odsuwam się od Steve'a i naciskam dzwonek.

Rory nie podciął sobie żył. Szybko otwiera drzwi i na nasz widok wyraźnie skacze mu tętno. Ma na sobie to samo ubranie co wczoraj, dzinsy i beznadziejny beżowy sweter, na twarzy pojawił mu się rzadki zarost. Kiedy został uznany za podejrzanego, jego życie uległo zawieszeniu; biedny sukinsyn jest sparaliżowany.

– Nie jestem gotowy – sapie. – Nie spodziewałem się... – Bezradnym gestem wskazuje na rozdeptane szare kapcie. – Nie jadłem śniadania ani nawet...

– Nic nie szkodzi – przerywa mu łagodnie Steve. – Nie musi pan z nami jechać. Zostało nam tylko parę pytań. Możemy wejść? To potrwa najwyżej kilka minut.

Panika Rory'ego krystalizuje się i przybiera postać strachu.

– Chyba nie powinienem rozmawiać z wami bez adwokata. Odkąd jestem...

– Nie będziemy pana pytać o Aislinn – uspokaja go Steve, unosząc ręce. – Nic podobnego. Po prostu wczoraj nie miałem okazji z panem porozmawiać, a w trakcie przesłuchania powiedział pan coś, co mnie zaciekawiło.

Rory trzepocze powiekami, usiłując skupić uwagę, której większość pochłaniają zmęczenie i strach; myślenie zwolniło obroty do minimum.

Steve pochyła się i zniża głos, jakby ktoś mógł podsłuchiwać:

– I wydaje mi się, że najlepiej będzie pogadać o tym bez detektywa Breslina.

Ta propozycja wzbudza zainteresowanie Rory'ego; wszystko, co nie w smak Breslinowi, na pewno jest dobre dla niego. No i ma przed sobą Steve'a, rozczochranego, autentycznego, który wygląda na nieszkodliwego kumpla.

– Chyba... – mówi wreszcie, cofając się i otwierając drzwi na oścież. – Dobrze. Wejdźcie.

Księgarnia składa się z dwóch połączonych ze sobą pomieszczeń, nie za dużych. Pierwsze jest zastawione regałami – Rory nie może przyjmować żadnych otyłych klientów. Napisane odręcznie tabliczki głoszą w ciemności THRILLERY i ROMANSE; zawieszane na suficie plakaty ze starymi okładkami i ilustracjami kołyszają się w podmuchu zimnego powietrza, które wpadło tu razem z nami. Światło sączy się z pomieszczenia w głębi; przez otwarte drzwi widać, że jest jeszcze bardziej zapchane niż pierwsze, książki leżą na półkach jedna na drugiej, zamiast stać w równych szeregach, i piętrzą się na podłodze z wywiniętymi okładkami.

– Tam jest część antykwaryczna. – Rory wskazuje pokój w głębi. – Właśnie ją organizowałem. Nie mogłem spać i nie mogłem już dłużej gapić się na salon, więc pomyślałem, że równie dobrze mógłbym zrobić coś pożytecznego.

– Urocza księgarnia – mówi Steve, rozglądając się. – To tutaj poznaliście się z Aislinn, prawda?

– Tak. Dokładnie tam, w dziale dziecięcym. Powiedziała mi, że uwielbia księgarnie. Zwłaszcza takie małe, mówiła, bo są magiczne. Zawsze ma się wrażenie, że można w nich znaleźć książkę, której szukało się całe życie, wciśniętą gdzieś z tyłu półki... – Rory pociera palcami wewnętrzne kąciaki oczu. – Gdyby sobotni wieczór się udał, zamierzałem ją następnym razem zaprosić tutaj.

I mogłaby mu pomóc ułożyć alfabetycznie dział feng shui. Jezu, co za romans!

– Chciałem, żebyśmy urządzili sobie piknik – ciągnie Rory. – Na podłodze: zamierzam przesunąć regały, zrobić miejsce. Przejrzyć starocie, zobaczyć, czy nie znajdziemy tej książki, której szuka przez całe... – Znowu pociera oczy, tym razem mocniej. – Przepraszam, głupstwa wygaduję. W ogóle nie spałem.

– Nic nie szkodzi – zapewnia go Steve.

Wyjmuję notes i cofam się o parę kroków, między regał pełen sepiowych chłopców w hełmach a regał pełen roześmianych kobiet z eleganckimi fryzurami, które patrzą z uwielbieniem na dzieci. Wydaje się, że w półmroku drżą i falują, gdy patrzę na nich kątem oka.

– Można zapalić tu światło? – pyta mój partner.

– Hm, tak. – Rory znajduje wyłącznik przy drzwiach i pstryka. W świetle wygląda jeszcze gorzej, zgarbiony, z zaczerwienionymi oczami, jak gdyby przez lata siedział tu zabarykadowany, ukrywając się przed apokalipsą zombie.

– Dzięki – rzuca Steve. – Dobrze się pan czuje?

Rory wykonuje nieokreślony ruch ręką, który może oznaczać wszystko.

– Nie zajmujemy panu dużo czasu. Chciałem tylko zapytać o tę hipotezę. O byłym chłopaku Aislinn, który ją śledził i zdenerwował się, kiedy zobaczył, jak przygotowuje się do waszej kolacji. – Rory wzdyga się na wspomnienie tego, jak z Breslinem robiliście sobie jaja z jego hipotezy. – Wczoraj zaczął pan mówić, że ma na to jakiś dowód.

Rory odruchowo zerka w moją stronę, sprawdzając, czy znowu będę z niego szydzić, ale zamieniam się w słuch i tkwię między regałami jak trusia.

– Wspomniał pan o jakimś facecie – kontynuuje Steve. – Facecie, którego widział pan na ulicy w sobotę wieczorem.

– Tak. Naprawdę tam był. Nie wymyśliłem tego. Widziałem go.

Steve, oparty o regał, kiwa głową.

– Jasne. Kiedy?

– Jak wychodziłem z Viking Gardens. Kiedy dałem sobie spokój z pukaniem do Aislinn. Skręciłem w Astrid Road w kierunku głównej ulicy i minąłem wlot uliczki, która biegnie równoległe do Viking Gardens. Tej, na której...

Znowu mimo woli zerka na mnie.

– Z której obserwował pan Aislinn – uzupełnia rzeczowym tonem Steve. – Co dalej?

– I wychodził z niej jakiś mężczyzna. Przestraszyliśmy się nawzajem... obaj aż podskoczyliśmy.

Steve dalej kiwa głową.

– Jak wyglądał?

– W średnim wieku. Trochę wyższy ode mnie, ale od pana pewnie niższy. Miał kręcone włosy, ciemne, trochę siwiejące. Chyba przeciętnej budowy ciała.

McCann wychodzący od Aislinn.

Wyszedł przypuszczalnie drzwiami z tyłu domu. Kiedy przyjechaliśmy, były zamknięte; Breslin musiał mu dać swój klucz.

– Pamięta pan, jak był ubrany? – pyta dalej Steve. Lekkim tonem, jak gdyby chodziło o mało ważny szczegół.

Rory kręci głową.

– Nie bardzo. Ciemny płaszcz. I chyba jasny szalik. Ale przede wszystkim zwróciłem uwagę na to, że sprawiał wrażenie... jakby coś wziął. Może kokainę, a może... Za mało znam się na narkotykach i nie wiem, który jak działa, ale przestraszył się dużo bardziej niż ja, a jego oczy wyglądały... – Wybałusza oczy, spoglądając przed siebie szklistym wzrokiem. – A jeżeli nie był na jakichś

prochach, to musiał być... niezrównoważony. Tak czy inaczej, wtedy nie miałem najmniejszej ochoty mieć do czynienia z kimś takim. Przyspieszyłem kroku i poszedłem w przeciwną stronę, byle dalej od niego.

– W jakiej odległości od siebie byliście?

– Mniej więcej jak stąd do tamtych drzwi. – Rory wskazuje wejście do sąsiedniego pomieszczenia księgarni. Mniej więcej półtora metra. Na tyle blisko, że mógłby go zidentyfikować; na tyle daleko i ciemno, jeśli nie liczyć światła latarni, że obrońca mógłby bez trudu obalić to jako dowód.

– Powiedział coś? Zrobił coś?

– Nie zdążyłby. Patrzyłem na niego najwyżej dwie sekundy, zanim się odwróciłem. Kiedy dotarłem na róg Astrid Road, obejrzałem się za siebie, żeby sprawdzić, czy za mną nie idzie, ale szedł w przeciwną stronę. Dość szybko, ze spuszczoną głową, jestem jednak prawie pewien, że to był ten sam człowiek.

– I to wszystko działo się około wpół do dziewiątej? – pyta Steve.

– Trochę po. Ostatni raz wysłałem SMS-a do Aislinn o wpół do dziewiątej i dałem jej pięć minut na odpowiedź. Nie odezwała się, więc poszedłem. Czyli gdy zobaczyłem tego człowieka, musiało już być między za dwadzieścia pięć a za dwadzieścia dziewiąta.

To znaczy, że McCann mógł spędzić w domu od trzydziestu pięciu do pięćdziesięciu pięciu minut. Rory wyszedł z tylnej uliczki i skręcił do Tesco około siódmej czterdzieści. Być może McCann zobaczył, jak wykorzystuje tę wolną chwilę, obserwował go i czekał, aż zniknie. Ale mógł się też pojawić dopiero po zniknięciu Rory'ego. W każdym razie o ósmej, gdy Rory zapukał do drzwi, a Aislinn nie otworzyła, McCann był w środku.

Nie traciłby czasu ani głowy po tym, jak się zorientował, co zrobił; na pewno nie McCann. Detektywi to specjaliści od wyłączenia emocji i zostawiania ich na później, gdy będą sobie mogli na nie pozwolić. Kiedy już wiedział, że Aislinn nie żyje albo właśnie dogorywa, zapewne zdjął buty, żeby nie zostawiać śladów, złapał rolkę ręczników kuchennych i zaczął wycierać każde miejsce, w którym Breslin mógł pozostawić odciski palców. Wyłączył kuchenkę, żeby broń Boże nie uruchomił się alarm przeciwpożarowy, dopóki nie skończy pracy i oddali się na bezpieczną odległość. Słuchał dzwonka i pukania do drzwi, sygnałów telefonu Aislinn, kiedy Rory usiłował się z nią skontaktować, i trzymał się z dala od okien. Na koniec wyczyścił resztę śladów, które mógł zostawić przy wejściu, wcisnął ręczniki do kieszeni, żeby wyrzucić je w drodze do domu, i wymknął się tylnymi drzwiami. Trzydzieści pięć do pięćdziesięciu minut: mnóstwo czasu.

– Dlaczego nie powiedział nam pan o tym w niedzielę? – dziwi się Steve.

– Bo... – Rory pociera usta. – No dobrze. Chodzi o to, że już go wcześniej widziałem. Dwa razy. W Stoneybatter. Pierwszy raz to był wieczór jakieś trzy tygodnie temu. Zamierzałem skręcić w tamtą uliczkę, a on stał na jej początku

i zapalał papierosa, musiałem więc zrobić koło i spróbować jeszcze raz. Wtedy stałem po drugiej stronie ulicy, dlatego mógł mnie nie zauważyć; ja go widziałem tylko dlatego, że stał mi na drodze. Ale drugi raz... chyba dziesięć dni temu... minąłem go na Astrid Road, kiedy wracałem do domu, i popatrzyliśmy sobie w oczy. Gdyby miał pamięć do twarzy, całkiem prawdopodobne, że mógłby mnie sobie przypomnieć. Zdawałem sobie sprawę, że jeżeli wam powiem, że widziałem go w sobotę, spróbujecie go odnaleźć, a wtedy powiedziałyby wam, że spotkał mnie tam wcześniej, i wiedzielibyście, że chodziłem... Nie zamierzałem wam o nim w ogóle mówić. Modliłem się, żebyście nie znaleźli tego faceta.

„Co jest?” – między mną a Steve'em unosi się nieme pytanie. Po co McCann całymi tygodniami kręcił się wokół domu Aislinn?

Rory odczytuje chwilę ciszy jako niedowierzenie.

– Bałem się! Miałem powiedzieć: „Przy okazji dodam, że przez połowę wieczorów spacerowałem po Stoneybatter i zaglądałem przez okno do domu kobiety, a w tym czasie przypadkiem zauważyłem faceta, który, być może, robił to samo co ja, więc wydaje mi się, że powinniście go poszukać...”? Musiałbym upaść na głowę, żeby wyskoczyć z czymś takim. Sami wiecie, co się stało, kiedy się dowiedzieliście.

– Rozumiem – mówi Steve. – Naprawdę. A kiedy mimo wszystko pan z tym wyskoczył i próbował wspomnieć o człowieku, który...

– Nikt nie chciał tego słuchać – kończę za niego. – No tak, jestem ci winna przeprosiny. – Rory wlepia we mnie zaskoczony wzrok i niemrawo kiwa głową. – Na szczęście dla wszystkich wychwylił to detektyw Moran.

– Rozpoznałby go pan? – pyta Steve.

– Tak. Prawie na pewno. Odkąd dowiedziałem się o Aislinn, myślę o nim bez przerwy. – Rory pochyla się niecierpliwie w naszą stronę; znowu jest naszym przyjacielem. – Im więcej o tym myślę, tym bardziej wydaje mi się, że on... to znaczy, jego twarz w sobotę... coś mi nie pasowało.

Steve wyjmuje z torby swoją tablicę pogładową.

– Proszę się przyjrzeć – mówi – i powiedzieć mi, czy jest tu mężczyzna, którego pan widział. Jeżeli nie ma, też proszę powiedzieć. Albo jeżeli nie jest pan pewien. Dobrze?

Rory kiwa głową, przygotowując się do skupienia, a kiedy Steve podaje mu kartkę ze zdjęciami, potrzebuje dwóch sekund.

– Ten. To on.

Jego palec leży na twarzy McCanna.

– Niech się pan nie spieszy – radzi Steve. – Proszę się przyjrzeć wszystkim twarzom.

Rory przebiega wzrokiem pozostałe zdjęcia, bo jest grzecznym chłopcem, ale jego palec nie rusza się z miejsca.

– To on.

– Na pewno?

– Tak. Nie mam wątpliwości. Wygląda tu trochę młodziej, ale to on.

No i mamy: niepodważalny trop. Żadne gdybanie, tylko nareszcie konkret. Który pada z łomotem między mną a Steve'em, gęsty i czarny jak smoła, za ciężki, by go ruszyć. I nie możemy przed nim uciec.

Rory czuje, że mu wierzymy.

– Myślicie, że on... Kto to jest?

– Ktoś – odpowiada Steve. – Na razie nie możemy ujawniać szczegółów. Może pan tutaj u dołu napisać, gdzie pan widział tego mężczyznę? A obok zdjęcia, na którym pan go poznaje, wstawić datę, podpis i swoje inicjały?

Rory przykłada kartę do regału i starannie pisze.

– Proszę. – Oddaje tablicę Steve'owi. – To wystarczy?

Steve czyta.

– Świetnie. Będzie pan musiał nas odwiedzić i złożyć oficjalne zeznanie, ale jeszcze nie teraz. Może się pan na razie uspokoić.

– To znaczy... Muszę jeszcze do was później przyjść?

– Tego nie wiem. Zobaczmy, co przyniesie dzień. Na razie proszę się trochę rozluźnić; przespać się, zjeść śniadanie. Wiem, że łatwo powiedzieć.

– Czy jestem jeszcze... – Rory'ego zawodzi gardło; nie umie wydobyć z siebie tego słowa. – Rozmawialiście z sąsiadami Aislinn? Czy któryś z nich widział mnie, jak... przed jej domem?

– Jeszcze nie. Odezwiemy się do pana. Na razie niech pan się spróbuje odprężyć.

– Czy... no, wie pan. Czy dalej uważacie, że ja to zrobiłem?

– Muszę spytać o jedno – mówi Steve. – Czy ukrył pan przed nami coś jeszcze? Cokolwiek?

Rory zdecydowanie kręci głową.

– Nie. Nic więcej. Przysięgam: powiedziałem już wszystko.

– No dobrze – kwituje Steve. – Gdyby przypomniał pan sobie coś, o czym powinniśmy wiedzieć, proszę od razu do mnie zadzwonić. Tymczasem mogę tylko powiedzieć, że wierzymy, że widział pan tego człowieka – potakująco kiwam głową – i mamy zamiar dokładnie to zbadać.

– Dzięki – mówi Rory i wzdycha z zakłopotaniem. – Dziękuję.

Chowam notes; Steve poprawia książki, które przesunęły się na półkach, kiedy się o nie oparł.

– Hm... – Rory zwija w palcach brzeg tego swojego okropnego swetra. – Mogę coś powiedzieć?

– Pewnie – mówi Steve.

– Kiedy przyglądałem się Aislinn... Wiem, że to brzmi... Ale pamiętacie,

gdy mówiłem, że nie miała nic przeciwko temu, żeby wchodzić w fantazje innych? I nie uwierzyliście? – Zwraca się do mnie.

– Tak, pamiętam, jak o tym wspominałeś – potwierdzam.

– Kiedy się jej przyglądałem... próbowałem zrobić coś innego. Próbowałem zrozumieć, jak to jest tam mieszkać, być nią. Wczuć się w nią. Zamiast robić na odwrót jak wszyscy inni.

Zupełnie zaplątał się w beżowy sweter.

– Czy... czy to brzmi logicznie?

Dla mnie brzmi to jak połączana gówno prawda wymyślona na własne usprawiedliwienie, ale musimy go mieć po swojej stronie, więc kiwam głową.

– Tak – mówi łagodnie Steve. – Będziemy o tym pamiętać.

Zostawiamy między regałami Rory'ego, który patrzy na nas oszołomionym wzrokiem nad szeregami sylwetek dzielnych bohaterów, złowrogich drzew i kobiet paradujących w letnich sukienkach, i wydaje się, że gdybyśmy wrócili tu za parę godzin, zamknęliby się nad jego głową i pogrzebali go pod sobą.

* * *

– Co ten McCann wyrabiał? – mówię za drzwiami. – Po co się snuł po Stoneybatter parę tygodni wcześniej?

– Może robił rekonesans – podsuwa Steve. – Żeby się zorientować w okolicy i kiedy przyjdzie pora, żeby mógł wejść, zrobić swoje i wyjść, nie gubiąc się po drodze i nikomu nie rzucając się w oczy.

– Tyle że akurat rzucił się komuś w oczy. Parę razy. Przecież do tego, żeby zrobić rekonesans i nie ubrudzić sobie rąk, jest Google Earth.

– Dobra, ale można sprawdzić, co robił na Google Earth. Identyfikację możesz podważyć; trudniej jest podważyć dane z internetu.

Czarne mitsubishi Deasy'ego zniknęło; dwie latarnie dalej stoi biały nissan qashqai, którego wcześniej tam nie było. Szybko to załatwili. Zastanawiam się, czy za kierownicą siedzi Breslin, ale nie zamierzam sprawdzać, zwłaszcza gdy za witryną księgarni tkwi oszołomiony Rory.

– Słuchaj. – Odwracam się do Steve'a i celuję palcem w jego twarz. – Spotkamy się za dwadzieścia minut w tym parku, gdzie w niedzielę jedliśmy śniadanie. Sprawdź, czy nie masz ogona. – Dźgam go w ramię. – Jasne?

– Jak chcesz. – Steve przewraca oczami. – Jezu.

Gdy zostawiam go i idę do swojego samochodu, widzę, jak w rozdrażnieniu wyrzuca ręce w górę. Nie wiadomo, czy da się na to nabrać Breslin albo jego oczy i uszy siedzące w nissanie. Wsiadam i odjeżdżam z piskiem opon, jakbym była naprawdę wkurzona.

* * *

Pojawiam się w parku pierwsza i jestem prawie pewna, że nikt nie siedział mi na ogonie. Jest tu wilgotno i znów prawie pusto, jeżeli nie liczyć odzianego w lycrę rowerzysty, wcinającego jakiś smętny posiłek z plastikowego pojemnika, i dwóch niań, które rozmawiają po portugalsku i sądząc z tonu, zrzędzą i biadolą, podczas gdy gromadka maluchów rozkopuje klomb. Wybieram ławkę stojącą najdalej od wszystkich i czekając na Steve'a, przeglądam notatki z przesłuchania Rory'ego.

Rysopis pasujący do McCanna. Chronologia, z której wynika, że mógł spędzić u Aislinn nawet godzinę. Wszystko zanotowane moim charakterem pisma w przepisowym notesie, takim samym jak te, w których spisywałam informacje o bydlakach tańczących na głowie innego bydlaka, o gwałciicielu, który udusił ofiarę własnym paskiem, i o wszystkich pozostałych. *Świadek rozpoznał det. Josepha McCanna.*

Otwieram na pustej stronie i dzwonię do Sophie. Minęło dopiero wpół do dziewiątej, ale odbiera po drugim dzwonku.

– Hej. Miałam do ciebie zadzwonić, jak tylko przyjadę do pracy.

– Cześć – mówię. – Czy to znaczy, że coś dla mnie masz?

– To znaczy, że masz u mnie przesrane. – Sophie ma pełne usta i równocześnie jest w ruchu: je śniadanie na stojąco i zbiera swoje rzeczy. Jest spóźniona. – O czwartej rano mój telefon zaczął świrować: SMS-y, maile, znowu SMS-y, a wszystko od mojego informatyka. Zignorowałam je, bo jestem jednak normalna, więc zaczął do mnie dzwonić! W swoim fachu jest świetny, ale jeżeli chodzi o ludzkie odruchy, to wykazuje się cholernie niskimi kompetencjami. W końcu musiałam wyłączyć telefon. No i oczywiście nie zadzwonił mi pieprzony budzik, więc wstałam jakieś dziesięć sekund temu. – Trzask zamykanej szafki.

– Cholera – mówię. – Przykro mi. Dasz mi numer tego komputerowca, to będę do niego dzwonić co pół godziny przez jakiś tydzień czy dwa, co?

Sophie parska śmiechem.

– Niezła myśl. Ale posłuchaj: dostał się do podwójnie chronionego, supertajnego folderu ze zdjęciami w komputerze twojej ofiary. Właśnie tym się zajmował aż do tej głupiej godziny. Miałaś rację: hasło brzmiało „teskniezatatusiem” z zamienionymi dla zabawy kilkoma znakami.

Czuję nagły niesmak, który mnie zaskakuje. To moje pierwsze uczucie tego dnia.

– Fantastycznie – mówię. – Uwielbiam takie przewidywalne rzeczy. Co jest w środku?

Sophie coś siorbie.

– Prześlę ci wszystko, jak tylko wsiądę do samochodu. W zasadzie to kilkadziesiąt zdjęć samoprzylepnych karteczek z numerami i literami plus jedno zdjęcie kartki z czymś, co wygląda jak bajka dla dzieci. Nie wiem, na co liczyłaś,

ale lepiej, żeby to było warte spieprzenia mi poranka.

– Dowiem się, kiedy zobaczę – odpowiadam. – Ale to musi być coś warte, jeżeli chciało jej się to schować. Stokrotne dzięki, Sophie. Prześlij mi te rzeczy. Jeżeli będziesz miała czas, wrzuc jeszcze daty i godziny zrobienia tych zdjęć. Obiecuję, że ci powiem, jeśli się okaże, że to klucz do całej sprawy.

– Mam nadzieję. Muszę kończyć, bo nie mogę znaleźć drugiego buta i zaraz zacznę wszystko tłuc. Na razie. – I Sophie się rozłącza.

Zaglądam do internetowej wersji „Couriera”, na wypadek gdybym musiała zarezerwować trochę czasu i rozwalić głowę Crowleyowi, nie ma jednak nic na temat mojego życia osobistego. Najwyraźniej nawet tak arogancki skurwiel jak ten z wczoraj wie, kiedy należy się cofnąć. Pojawił się następny rzyg w sprawie Aislinn – Crowleyowi udało się namierzyć jej dawną koleżankę z klasy, która ogólnikowo roni łzy, wspominając, jaką cudowną dziewczyną była Aislinn; pocziwa Lucy pewnie kazała mu się wypchać. Z boku jest jeszcze artykułik o niewyjaśnionych zabójstwach z ostatnich dwóch lat; przez sekundę myślę: Stary będzie zachwycony. Zaraz sobie jednak przypominam, że jeszcze dzisiaj ten tekst będzie najmniejszym z problemów O’Kelly’ego. Nie umiem sobie nawet wyobrazić, co wtedy pomyśli o mnie. Złość mnie bierze, że w ogóle przyszło mi to do głowy. Zdanie O’Kelly’ego nie będzie odgrywało żadnej ważnej roli w mojej przyszłości, ale gdzieś w głębi mózgu, blisko podstawy czaszki, jeszcze to do mnie nie dotarło.

Dla zabawy zastanawiam się, co wtedy pomyśli ten cholerny bubek z wczoraj, jeżeli – jeżeli – zobaczy moje nazwisko w roli głównej na wszystkich pierwszych stronach. Z początku próbuję delikatnie, jak gdybym przygryzała coś nadłamanym zębem, którego starasz się nie dotykać przez długi czas. Już po chwili przekonuję się, że nie czuję nic. Przygryzam mocniej, zastanawiając się, czy będzie dumny z tego, że złapałam zabójcę, czy robi na nim wrażenie wysiłek, jaki w to włożyłam, czy będzie rozczarowany tym, jaki skutek to przyniesie dla mojej kariery, zniesmaczony tym, że wsypałam jednego ze swoich: okazuje się, że nic mnie to nie obchodzi. Patrzę na siebie z zewnątrz i próbuję wzbudzić w sobie żal do niego o to, że za długo z tym zwlekał i nie dał mi szans na reakcję: nie czuję nic. Jest mi tylko głupio, że marnuję na te bzdury cenny obszar mózgu. Kiedy wieczorem zadzwonię do matki, odgrzeję jakąś starą historię o gumowym chomiku w wydziale zaginionych, rozśmieszę ją i nie wspomnę ani słowem o tym, co się zdarzyło wczoraj wieczorem.

W bramie parku ukazuje się Steve, rozmawia przez telefon i rozgląda się, szukając mnie – nianie taksują go wzrokiem i wracają do rozmowy, widząc, jak do niego macham. Siada na ławce obok mnie i chowa telefon.

– Co jest? – pytam.

– Zostawiłem wiadomość mojemu człowiekowi z sieci komórkowej, temu,

co szuka wszystkich danych o telefonie, z którego zgłoszono napaść w Stoneybatter. Mam nadzieję, że coś pomoże nam udowodnić, że to był telefon Breslina. To by było zbyt piękne, ale... – Kącik ust lekko mu opada. – A ty masz coś nowego?

– Informatyk Sophie otworzył chroniony hasłem folder Aislinn. Podobno są tam przede wszystkim liczby na karteczkach samoprzylepnych. Sophie zaraz nam przyśle te fotki.

Twarz Steve'a wykrzywia się w przelotnym grymasie.

– Niech to jasny szlag! Cholera, to powinno być coś ważnego.

– Może jest ważne. Kto tu teraz wychodzi na pesymistę?

– Bo to, że Rory go rozpoznał... będzie niewiele warte. Każdy obrońca powie, że Rory mijął McCanna na korytarzu, wchodząc albo wychodząc z komendy, więc znał jego twarz i po prostu się pogubił.

– Aha – przytakuję. – Albo wcale się nie pogubił, tylko tak bardzo chciał wymyślić kozła ofiarnego, że wyobraził sobie kogoś widzianego niedawno, żeby opis brzmiał realistycznie.

– Tak. – Steve nie poruszył się, odkąd usiadł, nawet żeby poprawić tyłek na wilgotnej ławce. Mocno się koncentruje. – Trzeba sprawdzić, czy gliniarz, który przyjął zgłoszenie, rozpozna głos.

– Kiedy będziesz rozmawiał z Breslinem, spróbuj nagrać telefonem próbkę jego głosu. Krótki fragment rozmowy. Potem wyślij ją do mnie, jeżeli nie będziesz mógł go zostawić, a ja zabiorę ją do Stoneybatter.

Steve kiwa głową. W mojej kieszeni rozlega się sygnał.

– Przyszło. – Wyjmuję telefon. – Trzymaj kciuki.

– Trzymam. Możesz być pewna.

Treść maila brzmi *Proszę*, a pod spodem jest lista dat i godzin. W załączniku dwadzieścia dziewięć zdjęć. Przewijam je: żółta karteczka, pośrodku 8*śr* obwiedzione kółkiem. Karteczka, a w kółku 1030. Karteczka, w kółku 7, w tle kawałek fioletu, który wygląda jak zasłony w salonie Aislinn. Karteczka, w kółku 7*cz*, w rogu fragment kciuka.

– Godziny i dni tygodnia – mówię.

– Na to wygląda.

– Pamiętasz, zastanawialiśmy się, w jaki sposób ten tajemniczy chłopak mógł się umawiać z Aislinn.

Steve stuka paznokciem w krawędź mojego telefonu.

– Stara technika. Najbezpieczniejsza.

– Nie znaleźliśmy ani jednej takiej karteczki w jej domu. – Przewijam dalej: 11, 6*pn*, 745. – Gdy Breslin wie, kiedy będzie miał wolną chwilę, wrzuca karteczkę do jej skrzynki na listy, daje jej znać, o której godzinie ma na niego czekać w swojej najlepszej bieliźnie. Kiedy pojawia się na miejscu, zabiera karteczkę

i niszczy. Mówiliśmy, że jest ostrożny.

Steve wyciąga rękę i powiększa na ekranie 745.

– Twoim zdaniem, to charakter pisma Breslina?

– Trudno powiedzieć. W każdym razie nic nie wskazuje, że nie. Widziałam, jak zapisuje godziny w ten sposób, bez kropki.

– Wielu gliniarzy tak robi.

– Tak, ale niewielu cywilów. To może skrócić listę.

– Mimo to... – Steve kręci głową. – Grafolog nie zidentyfikuje pisma na podstawie takiej próbki.

– Nie ma mowy – przyznaję. Wracam do przeglądania zdjęć: 9pt, 630śr, 7. – Breslin musiał o tym wiedzieć. Znowu to samo: zero ryzyka.

– Niemożliwe, żeby od początku planował zabicie jej.

– Nie, ale nie planował też, że zostawi dla niej żonę. Breslin lubi swoje życie. Swoje dzieci. Lubi swój dom i samochód, swoje wakacje w ciepłych krajach. Pewnie nawet lubi żonę, na swój sposób. Aislinn też lubił, ale nie na tyle, żeby ryzykować utratę całej reszty. Jeżeli pokazała mu twarz zazdrosnej maniaczki, nie chciał zostawiać jej żadnego dowodu, który mogłaby pokazać jego żonie.

– I nieźle się spisał. – Steve nie wygląda na zadowolonego.

7, 745cz, 8, a potem zwykła biała kartka. Równe, staranne pismo – nie Breslina; bardzo podobnie do podpisów i notatek w papierach Aislinn. Zaokrąglone brzuszki i zakrętaszy liter, każda linijka taka idealnie prosta, że chyba podłożyła pod spód arkusz w linie, żeby tekst wyglądał idealnie. Powiększam obraz i czytamy; od czasu do czasu zerkam na Steve'a, by skinął głową, gdy jestem gotowa przewinąć niżej.

Były sobie dwie dziewczynki, które mieszkały w chatce w głębi ciemnego lasu. Nazywały się Carabossa i Meladina.

Carabossa przez cały dzień i całą noc biegła boso po lesie. Wspiniała się na najwyższe drzewa. Pływała w strumieniach. Uczyla wilczątką jeść jej z ręki. Strzelała z łuku do niedźwiedzi.

Meladina nigdy nie wychodziła z chatki, bo rzucił na nią zaklęcie czarnoksiężnik. Carabossa nie potrafiła odczytać zaklęcia. Nie potrafił tego żaden ksiądz, żadna dobra wróżka ani dobry czarodziej. Meladina myślała, że zostanie tam na zawsze. Patrzyła przez okno chatki i płakała.

Pewnego dnia Meladina znalazła księgę zaklęć ukrytą pod podłogą chatki. Zaczęła się uczyć czarów. Carabossa ostrzegła ją, że czarnoksiężnik jest niebezpieczny i lepiej nie mieć z nim do czynienia, ale Meladina nie miała wyboru. Inaczej umarłaby w tej chatce.

Kiedy Meladina nauczyła się już wystarczająco dużo, użyła magii, zdjęła z siebie czar i rzuciła go na czarnoksiężnika. Został uwięziony w chatce na zawsze, a Meladina wybiegła, żeby wspinać się z Carabossą na drzewa i pływać z nią

w strumieniach. I żyły długo i szczęśliwie.

Jeżeli pomyliłam się w zakończeniu, musisz im o tym powiedzieć. Serdecznie całuję i ściskam.

– Co to jest, do cholery? – pyta Steve.

– Miało być dla Lucy.

– No, tyle rozumiem. Ale co to znaczy? Aislinn zakochała się w Breslinie... dobra, to jest to zakłęcie... i została uwięziona. A co potem? Nakłoniła go, żeby też się w niej zakochał?

– Wszystko mi jedno. Niech Lucy wyjaśni nam tę milusią bajeczkę. Bo to właśnie oznacza jej zakończenie: jeżeli coś się spieprzy, Lucy musi o wszystkim opowiedzieć nam albo komuś innemu. A to znaczy, że Aislinn się bała. Już od... – Stukam w ekran telefonu, wracając do maila od Sophie – już od dwunastego listopada bała się, że to się może skończyć właśnie tak. Wtedy spisała testament, pamiętasz?

– Za bardzo się bała, żeby go zostawić – zastanawia się głośno Steve. – To jest to zakłęcie?

– Bała się też, że przeszukuje jej laptop, inaczej nie bawiłaby się w hasła, nie chroniłaby czegoś, co mogła ujawnić. Uroczy romans pod każdym względem. – Przy okazji sprawdzam też daty zrobienia zdjęć karteczek. Dziewiąty września, 17.51. Piętnasty września, 18.08. Osiemnasty września, 18.14. Aislinn wracała z pracy, znajdowała liścik, fotografowała go, wrzucała zdjęcie do komputera i usuwała z telefonu. Miała jakiś plan.

– Przeniosła na niego czar w ten sposób, że go jakoś uwięziła. Może zamknęła? – Steve rozmyśla nad tym, marszcząc brwi i trzymając splecione dłonie na głowie. – Cała historia z Rorym miała sprowokować Breslina do tego, żeby spuścił jej lanie i poszedł siedzieć, bo Aislinn nie umiała wymyślić lepszego sposobu, aby się go pozbyć? Tylko nie spodziewała się, że skończy się aż tak źle?

Zastanawiam się nad tym. Pasuje do tego, co wiemy o Aislinn: na tyle naiwna, by sądzić, że taki idiotyczny plan naprawdę może się powieść tylko dlatego, że w jej wyobraźni przebiegał bez zarzutu. Żyła pod dyktando innych tak długo, że gdyby to się miało powtórzyć, wpadłaby w panikę.

– To by wyjaśniało, po co zachowała zdjęcia tych karteczek. Dowód romansu, na wypadek gdyby Breslin próbował utrzymać, że nigdy w życiu jej nie widział.

– Tylko dlaczego same karteczki? Czemu na przykład nie nagrała telefonem ich rozmowy? Albo nie zrobiła mu zdjęć, kiedy nago spał w jej łóżku?

W życiu nie potrafiłabym sobie tego wyobrazić. Na co człowiek jest skazany w tej robocie!

– Bała się, że ją przyłapie – podsuwam. – Albo sprawdzi jej telefon, zanim

zdąży wrzucić zdjęcie do komputera i usunąć.

– Niech to cholera! Nawet jedno zdjęcie na golasa byłoby dla nas mocnym dowodem. A to... – Wzdycha. – Jeżeli Lucy nie chowa jakiegoś asa w rękawie, będziemy mieli szczęście, jeżeli w ogóle uda się postawić zarzut. Nie mówiąc o skazaniu.

Wciska dłonie między kolana i przygląda się, jak dzieci sypią sobie ziemię na włosy. Z napiętych jak łuk pleców odgaduję, że nie jest zadowolony.

– Nie musisz tego robić – mówię.

Musiałam to powiedzieć. Wczoraj wieczorem, kiedy po naszym odkryciu porwał nas huragan adrenaliny, z góry założyłam, że ruszamy na to polowanie razem i będziemy działać ramię w ramię do samego końca. Steve myślał chyba tak samo. Dzisiaj, gdy do chłodnego ranka pod bezbarwnym niebem, czujnego spojrzenia Deasy'ego i resztek deszczu kapiących wśród parkowych żywopłotów Steve dorzuca swoje ponure czarnowidztwo, wydaje mi się, że powinien mieć szansę zmienić zdanie.

Odwraca się twarzą w moją stronę. Ta twarz nie jest bez wyrazu; malują się na niej dwie możliwości. Steve nie udaje, że taka myśl nawet nie przemknęła mu przez głowę.

– Ty też nie – zauważa.

– Ja mam niewiele do stracenia. Ty dużo więcej. Poza tym to moja sprawa. – Jak błyskawica przesywa mnie coś w rodzaju bólu, kiedy uświadamiam sobie, że w głębi duszy nie mogę przestać myśleć jak detektyw: moja sprawa, mój obowiązek. Kiedyś chyba mi to przejdzie. – Możesz zadzwonić, że zachorowałeś. Powiesz, że masz zatrucie pokarmowe. Wróc do domu i odczekaj parę dni, aż opadnie kurz.

– Jeszcze oboje moglibyśmy się wywinąć. Powiemy Breslinowi, że Rory rozpoznał w McCannie człowieka, który był na miejscu zdarzenia, wiemy, że McCann nie jest w to zamieszany, i nie chcemy mu spieprzyć życia, żeby ciągal go po sądach jako ewentualnego sprawcę, więc damy spokój Rory'emu i uznamy sprawę za niewyjaśnioną. Rory'emu powiemy, że identyfikacja do niczego nie doprowadziła. Od starego dostaniemy ochrzan za umorzenie, ale Breslin się za nami wstawi. I już. Jak gdyby to wszystko w ogóle się nie zdarzyło.

Steve przygląda mi się z twarzą tak samo stężoną jak wczoraj. W skąpym świetle widać kurze łapki i zmarszczki wokół ust, których nigdy wcześniej nie zauważyłam. Nie wiem, czy chce, żebym powiedziała „tak”: tak, spuścmy z wodą ten toksyczny syf i dajmy sobie spokój.

Ma rację: moglibyśmy to zrobić. Moglibyśmy nawet mniej więcej uspokoić sumienie. Tak jak powiedział: szanse na wyrok skazujący są bliskie prawdopodobieństwa trafienia szóstki w totka. Gdyby się nawet udało, umarłym sprawiedliwość niczego nie daje; wszystko jedno, co zrobimy, dla Aislinn niczego

to nie zmieni. Tym razem nie ma nawet rodziny domagającej się odpowiedzi. Jeżeli nie przymkniemy McCanna i Breslina, nie zmienią się w parę rozszalałych seryjnych morderców; znowu będą tacy jak zawsze, a Breslin da sobie spokój ze skokami w bok. Nic złego się nie stanie, nigdzie i nikomu.

Tyle że jeśli przyjrzeć się uważniej, jestem dokładnie w tym samym miejscu, w którym byłam, kiedy doszliśmy do wniosku, że Breslin i McCann są skorumpowani. Jeżeli będę trzymała głowę na kłódkę, to oznacza, że dostali mnie w swoje łapy i ulepili ze mnie kogoś innego, żyjącego zupełnie innym życiem, nawet jeśli z zewnątrz wygląda tak samo jak dawne. Breslin i McCann, czy tego chcieli, czy nie, będą jednak dyrygować mną i każdym moim dniem.

Ta sprawa należy do mnie. Mam z nią na pieńku. Muszę jej strzelić prosto między oczy, zedrzeć z niej skórę, wypchać ją i zawiesić na ścianie, żebym miała o czym opowiadać wnukom, gdy zapytają o historie sprzed tysiąca lat, kiedy babcia była detektywem policji.

Nie potrafię się zmusić, by powiedzieć Steve'owi, że odchodzę.

– Nie – mówię. – Skoro to zaczęłam, muszę skończyć.

Jego rysy nagle miękną, co może oznaczać wszystko, ulgę albo rozczarowanie, zaraz jednak wypełza na nie lekki, bardzo miły uśmiech.

– A ja muszę się przyłączyć – mówi. – Nigdy nie miałem zatrucia pokarmowego, tylko dałbym ciała, gdybym próbował udawać.

Z niewiadomego powodu ścisza mi się żołądek, gdy słyszę jego słowa. Nie, nie wzruszyłam się, nic z tych rzeczy, ale czuję, jak pod żebrami coś mi wzbiera. Dziwne, ale kiedy uświadomiłam sobie, że odchodzę, w ogóle nie przyszło mi na myśl, że zostawię Steve'a. W którymś momencie musiałam sobie założyć, że ten gówniarz zawsze przy mnie będzie jak brat. Nie zamierzam się w to bawić. Bo prawda jest taka, że nie będę zawsze miała przy sobie Steve'a. Kiedy odejdę, przez jakiś czas będziemy w kontakcie. Czasem wyskoczymy na piwo, będziemy sobie opowiadać śmieszne historie, rozmowa zacznie się rwać, gdy Steve będzie próbował taktownie przemilczeć temat pracy i nowego partnera, a ja będę próbowała go przekonać, żeby się nie wygłupiał. Coraz rzadziej będziemy chodzić na piwo, potem jedno z nas z kimś się zwiąże i nie będzie już miało tyle czasu; SMS-y będą się zaczynać od *Hej, kopę lat* i nagle zdamy sobie sprawę, że od ostatniego spotkania minął rok. I to już będzie koniec z prawdziwego zdarzenia.

Nie mogę się rozklejać.

– Ty cholerny aniołku – mówię. – Pewnie nigdy w życiu nie byłeś na wagarach, co?

– Byłem. Żeby odwiedzić umierającą babcie.

Skupiam uwagę na dzieciach wyjadających zawartość klombu i rowerzyście, który wypręży się w nieprawdopodobny sposób, żeby zaprezentować nianiom mięśnie pośladkowe, dopóki zupełnie nie wyczyszcze sobie głowy.

– No dobra – rzucam w końcu. – W takim razie pojedę pokazać Lucy bajkę Aislinn. Ty pojedziesz robić swoje z Breslinem. Powiedz mu, że wpadliśmy z wizytą do Rory’ego, i tak się dowie. Powiedz, że trułam mu o jego byłych dziewczynach, że za bardzo „szedł na maksa”, pytałam, czy je też śledził, ale biedak zaprzeczył i kompletnie się rozsypał. Daj mu do zrozumienia, że nie jesteś do końca przekonany do Rory’ego, ja jestem na ciebie ciągle wkurzona za te wątpliwości, a ty jesteś wkurzony na mnie za to, że mam je gdzieś. W ten sposób będzie chciał cię trzymać przy sobie i nie bardzo się zmartwi, że zaginę na godzinę.

Steve kiwa głową, układając to w myślach.

– Wszystko brzmi nieźle. A jeżeli zapyta, dokąd poszłaś...?

– Nie wiesz. Powiedziałam ci, że to nie twój interes.

– Kiedy kończymy komedię i odpalamy bombę? – pyta po chwili.

– Dzisiaj. Musimy. Breslin liczy na to, że jeszcze dzisiaj ściągniemy Rory’ego, aresztujemy go i zaczniemy przygotowywać papiery do prokuratury. Jeżeli tego nie zrobię, będzie się zastanawiał dlaczego, a wtedy staną się czujni.

Kiwa głową.

– Kogo bierzemy? Breslina czy McCanna?

– Wybrałabym McCanna. Chyba że Lucy wyskoczy z jakimś fajerwerkiem, który będzie można wykorzystać na Breslina. Breslin obserwuje nas już od paru dni; potrafi nas rozgryźć o wiele lepiej niż McCann. Poza tym wystarczy mu jedna aluzja, żeby dostał piany i wpadł w święte oburzenie, a ja mam tego dosyć na cały tydzień. Znajdziemy sposób, żeby na chwilę się od nas odczepił, i weźmiemy się za McCanna.

Steve wzdycha głęboko.

– Dobra – mówi. – Dobra. McCann.

– Lepiej się pospiesz, zanim Breslin zacznie się zastanawiać, gdzie się podziałeś.

– Jasne. – Wyjmuje z torby tablice ze zdjęciami i podaje mi po kilka z obu zestawów. – Powodzenia.

– Tobie też.

Z jakiegoś powodu przy pożegnaniu przybijamy sobie piątkę. Zwykle nie robimy takich głupot, bo nie mamy już po szesnaście lat, ale najwyraźniej potrzebujemy czegoś w drodze do tego, co ma się stać.

Tym razem Lucy szybko reaguje na dzwonek domofonu. Kiedy mi otwiera, jest już ubrana – w bluzę z kapturem i czarne bojówki, ale czyste, i martensy. Patrzy na mnie obojętnie i czeka.

– Dzień dobry – mówię. – Możemy chwilę pogadać, czy jest za wcześnie?

– Myślałam, że zobaczymy się wcześniej. – Odwraca się i rusza po schodach na górę.

W jej salonie panuje chłód, bezwzględny i wilgotny chłód po nocy z wyłączonym ogrzewaniem. Czuć zapach grzanek, dymu – tym razem legalnego – i kawy. Zniknął pluszowy lis, stare telefony i zwój kabla; jest za to gramofon, sarta sfatygowanych płyt, wielkie kartonowe pudło z porcelaną w kwiatki i sięgający sufitu rulon płótna, który częściowo się rozwinął, ukazując namalowaną wiejską drogę, która znika w oddali. Pokój tętni od różnych historii, które tłoczą się w kątach i rozpychają wśród czterech ścian.

Lucy tym razem siada pierwsza, zajmując kanapę ustawioną tyłem do okna i zostawiając mi drugą, na którą pada światło – szybko się uczy. Na stoliku przed sobą ma cały niezbędny arsenał: paczkę fajek, zapalniczkę, popielniczkę, kubek kawy. Niczego mi nie proponuje. Siedzi bez ruchu i przygląda mi się, przygotowana na mój ruch.

Siadam na nędznej kanapie.

– Powiem ci, co sobie myślę – zaczynam. – Nie chcę, żebyś mi mówiła, czy mam rację, czy nie, dopóki nie skończę. Chcę, żebyś w ogóle się nie odzywała. Masz słuchać, zgoda?

– Powiedziałam wszystko, co miałam do powiedzenia.

– Po prostu posłuchaj, dobrze?

Wzrusza ramionami.

– Jak pani chce. – Żeby spełnić mój kaprys, demonstracyjnie zakłada nogę na nogę i stawia kubek na kolanach.

Też umiem w to grać. Przekładam poduszki, poprawiam tyłek na koślawym siedzisku, szukając najlepszej pozycji, żeby wyciągnąć przed siebie nogi. Lucy spina się coraz bardziej, chcąc, żebym wreszcie przeszła do sedna.

– No dobrze – mówię, gdy siedzę już wystarczająco wygodnie. – Zaczniemy od twojej przyjaźni z Aislinn. Byłyście ze sobą o wiele bliżej, niż próbowałaś nam wmówić. Z billingów jej telefonu wynika, że rozmawiałyście albo esemesowałyście prawie codziennie. Byłyście przyjaciółkami; najlepszymi przyjaciółkami.

Lucy muska palcem powierzchnię kawy, zdejmuje jakąś drobinę i uważnie ją ogląda. Jej czarna sylwetka na tle meksykańskich koców w niebiesko-rdzawe paski i platynowa grzywka opadająca na bladą twarz sprawiają, że trudno mi ją zobaczyć,

jak gdyby była martwym punktem pośrodku pola widzenia.

– Czyli musi być jakiś powód, dla którego w niedzielę nie chciałaś, żebyśmy się o tym dowiedzieli. A zaczęłaś twierdzić, że nie byliście z Aislinn blisko, kiedy powiedziałaś nam o jej tajemniczym chłopaku. Z tego wynikają trzy rzeczy. A, wiesz o nim więcej, niż jesteś skłonna ujawnić. B, boisz się go; nie chcesz, żeby się dowiedział, że cokolwiek wiesz. I c, przypuszczasz, że mógłby się dowiedzieć tego od nas.

Przy słowie „boisz” mruga. Wyciera palec o krawędź kubka.

– Ja i mój partner z początku zastanawialiśmy się, czy Aislinn nie chodziła z jakimś gangsterem.

Twarz Lucy zastyga w minie, która powiedziała by mi – gdybym jeszcze nie wiedziała – jak bardzo rozminęliśmy się z prawdą.

– Oświeciło nas – ciągnę – dopiero wczoraj wieczorem. Żonaty chłopak Aislinn nie był gangsterem. Był gliniarzem.

Zapada milczenie. Jestem w nim lepsza od Lucy; mam więcej praktyki. W końcu dziewczyna się porusza.

– To wszystko?

– Tak. Teraz twoja kolej.

– Na co? Nie mam nic do powiedzenia.

– Masz. Dobrze rozumiem, dlaczego się boisz – znowu to mrugnięcie – ale gdybyś chciała trzymać język za zębami, tobyś trzymała. Powiedziałaś nam, że Aislinn miała kogoś na boku, bo chciałaś, żebyśmy go znaleźli. Woliałaś nie wchodzić w szczegóły; miałaś nadzieję, że jeżeli pokażesz nam drogę, sami trafimy do celu. I trafiliśmy.

Lucy nieruchomo wpatruje się w kawę.

– W takim razie nie jestem wam potrzebna.

– Gdybyś nie była, nie przyszedłbym do ciebie. Jestem prawie pewna, że wiesz, z kim Aislinn się spotykała. I jestem prawie pewna, że wiesz, kto ją zabił. Ale niczego nie mogę udowodnić.

– Albo mówi to pani, żeby się przekonać, ile wiem.

– Chcesz usłyszeć coś, czego jeszcze nikomu nie mówiłam? – pytam. – W pracy mamy swoje szafki. Dwa miesiące temu w mojej ktoś wyłamał zamek i nasikał do środka. Zaszczął mi strój do biegania i notatki z kilku przesłuchań.

Lucy nie unosi wzroku, ale dostrzegam drgnienie rzęs: słucha.

– Powiem ci, co tu jest najważniejsze. Wydział zabójstw pracuje osobno, oddzielony od innych; w naszym budynku nie ma nikogo innego. A szatnia jest zamykana na zamek szyfrowy. Zrobił to ktoś z mojego wydziału.

Dopiero teraz unosi głowę.

– Dlaczego?

– Bo mnie nie lubią. Chcą mnie wyrzucić. To akurat nie jest istotne. Chodzi

o to, że nie jest tak jak w telewizji, gdzie wszystkich gliniarzy łączy braterstwo krwi, a kiedy ktoś nadeptnie glinie na odcisk, znajdują jego zwłoki w rowie, a my gubimy wszystkie dowody. Nie ma żadnej wydziałowej lojalności. Nie przyszedł po nikim sprzątać. Prowadzę swoją sprawę. Jeżeli ktoś mi wejdzie w drogę, glina czy nie, nie będę miała żadnych oporów, żeby go rozjechać.

– To ma mnie uspokoić?

– Gdybym przyszła zamknąć ci gębę, już bym to zrobiła. Tak czy inaczej, wiem, że coś wiesz. Gdybym nie chciała tego od ciebie wyciągnąć, nie pytałabym o szczegóły.

Przez chwilę mam wrażenie, że do niej trafiłam, ale twarz Lucy znowu staje się zacięta.

– Wiem, że jest pani w tym lepsza ode mnie – odzywa się bezbarwnym głosem. – Nie mam szans zorientować się, czy mówi pani prawdę.

Wyjmuję telefon, znajduję bajkę Aislinn i wyciągając aparat nad stolikiem, podaję go Lucy.

– Proszę. To chyba dla ciebie. – Mam wielką nadzieję, że się nie rozsypie, bo dzisiaj szkoda mi czasu na sklepanie jej, ale Lucy to twarda sztuka. Tylko raz przygryza wargi, a kiedy na mnie patrzy, jej oczy trochę za mocno błyszczą, na szczęście przeżywa smutek dyskretniej niż poprzednio.

– Napisała to Aislinn, prawda? – upewniam się.

– Tak.

– I napisała do ciebie?

– Tak, do mnie.

– Wszystkiego nie rozumiem, ale domyślam się jednego: jeżeli historia nie zakończy się szczęśliwie, masz opowiedzieć mi resztę. Możemy chyba uznać, że to zakończenie było raczej do dupy.

Reakcją jest coś w rodzaju śmiechu, pustego i bezradnego.

– Carabossa i Meladina – mówi Lucy. – Kiedy byłyśmy małe i Aislinn wymyślała dla nas różne szalone przygody, takie miałyśmy w nich imiona. Nie pamiętam nawet, skąd się wzięły. Powinnam ją była zapytać.

– Gdybym chciała zachować tę historię w sekrecie, nie przyniosłabym ci tego. Masz rację, niektórzy detektywi próbowaliby to wszystko zamieść pod dywan. Ale oni do ciebie nie przyszli. Tylko ja.

Lucy dotyka ekranu telefonu opuszkami dwóch palców.

– Mogłabym to dostać? – pyta. – Może pani to przesłać do mnie albo mi wydrukować?

– Na razie jest to dowód w sprawie. Nie mogę go rozdawać. Po zamknięciu sprawy zgoda, dostaniesz kopię. Obiecuję.

Dziewczyna kiwa głową.

– Dobrze. Dzięki.

Wyciągam rękę. Patrzy na tę wiadomość jeszcze chwilę; potem robi krótki, gwałtowny wdech i prostuje plecy.

– Tak. – Oddaje mi telefon. – Ten facet, z którym Aislinn się spotykała, był policjantem. Detektywem.

Błysk oczu badających moją reakcję.

– Poznałaś go? – pytam.

– Tak. Tego samego wieczoru co Aislinn. Nie zamierzałam jej pozwolić, żeby...

– Zaraz – powstrzymuję ją. – Wszystko po kolei. Myślisz, że potrafiłabyś go rozpoznać?

– Na pewno.

Otwieram torbę i znajduję tablicę z Breslinem.

– Przyjrzyj się. Jeżeli widzisz tu człowieka, z którym spotykała się Aislinn, chcę, żebyś to powiedziała. Jeżeli go tu nie ma albo nie jesteś pewna, też mi powiedz. Gotowa?

Lucy kiwa głową. Przygotowuje się na widok jego twarzy.

Podaję jej kartkę. Przebiega wzrokiem fotografie; ma skonsternowaną minę.

– Nie. Tutaj go nie ma.

Co jest, kurwa, grane?

– Nie spiesz się – radzę. – Jesteś pewna?

– Absolutnie. Żaden z tych facetów nie jest do niego podobny. W ogóle. – Lucy prawie wciska mi kartkę z powrotem do rąk. Znowu staje się nieufna, zastanawia się, w co z nią gram. Mogłabym przysiąc, że to autentyczne.

W chwili gdy pochylam się, żeby włożyć do torby tablicę ze zdjęciami – zastanawiając się gorączkowo, co mam teraz począć, i żałując, że nie wzięłam ze sobą Steve'a – olśniewa mnie.

Wyjmuję drugi zestaw, ten z McCannem.

– Spróbuj przyjrzeć się tym – mówię. – Poznajesz któregoś?

Trwa to krócej niż sekundę; przebiega wzrokiem zdjęcia, gwałtownie wciąga powietrze przez nos, a całe ciało napina się jak struna.

– Ten – mówi cicho Lucy i kładzie palec na McCannie. – To on.

– Człowiek, z którym spotykała się Aislinn.

– Tak.

– Jesteś tego zupełnie pewna?

– Na sto procent. To on.

– Napisz to – polecam i podaję jej długopis. – U dołu karty. Który numer rozpoznajesz i skąd go znasz. Podpis i data. Potem swoje inicjały pod zdjęciem, które zidentyfikowałaś.

Pisze starannie, pewną ręką; tylko przyspieszone unoszenie się i opadanie piersi i lekko zdyszany oddech świadczą o adrenalinie szalejącej w jej żyłach. Mam

to samo. Wielka zagadka. Dlaczego McCann przez parę tygodni kręcił się po Viking Gardens, została rozwiązana. Sąsiad Aislinn sądził, że facet przechodzący przez mur miał jasne włosy, ale mdłe żółte światło latarni mogło po prostu rozjaśnić nitki siwizny we włosach McCanna. Telefony od żony McCanna, która suszyła mu głowę, bo znowu nie zjawił się na kolacji, zgarbione plecy, gdy Breslin obiecał mu, że się mnie pozbędzie, jego stan przez kilka ostatnich dni – wszystko doskonale pasuje.

Jedyny kawałek układanki, który nie chce jeszcze wskoczyć na miejsce, to pytanie, dlaczego Aislinn chciała akurat McCanna. Czego ja i Steve nie potrafimy od początku zauważyć?

Lucy oddaje mi tablicę ze zdjęciami.

– Tak dobrze?

– Aha – przytakuję, patrząc na to, co napisała. – Dzięki. Teraz mi opowiedz.

Robi głęboki wdech.

– Co chce pani wiedzieć?

– Wszystko. Zaczynaj od początku.

– Dobrze. – Lucy ociera dłonie o uda; nie wiem, czy osusza pot, czy ściera dotyk zdjęcia. – Dobrze. Myślę, że to zaczęło się jakieś siedem, osiem miesięcy po śmierci mamy Ash, czyli jakieś dwa i pół roku temu. Poszłyśmy z Ash na piwo i powiedziała: „Zgadnij, co zamierzam zrobić”. Pochylała przy tym głowę i patrzyła na mnie kątem oka, z tym swoim nieśmiałym uśmiechem, tak że przez moment myślałam, że chce przekłuć sutek czy coś w tym stylu... – Lucy parska ponurym, gorzkim śmiechem. – Żeby tak było! Powiedziała: „Zamierzam się dowiedzieć, co się stało z moim tatą”. To była ostatnia rzecz, jakiej się spodziewałam. Ciągle wymyślała różne historie o tym, gdzie się podział jej ojciec albo jak mógłby wrócić do domu, ale nigdy nie mówiła, że naprawdę chciałyby go odnaleźć.

– Może nie czuła się na siłach tego zrobić, kiedy jeszcze żyła jej matka – sugeruję; potrafię okazać empatię nie gorzej od innych. – Pewnie musiała poświęcać prawie całą energię opiece nad nią. Nie dziwię się, że dla ojca nic nie zostało.

Lucy szybko kiwa głową.

– Tak właśnie myślałam. Uznałam, że to całkiem niezły pomysł... Nie chodziło mi konkretnie o odnalezienie ojca; to akurat mogło się nie udać z wielu powodów. Ale pierwszy raz miała plan, żeby osiągnąć coś, czego sama chciała. Pomyślałam, że to dobrze, niech się nauczy, jak to się robi. To ma sens, prawda?

– Oczywiście – potwierdzam, zgodnie z prawdą zresztą, i widzę na twarzy Lucy wielką ulgę. – Inaczej niewiele skorzystałyby z życia.

– Właśnie. No więc, pochwaliłam ją, świetny pomysł, brawo. Aislinn powiedziała w pracy, że ma wizytę u dentysty, ubrała się w najlepsze rzeczy

i poszła do wydziału zaginionych. Na początku próbowali ją zbyć, ale w końcu jeden detektyw sprawdził dane jej ojca w komputerze i powiedział jej, że nie żyje. Wtedy Aislinn... – Lucy przygryza wargi na to wspomnienie – Boże... Była zdruzgotana. Zadzwoiła do pracy i powiedziała, że zemdląca od znieczulenia i nie może przyjść, a potem wróciła do domu i cały dzień płakała. Poszłam do niej po pracy, wyglądała jak kupa nieszczęścia. Uszło z niej całe życie; była po prostu... kompletnie przegrana.

W tym momencie powinnam prawdopodobnie mieć wyrzuty sumienia: to przez moją bezdusność Aislinn skręciła na drogę prowadzącą do tragedii i tak dalej, i tak dalej. Wczoraj nie poczułabym zupełnie nic. Jak powiedziałam do Steve'a: skoro chciała uzależnić swoje życie od faceta, którego w ogóle nie było, to jej problem. Dzisiaj jednak nie jestem już taka przekonana. Nagle myślę o tym, ile osób pomiatało Aislinn, popychając ją z każdej strony: ja, Gary, jej matka, ojciec, wszyscy szturchali ją palcami, tręcali ramionami, sterowali jej życiem w takim kierunku, jaki im akurat odpowiadał. Skóra mi cierpnie, jakby obsiadły mnie muchy. Aż w końcu komuś nie chciało się popychać: jej życie mu nie odpowiadało, więc odebrał je jednym ciosem.

– Bałam się, że znowu będzie dryfować bez celu – ciągnie Lucy. – Myślałam, że to była jej jedyna szansa na to, by wzięła życie w swoje ręce, a teraz, gdy przepadła, Aislinn nigdy więcej nie odważy się spróbować. Powiedziałam jej jak skończona idiotka: „Może mogłabyś się dowiedzieć, co się z nim stało, od kogoś, kto prowadził sprawę”. Chciałam po prostu, żeby poczuła się lepiej. Próbowałam jej pokazać jakiś cel.

Znowu to błaganie w jej oczach.

– Moim zdaniem, słusznie – mówię. – Prawdopodobnie powiedziałabym jej dokładnie to samo.

– Powinnam w ogóle nie otwierać ust. Ale wtedy naprawdę myślałam, że postąpiłam najlepiej, jak mogłam. Od razu przestała płakać i sięgnęła po telefon. „Co?”, zapytałam, a ona na to, że właśnie przypomniałam jej o czymś, co mówił jej policjant z wydziału zaginionych. Podał jej nazwiska detektywów, którzy prowadzili sprawę, kiedy jej ojciec zaginął. Detektyw Feeney i detektyw McCann.

Na dźwięk jego nazwiska wypowiedzianego jej głosem czuję na szyi zimny dotyk, jakby padła na nią lodowata kropla.

– I co?

– Sprawdziła w Google'u – odpowiada Lucy. – Znalazła nekrolog detektywa Feeneya. Ze zdjęcia prawie go nie poznała, ale napisali, że dwadzieścia trzy lata pracował w wydziale zaginionych, więc wiedziała, że to musiał być on. Czyli tu nie miała czego szukać. Ale detektyw McCann... Potrzebowała trochę czasu, żeby coś o nim znaleźć, w końcu jednak trafiła na fragment nagrania z wiadomości, na którym wychodził z sądu po procesie w sprawie jakiegoś morderstwa, no i tak się

dowiedziała, że pracuje w wydziale zabójstw. Jego poznała od razu. Zapomniała, jak się nazywa... wiedziała tylko, że McCośtam... ale pamiętała, że spędzał dużo czasu w jej domu i próbował dodać otuchy jej mamie. I pamiętała, jak pogłaskał ją po głowie i powiedział: „Czasem lepiej zostawić coś w spokoju. Po tacie zostały ci cudowne wspomnienia, prawda? Chyba nie chcemy tego zmieniać”. Aislinn powtarzała: „To musi znaczyć, że coś wie, prawda? Na pewno coś wiedział”. Mówiłam jej, może tak, może nie, może po prostu chciał, żebyś nie miała do nich żalu o to, że nic nie wiedzą. Ale ona uczepiła się tego i przez parę tygodni nie mówiła o niczym innym. W końcu miałam dość i powiedziałam: „No to znajdź go, do cholery, i zapytaj”.

– I zapytała?

Lucy kręci głową.

– Nie. Uważała, że skoro wtedy jej nie powiedział, to dlaczego miałby powiedzieć teraz? Przecież nie mogła go zmusić. Detektywi z wydziału zaginionych mówili jej, że nie mogą udzielać informacji, jeśli zaginiony sobie tego nie życzy. Więc doszła do wniosku, że musi go podejść inaczej: spotkać go „przypadkiem”, nie mówić mu, kim jest, i pociągnąć go za język.

Unoszę brew.

– Tak, wiem – mówi Lucy. – Ale Aislinn nie zamierzała pobiec do niego na drugi dzień rano i liczyć na to, że z miejsca wszystko jej wyzna. Bardzo starannie się przygotowała. To była jej ostatnia szansa; nie mogła jej zmarnować. Spisała o detektywie McCannie wszystko, co potrafiła sobie przypomnieć... miała do tego specjalny notes. Kiedy była dzieckiem, nie zwracała na McCanna szczególnej uwagi, bo nie sądziła, że jest taki ważny; ale gdy rozmawiał z jej matką w salonie, siadała na schodach w ciemności i podsłuchiwała, liczyła na jakąś wskazówkę, która podpowiedziałyby jej, gdzie się podział tata. Więc pamiętała różne szczegóły. Pamiętała, że jest z Droghedy i że pije herbatę bez cukru, z odrobiną mleka.

To się nie zmieniło. Z jakiegoś powodu na tę myśl czuję lodowaty dreszcz przebiegający po plecach. Właśnie w tym momencie przenika mnie świadomość, że ten facet to ten sam McCann, który wczoraj rano czekał na mnie przed budynkiem wydziału, nieogolony i cały w nerwach. Sprawa z wydziału zaginionych ciągnęła się za nim od tego smutnego domu, w którym w półmroku podsłuchiwało go dziecko, przez wszystkie kręte drogi aż do naszego jasnego i głośnego biura. Właśnie w tym momencie rozumiem, że nasz sprawca to McCann.

– Pamiętała, że jest żonaty i ma dwóch małych synków – ciągnie Lucy – bo jej mama pytała go bez przerwy: „Nigdy by pan ich nie zostawił, prawda? Nigdy nie odszedłby pan od własnej żony i własnych dzieci?”, a on odpowiadał, że nie, nigdy. Pamiętała jego szary tweedowy płaszcz; wieszał go na poręczu, a gdy siedziała na schodach i słuchała, wyskubywała z niego kłaczki i wpychała mu do

kieszeni. Nie lubiła, kiedy do nich przychodził. Ale najważniejsza rzecz, jaką Aislinn zapamiętała, zapisała i obrysowała kółkami i gwiazdkami, była taka, że on się interesował jej mamą.

– Interesował się? Jak? – pytam. – Mieli romans? Przystawiał się do niej?

– Jezu, nie! – Lucy natychmiast krzywi się z niesmakiem, co oznacza, że mówi prawdę. – To nie była grecka tragedia: Ash nie poszła do łóżka z byłym swojej mamy. Po prostu, kiedy patrzyła na to z perspektywy czasu, była prawie pewna, że jej mama mu się podobała. I pewnie dlatego poświęcił tej sprawie tyle czasu. Mimo że miał żonę i dzieci, mimo że powinien się zachowywać profesjonalnie, mimo że mama Ash wariowała, próbując znaleźć męża, podobała mu się, więc przyjął to jako dobrodziejstwo inwentarza.

– A Aislinn uznała, że to ważne.

– Tak. Wiedziała, że może to wykorzystać. Powiedziała: „Jeżeli to taki typ faceta, który jest gotów robić głupstwa dla ładnych kobiet, mogę być jedną z nich. I tak muszę zmienić wygląd; nie dopuszczę do tego, żeby mnie poznał i zaczął coś podejrzewać, chociaż wtedy prawie na mnie nie spojrzał, ledwie zauważał, że istnieję, mam jednak tylko jedną szansę, więc chcę wszystko zrobić porządnie”. I zrobiła.

Lucy prychnęła niewesołym śmiechem.

– Boże, lepiej nie mogła tego zrobić. Właściwie przestała jeść i zaczęła codziennie chodzić na fitness. Kiedy już była zadowolona ze swojej figury... moim zdaniem, była za chuda, zresztą wszystko jedno... poszła do wizażystki, która jej pokazała, jakie ubrania ma kupić, jak się malować i na jaki kolor ufarbować włosy. Po tym wszystkim wyglądała jak klon wyprodukowany w jakiejś strasznej fabryce przy M50. Mówiłam jej: „Czemu nie ubierzesz się w coś, co ci się najbardziej podoba?”, a ona na to, że nie. „Nie wiem, jaki jest jego typ, oprócz mojej mamy, a nie mogę być do niej podobna, bo się zorientuje. Dlatego muszę wyglądać zwyczajnie. Jak dziewczyna, która wydałaby się ładna każdemu facetowi na świecie, więc nawet gdybym mu się nie podobała, to chciałby ze mną być, bo nie mógłby się oprzeć pokusie podbudowania własnego ego. Potem będę miała mnóstwo czasu, żeby zdecydować, co się podoba mnie”. No i... – Lucy bezradnie unosi ręce. – Co miałam na to powiedzieć?

W głębi duszy zaczynam coraz bardziej szanować Aislinn Murray. Wprawdzie sam cel całego projektu jest idiotyczny, ale sposób realizacji... czapki z głów. Nie była bezwolną ofiarą, jak wyobrażałam sobie pierwszego dnia w jej domu, ani zahukanym dzieckiem, któremu jeszcze przed chwilą współczułam. Ćwiczyła, nie spieszyła się i robiła to co trzeba, żeby samej trochę powykorzystać innych.

– Wszystko to trochę pachnie obsesją – zauważam. – Nie martwiłaś się o nią? Że za bardzo ją to wciągnęło?

– Oczywiście, że się martwiłam. Kiedy pomyślałam, że powinna spróbować osiągnąć to, czego chce, nie miałam na myśli niczego takiego. Żeby zmienić się w kogoś, kto spodoba się zupełnie nieznanemu facetowi, poświęciła półtora roku. To przecież wariactwo!

– Powiedziałaś jej to?

– Ooch... – Lucy krzywi się, pocierając twarz dłońmi. – Powiedziałam i nie powiedziałam. Ostatnią rzeczą, jakiej bym chciała, było dyrygowanie nią. I tak trudno jej było pojąć, czego chce, nawet gdybym jej nie zwróciła uwagi, że zupełnie źle to rozumiała. Po tej chorej wizycie u wizażystki musiałam jednak coś powiedzieć. Nie wygarnęłam jej wprost: „Chyba ześwirowałaś”, ale wyraźnie dałam do zrozumienia, że przegina i że o wiele rozsądniej byłoby albo normalnie porozmawiać z detektywem McCannem, albo zapomnieć o całej sprawie. Aislinn tylko się zaśmiała. Uspokajała mnie: „Nic się nie martw, głuptasie! Wiem, co robisz; mam plan, pamiętasz? Muszę tylko to załatwić i cała sprawa wreszcie się skończy, a ja będę mogła zacząć prawdziwe życie! Chcesz jechać ze mną do Peru?”. Ja na to: „A nie możemy od razu jechać do Peru i dać sobie spokój z tym facetem?”.

– Ale ona nie chciała – mówię.

– Nie chciała. Powiedziała, że musi to zrobić. Powtarzała w kółko, że swoim nowym akcentem, bo kiedyś mówiła jak dziewczyna z Greystones, tak jak ja, ale bała się, że detektyw McCann mógłby coś skojarzyć, więc zaczęła mówić jak jedna prezenterka wiadomości, ta, co robi taki dziwny dzióbek... no więc, powtarzała w kółko: „Za bardzo się przejmujesz! Popatrz na mnie. Czy ja wyglądam na nieszczęśliwą?”. – Lucy wspomina to z bladym, zbolałym uśmiechem. – I rzeczywiście nie wyglądała. Nigdy nie widziałam, żeby była taka szczęśliwa. Cieszyła się jak dziecko w sklepie ze słodyczami, oszołomiona, ale szczęśliwa. I robiła plany na dalszą przyszłość... przedtem nigdy nie miała planów. Peru to nie był żart... to znaczy, z mojej strony był, bo nie mam kasy na takie wyjazdy i nie mogłabym zostawić pracy na tak długo, ale Ash na pewno zamierzała podróżować. Czytała o krajach, które chciała odwiedzić, o zajęciach w college'u, na które chciałyby się zapisać po powrocie... Ten plan dał jej ogromnego kopa, więc... – Lucy wykonuje nieznaczny gest, który przypomina wzruszenie ramion. – Ciężko się było temu sprzeciwić.

– Co to był dokładnie za plan? – pytam.

– Zamierzała przez parę tygodni flirtować z tym detektywem, umówić się z nim kilka razy. Nie miała zamiaru go uwodzić, nic z tych rzeczy, nie bała się też, że będzie chciał ją przelecieć; była pewna, że nigdy nie podrywał jej mamy, więc nie należał do tych, co romansują na prawo i lewo. Był po prostu typem, który lubi, kiedy interesują się nim atrakcyjne kobiety, i bierze to za dobrą monetę, nawet gdy nie powinien. Mówiła, że jeśliby spróbowała go chociaż pocałować, pewnie

uciekłby, gdzie pieprz rośnie. – Na ustach Lucy pojawia się na chwilę cień uśmiechu. – Dlatego zamierzała mu tylko okazać zainteresowanie. Mnóstwo zainteresowania.

– Sprytne – oceniam. – Aislinn znała się na ludziach.

– To prawda. Dlatego że nigdy nie miała własnego życia; zawsze tylko obserwowała innych, zastanawiała się, co nimi kieruje. Tylko dlatego pomyślałam, że może naprawdę uda się jej zrealizować ten plan. Przecież ten człowiek był detektywem, nie kimś, kto dałby się nabrać na byle co. Jeżeli jednak ktoś potrafiłby go zbajerować, to na pewno Ash. – Uśmiech nabiera wyrazu, ale czai się w nim ból. – Chciała udawać kogoś zafascynowanego pracą policji i pytać detektywa McCanna o śledztwa, które prowadził. Czytała artykuły w starych gazetach i informacje z dawnych procesów, żeby wiedzieć, jakiego rodzaju sprawami się zajmował, kupowała nawet książki na ten temat, żeby zadawać właściwe pytania. Potem zamierzała stopniowo skierować rozmowę na swojego tatę... A gdy już dowie się wszystkiego, co wiedział detektyw McCann, chciała przestać się z nim spotykać. I wyjechać do Peru. – Nagle Lucy unosi głowę i spogląda w sufit, szybko mrugając. – To wszystko. Parę tygodni zainteresowania.

Reportaże kryminalne w domowej bibliotece Aislinn, informacje o porachunkach gangów, których szukała w internecie. Nie dla mocnych wrażeń ani po to, żeby przymilać się do jednego z chłopców Bili Lanigana.

– Co się zmieniło? – pytam.

– Wiedziałam, że Aislinn dobrze tego nie przemyślała – odpowiada Lucy. – Wszystko ułożyła sobie jak w bajce: historia kończy się weselem, a potem żyją długo i szczęśliwie. Właśnie coś takiego robiła Ash. Myślała wyłącznie o tej wielkiej chwili, kiedy uda się jej namówić tego faceta, żeby opowiedział jej o ojcu; wszystko, co potem, było tylko niewyraźną mgiełką szczęśliwego życia. Próbowałam jej powiedzieć, że to niekoniecznie musi się tak ułożyć; próbowałam, ale... – Rozkłada ręce.

– Nie chciała słuchać.

Lucy przeczesuje palcami włosy, które w wyniku tego zabiegu sterczą we wszystkie strony jak u rozczochranego dziecka.

– Siedziałyśmy właśnie tu – mówi. – Ash tam, gdzie teraz pani, zwinięta w kłębek pod kocem, z kubkiem herbaty. Wróciłyśmy z klubu, więc było na tyle późno i obie byłyśmy na tyle wstawione, że mogłam jej to powiedzieć. Zapytałam: „Ash, co zrobisz, jeżeli nie spodoba ci się to, czego się dowiesz? To może być przykre. Naprawdę przykre”. Było ciemno; włączyłyśmy tylko tamtą lampę. Nie widziałam nic oprócz jej twarzy wystawionej spod koca. Nie wyglądała ładnie; miała zapadnięte policzki, wyglądała na wygłodzoną, sama skóra, kości i zęby... wydawała się dużo starsza. I powiedziała: „Luce, myślisz, że się z tym nie liczę? Serio? Wzięłam pod uwagę każdą możliwość. Liczę się z tym, że

najprawdopodobniej tato popełnił samobójstwo, a policja ma na to za mało dowodów, więc postanowiła nic nie mówić, żeby nie ryzykować pomyłki. Mógł też przeżyć załamanie nerwowe i skończyć na ulicy, a policja nie mogła go odnaleźć i nie chciała się do tego przyznać. Liczę się z tym, że jakiś policjant potrącił go samochodem i sprawę zatuszowali. Liczę się z tym, że mógł go zabić i pochować w górach jakiś psychopata, a policja woli o tym nie wiedzieć, bo może ta sprawa namieszała im w jakimś większym śledztwie, dlatego nigdy tego nie zbadali. Biorę pod uwagę wszystko. Chcę po prostu wiedzieć. Żeby to wreszcie skończyć. I zająć się czymś innym”.

– Czyli dałaś sobie spokój z odwodzeniem jej od tego pomysłu – mówię.

– Tak, dałam. Pewnie powinnam mocniej ją przycisnąć... Jezu, oczywiście, że powinnam. Prawda? – Z ust Lucy wyrывa się krótki, naładowany wściekłością śmiech. – Ale wyglądała tak... jakby nie miała nic poza tym planem, jakby mogła go ogryźć do kości i dalej być głodna jak wilk... Nie mogłam tego zrobić. Powtarzałam sobie, że może nic złego się nie stanie, że może ten McCann w ogóle na nią nie spojrzy. Albo od razu ją przejrzy. W końcu na tym polega jego praca, prawda? I powie, że jej ojciec zginął, ratując małe jasnowłose dziecko z rąk złego barona narkotykowego, a ona trochę sobie popłacze i zacznie normalnie żyć, tak jak myślała.

Gdyby tylko McCann miał na tyle rozsądku, żeby właśnie tak to załatwić.

– Ale tak pięknie się nie ułożyło – mówię.

– Zatańczył, jak mu zagrała – odpowiada Lucy. – Twardy, cyniczny detektyw, co? Wyciągnęła to z niego już po miesiącu.

– Jak się do tego zabrała?

– W internecie sprawdziła, gdzie policjanci chodzą się napić... chyba zapytała o to na jakimś forum. Udawała, że po prostu chce upolować jakiegoś gliniarza, hi, hi, fajny pomysł. Zrobiła listę miejsc i musiałyśmy sprawdzić je wszystkie.

– „Musiałyśmy”? Poszłaś z nią?

Lucy dumnie unosi brodę.

– Oczywiście. Myśli pani, że puściłabym ją samą?

– Nie. Z najlepszą przyjaciółką też bym poszła. Żeby sprawdzić.

Uspokaja się.

– Niektóre puby okazały się pomyłką, na przykład Copper Face Jack's. Fakt, przychodzą tam policjanci, ale sami młodzi, na podryw. Ale trafiłyśmy do jednego pubu... pewnie go pani zna... Horgan's?

– Znam. – Horgan's to ewidentnie pub gliniarzy: w starym stylu, z siedziskami obitymi przetartym aksamitem i z kinkietami; ukryty w gąszczu uliczek w okolicy Harcourt Street, gdzie ma siedzibę wydział ogólny i większość innych. Kiedyś chodziłam tam czasem na drinka, zanim trafiłam do zabójstw. Raz

czy dwa widziałam tam McCanna i Breslina. Wtedy patrzyłam na nich jak na gwiazdy rocka.

– Pije tam sporo starszych gliniarzy. No więc, często tam zaglądałyśmy. Bywało nieprzyjemnie, bo paru facetów próbowało do nas zagadać... to znaczy, właściwie do Ash... i musiałyśmy się ich pozbyć, ale nie za ostro, żeby nie zyskać opinii wrednych, bo wtedy McCann nie zawracałby sobie nami głowy, gdyby się pojawił. Udawałyśmy... – Lucy wypuszcza z płuc powietrze. – To był pomysł Aislinn. Udawałyśmy, że jestem czymś zdenerwowana, na przykład zerwaniem z chłopakiem, i chcę pogadać z przyjaciółką; w ten sposób mogła spławić każdego faceta, który próbowałby ją poderwać, i jeszcze twierdzić, że to z mojego powodu.

Dostrzega mój wzrok i obronnym tonem dodaje:

– Wcale się z tego nie cieszyłam. Nie przepadam za takimi gierkami, ale... Aislinn potrafiła człowieka wciągnąć do swojej zabawy. Krok po kroku i nagle, nie wiedząc jak, trafiałam w sam środek komedii, którą odstawiała.

Znowu czuję dotyk chłodu na szyi. McCann – jak każdy detektyw z zabójstw, jak ja – jest tym, który pisze scenariusze. Nie byłby zachwycony, gdyby któregoś dnia otworzył oczy i zobaczył, że jest bohaterem historii stworzonej przez kogoś innego.

– A potem... – ciągnie Lucy. – Kiedy czwarty raz poszliśmy do Horgan's. Siedziałam i udawałam zdołowaną, zastanawiając się, czy szybko stamtąd wyjdziemy, gdy nagle poczułam, jak Aislinn zastyga. Przestała oddychać; szklanka stuknęła o stolik, łup, jakby Aislinn przestały działać mięśnie. Odwróciłam się, żeby zobaczyć, czy nic jej nie stało, a ona, szeptem, tak że ledwie słyszałam, powiedziała: „To on”.

Właśnie wszedł. Też go poznałam. Miał trochę bardziej posiwiałe włosy, ale to był na pewno facet z tego wideo. Musiał poczuć, że na niego patrzemy, bo się odwrócił. A Aislinn od razu zrobiła tak... – Lucy przymyka oczy i zerka spod rzęs z leciutkim uśmiechem, a potem odchyła głowę, żeby wypić łyk kawy. – Tak szybko. Z miejsca zabrała się do roboty.

– I podziałało – mówię.

Znowu ten szorstki śmiech.

– Jezus, pewnie, że tak. Podziałało. Detektyw McCann musiał spojrzeć jeszcze raz, taki był zdumiony, że ta piękna kobieta patrzy na niego w ten sposób. A Aislinn zachichotała, odwrócona w jego stronę, takim idiotycznym chichotem, który ćwiczyła wcześniej na wszystkich facetach próbujących do niej zagadać. Kiedy podszedł do baru, wypila resztę drinka i popędziła, żeby stanąć tuż obok niego i zamówić następną kolejkę. Zanim się zorientowałam, McCann postawił nam drinki i niósł je do naszego stolika.

Pieprzony kretyn.

– Kiedy to było?

– Pod koniec lipca. To była nasza ostatnia kolejka. Nie musiałam wcale udawać, że chcę stamtąd wyjść; w życiu chyba nie odbyłam dziwniejszej rozmowy. Ash gapiła się na tego faceta i śmiała się jak wariatka ze wszystkiego, co mówił, a on puchł z dumy, przekonany, że owinął ją sobie dookoła palca, i cały czas... W każdym razie przed wyjściem Ash dała detektywowi McCannowi... już Joemu... numer telefonu. Zadzwoił do niej następnego dnia.

– Była niezła, nie ma co.

– Aha – przytakuje Lucy. – Była. Właśnie to mnie przeraziło. Zwabiła go tak łatwo, jakby robiła to całe życie. Wtedy sobie uświadomiłam, że naprawdę to robiła. W gruncie rzeczy to było to samo co kiedyś, gdy byłyśmy małe, a ona wymyślała historie, żeby nam poprawić humor. Tyle że tym razem to się działo naprawdę. Nie podobało mi się to. Wydawało się... wiem, że to brzmi jak z melodramatu, ale to się wydawało niebezpieczne.

Co ty powiesz!

– Niebezpieczne dla niej? – pytam. – Dla Joego? Dla ciebie?

– Aislinn nikomu nie zrobiłaby krzywdy – informuje mnie Lucy. – Była łagodna.

Nie jestem przekonana. Może z początku łagodna, ale ktoś, kto przez bite półtora roku był dla siebie taki ostry jak Aislinn, nie będzie miły i delikatny dla nikogo. Nie drążę tego.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

– Niebezpieczne dla niej. Może dla detektywa McCanna też, ale nie myślałam o nim, tylko o Ash. Nie zdawała sobie sprawy, że to się dzieje naprawdę. Nie widziała różnicy.

To akurat pewnie była prawda.

– Czyli potem detektyw McCann skontaktował się z nią – wracam do wątku.

– I znowu się spotkali?

– Mogę zapalić? – pyta Lucy.

– Nie krępuj się.

Nie patrząc na mnie, wyplątuje nogi z pasiastych koców, odstawia kubek z kawą, otwiera paczkę fajek, wyciąga papierosa i pstryka zapalniczką. Ma jeszcze czas wycofać się na bezpieczną pozycję: „Nie wiem, co było potem; Aislinn mi nie powiedziała, kiedy już zdobyła Joego, stała się małomówna...”.

Nie przychodzi mi do głowy nic, czego już wcześniej nie powiedziałam. Milczę i czekam.

W końcu Lucy wydmuchuje smugę dymu w przeciwną stronę i mówi:

– Spotykali się regularnie. Co najmniej raz w tygodniu, zwykle dwa albo trzy.

– Zawsze byłaś przy tych spotkaniach?

– Po tym pierwszym już nie. Chciałam iść, ale Ash powiedziała, że tylko

bym ją krępowała. Wszystko musiało się kręcić wokół Joego.

– Co robili?

– Nie chodzili do łóżka. W każdym razie nie wtedy. Nic z tych rzeczy. Po prostu rozmawiali. Przyjeżdżał po nią... nigdy do domu, żeby sąsiedzi go nie widzieli. Umawiali się zawsze przy bulwarach i jechali na przejażdżkę w góry albo gdzie indziej. Nie podobało mi się to. Przecież często znajdujecie w górach zwłoki, prawda? Zabierał dziewczynę, sprawdzał, czy nikt go nie widzi, wywoził ją na jakieś odludzie... Jeżeli to nie jest zachowanie seryjnego mordercy...

– Miałaś jakieś powody przypuszczać, że może być niebezpieczny? – pytam.
Lucy niechętnie kręci głową.

– Nie. Ash mówiła, że zawsze jest dla niej miły. Traktował ją jak „skończony dżentelmen”, tak to nazywała. Trudno powiedzieć, żeby go lubiła; mówiła, że do wszystkiego podchodzi zbyt serio, nawet kiedy próbował ją rozśmieszyć, traktował to zadanie serio, ale ciekawie opowiadał i w ogóle był w porządku. Naprawdę przejmował się pracą, co ją uspokoiło, bo to znaczyło, że prawdopodobnie dobrze poprowadził sprawę jej ojca, więc będzie mogła się czegoś dowiedzieć, prawda? – Z jej ust gwałtownie wydobywa się obłok dymu, może to stłumiony śmiech. – Jezu.

– Wystarczyła mu sama rozmowa? – pytam. – Nie próbował zmienić charakteru ich kontaktów na bardziej erotyczny?

– Nie. Ash miała rację, że to nie był typ amatora romansów. Nigdy jej nie podrywał, nie próbował jej nawet pocałować. Mówiła, że to romantyk; wolał się w niej bujać z daleka. Bo na pewno się w niej bujał. Aislinn miała z tego powodu wyrzuty sumienia, przecież był żonaty...

– W niedzielę powiedziałaś nam, że nie miałyby żadnych oporów przed chodzeniem do łóżka z żonatym mężczyzną – przypomniałam jej. – Nie mówiąc o przejażdżkach samochodem.

Lucy nie próbuje nawet udawać zażenowania.

– Zgadza się, skłamałam. Chciałam tylko, żebyście wiedzieli, że byłaby skłonna chodzić z żonatym facetem, nie mogłam tylko dokładnie wyjaśnić, dlaczego to był tylko ten konkretny żonaty facet.

Nawet kiedy przygniół ją ból, Lucy nie straciła głowy i jej umysł pracował pełną parą. Porządnie się przestraszyła.

– No dobrze – mówię. – Czyli Joe nie próbował zaciągnąć Aislinn do łóżka, ale się w niej bujał.

– Och, tak. Powtarzał jej, jaka jest cudowna, jaka piękna, jaka inteligentna... Chodziło mu o to, że słuchała go, jakby wszystko, co padło z jego ust, było szczerym złotem, bo oczywiście tak się zachowywała. Także o tym, jak źle mu się układa z żoną. Mówił, że oboje byli o wiele za młodzi na małżeństwo, ale tak się jakoś złożyło, że się pobrali, a nigdy nie powinni tego robić, bo żona jest za tępa,

żeby zrozumieć jego pracę, i za bardzo samolubna, żeby sobie uświadomić, że on robi coś ważnego; obchodziło ją tylko to, że nie ma go w domu, kiedy trzeba pomóc dzieciom odrobić lekcje albo zjeść kolację, którą przygotowała. – Lucy drwiąco wykrzywia usta, zaciągając się papierosem. – No. I Aislinn posłusznie zastosowała się do wskazówek. Rozpływała się z zachwytem, jaką niesamowitą pracę ma Joe, jakie to niesamowite znać kogoś, kto robi coś tak ważnego, pytała, czy może opowiedzieć jej coś jeszcze o tym, jak niesamowicie poradził sobie z rozwiązaniem jakiejś niesamowitej sprawy. A on oczywiście opowiadał.

Oczywiście. Jak stwierdziła Aislinn, McCann to w głębi duszy romantyk. Chciał widzieć siebie, jak zjeżdża konno z zielonego wzgórza z włócznią, której ostrze lśni w słońcu, i stacza bitwę, żeby ocalić świat przed nim samym. Nie ma mowy, żeby po tylu latach pracy mógł sobie wyobrazić w ten sposób siebie. Przyżonie też nie mógł. Za to Aislinn chętnie zgodziła się posłuchać tej opowieści.

– Potem, pod koniec sierpnia – mówi Lucy – Aislinn uznała, że już czas spróbować. Pojechała z Joem na jakiś piknik i zaczęła go wypytywać, jak wyglądała praca w wydziale zaginionych, bo jej wydawała się niewiarygodnie tajemnicza. Wszystko dokładnie sobie zaplanowała; zapisała pytania i nauczyła się ich na pamięć, a potem kazała mi słuchać, jak je powtarza, tak jak aktorzy uczą się roli. Pozwoliła Joemu opowiedzieć parę historii i w odpowiednich momentach wstrzymywała oddech ze zgrozy. Zaczekała na szczególnie smutną, o jakimś nastolatku, który przedawkował, i powiedziała: „Boże, rodzina pewnie kompletnie się załamała!”. Jak sobie radził, kiedy rodziny wpadały w prawdziwą rozpacz? Bo ona nigdy w życiu nie poradziłyby sobie z rodzinami przeżywającymi coś takiego, totalnie straciłyby głowę, ale Joe na pewno niesamowicie pomaga ludziom przejść przez te najgorsze chwile życia, prawda? I kiedy opowiedział jej o tym jakąś historię, Ash na to, że domyśla się, że czasami, kiedy nie odnajdują zaginionej osoby, Joe prawdopodobnie odwiedza rodzinę już po oficjalnym zakończeniu śledztwa, żeby pomóc jej pozbierać się po tym wszystkim, bo na pewno nie zostawiłby tych ludzi samych, prawda? I zanim się zorientowała...

Lucy rozgniała papierosa w popielniczce. Jej głos się zmienia; wyprała go z emocji, żeby nie pojawił się w nim żaden ton, który mógłby się wyrwać spod kontroli.

– Właśnie tak łatwo poszło – mówi. – Nie skończyli jeszcze kanapek, a Joe już jej opowiadał o biednej kobiecie, od której odszedł mąż, zostawiając ją z małą córeczką. Kobieta należała do tych wrażliwych, mówił Joe... Aislinn widziała, jak oczy zachodzą mu mgłą, kiedy ją wspominał... i nie radziła sobie z takim strasznym szokiem. Robił wszystko, co w jego mocy, żeby biedna kobieta poznała odpowiedzi, na które czekała, i w końcu znalazł jej męża. W Anglii, gdzie mieszkał z jakąś młodszą kobietą.

– To musiało być przykre – mówię.

– No tak. Raczej nie to, co Aislinn chciała usłyszeć. – Usta Lucy drgają, jakby przebiegł ją dreszcz. – Ale potrafiłaby to znieść. Była przygotowana na coś takiego; może nie tak przygotowana, jak przypuszczała, ale umiałaby sobie z tym poradzić... Tyle że Joe mówił dalej. Powiedział, że zadzwonił do tego faceta, trochę mu nawrzucał za wykręcanie się od obowiązków i zapytał, co mają przekazać żonie. A on powiedział coś w rodzaju: „Przekażcie jej, że wszystko ze mną w porządku. I że ją przepraszam. Odezwę się, kiedy sprawa trochę się uspokoi”. Joe wiedział jednak, że tamten się nie odezwie. Najwyraźniej ci, którzy uciekają, nie zostawiając nawet listu, nigdy nie znajdują właściwego momentu, żeby się odezwać.

– Hm – odchrząkuję. Gary twierdził, i wierzył w to, jestem tego prawie pewna, że Des Murray powiedział gliniarzom, żeby nie mówili żonie nic, ani słowa. – Tylko że Joe nie przekazał tej wiadomości pani Murray.

– Nie przekazał – potwierdza Lucy. – Uznał, że to nie byłoby dla niej dobre. Biedna bezradna kobieta nie poradziłaby sobie z taką nowiną, byłaby doszczętnie zdruzgotana. Postanowił, że lepiej dla niej będzie, jeżeli ona o niczym się nie dowie. – Znowu ten tik w kąciu ust. – No więc, właśnie tyle jej przekazał: nic. Był z siebie bardzo dumny, że zdjął z niej ten wielki ciężar.

Jasne, że był. Kiedy spławiłam Aislinn i odesłałam do Gary’ego, byłam przynajmniej na tyle uczciwa, że nie zrobiłam tego dla jej dobra. Zrobiłam to, bo tak chciałam i miałam ją w dupie.

– Co zrobiła Aislinn, kiedy to usłyszała?

– Mówiła mi, że mało brakowało, a stłukłaby szklanę i wbiła ostry koniec w szyję Joego, ale uznała, że ma do tego za słabe ręce. Powiedziała więc tylko, z szeroko otwartymi oczami, przejęta tą niesamowitą historią, że miał rację, że to było bardzo odważne z jego strony, bardzo mądre, a ta kobieta miała wielkie szczęście, że akurat on prowadził sprawę. A potem powiedziała mu, że rozboleła ją głowa, i spytała, czy będzie bardzo zły, jeżeli wróci do domu i położy się spać? Więc odwiózł ją do domu, poradził, żeby wzięła nurofen, i pożegnali się.

– I od razu zadzwoniła do ciebie – domyślam się. – Tak?

– Nie. Przyszła tu. Była... – Przypominając sobie to, Lucy z sykiem wciąga powietrze. – Nigdy nie widziałam jej w takim stanie. Nie widziałam nikogo w takim stanie. Była tak wściekła, że wrzeszczała w poduszki na kanapie. Wystrojona w różową sukienkę w kwiatki, darła się: „Jak on śmiał, jak śmiał, za kogo ten skurwysyn się uważa?!”. Od płaczu tusz rozmazał się jej na całej twarzy, rozsypały się jej wystrzałowo upięte włosy, tłukła pięściami poduszki, gryzła je... Rozumie to pani? Chodzi mi o to, czy rozumie pani, dlaczego wpadła w taki szal?

Wpatruje się we mnie.

– Tak, rozumiem – odpowiadam. – Rozumiem w stu procentach. Nie miał prawa o tym decydować.

Dalej wbija we mnie wzrok, wodząc oczami po mojej twarzy.

– Byłoby inaczej, gdyby ojciec Aislinn nie żył od chwili zaginięcia – mówię.
– McCann nie odebrałby jej niczego, trzymając język za zębami. Ale jej ojciec żył. Mogłaby w każdej chwili się z nim skontaktować. Być może matka by nie zwariowała, gdyby wiedziała, co jest grane.

– Nie tylko – dodaje Lucy. I czeka na znak, czy naprawdę rozumiem.

Rozumiem. Mówię i słyszę swój głos w małym zagraconym pokoju, w którym robi się coraz zimniej:

– Aislinn wcześniej myślała, że McCann nic nie powiedział o jej ojcu, bo nie leżało to w jej interesie: bo ojca potrafił wóz policyjny albo odnalezienie go mogło schrzanić jakieś ważne śledztwo. Mogłaby to jakoś znieść; niektórzy bywają egoistami, inni trafiają między młot a kowadło, samo życie. Ale dowiedziała się, że McCann zrobił to ze względu na nią i jej mamę. Bo uznał, że tak powinno się potoczyć ich życie. Ona i jej mama nie dostały rykoszetem. Były celem.

Światło z za okna pada mi prosto na twarz, bezlitośnie mnie obnaża. Udaje mi się nie odsunąć na bok i nie mrużyć oczu.

Lucy kiwa głową: zdałam.

– Właśnie. Pieprzyć to, czy żona i córka zaginionego miały jakieś zdanie na ten temat. Czego mogły chcieć? Przecież to on był gliną, on miał prawo podjąć za nie decyzję. Dla niego nie były nawet ludźmi; były statystkami w filmie, w którym grał bohatera. Właśnie przez to Aislinn oszalała. Przez to.

Głos Lucy znowu staje się dźwięczny, pełny, pulsuje w nim gniew Aislinn i jej własny. Teraz powie mi wszystko.

Te brednie, które opowiadał stary, że słabo radzę sobie ze świadkami... Ten świadek, chociaż ma mnóstwo powodów, żeby nie pisać ani słowa, ufa mi na tyle, żeby powiedzieć wszystko, co wie. Szkoda, że to nie może już wzbudzić we mnie, nawet w głębokich zakamarkach duszy, żadnych innych uczuć oprócz smutku.

– Wtedy jej plan się zmienił – mówię.

Lucy parska ostrym śmiechem.

– Wie pani, co sobie pomyślałam, kiedy stanęła w drzwiach cała zapłakana i zaczęła kopać w ściany? Przynajmniej wszystko się skończyło. Dzięki Bogu. Nie powiedziałam tego Ash, dopóki nie udało mi się jej uspokoić, a to trwało wieki. Musiałam wysłuchać całej historii trzy czy cztery razy od początku do końca, wszystkich szczegółów, nie mogła przestać opowiadać. W końcu jednak wmusiłam w nią herbatę i szklaneczkę whiskey. Wyglądała, jakby przydał się jej gruby joint albo valium czy coś w tym rodzaju, ale nie miałam niczego takiego, wiedziałam tylko, że na szok dobrze robi słodka herbata. W każdym razie podziałało: ciągle była wściekła, ale ochłonęła na tyle, że przynajmniej spokojnie siedziała, tylko od czasu do czasu popłakiwała i dawała mi dojść do słowa. No więc, powiedziałam: „Słuchaj, dobre w tym jest tylko to, że już wiesz. Możesz sobie dać z tym spokój.

Tak jak mówiłaś”. Prawie zerwała się z kanapy. A jej ręce...

Lucy wyciąga przed siebie rozczapierzone szponiaste palce.

– Myślałam – mówi dalej – że chce się na mnie rzucić albo rozdrapać sobie twarz, nie wiedziałam, czy mam ją złapać, żeby nie... Ale krzyknęła tylko: „Kurwa mać, myślisz, że dam sobie z tym spokój?”. Ash nigdy nie przeklinała. „Jeszcze z nim nie skończyłam, to dopiero początek... Załatwię tego skurwiela! Myślał, że ma prawo decydować o moim życiu! Nie. Nie, nie. Nie mam zamiaru potulnie tego znieść: tak, rób ze mną, co chcesz, jeszcze, jeszcze... Pieprzyć go!”. Dosłownie dyszała ze złości, ale to była inna złość niż przedtem. Ash wyglądała niebezpiecznie. Ona, najłagodniejsza osoba pod słońcem. Miała głos schrypnięty od płaczu, w ogóle nie brzmiał jak jej, kiedy powiedziała: „Teraz moja kolej. Zrobię z życiem tego skurwiela, co zechcę!”. Ja na to: „Zaraz, co chcesz zrobić?”. I wtedy powiedziała: „Niewiele brakuje, żeby się we mnie zakochał. Pomogę mu w tym. Później przekonam go, żeby zostawił dla mnie żonę i rozwiódł się z nią. Każę mu powiedzieć jej o nas, wtedy nie będzie mógł już do niej nigdy wrócić. A potem go rzucę”.

I oto mam ostatni brakujący kawałek układanki, którego nie umieliśmy znaleźć ze Steve'em: dlaczego Aislinn wybrała sobie McCanna.

– Jezu Chryste – mówię. – Przecież to się nie mogło dobrze skończyć.

– Wiem. Powiedziałam jej to. Słowo w słowo.

– Myślałam, że Aislinn знаła się na ludziach.

– Bo się znała – odpowiada Lucy. – Właśnie to mnie najbardziej przeraziło. Żeby wpaść na taki walnięty pomysł, musiała kompletnie zapomnieć o wszystkim, co wiedziała o ludziach i ich zachowaniu. Była tak opętana scenariuszem, który miała w głowie, że przestało się liczyć nawet to, że dotyczył prawdziwych ludzi.

Sięga po paczkę papierosów, nie po to, by ją otworzyć, ale po prostu chce mieć coś w rękach.

– Próbowałam nią potrząsnąć, żeby się ocknęła. „Myślałam, że Joe nie jest typem, który romansuje na prawo i lewo”, powiedziałam, a Ash: „Bo nie jest. Ale z tym sobie poradzę. To nie takie trudne; cały czas daje mi do zrozumienia, że jest z żoną właściwie tylko z przyzwyczajenia, że ją kocha, ale nie jest w niej zakochany, i takie tam banały. Mówi to tylko po to, żeby przekonać nas oboje, że nie ma absolutnie nic złego w naszych przejażdżkach, ale mogę to wykorzystać. Wmówię mu, że jest odważnym romantycznym bohaterem, który rzuca z siebie kajdany bezsensownego małżeństwa i dokonuje niezwykłego czynu, idąc za głosem Prawdziwej Miłości. Powtarzał mojej mamie, że nigdy nie zostawiłby żony i dzieci, przenigdy, pieprzony świętoszek, a cały czas wiedział... Rzuci ją jeszcze przed Bożym Narodzeniem, zobaczysz.

– Powiedzmy sobie wprost: zamierzała bzykać się z nim do nieprzytomności, aż przestanie logicznie myśleć.

Lucy wlepia we mnie zdumiony wzrok, ale odpowiada spokojnie:

– No, tak. Taki miała zamiar.

– Nie każdy byłby do tego gotowy. – Oględnie mówiąc. Wielu tajniaków, świetnie wyszkolonych zawodowców, nigdy nie chodziło do łóżka ze swoimi figurantami. Jak na cywila Aislinn reprezentowała styl hardcorowy.

Lucy poprawia się na kanapie, jakby uwierała ją sprężyna.

– Ash miała dziwne podejście do niektórych spraw – mówi. – Do seksu, miłości, tego wszystkiego. Uwielbiała czytać romantyczne książki, które kończyły się szczęśliwie, ale jeżeli chodzi o jej własne życie: nie było o tym mowy. Odkąd byliśmy małżeństwem, powtarzała, i to całkiem serio, że nigdy się nie zakocha. Chodziła z kilkoma chłopakami, ale dla samego doświadczenia: nie chciała być trzydziestoletnią dziewicą, która nie ma pojęcia, co to jest randka. Kiedy tylko facet sprawiał wrażenie, że zaczyna to traktować poważnie, zaraz z nim zrywała.

– Z powodu ojca – rzucam. – I mamy.

– Aha. Zobacz, co się z tobą dzieje, kiedy się zakochasz, tłumaczyła mi. Tylko pomyśl. Ktoś inny ma w garści twoje całe życie. W każdej chwili ot, tak – pstryka palcami – może zdecydować, że chce je zmienić w coś innego. Możesz się nigdy nie dowiedzieć dlaczego. I możesz już nigdy nie odzyskać własnego życia. Ten ktoś odchodzi i zabiera je ze sobą, a ty tracisz je na zawsze.

Lucy patrzy w pustkę, a jej głos znowu się zmienia, staje się jaśniejszy i trochę ściśnięty: w tle brzmi niecierpliwy i ożywiony głos Aislinn. Lucy wspomina. W tym momencie mam ochotę skinąć jej głową – Aislinn, nie Lucy – tak jak pozdrawia się w tłumie osobę, w której poznajesz gliniarza, jedyną kobietę na sali, jedyną osobę ubraną podobnie jak ty. Skinienie głowy, wszystko jedno, czy się lubicie, czy nie, oznacza: ty i ja dobrze to rozumiemy.

– Moim zdaniem, robiła to tak czy inaczej – stwierdza Lucy. – Pozwalając rodzicom kierować swoim życiem. Przez to, co zrobili, zamierzała nigdy się nie zakochać. Mówiła, że tego nie rozumiem. Uważała, że to jej własna decyzja. Miała rację, nie do końca rozumiałam, ale rozumiałam, że pomyśl, żeby pójść do łóżka z Joem... Dla Aislinn to nie było to samo co dla większości ludzi. Nie liczyła na to, że seks może być wyjątkowym czy fantastycznym przeżyciem; nie chciała seksu. A najważniejszą rzeczą w jej życiu było załatwienie Joego. Więc jeżeli seks mógł jej pomóc osiągnąć cel, to czemu nie?

– Powiedziałaś, że nigdy by nikogo nie skrzywdziła – przypominam jej. – A przez ten plan miała ucierpieć żona Joego i jego dzieci. Sporo osób.

Lucy obraca w palcach paczkę papierosów.

– Wiem. I wtedy jej o tym wspomniałam. Wydawało mi się, że to ją na pewno powstrzyma.

– Więc czemu nie powstrzymało?

Kręci głową.

– Powinno. Gdy powiedziałam, że Aislinn nie skrzywdziłaby nikogo, nie próbowałam malować ckliwego portretu świętej dlatego, że... nie żyje. Naprawdę taka była. – Szybciej obraca papierosy. To jej nie daje spokoju. – Nie wiem. Miała obsesję, ale mimo wszystko nie mogłam uwierzyć... A ona patrzyła na mnie, jakbym plotła bzdury. Ciągle nie potrafię tego zrozumieć.

Ale ja rozumiem. Lucy ma rację: Aislinn nauczyła się wplątywać ludzi w swoje historie, budować szeroki rwący nurt, który wciągał ich coraz głębiej i głębiej, niósł ich krok po kroku w stronę zakończenia, które kusząco majaczyło we mgle na drugim brzegu. Nauczyła się tego aż za dobrze: w końcu wplątała się sama. Kiedy Lucy wspomniała o żonie i dzieciach McCanna, było już za późno, by Aislinn mogła się wyrwać. Nurt jej własnej historii stał się za silny. Owinał się wokół jej kostek, kolan, wspinał się coraz wyżej, aż w końcu porwał ją w kierunku brzegu, na który nigdy nie zamierzała się dostać.

– Wytarła twarz sukienką – ciągnie Lucy. – Swoją zwiewną różową sukienką, którą kupiła specjalnie na ten wielki dzień, bo chciała wyglądać tak seksownie, cudownie i niewinnie, żeby łatwiej jej było skłonić Joego do puszczenia farby. Wydała na nią dwie stowy, a wycierała nią twarz jak chusteczką. Sukienka była cała w tuszu, pudrze, łzach i smarkach. I nagle Aislinn popatrzyła na nią, jak gdyby dopiero teraz to zauważyła, i w krzyk: „Jezu, co za syf! Będę ją musiała oddać do pralni. Podoba się Joemu, będzie mi jeszcze potrzebna”. Znalazła chusteczkę i zaczęła przecierać najbrudniejsze miejsca. Jak gdyby wylała na siebie herbatę czy coś. Nie była już zła, nie płakała; zachowywała się, jak gdyby nic się nie stało.

– Co wtedy zrobiłaś?

– Prosiłam ją, błagałam, żeby się wstrzymała parę dni, zanim coś zrobi. Myślałam, że kiedy otrząśnie się z szoku, zda sobie sprawę, że to okropny pomysł, pod każdym względem. Błagałam ją! – Lucy podnosi głos, zaciskając w dłoni paczkę papierosów. Po chwili mówi już normalnym tonem: – Ale... przysięgam, w ogóle mnie nie słyszała. Wyczyściła najgorszy brud z sukienki, potem znalazła telefon i zamówiła taksówkę przez Hailo. Później wstała, objęła mnie... mocno mnie przytuliła... i szepnęła mi do ucha: „Kiedy go rzucę, powiem mu, że to dla jego własnego dobra”. I wyszła.

– Nie zaczęła kilku dni, żeby ochłonać – mówię.

– Poszła z nim do łóżka niecały tydzień później – odpowiada Lucy. – Nie wiem, jak go przekonała. Powiedziała tylko, że to nie było trudne. Wmówiła mu, że to był jego pomysł i to ją trzeba było przekonywać. A potem się zdenerwowała... to nie była rozpacz, raczej pełen wdzięku smutek... Bała się, że ją znienawidzi za to, że uległa emocjom i zrobiła taką straszną rzecz jego małżeństwu, i że już nigdy go nie zobaczy. No więc, zaczął ją uspokajać, że to nie jej wina, że z tego powodu wcale nie będzie myślał o niej gorzej niż dotąd, że jej

nie zostawi, a jego małżeństwo i tak się sypie, i tak dalej. Udało się doskonale. – W ostatnim słowie brzmi nuta okrucieństwa.

– I co potem? – pytam. – Jak potoczyły się losy tego związku?

Lucy otwiera paczkę i wyciąga drugiego papierosa, patrząc na mnie pytająco; to dla niej coraz trudniejsze. Kiwam głową.

Z papierosem w ustach, nachylając się nad płomykiem zapalniczki, mówi:

– Po pierwsze, przestali jeździć na przejażdżki w góry, co było w pewnym sensie pocieszające, tyle że teraz przychodził do Aislinn do domu i... tam już zostawali. A to nie było pocieszające. – RzUCA zapalniczkę na stół i głęboko zaciąga się dymem.

– Jak często się spotykali?

– Tak jak przedtem: raz w tygodniu, czasem dwa albo trzy razy. Nie mieli stałego planu. Joe mówił, że musi improwizować, żeby żona niczego nie zaczęła podejrzewać.

– Czyli nie zamierzał zakończyć tego małżeństwa.

– Nie, jeszcze nie – potwierdza drwiącym tonem Lucy. – Ale Aislinn naprowadzała go na tę myśl. Po drugie, zaczął jej kupować prezenty. Tylko drobne... porcelanowego kota z muszką w kratkę, kiedy zobaczył, że ma w kuchni rzeczy w kratkę... drobiazgi w tym stylu, bo pieniędzmi zajmowała się żona i liczyła każde euro, więc gdyby Joe kupił coś większego, zaraz rzuciłaby się na to jak tygrysica. Powtarzał jednak Aislinn, że najchętniej kupiłby jej naszyjnik z brylantów i zabrał ją do Paryża, bo mówiła, że chciałaby podróżować... Ash twierdziła, że to nie były puste słowa; mówił serio. No więc, podsycala jego zapal. Opowiadała mu, że zawsze marzyła o naszyjniku z brylantów, i drukowała zdjęcia najbardziej kiczowatych miejsc w Paryżu, które mogliby zwiedzić.

Myślę o tym sfrustrowanym, wysokim głosiku, który często i długo terkocze w telefonie McCanna, podczas gdy chłopaki z wydziału pokazują na migi strzelanie z bata, a McCann próbuje się zapaść w garnitur. Dziewczyna, która zachowywała się, jak gdyby każde słowo padające z jego ust było perłą mądrości, musiała stanowić bardzo miłą odmianę. Pamiętam tego koszmarne porcelanowego kota zajmującego honorowe miejsce na parapecie w kuchni Aislinn.

– Po trzecie, pod koniec października – ciągnie Lucy – tak jest, października, czyli trzy miesiące po tym, jak się poznali, Joe wyznał Aislinn, że ją kocha.

Pieprzony idiota.

– Przypuszczam, że się ucieszyła – mówię.

– Była wniebowzięta. Zabrała mnie na szampana, żeby to uczcić. Nie miałam specjalnej ochoty na świętowanie, a jednak poszłam, bo... – Lucy odchyła głowę na oparcie kanapy i obserwuje smużkę dymu unoszącą się z papierosa – tęskniłam za nią. Widywałyśmy się o wiele rzadziej. Aislinn uważała, że nie może

robić żadnych planów, na wypadek gdyby Joe chciał ją odwiedzić. Przestałyśmy nawet rozmawiać, to znaczy normalnie rozmawiać, bo dzwoniłyśmy do siebie i esemesowałyśmy, ale to były same głupstwa. Oglądasz to teraz w telewizji? Słyszałaś taką piosenkę... Nic ważnego.

Wciąż przygląda się kółkom dymu, które wzlatają w zimnym powietrzu, i nie patrzy na mnie.

– Traciłyśmy kontakt – mówi. – Powoli i stopniowo, ale nic nie mogłam na to poradzić i wiedziałam, że jeżeli to się szybko nie skończy... Ash potrafiła rozmawiać tylko o Joem, a ja nie chciałam słuchać o wszystkich drastycznych szczegółach. Nie podobało mi się już to, co słyszałam.

– Na przykład?

– Na przykład... – Lucy porusza głową leżącą na oparciu kanapy. – Ciągłe nie miała jego numeru telefonu. Uwierzyłaby pani? Facet jest zakochany, chce z nią pić wino w kafejce na Montmartrze, ale żeby dać jej numer telefonu... Jezu, co to, to nie. Dzwonił do niej tylko raz, na drugi dzień po tym, jak go poznałyśmy, zresztą z zastrzeżonego numeru. Później, kiedy chciał się z nią zobaczyć, zostawiał jej w domu liściki. A potem... niech pani sobie wyobrazi... kiedy się spotykali, kazał jej oddawać te liściki i je niszczyć.

Gdy jednak Aislinn przystąpiła do realizacji nowego genialnego planu, zaczęła fotografować liściki i umieszczać w swoim sekretnym schowku, a dopiero potem oddawała je jak posłuszna kochanka. McCann sądził, że kontroluje wszystko; wielki i groźny detektyw z zabójstw prowadzący ściśle tajną operację. Kosmicznie nie docenił Aislinn.

– Skrupulatny człowiek – mówię.

– Nie skrupulatny. Zdrowo popieprzony. Kto w ogóle myśli o czymś takim?

Detektywom zawsze zależy na zabezpieczeniu dowodów, nie na ich niszczeniu. McCann myślał już jak ktoś inny. Ciekawe, czy zwrócił na to uwagę.

– Czy to niepokoiło Aislinn? – pytam.

– Nie bardzo. Powiedziała jej, że mi się to nie podoba, ale to zlekceważyła. Jej zdaniem, Joe paranoicznie się bał, że mogłaby pójść do jego żony. Zresztą trudno się dziwić, zwłaszcza że miał rację. Ale, według mnie, chodziło o coś więcej. Chciał dyktować warunki. Postarał się, żeby Aislinn w niczym nie miała nic do powiedzenia: kiedy zostawiał jej wiadomość „O siódmej w środę”, nie mogła wysłać do niego SMS-a: „Słuchaj, w środę jestem zajęta, może w piątek?”. Mogła tylko odwołać wszystkie plany na środę wieczór, ubrać się w wystrzałową kieckę i czekać w domu. A czasami... – Lucy unosi głowę, żeby mnie widzieć. – Czasami nawet jej nie uprzedzał. Po prostu pukał i spodziewał się, że rzuci wszystko, żeby spędzić z nim wieczór. Ash myślała, że to z powodu nieprzewidywalnego rozkładu dnia, ale ja miałam wrażenie, że ją sprawdzał. Chciał się przekonać, co robi, kiedy go nie ma.

Uważnie wpatruje się ciemnymi oczami w moją twarz, starając się odgadnąć, co o tym myślę. Obie wiemy, o czym mówi. Gdyby McCann postanowił do niej zajrzeć w sobotę wieczorem, zobaczyłby świecę, kieliszki do wina i odstawioną Aislinn, a wszystko to dla kogoś innego.

Zachowuję kamienną twarz.

– Co się działo, jeżeli nie było jej tam, gdzie kazał jej być?

– Zawsze była. Jak powiedziałam poprzednim razem, przez te ostatnie miesiące cały czas mnie wystawiała do wiatru. Właśnie dlatego.

Wystawiła też do wiatru Rory'ego, pierwszego dnia, gdy mieli iść na kolację do Pestle. *Bardzo przepraszam, coś mi wypadło akurat dzisiaj wieczorem!* Rory pomyślał, że musi się zająć chorą matką, my przypuszczaliśmy, że gra niedostępną.

– Czy kiedykolwiek zrobiła coś, czego nie chciał? – pytam.

Lucy krzywi się.

– Nie bardzo. Przecież jej cały plan polegał na tym, żeby grać kobietę jego marzeń.

– Żadnych kłótni? Nieporozumień?

– Mówiłam już, uwielbiał Ash. Sądząc po jej słowach, mogliby uchodzić za idealną parę, gdyby ktoś o niczym nie wiedział. Jedyne raz doszło między nimi do czegoś w rodzaju nieporozumienia chyba jakoś pod koniec września. Joe zaczął dłubać przy telefonie Aislinn, który był zablokowany kodem. Był bardzo niezadowolony. Chciał wiedzieć, czy pisze do kogoś SMS-y na jego temat.

– O jakim stopniu niezadowolenia mówimy?

Lucy krzywi kącik ust, w których trzyma papierosa.

– Pyta pani, czy ją uderzył?

– A uderzył?

Zastanawia się, czy skłamać, ale po chwili kręci głową.

– Nie. Z tego, co mówiła mi Aislinn, wynikało, że w tym sensie nigdy jej nie tknął. Sprawiała wrażenie, jakby w ogóle się nie bała, że mógłby to zrobić. Na pewno by mi powiedziała. Bo co miałabym wtedy zrobić, zadzwonić na policję? – Pochyliła się, żeby strzepnąć popiół. – Mówiła, że nawet się nie złościł o ten telefon; bardziej się przestraszył. Powiedział, że z powodu żony: to małe miasto, ludzie plotkują, nigdy nie wiadomo, kto powie coś nie temu co trzeba... Ale zachowywał się, jakby był przerażony, że telefon jest pełen wiadomości do koleżanek o tym, jak złowiła starszego frajera, który skasuje jej wszystkie punkty karne. Aislinn pomyślała, że nie był zupełnie przekonany, w każdym razie jeszcze nie, że to prawdziwe uczucie.

– McCann jest detektywem – wtrącam. – Sama mówiłaś. Intuicja musiała mu podpowiadać, że coś jest nie tak. Po prostu nie chciał tego usłyszeć.

Lucy parska ponurym śmiechem.

– Coś podobnego! Szkoda, że nie miał na tyle rozsądku, żeby posłuchać.

– Co zrobiła Aislinn?

– Błagała go o wybaczenie, jak gdyby przejechała mu psa. Oczywiście tak tego nie ujęła, ale coś w tym stylu. Pozwoliła mu przeczytać wszystkie SMS-y, z czego bardzo się ucieszyłam, bo były tam rzeczy... to znaczy, nic wielkiego, ale wiadomości o wieczorach na mieście, których raczej nie pokazałabym policjantowi. – Zerka na mnie przelotnie. Nie reaguję, ponieważ nic mnie to nie obchodzi. – Ash nawet nie przyszło to do głowy; zależało jej tylko na tym, żeby bardziej przekonać Joego. I oczywiście wyłączyła blokadę telefonu. Żeby mógł do niego zajrzeć, kiedy chciał.

Wykazał dużą siłę woli, nie dotykając go w sobotni wieczór. Znowu jasno do mnie dociera, jaka walka czeka mnie i Steve'a.

– Nie miała nic przeciwko temu? – pytam.

Lucy unosi jedno ramię.

– Nie przejmowała się tym. Przecież chodziło tylko o parę miesięcy, prawda? Poza tym chciała, żeby Joe miał obsesję. Nie narzekała. Mnie to się jednak nie podobało. Taki maniak kontrolowania wszystkiego...

Urywa. Nie podejmuję wątku. Lucy ma oczywiście rację: to jeszcze jeden znak ostrzegawczy, który powinien szeroko otworzyć oczy Aislinn. Czego się spodziewała, gdy puści w trąbę faceta, który musiał zniszczyć każdą karteczkę z wiadomością i zobaczyć każdego SMS-a? Wywołana przez nią powódź pograżyła ją tak głęboko, że zagłuszyła wszystkie sygnały alarmowe. Siebie też nie doceniła.

– Na początku grudnia – wraca do tematu Lucy – Aislinn powiedziała mi, że Joe jest już o krok od decyzji. Ciągłe jej powtarzał, jak ją kocha, stale opowiadał, jakie wspaniałe rzeczy dla niej zrobi, kiedy będą mogli być razem. Naprawdę lada chwila miał zadeklarować, że odejdzie od żony. A Ash... Jezu. Bez przerwy na totalnym haju: gadała jak najęta, z byle powodu ryczała ze śmiechu, nie umiała usiedzieć w miejscu, jakby wiecznie była na amfie. Nie dlatego, że owinęła sobie faceta dookoła palca... Ona taka nie była... ale dlatego, że jej plan okazał się skuteczny! Ledwie w to mogła uwierzyć. Jak gdyby się dowiedziała, że magia naprawdę działa i że ona umie się nią posługiwać: może zmieniać dynie w karoce, książąt w żaby i odwrotnie. Czy... czy to w ogóle brzmi sensownie? Rozumie pani?

– Aha – przytakuję. – Doskonale. – Nie wiadomo dlaczego, myślę o swoim pierwszym poranku w zabójstwach. Idę w nowym kostiumie skrojonym na miarę zwycięstw, z błyszczącą torbą na ramieniu, wybijając obcasami szybki rytm na tle miejskiego wiru autobusów i gwaru głosów, który przecinam, zmierzając do czekającego na mnie biura wydziału zabójstw, nareszcie, nareszcie mojego. Mogłabym pokonać drogę do drzwi w trzymetrowych susach. Tego ranka mogłabym wyciągnąć rękę w stronę Zamku, a przy fanfarach trąb z wszystkich

dachów sypnąłby się rzęsimy deszcz płatków złota.

Lucy zdusza niedopałek.

– A potem pojawił się Rory.

– On nie był częścią planu, prawda? – pytam.

– Planu... – Teatralnym gestem rozkłada ręce. – Właśnie tak o nim myślałam, PLAN, wielkimi literami, PLAN, ta-dam! Nie: Rory na pewno nie był częścią planu. Rory to moja wina. Wyciągnęłam Aislinn z domu na promocję tej książki, co wymagało cierpliwości, bo miałam nadzieję, że jeżeli nie spędzi wieczoru, siedząc w domu i dręcząc się, czy Joe do niej wpadnie, jeżeli wyjdzie, pośmieje się i pogada o normalnych rzeczach z ludźmi w naszym wieku, to może będzie umiała nabrać dystansu. Zobaczyć, jakie to wszystko jest porąbane.

– Poznać normalnego, sympatycznego faceta – podpowiadam.

– Do głowy mi nie przyszło, że Ash posunie to tak daleko. Miałam tylko nadzieję, że spędzi wieczór wolny od wariactwa. Ale wystarczyła godzina z Rorym i wpadła po uszy. Wydawała się totalnie przerażona. To była ostatnia rzecz, jakiej szukała, zwłaszcza że prawie już udało się doprowadzić Joego tam, gdzie chciała. Nie mogła uwierzyć, że przegadala z Rorym tyle czasu. Trzymała się zasady, żeby nie rozmawiać za długo z facetem, żeby nie pomyślał, że ma u niej jakieś szanse. Uważała, że to nie fair wobec niego, skoro nie chce się angażować w żaden związek...

– Powiedziałaś nam, że przyjęła sobie taką zasadę, bo lubiła zmuszać facetów, żeby się postarali.

Lucy wzrusza ramionami.

– Niczego lepszego nie mogłam wymyślić. Musiałam wam powiedzieć, że przerwałam rozmowę z Rorym w połowie wieczoru, bo inni mogli to zauważyć; nie zamierzałam jednak mówić, że nie chciała się w nic angażować, bo inaczej nie zaczęlibyście szukać jej tajemniczego chłopaka. A nie mogłam się zdradzić ze wszystkimi szczegółami.

– No dobrze. – Jak na kogoś, kto nie lubi układać scenariuszy, w ostatnim czasie Lucy napisała ich sporo. Aislinn rzeczywiście potrafiła wciągać ludzi do swojego świata. – Czyli nie wiedziała, co zrobić z Rorym?

Znowu ten czuły i zbolący uśmiech w kąciu ust.

– Nie, świetnie wiedziała, co z nim zrobić: trzeba go było spławić. Ale nie mogła. Uważała, że spotkała ósmy cud świata. Po promocji wróciłyśmy do niej i nie mogła przestać o nim mówić. Zaróżowiona, rozchichotana jak dziecko, ciągle powtarzała: „Co ja mam zrobić? Boże mój, Luce, co ja mam zrobić?”.

– Co jej poradziłaś?

Uśmiech znika.

– Wtedy nie miałam już żadnych skrupułów, żeby mówić jej, co ma zrobić. „Zadzwoń jutro do Joego i z nim zerwiesz. Powiesz mu, że nie masz sumienia

niszczyć małżeństwa, jakiś kit w tym stylu...” – Lucy znowu wsuwa palce we włosy. – Mówiłam to i słyszałam ją, jak wymyśla historie... Chciałam tylko, żeby wywinęła się z tej pokręconej przygody z Joem, zanim odpali bombę i wysadzi się w powietrze. Mówiłam jej dalej: „A kiedy zadzwoni do ciebie Rory, bo na pewno zadzwoni, powiesz mu: tak, bardzo chętnie się z tobą zobaczę, dziękuję. Właśnie tak zemścisz się na Joem. Nie pozwalając na to, żebyś przez niego straciła chłopaka, który ci się naprawdę podoba. Nie pozwalając mu więcej kierować swoim życiem”. Miałam rację?

– Moim zdaniem, absolutną – potwierdzam. – Powinna to sobie wytatuować na ramieniu. Ale tak się nie stało?

Lucy kręci głową.

– Nie było mowy. Bez szans. Szczerze mówiąc, rozumiałam dlaczego. Ash tyle w to włożyła... tyle energii, tyle planowania. Głodziła się. Przez parę miesięcy chodziła do łóżka z facetem, którego nie cierpiała. I akurat teraz, gdy miała się doczekać nagrody, kiedy zaraz powinien się zacząć wielki finał z fajerwerkami i tytułową piosenką, ja jej mówię, że ma to wszystko rzucić w diabły?

Kazała też Aislinn zrezygnować z magii właśnie wtedy, gdy za chwilę miała strzelać piorunami z palców.

– To nie byłoby łatwe – przyznaję. – Rozumiem.

– I oczywiście dwa dni później Rory napisał SMS-a z propozycją spotkania. Gdyby powiedziała nie, pomyślałby, że chce go spławić; nie mogła też odpowiedzieć: „Mógłbyś dać mi jeszcze miesiąc czy dwa, dopóki nie skończę się bzykać z tym facetem, żeby zostawił żonę, a wtedy cała będę twoja?”. Trochę trzymała go w niepewności, jak długo się dało, żeby nie doszedł do wniosku, że jej nie interesuje, ale w końcu się zgodziła. Tak, spotkajmy się. Poszła z nim na piwo, było cudownie i Aislinn kompletnie straciła głowę.

– Mimo to nie zerwała z Joem.

– Nie. Zaczęła go tylko troszkę popędzać, próbowała przyspieszyć finał. Robiła aluzje, jak za nim tęskni, gdy musiał wracać do domu, jak bardzo chciałyby mieć dzieci, a lata lecą... Musiała być bardzo ostrożna, bo najmniej życzyłyby sobie, żeby w swojej szlachetności jej nie zostawił, oświadczając, że zasługuje na kogoś lepszego, ani żeby w swojej paranoi nie zaczął podejrzewać, że dziurawi prezerwatywy. To było... – Lucy zakrywa dłońmi twarz i wybucha śmiechem, w którym na dnie czai się płacz. – Jezu, gdyby to nie było takie chore, mogłoby się wydawać strasznie śmieszne.

– Jak zareagował na to Joe?

– Modliłam się, żeby dokonał aktu wielkiego zrzeczenia się Ash. Próbowałam mu nawet wysyłać fale telepatyczne. Nie żartuję. – Znowu ten ni to śmiech, ni to płacz. – Ale nie: szedł dokładnie tam, dokąd Ash go prowadziła. Trzy tygodnie temu, zaraz po Nowym Roku, powiedział jej, że odejdzie od żony.

McCann, który chwalił się matce Aislinn, że nigdy nie zostawi rodziny. Podarła te deklaracje na strzępy.

– Pewnie była zachwycona.

– Och, tak. – Lucy ociera dłońmi twarz. To wszystko dużo ją kosztuje. – Wniebowzięta. Tyle że Joe chciał z tym poczekać do lata. Jeden z jego synów robi w tym roku maturę; Joe nie chciał go wcześniej zdenerwować.

– Czyli Ash musiałyby jeszcze przez pół roku spotykać się z nim na zmianę z Rorym.

– Aha. W ogóle się nie ucieszyła. Rozpłakała się, oczywiście nie aż tak, żeby brzydko wyglądać, uroczo uroniła parę łez i powiedziała mu, że po maturze syna na pewno będzie coś jeszcze, mężczyźni nigdy nie zostawiają żon, że tak jej ciężko patrzeć, kiedy wraca do domu do innej kobiety i tak dalej. Ale Joe był nieugięty.

– I co z tym zrobiła?

– Boże... – Lucy krzywi się i zamyka oczy. – Była tak strasznie zagubiona. Przecież to było prawdziwe życie, nie? Małżeństwo z dwudziestopięcioletnim stażem, dzieci... Nie było mowy, żeby mogła się z tym równać. Bez szans. Mogła myśleć właściwie tylko o tym, żeby denerwować Joego. Ciągle była Dziewczyną Idealną, ale od czasu do czasu pokazywała mu jakieś zdjęcie czyjegoś dziecka na Facebooku i wzdychała albo zdarzało się jej wygadać, że flirtował z nią jakiś klient w pracy... Cały czas delikatnie go drażniła, pokazując mu, że może ją stracić, jeżeli nie ruszy tyłka.

– Wspomniała mu kiedyś o Rorym? – pytam. – A przynajmniej robiła aluzje?

– Żeby mu uświadomić, że ma jeszcze wybór? – Lucy kręci głową. – Nie. Też o tym myślałam. Zapytałam ją nawet o to wprost... raczej ostrzegłam... ale powiedziała, że nie. Zastanawiałam się jednak... Mówiłam pani, że Joe chciał mieć wgląd w jej telefon. Więc zastanawiałam się, czy Ash nie zostawiła sobie paru wiadomości od Rory'ego. Jeżeli więc Joe zaczął szukać...

Zostawiła. Jezu Chryste. Mam ochotę kilka razy grzotnąć głową o stolik. „Naiwna” to stanowczo za słabe słowo, żeby opisać tę dziewczynę.

– Właśnie tego się bałam – ciągnie Lucy – kiedy Ash mi powiedziała, że zaprosiła Rory'ego do siebie na kolację. Mogliby się spotkać gdziekolwiek, prawda? Gdyby chcieli pójść do łóżka, mogliby to zrobić u Rory'ego. Po co umówili się tam, gdzie mógł zajrzeć Joe?

– Chyba że właśnie na to liczyła – sugeruję.

– Aha. Może nawet nieświadomie, ale musiała wiedzieć, że nie da się tego wykluczyć. I coraz bardziej rozpaczliwie chciała zakończyć całą historię. Za każdym razem, jak spotykała się z Rorym czy nawet z nim rozmawiała, coraz bardziej traciła głowę. W głębi duszy chciała po prostu zapomnieć, że ta heca z Joem w ogóle się wydarzyła, i przez dwadzieścia cztery godziny na dobę

przytulać się do Rory'ego i chichotać z nim. Nie mogła się po prostu zmusić, żeby porzucić plan załatwienia Joego. Może w duchu liczyła na to, że Joe wpadnie, zobaczy Rory'ego, wścieknie się, obróci się na pięcie i odejdzie w stronę zachodu słońca. Podejmie za nią tę decyzję. – Lucy dostrzega moją minę. Obserwujemy się nawzajem już tak długo, że całkiem nieźle się znamy. – Wiem. Myśli pani, że nie wiem? Mówiłam, była zagubiona jak dziecko we mgle. Naprawdę mogła przypuszczać, że to tak będzie wyglądało. Po prostu.

Jezu Chryste.

– Gdyby...

– On to zrobił, prawda? – pyta Lucy. – To Joe zabił Aislinn.

– Musisz zachować w tajemnicy całą naszą rozmowę – mówię. – Ani słowem nie wspominaj o niej koleżankom, nigdy. Jasne?

– Jasne. Nikomu nie puszczałam o tym pary z ust przez parę miesięcy, więc tym bardziej nie zacznę kłapać dziobem teraz. Muszę tylko wiedzieć.

Nie będę McCannem, który wydziela informacje w pedantycznie odmierzonych kropelkach tylko wtedy, gdy w swojej oświeconej wszechwiedzy uzna, że to dla czyjegoś dobra.

– Tak – mówię. – Jestem prawie pewna, że to on.

Lucy przytyka do ust zgięty palec i przez dłuższą chwilę kiwa głową. To nie jest dla niej zaskoczenie, ale brzmi inaczej, kiedy słyszy to z moich ust. Potrzebuje czasu, by się z tym oswoić.

– Zrobił to celowo? – pyta. – Naprawdę próbował ją zabić, czy raczej stracił panowanie nad sobą i nie zdawał sobie sprawy...?

– Nie wiem.

– A wcześniej robił coś takiego? Nie chodzi mi oczywiście dokładnie o to samo, ale...

– Chodzi o to, czy powinnaś to była przewidzieć?

– Tak.

– Ja bym nie przewidziała – odpowiadam. – A znam McCanna dużo lepiej niż ty. Nie słyszałam ani jednej plotki, żeby kiedykolwiek uderzył żonę albo dał w pysk podejrzanemu. Wszyscy wiemy, kto to robi, kiedy uchodzi mu to na sucho, a kto nie. Nie jest agresywny.

– Chodzi o to, że naprawdę się bałam, że to się źle skończy. Powiedziałam Aislinn. – Lucy robi gwałtowny wdech. – Jeszcze we wrześniu, jak mi zdradziła, że zaciągnęła go do łóżka. Zapytałam ją... siedziałyśmy w pubie Flowing Tide, ale było na tyle głośno, że mogłyśmy rozmawiać... spytałam: „Mówiłaś mu kiedyś, że jestem twoją przyjaciółką?”. Ona na to, że nie, właściwie nie rozmawiali o niczym innym oprócz niego i tego, jaki to on jest niesamowity. Poprosiłam ją: „To nie mów. Powiedz mu tylko, że od czasu do czasu chodzisz ze mną na drinka”. Ash na to: „Dlaczego? Nie będę udawać, że nie jesteś dla mnie ważna”. – Po tych słowach

Lucy na sekundę przymyka oczy. – Ale powiedziałam jej: „Kiedy naciśniesz spust, on wpadnie w szal. Nie odwróci się na pięcie i nie pójdzie popłakać sobie nad piwem. Ty będziesz w Peru czy gdzie indziej, będziesz oglądać Machu Picchu i bzykać się z przystojnymi turystami, za daleko, żeby mógł cię dosięgnąć. Ale jeżeli się dowie, że jestem twoją przyjaciółką, będzie wiedział, że cię dosięgnie, jeżeli zrobi coś mnie”.

– „Zrobi coś” – powtarzam. – Czego się bałaś?

– Nie myślałam nawet o niczym konkretnym. Po prostu... Mieszkam tu zupełnie sama. Policjant mógłby zrobić wszystko: podrzucić mi, co zechce, zrobić, co zechce. Wolałabym się o tym nie przekonywać. Uznałam, że najbezpieczniej będzie trzymać się z dala od tego całego dramatu. – Odchyła głowę do tyłu. Prycha gorzkim śmiechem w stronę sufitu. To nie poszło zgodnie z planem. – Ale tak naprawdę nie chodziło nawet o to. Chodziło o to, żeby przemówić Ash do rozsądku: to nie jest zabawa. Autentycznie się bałam, że robi coś, co grozi prawdziwym niebezpieczeństwem. Wiedziałam, że ma to gdzieś, myślałam jednak, że jeżeli zda sobie sprawę, że ryzykuje też moje życie, może wreszcie posłucha.

– Ale nawet to nie przemówiło jej do rozsądku.

– Nie. – Nerwowe wzruszenie ramion. Nawet po wszystkim, co się stało, ciągle ją to boli. – Powiedziała, że jasne, wspomni mu o mnie, żeby pomyślał, że jestem dawną koleżanką ze szkolnych czasów. Zrobiła to tylko po to, żebym się zamknęła. Dla niej to nie było nic ważnego. Słyszała tylko historię, którą miała w głowie. Cała reszta na zewnątrz była tylko... – Lucy pokazuje dłonią kłapanie dzioba. – Pustą gadaniną. I powinnam to wiedzieć.

– Wkopała się po uszy – mówię. – Robiłaś, co mogłaś.

Kręci głową, jak gdybym nie zrozumiała.

– Nie. Mój błąd polegał na tym, że nigdy o tym nie pomyślałam. Wiedziałam, że Aislinn igra z ogniem, i wiedziałam, że Joe to nie jest człowiek, któremu można wyciąć taki numer. Jak zareaguje ktoś, kto uważa, że ma prawo decydować, czy masz wiedzieć, gdzie się podział twój ojciec, kiedy ktoś inny zrobi mu to samo? Ale o tym w ogóle nie pomyślałam. Przypuszczałam, że kiedy Ash go rzuci, może ją uderzyć, tak. Ale przede wszystkim bałam się, że postanowi spieprzyć jej resztę życia. Każe ją aresztować z jakiegoś lipnego powodu, wsadzi ją za kratki, każe jej przez lata wydawać tysiące na walkę ze zmyślonymi zarzutami, a potem będzie zaczynał wszystko od początku. Tak myślałam, kiedy przyszliście tutaj w niedzielę: że Joe wpadł do Aislinn, zobaczył tam Rory’ego i znalazł jakiś pretekst, żeby ją aresztować.

– Logiczne – przyznaję. – Też bym się tego bała.

– A tu coś takiego. – Lucy tak mocno oplotła frędzlami narzuty palce, że zbieleły i spuchły. – Teraz cały czas się zastanawiam... co by było, gdybym tamtego wieczoru poradziła Aislinn coś odwrotnego? Gdybym powiedziała:

„Postaraj się, żeby Joe wiedział, jak blisko ze sobą jesteśmy”. Gdyby wiedział, że Ash prawdopodobnie opowiada mi o wszystkim. Myśli pani, że wtedy... Powstrzymałby się przed...?

To by niczego nie zmieniło. Ułamek sekundy, w którym McCann postanowił zadać cios, trwał za krótko na jakiegokolwiek rachuby. Muszę jednak podtrzymać w Lucy wyrzuty sumienia.

– Nie wiadomo – odpowiadam. – Nie ma sensu robić sobie teraz wyrzutów. Lepiej zrób wszystko, co się da, żeby pomóc mi go przymknąć.

Unosi wzrok i patrzy mi w oczy.

– Powiedziała pani, że inni detektywi chcą się pani pozbyć – mówi, nie owijając w bawełnę. – Będzie pani jeszcze w wydziale, żeby go przymknąć?

– Zawsze dokładnie gówno mnie obchodziło, czego chcą inni detektywi – wyjaśniam.

– Pytam serio. Bo nie zamierzam przyjść i podpisywać zeznania o tym wszystkim, a potem czekać, aż Joe zrujnuje mi życie, jeżeli nic z tego nie będzie.

– Nie mogę ci zagwarantować, że McCann trafi do pudła – odpowiadam. – Nawet z twoim zeznaniem mamy na to może pięćdziesiąt procent szansy. Mogę ci natomiast zagwarantować, że jeżeli potwierdzisz wszystko, co mi powiedziałaś, w oficjalnym zeznaniu, jego życie już nigdy nie będzie wyglądało tak jak wcześniej. Dopilnuję tego i przyrzekam, że nie ruszę dupy z wydziału, dopóki nie będę tego pewna. Wystarczy?

Po chwili Lucy wzdycha i uwalnia palce z frędzli.

– Chyba musi – rzuca.

– Masz moją wizytówkę. Bardzo wątpię, by McCann próbował się na tobie zemścić; za duże ryzyko, zresztą niewiele by na tym zyskał, skoro rozmawiałaś ze mną. Poza tym będzie miał na głowie inne rzeczy. Jeżeli jednak stanie się coś, co cię zaniepokoi, jeżeli ktoś będzie ci zawracał głowę, nawet jeśli coś po prostu wyda ci się dziwne, dzwoń do mnie. Dobra?

Kiwa głową, wyginając palce, żeby przywrócić w nich krążenie, ale nie jestem pewna, czy w ogóle mnie usłyszała.

– Chciałam, żeby Ash doprowadziła swoją historię do szczęśliwego zakończenia – mówi. – Naprawdę chciałam. Nawet gdyby miało być tysiące kilometrów stąd, z turystą w Machu Picchu. Zasłużyła na to. Ale sama nie potrafiła chcieć, dopóki na horyzoncie był Joe. W ogóle nie widziała tego happy endu. Tyle miejsca Joe zajmował w jej głowie.

– A może widziała happy end doskonale. I chciała go, ale jeszcze bardziej chciała załatwić Joego. – Denerwują mnie już te psychologiczne pierdoły, a może niecierpliwie się dlatego, że siedzę i słucham o głupotach innych, a czeka mnie w cholerę roboty. Wstaję. – Skontaktuję się z tobą, gdy będziesz miała przyjść złożyć zeznanie. A na razie dziękuję. Bardzo.

Lucy wydaje cichy, zmęczony dźwięk, który brzmi jak śmiech.

– No i proszę – rzuca. – Siedzimy tu i planujemy, jak dać Ash to, czego chciała od początku. To chyba był jedyny sposób.

Odprowadza mnie do drzwi mieszkania, ale szybko zatrzaskuje je za mną i nie schodzi na parter. Lucy musi swoje wypłakać. Ja z kolei, nie mając nic innego do roboty, ruszam w dół po koślawych schodach, na których unosi się zapach zupy i zwiędłych kwiatów, w głowie tłucze mi się opowieść Lucy, podczas gdy próbuję wykombinować, co, do cholery, mam z nią zrobić.

Wsiadam do samochodu i sprawdzam wiadomości – podczas przesłuchania telefony się wycisza, bo prawo Murphy’ego mówi, że właśnie wtedy zawsze dzwoni twoja matka. SMS od Sophie: *Mam profil DNA z płynów na materacu. Mężczyzna, nienotowany. Daj mi próbkę twojego podejrzanego, zrobimy porównanie.* Steve przesłał mi plik audio z głosem Breslina, który tłumaczy mu, jaki w nim drzemie potencjał i że powinien zrobić wszystko, by go nie roztrwonić. Blondynka z Google’a dostała następne cztery miliony dołączających wiadomości z różnych serwisów randkowych. Kasuję jej konta.

Piszę do Steve’a: *Zadzwoń do mnie.* Potem włączam ogrzewanie, siedzę za kierownicą, starając się rozmrozić stopy zeszywniałe od przejmującego zimna w mieszkaniu Lucy, i obserwuję przechodzących obok ludzi. Irytują mnie. Ulicą ciągną dziesiątki osób, a w głowie każdej z nich tłoczą się różne historie, w które wierzą, historie, w które chcą wierzyć, i historie, w które kazał im wierzyć ktoś inny, a każda z nich tłucze o cienkie ścianki czaszki, wierząc i wygryzając dziury w kości, żeby się uwolnić i zaatakować kogoś innego, wcisnąć się do środka i przyssać do jego umysłu. Nawet urocza filigranowa studentka drepcząca w kwiecistej sukience, nawet powłóczący nogami staruszek z powłóczącym nogami spanielem wyglądają groźnie jak nosiciele wirusa ebola. Za cholereę nie mam pojęcia, co się ze mną dzieje. Może bierze mnie grypa.

Jedenaście minut później na ekranie mojego telefonu błyska imię Steve’a.

– Hej – mówię. – Możesz rozmawiać?

– Tak, ale krótko. Mam pogadać z personelem saloniku prasowego. Breslin jest w piekarni po drugiej stronie ulicy. Dostałaś plik?

– Tak. Posłuchaj. Kiedy pokazałam Lucy wiadomość od Aislinn, potrzebowała mniej więcej ćwierć sekundy, żeby rozpoznać tajemniczego chłopaka. Tylko że to nie był Breslin.

Zanim Steve zdążył się zdziwić, dociera do niego.

– Jezu. McCann?!

– Bingo.

– Jak to, do... Dlaczego?

Przedstawiam mu skróconą wersję. Gdy kończę, po chwili ciszy mówi tylko:

– O Jezu. – W jego głosie brzmi ostry ton.

– No, tym możemy się zająć później. Masz coś, co powinnam wiedzieć?

– Dostałem maila od swojego człowieka z sieci komórkowej – informuje mnie. – Pełny billing telefonu, z którego przyszło zgłoszenie.

– Da się udowodnić, że to numer Breslina?

– Nie. Cała lista to same numery dziennikarzy. W tym też i do... – Wiem, co usłyszę. Razem z nim wypowiadam to nazwisko: – Crowleya.

Breslin, wredny gnojek. Od samego początku otwierał listę podejrzanych o kapowanie, mimo to ogarnia mnie fala złości.

– Niech zgadnę – mówię. – Wcześniej rano w niedzielę.

– Za piętnaście siódma.

Z gardła wyrywa mi się chrapliwy śmiech.

– A potem przyszedł i palnął nam kazanie o lojalności w wydziale. Co za załgany wszarz! Breslin pomyślał, że jeżeli wokół sprawy zrobi się gorąco, podpiszę się pod Rorym Fallonem tylko po to, żeby się jej pozbyć. Wiedział, że ten kutas Crowley chwyci okazję, by mi dopieprzyć, więc rzucił mnie prosto w jego zęby. Dał mu cynk i kazał iść na całość: podrzucić sugestię, że nie nadaję się do tej roboty, dać zdjęcia, na których wyglądam jak wariatka w amoku. Zastrana gnida.

– Nic nowego – kwituje Steve. Napięty ton jego głosu sugeruje, że coś go gryzie, ale teraz o tym nie myślę. Mój problem z Crowleyem nie zaczął się w niedzielę rano.

– Z tego telefonu było więcej połączeń z numerem Crowleya? – pytam.

– Tylko to jedno. W ciągu ostatniego roku osiem telefonów do innych dziennikarzy, ale do Crowleya tylko w niedzielę rano.

Crowley zaczął się w czarodziejski sposób materializować latem zeszłego roku, potem pojawił się jeszcze cztery czy pięć razy. Jeżeli Breslin korzystał z tego telefonu, żeby naganiać dziennikarzy, to nie on ściągnął Crowleya do moich wcześniejszych spraw; zrobił to dopiero teraz. A ja siedziałam naburmuszona przy biurku, święcie przekonana, że wszystko w tej sprawie jest częścią wielkiego, złowrogiego spisku przeciwko mnie. Znowu czuję się jak ostatni cymbał.

– Powiedz mi jedno. – Napięcie w głosie Steve'a wzrasta o jeden stopień. – Skąd Breslin wiedział, że dostaliśmy tę sprawę?

– Bo zgłosił ją w Stoneybatter prawie dwie godziny wcześniej. Nawet jeżeli weźmiemy poprawkę na korki, karetki, mundurowych, wszystko jedno, sprawa musiała już wtedy trafić do wydziału.

– Nie. Pytam, skąd wiedział, że trafi akurat do ciebie i mnie? Crowley to cwana hiena; dobrze wie, co jest grane. Nie sprawiałby większych kłopotów na przykład O'Neillowi albo Wintersowi, gdyby to któryś z nich dostał sprawę; wolałby nie palić za sobą mostów i zachować dobre stosunki z nimi i ich kumplami. Był gotów przyczepić się tylko do nas. Breslin nie miałby po co dzwonić do Crowleya, chyba że już wiedział, że sprawa trafi do nas. A stary dał nam ją dopiero tuż przed siódmą.

Zapada ciężka cisza. Na linii między nami słyszę w tle wiatr, gdzieś w oddali wrzask dziecka i szum pustki.

– Może Breslin wiedział, że mieliśmy nocną zmianę – odzywam się w końcu. – Wie, że stary podrzuca nam wszystkie burdy domowe...

We własnym głosie słyszę, jak słabo brzmi ten argument.

– Skąd wiedział, że sprawa nie wpłynie dziesięć minut później i nie dostanie jej ktoś z pierwszej zmiany? – pyta Steve.

Zimne światło poranka w biurze wydziału czekającym na początek dnia. O’Kelly rzuca protokół zgłoszenia na moje biurko: *Wziąłem po drodze, powiedziałem, że zaniosę na górę, żeby nie zawracać głowy Bernadette...* Kiedy odpowiadam, mój głos brzmi spokojnie, wyraźnie i bardzo dziwnie:

– Breslin rozmawiał wcześniej ze starym.

– Masz jakiś inny pomysł, jak mógłby się dowiedzieć? – pyta Steve.

– Na tym billingu jest połączenie z numerem starego?

– Nie. Musiał skorzystać ze swojego zwykłego telefonu. Wiedział, że namierzemy numer, z którego dzwonił do Stoneybatter, więc nie chciał, żeby na billingu tego telefonu znalazł się numer szefa. Z listą dziennikarzy nie mógł nic zrobić, ale każdy może do nich dzwonić, a my nie mamy prawa ich zmuszać do ujawnienia źródeł informacji. Doszedł do wniosku, że z ich strony nic mu nie grozi.

O’Kelly przygląda się grafikowi z rękami w kieszeniach, kołyszając się na obcasach. *Będziecie potrzebowali wsparcia. Zaraz przychodzi Breslin. Weźcie go.*

– Stary wiedział od początku – rzucam. – Dał do sprawy Breslina, żeby miał nas na oku.

– Właśnie – zgadza się Steve. – Kurwa mać, Antoinette.

Nie możemy sobie teraz pozwolić na złość, podniecenie ani nic innego.

– Opanuj się – upominam go ostrym tonem.

Słyszę, jak ciężko wzdycha.

– Wiem – odpowiada.

– O której wracacie z Breslinem do wydziału?

– Prawie już skończyliśmy. Powiedzmy, że za czterdzieści pięć minut, góra godzinę.

– Podrzucę mu coś, żeby go zająć. Kiedy pójdzie gonić tego króliczka, spotkajmy się w ogrodzie przed centralą.

– Dobra. Muszę kończyć. – Steve się rozłącza.

Wydaje mi się, jakby ludzie mijający mój samochód przyspieszali kroku, popędzani wściekłym, niepowstrzymanym dudnieniem w głowach. Ciągle mam to dziwne uczucie, jak gdyby brała mnie gorączka. Nie mogę sobie dzisiaj pozwolić na gripę, nie mogę też tracić głowy.

Muszę jechać do Stoneybatter, ale najpierw wyłączam w telefonie identyfikację numeru, dzwonię do wydziału ogólnego i nieśmiałym głosikiem dziewczynki z ładnym akcentem klasy średniej pytam, czy mogłabym rozmawiać z detektywem Breslinem w sprawie zabójstwa Aislinn Murray. Przełączają mnie do zabójstw; kiedy w słuchawce odzywa się Bernadette i informuje mnie, że detektywa Breslina nie ma, ale może poprosić do telefonu kogoś innego, cała w nerwach mówię: „Nie, dziękuję bardzo, ale czy mogłabym mu zostawić

wiadomość?”. Bernadette uspokajająco głaszcze mnie po główce i przełącza na pocztę głosową Breslina.

– Tu detektyw Don Breslin. – Aksamitny głos jak z reklamy kawy. Pewnie nagrywał to kilkanaście razy. – Proszę zostawić wiadomość, oddzwonię. – Piiip.

Na wszelki wypadek odsuwam telefon parę centymetrów od ust.

– Hm, dzień dobry. Nazywam się... hm, naprawdę nie chciałabym... ale jestem znajomą Simona Fallona. Słyszałam, że pytał go pan o jego brata Rory’ego? No więc... też kiedyś spotykałam się z Rorym i robił rzeczy, o których chyba powinien pan... nigdy tego nie zgłosiłam, ale... Simon mówił, że jest pan bardzo miły. Jestem teraz w barze Top House w Howth... Przy stoliku obok kominka... Jeżeli mógłby pan przyjechać... Mogę tu zostać mniej więcej do czwartej. Jeżeli nie, to skontaktuję się innym razem albo... W każdym razie dziękuję. Do widzenia.

Odkładam telefon, wciskam gaz i z kopyta ruszam do Stoneybatter. To powinno zadziałać. Breslin wróci, sprawdzi wiadomości, spuści się w spodnie garnitur od Armaniego, skręci w przeciwną stronę i popędzi dowiedzieć się, co takiego strasznego zrobił Rory tej biednej dziewczynie. Zostawi Steve’a w biurze, na wypadek gdyby ta krucha istota miała opory przed opowiedzeniem tego dwóm groźnym detektywom naraz. O tej porze i przy tej pogodzie do Howth będzie jechał czterdzieści minut. Powiedzmy pół godziny czekania na Tajemniczą Laskę albo do czwartej, jeżeli naprawdę będziemy mieli szczęście. Potem czterdzieści minut na powrót. Przez co najmniej dwie godziny będziemy mieli ze Steve’em McCanna tylko dla siebie.

* * *

Pub Ganly’s jest pusty, jeżeli nie liczyć łysego barmana, który ustawia szklanki, nucąc sączącą się z radia piosenkę *Magic Moments* Perry’ego Como.

– O – mówi, kiwając głową na powitanie. – To pani. I co, wygrałem?

– Przeszedł pan do następnej rundy – odpowiadam. – Ta kobieta, którą pan wcześniej rozpoznał... Pamięta pan faceta, który wtedy z nią był?

– Mniej więcej. Mówiłem wam, nie był głównym przedmiotem mojej uwagi.

– Zerknie pan na kilka zdjęć i powie mi, jeśli go pan zauważy?

– Pani kolega był już u mnie wczoraj i prosił o to samo. Na nic mu się nie przydałem.

– Tak, mówił. Ale to inne zdjęcia.

Barman wzrusza ramionami.

– Spróbuję, czemu nie. Zrobię wszystko, żeby pomóc stróżom prawa i porządku.

Wyjmuję czystą kopię tablicy poglądowej z McCannem.

– Jeżeli zobaczy pan tu tego człowieka, proszę mi powiedzieć. Jeżeli go tu nie ma, proszę mi o tym powiedzieć. Jeżeli nie jest pan pewien, też proszę

powiedzieć. Zgoda?

– Chyba sobie poradzę. – Barman bierze kartę i długo, z namysłem przygląda się fotografiom. – Patrzcie państwo – mówi w końcu. – Zdaje się, że tym razem pani trafiła. Ten gość. – Stuka palcem w twarz McCanna.

– Na pewno?

– Głowy bym nie dał, ale mógłbym postawić pięć dych u bukmachera. Wystarczy to pani?

– Przyjmuję. – Znajduję długopis. – Niech pan postawi swoje inicjały przy zdjęciu, które pan rozpoznał. U dołu proszę napisać, gdzie go pan wcześniej widział, do jakiego stopnia jest pan pewien, że to on, i podpis.

Barman pisze, pochylając nisko głowę nad kartą.

– Przypomina pan sobie kogoś jeszcze, kto był tego wieczoru w pubie? – pytam. – Kogoś, kto mógł zwrócić uwagę na tych dwoje?

– Och, za dużo pani ode mnie wymaga. Nie sprawdzam obecności na początku każdego wieczoru.

– Może będę musiała kiedyś przyjść i pogadać ze stałymi klientami. Postaram się to zrobić dyskretnie.

– Miałem przeczucie, że zanoszą się na coś takiego. – Barman oddaje mi kartę i długopis. Ma piękne, drobne pismo, które zasługuje na wieczne pióro i gruby czerpany papier, nie na to. – Jak będzie pani rozmawiać z tym facetem, proszę mi powiedzieć, że nie jest tu mile widziany. Nie pytam pani, czy coś zrobił tej dziewczynie. Mówię tylko, że ludzie przychodzą tu po odrobinę spokoju. – Posyła mi jeszcze przeciągłe spojrzenie, biorąc dwie następne szklanki. – Nie chciałbym dostać pani roboty za żadne skarby świata – dodaje.

* * *

Mundurowy na posterunku w Stoneybatter twierdzi, że głos z próbki może należeć do gościa, który zadzwonił w niedzielę rano, chociaż wydaje mu się, że tamten gość mówił trochę inaczej, nie potrafi wytłumaczyć jak, ale nie tak samo, może trochę wyższym głosem, może z akcentem z Meath albo z Kildare, dokładnie nie potrafi sobie przypomnieć. Żadna niespodzianka; gdybyśmy nawet nie zaćmili mu pamięci tym bezsensowym okazaniem głosów, to nie tylko ja potrafię wydawać z siebie dziwne głosy. Nic więcej już nie wskóramy.

Jest pora lunchu. Po drodze wstępuję do ulubionego Tesco Rory'ego, kupuję dwie butelki coli i dwie kanapki z mnóstwem mięsa – zapowiada się długie popołudnie – po czym wracam do centrali. Deszcz ze śniegiem zostawia na przedniej szybie duże, brudne placki, ale kiedy zbliżam się do zamkowego ogrodu, przestaje padać. Wybieram kawałek murku osłonięty krzakami, niewidoczny z okien, i papierowymi serwetkami zbieram większość wody, a potem siadam, żeby rozpakować kanapkę. Po mokrej trawie żałośnie skaczą dwa małe ptaszki. Kiedy

rzucam im kawałek bułki, z panicznym trzepotem skrzydeł pierzchają w krzaki.

Ledwie wbijam zęby w kanapkę, gdy w bramie pojawia się Steve; idzie szybkim krokiem ze spuszczoną głową, jak gdyby w ten magiczny sposób mógł ukryć rude włosy przed wzrokiem kogoś stojącego w jednym z okien.

– Hej – mówi.

– Cześć. Breslin wyszedł?

Steve ściera z wierzchu murek i siada obok mnie.

– Właśnie dał nogę. Dostał wiadomość od jakiejś dziewczyny z Howth?

– Aha. Chyba niewiele mu pomoże. Jadłeś już lunch?

– Nie.

– Masz.

Podaję mu drugą kanapkę. Steve bierze ją i trzyma w obu rękach, nie rozpakowując.

– Masz coś dobrego?

– Niepewne rozpoznanie twarzy przez barmana. Z mundurowym w Stoneybatter kłapa. Sophie ma profil DNA mężczyzny z próbek zdjętych z materaca.

– Co robimy? – pyta.

– Musimy pogadać z McCannem – odpowiadam.

Nie sposób dłużej tego odwlekać. Za dwie, najdalej trzy godziny wróci Breslin, pełen podejrzeń, i będzie chciał aresztować Rory'ego. Zostały nam tylko te dwie godziny.

Steve kiwa głową.

– Jak?

Mamy tyle broni do dyspozycji. Wybierasz odpowiednią, obserwując innych detektywów, wyławiasz z krążących po wydziale opowieści, wymyślasz własną i podajesz dalej; odkładasz każdą z nich w bezpiecznym miejscu, żeby czekała na dzień, w którym będzie ci potrzebna. Kiedy trafiasz do zabójstw, masz już zebrany taki arsenał, że możesz zetrzeć na proch całe miasta.

Wchodzisz do pokoju przesłuchań z pięciokilogramowym naręczem papierów, a podejrzany myśli, że tyle na niego masz. Kładziesz na wierzchu taśmę wideo, więc sądzi, że masz dowód nagrany kamerą. Przerzucasz papiery, zatrzymujesz palec w jakimś miejscu i zaczynasz coś mówić, ale gryziesz się w język – „Nie, zostawimy to na później” – i przechodzisz do następnego punktu, żeby podejrzany dręczył się domysłami, co takiego odkładasz. Wyjmujesz dyktafon – „Mam okropne pismo, mogę z tego skorzystać, zamiast notować?” – by później, kiedy wyłączysz urządzenie i nachylisz się poufale, pomyślał, że masz mu do powiedzenia coś prywatnie; zapomina o wszystkich rejestratorach w pokoju przesłuchań, które pracują pełną parą. Czytasz z telefonu nieistniejące wiadomości i wymieniasz z partnerem enigmatyczne uwagi („Rewizja poszła super, chłopcy

mieli szczęście”). Ostatnio przeprowadzasz aplikacją w telefonie niby-test na wykrywaczu kłamstwa: wciskasz facetowi kit o polach elektromagnetycznych i polecasz mu po każdym pytaniu przycisnąć kciuk do ekranu telefonu, a kiedy dojdiesz do odpowiedzi, w której kłamie, przesuwasz palec i na ekranie rozbłyskują czerwone wykresy i komunikat KŁAMSTWO KŁAMSTWO KŁAMSTWO. Mówisz mu, że żywa ofiara nie żyje i nie może zaprzeczyć jego zeznaniu albo że nieżyjąca żyje i może zeznawać. Mówisz mu, że nie możesz go wypuścić, dopóki nie wyjaśnicie jakiejś kwestii, ale jeżeli zechce od razu powiedzieć, co się stało, będzie mógł wrócić do domu i zdąży zasiąść z herbatką na kanapie, by obejrzeć następny odcinek *Downtown Abbey*. Mówisz mu, że to nie była jego wina, że ofiara sama się o to prosiła, mówisz, że każdy na jego miejscu zrobiłby to samo. Mówisz mu, że świadkowie słyszeli, jak opowiadał, że uwielbia porno z dziećmi, mówisz mu, że, według opinii patologa, posuwał zwłoki, dopóki nie zaczęły się rozpadać, bombardujesz go najbardziej makabrycznymi detalami, jakie przychodzą ci do głowy, dopóki nie może się powstrzymać od wrzasku, że to kompletne bzdury, że to wcale tak nie wyglądało; wtedy unosisz brew i pytasz: „W takim razie jak to wyglądało?” i słuchasz jego relacji.

Cała nasza broń tym razem jest bezużyteczna. McCann zna ją na pamięć, dopasował jej kształt do swojej ręki, używając jej przez długie lata, zanim pierwszy raz ją zobaczyliśmy. Wchodzimy w to zupełnie odsłonięci.

– Pogadamy z nim – mówię. – Nic innego nie możemy zrobić.

– Nie będzie chciał odpowiadać.

– Chce nam opowiedzieć swoją historię. Wszyscy tego chcą. W głębi duszy chce, żebyśmy wiedzieli, że łączyła go z Aislinn prawdziwa miłość, a to, w co się bawiła z Rorym, było tak cholernie bezsensowne, że aż prosiło się o porządnego klapsa. Zobaczmy, ile da się z niego wyciągnąć na ten temat.

– Skupimy się na ich związku – sugeruje Steve. – Na niczym więcej. Nie możemy nawet wspomnieć udziału Breslina, bo McCann z lojalności zamknie się i nie puści pary z ust. Pogadajmy tylko o Aislinn.

– Mamy jeden granat – zauważam. – Kiedy Breslin dowiedział się, że tamto pudło jest pełne akt sprawy Desmonda Murraya, wyraźnie mu ulżyło. Czyli nie wiedział, że pracował nad nią McCann. Czyli co najmniej dwa dni wcześniej McCann jeszcze tego nie skojarzył: nie wiedział, że Aislinn to córka Desa Murraya. Nie wiedział, że od początku był jej ofiarą.

– Zostawimy to na potem – mówi Steve.

– Aha. Powinno zdrowo huknąć.

Ptaszki zapomniały o strachu i wracają dziobać w trawie. Breslin jest już za rzeką i jedzie na północ.

– Gdzie to zrobimy? – pyta Steve.

Zastanawiałam się nad tym w samochodzie w drodze do wydziału i przez

cały czas, kiedy czekałam na Steve'a.

– W pokoju przesłuchań.

Obraca się twarzą w moją stronę.

– Tak myślisz? Moglibyśmy opróżnić pokój operacyjny. Albo nawet wyjść tutaj.

– Nie. Jeżeli wywalimy wszystkich z pokoju operacyjnego, równie dobrze możemy wywiesić tabliczkę, że odbywa się tu coś ściśle tajnego. W każdym razie, od tej pory musimy dokumentować wszystko, jeżeli chcemy mieć przynajmniej cień szansy na oskarżenie.

– Domyśli się. Jak tylko wejdziemy do pokoju przesłuchań, będzie wiedział.

– I tak będzie wiedział. Wszystko jedno, dokąd z nim pójdziemy, nie ma mowy, żeby dłużej niż pół minuty udawać, że chodzi o sympatyczną rozmowę towarzyską. Kiedy wspomnimy o jego znajomości z Aislinn, będzie wiedział.

Myśl o tej chwili przebiega nam przez głowy jak ciemna drobina śniegu z deszczem. Zamyka nam usta.

Pałaszujemy kanapki, dodajemy kofeinę w postaci coli. Potem ruszamy do budynku wydziału zabójstw, wchodzimy przez lśniące czarne drzwi z zamkiem cyfrowym, którego kod moje palce potrafią wstukać przez sen; mijamy Bernadette, witając ją skinieniem głowy. Zdejmujemy płaszcze i wieszamy w naszych szafkach, zdejmując torbę z ramienia i ją chowam. Steve znajduje kopię zdjęcia rodzinnego z akt sprawy Desmonda Murraya i wsuwa do kieszeni marynarki; robię telefonem zdjęcia tablic poglądowych z fotografiami, a potem wpycham je na dno szafki, licząc w duchu na to, że dzisiaj nikt się nie włamie, żeby znowu do niej nasikać. Podwójny trzask metalowych drzwi odbija się głośnym echem od kafli w niewielkim, ciemnym pomieszczeniu.

Ramię w ramię wchodzimy po szerokich marmurowych schodach prowadzących do biura wydziału, słysząc przytłumiony tupot naszych kroków, który wspina się razem z nami w górę klatki schodowej. Idziemy bez naręcza papierów, bez wideokaset, bez dyktafonów. Idziemy z pustymi rękami.

* * *

Biuro wydziału jest prawie puste, wszyscy są w terenie albo na lunchu. Ten widok przypomina mi niedzielny poranek, tuż przed wejściem starego, który zwałił nam na głowę tę sprawę. Cisza, lekko zmacona przez dobiegający z dala szum samochodów; białe światło jarzeniówek, które szczelnie oddziela pomieszczenie od napierających na okna gęstych, szarych chmur i nadaje ukryty sens porozrzucanym papierom i zapomnianym kubkom z kawą. I moja myśl, że ten pokój naprawdę mógłby być cudownym miejscem.

McCann siedzi zgarbiony w swoim kącie i dwoma palcami stuka w klawiaturę komputera. Za każdym razem, gdy go widzę, wygląda gorzej. A ja,

cholerna idiotka, prosiłam Fleasa, by się rozglądał za kimś, kto ma ciężki tydzień. W tych workach pod oczami mogłyby się zmieścić wszystkie akta sprawy.

– McCann – mówię. – Możesz nam poświęcić parę minut? Potrzebujemy pomocy.

Unosi wzrok znad komputera i już wie.

Przez sekundę myślę, że się wykręci: sam mam mnóstwo roboty, dajcie mi spokój, na razie. Ale chce wiedzieć, co mamy. I jest weteranem; my – ciągle żółtodziobami, którzy nie potrafią nawet zrobić pierwszego kroku, żeby nie trzasnęła gałązka. Steve przestępuje z nogi na nogę, ja pocieram dłonią usta. McCann nie jest w stanie się oprzeć. Dochodzi do wniosku, że może to zrobić, nie ma sprawy, i wyjść z tego cało.

– No dobra. – Wciska ZAPISZ i wstaje.

O'Neill i Winters, studiujący w skupieniu protokół przesłuchania, ledwie zerkają w naszą stronę.

– Dzięki – mówi Steve, kiedy wchodzimy po schodach. – Jesteśmy ci naprawdę wdzięczni.

– Aha. W czym trzeba wam pomóc?

– W sprawie Aislinn Murray – rzucam przez ramię. Twarz McCanna nie zmienia wyrazu. – Musimy znaleźć tylu świadków, ilu się da. Możemy wejść tutaj? – Otwieram drzwi do ładnego pokoju przesłuchań, tego pastelowożółtego, wyposażonego w kawę w saszetkach, gdzie drugi raz przesłuchiwalismy Rory'ego, i z nadzieją spoglądam na McCanna.

Burczy pod nosem. Wybiera jedno z krzeseł po stronie przeznaczonej dla detektywów, tyłem do lustra weneckiego, i lekko nim kołysze, sprawdzając, czy jest całe.

– Dla mnie herbata – mówi, opadając na nie ciężko. – Z odrobiną mleka, bez cukru.

– Na pewno możesz? Dobrze się czujesz? – dopytuje się Steve, posłusznie ruszając po czajnik. – Nie chcę się wtrącać w osobiste sprawy, ale wyglądasz dość marnie.

– Dzięki.

– Małżonka w tym tygodniu nie prasuje? – pytam z uśmiechem, który może oznaczać wszystko. – Jesteś w niełasce?

– Wszystko gra. A jak twoje życie osobiste?

– Do dupy – odpowiadam. Śmiejemy się oboje ze Steve'em; McCann zdobywa się na coś, co w zamyśle ma być uśmiechem, tyle że wyszedł z formy. – Jesteś żonaty od dwudziestu pięciu lat, mam rację? Jak to się robi?

– Od dwudziestu sześciu. Po to wam byłem potrzebny? Chcecie porad sercowych?

– Nie. Pozwolisz, że to włączymy? – Nie czekając na odpowiedź,

uruchamiam kamerę.

McCann gwałtownie ściąga brwi; nie sądził, że będziemy aż tak bezczelni.

– Kurwa, po co ci to cholerstwo?

– Bo mam paranoję. Na przykład, parę miesięcy temu przyszło mi pomóc Roche'owi przesłuchiwać mamuszkę jakiegoś bydlaka. Tak ją przycisnęłam, że wycofała się z fałszywego alibi. A potem Roche powiedział szefowi, że to jego zasługa. – Przysuwam sobie krzesło naprzeciwko McCanna, miejsce dla podejrzanego. – Odtąd wszystko filmuję. Zastanawiam się nawet, czy nie sprawić sobie kamery przypinanej do ubrania.

– Szczerze mówiąc – wtrąca Steve ze skrucną w głosie, wrzucając do kubków torebki z herbatą – najlepiej jest rejestrować zeznania świadków, kiedy tylko mamy...

– Jezu Chryste – przerywa mu McCann. – Rejestrujcie sobie, co chcecie.

– Rany – mówi Steve. Ze wstydu prawie zwija się w kłębek i popatruje na McCanna wzrokiem zbitego szczeniaka, błagając go, żeby nie miał mu tego za złe. – Naprawdę przykro mi z tego powodu. Najchętniej w ogóle nie zawracalibyśmy ci tym głowy. Gdyby chodziło o jeden dowód, wcisnęlibyśmy go po prostu gdzieś w głąb akt i dali sobie spokój, nie zabieralibyśmy ci czasu. Ale... przychodzą ze wszystkich stron. Uznaliśmy, że lepiej będzie je opanować i od razu wyjaśnić.

– Przynajmniej miałaś na tyle rozsądku, żeby mu dać rolę dobrego gliny – zwraca się do mnie McCann. – Nie wyobrażam sobie, jak ty byś sobie z nią poradziła.

Steve parska zakłopotanym śmiechem.

– Spryciarz z ciebie. – Kręcę ze smutkiem głową. – Nie ma sensu mydlić ci oczu. Nie marnowałibyśmy swojego ani twojego czasu.

– Marnujesz mój czas. Czego chcecie?

– Nareszcie jesteś na właściwym miejscu – informuję Steve'a. Z zażenowanym półśmiechem podchodzi do stołu ze wzrokiem utkwionym w trzech pełnych kubkach, które ostrożnie niesie w obu rękach. Stawia je przed nami i przysuwa sobie dodatkowe krzesło obok mnie. McCann siorbie herbatę i krzywi się.

– Od razu postawmy jasno jedną rzecz – mówię – i oszczędźmy sobie trochę czasu. Miałaś romans z Aislinn Murray.

McCann cmoka i wpatruje się we mnie, nie próbując nawet ukrywać obrzydzenia.

– Ty mała kolaborantko.

Zaskakuje mnie fakt, że słysząc to, nie potrafię wykrzesać z siebie nawet odrobiny złości.

– Mamy świadka, który widział, jak podrywasz Aislinn i bierzesz od niej numer telefonu – mówię. – Ta osoba rozpoznała cię na zdjęciu. Mamy świadka,

który widział, jak ty i Aislinn byliście razem na drinku w Ganly's. Też rozpoznał cię na zdjęciu. Mamy świadka, który widział cię w pobliżu Viking Gardens co najmniej trzy razy w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. Rozpoznał cię na zdjęciu. Wszyscy rozpoznają cię podczas konfrontacji, jeżeli nas zmusisz do jej przeprowadzenia. Naprawdę muszę się bawić w te bzdury, czy możemy od razu przejść do rzeczy?

McCann pije herbatę i myśli. Widzę, jak ustawia w głowie pionki i szykuje się do gry, próbując przewidzieć przebieg partii na kilkanaście ruchów do przodu.

Wystarczy, że rzuci: „Nie mam nic do powiedzenia”. Proste. Odgrodzi się tym murem, żeby odbijał się od niego każdy rzucany przez nas dowód, dopóki nie wyczerpie się nam ich zapas, a potem spokojnie wstanie i wyjdzie. To naprawdę jedyna nieidiotyczna rzecz, jaką można zrobić w takiej sytuacji, i wie o tym każdy detektyw na świecie. Wszystkim nam nieraz opadały szczęki, gdy jakiś bałwan naprawdę decydował się mówić, podczas gdy wystarczyłoby, żeby zamknął gębę, i wróciłby do domu; wszyscy widzieliśmy, jak zawodowcy krzyżowali ręce na piersi i w kółko powtarzali: „Nie mam nic do powiedzenia”, dopóki nie daliśmy za wygraną i ich nie wypuściliśmy. Wszyscy myśleliśmy: gdyby to na mnie trafiło, morda w kubel i tyle. Wszyscy wiemy na pewno, że jeżeli kiedykolwiek nas zatrzymają, to niezależnie od tego, czy będziemy winni, czy nie, nie usłyszą od nas nic innego oprócz „Nie mam nic do powiedzenia”.

McCann nie może się do tego zmusić. Gdy tylko oświadczy: „Nie mam nic do powiedzenia”, straci grunt pod nogami jako detektyw, być może na zawsze. Gdy tylko z jego ust padną te słowa, przestanie się różnić od byle ćpuna, złodziejaska ze sklepu czy zboczeńca obmacującego dziewczyny w autobusach; zostanie podejrzanym.

– Znałem Aislinn Murray – mówi. – Spotkaliśmy się kilka razy.

– Nic więcej? – pytam.

– Nic.

– Byłeś kiedyś u niej w domu?

Trybiki w jego głowie znowu się obracają, analizując możliwość, czy udało nam się coś ukryć przed Breslinem, jakieś odciski palców, które przeoczył podczas sprzątania, cokolwiek, co mogłoby go pogrążyć.

– Tak – przyznaje w końcu. – Na herbacie, żeby pogadać.

– Byłeś z nią kiedyś w łóżku?

– Macie powody, żeby zadawać mi takie pytanie?

Spoglądamy na siebie ze Steve'em. McCann nie reaguje.

– Mamy próbki DNA mężczyzny zdjęte z jej materaca.

– To nie moje.

– Chcesz powiedzieć, że używałeś prezerwatyw. Ale to nie sperma, tylko pot.

McCann znów sięga w głąb pamięci.

– Jesteśmy prawie pewni, że w ciągu ostatnich dwóch lat Aislinn nie spała z nikim innym – podsuwam usłudźnie.

Ani drgnie. Dalej rozważa i kalkuluje. Po chwili kiwa głową.

– Tak. Raz na jakiś czas szliśmy do łóżka.

I tak czynności wstępne mamy za sobą. Karty, które wszyscy troje możemy odkryć, leżą już na stole. Jak podczas szybkiej fazy wstępnej w grze planszowej, gdy poświęca się jedno, by zyskać drugie, i wkrótce wspólnym wysiłkiem na planszy robi się dużo miejsca, które czeka na prawdziwą, decydującą bitwę.

– Rany – mówi ze smutkiem Steve, przeczesując palcami włosy. – O rany. Ze wszystkich dziewczyn w mieście musiałeś wybrać akurat przyszłą ofiarę zabójstwa?

McCann wzrusza ramionami i pociąga łyk herbaty.

– Co mogę powiedzieć? Nie wyglądała na taką.

– Powinieneś nam powiedzieć – odpowiada karcącym tonem Steve. – Gdy tylko sprawa do nas wpłynęła.

Oczy McCanna prześlizgują się po nas, jakby nie warto było zatrzymywać na nas wzroku.

– Powiedziałbym, gdyby to byli inni detektywi.

– Przecież nie zadzwonilibyśmy do twojej żony, żeby cię wsypać.

– Tak twierdzisz. Mówisz mi, że stanęłabyś po stronie wydziału? Zobacz, gdzie jesteśmy.

– Przecież wiesz, że to trzeba zrobić – przekonuje ze zmartwioną miną Steve. – Naprawdę. Co, twoim zdaniem, mamy zrobić? Zignorować to, oskarżyć Rory'ego i ryzykować, że jego obrona dokopie się do tego i rzuci nam w twarz w połowie procesu?

– Chcę, żebyście mieli trochę szacunku. Jeżeli macie coś takiego i chcecie o tym pogadać, róbcie to na osobności. Kurwa mać, nie w pokoju przesłuchań. I nie przy włączonej kamerze. Jezu. – Posyła wściekłe spojrzenie spod półprzymkniętych powiek w stronę obiektywu.

– Tak bym zrobiła, gdybym była innym detektywem – mówię. – Ale ten wydział tak mi już dosrał, że teraz wszystkie ważne rzeczy wolę mieć na papierze i na taśmie. Postaramy się to zachować dla siebie, ale niczego ci nie obiecuję, dopóki się nie dowiem, z czym właściwie mam do czynienia.

To najstarszy numer na świecie. McCann wydyma usta.

– Będę o tym pamiętał.

– No to słuchamy – rzucam. – Zaczynaj od swojego pierwszego spotkania z Aislinn. Kiedy, gdzie, jak?

Odchyła się na krześle, wyciąga przed siebie nogi i zakłada ręce, sadowiąc się jak najwygodniej.

– W Horgan's. Latem zeszłego roku... daty nie pamiętam.

– Tym się nie przejmuj. Możemy się dowiedzieć. Widywałeś ją tam wcześniej?

– Nie.

– Na pewno zwróciłbyś na nią uwagę.

– Na pewno. Wszystkie chłopaki zwracały na nią uwagę. Pewnie niektóre dziewczyny też. – Drwiące spojrzenie w moją stronę.

– Nie dziwię się – mówię. – Widziałam zdjęcia. Skąd u ciebie taki tupet, żeby ją poderwać?

– Nie podrywałem jej. Sama do mnie podeszła.

Wybucham gromkim śmiechem.

– No jasne. Śliczna dwudziestoparolatka, która mogłaby mieć każdego faceta w pubie, rzuca się na jakiegoś gościa w średnim wieku z twarzą w zmarszczkach i piwnym brzuchem. Po prostu nie chciała się odczepić... Czy biedaczysko miał inne wyjście?

Siedzi z rękami skrzyżowanymi na piersi i ani drgnie.

– Naprawdę. Nie zachowywała się bezczelnie, to by mnie odrzuciło. Ale to ona pierwsza dała mi znak, że jest zainteresowana.

Ciągle unoszę brew.

– Jezuu, daj spokój – zwraca się do mnie rozsądnym tonem Steve. – Ludzie mają różne gusta. Tylko dlatego, że ktoś nie jest w twoim typie...

– Wolę na tyle młodych, żebym miała z nich jakiś pożytek – zwracam się do McCanna i puszczam do niego oko. – I przystojnych.

– A co, płacisz za to? – Zaczynamy go irytować.

– ...to nie znaczy, że nie może się podobać innym dziewczynom – kończy Steve. – Zdarza się.

– Zdarza – przyznaję. – W serialach. Za każdym razem, gdy włączam telewizor, widzę młodą laskę z jakimś ropuchem, który mógłby być jej ojcem. Twoim zdaniem, to jest odcinek *Fair City*?

– Och, Conway. Nie tylko w serialach. To się również zdarza naprawdę.

– Chyba że jesteś Donaldem Trumpem. Ukrywasz coś przed nami, Joey?

W tajemnicy przed światem jesteś milionerem?

Nie podoba mu się ten „Joey”, ale maskuje to krzywym uśmiechem.

– Chciałbym.

– Nie wszystkim chodzi tylko o pieniądze – zauważa Steve. – Może po prostu spodobał się Aislinn. Nie ma w tym nic złego.

– Być może. Jesteś podobny do George'a Clooneya, Joey? Kiedy na przykład masz wolne?

– Sama powinnaś wiedzieć.

Krzywię się i poruszam dłonią w geście niezdecydowania.

– Wiem tylko tyle, stary, że jakoś sobie tego nie wyobrażam. Dlatego umieram z ciekawości: Dlaczego padło akurat na ciebie? Nie mów mi, że nigdy się nie zastanawiałeś.

McCann poprawia się na krześle. Wkłada ręce do kieszeni.

– Leciała na mundur – wyjaśnia.

Właśnie tak wcześniej przypuszczaliśmy. Aislinn wyprowadziła nas wszystkich w pole. Steve i ja musimy wiedzieć, czy McCann dalej w to wierzy.

– Taka superdziewczyna jak ona idzie upolować gliniarza i wraca z tobą jako trofeum? – pytam. – Serio?

McCann porusza szczęką.

– Byłem pod ręką.

– I cały tłum innych. W Horgan's przesiadują sami gliniarze. Dlaczego akurat ty?

– Bo chciała detektywa. Lubiała słuchać o robocie: jakie prowadziłeś sprawy, jak to wyglądało, co potem zrobiłeś? To ją podniecało. Wiesz, co mam na myśli? – Jego uśmiech wygląda obłeśnie. Nawet nie mrugam okiem. – Wybrała mnie, bo po moim wieku i porządnym ubraniu odgadła, że jestem detektywem... znała się na rzeczy. A kiedy usłyszała, że pracuję w zabójstwach, to jej wystarczyło. Oczy jej zabłyśły. Musiałbym ją powstrzymać siłą. Po co miałbym to robić? Widzieliście, jak wyglądała.

– Bo jesteś żonaty? – sugeruję. – Podobno dla niektórych to oznacza, że nie pakują fiuta tam, gdzie im się żywnie podoba.

McCann wzrusza jednym ramieniem.

– Poszliśmy parę razy do łóżka. Zdarza się. To nie było nic wielkiego.

Niezły ruch. Jeżeli z Aislinn chodziło tylko o łóżko, nie miałby powodu, żeby zabić ją za to, że miała innego chłopaka.

– Robisz to regularnie, tak? – pytam. – Zdradzasz żonę?

– Nie.

– Zrobiłeś to już wcześniej?

– Nie.

– W takim razie co takiego wyjątkowego było w Aislinn?

– Nigdy wcześniej taka wystrzałowa dziewczyna nie przystawiała się do mnie. A między mną a żoną ostatnio nie układa się najlepiej. Więc pomyślałem sobie: czemu nie?

Wymieniamy ze Steve'em ukradkowe spojrzenie, pozwalając, żeby McCann to zauważył.

– Urocza historia – stwierdzam. – Taka romantyczna. Ale nie pasuje do wersji Lucy Riordan.

McCann kręci głową.

– Kto to jest Lucy Riordan?

– Najlepsza przyjaciółka Aislinn. Niewysoka. Tleniona blondynka z włosami dotąd... Brzmi znajomo?

Wybuchła śmiechem, odsłaniając zęby jak zły pies.

– Ta mała lesba? Nie dziwię się, że ma inną wersję. Nie była najlepszą przyjaciółką Aislinn, wszystko jedno, co wam mówiła. Przyczepiła się do Aislinn, bo była w niej nieprzytomnie zakochana. Dlatego dostała piany, kiedy Ash znalazła sobie faceta. To jasne, że opowie wam jakąś bajeczkę, w której będę tym złym.

– Gdzie poznałeś Lucy? – pyta Steve.

– Przecież już wiecie. To jest ten wasz świadek, który widział, jak poznałem Aislinn, myślicie, że nie...

– Musimy poznać twoją wersję.

McCann znowu odchyła się na oparcie krzesła, krzyżuje ręce na piersi i patrzy na nas, pogardliwie wydymając wargi.

– Jesteście oboje żałośni. Zdajecie sobie sprawę? Próbujecie na mnie swoich śmiesznych numerów z przesłuchań, zmieniacie temat. Robiłem to z różnymi bydlakami, prawdziwymi bydlakami, kiedy wy wyciskaliście sobie jeszcze przyszcze i całowaliście plakaty z gwiazdkami popu. Naprawdę myślicie, że dam się na to nabrać?

– Nie chodzi o to, żebyś dał się nabrać – mówi urażony Steve. – Liczymy na to, że nam pomożesz.

– Gdzie poznałeś Lucy? – pytam.

– Nie powiedziała o tym w swojej wersji?

– Rany, daj już spokój. – Steve pochyla się nad stołem. – Wiesz tak samo dobrze jak my, że próbujemy utopić jej wersję. Myślisz, że chcemy zrobić z ciebie sprawcę? Serio? Jeżeli się dowiemy, że ty to zrobiłeś, mamy przesrane. Myślisz, że chcemy siedzieć tam za szybą i zastanawiać się, czy postawić zarzut zabójstwa jednemu z naszych?

McCann obraca na mnie głęboko osadzone oczy. Ma o wiele lat dłuższe niż ja doświadczenie w zachowaniu kamiennej twarzy; nie potrafię z niej nic wyczytać.

– Nie masz powodu kochać tego wydziału – mówi. – Tak czy tak, masz przesrane, więc równie dobrze możesz pociągnąć kogoś za sobą na dno.

Mimo że wiem, do czego zmierza, jego rzeczowy ton wywołuje we mnie zimny dreszcz.

– Do ciebie nic nie mam – odpowiadam. – Nigdy nic mi nie zrobiłeś.

Kiwa głową.

– Jeżeli masz chociaż trochę rozsądku, wyjdiesz z tego cało – mówi. – Daję ci dobrą radę, taką samą, jaką dałbym jednemu ze swoich młodych chłopaków, gdyby siedział teraz na twoim miejscu. Nie zrobiłem tego, więc nie udowodnicie, że zrobiłem. Jeżeli spróbujecie, będziecie mieli przesrane. Wtedy możecie zapomnieć o odejściu z wydziału; będziecie musieli odejść z policji. Może nawet

wyjechać z kraju.

Wszyscy mówimy podejrzanemu, że jego życie jest skończone, jeżeli nie zrobi tego, czego od niego chcemy. Mimo to zimny dreszcz przenika mnie coraz głębiej.

– Gdzie poznałeś Lucy? – pytam.

Po chwili McCann wolno i ociężale kręci głową.

– Dobra, to wasz problem. Przyszła do Horgan's razem z Aislinn... żeby mieć na nią oko. Aislinn siedziała w błyszczącej sukience, sączyła drinka, ściągała spojrzenia wszystkich i mogła sobie wybrać, kogo tylko chciała. Ta druga ze zbolaną miną kasowała wzrokiem każdego, kto próbował uważniej przyjrzeć się jej przyjaciółce. Aislinn powiedziała mi później, że Lucy zaciągnęła ją do pubu, bo chciała się jej wypłakać w mankiet, że nie może sobie znaleźć chłopaka... – McCann unosi kącik ust; przez chwilę jego twarz wygląda wręcz łagodnie. – Była naprawdę naiwna w wielu sprawach. Jak dziecko. Naprawdę, jak Boga kocham, myślała, że tamta szuka chłopaka. Sprawdziliście alibi Lucy?

– Tak – odpowiadam i widząc jego szeroki uśmiech, uświadamiam sobie, do czego się przyznałam. – Mocne jak jasny gwint. Przykro mi.

– Ale zastanawiałaś się nad nią.

– Zrobiliśmy to, co do nas należało.

– Tak jak teraz robicie, co do was należy. – Uśmiech nabiera wyrazu okrucieństwa. – Założę się o stówę, że to Lucy próbuje mnie w to wrobić. Co mówi? Że biłem Aislinn? Że nią poniewierałem?

Znowu wymieniamy ze Steve'em ukradkowe spojrzenia.

– Niezupełnie – przyznaje mój partner.

– Szczerze mówiąc, wcale nie – prostuję.

Twarc McCanna z powrotem obojętnieje. Tego się nie spodziewałam.

– Według Lucy, traktowałeś Aislinn jak drogocenny klejnot – wyjaśniam. – Nie poszliście po prostu parę razy do łóżka. Łączyło was coś poważniejszego. Uczucie przez duże U.

Wybuch nieprzyjemnym rechotem, tak głośnym, że wszyscy troje się wzdrygamy. Trochę za bardzo się stara.

– Ja pierdolę. I uwierzyliście?

– Twierdzisz, że nigdy nie powiedziałaś Aislinn, że ją kochasz? – Zanim zdąży odpowiedzieć, uprzedzam go: – Ostrożnie. Mamy SMS-y od Aislinn do Lucy.

– Może i powiedziałem. Taka ciekawostka dla ciebie, Conway: jeżeli facet, który ma ochotę zdjąć ci majtki, mówi o miłości, istnieje spore prawdopodobieństwo, że wciska ci kit. A może żaden jeszcze się nie fatygował?

– Według tych SMS-ów – dodaję – widywaliście się z Aislinn wielokrotnie w sierpniu, ale przeszliście do konkretów dopiero na początku września. Jeżeli

chodziło ci tylko o bara-bara, to po co była ta cała reszta?

Znowu się wyłącza i bez pośpiechu rozważa możliwości.

– Lubiłem Aislinn – wyjaśnia w końcu. – To była dobra dziewczyna. Urocza. Szukała mocnych wrażeń, jak już wspominałem, ale nie była typem wampira, którego kręca krwawe jatki. Nie miała łatwego życia; jej ojciec zmarł, kiedy była mała, matka miała stwardnienie rozsiane, Aislinn opiekowała się nią aż do jej śmierci parę lat temu. W życiu miała niewiele ciekawych doświadczeń, więc chciała usłyszeć o moich.

Mogłabym przysiąc, że w to wierzy. Czuję, że Steve też to dostrzegł: ciągle mamy w zanadrzu nasz granat.

Rory'emu opowiedziała tę samą bajeczkę: śmierć ojca, matka chorująca na stwardnienie rozsiane. Nic dziwnego, że Aislinn tak szybko uciekała od tego tematu. Wykorzystać go, by doprowadzić McCanna tam, dokąd chciała, to jedno; co innego jednak wykorzystać go wobec kogoś, na kim zależało jej naprawdę. Ale historia nabierała mocy i uniezależniała się od niej. W każdym razie wyszła na jaw.

– Przechodzimy z żoną trudny okres. Miło było mieć obok siebie kobietę, która lubi moje towarzystwo; miło znaleźć spokojne miejsce, w którym nie trzeba wysłuchiwać, jaki ze mnie kawał drania. Dzięki temu było odrobinę łatwiej. Na początku chodziło tylko o to. Żeby mieć na boku odrobinę spokoju.

Ruch kącika ust mówi, że nie trzeba McCannowi zwracać uwagi na ironiczny podtekst tych słów.

– Dokąd chodziliście? – pytam.

– Zabierałem Aislinn w okolicy jej domu i wybieraliśmy się na przejażdżki. Było lato; brała coś do jedzenia i urządzaliśmy sobie pikniki w plenerze. Szukaliśmy jakiegoś miejsca z ładnym widokiem, gdzie można usiąść i pogadać. – Stara się mówić bezbarwnym głosem, ale przebija spod niego tęskny ton, którego nie umie opanować. Milknie.

– Hm, urocze – rzucam. – Nigdy nie zabrałeś biednej dziewczyny na prawdziwą kolację? A przynajmniej na drinka? Kazałeś jej ciągle robić kanapki i siedzieć na trawie, żeby miała mrówki w majtkach?

– Nigdy nie miała z tym żadnego problemu, więc czemu ty miałabyś mieć? Raz poszliśmy do pubu w jej dzielnicy. Nie podobało mi się. Dublin to jednak małe miasto. Zobaczy cię ktoś, powie swojej żonie, która powie koleżankom z klubu dla pań, a jedna z nich okaże się najlepszą przyjaciółką twojej żony i trzask-prask, już śpisz u kogoś na kanapie.

– Bo poszedłeś na piwo? – Steve z niedowierzaniem unosi brwi. – Wydaje mi się, że w głębi duszy wiesz, że nie chodziło tylko o niewinną pogawędkę.

McCann unosi górną wargę; to ma być uśmiech, ale przypomina raczej grymas wściekłego zwierzęcia.

– A mnie się wydaje, że nigdy nie byłeś żonaty. „Owszem, kochanie, przez

cały wieczór chlałem w towarzystwie przepięknej młodej blondynki, ale jak Boga kocham, tylko rozmawialiśmy”. Myślisz, że to by przeszło? Z moją żoną nie.

Twarz Steve’a rozjaśnia się w uśmiechu.

– Zgoda – przyznaje. – Zaczynam myśleć, że powinienem jednak zostać singlem.

– I wszyscy inni. – Uśmiech McCanna szybko przygasa. – Powtarzam, między mną a Aislinn zaczęło się zupełnie niewinnie.

– I co się stało, że się zmieniło?

Wzrusza ramionami. Staje się czujny; powoli wkraczamy na niebezpieczny teren.

– Jezu, Moran – odzywam się półgłosem, który McCann świetnie słyszy. – Kiedy wsadził jej fiuta, to się zmieniło. Czekał tylko na okazję, a gdy ją znalazł, wymłócił ją jak snop pszenicy. Chcesz, żeby ci to przedstawił na schemacie?

McCann raptownie wyciąga szyję; to mu się nie podoba.

– Co, Jezu? – odpowiada mi też półgłosem Steve. – Przecież nie pytam o ich ulubioną pozycję. Pytam tylko, co sprawiło, że sytuacja tak się potoczyła. Mówimy o Mniczu McCannie. Nie mógł od początku planować, że zdradzi żonę. – Spogląda z nadzieją na McCanna.

Ten też na niego patrzy.

– Jak myślisz, dlaczego tak się to potoczyło? – pyta. – Mężczyzna i kobieta spędzają ze sobą trochę czasu, zaczynają się sobie nawzajem podobać, pewnego dnia sytuacja wymyka się spod kontroli...

Unoszę brew.

– Proszę bardzo, możesz się śmiać – rzuca. – Wyjaśnij mi: dlaczego Aislinn byłaby ze mną, gdyby mnie nie chciała? Sama na początku powiedziałaś, że nie jestem bogaty ani sławny.

– Jesteś detektywem – przypominam mu. – Niektórym mogłoby się to przydać.

– Myślałem o tym. Nie jestem głupi. Zastanawiałem się, czy może ma coś za uszami i chciałaby przygruchać sobie gliniarza na boku.

– Czyli sprawdziłeś ją w systemie.

– Tak, sprawdziłem. Śmiało, idź i donieś na mnie szefowi, jeżeli dzięki temu poczujesz się ważna. Tylko mi nie mów, że sama nigdy tego nie robiłaś.

– Ach, prywatne wejścia do systemu – mówię. – Podstawa każdego pięknego uczucia.

– Powtarzam: wiem, że nie jestem nikim wyjątkowym. Musiałem sprawdzić. Ale Aislinn była czysta jak łąza. Nie oczekiwała nawet, żebym skasował jej punkty karne. Niczego ode mnie nie chciała. – McCann rozkłada ręce. – To wszystko, co mam. Jeżeli mnie chciała, to nie miała żadnego innego powodu.

Ja i Steve milczymy na tyle długo i tak niewiele brakuje, żebyśmy wymienili

porozumiewawcze spojrzenia, że McCann się irytuje.

- Co? – pyta ostro.
- Romans – mówię. – Zaczął się we wrześniu?
- Na początku września. Tak.
- Data.
- Nie pamiętam.

Wolałam zmusić go do kłamstwa, niż gdyby miał wyjść na ckliwego nadwrażliwca, który kurczowo trzyma się każdego szczegółu, a McCann wie, że my wiemy. Pozwalam sobie na przelotny uśmiech i widzę, jak napina mięśnie szczęki.

– Uznajmy, że to był początek września – oznajmiam wspaniałomyślnie, co znowu wywołuje drgnienie jego szczęki. – I trwało to do ostatniego weekendu. Czy w trakcie romansu doszło do jakichś rozstań, czegoś w tym rodzaju?

McCann znowu założył ręce na piersi; jego twarz z powrotem stężała w kamienną maskę gliniarza.

– Nic. Żadnych problemów. Żadnych kłótni. Wszystko układało się świetnie.
– Jesień – mówi z namysłem Steve, oglądając długopis. – Zima. Nie chcę być ordynarny, ale wasze spotkania nie ograniczały się już tylko do rozmów. Wydaje mi się, że przestały wam już wystarczać pikniki w górach, prawda? Gdzie się spotykaliście?

„Nie twój interes”, zgrzytają zęby McCanna, ale odpowiada:

– U niej.

Steve marszczy czoło.

– Żaden z jej sąsiadów nigdy cię nie widział.

– Bo nie chciałem, żeby mnie widzieli. Skręcałem w uliczkę za domem Aislinn, przechodziłem przez mur i wchodziłem tylnymi drzwiami. Dała mi klucz.

No i mamy jesiennego intruza.

– Wyrazy uznania. Żeby wspinać się na mury w twoim wieku... – Powstrzymuję się od uśmiechu, co też nie podoba się McCannowi. – Lepsze niż siłownia. Jak często u niej bywałeś?

Bardzo chciałby skłamać, ale nie może ryzykować.

– Dwa razy w tygodniu. To zależało. Od pracy, od rodziny i tak dalej.

– Jak się umawialiście?

– Czasem przed moim wyjściem planowaliśmy następny raz. A czasem zostawiałem jej wiadomość, kiedy będę mógł przyjść. Jeżeli się zdarzyło, że miałem niespodziewaną wolną godzinę czy dwie, po prostu do niej wpadałem.

– Gdzie zostawiałeś te wiadomości?

– Na karteczkach samoprzylepnych. Wkładałem do butelki po seven-up i wrzucałem przez mur za domem. Wiedziała, że ma sprawdzać.

– Nie znaleźliśmy w domu żadnych karteczek.

– Zabierałem je, kiedy przychodziłem. Pozbywałem się ich.

Udaję zaskoczoną.

– Dlaczego?

– A jak sądzisz? Bo za długo jestem w tej robocie, żeby zostawiać po sobie dowody.

A zimne, beznamienne spojrzenie dodaje: „I o wiele za długo, żeby dać sobie zamącić w głowie takim jak wy”.

– Jezu – mówię. – Tyle zawracania głowy po to, żeby od czasu do czasu sobie bzyknąć.

– Zależy od jakości bzykania. – Znowu ten obleśny uśmiech, ale widziałam, jak McCann używa go wobec podejrzanych i na mnie to nie działa.

– Czemu nie dzwoniłeś albo nie wysyłałeś SMS-ów? W telefonie nie miała nawet zapisanego twojego numeru. Dlaczego?

Mierzy mnie zniesmaczonym spojrzeniem.

– A jak myślisz, do cholery?

– Pytam ciebie. Kręciły ją takie klimaty zabawy w tajne przez poufne? Czy ciebie kręciło to, że musiała być w każdej chwili przygotowana na twoją wizytę?

– Niczego nie musiała. Nie byłem jej szefem.

Ostrożnie dobierając słowa, pytam:

– A czy... nie byłbyś... powiedzmy, zły, gdyby nie była przygotowana?

McCann zaciska szczęki.

– Co masz na myśli?

– To, co powiedziałam. Kazałeś Aislinn dzień w dzień siedzieć w domu, żeby była gotowa podskakiwać, gdy tylko zechcesz pociągnąć za sznurki. Gdybyś pociągnął, a ona by nie podskoczyła... co by się stało?

– Nic. Najczęściej uprzedzałem ją, że przyjdę, tylko od czasu do czasu wpadałem bez zapowiedzi. Gdybym zajrzał i nie byłoby jej w domu albo byłaby zajęta, wyszedłbym i wrócił następnym razem. I tyle.

Mimo to dalej jestem sceptyczna.

– Na pewno?

– Na pewno.

– Nie dałbyś jej czasem klapsa? Nie żeby jej zrobić krzywdę, tylko po to, żeby się nauczyła, że nie powinna cię zwodzić.

– Nigdy w życiu nie uderzyłem kobiety – oświadcza McCann.

– Hm... No dobrze. Kazałeś Aislinn ustawić wyłączenie blokady telefonu przeciągnięciem palca, bo chciałeś czytać jej wiadomości. Zgadza się?

Jego głowa drga, odchylając się o ułamek centymetra w bok, ale McCann zauważa to i znów patrzy prosto na nas. Nie chce o tym myśleć.

– Niczego jej nie kazałem.

– W takim razie poprosiłeś. Tak to ujmijmy.

– Tak, poprosiłem. Mogła mi powiedzieć, żebym się wypchał. Nie powiedziała.

– I co, czytałeś? – Mam nadzieję, że nie, przede wszystkim ze względu na dumę zawodową. Wolę liczyć na to, że gdyby detektyw z zabójstw ułożył plan zaskoczenia swojej przyjaciółeczki z jej przyjacielem, rezultat wyglądałby lepiej niż ten koszmar.

McCann chowa twarz za kubkiem z herbatą, ale pod zarostem dostrzegam lekki rumieniec. Właśnie to okazuje się jego czułym punktem: obraz siebie grzebiącego w SMS-ach Aislinn. Ciągłe trzyma się wyobrażenia o idealnie zgodnym związku, którego harmonię zaburzył jedynie tym, że ją szpiegował.

– Parę razy. Nie było tam nic wartego uwagi i poczułem się jak krety. Dałem sobie spokój.

Wierzę mu. Nie wiedział nic o Rorym aż do sobotniego wieczoru. Szalony plan Aislinn, żeby przyspieszyć bieg wydarzeń, spełził na niczym. Lucy miała rację: Aislinn była zagubiona jak dziecko we mgle.

– Żonie też zabraniasz blokować telefon? – pytam.

– Nie pozwalaj sobie. Nie, kurwa, nie zabraniam. – Wstyd sprawia, że w jego głosie pojawia się napastliwy ton. – Nie kontrolowałem Aislinn. Po prostu nie chciałem, żeby moja żona się o nas dowiedziała. Dlatego sprawdzałem SMS-y: musiałem wiedzieć, czy Aislinn nie opowiada niczego koleżankom. Dlatego wchodziłem przez patio. Dlatego nie chciałem dawać jej numeru telefonu. Bardzo ją lubiłem, nawet w jakimś stopniu jej ufałem, ale nie aż tak, żeby powierzyć jej własny los. Nie miałem zamiaru stawiać się w takiej sytuacji, że gdyby na przykład za bardzo się przywiązała albo ciężko przechodziła zespół napięcia przedmiesiączkowego, albo wymyśliła sobie jakiś szantaż, mogła wziąć telefon, przyjść do mnie do domu i wywalić wszystko na stół. Czy to dla ciebie wystarczająco proste? – Jak dotąd to jego najdłuższa przemowa. Chcąc zagłuszyć tanto wspomnienie, wyjątkowo się rozgadał.

– Czyli twierdzisz – odzywa się oschle Steve – że nie miałeś zamiaru odejść od żony i zostać z Aislinn?

McCann wybucha krótkim, chrapliwym śmiechem, odrobinę za głośnym.

– Kurwa, jasne, że nie. Czasem żremy się z żoną, ale ją kocham. Dzieci kocham jeszcze bardziej. Nie miałem zamiaru nigdzie odchodzić.

– No więc, jakie miałeś plany? Włazić do Aislinn przez mur – pryham; McCann posyła mi wściekle spojrzenie – do końca życia?

– Nie miałem żadnych planów. Chciałem dobrze się bawić, zobaczyć, co życie przyniesie.

– Gdyby nawet zamierzał odejść od żony – zwracam się do Steve'a – wolałby zachować w sekrecie swój związek z Aislinn. Nie byłoby sensu dawać małżonce argumentów na rozprawę rozwodową.

– Nie słyszałaś, co powiedziałem? Nie było mowy o żadnym rozwodzie. Mnie i Aislinn było dobrze w takim układzie, jaki mieliśmy.

Unoszę brew.

– Tak? Ona też uważała, że było wam dobrze w tym układzie?

Wzrusza ramionami.

– O ile wiem, tak. Gdyby sądziła inaczej, pewnie by to zakończyła.

– Zjadłeś ciastko i masz ciastko, a jej zostają okruchy. Komu odpowiadałby taki układ?

– Niczego jej nie odbierałem. Uzgodniliśmy już na początku, że może się spotykać z innymi chłopakami. Uczciwie.

Sprytny ruch. Ale nie ma mowy, żeby to była prawda.

– A ona skorzystała z twojej sugestii – mówię. – Kiedy się dowiedziałeś, że spotyka się z kimś innym?

Na ułamek sekundy mruży oczy; musi tu bardzo uważać.

– Dopiero po jej śmierci.

Steve i ja patrzymy na siebie w milczeniu. McCann jest za starym wyjadaczem, by dać się na to nabrać. Posyła nam sardoniczne spojrzenie i czeka.

– Na razie to zostawmy – zarządzam. – Jak się wtedy poczułeś?

Prycha z pogardą.

– A ty co? Jesteś moją terapeutką?

– Chodzisz na terapię?

– Nie chodzę. A ty?

– W takim razie nie musisz czekać z najciekawszym na wizytę w gabinecie. Jak się czułeś, kiedy się dowiedziałeś, że Aislinn kręci z innym facetem?

Na to McCann jest w pełni przygotowany. Wzrusza ramionami.

– Nikt nie lubi się dzielić. Ale zawsze zakładałem gumę, więc co w tym złego?

– Zdziwiłeś się? – pyta Steve.

– Było mi wszystko jedno.

– Lucy była zaskoczona... kiedy się dowiedziała o Rorym.

Znowu szyderczy grymas.

– Jasne. Pewnie była zachwycona: zamiast jednego faceta między nią a Aislinn pojawiło się dwóch.

– Była zaskoczona, bo Aislinn cię kochała – wyjaśnia Steve. – Szalała za tobą. Wiedziałaś o tym?

Drgnienie głowy McCanna, jak gdyby chciał się przed tym uchylić. Już nie wie, czy to była prawda, czy nie, nie chce się w ogóle nad tym zastanawiać. Z tą samą ostrożnością, pamiętając o SMS-ach, mówi:

– Raczej nie spadło to na mnie jak grom z jasnego nieba.

– Nigdy wcześniej nie była zakochana. Byłeś pierwszy. O tym też

wiedziałaś?

– Mogła coś wspomnieć. Nie pamiętam.

– Skoro więc zadurzyła się w tobie po uszy – ciągnie Steve – to dlaczego umówiła się na romantyczną kolację z innym facetem?

McCann jest niezły. Tylko dlatego, że pilnie go obserwuję, udaje mi się dostrzec mgnienie bólu, krótkie i oślepiające jak płomień z lufy w momencie wystrzału.

– Kto wie? Kobiety są stuknięte.

– No dobrze... – Stukam palcem w krawędź kubka i marszczę brwi. – Zastanówmy się nad tym. Aislinn była w tobie zakochana, ale bez wzajemności. Zgadza się?

Odzyskuje panowanie nad sobą.

– Jezu – prycha. – Była dobrą dziewczyną, lubiłem jej towarzystwo. Seks był fantastyczny. I to wszystko.

– Wiedziała, że tak to widzisz?

– Miałem na tyle rozsądku, żeby jej tego nie mówić, jeżeli o to pytasz.

– Przecież mogła podejrzewać. Nie była głupia.

– Mogła. Skąd miałbym wiedzieć?

– Jeżeli coś podejrzewała – wtrąca Steve – to by ją załamało. Pierwsza miłość... wszystko czuje się dwa razy mocniej. Nie przejmowałeś się tym?

Przyspieszamy tempo. McCann to zauważa; prostuje plecy, w jego oczach pojawia się błysk skupienia. Przez chwilę widzę go dwadzieścia lat temu, z ciemnym zarostem na ostro zarysowanych kościach policzkowych i utkwionymi w dali niebieskimi oczami, i rozumiem, dlaczego mógł sądzić, że ma szansę u Aislinn.

– Nie zamierzałem jej krzywdzić. Ale nie zamierzałem jej też niańczyć. Aislinn była dorosłą kobietą.

– Czyli o to mogło chodzić w tym niewinnym numerze z Rorym? – pytam. – Próbowiła wzbudzić w tobie zazdrość?

Wzruszenie ramion.

– Wątpię. Skoro w ogóle nie wiedziałem o jego istnieniu.

– Nie usunęła z telefonu wiadomości od niego. Może liczyła na to, że je przeczytasz.

Znowu mimowolny rumieniec i ledwie dostrzegalne drgnienie głowy.

– Nawet gdybym przeczytał, nic by z tego nie było. Aislinn miała na tyle zdrowego rozsądku, żeby o tym wiedzieć.

– Może wykorzystała Rory'ego jako odskocznię – podsuwa Steve. Wiem z całą pewnością, jak dwa razy dwa, że wyczuł, do czego zmierzam, i ruszył tam ramię w ramię ze mną. – I próbowała w ten sposób odwrócić myśli od ciebie?

– Niewykluczone.

– Czyli jednak podejrzewała, że nie angażujesz się w to tak głęboko jak ona.
– Możliwe. Nigdy o tym nie wspominała.
– A czy kiedyś mówiła o twoim odejściu od żony? – pytam.
– Raz pojawił się ten temat. Nic poważnego, po prostu o tym wspomniała. – Ostrożnie stawia kroki.

– Co na to odpowiedziałeś?
– Nie zwróciłem uwagi. Zmieniłem temat. Więcej nie naciskała.
– Hm. – Odchylam się na krzesło, wypijam łyk herbaty, która zdążyła wystygnać, i wyjmuję telefon. Otwieram skrzynkę mailową i nie spiesząc się, znajduję zdjęcia samoprzylepnych karteczek z tajnego folderu Aislinn.

Oczy cywilów instynktownie kierują się w stronę każdego przedmiotu, który wyciągasz; nie potrafią się powstrzymać. McCann nie odrywa wzroku od mojej twarzy. Kładę telefon przed nim na stole. Gdy aparat dotyka blatu, w ciszy rozlega się lekki stuk.

McCann czeka, aż się wyprostuję, i dopiero wtedy patrzy na ekran. Wyraz jego twarzy się nie zmienia, wyczuwam jednak konsternację i nieufność.

– Jest tego więcej – mówię. – Przewiń dalej.

Rytmicznie przesuwam palcem po ekranie. Oprócz konsternacji gdzieś pod spodem pulsuje coś jeszcze: nagły skurcz bólu i uczucie bliskie radości. Oto ma przed sobą dowód na to, że zupełnie się mylił, ponieważ Rory nic dla Aislinn nie znaczył. Że mimo wszystko szalała za nim.

Po obejrzeniu kilkunastu zdjęć bierze szybki oddech i odsuwa telefon w moją stronę.

– Już rozumiem.

– To są te wiadomości, które pisałeś Aislinn, żeby dać jej znać, kiedy ją odwiedzisz? – pytam.

Wzruszenie ramion. McCann znów rozsiada się wygodnie na krzesło, nonszalancko wsuwając ręce do kieszeni, ale zdradza go napięcie zeszywniałych mięśni. Zbliżamy się do ostatecznego natarcia i dobrze o tym wie.

– Nie trzeba być grafologiem, żeby stwierdzić zgodność z twoim charakterem pisma – kontynuuję – ale gdyby było trzeba, mogę zasięgnąć opinii eksperta. Mogę jeszcze sprawdzić twój grafik z ostatnich sześciu miesięcy i porównać go z datami i godzinami, w jakich Aislinn zapisała te zdjęcia w komputerze. Założę się o swoją pensję, że każdy z tych liścików będzie dokładnie odpowiadał godzinie, o której kończyłeś zmianę albo właśnie zaczynałeś.

– Może to są moje wiadomości. Co z tego? Już wam powiedziałem, że je pisałem.

– I pamiętałeś, żeby je zniszczyć – wtrąca Steve. Bierze mój telefon i przegląda fotografie. – Tak w każdym razie sądziłeś.

– Tyle że Aislinn miała inny plan – mówię. McCann na ułamek sekundy przymyka oczy. – Za każdym razem, gdy zostawiałeś jej liścik, robiła zdjęcie, wrzucała do komputera, do specjalnego, chronionego hasłem folderu, a potem usuwała zdjęcie z telefonu. Po co miałyby sobie zadawać tyle trudu?

Wzruszenie ramion.

– Skąd mam wiedzieć?

– A gdybyś musiał się domyślić?

– Pamiątki?

Wybucham śmiechem.

– Mówisz serio? – Zabieram Steve’owi telefon i macham nim McCannowi przed nosem. – Myślisz, że dziewczyna zostawiłaby sobie coś takiego na pamiątkę?

– Nie wiem, co dziewczyny robią, a czego nie robią.

– Uwierz mi, tego nie. No więc, o co chodziło Aislinn?

– Być może myślała o tym, żeby pokazać to mojej żonie – odpowiada po chwili.

– Twierdziłeś, że było jej dobrze w takim układzie. Dlaczego w takim razie chciałyby to zrobić?

– Myślałem, że było jej dobrze. To nie znaczy, że miałem rację.

– Powiedziałeś nam, że byłeś ostrożny, na wypadek gdyby Aislinn „za bardzo się przywiązała i wywaliła wszystko na stół”. – Obracam telefon na blicie.

– Wygląda na to, że miałeś rację.

– Ale byłeś za mało ostrożny – zauważa Steve.

– Wygląda mi na to, że Aislinn układała sobie jakiś plan – dodaję. – Pomyślała, że jeżeli twoja żona się dowie, wyrzuci cię z domu, a ty pobiegiesz rzucić się w jej ramiona...

– Żona wyrzuciłaby cię z domu? – pyta Steve.

– Nie.

Steve unosi brwi.

– Nie?

– Nie ma mowy.

– Rany, wcześniej mówiłeś, że wystarczyłaby jej wiadomość, że woziliś Aislinn na przejażdżki, by wywalić cię z domu. A gdyby się dowiedziała, że ją posuwałeś, i to od miesięcy...

– Zrobiłaby mi piekło. Zwzywałaby mnie od ostatnich. Musiałbym mieszkać u Breslina w pokoju gościnnym przez parę tygodni, może nawet miesięcy. Zasłużyłbym sobie na to, bez dwóch zdań. – Zjadliwa nuta w głosie McCanna świadczy o szczerości tych słów. – Ale w końcu wszystko byśmy sobie wyjaśnili. Na pewno.

Unoszę brew.

– Mhm. Teraz łatwo ci mówić.

– To prawda. Kazałyby mi błagać, czołgać się przed nią, ale przyjęłyby mnie z powrotem. Dzieci...

– Właśnie, nie zapominajmy o dzieciach. Jakie byłoby to dla nich traumatyczne przeżycie!

Zaciska szczęki.

– To są już prawie dorośli ludzie – odzywa się po chwili. – Parę tygodni kłótni mamusi i tatusia to jeszcze nie koniec świata.

– Co by sobie pomyśleli o tatusiu bzykającym się z dziewczyną, która mogłaby być ich siostrą?

– Jezu... – Steve się krzywi. – Gwarantowane długotrwałe ochłodzenie relacji.

– O niczym by nie wiedzieli – rzuca wściekle McCann.

– Nie? Twoja żona nie wspomniałaby o tym? Czy ta kobieta jest święta?

– Na taką mi wygląda – przytakuje Steve.

– Pewnie by chciała – dodaje.

– Zależy jej na dzieciach. Nie skrzywdziłaby ich.

Nabieramy impetu, siły, pochylamy się nad stołem, strzelamy pytaniami jak z automatu. McCann broni się, oddaje cios za cios, rzuca odpowiedzi bez chwili zastanowienia, chłodny błysk w niebieskich oczach zmienił się w płomień. Myśli, że to jest to. Wyraźnie widzi, do czego zmierzamy, i przypuszcza, że stawiamy wszystko na tę hipotezę. Musi ją tylko utracić, a rozniesie nas na strzępy.

– Tak czy inaczej – mówi Steve – byłoby o wiele łatwiej uniknąć całej awantury.

– Jasne. Na szczęście dla mnie w ogóle do niej nie doszło.

– Na szczęście dla ciebie – powtarzam, unosząc brwi. – Tak to nazywasz? W kostnicy leżą zwłoki dziewczyny, ale patrzcie tylko, jakie do dla ciebie szczęście?

McCann spogląda na mnie z obrzydzeniem i nie raczy odpowiedzieć.

– Trzeba przyznać, że McCann ledwie uszedł cało – wtrąca Steve. – Powiedziałbym, że rzeczywiście miał szczęście.

– Miał – zaznaczam. – McCann, czy Aislinn groziła ci, że pójdzie do twojej żony?

McCann wolno i zdecydowanie kręci głową. Ma pod nogami mocny grunt; nie musi się obawiać SMS-ów Aislinn, bo mówi prawdę.

– Nigdy.

– Nie dawała tego do zrozumienia?

– Nie. Nawet nie sugerowała.

– Jesteś pewien?

– Tak. Na sto procent. Spytajcie tej lesby Lucy, zresztą spytajcie, kogo chcecie. Chciałbym zobaczyć, czy znajdziecie choćby jeden dowód na to, że

Aislinn kiedykolwiek wspomniała, że chce powiedzieć mojej żonie. Jeden jedyny.

– Mamy kilkanaście.

– Te zdjęcia karteczek? – Otwiera usta i rechocze mi prosto w twarz. – Jezu, Conway, myślałem, że jesteś mądrzejsza. Jak to może dowodzić, że ktoś komuś czymś groził? Być może Aislinn zamierzała je wykorzystać, żeby mnie przycisnąć... chociaż nawet tego nie dasz rady udowodnić... ale w ogóle się do tego nie zabrała. Nie miałem pojęcia o istnieniu tych liścików. Nie miałem nawet do nich dostępu. Mówiłaś, że były chronione hasłem, prawda? Przeszłość komputerowa może sprawdzić daty i godziny, kiedy ten folder był otwierany, i pokazać, że nie zgadzają się z porą moich wizyt u Aislinn. Te fotki są niczym.

Kręcę głową.

– Nie ma znaczenia, czy o nich wiedziałeś, czy nie. Aislinn mogła wysłać kopie twojej żonie.

– Nie wysłała. Sprawdźcie logowania do jej komputera, drukarkę, drukarkę w pracy, cały sprzęt, do którego miała dostęp. Założę się o wszystko, że nigdy tego nie wydrukowała.

– Mogła wysłać mailem.

– To sprawdźcie jej konta. Myślicie, że Aislinn miała adres mailowy mojej żony? Naprawdę wyglądam na takiego idiotę?

– Albo na przykład wpadła do twojego domu, kiedy byłeś w pracy.

– Nie. Zbadajcie, dokąd chodziła, poszukajcie kogoś, kto widział ją gdzieś w mojej okolicy. Powodzenia.

– Czy twoja żona powie nam to samo?

Na to McCann jednym ruchem podnosi się z krzesła i zawisa połową ciała nad stołem, szczerząc mi zęby prosto w twarz.

– Kurwa, ani mi się ważcie wciągać w to moją żonę. Nic nie wie o Aislinn i tak ma zostać. Wyrażam się jasno?

– Rutynowa procedura. – Unoszę ręce. – Muszę sprawdzić każdy trop.

– Sprawdzaj sobie, co chcesz. Ale jeżeli powiesz o Aislinn mojej żonie, zniszczę cię. Słyszysz?

– Coś takiego! – mówię z cieniem uśmiechu na ustach. – Zdaje się, że to jednak byłby dla ciebie problem, gdyby szanowna małżonka dowiedziała się o twoim romansie.

McCann mocno zaciska szczęki. Ma ochotę mnie uderzyć. Patrzą na niego wciąż z tym samym uśmiechem i mam nadzieję, że spróbuje.

Po chwili odwraca wzrok od mojej twarzy. Siada z powrotem i rozluźnia mięśnie szyi, obracając głowę.

– Jeżeli musicie porozmawiać z moją żoną, to rozmawiajcie. Ale nie wspominajcie o romansie. Nawet wy powinniście to umieć. Spytajcie ją, czy dostawała jakieś anonimy, czy odbierała dziwne telefony. Mogę wam dokładnie

powiedzieć, co usłyszycie, ale jeżeli chcecie się przez chwilę poczuć ważni...

– Skoro nie chcesz, żebyśmy rozmawiali z twoją żoną, to nie zmuszaj nas do tego – wtrąca się Steve. – Sam z nami rozmawiaj.

– A co, twoim zdaniem, robię?

– No dobrze – włączam się. – Gdzie byłeś w sobotę wieczorem?

Unosi górną wargę w uśmiechu jak w grymasie wściekłości. Odchyła się, zakłada ręce na piersi i śmieje się do sufitu.

– Nareszcie przechodzimy do rzeczy. Cholera, najwyższy czas.

– Gdzie byłeś?

– Nie pouczycie mnie o moich prawach?

– Jeśli chcesz. Masz prawo nic nie mówić, jeżeli nie chcesz, ale wszystko, co powiesz, zostanie zapisane i może zostać wykorzystane w postępowaniu dowodowym. – To wywołuje następną falę zjadliwego, chrapliwego śmiechu. – Gdzie byłeś w sobotę wieczorem?

– Nie wasz interes.

Sprytne: brak alibi oznacza, że nie mamy czego obalić.

– „Nie mam nic do powiedzenia” – mówię. – Tak to mamy rozumieć?

– Nie. Macie rozumieć, że to nie wasz zasrany interes.

– Co powie twoja żona, kiedy ją zapytamy, czy byłeś w domu?

– Macie tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć.

Steve pochyla się nad stołem.

– Nie próbujemy cię zagiąć. Po prostu pytamy. Jeżeli potrafisz udowodnić, gdzie byłeś, zaraz to skończymy. Znajdziemy sposób, żeby nic z tego, co tu powiedzieliśmy, nigdy nie wyszło na jaw. Ale nie możemy tego zrobić, dopóki nie poznamy twojej wersji.

McCann wlepia w niego niedowierzające spojrzenie. Steve naprawdę spróbował tego numeru.

– Nie mam wam nic do powiedzenia o sobotnim wieczorze. Oprócz tego, że nigdy nie zrobiłem krzywdy Aislinn. To wszystko. Możemy tu siedzieć przez cały rok i nic więcej ode mnie nie usłyszycie.

– To nie będzie takie proste – uprzedzam. – Pamiętasz świadka, który widział cię, jak w ciągu paru ostatnich tygodni kręciłeś się po Stoneybatter?

– No i?

– Ten sam świadek widział cię, jak wychodziłeś z uliczki za Viking Gardens w sobotę tuż po wpół do dziewiątej wieczorem.

Prychnięcie.

– Rory Fallon, tak?

– Poznałeś go? Kiedy go przywieźliśmy?

Kręci głową i cmoka kpiąco; nie da się na to nabrać.

– Nie. Bres wspominał, że Fallon w ostatnim czasie sam kręcił się trochę po

Stoneybatter. To by podpadało pod stalking. Zgadza się?

Steve i ja nie odpowiadamy. McCann z satysfakcją kiwa głową.

– Czyli był zaborczy. A nawet więcej: miał obsesję na punkcie Aislinn. Prawdopodobnie zobaczył mnie, jak któregoś wieczoru od niej wychodziłem, prawda?

Patrzemy na niego.

– Tak. To by wywołało u niego atak wściekłej zazdrości. W sobotę wieczorem, ledwie stanął w drzwiach, od razu zrobił jej scenę i zapytał, czy spotyka się z kimś innym. Biedna Aislinn nie zaprzeczyła albo zaprzeczyła za słabo i...

Jedna dłoń zaciska się w pięść i unosi centymetr nad stół.

– Twierdzi, że widział mnie w sobotę wieczorem. Nic dziwnego. Powiedziałby wszystko tylko po to, żebyście się od niego odczepili i szukali gdzie indziej. Bylibyście parą idiotów, gdyby udało mu się was zmylić. Żadna ława przysięgłych nie dałaby się nabrać, bez dwóch zdań.

Kiedy Steve się odzywa, wszyscy słyszymy w jego głosie miękkie, obronny ton.

– Nikt nie powiedział, że daliśmy się zmylić. Przecież tylko rozmawiamy.

McCann odchyła się na krześle i wkłada ręce do kieszeni, delikatnie unosząc kącik ust. Nawet nie próbuje kryć triumfalnej miny. Sądzi, że poznał już wszystko, co na niego mamy, a on nie ugiął się i zgniótł to na miazgę.

– Jak myślicie, co się stanie, jeżeli wydział się dowie, że „tylko rozmawialiście” ze mną w ten sposób? Jedynie dlatego, że byłem z kimś parę razy w łóżku?

– Och, daj spokój – rzuca Steve. Prawie go błaga: – Jesteś świadkiem. Musieliśmy z tobą pogadać. Przecież wiesz.

– Nie jestem świadkiem niczego.

– Znałeś ofiarę. Spaliście ze sobą. Nie mogliśmy tak po prostu...

– Bardzo ładnie mnie poprosicie – przerywa mu McCann – i nie będziecie próbowali mi zniszczyć małżeństwa. Wtedy zapomnę, że ta rozmowa w ogóle się odbyła.

– Nie powiemy twojej żonie o Aislinn. Przysięgam.

– Słusznie – chwali McCann. Przeciąga się, ściąga barki do tyłu. – Czyli to wszystko, tak?

Steve zerka na mnie niepewnie.

– Nie – oświadczam z uporem. – Skoro już tu siedzimy, możemy dokończyć.

– Jeszcze pięć minut? – proponuje Steve. – Słowo daję, to na pewno nie potrwa dłużej, mamy jeszcze kilka...

McCann śmieje się i rozkłada ręce.

– Jeszcze jedna ostatnia próba? Proszę bardzo.

– Dzięki – bąka pokornie Steve. – To znaczy... nie... wcale nie chodzi o...
– Chcę cię zapytać o Aislinn – przerywam mu. – O to, co się działo w jej głowie.

McCann prychnął.

– Psychologiczne bzdety. Słowo daję, Conway, pora z tego wyrosnąć. Rory Fallon wpadł w obsesję i stracił głowę. Cała reszta, o czym Aislinn myślała i tak dalej, to zupełnie nie twoja sprawa. Nikogo to nie obchodzi.

– Pewnie masz rację. Ale zrób to dla mnie.

McCann wyduje z siebie złośliwe westchnienie.

– Powiedziałeś nam kilka minut temu – ciągnę – że kiedy ktoś, kto próbuje zaciągnąć cię do łóżka, mówi, że cię kocha... tak jak powiedziała ci Aislinn... to prawdopodobnie bzdura. Ma jakiś ukryty cel, tak?

– Owszem. Tyle że Aislinn nie próbowała zaciągnąć mnie do łóżka. To się już stało.

– Na początku sprawdzałeś ją w systemie. Bo podejrzewałeś, że może mieć jakiś ukryty cel. Zgadza się?

– Tak. I okazało się, że ma czyste konto.

– No tak, miała. I to naprawdę wystarczyło, żeby cię uspokoić? Już więcej się nad tym nie zastanawiałeś? Taka dziewczyna jak ona, taki facet jak ty i naprawdę pomyślałeś, że była wobec ciebie na wskroś uczciwa?

– Może naprawdę tak pomyślał – mówi Steve, mierzając McCanna krytycznym spojrzeniem. – Hormony. Potrafią namieszać w głowie.

– Musiał się zastanawiać – sprzeciwiam się. – Zastanawiał się cały czas. Brzydził się samym sobą, próbował się powstrzymać. Prawda, McCann? Ale nie potrafił przestać. Wiesz, co mi się wydaje? Że w głębi serca wiedział.

McCann unosi wargę.

– Myślicie, że nie wiem, co kombinujecie? Macie tupet, żeby próbować ze mną takich numerów. Idźcie się dalej bawić z Rorym Fallonem. I poproście Bresa, żeby wam pokazał, jak to się robi. – Odsuwa swoje krzesło od stołu. – Ja już skończyłem.

Steve wyjmując z kieszeni marynarki zdjęcie rodziny Desa Murraya i kładzie na stole.

– Poznajesz którąś z tych osób? – pyta.

McCann pochyla się i gwałtownym ruchem unosi fotografię, żeby rzucić ją w Steve'a, ale jej widok przykuwa jego uwagę. Trzyma ją między palcami, a my obserwujemy, jak całą siłą woli stara się zachować kamienną twarz, gdy poznaje Evelyn, a potem Desa i łamie sobie głowę nad tym, co, do cholery, mogą mieć z tym wspólnego. Gdy widok tej puciołowatej dziewczynki z niepewnym uśmiechem wydaje mu się dziwnie znajomy. Obserwujemy, jak przez umysł przebiega mu dreszcz, który bierze początek w jego najgłębszych podstawach,

kiedy wreszcie zaczyna rozumieć.

Steve kładzie palec na Desmondzie Murrayu.

– Rozpoznajesz tego człowieka?

McCann go nie słyszy.

Nachylam się i stukam w zdjęcie.

– McCann. Kto to jest?

Mruga zaskoczony. Przytłumionym i niewyraźnym głosem, jak gdyby umysł był zbyt zaabsorbowany, by kontrolować ruch ust, mówi:

– Nazywa się Desmond Murray.

– Skąd go znasz?

– Przecież już wiecie.

– Chcemy to usłyszeć od ciebie.

– Zaginął. Dawno temu. Pracowałem nad tą sprawą.

– A to? – Przesuwam palec na Evelyn Murray. – Kto to jest?

– Jego żona. Evelyn.

– A to?

Mój palec spoczywa na Aislinn. Steve pochyla się nad stołem obok mnie, więc oboje patrzymy z bliska na twarz McCanna, obserwując każde drgnienie mięśni. Po długiej chwili ciszy McCann odpowiada:

– Ich córka.

– Imię.

Nie przerywając wydechu:

– Aislinn.

Sekunda ciszy, w której słowo opada w przestrzeń.

– Poważnie jej nie pamiętałeś? – pyta z niedowierzaniem Steve. – Wiem, że była już dorosła i tak dalej, ale jej twarz nie wyglądała znajomo? Nie skojarzyłeś imienia? Nic?

Po chwili McCann wolno porusza głową z boku na bok.

– A ona cię pamiętała – mówię.

Nie jest w stanie przestać kręcić głową.

– Właśnie dlatego wybrała cię ze wszystkich w Horgan's – ciągnę. – Nie dlatego, że leciała na mundur, a ty byłeś detektywem. Dlatego, że chciała wiedzieć, co się stało z jej ojcem.

– Zastanawiałem się, czy na początku nie była to ciekawość – mówi Steve – albo chęć, żeby w jakiś popieprzony sposób zbliżyć się do ojca – nagły grymas wykrzywia kącik ust McCanna – a potem, kiedy cię poznała, wszystko stało się rzeczywistością.

Prycham.

– Słuchaj, zdarzały się już dziwniejsze historie – dodaje Steve. – Też się nad tym zastanawiasz?

McCann unosi głowę, by przez chwilę popatrzeć na Steve'a. W jego oczach pojawia się okropny błysk nadziei.

Biorę do ręki telefon i bez pośpiechu, metodycznie przeciągam palec po ekranie, czując, jak McCann walczy ze sobą, żeby nie patrzeć. Wreszcie odnajduję bajeczkę, którą Aislinn zostawiła Lucy.

– Poczytaj sobie. – Podsuwam ją McCannowi.

Czytając, na sekundę przymyka oczy. Kiedy kończy, odkłada telefon na stół w zwolnionym tempie jak pijany. Nie patrzy na nas.

– Poznajesz charakter pisma? – pytam.

Skinienie głowy.

– Czyje to pismo?

Po chwili ciszy:

– Aislinn.

– Aha. A czarny charakter w bajce? Ten, który spieprzył jej życie, a teraz ona planuje spieprzyć jemu? Wiesz, kto to jest, prawda?

Nie odzywa się ani słowem. W przegrzanym pomieszczeniu słyszę jego oddech, ciężkie posapywanie przez nos.

Kiedy wiemy już, że nie odpowie, wyręczam go:

– To ty, McCann. Rozumiesz?

Nic. Zaslania dłońmi zdjęcie, żeby nie patrzeć na nie.

Nachylam się bliżej, stukam palcem w blat przed nim.

– A teraz uważaj. Chcę, żebyś dokładnie wiedział, dlaczego to wszystko się stało.

Drgnienie powiek. Ma jakieś mgliste podejrzenia, ale to za mało. Rozpaczliwie chce poznać resztę.

– Pamiętasz, jak opowiadałeś Aislinn o sprawie zaginięcia jej ojca?

– Nigdy nie wymieniałem nazwisk – odpowiada McCann.

Śmieję się głośno. Ze wszystkich rzeczy, którymi mógłby się przejmować, wybiera akurat to; żebyśmy, broń Boże, nie pomyśleli, że zachował się nieprofesjonalnie.

– Nie musiałeś. Świetnie wiedziała, o kim mówisz; sama naprowadziła cię na ten temat. Pamiętasz, co jej powiedziałaś?

Kręci głową, próbując sobie przypomnieć.

– Mówiłem, jak namierzyliśmy go w Anglii. Że znaleźliśmy go z panienką... Aislinn nie powiedziała nic, ani słowa. Nawet nie mrugnęła powieką. Tylko słuchała, kiwała głową...

– Była niezła. Była w tym o wiele lepsza, niż sądziłeś. Pamiętasz, kiedy jej opowiadałeś, jak rozmawiałeś z jej ojcem? Jak poprosił, żebyś przekazał Aislinn i jej matce, że jest cały i zdrowy, a ty postanowiłeś nic im nie powiedzieć?

McCann wbija we mnie wzrok.

– Nie poznałaś Evelyn Murray. To było delikatne, kruche stworzenie, nieśmiałe, urocze, jak postać ze starej książki, która na koniec umiera na suchoty albo coś podobnego tylko dlatego, że świat ją przerastał. Evelyn była jak ze szkła. – Widząc uśmiech rozlewający się na mojej twarzy, rzuca: – Odpierdol się. Nie chodziłem z nią do łóżka. Nie tknąłem jej palcem, nigdy bym tego nie zrobił.

– Wszystko mi jedno – mówię. – Skoro tak bardzo ci na niej zależało, to dlaczego nie przekazałaś jej tej wiadomości?

– Bo gdyby się dowiedziała, że jej mąż uciekł z młodszym modelem, to by ją zabiła. Zdruzgotała. Nie zamierzałem jej tego zrobić.

– Nie miałaś jednak problemu z tym, żeby przejąć kontrolę nad resztą jej życia – odparowuję. – Na wszystkim, co robiła, odkąd pojawiła się w jej domu, na każdej myśli, która przeszła jej przez głowę, były twoje odciski palców. Wiedziałaś, że tak będzie.

Nachylałam się przez stół, który specjalnie jest na tyle wąski, żebym mogła znaleźć się blisko niego, widzę każdy włoszek szorstkiego zarostu na gębie tego skurwiela, czuję zapach herbaty w jego oddechu, dymu papierosowego, którym przesiąkło jego ubranie, ostry odór wściekłości i przerażenia, którym zalatuje jego pot; jestem tak blisko, że mogłabym mu zadać rany na kilkanaście sposobów.

– Bądź wobec siebie szczerzy, McCann: to dlatego trzymałaś język za zębami. Prawda? Nie mogłaś mieć Evelyn, ale cudownie było myśleć, że przez resztę jej życia masz ją w garści. Za każdym razem, kiedy się budziła i zastanawiała, czy dzisiaj w drzwiach pojawi się Des, za każdym razem, kiedy podskakiwała na dźwięk telefonu, każdej nocy, kiedy śniło się jej, że umarł, należała do ciebie. Myślałaś o tym czasem, kiedy żona wkurzyła się na ciebie i leżałaś obok niej, marząc o słodkiej, drobnej Evelyn? Podniecało cię to, że cokolwiek robi w tej sekundzie, o czymkolwiek myśli, robi to, bo ty tak chciałaś?

McCann wpatruje się we mnie przekrwionymi niebieskimi oczami. Nigdy wcześniej nie widziałam takiej nienawiści, przynajmniej nie skierowanej przeciwko mnie. Taka głęboka i osobista nienawiść zdarza się tylko między małżonkami, członkami rodziny. Włożyłam mu palec między zębra i nacisnęłam najgłębiej ukryte miejsca. Trafiłam go.

Cicho, przez zaciśnięte zęby, mówi mi prosto w twarz:

– Pierdol się. To było dla jej dobra. Wiesz, co powiedział o niej mąż? Na swoje usprawiedliwienie? Że przez dziesięć lat wyciskała z niego życie. Że wariował od tego, że gdyby spędził w tym domu jeszcze kilka miesięcy, kompletnie by ześwirował. Twoim zdaniem, powinienem jej o tym powiedzieć? Żeby to miało jej towarzyszyć przez resztę życia? To nie była kobieta, która umiałaby się z tego otrząsnąć i normalnie funkcjonować. To by ją zniszczyło. Przynajmniej dzięki mnie zachowała szacunek dla samej siebie, zapamiętała swoje małżeństwo tak, jak je widziała. Dałem jej szansę.

– Tyle że w pakiecie miałeś jeszcze Aislinn – zauważam. – Tym nigdy nie zawracałeś sobie głowy, co? Nad jej życiem też przejąłeś kontrolę. Dzięki tobie każdy jej dzień był koszmarem. A kiedy dorosła, sama zaczęła szukać odpowiedzi, aż wreszcie dowiedziała się, kto z premedytacją ukrywał je przed nią. Ale było już za późno.

McCann otwiera usta. Jesteśmy świadkami chwili, gdy w jego umyśle z potężnym hukiem eksploduje coś lśniącego i strzelistego, a ostre odłamki rozpryskują się we wszystkie strony i ryją wszystkie czułe miejsca.

– Powiem ci, co Aislinn postanowiła, kiedy opowiedziałeś jej tę historię – ciągnę. – Postanowiła, że teraz jej kolej zrobić z twoim życiem, co jej się żywnie spodoba. Dlatego zaczęliście się pieprzyć, McCann. Nie dlatego, że chłop i baba i tak się złożyło; dlatego, że Aislinn doszła do wniosku, że łatwiej będzie tobą dyrygować, jeżeli złapie cię na łóżko i weźmie pod pantofel. I miała rację. Zresztą niemal postawiła na swoim, prawda? Kiedy zamierzałeś powiedzieć żonie, że to koniec? W tym tygodniu? Dzisiaj?

Nie może wykrztusić słowa. Nachylam się jeszcze bliżej niego.

– To wszystko było kłamstwo – mówię cicho, ale wyraźnie. – Za każdym razem, kiedy Aislinn cię całowała, szła z tobą do łóżka, za każdym razem, kiedy ci mówiła, że cię kocha, musiała się opanować całą siłą woli, żeby nie puścić pawia. Zmuszała się do tego, żeby mieć szansę dać ci to, na co sobie zasłużyłeś.

Ma opuszczoną głowę i lekko nią kołysze. Garbi się jak ranne zwierzę, które usiłuje utrzymać się na nogach.

– Rozumiesz już, po co zachowała te zdjęcia?

W ładnym pastelowym pokoju słychać jego oddech, który przypomina odgłos wypełniający salę szpitalną.

– Miałaś rację: zamierzała pokazać je twojej żonie, gdyby nie udało się jej przekonać cię, żebyś ją zostawił. Tak czy inaczej, Aislinn zamierzała rozbić twoje małżeństwo. A potem przyjąc cię z otwartymi ramionami, powiedzieć ci, że żona w ogóle na ciebie nie zasługiwała i że lepiej ci będzie z kimś, kto będzie dla ciebie dobry. Kiedy już opadłby kurz, zostałby złożony pozew rozwodowy, twoje dzieci serdecznie by cię znienawidziły i nie miałbyś szans, żeby żona kiedykolwiek wpuściła cię z powrotem do domu, wtedy Aislinn rzuciłaby cię w diabły, żebyś się cieszył swoim nowym wspaniałym życiem.

Nic, tylko ten ciężki, chrapliwy oddech. To koniec. Z McCanna nie zostało nic; razem z Aislinn zabraliśmy wszystko. Jeżeli coś powie, to tylko z głębi kipiącej pustki, w którą go wtrąciliśmy.

– Kochałeś ją – mówi cicho Steve. – Prawda?

McCann unosi głowę. Przesuwa wzrokiem po naszych twarzach jak niewidomy. Otwiera usta, robi płytki wdech, na długą chwilę zatrzymuje powietrze w płucach, a potem się odzywa:

– Nie mam nic do powiedzenia.

Słowa zawisają w powietrzu jak ciemna plama. Pomieszczenie wydaje się karykaturalnie wypaczone; te śliczne kolory i urocze dodatki, które mają mu nadawać domową przytulność, robią wszystko, żeby zamaskować nagi, biały szkielet pokoju przesłuchań: stół, krzesła, kamerę, lustro weneckie.

– Kiedy tam wszedłeś i zobaczyłeś, jak szykuje się na przyjęcie Rory’ego – mówi Steve. – To spadło na ciebie jak grom z jasnego nieba? Czy zacząłeś już coś podejrzewać?

– Nie mam nic do powiedzenia.

– Rozmawiaj z nami, człowieku. Kazała ci wyjść i nie wracać? Wyśmiała cię za to, że uwierzyłeś, że taka kobieta jak ona mogłaby się w tobie zakochać? Co?

– Nie mam nic do powiedzenia.

Nawet nie próbuje już na nas patrzeć. Wbija puste spojrzenie w ścianę między naszymi głowami, ignorując pytania, które zmieniają się w daleki, niezrozumiały szum. Widziałam taki wyraz twarzy u gwałcicieli, morderców. Tych, którzy nigdy się nie łamali, bo wiedzieli, kim są, i nie próbowali z tym walczyć.

– Gdzie byłeś w zeszłą sobotę wieczorem? – pyta Steve.

– Nie mam nic do powiedzenia.

Szczęk klamki w drzwiach sprawia, że oboje ze Steve’em wzdrygamy się zaskoczeni. McCann nawet nie drgnie. W drzwiach stoi Breslin w czarnym płaszczu lśniącym od deszczu i uśmiecha się do nas wszystkich.

– Mac – mówi Breslin. – Jesteś potrzebny w biurze.

McCann unosi wzrok i patrzy na niego. Ich oczy się spotykają i na sekundę Steve i ja przestajemy istnieć.

– Idź – ponagla go Breslin. – Przyjdę za parę minut.

McCann ciężko podnosi się z krzesła, prostując jeden staw po drugim, i rusza do drzwi. Kiedy mija Breslina, partner szybko klepie go po ramieniu. McCann odruchowo kiwa głową.

– Przesłuchanie zakończyło się o piętnastej dwadzieścia cztery – mówi Breslin, wolnym krokiem podchodząc do kamery. Wyciąga rękę i wyłącza nagrywanie. Odwraca się w stronę dystrybutora wody.

– No, no. Popatrzcie tylko, kto z kim jest znowu w najlepszej komitywie. Urocze.

– Ciekawe, dlaczego podejrzewałeś, że nie jesteśmy w najlepszej komitywie – mówię.

– Wybacz, ale w tym momencie gównu mnie obchodzą wasze stosunki. Właśnie byliście na tyle bezczelni, żeby oskarżyć mojego partnera...

– Pogadamy o tym, kiedy ja zdecyduję. Teraz chcę wiedzieć, która z mrówek wczoraj rano pobiegła ci donieść, że pokłóciliśmy się z Moranem.

– Reilly – odzywa się Steve. – Zgadza się? Kiedy zaczęliśmy się sprzeczać, przestał pisać na komputerze.

Przypominam sobie tę nagłą ciężką ciszę, wśród której tamten tępy, bezmyślny łomot rozrywał mi mózg.

– Mówiłem ci, że Reilly jest całkiem rozgarnięty – odpowiada Breslin. – W odróżnieniu ode mnie, jak wszystko na to wskazuje. Zanim do mnie dotarło, co jest grane, przesiedziałem w Top House dwadzieścia minut. Punkt dla ciebie, Conway: bardzo przekonująco umiesz udawać przygłupa z południowych przedmieść Dublina. Nie wiedziałem, że masz taki talent. – Wznosi w toaście kubek z wodą. – Miałem szczęście i nie wpadłem w żaden korek. Zdążyłem wrócić na najciekawszą część przedstawienia.

Chyba dostrzega błysk zdziwienia w oczach któregoś z nas, bo wybucha śmiechem.

– Myśleliście, że wróciłem ze swojej wycieczki i od razu wparowałem tu, żeby ratować Maca przed parą krwawych mścicieli? Byłem obok w technicznym. Bo wiedziałem, że Maca nie trzeba ratować, skoro nic nie zrobił... może oprócz pakowania fiuta nie tam gdzie trzeba, ale, moim zdaniem, to nie jest przestępstwo karane powieszeniem. Możemy się chyba jednak wszyscy zgodzić, że miał parę ciężkich dni, kiedy więc zobaczyłem, jak oboje wyłazicie ze skóry, żeby pomieszać mu w głowie, uznałem, że pora to zakończyć.

Podchodzi do stołu, bierze zdjęcie rodziny Murrayów i długo mu się przygląda.

– Hm... nic dziwnego, że Mac jej nie poznał. – Z rozmachem odkłada fotografię, nie zwraca uwagi na to, że zamiast na stole, ląduje na podłodze. – Przez cały czas, kiedy wydawało mi się, że pracujemy razem, kiedy miałem rozkoszne uczucie po naszych cudownych przesłuchaniach Rory’ego, wam ciągle w głowach siedziało to. Powiedzcie mi, czy kiedy dzisiaj rano spojrzeliście na siebie w lustro, nie zebrało się wam na wymioty?

Breslin robi to, co umie najlepiej. Ogarnia mnie dziwne uczucie, coś w rodzaju poczucia straty, gdy sobie uświadamiam, że nie mam najmniejszej ochoty dać mu w pysk.

– Przez cały czas, kiedy wydawało mi się, że pracujemy razem – odpowiadam – kiedy cieszyłam się z tych cudownych przesłuchań, ty ciągle ukrywałeś to przed nami. Chcesz pierwszy rzucić kamieniem?

Szeroko otwiera oczy i celuje we mnie palcem.

– Nie, nie, Conway. Nie próbuj obracać tego przeciwko mnie. Właśnie udowodniliście, że miałem świętą rację, kiedy postanowiłem was nie wtajemniczać. To... przesłuchanie... – Krzywi się z niesmakiem; pociąga łyk wody, by go spłukać. – Słucham, co, twoim zdaniem, osiągnęliście tym przesłuchaniem?

– Mamy dość powodów, żeby dostać nakaz rewizji w domu McCanna – mówię.

Zastanawia się nad tym, kiwając głową.

– Nakaz. Ładnie. I czego chcecie tam szukać?

– Brązowych skórzanych rękawiczek, które McCann nosi przez całą zimę? Tych, których nie widziałam u niego od tygodnia? Albo znajdziemy na nich krew Aislinn, albo nie znajdziemy ich w ogóle.

– No, no. – Breslin unosi brwi. – Imponujące. Pewnie Mac zrobiłby pod siebie, gdyby to usłyszał. Oszczędzić wam fatygi? Chcecie posłuchać, co się wtedy naprawdę stało?

– Umieram z ciekawości – mówię. – Ale wolę się dowiedzieć od McCanna.

Breslin cmoka z dezaprobatą.

– Tego się nie doczekasz. Mac ma dość rozsądku, żeby nie mówić tego do kamery. Szczerze mówiąc, byłbym bardzo zdziwiony, gdyby po tym numerze, który odstawiliście, w ogóle miał ochotę z wami rozmawiać, wszystko jedno, oficjalnie czy prywatnie.

– Czyli to będzie dowód pośredni, nieoficjalny, nie do zweryfikowania i nie do przyjęcia przez sąd – wtrąca się Steve.

– Takie jest życie. Chcecie usłyszeć czy nie?

W głębi duszy nie chcę. Wychodząc stąd, McCann zabrał ze sobą jakieś

mroczne, brutalne, elektryzujące napięcie, od którego skwierczał cały pokój. Bez niego zrobiło się bezbarwnie, mdło i głupio. Chcę stąd wyjść i iść przed siebie, wszystko jedno dokąd, byle nie trzeba było się tam zastanawiać, co będzie potem, i widzieć zarozumiałej gęby Breslina. Odchyłam się na krzesło i pocieram dłońmi twarz, próbując odnaleźć przynajmniej część tamtego napięcia.

– Dobra – rzuca Steve. – Możemy posłuchać.

– Bez łaski.

– Chętnie się dowiemy.

– Conway?

– Czemu nie. – Odrywam ręce od twarzy, ale brakuje mi energii, żeby się wyprostować.

Breslin nie siada z nami przy stole. Wrzuca plastikowy kubek do kosza, wkłada ręce do kieszeni i zaczyna się przechadzać po pokoju jak fajny profesor tłumaczący coś oczarowanym studentom.

– W sobotę wieczorem – zaczyna – Mac zjadł kolację z rodziną w domu, a potem postanowił wpaść do Aislinn. Przyjechał na miejsce mniej więcej za piętnaście ósma... nie patrzył na zegarek. Jak zwykle wszedł drzwiami od kuchni. Światła były zapalone i zobaczył, że Aislinn jest w trakcie przygotowywania kolacji, ale nie zawołała go ani nie przyszła się z nim przywitać. Mac wszedł do salonu i zobaczył, że leży z głową na kominku.

– To musiał być dla niego szok – wtrąca Steve. Breslin posyła mu ostre spojrzenie, ale Steve zachowuje kamienną twarz.

– Oczywiście, że był.

– Większość ludzi kompletnie by się rozsypała.

– Większość cywilów tak. Mac był załamany, ale nie stracił głowy. Co nie znaczy, że jest zabójcą. Znaczy, że jest gliną.

– Zobaczył też stół nakryty do romantycznej kolacji – podpowiadam. – To też musiał być szok. Do jakiego wniosku doszedł?

Breslin odpowiada tonem, który ma dać mi do zrozumienia, że jego cierpliwość nie jest niewyczerpana:

– Nie doszedł do żadnego wniosku, Conway. O ile w ogóle mógł myśleć, kiedy na podłodze przed nim leżało ciało jego dziewczyny, założył, że kolacja była przygotowana dla niego, gdyby akurat postanowił ją odwiedzić, co czasem się zdarzało. Pomyślał, że ktoś dostał się do domu, może zboczeniec, prawdopodobniej ćpun... Powiedzmy sobie szczerze, to nie jest najprzyjemniejsza okolica, prawda? I Aislinn nie dała mu rady. Później przyszło mu na myśl, że być może Aislinn po kryjomu widuje się z kimś innym i podczas spotkania coś poszło nie tak, ale w tym momencie nic takiego w ogóle mu nie zaświtało. Jak słusznie zauważył Moran, Mac był w szoku.

– Aislinn jeszcze żyła? – pyta Steve.

Breslin kręci głową.

– Natychmiast zbadał jej puls i oddech... Owszem, prawdopodobnie miał jej krew na rękawiczkach i może nawet pozbył się ich z tego powodu. Dziewczyna nie żyła.

Kwestia kilku minut albo godzin, powiedział Cooper; prawdopodobnie krwiał narastał szybko. Na razie wszystko się zgadza. Bujda na resorach, ale przysięgli mogliby to łyknąć.

– Czyli natychmiast zadzwonił, żeby zgłosić zdarzenie i ściągnąć na miejsce zespół detektywów – mówię.

Patrzy na mnie wytrzeszczonymi jasnymi oczami, zbyt nieruchomo, by mrugać.

– Nie bądź taka cwana, Conway. To nie pora na przemądrzałe uwagi. Może naprawdę wierzysz, że zrobiłabyś to na jego miejscu, ale to bzdura. Jeśliby Mac to zgłosił, znalazłby się w centrum śledztwa w sprawie zabójstwa, a to by oznaczało, że do czasu wyjaśnienia, wszystko jedno, jak długo by to trwało, odesłaliby go do pracy za biurkiem. Gdyby sprawa nie została wyjaśniona, byłby skończony jako detektyw wydziału zabójstw. Nie możesz być skutecznym śledczym, jeżeli sam jesteś podejrzany. Straciłby żonę i dzieci. Całkiem możliwe, że musiałby stanąć przed sądem, niewykluczone, że trafiłby do więzienia. Dożywocie. I za co? Przecież nic nie zrobił, nie miał żadnych informacji, które pomogłyby w śledztwie. Popęłiłby osobiste i zawodowe harakiri za nic. Jeżeli naprawdę uważasz, że jesteś taka święta, ogromnie się cieszę. Ale nie jestem co do tego przekonany.

Tego nie zamierzam mówić Breslinowi: nie mam pojęcia, co bym zrobiła w takiej sytuacji. Widzę ją w wyobraźni wyraźnie jak koszmar: stoję nad zakrwawionymi zwłokami, pośrodku czyjejś tragedii, czuję, jak coraz szybciej mnie zatapia, sięga kostek, łydek, kolan, i myślę: NIE!

Patrzę na niego równie nieruchomym wzrokiem.

– Nie ma znaczenia, co bym zrobiła. Co zrobił McCann?

– Sprawdził dom, na wypadek gdyby napastnik jeszcze tam był, ale go nie było. Kiedy był pewien, że sprawca uciekł, wytarł wszystkie miejsca, żeby zlikwidować swoje zostawione wcześniej odciski palców... Słowo daję, Conway, będziesz musiała się pozbyć tej wyniosłej potępiającej miny. Nie mogę się skupić, kiedy na nią patrzę.

Moja twarz nie wyraża niczego; Breslin po prostu chce, żebym poczuła się winna.

– Jeżeli nie podoba ci się moja mina, możesz patrzeć na Morana – odpowiadam. – Albo w ogóle zamknąć oczy, wszystko jedno.

Breslin wzdycha, kręci głową, demonstracyjnie obraca się do mnie bokiem i całą uwagę skupia na Steviem.

– No więc, McCann wytarł odciski. Rozejrzył się po sypialni Aislinn, żeby

sprawdzić, czy zachowała jakieś karteczki od niego, ale nie zachowała, przynajmniej nie w miejscach, w których mógł się ich spodziewać. Zastanawiał się, czy nie zostać w pobliżu, na wypadek gdyby napastnik wrócił, uznał to jednak za tak mało prawdopodobne, że nie warto było ryzykować.

Steve unosi brwi i pyta zdziwiony:

– Dlaczego wyłączył kuchenkę? Od początku nie daje mi to spokoju.

– Żeby ocalić dowody – odpowiada Breslin. Prycham. – Odciski palców to nie wszystko, Conway. McCann wiedział, że zabójca mógł zostawić ślady DNA, włosy, włókna, cenny materiał; nie mógł pozwolić, żeby to wszystko uległo zniszczeniu. Nie chciał też, żeby w domu wybuchł pożar, bo gdyby przypadkiem się mylił i Aislinn żyła, spłonęłaby żywcem. Poza tym... – Uśmiecha się ze smutkiem. – Nie powiedział mi tego, bo, tak samo jak wy i ja, nie chce uchodzić za mięczaka, ale jestem prawie pewien, że nie zniósłby myśli, że ciało Aislinn mogłoby się spalić. Bardzo ją lubił.

– Ach – wzdycham. Spodziewam się, że Steve drgnie, dając mi znak, żebym się powstrzymała, ale się nie rusza. Przeszła mu już chęć kumplowania się z Breslinem.

– Conway! Daj sobie spokój. Wiem, że nie cierpisz tego wydziału i wszystkich w wydziale, ale spróbuj przez chwilę pomyśleć jak detektyw, a nie jakaś cholerna nastolatka, którą wszyscy pomiatają, aż wreszcie okazuje się w czymś lepsza od lubianych dziewczyn. Gdyby Mac zabił Aislinn, po co miałyby wyłączać kuchenkę? Rozkręciłby ją na cały regulator i liczył na to, że cały dom pójdzie z dymem.

– Co potem zrobił? – pytam.

Breslin wzdycha przez zaciśnięte zęby.

– Wyszedł przez tylne drzwi, zamknął je za sobą i wrócił do domu. Możecie nie sprawdzać monitoringu; nie znajdziecie go. Ani w sobotę wieczorem, ani w żaden inny wieczór. Nietrudno jest ustalić, gdzie są kamery, i tak zaplanować trasę, żeby wszystkie ominąć. Gdyby miało dojść do rozwodu, Mac nie zamierzał zostawiać żonie śladów, które mogłyby ujawnić prywatny detektyw i wykorzystać przeciwko niemu.

Wszystko trzyma się kupy: oczywiście, że tak. Tak jak w wersji McCanna, wersji Rory'ego i wersji Lucy. Wszystkie te wersje brzęczą jak szerszenie u sufitu w rogach pokoju, krążąc leniwie i oszczędzając siły. Mam ochotę wyciągnąć broń i rozwalić je, jedną po drugiej, zmienić w chmury czarnego pyłu, które opadną i rozplyną się w powietrzu.

– Kiedy ci o tym powiedział? – pytam.

– Zadzwoił do mnie, gdy tylko jego żona poszła spać. Conway, przecież nie mógł o tym rozmawiać, idąc przez miasto w sobotę wieczorem, nie sądzisz? Ani na kanapie, kiedy żona siedziała obok i oglądała telewizję. Skorzystał z pierwszej

okazji.

– I ty mu uwierzyłeś.

Breslin odwraca się gwałtownie, patrząc mi prosto w oczy.

– Tak, Conway. Tak! Wierzę mu. Między innymi z powodu takiej drobnostki jak lojalność, o której najwidoczniej nie masz bladego pojęcia. To mój partner; jeżeli przyłapię go z dymiącym pistoletem w ręce nad świeżymi zwłokami, mam obowiązek mu uwierzyć, że ktoś go zrobił. Ale przede wszystkim dlatego, że znam Maca. Znam go od bardzo dawna. Miałabyś wielkie szczęście, gdybyś kiedyś znalazła partnera, którego będziesz znać tak, jak ja znam Maca. I nie ma możliwości, żadnej, kurwa, możliwości, żeby on to zrobił.

Przez sekundę patrzę w oczy Steve'a. Nie wiem, czy Breslin wierzy w tę kupę bzdur, czy sam siebie przekonał, że wierzy, bo musi być szlachetnym rycerzem, który będzie trwać u boku partnera na dobre i na złe. Prawdopodobnie w grę wchodzi to drugie, co oznacza, że jego wiary nic nie złamie. Autentyczne przekonanie można podkopać, jeśli zbierzesz wystarczająco dużo faktów, które mu przeczą; nic jednak nie skruszy wiary zbudowanej tylko i wyłącznie na czyimś wyobrażeniu. Moglibyśmy pokazać Breslinowi film, na którym McCann miażdży pięścią twarz Aislinn, a szlachetny rycerz znalazłby jakieś wytłumaczenie.

– Rozumiecie? Dociera to do waszych łbów?

– Tak – odpowiadam. – I zgłosiłeś to na posterunek w Stoneybatter.

– Owszem, zgłosiłem. Zresztą McCann wiedział, że to zrobię, i zgodził się na to. Kiedy minął pierwszy szok, znowu zaczął myśleć jak gliniarz. Bo nim jest. Nie mordercą. Gliniarzem.

– Mhm. Dlaczego więc czekałeś z tym aż do piątej rano? Skoro McCann zadzwonił do ciebie, gdy tylko żona poszła spać, czyli chyba jakoś o północy? Po co czekałeś pięć godzin?

Wzdycha i rozkłada ręce.

– W porządku. Poddaję się. Racja. Chciałem mieć pewność, że będę już w pracy, kiedy sprawa trafi do wydziału. Oczywiście McCann miał się trzymać jak najdalej od śledztwa, bo inaczej cały plan się zawali...

– Honorowo – zauważam. – Jestem pod wrażeniem.

Breslin gromi mnie wzrokiem, lecz nie reaguje.

– ...ale uznaliśmy, że powinienem mieć wszystko na oku. Zobaczyć na przykład, czy będzie taki moment, gdy Mac będzie musiał złożyć wyjaśnienia... Conway, po co w ogóle mnie słuchasz, jeżeli chcesz kpić ze wszystkiego, co powiem? Nie wolałabyś poczekać na korytarzu, aż skończę normalnie rozmawiać z Moranem?

– Chciałeś raczej zobaczyć, czy będzie taki moment, gdy będziesz mógł wysłać detektywów, żeby szukali wiatru w polu. W tym tygodniu miałeś chyba ubaw po pachy, co? Kiedy patrzyłeś, jak ja i Moran kręcimy się w kółko...

Przyskakuje do mnie z drugiego końca pokoju tak szybko, że się wzdrygam.

– O co ty mnie oskarżasz? Nie... – wymachuje mi palcem przed nosem, gdy próbuję odpowiedzieć – ...uważaj. Tylko sobie, kurwa, uważaj.

Skończyłam już sobie, kurwa, uważać. Odtrącam mocno palec Breslina, a w jego oczach pojawia się błysk: waha się, czy mnie uderzyć, ale, niestety, nie. Steve unosi się z krzesła, lecz rozsądek mu podpowiada, żeby nie wkraczać do akcji.

– Utrudniałeś mi śledztwo. To nie jest oskarżenie, tylko fakt. Udawałeś skorumpowanego gline, żeby wpuścić mnie i Morana w uroczą ślepią uliczkę, gdybyśmy znaleźli związek między McCannem i Aislinn, a ty w tym czasie zamarynowałbyś i podpiekł Rory'ego Fallona. Szastałeś pięćdziesiątkami, splawiłeś Gaffneya, wymyślałeś jakieś lewe telefony... To też wiedziałeś od Reilly'ego? Przybiegł do ciebie zakablować, że przyglądamy się członkom gangów...

Breslin śmieje się na całe gardło, prosto w moją twarz.

– Myślisz, że do tego był mi potrzebny Reilly? Sami powiedzieliście mi o tym. Najpierw dopytujesz się, kto sprawdzał Aislinn w systemie i po co. A ty, Moran, wiesz, co miałeś otwarte w komputerze w niedzielę po południu, kiedy stary wezwał was do siebie? Wyszukiwanie dublińczyków w wieku od dwudziestu do pięćdziesięciu lat notowanych za powiązania z działalnością gangów. Ty, Conway, w poniedziałek rano przyszedł do pracy i z udawaną troską zainteresowałaś się, czy nie stresują mnie kłopoty finansowe. Naprawdę myślałaś, że jestem tak tępy, żeby nie skojarzyć jednego z drugim?

Kątem oka dostrzegam rumieniec płonący na twarzy Steve'a. Ja pewnie wyglądam tak samo. Dźgałam kijami każdy ciemny kąt, spodziewając się znaleźć gniazdo szpiegów knujących przeciwko mnie, a zgubił mnie własny brak subtelności i Steve, który zapomniał kliknąć na WYJDŹ.

Breslin odsuwa się ode mnie i szeroko rozkłada ręce.

– Skoro myślisz, że utrudniałem ci śledztwo, złóż skargę. Co w niej napiszesz? Breslin zapłacił za kanapkę nie tak, jak powinien? Breslin nie chciał, żeby Gaffney się za nim włóczył? – Ma przyklepiony do twarzy wredny uśmiech. – Jeżeli dostrzegłyście tu coś podejrzanego, drogie dzieci, to dlatego, że chcieliście. Nie mój problem.

Żadne z nas nie odpowiada. Ciągłe czuję zapach jego wody kolońskiej.

– Jeżeli macie za mało, żeby złożyć na mnie skargę – mówi – to chyba jesteście mi winni przeprosiny.

– Teraz my ci opowiemy naszą wersję – oznajmiam. – Dużo lepszą od twojej.

Krzywi się z niedowierzaniem.

– Co ty wygadujesz?! Nie chodzi o to, kto ma lepszą wersję, Conway.

Chodzi o to, co się naprawdę stało w sobotę wieczorem. Już wam opowiedziałem.

– Nie bądź taki. Nie martw się, nasza jest krótsza od twojej.

Wzdycha ciężko, a potem demonstracyjnie odsuwa na bok kubki, żeby mógł oprzeć tyłek o blat.

– No dobrze. – Krzyżuje ręce na piersi. – Spróbujcie. Olśnijcie mnie.

– W sobotę wieczorem – zaczynam – McCann zjadł kolację w domu, a potem postanowił wpaść do Aislinn. Nie uprzedził jej, ale to nie powinno mieć znaczenia, miała przecież być do jego dyspozycji, gdy tylko chciał. Zjawił się na miejscu krótko po dziewiętnastej czterdzieści, kiedy Rory opuścił swój punkt obserwacyjny w uliczce, żeby iść do Tesco. McCann przelazł przez mur i wszedł od kuchni, jak zwykle.

Breslin kiwa głową, szeroko otwierając oczy z niedowierzania.

– Przecież to ta sama historia, którą już wam opowiadałem.

– Zaraz – uspokajam go. – Teraz robi się ciekawie. Zobaczył wystrojoną Aislinn, która szykowała kolację, i nie spotkało go powitanie, jakiego się spodziewał; najwyraźniej nie chciała jego towarzystwa. Wszedł do salonu, żeby zobaczyć, co jest grane, i jego oczom ukazał się stół nakryty do romantycznej kolacji, która, jak cholernie dobrze wiedział, nie była przeznaczona dla niego.

– W tym momencie – włącza się Steve – jego całe życie zależało już od Aislinn Murray. Był gotowy odejść od żony i dzieci...

– Mam wrażenie, że Breslin już o tym wiedział – zwracam mu uwagę.

Breslin przewraca oczami, unosząc je do sufitu.

– McCann podał scenariusz reszty swojego życia – ciągnie Steve – wyrzucił go i napisał go od nowa z Aislinn w roli głównej.

– Cymbał – rzucam na stronie do swojego partnera i widzę błysk złości w oczach Breslina.

– A ona go podpaliła – mówi Steve.

– Ciekawe, ile mu powiedziała – zastanawiam się głośno.

– W każdym razie nie wszystko. Nie o swoim ojcu. Widziałas jego minę, kiedy to wyciągnęliśmy. Autentyczny szok.

– Och, tak. Tak daleko się nie posunęła. Moim zdaniem, dała mu jednak jasno do zrozumienia, że między nimi koniec i McCann musi spadać z jej domu jak najszybciej, żeby mogła w spokoju bzykać się ze swoim nowym chłopakiem.

– Ojoj. – Steve się krzywi. – Nic dziwnego, że stracił głowę.

– Każdy by stracił na jego miejscu. Ja na pewno.

– Większość ludzi zrobiłaby coś znacznie gorszego. Sekunda utraty panowania nad sobą i jeden cios? To tyle co nic. Nie mógł się przecież domyślić, że to się tak skończy.

Breslin wciąż opiera się o blat stołu, z rękami skrzyżowanymi na piersi, obserwując nas spod przymrużonych powiek, z kpiącym uśmiechem igrającym

w kąciku ust.

– Urocza historia. Czyli to było tylko głupie nieumyślne spowodowanie śmierci, nic wielkiego, a Mac powinien się przyznać jak grzeczny chłopiec i dostać po łapach?

– A co, twoim zdaniem, powinien zrobić? – pytam. – Trzymać język za zębami, jak gdyby nigdy nic wrócić do wydziału i do żony?

– Właśnie tak. Bo wasza urocza historia rozsypuje się w drobny mak, gdy tylko przyjrzę się jej jak prawdziwy detektyw. Z psychologicznego punktu widzenia to za cholerę nie ma sensu i choć zwykle psychologię mam gdzieś, to w tej sprawie nie ma dosłownie nic innego, więc wydaje mi się, że warto poświęcić jej trochę uwagi. Po pierwsze... – unosi palec – dlaczego Rory miał wywołać u Maca jakiś wielki szok? Na tyle głęboki, by dać kobiecie w twarz z taką siłą, żeby zabić? Mac nie kochał Aislinn. Jeżeli nie wierzycie, przypomnijcie sobie taki fakt: powiedział jej, że może swobodnie spotykać się z innymi. Zwróćcie uwagę na to, że zaprosiła do siebie Rory'ego, chociaż wiedziała, że lada chwila może się pojawić Mac, zamiast iść z nim do niego. Jeżeli nawet w to nie wierzycie, macie zeznanie Lucy, że Mac miał dostęp do telefonu Aislinn, właśnie dlatego, że chciał czytać jej SMS-y. W telefonie jest jej parotygodniowa korespondencja z Rorym, łącznie z wiadomością, w której umawiają się na kolację. I twierdzicie, że na widok Rory'ego Mac doznał takiego szoku, że stracił rozum?

– Kiedy pojawił się Rory, McCann nie czytał już SMS-ów Aislinn – prostuję. – Za bardzo się krępował, poza tym wcześniej nie znalazł w nich niczego godnego uwagi.

– No tak, widziałem, jak go upokorzyliście z tego powodu. Trafiliście celnie, nie ma co. Dobra robota. – Breslin parę razy leniwie klaszcze w dłoń. – Ale jeżeli Mac tak się przejmował tym, czy Aislinn ma na boku jakiegoś faceta, to myślę, że przełamałby wstyd i zajrzał do jej telefonu. Wszystko jedno, czy miał ochotę przyznać się do tego przed wami, czy nie.

– Chyba że Aislinn tak skutecznie go nabrała, że w ogóle nie przyszło mu do głowy podejrzewać, że może się spotykać z kimś innym – mówi Steve.

– Jasne. Co by oznaczało, że nie jest typem zazdrośnika, a to z kolei oznaczałoby, że nie dostałby świra, gdyby się dowiedział. Wracamy do punktu wyjścia: to się nie trzyma kupy z punktu widzenia psychologii. Druga rzecz... – Breslin unosi następny palec. – Rory mógł wyłączyć kuchenkę, bo nie podobał mu się zapach przypalonego jedzenia albo mamusia go nauczyła, że nie wolno zostawiać włączonych urządzeń. Mac by nie wyłączył. Nie jest mazgajowatym cywilem, który by się rozkleił i bez powodu zrobił coś głupiego. Gdyby zabił Aislinn i wiedział, że wszystkie ślady wskazują na niego i spalenie domu pomoże je zniszczyć, to po cholerę wyłączałby kuchenkę?

– Żeby nie włączył się alarm uruchamiany czujnikiem dymu – odpowiadam.

– McCann myślał logicznie, na bank. Potrzebował czasu, żeby wyczyścić dom, co więcej, uświadomił sobie, że facet Aislinn może mu się bardzo przydać. Jej chłopak na miejscu zdarzenia, zupełnie sam, bez nikogo, kto mógłby zeznać, co robił w tym czasie, czyli dokładnie w czasie napaści... Przecież to marzenie mordercy.

Breslin kręci głową, przywołując na twarz nikły uśmiech czystej odrazy. Nic mnie to nie obchodzi.

– Jedyne problem – kontynuuję – jest taki, że skoro McCann nie czytał już SMS-ów Aislinn, to nie wiedział dokładnie, kiedy chłopak miał do niej przyjść. Gdyby nawet sprawdził telefon i znalazł umówioną godzinę, a nie chciał tego robić, bo technicy z kryminalistyki potrafiliby ustalić, czy to robił i kiedy, to i tak nie miałyby żadnej gwarancji, że chłopak się nie spóźni. Jeśliby McCann zostawił włączoną kuchenkę, mógłby się uruchomić alarm przeciwpożarowy i Aislinn zostałaby znaleziona, podczas gdy jej chłopak przebywałby gdzie indziej i miał na to alibi. Gdyby nawet McCann zablokował alarm, ryzykował, że jakiś sąsiad albo chłopak zauważą dym i wezwą straż, a wtedy chłopak też byłby wykluczony z kręgu podejrzanych. Trzeba było koniecznie wyłączyć kuchenkę.

Breslin wzrusza ramionami.

– Może potrafiłabyś to udowodnić. Powiedziałem, to urocza historia. Ale nic więcej. Nie ma żadnej solidnej podstawy. Potraficie udowodnić, że Mac miał romans z Aislinn. Świetnie, brawo. Ale jeżeli chodzi o sobotę wieczór, gównie udowodnicie. Rozpoznał go główny podejrzany, który ma najsilniejszy motyw, żeby wciągnąć w to bagno kogoś innego. Macie jakąś dziwną, zagmatwaną historię opowiedzianą przez kobietę, która mogła być, ale niekoniecznie była, najlepszą przyjaciółką ofiary, mogła być, ale niekoniecznie była, zakochana w ofierze i z powodu zazdrości mogła mieć, ale niekoniecznie miała, urazę do szczęściarza, który chodził z ofiarą do łóżka. Jeżeli zdobędziecie nakaz rewizji domu Maca, chociaż nie wierzę, że okażecie się na tyle głupi, prawdopodobnie znajdziecie dowód na to, że zgubił swoje brązowe rękawiczki. To wszystko. Tyle macie.

Cisza.

– Co zamierzacie z tym zrobić?

Nadal cisza.

– Aha. Tak właśnie myślałem. – Breslin nalewa sobie jeszcze kubek wody i słuchamy bulgotu bąbelków wydostających się na powierzchnię w dystrybutorze. Bez pośpiechu wypija spory łyk, po czym mówi: – Mam nadzieję, że jesteście świadomi, co zrobiliście z tą sprawą.

Żadne z nas nie łyka przynęty.

– Spierdoliliście ją koncertowo. Rozumiecie? Nigdy nie oskarżycie o to McCanna, bo po pierwsze, nie macie żadnego dowodu, że to zrobił; po drugie, nie zrobił tego. To Fallon. Jeżeli naprawdę spróbujecie postawić zarzut McCannowi,

prokurator pęknie ze śmiechu, jak zobaczy akta. Jeżeli jakimś cudem doprowadzicie do rozprawy, co się nie uda, obrona wyciągnie Rory'ego Fallona i waszą górę prawdziwych dowodów przeciwko niemu, a ława przysięgłych uniewinni McCanna, zanim jeszcze zamkną się za nimi drzwi pokoju narad. Podjęlibyście inną decyzję? Szczerze. Gdybyście siedzieli w ławie i ogólna suma dowodów wyglądałaby tak, jak mi powiedzieliście, głosowałibyście za skazaniem?

Ani ja, ani Steve nie odpowiadamy.

– Oczywiście, że nie. Ani wy, ani nikt inny w całym kraju, może z wyjątkiem jakiegoś zapiekłego wroga gliniarzy, który głosowałby za skazaniem go jako Kuby Rozpruwacza. Skoro jednak otworzyliście już tę puszkę Pandory z Makiem, nigdy nie postawicie zarzutu Fallonowi. Prokuratorzy postawią go przed sądem, obrona wyciągnie McCanna, przy okazji zniszczy mu małżeństwo i pewnie karierę, ale co tam, to nie wasz problem, nie? I trach, uzasadnione wątpliwości. Pa, pa, Rory. Miłego życia. Do zobaczenia, kiedy wkurzy cię twoja następna dziewczyna.

Wypija zdrowie niewidzialnego Rory'ego.

– Koniec, dzieci. Jedyne, co wam pozostało, to spakować akta sprawy i odesłać do piwnicy. No i poszukać dobrego usprawiedliwienia dla szefa i mediów, dlaczego śledztwo zderzyło się ze ścianą i biedna Aislinn nie znajdzie sprawiedliwości, na którą zasługuje. Jesteście z siebie dumni? Macie wrażenie, że to tydzień dobrej roboty?

Ciągle milczymy. Nie mamy do powiedzenia nic, co miałoby jakiś głębszy sens.

Breslin wzdycha i podchodzi do kamery.

– Jedyne, co możemy zrobić z tym bajzlem – ciągnie – to nie pozwolić, żeby zrujnował życie McCannowi. Szczerze mówiąc, po tym, co mu urządziliście bez absolutnie żadnego powodu, to jest minimum, które jesteście mu winni.

Sięga do kamery, wciska guzik otwierający kieszeń i wyjmuje taśmę.

– Czy mam rację, że okazaliście na tyle rozsądku, żeby nie rejestrować nigdzie informacji o tym przesłuchaniu?

Steve kiwa głową.

– Kiedy przyprowadziliście tu McCanna, udało się wam nie powiedzieć mu wprost, co zamierzacie zrobić?

Skinienie głową.

– Lucy nie złożyła wam oficjalnego zeznania?

Zaprzecza ruchem głowy.

– Podziękujmy Bogu za drobne łaski – mówi Breslin. Z głuchym grzechotem podrzuca na dłoni taśmę wideo. – Czyli tak: to, co się działo przez ostatnie pół godziny, nigdy się nie zdarzyło. Pozbądźcie się tych tablic poglądowych z fotkami i odbierzcie od Lucy stosowne zeznanie. Na pewno wymyślicie jakiś

dobry sposób. Wyjaśnię szefowi, że odwaliliście kawał dobrej roboty, ale mamy za mało na postawienie zarzutu, więc postanowiliśmy na razie odłożyć Rory'ego Fallona na bok, dalej pracować nad analizą śladów i elektroniką i mieć nadzieję, że coś się pojawi.

Chce raczej uspokoić starego, że ma pełną kontrolę nade mną i Steve'em, tak jak od początku obiecywał. Nie mogę znieść widoku jego twarzy.

– Szef powstrzyma dziennikarzy – ciągnie Breslin – dopóki nie rzuca się na coś innego. Będziemy mieli Rory'ego na oku, żeby ta prawie wpadka skutecznie go odstraszyła od podobnych numerów. I wszyscy będziemy żyli długo i szczęśliwie. – Breslin znowu podrzuca taśmę. – Co powiecie na taki plan?

– Dobra – odpowiadam po chwili.

– Moran?

Steve nabiera powietrza.

– Dobra.

– Po drodze nie będzie żadnych potknięć. Mam rację?

– Żadnych potknięć – przytakuję.

– To dobrze. – Breslin wsuwa taśmę do wewnętrznej kieszeni marynarki i rusza w kierunku drzwi. Z dłonią na klamce odwraca się, by wygłosić finałową kwestię:

– Być może minie trochę czasu, zanim to zrozumiecie, ale powinniście być mi wdzięczni. Teraz na pewno nie macie takiego wrażenia. Ale za parę lat, kiedy Rory Fallon się schleje i wygada wszystko swojej nowej dziewczynie, a wy będziecie jeszcze w wydziale, żeby go aresztować, uświadomicie sobie, że byłem dla was darem niebios. Wtedy przyjmę od was podziękowania. Gdyby towarzyszyła im buteleczka dobrego bourbona, na pewno się nie zmarnuje.

Zanim któreś z nas zdążyło sklecić sensową odpowiedź na ten śmierzący potok samouwielbienia, Breslin kiwa głową, wychodzi, trzaskając drzwiami, i rusza korytarzem szybkim, mocnym krokiem, żeby powiedzieć McCannowi, że wszystko będzie dobrze.

Po dobrej chwili Steve pochyla się, żeby podnieść z podłogi zdjęcie rodziny Murrayów.

– Myślałem, że już go mamy – mówi. – McCanna. Kiedy to wyciągnęliśmy. Naprawdę myślałem...

– Ja też. To było dobre. Powinno zadziałać. – Daję sobie pięć sekund, by pomyśleć, że to było naprawdę niezłe przesłuchanie; ja i Steve byliśmy razem naprawdę niezli. Wydawało się, jakbyśmy czytali sobie nawzajem w myślach. Daję sobie pięć sekund, by zrozumieć, co stracę.

– „Nie mam nic do powiedzenia”. – Steve chowa zdjęcie w kieszeni marynarki tak ostrożnie, jakby kiedyś znowu mogło się okazać bardzo ważne.

– Powinniśmy się zorientować – mówię.

Powinniśmy, jeszcze na samym początku, kiedy Lucy dziwnie milkła na temat tajemniczego chłopaka Aislinn. Uganiał się za wyimaginowanymi gangsterami, z niczego budowaliśmy dramaty o skorumpowanych glinach i uciszaliśmy się nawzajem, gdy tkaliśmy skomplikowaną sieć podejrzeń, podczas gdy mieliśmy tuż pod nosem oczywistą odpowiedź, która podskakiwała i wymachiwała rękami, żeby zwrócić na siebie naszą uwagę.

– Cholerny idiota ze mnie, że zostawiłem to wyszukiwanie w komputerze – wyznaje Steve. – Byłem śpiący, stary nas wezwał, to mnie wytrąciło z...

– Nie jestem lepsza. Próbowałam pociągnąć Breslina za język i dałam ciała. Nie przejmuj się.

– Gdybym nie zaczął snuć tego wątku z gangsterami...

– Nawet gdybyś nie zaczął – przerywam mu – i tak nie przypuszczam, żebyśmy się zorientowali.

Steve powiedział to parę dni temu: Breslin przyzwyczał się do myśli, że jest pozytywnym bohaterem, każda historia, która pojawia się w jego głowie, musi brać początek właśnie od tego. Dotyczy to nie tylko Breslina. Wszyscy detektywi są absolutnie pewni, że stoją po dobrej stronie. Bez tego przekonania nie można się bezpiecznie zapuszczać w rejony naszej pracy, które są najczarniejszą czeluścią piekieł. Breslin, skorumpowany glina, McCann, skorumpowany glina – to potrafiliśmy sobie wyobrazić. Są gliniarze, którzy na to pójdą, zawsze tacy bywali; ryzyko zawodowe. Ale gliniarz morderca, jeden z nas, który ulega przemianie w coś, co przez całe życie staramy się tępić – to zupełnie co innego. To wywraca świat na lewą stronę. Nawet ja – choć przez parę lat uzbierałam dość powodów, by wiedzieć, że policja to nie zawsze bohaterowie pozytywni – kiedy pojawiło się to przede mną, nie potrafiłam tego zobaczyć.

Breslin i McCann u szczytu schodów, rozmawiający półgłosem o tym, że trzeba pilnie i na dobre zamknąć tę sprawę: dziecko zrozumiałoby powód. Mnie nawet nie przemknęło to przez głowę.

Może kiedy McCann zadzwonił w nocy z opowieścią, która brzmiała mało wiarygodnie, Breslin uwierzył mu nie tylko dlatego, że chciał być szlachetnym białym rycerzem. Może uwierzył, bo gdyby przyszła mu do głowy inna możliwość, głowa mogłaby ją tylko wypluć i odskoczyć jak oparzona.

– Może nie. – Steve wpatruje się obojętnym wzrokiem w miejsce, gdzie przed chwilą stał Breslin. – Gdybyśmy się nawet zorientowali, to prawdopodobnie niczego by nie zmieniło. Przecież nie ma żadnych dodatkowych dowodów, które można zdobyć. Tak czy inaczej, bylibyśmy załatwieni.

Coś by to jednak zmieniło. W głowie snuje mi się mnóstwo możliwości innego przebiegu wypadków, które splatają się w jedną grubą i ciemną zasłonę. Nie znam żadnego sposobu, by ująć to w słowa: to, co być może zniknęło na zawsze za tą wolno falującą czernią; to, co być może zmieniłyby te dni, gdybyśmy się tylko

zorientowali.

– Dla mnie to jeszcze nie koniec – mówię. Wyjmuję telefon i przeszukuję listę kontaktów.

Steve patrzy na mnie pełnym wątpliwości wzrokiem.

– Nie damy mu rady. To, co mówił Breslin, jest paskudne, ale ma rację.

– Wiem.

Zaczyna mówić coś jeszcze, ale unoszę palec; dzwonię.

– Louis Crowley – odzywa się podejrzliwy głos Kretyna Crowleya. Dźwięki w tle sugerują, że jest w pubie.

– Cześć – mówię. – Antoinette Conway, wydział zabójstw. Muszę z tobą pogadać. Teraz, zaraz. Gdzie jesteś?

Dorzucam solidną szczyptę tłumionej rozpaczki, żeby zaczął sobie ostrzyć zęby, i to działa.

– Hm. Nie jestem pewien, czy wystarczy mi czasu.

– Przestań. Nie pożałujesz.

Gnojek myśli, że doskonale wie, o co chodzi, i wykorzysta to do ostatniej kropli.

– No... – wzdycha z lubością. – W takim razie chyba... jestem w Grogan's. Zostanę jeszcze jakieś pół godziny. Jeżeli zdąży pani, zanim wyjdę, będę miał kilka minut.

– Super – nasączam głos wdzięcznością. – Będę... super. Zaraz będę.

– To był Crowley? – Steve w zdumieniu unosi brwi.

– Muszę mu zamknąć gębę, pamiętasz? I mam pomysł. – Wpycham telefon do kieszeni, wstaję i wyglądam żakiet. – Idziesz ze mną? Przyda mi się pomoc.

Nagle kącik ust Steve'a zaczyna drgać.

– Czy ten pomysł mógłby się liczyć jako potknięcie w Planie Breslina?

– Cholera, na to liczę. Idziesz czy nie?

Szybko odsuwa krzesło i wstaje z szerokim uśmiechem.

– Nie darowałbym sobie.

W korytarzu nie ma nikogo; gdy zabieramy płaszcze, w szatni też nikogo nie ma. Zza drzwi biura dobiega gama znajomych dźwięków: stukot klawiszy, gwar rozmów przez telefon, zrzęczenie, klekot drukarki; pośrodku tego wszystkiego rozbrzmiewa aksamitny, mocny głos Breslina, przechodzący w wyższe tony przy puencie, która wywołuje salwy śmiechu. W pokoju operacyjnym C uwijają się mrówki, pracowite stworzonka produkujące górę papierów, które trafią prosto do piwnicy. Nawet recepcja jest pusta; Bernadette ma przerwę albo poszła do toalety. Wychodzimy z budynku i nikt o tym nie wie.

* * *

Crowley siedzi sam przy narożnym stoliku w Grogan's, sącząc smithwick'sa

i czytając sfatygowaną książkę w miękkiej oprawie z dużymi literami SARTRE na okładce, żeby każdy wiedział, że ma do czynienia z kimś na poziomie. Udaje, że nas nie zauważa, dopóki omal nie siadamy mu na stoliku.

– Crowley – mówię.

Marnie udaje zaskoczenie i odkłada książkę. Widok Steve'a to dla niego niespodzianka, ale dobrze to ukrywa.

– Ach – mówi, wyciągając rękę i zaszczycając Steve'a łaskawym uśmiechem. Na mnie nie zwraca uwagi, żeby mi pokazać, gdzie moje miejsce. – Detektyw Moran.

– Cześć – mówi Steve. Ignoruje wysuniętą łapę Crowleya, siada na stolku, nie bardzo wiedząc, co zrobić ze swoimi długimi nogami, wyjmuje telefon i skupia na nim całą uwagę.

Widzę, jak Crowley stara się zrozumieć, co jest grane. Siadam naprzeciwko niego, opieram łokcie o blat, a brodę na dłoniach, i uśmiecham się.

– Cześć.

– Tak – mówi z mieszaniną niesmaku i nieufności; nie wyczuwa ode mnie desperacji, którą mu obiecałam. – Dzień dobry.

– Pisziesz fajne artykuły. Jeszcze nigdy nie byłam na pierwszej stronie. Czuję się jak Kim Kardashian.

– Nie sądzę. – Crowley przypatruje mi się badawczo. – Podobało się pani zdjęcie?

– Masz na koncie poważny błąd – informuję go.

Rozmowa toczy się inaczej, niż się spodziewałam, ale cierpliwie to znosi – w końcu to on ma przewagę, bez względu na to, czy jestem grzeczna, czy nie.

– Och, nie przypuszczam. Jeżeli nie chce pani w oczach narodu uchodzić za tyrana... – Steve odpalił jakąś grę, która wydaje masę pisków i huków petard; Crowley wzdyga się, nie daje się jednak wytrącić z moralnego oburzenia – ...niech pani nie próbuje tyranizować przedstawicieli wolności słowa. Nic prostszego.

– Nie, nie, nie. Nie przyszłam tu z powodu tego zdjęcia. Chodzi o faceta, który je zobaczył. Zadzwoił do ciebie, chciał mój adres, a ty mu go dałaś.

– Nie mam pojęcia, o czym pani mówi – odpowiada Crowley. Splata pulchne rączki na stole i posyła mi znaczący uśmiezek. – A właśnie, jak się miewa ojciec?

Robię zdziwioną minę, a Steve gwałtownie podrywa głowę i parska serdecznym śmiechem.

– Niemożliwe. Naprawdę?

Oczy Crowleya skaczą ze Steve'a na mnie i z powrotem. Uśmiezek przygasa. Właśnie po to był mi potrzebny Steve: jeżeli przyszłam błagać Crowleya, by mój wielki rodzinny sekret został między nami, nie przyprowadzałam nikogo do towarzystwa.

– Co niemożliwe? – pytam ostro. – A ty skąd znasz mojego ojca?
– Ten człowiek, który do ciebie dzwonił – zwraca się Steve do Crowleya. –
Niemożliwe, żeby się przedstawił jako ojciec Conway.
– Kurwa mać – wyrzucam z siebie. – Serio?
Steve wybucha głośnym, perlistym śmiechem.
Crowley posyła mu jadowite spojrzenie.
– Tak powiedział – mówi. – Powiedział, że straciliście kontakt dawno temu
i że chce go odnowić.
– I dałeś się na to nabrać? – pytam z niedowierzaniem. – Tak po prostu?
– Wydawał się uczciwy. Nie widziałem powodu, żeby wątpić w jego
szczerłość.
– Przecież chcesz być dziennikarzem – rzuca Steve, nadal szczerząc zęby. –
Wątpliwości to twój żywioł.
– Jezu – mówię. – Nawet cię nie lubię, a wstyd mi za ciebie.
– Dałeś się zrobić, człowieku. – Steve kręci głową i wraca do swojej gry. –
Zrobił cię w pięknego balona.
– Crowley – mówię. – Jesteś chodzącym bezmózgowiem. Facet, który do
ciebie dzwonił, to nie mój ojciec... – Steve znowu wybucha śmiechem. – To
bydlak z północy, którego pomogłam kiedyś wsadzić na parę lat do pudła, a kiedy
zobaczył moje zdjęcie, przyszło mu do łba, że ma superokazję zemścić się na mnie.
A ty, kurwa, dałeś mu mój adres.
Z Crowleya uchodzi sporo powietrza.
– Od tego czasu obserwował mój dom – ciągnę – a wczoraj wieczorem
zastałam go w swoim salonie. Myślisz, że wpadł na pogaduszki?
– Conwaaaay – dudni Steve tubalnym głosem. – Jestem twoim ooojceem.
– Na szczęście dla wszystkich załatwiłam tę sprawę – mówię. – Już więcej
nie wróci. Został mi tylko kłopot z tobą. Ja i mój partner nie wiemy jeszcze, o co
cię oskarżyć.
– Współudział w przygotowaniu włamania – sugeruje Steve, dźgając palcami
ekran. – I napaści, w zależności od tego, czy facet zamierzał tylko podrzucić
święteczne ciasto do lodówki Conway, czy spowodować u niej poważne
uszkodzenia ciała. Albo podżeganie. Albo o wszystko naraz, dla hecy, zobaczymy,
co przejdzie.
Crowley blednie i poci się jeszcze bardziej niż zwykle.
– Chcę porozmawiać ze swoim adwokatem – oznajmia.
– Siedzisz po uszy w gównie – informuję go. – Ale masz szczęście, będziesz
mi do czegoś potrzebny.
– Mówię serio. Chcę natychmiast porozmawiać ze swoim adwokatem.
– Słuchaj, geniuszu. – Steve z rozmachem rozwala coś na ekranie przy
akompaniamencie huku przypominającym wybuch bomby jądrowej. – Czy to ci

wygląda na pokój przesłuchań?

– Nie. Bo nie jestem aresztowany. Znam swoje prawa...

– Jasne, że znasz – mówi Steve. – Ponieważ nie jesteś aresztowany, nie przysługuje ci prawo do adwokata. Oczywiście masz prawo w każdej chwili wyjść. – Usłużnie odsuwam stół, robiąc mu miejsce. – Ale tego bym nie radził. Jeżeli wyjdiesz, pójdziemy z tą sprawą do naszego szefa i zostaniesz aresztowany. Wtedy będziesz mógł mieć adwokata, jakiego sobie zażyczysz.

Crowley zaczyna się podnosić. Kiedy przyglądamy mu się z zaciekawieniem i nie próbujemy go zatrzymać, zmienia zdanie.

– Możemy też zrobić tak – proponuję. – Oddasz mi małą przysługę i zapomnimy o całej sprawie. Dorzucę ci nawet jakiś poufny drobiazg, żeby pokazać, że się nie gniewam.

– Ja bym się zgodził – radzi mu Steve. – To znaczy, na twoim miejscu.

– Przysługa... – W głosie Crowleya nie słychać już napuszonego tonu, który prawie zupełnie wyparował. – Jaka to przysługa?

– Ostatnio za często pojawiaasz się na miejscach zdarzenia, kiedy ja prowadzę sprawę – wyjaśniam. – Kto ci daje cynk?

Z ulgi omal nie zsuwa się z kanapy. Próbuje to zamaskować, zaciskając usta i udając, że ma skrupuły. Cierpliwie czekamy.

– Nie jestem osobą, która lubi wywoływać zamieszanie... – zaczyna Crowley, a Steve prychnie. – Chyba że jest to konieczne ze względów moralnych.

– Oczywiście – przytakuje pogodnie Steve. – Puścisz farbę, Conway wyjaśni wszelkie pretensje, jakie mają wobec niej chłopaki, wszyscy skupią się na łapaniu przestępców, sprawiedliwości stanie się zadość. Oprócz tego nie będziesz musiał marnować czasu na odpieranie zarzutów. Pod względem moralnym wszystko cacy.

– Nie wsypię cię przed twoimi kumplami – obiecuję. – Możesz sobie zachować te miłusie kontakty. Chcę tylko wiedzieć, kto mi robi koło dupy.

Crowley krzywi się na dźwięk takiego słowa w ustach dziewczęcia, ale jest na tyle cwany, że trzyma gębę na kłódkę. Poklepuje wargi opuszką palca i czeka kilka sekund, żeby zrobiły na nas wrażenie jego skrupuły. Wreszcie wzdycha.

– Dostaję informacje od detektywa Roche'a, gdy sądzi, że mogę być zainteresowany którąś z pani spraw.

Żadna niespodzianka.

– Od Roche'a i kogo jeszcze?

Po chwili dość niechętnie – boi się, żeby nie narazić pięknej nowej przyjaźni – mówi:

– W niedzielę rano zadzwonił do mnie detektyw Breslin. Wspomniał o zabójstwie Aislinn Murray.

– Tak, to już wiemy. To on podał ci mój prywatny adres? Czy to był Roche?

– Dostałem go od swojego informatora.

– Jakiego informatora?

– Nie możecie mnie zmusić do ujawnienia źródeł. Wiem, że najchętniej zmienilibyście ten kraj w jakiś totalitarny...

Steve w triumfalnym geście zaciska dłoń.

– Ha! – woła do telefonu. – Przepraszam, co mówiłeś? Co totalitarny?

– To nie było dziennikarskie źródło, durniu – mówię. – Ten ktoś umożliwił ci pomoc przestępcy we włamaniu do mojego domu. Myślisz, że takie źródła są chronione?

– Możliwe. Nie wiecie, co jeszcze mi powiedział.

– Crowley. Mam zapytać u tych źródeł?

Wzrusza ramionami jak naburmuszony nastolatek.

– No już dobrze. Breslin.

Nędzny skurwiel. Powinnam mu jednak dać w pysk, gdy miałam okazję.

– Jak go od niego wyciągnąłeś?

– Och, na litość boską. Przecież nie łamałem go kołem. Kiedy do mnie zadzwonił w sprawie Aislinn Murray, powiedział mi, że ma pani okropną skłonność do braku zdecydowania... Ja tylko cytuję. – Crowley unosi ręce i uśmiecha się do mnie kpiąco. – Powiedział, że czasem grzebie się pani miesiącami z zamknięciem najbardziej oczywistej sprawy. Na ogół to pani problem, ale tym razem detektyw Breslin musiał z panią współpracować i nie chciał, żeby jego nazwisko kojarzono z takimi historiami. Mówił, że trzeba wyrzucić na panią presję, żeby porządnie wzięła się pani do roboty... Cytuję, pani detektyw, tylko cytuję! Więc wywarłem niewielką presję.

– Nikt się lepiej do tego nie nadawał – odzywa się Steve, patrząc w telefon. – Pod taką presją nie umieliśmy logicznie myśleć. Prawda, Conway?

Crowley zerka na niego podejrziwie.

– A potem, kiedy zadzwonił do mnie człowiek podający się za pani ojca...

– To dlatego wyłaziłeś ze skóry, żeby uwierzyć, że to naprawdę mój ojciec – mówię. – A ja przypuszczałam, że na myśl o wtykaniu brudnego nosa w moje prywatne sprawy tak ci stoi, że przestajesz logicznie myśleć. Tymczasem kombinowałeś sobie, że jeżeli facet mówi prawdę, to gdy poszczujesz go na mnie, jeszcze bardziej zwiększysz presję. A twój opiekun pogłaszcze cię po główce i da ci smakowitą kość. Mam rację?

Crowley pruderyjnie ściąga usta.

– Ten ton jest niestosowny i umyślnie prowokacyjny. Nie mam obowiązku...

– Możesz sobie głęboko wsadzić mój ton. Zadzwoniłeś do Breslina i śliniłeś się do słuchawki, opowiadając, że możesz mi rozpieprzyć życie osobiste i tak mi namieszać w głowie, że podpiszę się pod wszystkim; potrzebowałeś tylko mojego prywatnego adresu. A on nie mógł się doczekać, żeby ci go dać. Czy coś pominęłam?

Siedzi z rękami skrzyżowanymi na piersi i nie chce na mnie spojrzeć, pokazując mi w ten sposób, że takie zachowanie jest nie do przyjęcia.

– Jeżeli już pani wszystko wie, to po co pytać?

– Och, nie wiem jeszcze wszystkiego. Roche szczał cię na moje sprawy, Breslin zrobił to ten jeden raz. Kto jeszcze?

Kręci głową.

– Nikt więcej.

– Crowley – mówię ostrzegawczym tonem. – Nie wykupisz się od tego dwoma nazwiskami. Gadaj, inaczej możesz zapomnieć o naszej umowie.

Wydaje odgłos, który ma świadczyć o urażonej godności, ale brzmi jak skutek niestrawności.

– Tak się składa, że wiem, kiedy ważna jest transparentność, pani detektyw, a wielu funkcjonariuszy policji nie może tego o sobie powiedzieć. Kontaktują się ze mną inni detektywi... naprawdę są tacy, którym zależy na prawie społeczeństwa do informacji... Ale nie w sprawie pani śledztw.

Nie wiem, co jest powodem nagłego przyływu wściekłości: fakt, że być może kłamie, czy fakt, że być może mówi prawdę. Nachyliłam się nad stolikiem i mówię mu prosto w twarz:

– Nie pogrywaj ze mną, gnoju. Wszystko jedno, kogo kryjesz, dowiem się, kto to jest, rozumiesz? I przez resztę życia będziesz się oglądał przez ramię i żałował, że nie wybrałeś sobie pracy czyściciela kibli w Supermacu.

– Nie! Nikogo nie kryję. Detektyw Roche i ten jeden raz detektyw Breslin. Nikt więcej. – Przekonuje mnie dopiero strach malujący się na twarzy Crowleya. – Na pewno uważa się pani za tak interesującą, że zasługuje na zbiorowy spisec – dodaje złośliwym tonem. – Ale najwyraźniej nie wszyscy się z tym zgadzają.

Mam dziwne uczucie, jakby moja głowa nic nie ważyła. Przez cały ten czas przypuszczałam, że wydział zabójstw dyszy żądzą mojej krwi, biuro jest zasłoną, za którą kłębi się armia nieprzyjaciela, a ja jestem samotną wojowniczką, która unosi miecz, wiedząc, że to jej klęska. Tyle że ilekroć uchylałam zasłonę, znajdowałam tam zawsze tego samego palanta.

Chłopaki robiły sobie ze mnie jaja, tymczasem ja z góry założyłam, że każdy przytyk jest celowo zaostrzony i nasączony jadem, który ma stopniowo wżerać się w moje rany, dopóki nie padnę. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że po prostu się nabijają, może trochę bardziej złośliwie, bo z większością z nich nie byłam w zbyt dobrych stosunkach – od tego pierwszego klapsa w tyłek od Roche'a, którego widziała połowa z nich i żaden się nie odezwał – i nigdy nie próbowałam ich poprawić. Fleas sondował, czy miałabym ochotę wrócić do tajniaków; przypuszczałam, że wie o moim spektakularnym upadku w zabójstwach, ani razu nie pomyślałam, że tęskni za mną, bo dobrze nam się razem pracowało. Steve rzucał swoje domysły i teorie, a gdy wirowały w powietrzu, uważnie przyglądał

się, jakie przybierają kształty; ja tymczasem myślałam, a przez kilka godzin naprawdę w to wierzyłam, że chce mnie w ten sposób zwabić na krawędź przepaści, żeby potem patrzeć, jak spadam, i pomachać mi z góry na pożegnanie. Cieszę się, że dzięki mojej karnacji ani on, ani Crowley nie zobaczą, jak się czerwienię.

Robiłam dokładnie to samo co Aislinn: tak głęboko wpadłam w historię rozgrywającą się w mojej głowie, że zza jej murów nie widziałam już zewnętrznego świata. Czuję, jak te mury chwieją się w posadach z głuchym dudnieniem, od którego dygoczą mi wszystkie kości, do samego szpiku. Czuję, jak odsłoniętą twarz owiewa mi powietrze o lodowatym posmaku, przeciskające się przez szczeliny, a moim ciałem za chwilę wstrząśnie potężny dreszcz.

Crowley i Steve przyglądają mi się, czekając, czy odpuszczę Crowleyowi. Gra Steve'a jazgocze, domagając się uwagi.

– W porządku – rzucam. Chcę stąd wyjść, ale jeszcze nie skończyłam. Odsuwam daleko na bok wszystkie inne myśli. – W porządku. Przyjmujemy taką wersję.

Crowley już bez strachu, za to z rozbudzonym na nowo instynktem hieny, przypomina:

– Podobno jest dla mnie jakaś wiadomość...

– Ach, tak. – Zupełnie przytomnieję i skupiam uwagę; będzie zabawa. – Ależ mam dla ciebie bombę. Będziesz zadowolony.

Błyskawicznie wyjmuję dyktafon, ale kręcę głową.

– Nie. To ma być anonimowy cynk. Pochodzi ze źródeł zbliżonych do śledztwa. Jasne? – „Źródła zbliżone do śledztwa” oznaczają gliniarzy. Nie chcę, żeby McCann i Breslin pomyśleli, że Lucy się wygadała.

Naburmusza się, ale odchyłam się od stołu i w milczeniu przyglądam, jak Steve w szaleńczym tempie dźga palcami w ekran telefonu. W końcu Crowley z westchnieniem chowa dyktafon.

– Bardzo ładnie – chwalebę i ponownie się prostuję. – Posłuchaj. Aislinn Murray. – Crowley kiwa głową i ślina napływa mu do ust, ponieważ ma nadzieję usłyszeć, że została zgwałcona w niezwykle pomysłowy sposób. – Miała romans. Z żonatym facetem.

Crowleyowi w zupełności to wystarcza, jest po prostu zachwycony. Z miną światowca kręci głową.

– Wiedziałem, że to zbyt piękne, żeby była taka święta. Wiedziałem. Dziewczyny o takim wyglądzie... Boże... myślą, że wszystko im ujdzie na sucho. Czasami... oj, przepraszam, wasza wysokość... po prostu się nie udaje.

Układa już sobie artykuł, szybko przerzucając w głowie swoje najlepsze eufemizmy, by łagodniej sformułować informację „nimfomanka rozbija rodzinę i dostaje zasłużoną karę”.

– To jeszcze nie wszystko – dorzucą Steve. – Zgadnij, czym ten facet się zajmuje.

– Hm. – Crowley z namysłem skubie podbródek. – To jasne, że taka dziewczyna musiała lubić pieniądze. Zaryzykowałbym jednak stwierdzenie, że jeszcze bardziej kręciła ją władza. Miałbym rację?

Ja i Steve jesteśmy pod dużym wrażeniem.

– Jak to się stało, że nie pracujesz w naszej branży? – Chce wiedzieć Steve. – Przydałby się nam w wydziale taki bystrzak.

– Ach, nie każdy jest typem osoby, która może pracować dla Władzy, detektywie Moran. Wydaje mi się, że mowa o jakimś polityku. Zastanówmy się...

– Crowley przykładą do ust złożone palce. Cała historia rozwija mu się w głowie, gotowa do przelania na papier. – Praca Aislinn raczej nie zbliżała ją do takich kręgów, więc musieli się poznać w jakiejś sytuacji towarzyskiej, czyli że jest na tyle młody, żeby prowadzić normalne życie...

– Jeszcze lepiej – mówię. Szybko rozglądam się po pubie, nachylam nad stolikiem i głową daję znak Crowleyowi, by nadstawił ucha. Gdy jest tak blisko, że owiewa mnie mdląca woń paczuli, szepczę: – To glina.

– Jeszcze lepiej – dorzucą Steve, dając sobie spokój z telefonem i nachylając się obok mnie. – To detektyw.

– Jeszcze lepiej – podkreścam go. – Detektyw z wydziału zabójstw.

– Nie ja – uprzedza Steve. – Dzięki Bogu, jestem singlem.

Oboje odsuwamy się i obdarzamy Crowleya promiennym uśmiechem.

Gapi się na nas, wysilając oporny umysł i próbując się domyślić, jaki mamy motyw i czy nie wciskamy mu kitu.

– Nie mogę tego wydrukować – mówi w końcu.

– Wydrukujesz – odpowiadam.

– Nie mogę. Pozwaj mi do sądu. Pozwaj „Couriera”.

– Nikt was nie pozwie, jeżeli nie wymienisz nazwisk – zapewnia go Steve. – W wydziale jest nas dwudziestu paru, sami faceci oprócz obecnej tu Conway, z czego większość to żonaci. W sumie szesnaście, siedemnaście osób. Włos ci z głowy nie spadnie.

– Mam swoich informatorów, byliby wściekli. Nie zamierzam sabotować własnej kariery.

– Wszyscy w zabójstwach i tak cię nie znoszą – zauważa Steve, wracając do gry. – Z wyjątkiem Roche’a i Breslina, którzy... żeby cię uspokoić, od razu powiem, że nie chodzi o nich. Czyli nie spalisz za sobą żadnych mostów.

– Zostaniesz bohaterem – dodaję. – Najodważniejszym dziennikarzem śledczym Irlandii, który ośmielił się stawić czoło Władzy i zaatakował w imieniu prawdy i transparentności, nie myśląc nawet o grożącym mu niebezpieczeństwie. To będzie wspaniałe.

– Pomyśl, jakie będziesz miał powodzenie – zachęca go dalej Steve.

Crowley posyła mu spojrzenie pełne pogardy.

– Artykuł ukaże się jutro – mówię. – Żonaty detektyw, niezaangażowany w śledztwo w sprawie zabójstwa Aislinn Murray, ale z kręgu osób zbliżonych do śledztwa, miał z nią romans. Jeżeli trzeba będzie wrzucić coś jeszcze, damy ci znać.

Szefostwo nie będzie miało wyjścia: odbędzie się wewnętrzne dochodzenie. Nie znajdą dowodów wystarczających do postawienia zarzutu, skoro sami ich nie znaleźliśmy, ale przynajmniej McCann nie wróci jak gdyby nigdy nic do żony i swojego dożywotniego biurka w wydziale zabójstw. Aislinn w końcu dopnie swego. Ciekawe, czy w głębi duszy uświadamiała sobie – w mrocznych przebłyskach podczas długich bezsennych nocy, kiedy snuła swoje plany – że to był jedyny sposób, by tego dokonać.

– Czy to jest jasne? – pytam.

Crowley kręci głową, ale tylko na znak zdegustowania tak wulgarnymi reprezentantami gorszego sortu ludzkości jak my; wszyscy wiemy, że to robi.

– Świetnie. – Odsuwam stółek i wstaję; Steve wyłącza grę. – Na razie. – Zostawiamy Crowleya z Sartre’em, by zabrał się do pracy nad świeżutkim cynkiem od policji.

* * *

Powietrze na dworze jest tak łagodne, że ma się ochotę nadstawić twarz w poszukiwaniu ciepła. Jest dopiero piąta, ale zrobiło się ciemno i na ulicach zaczyna się wieczorny ruch i gwar; przed drzwiami pubów zbierają się grupki roześmianych palaczy, dziewczyny spieszą się do domu z torbami zakupów, żeby szykować się do wyjścia.

– Chcę cię o coś spytać – zwracam się do Steve’a. – Wiesz, kto mi wtedy nasikał do szafki?

Nigdy mu o tym nie mówiłam, ale nie udaje, że nic o tym nie wie. Patrzy na mnie nieruchomym wzrokiem z rękami w kieszeniach płaszcza.

– Nie na sto procent. Nikt o tym przy mnie nie wspominał.

– Breslin powiedział... – Breslin powiedział, że Steve oczywiście słyszał wszystkie te historie i oczywiście przekazałby mi je, gdyby był po mojej stronie. Breslin mówił mnóstwo rzeczy. Gryzę się w język.

Steve i tak domyśla się reszty.

– Wszyscy wiedzą, że dostałem się do wydziału, bo wstawiłaś się za mną – odzywa się rzeczowym tonem. – Widzą, że razem pracujemy. Nikt nie będzie próbował tego psuć. Nie są tępakami.

Oblewa mnie ciepło, które prawie parzy.

– No tak – mówię.

– Ale z tego, co przypadkiem usłyszałem, to była sprawka Roche’a.
– A plakat z moją głową doklejoną w Photoshopie do zdjęcia gołej baby?
– Też on.
– Pewnie – mówię. – No dobra. – Zataczam koło, patrząc, jak światła miasta malują chmury w złudne szaro-złote plamy. – A inne numery? Nie jakieś bzdety. Te grubsze.

– Mówiłem już. Skąd miałbym wiedzieć? W każdym razie nie słyszałem nic, żeby ktoś inny maczał w tym palce.

– Nigdy mi tego nie powiedziałeś.

Lekko unosi kącik ust.

– Bo wtedy byś słuchała, tak?

Myślę o tym, jak Steve kurczowo trzymał się swojej hipotezy z gangsterskim wątkiem, jak ją rozbudowywał, rzeźbił i szlifował, wymachując rękami, żeby popatrzyła. Przypuszczałam, że próbował poprawić mi humor, żeby nie stracił dobrych notowań u chłopaków. On tymczasem liczył na to, że jeżeli wymyśli jakąś wystarczająco wiarygodną wersję alternatywną, może przestanę wbijać sobie do głowy, że cała ta sprawa – i cały wydział – to jeden wielki spisek, żeby mnie udupić. Trudno mi ocenić, które z nas jest większym bałwanem.

– Hm – bąkam. Powietrze pachnie energią, obietnicą wszystkich miejsc, w których można spędzić wieczór, wszystkich zdarzeń, które czekają za kusząco otwartymi drzwiami. – Coś takiego.

– Co?

– Po prostu żałuję, że wcześniej nie załapałam.

Steve czeka.

– Musimy pogadać ze starym – mówię.

Znowu stoimy ze Steve'em w gabinecie szefa. Pokój jest na końcu korytarza; wraz z trzaskiem zamykanych drzwi otacza nas cisza i jesteśmy wiele kilometrów od reszty wydziału. Otaczają nas bibeloty i duperele: zielistka, trofea golfowe, obrazki w ramach, sterty bezużytecznych starych akt i całkiem nowa szklana kula śnieżna, która stoi na pliku papierów na biurku, upominek świąteczny od wnuka. A pośrodku tego wszystkiego O'Kelly, który zdejmuje okulary do czytania, żeby na nas spojrzeć.

– Był u mnie Breslin – informuje nas. – Mówi, że ze sprawą Aislinn Murray doszliście do ściany; trzeba zrobić krok do tyłu i liczyć na to, że niebawem coś wypłynie.

Wygłasza to wyważonym tonem, szorstkim i pozbawionym entuzjazmu, ale nie próbuje nas opieprzać, bo Breslin powiedział mu, że odwaliliśmy kawał dobrej roboty. Przez sekundę byłabym gotowa uwierzyć, że to prawda, a cała reszta to tylko nasze urojenia. W przypiływie wściekłości robię gwałtowny wdech.

Stary obserwuje nas.

– Aislinn Murray zabił McCann – mówię.

O'Kelly nie porusza ani jednym mięśniem.

– Usiądźcie.

Odwracamy krzesła w stronę jego biurka i siadamy. Zamaszysty ruch i głośny stukot, z jakim Steve stawia swoje krzesło, mówią mi, że tak samo kipi z wściekłości jak ja.

– Słucham – rzuca O'Kelly.

Opowiadamy mu, co się stało, podczas gdy za oknem gęstnieje ciemność. Relacjonujemy precyzyjnie i chłodno fakt po fakcie, wstrzymując się od komentarzy, by sprawozdanie brzmiało tak, jak szef lubi. W trakcie słuchania bierze do ręki tandetną szklaną kulę i obraca między palcami, zmieniając kąt i przyglądając się, jak przesypują się w niej plastikowe wiórki.

Gdy kończymy, pyta, wciąż przyglądając się śnieżnej kuli:

– Ile z tego możecie udowodnić?

– Za mało, żeby go przymknąć – odpowiada Steve. Ledwie się powstrzymuje od gorzkiego sarkazmu: „Proszę się nie martwić, wszystko gra”. – Za mało nawet, żeby postawić zarzut.

– Nie o to pytałem.

– W aktach jest związek McCanna z tą dawną sprawą – mówię. W moim głosie też drga nuta złości i nawet nie staram się tego kryć. – Gary O'Rourke i ja możemy potwierdzić, że Aislinn próbowała ustalić, co się stało z jej ojcem. Tu mamy solidne podstawy: fakty i zeznanie najlepszej przyjaciółki, poza tym McCann sam się przyznał. Oprócz tego mamy oświadczenie przyjaciółki, że

Aislinn tylko go zwodziła. Jeżeli chodzi o sobotni wieczór, nie mamy nic z wyjątkiem zeznania Rory'ego Fallona, który twierdzi, że widział McCanna, ale to zupełnie nic niewarte. McCann nic nie mówi. Breslin twierdzi, że McCann znalazł ją martwą, ale nikt nie potwierdzi tego oficjalnie.

O'Kelly patrzy na mnie.

– Breslin tak powiedział?

– Godzinę temu.

Z długim skrzypnięciem obraca fotel w stronę okna. Widziałby teraz za dziedzińcem pochyły bruk i wyniosły budynek z wysokimi oknami naprzeciwko, stare, mocne bryły, które pewnie już zna na pamięć, gdyby nie ciemność.

Steve wyrzuca z siebie, jak gdyby nie potrafił nad sobą zapanować:

– Dzwonił do pana w niedzielę rano. Zanim dał nam pan tę sprawę.

Drgnienie powiek szefa. Gdyby nie to, mogliśmy przypuszczać, że nie usłyszał.

– Spadliśmy wam jak z nieba – mówię. – Para frajerów. Moran jest nowy, Conway walczy ze złą reputacją. Łatwo im wskazać fałszywy trop; jeżeli znajdą coś, co się wam nie spodoba, da się ich przycisnąć, żeby się wycofali i trzymali gęby na kłódki. W najgorszym razie można będzie obsmarować ich tak, by nikt nie wierzył w ani jedno słowo, jakie będą mieli do powiedzenia.

O'Kelly powinien mnie wywalić za to, że tak się zwracam do szefa. Nawet się nie odwraca. Lampa na biurku oblewa złotym światłem mosiężną tabliczkę z napisem DET. NADKOM. G. O'KELLY.

Odzywa się dopiero po długiej chwili:

– Breslin powiedział, że chodzi o jego kolegę.

Żadne z nas nie odpowiada.

O'Kelly głęboko nabiera powietrza i wypuszcza je delikatnie jak ktoś, kogo męczy straszliwy kaszel i boi się, że wystarczy jeden lekkomyślny oddech, by eksplodować.

– Zadzwoił do mnie o piątej rano. Powiedział mi, że jego kolega, jeden z najbliższych, odwiedził wieczorem swoją dziewczynę. Znalazł ją w salonie pobitą do nieprzytomności. Jest prawie pewien, że zrobił to jej drugi chłopak. Zapytałem: „Po co mnie wyciągasz z łóżka? Zgłoś to, sprowadź mundurowych i ratowników, zobaczymy się rano”. Powiedział, że zgłosi to zaraz po naszej rozmowie. Ale po chwili dodał: „Mój przyjaciel ma żonę i dzieci. Nie może być w to zamieszany, szefie. To mu zniszczy życie. Trzeba mu pomóc, żeby nie został wplątany w tę historię”.

O'Kelly parska ponurym śmiechem.

– Odpowiedziałem, żeby nie wciskał mi kitu o żadnych przyjaciółach; wszyscy wiemy, co to znaczy. Ale Breslin zaprzeczył. Przysięgał na wszystko: to nie ja, szefie. Zna mnie pan, nie zdradzam żony. Dam ją panu do telefonu, niech

sama powie, że byłem z nią i dziećmi przez cały weekend... Jeżeli zna się kogoś tak dobrze jak ja Breslina, człowiek od razu pozna się na kłamstwie, zwłaszcza tego kalibru. Uwierzyłem mu.

Porusza się; fotel głośno trzeszczy.

– Powiedziałem: „Twój kolega twierdzi, że nie tknął jej palcem, po prostu wszedł i zobaczył, co się stało. Wierzysz mu?”. Breslin na to, że tak, wierzy. Na sto procent. Na dwieście. Na tysiąc procent. Czyli tamten też nie kłamał. A Breslin nie jest idiotą. Potrafi wyczuć każdą bujdę, ma w tym doświadczenie.

Przez chwilę wszyscy milczymy, myśląc o tych słowach.

– „W takim razie czemu histeryzujesz?”, spytałem. „Jeżeli twój kumpel nic nie zrobił i niczego nie widział, nie ma powodu, żeby jego nazwisko w ogóle pojawiło się w sprawie. Dziewczyna się ocknie, opowie patrolowi, kto jej spuścił lanie, zatrzymają faceta, ona nie wniesie skargi, wszyscy wrócą do domu; nic nowego pod słońcem, pewnie to samo zdarzy się za miesiąc czy dwa. Twojemu koledze nic nie grozi. Mam nadzieję, że porządnie najadł się strachu i da sobie spokój ze skokami w bok”.

Przerywa mu kaszel. Czekamy, a O’Kelly wyjmuję z kieszeni chusteczkę i przyciska do ust, wydając charczące odgłosy, by skutecznie odchrząknąć.

– Ale Breslin dalej się martwił – ciągnie. – Powiedział, że kolega nie sprawdził, czy dziewczyna oddycha. Był w szoku, za bardzo się bał, że go złapią; od razu zwał i zadzwonił do Breslina. Nie mieli pojęcia, jak długo tam leżała. Jeżeli nie żyła, to kolega miał przesrane. Zostałby wciągnięty w to wszystko, ubabrany w błocie, wszystko by stracił. Tylko dlatego, że wsadzał wacka nie tam, gdzie powinien.

Dreszcz niepokoju każe Steve’owi czujnie poderwać głowę w tym samym momencie co ja. Breslin powiedział nam, że McCann sprawdził puls i oddech i stwierdził, że Aislinn nie żyje, czyli zgłoszenie nic by nie dało, więc nie można go potępiać za to, że ją zostawił, aby wykrwawiła się na podłodze. Obie wersje są głównie warte, ale jestem bardzo ciekawa, dlaczego zaserwował szefowi zestaw w innym smaku.

O’Kelly albo tego nie zauważył, albo nie chce zauważyć.

– Powiedziałem: „Czegoś ode mnie chcesz. Czego?”. Breslin na to: „Jeżeli ona nie żyje, muszę być przy tym śledztwie. Nie chcę go prowadzić, wystarczy mi, że będę wiedział, co się dzieje, i dopilnuję, żeby mój przyjaciel nie został w to bez potrzeby wciągnięty. Jeżeli sprawa zostanie definitywnie wyjaśniona, nie będzie powodu rujnować mu życia. Jeżeli będzie potrzebny, dopilnuję, żeby się zgłosił. Przysięgam”. Powiedział jeszcze: „Od trzynastu lat pracuję na swoją reputację, szefie. Chcę to teraz wykorzystać”.

Na to wspomnienie O’Kelly lekko krzywi kącik ust.

– Breslin nie jest geniuszem, za jakiego się uważa, ale to dobry człowiek.

Nigdy mnie nie zawiódł. Nigdy nie prosił mnie o żadną przysługę, najwyżej o dobry termin urlopu. Jeśli tak chciał wyrównać ten rachunek... – Unosi ramiona i ciężko je opuszcza. – W końcu się zgodziłem. Kazałem mu uważać na siebie, uważać na kumpla. Miałem zamiar wziąć sprawę pod lupę i gdybym wyczuł, że coś śmierdzi, Breslin miał zostawić śledztwo, a jego kumpel przyjść na przesłuchanie. Zapewnił mnie, że to żaden problem. Absolutnie żaden. Powiedział mi, że jest bardzo wdzięczny, że jest moim dozgonnym dłużnikiem, i dorzucił jeszcze parę wazeliniarskich słówek, na które nie zwróciłem szczególnej uwagi. Potem się rozłączył, żeby to zgłosić.

Następna wersja wydarzeń. Żadna z pozostałych nie była prawdziwa od początku do końca, ani jedna. Ofiary, świadkowie, mordercy, detektywi, wszyscy układali historie tak, żeby świat został taki, jak chcieli, wciskali je nam do głów, wpychali do gardła. A teraz jeszcze nasz stary.

Tak długo nic nie mówiłam, że kiedy się odzywam, mój głos jest chropawy i zgrzytliwy, wyschnięty od rozkręconego ogrzewania.

– Wiedział pan, kim jest ten kolega.

Wzrok O’Kelly’ego kieruje się w moją stronę. Zatrzymuje się na mojej twarzy, jak gdyby jej widok za bardzo go zmęczył, by mógł się odwrócić gdzie indziej.

– Powiedz mi, Conway. Kiedy poczułaś, że coś tu cuchnie, od razu pomyślałaś: „A, wiem, to na pewno ktoś z mojego własnego wydziału”?

Jego ciężki głos – „mojego własnego wydziału” – przygniata mnie jak rozkołysana masa wód oceanu. O’Kelly jest w zabójstwach od dwudziestu ośmiu lat, kiedy ja i Steve byliśmy dzieciakami, które z umorusanymi buziami strzelały do kolegów z dłoni ułożonych w kształt pistoletu. Gdy mówi „mój własny wydział”, stoją za tym sprawy, które bardzo kiedyś chciałam zrozumieć.

– Nie – odpowiadam.

– A kiedy powinnaś była wiedzieć. Wtedy tak pomyślałaś?

– Nie.

– Nie. – Odwraca głowę z powrotem do okna. – Ja też nie. Ale zacząłem się zastanawiać. Nie podobało mi się to; straciłem we własnych oczach, do tej chwili źle się z tym czuję. Trudno. Dlatego sprawa trafiła do was. Tylko wy nie rzucilibyście jej jak gorącego kartofla, gdyby Breslin tego chciał.

A my wleźliśmy do niej po szyję i odwaliliśmy za niego brudną robotę. Może spodziewa się po nas wdzięczności za to wotum zaufania.

– Czyli już pan wie – mówię.

– Jesteście pewni? Dalibyście głowę?

– To on – przytakuje Steve.

O’Kelly kilka razy kiwa głową.

– Dobrze – mówi cicho, do siebie, nie do nas. – Dobrze.

Czekam na to. Zabawiam się zgadywaniem, od czego zaczniesz: od ojcowskiej mądrości, lojalności wydziałowej, szczerzej, męskiej rozmowy, budzenia w nas wyrzutów sumienia, przekupstwa, grózb. Mam nadzieję, że Steve nie robił sobie żadnych planów na wieczór, bo to może trochę potrwać, zanim do świadomości szefa dotrze, że niczego nie wskóra. Waham się też, czy powinniśmy mu powiedzieć, że już i tak za późno, żeby zobaczyć minę tego drania, czy raczej spokojnie się wycofać i pozwolić, żeby dowiedział się rano jak wszyscy, gdy wyjdzie jutrzejszy numer „Couriera”.

Odwraca fotel z powrotem do biurka i podnosi słuchawkę telefonu. Palec trochę nieporadnie wciska klawisze; stawy są spuchnięte i zeszywniałe. Kiedy ktoś odbiera, mówi:

– McCann. Przyjdź do mnie, jesteś potrzebny. – I odkłada słuchawkę.

Jego wzrok jakby mimochodem zahacza o nas.

– Możecie zostać. Pod warunkiem, że będziecie się zachowywać jak dorośli. Jeżeli zaczniecie się wyzłośliwiać, wychodźcie – uprzedza nas, po czym odwraca wzrok w stronę okna, cokolwiek za nim widzi.

Ja i Steve spoglądamy na siebie przelotnie. Na jego twarzy, której rysy wyraźnie się wyostrzyły, maluje się skupienie i nieufność. Też nie bardzo rozumie, ku czemu to zmierza, i tak samo jak mnie bardzo mu się to nie podoba. Wymieniamy porozumiewawcze skinienie głowy: spokojnie. Czekać na McCanna, słuchamy cichego syku w grzejnikach i wolnego, miarowego poświstu oddechu O’Kelly’ego.

* * *

Ciszę przerywa pukanie do drzwi.

– Wejść – rzuca O’Kelly, obracając fotel.

Na progu staje McCann; ma głęboko zapadnięte oczy, marynarka żałośnie zwisa mu z ramion. Rzuca okiem na starego, potem na nas – i już rozumie. Prostuje się i napina, gotów do walki.

– Moran – mówi O’Kelly. – Odstąp McCannowi krzesło.

Wstaję razem ze Steve’em i odsuwamy się na bok, pod ścianę. Przez sekundę mam wrażenie, że McCann woli stać, ale mocnym szarpnięciem stawia krzesło jak najdalej od nas i siada. Rozstawia szeroko nogi, stopy wbija w podłogę, wysuwa podbródek.

– Powinieneś mi powiedzieć – zwraca się do niego O’Kelly.

Na policzkach McCanna wykwita ognisty rumieniec. Jego usta otwierają się, by wylać potok przyczyn, usprawiedliwień, wymówek, wszystko jedno. Zaraz się jednak zamykają.

– Jak długo jestem twoim szefem?

Po chwili milczenia McCann odpowiada:

– Jedenaście lat.

– Jakież powody do narzekań?

McCann kręci głową.

– Brakowało ci mojego wsparcia przez ten czas? Zostawiałem cię na lodzie, kiedy było ciężko?

– Miałem wsparcie. Zawsze.

O’Kelly kiwa głową.

– Cywil, kiedy da ciała, próbuje to ukryć przed przełożonym. Detektyw w tarapatach idzie do swojego szefa.

McCann nie potrafi na niego spojrzeć. Rumieniec nabiera soczystości.

– Powinienem przyjść. Od razu. Wiem o tym.

O’Kelly czeka.

– Przepraszam.

– W porządku – odpowiada stary. Chłodno kiwa mu głową, co oznacza: „Nic ci już nie grozi, tylko więcej niczego nie spieprz”. – Tak czy inaczej rozmawiamy. I chcę wiedzieć, o co tu chodzi, do jasnej cholery. Tych dwoje – ruchem brody wskazuje na nas – próbuje mi wmówić, że baba zawróciła ci w głowie, że Aislinn Murray zamierzała cię wyrolować, zacząłeś myśleć rozporkiem i wszystko poszło w diabły. To prawda? Za mało krwi dopływało ci do mózgu i dlatego doszło do tej pięciogwiazdkowej megaporażki?

McCann porusza szczęką. To mu się nie podoba.

– Znam cię, w każdym razie tak mi się wydawało, i, moim zdaniem, to bzdura. Wymyślili sobie jakąś historyjkę i teraz próbują dopasować do niej wszystkie fakty i dowody.

Czuję przeraźliwie zimny ucisk w żołądku, jakbym połknęła grudę lodu. Wersja wydarzeń, którą mu przedstawiliśmy – jedyna prawdziwa – nigdy nie wyjdzie poza ściany tego gabinetu. Zanim stąd wyjdziemy, O’Kelly i McCann pokroją ją na kawałeczki, zszyją w coś zupełnie nowego i niepodobnego do oryginału i w takiej postaci pokażą światu. Chociaż wiedziałam, że to możliwe, dotyka mnie to do żywego.

– Faktem jest, że wszystko, co mają, układa się w parę różnych obrazków.

McCann zerka na niego.

O’Kelly unosi kciuk.

– Zdjęcia twoich liścików. Najprawdopodobniej Aislinn zamierzała je pokazać twojej żonie, ale wynika z tego tylko tyle, że chciała cię mieć na własność. Nie wiadomo natomiast po co.

Kciuk i palec wskazujący.

– Ta bajeczka, którą napisała do przyjaciółki. Wynika z niej tyle, że czuła się jak w pułapce, i trudno się dziwić. Jesteś cholernym idiotą, stawiając dziewczynę w takiej sytuacji, jak gdyby chciała być twoją kochanką do końca życia. Była na

ciebie zła, chciała odwrócić role, żebyś nie mógł jej zostawić.

McCann szybko mruga. Zaczyna rozumieć. Lada chwila będzie gotowy przystać na każdy plan, jaki ma w zanadrzu O'Kelly.

Następny palec.

– Rory Fallon. Aislinn być może próbowała wybić cię sobie z głowy. Rozsądek jej podpowiadał, że wasz związek od początku był kiepskim pomysłem.

McCann już na niego patrzy. Okropnym wzrokiem tonącego, który czepia się resztek nadziei.

– Być może to tylko moje pobożne życzenia. Nie chcę wierzyć, że bez powodu doprowadziłeś do takiego cholernego bajzlu, wciągając w niego przy okazji cały wydział. Jeżeli tak strasznie wszystko spieprzyłeś, to wniosek z tego taki, że z Aislinn musiało cię łączyć coś poważniejszego.

Wstyd zmieszany z nadzieją.

– Nie możemy spytać tej dziewczyny, co się działo w jej głowie. Jesteś jedyną osobą, która przy tym była; jeśli ktoś wie, to tylko ty. Powiedz mi, McCann. Czy to było coś poważnego? Czy siedzimy tu wszyscy dlatego, że po prostu miałeś ochotę sobie pobzykać?

Ściśnięty ze złości głos w końcu wyciąga z McCanna odpowiedź.

– To było coś poważnego. Nie jestem aż taki głupi.

– Poważnego – powtarza stary. I czeka na ciąg dalszy.

– Może Aislinn rzeczywiście zaczęła to wszystko, żeby mnie wyrolować. Prawdopodobnie tak. Może taki plan pojawił się potem... przekonała ją ta przyjaciółka albo... nie wiem. Ale wcześniej był taki czas, kiedy... – McCann przeciera oczy. W bezlitosnym świetle są czerwone i podrażnione, jak gdyby wdała się infekcja. – Nie mogłem uwierzyć, że zdarzyło mi się coś takiego – ciągnie. – Myślałem, że znam resztę swojego życia, jakbym ją już przeżył. Zanim skończyłem dwadzieścia pięć lat, zdążyłem podjąć wszystkie ważne decyzje, o pracy, małżeństwie, dzielnicy, dzieciach. Pozostało mi tylko siedzieć i patrzeć, aż wszystko odegra się do końca. Nie czekały mnie już żadne zmiany, żadne niespodzianki.

Unosi głowę, żeby spojrzeć na mnie i Steve'a.

– Teraz tego nie zrozumiecie. Jesteście jeszcze na tyle młodzi, że wszystko się może zdarzyć. Ale sami się przekonacie. To takie wrażenie, jakbyście grali w filmie, w kinie klasy C, gdzie w połowie wiecie już dokładnie, jak to się skończy, znacie każdy krok; nie pamiętacie już, po co właściwie oglądacie resztę. Bo jest, bo nie ma nic innego do roboty. I nagle... – Gwałtownie mruga, jakby mógł w ten sposób pozbyć się mgły w oczach. – I nagle ktoś wyrывa cię z tego i wrzuca do zupełnie innego filmu. Gra inna muzyka, są inne kolory. Aislinn była bardzo jasna. Zawsze w jasnych kolorach. I wszystko mogło się zdarzyć.

– Czyli kiedy mówiłeś, że po prostu lubiłeś jej towarzystwo – odzywa się

Steve – to wciskałeś nam kit. Od początku wiedziałeś, że to coś wyjątkowego.

McCann kręci głową.

– Nie. Wcale tak nie myślałem. W każdym razie nie na początku. Po prostu... bardzo lubiłem z nią być. Nic więcej; nie przychodziło mi do głowy, że moglibyśmy robić coś więcej. Patrzyłem na nią, kiedy słuchała moich opowieści, jakby były czymś bardzo ważnym. Przypomniałem sobie, jak dawno temu podobała mi się ta robota. Mina Aislinn... gdy zamykałem jakąś dużą sprawę, czułem się tak samo. Jakby to, co robię, zmieniało świat.

Zdobywam się na odwagę, by zerknąć na starego. Ma kamienną twarz; cienie w miejscu zmarszczek i oczodołów sprawiają, że jest nieprzenikniona.

– No dobrze – rzuca sceptycznie Steve, starając się nie wpadać w ton złości. – Dlaczego to się w takim razie zmieniło?

– Kiedyś... – odpowiada McCann. Ociera dłonią policzek, jak gdyby na twarzy osiadło mu coś lepkiego i cienkiego jak pajęczyna. – Kiedyś w sierpniu Aislinn powiedziała, że na kursie wieczorowym podrywał ją jakiś chłopak. Wspomniała o tym mimochodem. Zupełnie jej nie interesował, więc go splawiła. Ale wtedy to do mnie dotarło: jasne, że taka dziewczyna jak ona chce mieć chłopaka. Nie kogoś, z kim można pojechać na piknik i pogadać, ale mężczyznę, który będzie ją kochał. Z którym będzie mogła chodzić do łóżka. Poraziło mnie jak piorun, bo zrozumiałem, że kiedy go znajdzie, będzie już po mnie.

Wmówiła mu, że to był jego pomysł, powiedziała Lucy. Udało się jej doskonale.

– A potem pomyślałem: dlaczego nie ja? Dlaczego nie? Uwielbialiśmy swoje towarzystwo, nigdy nie mieliśmy siebie dość. Między nami była chemia, nawet ja to czułem. W tym, jak na mnie patrzyła, jak zmieniał się jej oddech, kiedy przypadkiem znaleźliśmy się blisko siebie... Coś między nami było.

Rzuca ostre spojrzenie na mnie i Steve'a. Na jego policzki znowu wypełza rumieniec.

– Pewnie dla was to brzmi żałośnie: dureń w średnim wieku zakochuje się po uszy w młodej dziewczynie, najstarsza historia na świecie. Ale was przy tym nie było.

Każdy morderca prędzej czy później mówi nam coś takiego. „Nie było was przy tym. Nie rozumiecie”. Na moment zapada cisza, ale nikt jej nie wykorzystuje, żeby rzucić komentarz.

– To było takie proste? – pytam. – Powiedziałeś: „Słuchaj, może spróbujemy?”, a Aislinn na to: „Jasne, czemu nie?”.

Mocno kręci głową.

– Nie wiem, jak do tego doprowadziłem. Wmawialiście mi, że to ona mnie upolowała, ale to nie było... Nie chciała mi rozbijać rodziny. Potrzebowałem trochę czasu, żeby ją przekonać, że nie robi nic, co już się nie stało parę lat temu.

Kiedy w końcu mnie... nam... wtedy zdałem sobie sprawę, że jej naprawdę na mnie zależy. Dopiero wtedy... wtedy... – Bezwiednie łapie oddech. – Trafiło mnie. Dosłownie zważyło z nóg.

Ten zachwyty w głosie. Mówi w uniesieniu jak zdumiony i oczarowany nastolatek, tak kruchy i wrażliwy, że jedno nieostrożne dotknięcie mogłoby mu zrobić krzywdę. Często jestem w szoku, gdy ludzie opowiadają rzeczy, które do końca życia powinni zachować dla siebie; jak strasznie chcą się dzielić swoją historią ze światem, żeby zaistniała gdzieś poza ich głowami.

– To było naprawdę coś poważnego – mówi. – Wszystko, co macie, nic nie znaczy. Raz upadłem, kiedy przechodziłem przez mur, skaleczyłem się w kolano. Aislinn uklękła przede mną i bardzo delikatnie je przemyła. Myślicie, że zrobiłaby to, gdyby mnie nienawidziła? Może czasem mnie nie cierpiała, ale mimo to mnie kochała. Ludzie są skomplikowani. A ona była bardziej skomplikowana, niż sądziłem.

Patrzy na mnie i Steve'a, jakby rzucał nam wyzwanie. Nie podejmujemy go. To wszystko brzmi wyłącznie jak odgrzewana fantazja, ale nie mamy najmniejszej ochoty jej analizować. Wysłanie prawdy z tej płataniny kosztowało nas tyle wysiłku, że zapomnieliśmy o wszystkich fałszywych historiach, które mają swoją własną okrutną, obosieczną siłę.

Stary kiwa głową.

– W to nie wątpię. Dobrze wiedzieć, że się nie mylę. – Sadowi się wygodniej w fotelu, poprawia pasek na brzuchu. – Skoro już to sobie wyjaśniliśmy, porozmawiajmy o tym, co się stało w sobotę wieczorem.

McCann otwiera usta, ale O'Kelly powstrzymuje go gestem.

– Nie. Zaczekaj. Nie o to cię pytam.

McCann się zamyka.

– Breslin powiedział tym dwojgu, że kiedy znalazłeś Aislinn, już nie żyła. Ale mnie powiedział, że nie zbadałeś... to znaczy, jego przyjaciel nie zbadał pulsu. Dlaczego?

McCann z nieufną i skonsternowaną miną kręci głową. Nie tego się spodziewał. Ja też się tego nie spodziewałam. Nie jestem już pewna, czy mam choć mgliste pojęcie, do czego szef zmierza.

– Dlatego, że chciał mnie przekonać, że jego kumpel jest cywilem. Powiedział więc, że kolega spanikował i zwał, tak jak zrobiłby cywil. Ale nigdy żaden detektyw. – O'Kelly mierzy McCanna ostrym spojrzeniem spod zmarszczonych brwi. – Jesteś zadowolony?

Usta McCanna wygina ponury grymas.

– Nie jestem zadowolony z niczego.

– I słusznie. Pozwoliłeś, żeby Breslin przedstawił cię jako cywila, żeby cię ochronić przed szefem. Jak się z tym czujesz?

McCann porusza szczęką.

– Nie najlepiej.

– To dobrze. Bo ja też nie czuję się z tym najlepiej. – O’Kelly milknie, ale McCann nie ma nic do dodania. – Przed chwilą powiedziałaś, że przy Aislinn przypomniałaś sobie, jak ci się kiedyś podobała praca, jak czułaś, że robisz coś ważnego.

Skinienie głową.

– Powiedziałaś: kiedyś. To znaczy, że już tego nie czujesz.

McCann wbija wzrok w podłogę.

– Od kiedy? – naciska stary.

– Nie wiem. Może od dwóch lat.

– Co się stało? – O’Kelly nachyla się, opierając łokcie o biurko, najbliżej, jak się da.

Ja i Steve nie ruszamy się. W ogóle nas tu nie ma. To sprawa między McCannem a O’Kellym.

– Nie chodziło o pracę – mówi McCann – ale o mnie. Jak powiedziałem, w którymś momencie przyszło takie poczucie, jakby wszystko, co mam jeszcze w życiu zrobić, zostało już ustalone. W trakcie ważnego przesłuchania ni stąd, ni zowąd zaczynałem mieć wrażenie, jak gdyby moje usta same się poruszały, jakbym czytał scenariusz i nie mógł go w żaden sposób zmienić. Dotarło do mnie, że nie ma znaczenia, kto siedzi na moim miejscu i zadaje pytania; zakończenie będzie takie samo, czy to będę ja, czy Winters, O’Gorman, ktokolwiek. Czułem się, jakbym zniknął. Nie chodzi o to, że przestałem widzieć w sobie detektywa. Przestałem widzieć samego siebie.

– Powiniennem to zauważyć – odzywa się ponurym głosem stary.

– W mojej pracy nic się nie zmieniło, szefie – dodaje pospiesznie McCann. – Nigdy się nie objąłem. Choćby nie wiem co, dawałem z siebie sto procent.

– Wiem. – O’Kelly odchyła się na fotelu, przesuwa dłońią po ustach. – Co zamierzałaś zrobić? Zmienić wydział? Wytrzymać, aż stuknie ci trzydzieści lat stażu i odejść na emeryturę?

McCann patrzy na niego błagalnie jak dziecko.

– Nie, szefie. Nie. Myślałem, że to kryzys wieku średniego, jakoś to przejdę, zacznie mi się znowu chcieć... Nigdzie się nie wybierałem. Chciałem zostać do końca, dopóki mnie nie wyniosą.

– Czyli się doczekałaś – mówi O’Kelly, nie brutalnie, ale cicho i zwyczajnie.

McCann przygryza wargę.

– Nie mogę cię zostawić w wydziale.

Po długiej chwili ledwie dostrzegalne skinienie głową.

– Nie mogę cię też wcisnąć do innego wydziału.

Znowu ta sama reakcja.

– Sprawa się rozniesie w taki czy inny sposób. Przyjaciółka Aislinn... na pewien czas możemy ją uciszyć, ale prędzej czy później zorientuje się, że śledztwo nie prowadzi donikąd, i znajdzie sobie jakiegoś dziennikarza, który chętnie jej wysłucha. – O’Kelly nie patrzy na mnie i Steve’a, zachowuje się, jak gdyby nie wiedział, że tu jesteśmy, ale zastanawiam się, czy to nie pozory. – Poza tym do gardła rzuci się nam rzecznik praw policjantów. Będą co najmniej dwa śledztwa: ich i nasze. Breslin pójdzie do odstrzału.

McCann raptownie wciąga powietrze nosem, odrzuca głowę do tyłu.

– A czego się spodziewałeś? – pyta stary. – Ukrywanie dowodów i ten telefon do Stoneybatter. Będzie miał szczęście, jeżeli nie postawią mu zarzutów.

– Szefie – odzywa się McCann. Z rozpaczy jego głos rwie się na strzępy; nie mogę na niego patrzeć. – Breslin nie jest niczemu winien. Nic nie zrobił, próbował mi tylko pomóc. Proszę...

– Nie będę mógł nic dla niego zrobić, McCann. Ja też pójdę do odstrzału. – O’Kelly nie uważa się nad sobą; to są fakty, takie same jak wyniki badań daktyloskopijnych i godzina w alibi podejrzanego. – Chyba że złożę rezygnację, zanim skończy się śledztwo. A wtedy nie będę mógł pomóc wygrzebać się Breslinowi.

– Chryste – mamrocze McCann głosem niewiele mocniejszym od szeptu. – Jezu Chryste, szefie. Przykro mi.

– Nie rozklejaj mi się. To się już stało. – Nieruchoma twarz O’Kelly’ego po drugiej stronie biurka, pokryta siecią bruzd i szczelin, wygląda jak maska wyrzeźbiona dawno temu, żeby przekazać mi wiadomość, której nie umiem odczytać. – Masz wybór. Możesz odejść jak bydlak. A możesz jeszcze jeden raz być detektywem.

Cisza się przeciąga. Gabinet szefa zmienił się, przeobraził jak wcześniej przytulny pokój przesłuchań. Kolorowe rysunki w ramkach, drobne białe płatki w szklanej kuli. Cienka skóra rozpięta na nagich kościach i klekoczących zębach.

– W sobotę wieczorem – mówi cicho McCann – po kolacji powiedziałem żonie, że wybieram się na piwo, i poszedłem do domu Aislinn. Wszedłem przez kuchnię, zobaczyłem, że gotuje się kolacja, ale to mnie specjalnie nie zastanowiło. Grała jakaś skoczna muzyka, Aislinn nie słyszała, że wszedłem. Skręciłem do salonu i zawołałem ją, jak zwykle cicho, żeby sąsiedzi nie słyszeli, i zobaczyłem stół nakryty dla dwóch osób. Kieliszki do wina. Świeca. Pomyślałem, że to dla nas. Powinienem wiedzieć. Nigdy nie chodziłem do niej w soboty... żona najczęściej chce wyjść do restauracji, ale akurat tego dnia bolała ją głowa. Aislinn nie mogła się domyślić, że przyjdę. Myślałem tylko o tym, żeby ją zobaczyć.

Dyskretnie zerkam z boku na Steve’a i napotykam jego zdumione spojrzenie. Tylko my jesteśmy tu w szoku. W głosie McCanna nie słyhać ani odrobiny zdziwienia tym, co robi. W momencie gdy wszedł do tego gabinetu, wiedział,

czego chce od niego O'Kelly. Breslin też wiedział; dlatego nie przyszli do starego z wersją, w której występował McCann, i nie błagali o ciche załatwienie całej historii, wykreślenie jej cienką niebieską linią. Tylko ja i Steve okazaliśmy się parą durniów, którzy tego nie zrozumieli.

– Wtedy wyszła z sypialni – ciągnie McCann. – Jasnoniebieska sukienka, piękna... w taki zimowy, szarobury i mokry wieczór ten błękit rozjaśniał wszystko w głowie... Miała rozpuszczone włosy, wiedziała, że to mi się podoba. Wkładała kolczyk do ucha. Podszedłem do niej... – Unosi ręce, jakby chciał ją objąć. – A Aislinn... odskoczyła jak oparzona. Wtedy zobaczyła, że to ja. Spodziewałem się, że się roześmieje, pocałuje mnie, ale była przerażona. Jakbym był intruzem. Dopiero w tym momencie się zorientowałem, że wcale nie czekała na mnie. Uniosła ręce, żebym jej nie dotknął, i powiedziała: „Musisz wyjść”.

Oddycha szybko, jeszcze raz przeżywając tamto niedowierzenie.

– Nie mieściło mi się to w głowie... Zapytałem ją: „Co? Co ty wyprawiasz? O czym ty mówisz?”. Ale ciągle pokazywała mi drzwi z tyłu domu i kazała wyjść. Błagałem ją, sam już nie wiem, co mówiłem. „Co się stało? Jeszcze w środę, trzy dni temu, byliśmy... Masz tego dość, że wracam do żony? Spędzam z tobą za mało czasu? Jeszcze dzisiaj wyniosę się z domu, zamieszkać z tobą, zrobię wszystko... Ktoś ci coś o mnie powiedział, twoja Lucy, wytłumaczę ci, pozwól mi tylko...”. Ale ona tylko pokręciła głową. „Nie, nic takiego, po prostu wyjdź”. Próbowała mnie zagonić do drzwi jak zwierzę, tyle że ja nie mogłem, nie chciałem... spytałem... Stałem jak głupi, dalej nie umiałem pojąć... Spytałem: „To koniec? Czy to znaczy, że z nami koniec?”. Aislinn przystanęła, jakby wcześniej w ogóle o tym nie pomyślała. Zaskoczona. I powiedziała: „No, tak. Chyba koniec”.

Nie ma mowy, żebym dyskretnie spojrzęła teraz na Steve'a. Żadne z nas nie oddycha.

– Zabrzmiało jak żart – mówi McCann. – Czekałem na puentę. Ale jej mina... mówiła poważnie. Powiedziałem tylko to, co mogłem powiedzieć: „Dlaczego?”. „Idź do domu”, powtórzyła. „Powiedz mi dlaczego, a pójdę. Wszystko jedno, o co chodzi, powiedz. Nie mogę się nad tym zastanawiać przez resztę życia”. Popatrzyła na mnie i zaśmiała się. Miała cudowny śmiech, słodki i radosny, ale w tym momencie... brzmiał zupełnie inaczej. Głośny, serdeczny, dźwięczny. Brzmiał...

McCann porusza gardłem, znowu słysząc tamten śmiech, niepowstrzymany śmiech, który wypełnia mu głowę.

– Śmiała się, jakby była szczęśliwa. Taka szczęśliwa jak jeszcze nigdy dotąd. A potem powiedziała: „To się zastanawiaj. A teraz spierdalaj”.

Milknie.

– I wtedy... – odzywa się O'Kelly.

– Wtedy ją uderzyłem – mówi McCann.

Ja i Steve zaatakowaliśmy McCanna, odzierając go z tego, w co najmocniej wierzył; niszczyliśmy to na jego oczach i mieliśmy nadzieję, że zostanie mu za mało, żeby mógł się dalej opierać. Właśnie tak, jak planowała Aislinn. Kiedy jednak odebraliśmy mu tyle, ile się dało, okroiliśmy do części, którą nigdy nie chciał być, mógł już tylko „nie mieć nic do powiedzenia”.

O’Kelly dał mu możliwość powrotu do dawnej postaci. McCann skorzystał z propozycji.

– To nie było zabójstwo, szefie – mówi. – Nieumyślne spowodowanie śmierci. Nie chciałem jej zabić.

– Wiem – odpowiada stary.

– Nie przyszło mi do głowy, że może umrzeć. Dopiero potem pomyślałem.

– Wiem.

Nabieram tchu, żeby to powiedzieć. Raport Coopera. McCann nie jest kulturystą. Wymierzył ten cios, kiedy Aislinn leżała z głową na kamiennym kominku.

O’Kelly słyszy mój oddech. Kieruje na mnie wzrok i czeka na to, co powiem. Jego twarz się nie zmienia. Tylko poruszające się w cieniu oczy wyglądają na żywe.

Zamykam usta.

Stary wraca spojrzeniem do McCanna.

– Musimy to zarejestrować – mówi. – Rozumiesz?

McCann kiwa głową. Robi to już długo.

O’Kelly kładzie dłonie na blacie biurka, by podnieść się z fotela.

– Pora iść – mówi.

McCann patrzy mu w oczy.

– Ja to zrobię – informuje go szef. Uspokajająco jak chirurg obiecujący pacjentowi, że sam go pokroi i nie pozwoli studentom dotknąć skalpela.

– Maura – mówi McCann.

– Pójdę do niej. Jak tylko skończymy.

McCann znów kiwa głową. Wstaje. Stoi obok krzesła z bezwładnie opuszczonymi rękami, czekając na instrukcje, dokąd iść.

Szef poprawia i wygładza marynarkę, jakby wybierał się do jakiegoś ważnego miejsca. Gasi lampę na biurku i z roztargnieniem rozgląda się po gabinecie, dotykając kieszeni. Jego wzrok zatrzymuje się na mnie i Stevie, jak gdyby zapomniał, że tu jesteśmy.

– Idźcie do domu – rzuca.

* * *

Nie rozmawiamy. Nasze kroki na wykładzinie w długim cichym korytarzu brzmią jak stłumione bicie serca. W dół po schodach, przez chłodny przeciąg, który

kraży po klatce schodowej, do szatni; wkładamy płaszcze, zarzucamy torby na ramiona, zamykamy szafki. Z powrotem na górę, wymiana uśmiechów i paru słów z Bernadette, która wrzuca do torby chusteczki i pastylki na gardło, bo wybiera się do domu. A potem na zewnątrz zderzamy się ze ścianą ostrych zapachów miasta i zimna.

Rozległy dziedziniec, reflektory, urzędnicy drepczący do domu. Wszystko to wygląda dziwnie: małe, dalekie papierowe przedmioty. Tak działa rozwiązanie dużej sprawy, zdiera wszystkie barwy i świat staje się blady jak świt, biały jak piasek, pusty, oprócz odpowiedzi, którą trzymasz w ręce, gładkiej i ciężkiej jak wyłowiony z głębin kamień.

Tylko że tym razem jest coś więcej. Bruk pod moimi stopami zachowuje się dziwnie, jest cienką kamienną skórą przykrywającą bezdenną mgłę. Wydział, którego nienawidziłam przez ostatnie dwa lata, tłum chichoczących debili, którzy wbijali nóż w plecy samotnej wojownicze, gdy walecznie toczyła bitwę z góry skazaną na porażkę... wszystko to znika, odrywa się jak warstwa brudu mocno przyklejona do prawdziwego kształtu. Wydział, za który dałabym odrąbać sobie rękę, by mnie przyjął, błyszczący szereg mężnych superbohaterów, zniknął już dawno temu. To, co zostaje pod spodem, nie jest ani takie, ani takie; jest mniejsze, spokojniejsze i bardziej złożone, zbudowane z większą dbałością o szczegóły. Roche, który się prosi, by dać mu w gębę, co jest na jednym z pierwszych miejsc na mojej liście zadań. Chłopaki, z których każdy głęboko tkwi we własnym sosie złożonym z niepewnych alibi, brudnych włókien zabezpieczonych na miejscu zdarzenia i ospy dziecka, od czasu do czasu unoszą wzrok, żeby przewrócić oczami, słysząc jakąś głupotę od Roche'a albo ode mnie. Szef – przychodzi mi na myśl, że może szef podrzuca nam jakąś domową burdę nie dlatego, że wkurzają mnie takie sprawy, ale dlatego, że dają niezły wskaźnik wykrywalności, a zależy mu na solidnej statystyce; a może powód jest jeszcze prostszy: bo wie, że wyciśniemy z nich wszystko, co się da. Wszyscy. I Steve. I ja.

Stoimy na dziedzińcu z rękami w kieszeniach, zgarbieni w chłodzie. Nie jesteśmy pewni, co teraz począć; nie ma żadnego regulaminu, żadnego rytuału, który by podpowiedział, co należy zrobić po takim dniu. Okna wydziału zabójstw nad nami jarzą się czujnie, gotowe na wszystko, co przyniesie najbliższa noc. Gdzieś za nimi w pokoju przesłuchań siedzą O'Kelly i McCann z nisko pochylonymi głowami i cicho i spokojnie rozmawiają. Breslin jest sam w pokoju technicznym i obserwuje ich bez ruchu przez pojawiającą się i znikającą parę swojego oddechu na szybie.

– Zatrośczył się o nas – mówi Steve.

Ma na myśli szefa, który wysłał nas do domu.

– Wiem – odpowiadam. Na protokole zeznania McCanna będzie nazwisko O'Kelly'ego, tak jak na aktach dowodowych, które trafią do prokuratora. Kiedy

jutro rano wejdziemy do biura wydziału, nie przywita nas nieprzyjazny syk. Breslin będzie nas serdecznie nienawidzić do końca życia. Reszta będzie patrzeć, jak O'Kelly wychodzi z budynku ramię w ramię z McCannem, żeby odprowadzić go do aresztu, i zrozumie.

Steve robi nagle głęboki wdech i wypuszcza powietrze.

– Boże – mówi i słyszę, jak drży mu głos, ale wcale nie zamierza tego ukrywać. – Co za dzień.

– Spójrz na to optymistycznie. Już nigdy nie będziemy mieli gorszego tygodnia.

Odpowiada mi jego bezradny śmiech.

– Nigdy nie wiadomo. Może dopisze nam szczęście: komendant się naćpa i udusi jakąś dziwkę.

– Pieprzyć to. Ktoś inny może się tym zająć. Pasowałoby do tempa Quigleya. Steve znowu się śmieje, ale szybko milknie.

– Nie zorientowaliśmy się od razu, bo myśleliśmy jak gliniarze – mówi. – Oboje.

Zawiesza to w powietrzu jak pytanie. Wie. Byłam taka pewna, że jestem nieprzenikniona jak tajna agentka, ukrywając przed wszystkimi swój wielki plan. Przyglądam się, jak nasze oddechy unoszą się i rozplývają w chłodzie.

– No i co? – pyta Steve, patrząc na cień, który przesunął się za jednym z okien. – Składasz rezygnację?

Prawie widzę mrowie możliwości połyskujących jak błędne ogniki nad brukiem, śmigających na tle wysokich okien, które mrugają do mnie zwodniczo i kusząco. Widzę siebie, jak w kostiumie, przy którym ten wygląda jak worek na śmieci, kroczę przez Harrodsa za jakąś saudyjską księżniczką, jednym okiem patrząc na nią, a drugim na wszystko dookoła. Widzę siebie wyciągniętą na wygodnym fotelu w klasie biznesowej, sprawdzającą drogi wyjścia w wyciszonych korytarzach dwudziestoczekaratowych hoteli, wylegującą się na brzegu oślepiająco błękitnego morza z koktajlem w jednej ręce, a drugą trzymając na pistolecie ukrytym w torbie plażowej. Wszystkie te świetliste możliwości wirują między prętami bramy i znikają.

– Nie – mówię. – Nie cierpię papierów.

Przysięgam, że głowa Steve'a odchyła się z ulgą.

– Jezu – mówi. – Tak się bałem.

Tego się nie spodziewałam.

– Tak?

Obraca się do mnie twarzą. Jest równie zaskoczony jak ja.

– Pewnie. A co myślałaś?

– Nie wiem. W ogóle o tym nie myślałam. – Ani razu. A powinnam. Przez moment widzę Breslina w pokoju przesłuchań, którego wściekłość prawie zwała

z nóg. *Nie ma żadnej, żadnej, kurwa, możliwości, żeby on to zrobił!* Breslina w ciemnym salonie, gdy przed świtem dzwoni na posterunek w Stoneybatter i mówi do słuchawki stłumionym głosem. – Przepraszam – rzucam. – Ostatnio wychodziłam na cholernego półgłówka. Na różne sposoby.

Steve nie próbuje zaprzeczać.

– Nie szkodzi. Wszyscy tak mają.

– Nie zamierzam już tego więcej robić.

– Byłoby miło.

– Odwal się. – Bruk stracił już tę mglistą zwiewność i znów jest twardy, jak był przez stulecia, a zimne powietrze wypełnia mi płuca jak kofeina. Muszę zadzwonić do Crowleya, powiedzieć mu, że odpuszczam mu ten artykuł, ale przypomnę mu, że wciąż ma u mnie wielki dług i kiedyś się po niego zgłoszę. Muszę zadzwonić do mamy i opowiedzieć jej o ostatnim wieczorze, czy tego chcę, czy nie. Może się uśmiejemy. Może jutro dostanę maila od Fleasa, kiedy zobaczy nagłówki: *Hej, Rach, widziałem twoje wiadomości, super, że wszystko ci się ułożyło, musimy się spotkać i to uczcić x*. Może w weekend napiszę SMS-a do Lisy i reszty mojej paczki, zobaczę, czy są gdzieś w okolicy.

– Wiesz co, mam ochotę na piwo – mówię. – Brogan's?

Steve zarzuca torbę na ramię.

– Ty stawiasz. Ciągle mi wiesz jedno za to, że Rory się nie rozplakał.

– Co ty gadasz?! Ryczał jak bóbr...

– Zdawało mi się, że właśnie przestałaś być półgłówkiem...

– Bardzo śmieszne. To nie znaczy, że teraz będę frajerką...

– To dobrze, bo już się zacząłem bać...

Jeszcze raz spoglądam w górę na resztę swojego życia, która czeka na mnie w tych solidnych kwadratach złotego światła. A potem ruszamy przez dziedziniec, sprzecząc się, żeby wypić parę piw i przespać się parę godzin, zanim przyjdzie pora wrócić i dowiedzieć się, co nowego przyszło.

PODZIĘKOWANIA

Jeszcze bardziej niż zwykle dziękuję Dave'owi Walshowi, którego wiedzy o świecie detektywów ta książka zawdzięcza wszystko, co jest zgodne z rzeczywistością, i nic, co jest z nią niezgodne.

Jestem również winna ogromne podziękowania niezmiennie wyjątkowemu Darleyowi Andersonowi i wszystkim z agencji, zwłaszcza Mary, Emmie, Rosannie, Pippie i Mandy; Andrei Schulz, Ciarze Considine, Nickowi Sayersowi i Sue Fletcher za wielkie umiejętności redakcyjne, wnikliwość i mądrość; Bredzie Purdue, Ruth Shern, Joannie Smyth i wszystkim z Hachette Books Ireland; Swati Gamble, Kerry Hood i wszystkim z Hodder & Stoughton; Carolyn Coleburn, Angie Messinie, wspaniałemu Benowi Petrone oraz wszystkim z Vikinga; Susanne Halbleib i wszystkim z Fischer Verlage; Rachel Burd; Steve'owi Fisherowi z agencji APA, najbardziej cierpliwemu człowiekowi w Los Angeles; doktorowi Fearghasowi Ó Cochláinowi za to, że wyjaśnił niejasności z moimi krwiami; Sophie Hannah za naprowadzenie mnie na tytuł; Alexowi Frenchowi, Susan Collins, Ann-Marie Hardiman, Jessice Ryan, Karen Gillece, Kendrze Harpster, Kristinie Johansen i Catherine Farrell za wsparcie w każdej postaci, od praktycznej przez emocjonalną po rozrywkową; Davidowi Ryanowi, któremu serwuję szczególne wyrazy wdzięczności z wędzoną szynką, plastrami bekonu, mieloną wołowiną, grzybami i czarnymi oliwkami, pieczone przez dziesięć minut na kamieniu do pizzy, podane z niemieckim pilsnerem; mojej matce Elenie Lombardi; ojcu Davidowi Frenchowi; oraz, z coraz większej liczby powodów za każdym kolejnym razem, człowiekowi, który potrafi wyjaśnić najbardziej zawikłaną intrygę, zanim jeszcze podadzą przystawki, mojemu mężowi, Anthony'emu Breatnachowi.

PRZYPISY

¹ Whitey Bulger – gangster z bostońskiej mafii irlandzkiej, aresztowany w 2011 roku.

² *Flea* (ang.) – pchła.

